



„John Lutz wie,
jak wywołać dreszcze”
HARLAN COBEN

CRIME SCENE - DO NOT CROSS

John **LUTZ**
BEZ ŚLADU

*Nie mogą żyć własnym życiem.
Mają tylko jedno wyjście.
Muszą je zabierać innym.*

Prószyński i S-ka

John LUTZ
BEZ ŚLADU

Przełożył
Bartosz Kurowski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
NIGHT KILLS

Copyright © 2008 by John Lutz
All rights reserved

Projekt okładki
Anna Damasiewicz

Zdjęcie na okładce
Dave Wall/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Adrian Markowski

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8069-654-9

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

(...) kobiety i ptaki, by widzieć, nie muszą ruszać głową, co w rzeczy samej niezbędnym jest zabezpieczeniem, albowiem i kobiety, i ptaki otoczone są przez wrogów.

James Stephens, *Pólbogowie*

1

Madeline uciekała.

Powinna być mądrzejsza. Naprawdę powinna.

Jakiś owad – duża pszczoła lub osa – bzyknął jej koło ucha, kiedy z poślizgiem skręcała za róg. Niemał spadła jej przy tym z nogi tenisówka. Ułamek sekundy później dobiegło ją suche *bam!* Strzelał do niej. Nie miała już wątpliwości, o co mu chodziło w samochodzie.

Próbuje mnie zabić! Za co? Co mu zrobiłam?

Walczyła o każdy oddech i potykała się z wyczerpania, biegnąc ciemną ulicą. Wprawdzie było późno, ale nawet o tej porze, nawet w tej dzielnicy ktoś na pewno nie śpi i jej pomoże. Ktokolwiek!

Strach pchał ją do przodu. Strach i rozlegający się z tyłu miarowy, niestrudzony tupot stóp. *Dlaczego? O co chodzi? Jeśli zbliży się na tyle, żeby strzelić jeszcze raz...*

W prawym boku pojawił się ból. Był jej wrogiem. Chciał zmusić ciało, żeby zgięło się wpół, żeby przestała biec, przestała żyć. Jej nogi nie tyle osłabły, ile zdrętwiały tak, że ledwie czuła chodnik pod stopami.

Madeline była gotowa poddać się nieuniknionemu, ale wtedy zobaczyła, że na następnym pogrążonym w mroku skrzyżowaniu przesuwają się cienie i rozlewa się blask.

Samochód!

Za nią, znacznie już bliżej, znów rozległ się strzał. Zabrzmiał, jakby jedna duża dłoń klasnęła o drugą. W tym suchym trzasku była jakaś ostateczność.

Oznajmiał, że coś się skończyło.

2

Frank Quinn, emerytowany detektyw z wydziału zabójstw, sącył mocną czarną kawę po śniadaniu zjedzonym w Lotus Diner na Amsterdam, kiedy naprzeciwko niego usiadł mężczyzna z obwisłymi podbródkami, wyglądający jak ogar, którego ubrano w świetnie skrojony garnitur.

- Wiem, wiem. Późno się zjawiam – zawarczał ogar.
- Jak to? – mruknął Quinn i upił odrobinę kawy.
- Wolałbyś, żebyśmy spotkali się tu o wiele wcześniej.

Quinn nie odpowiedział. Nudzili go ludzie obdarzeni nadmierną pewnością siebie.

Obaj mężczyźni byli niemal przeciwieństwami. Ogar, czyli Harley Renz, komisarz nowojorskiej policji, obwisłe miał nie tylko, podbródki, ale i całe ciało. W ciągu ostatnich kilku lat przytył ze dwadzieścia kilogramów i nawet w drogim garniturze w kredowe prążki jego otyłości nie dało się pomylić z muskulaturą. Pionowe paski po prostu układały się na Renzu w zygzaki. Quinn dla odmiany był wysoki i szczupły. Miał wydatną szczękę, nos złamany o jeden raz za dużo i matowe zielone oczy, pod których spojrzeniem trudno było się skupić. Proste, upstrzone pasmami siwizny włosy niedawno ściął na krótko, ale jak zawsze sprawiały wrażenie, że fryzjer przy okazji powinien był dopasować je do kształtu ludzkiej czaszki. Jeśli Renz był ogarem, to Quinn miał w sobie coś z wilka.

– Cieszysz się, że mnie widzisz – ciągnął Renz – bo nie chcesz gnić na emeryturze w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

Zbliżyła się Thel, kelnerka.

– Kawa dla mojego adwersarza – zamówił Quinn.

– Nie jadłem śniadania – powiedział Renz. – Wezmę jeszcze gofra. Z dietetycznym syropem.

– To coś smakuje jak żywica – skomentowała Thel, przysadzista kobieta w średnim wieku, która nigdy nie mogła pochwalić się urodą, więc nadrabiała ten brak bezpośredniością. W jej wypadku ta strategia świetnie się sprawdzała.

– No to z prawdziwym – zażyczył sobie Renz, zadowolony z

pretekstu do ominięcia diety.

Quinn słuchał przez chwilę odgłosów ruchu ulicznego na Upper West Side, przetaczającego się ulicą Amsterdam. Ktoś nieopodal głośno kogoś sklął, ktoś inny napał na klakson i zrewanżował się donośnym wyzwiskiem. Nowy Jork.

– Gnicie postępuje szybko – powiedział Quinn. – Może przędziesz do rzeczy?

– Się robi. Znowu potrzebuję ciebie i twojej ekipy.

Quinn i para detektywów, których Renz przydzielił do ostatniej sprawy, stali się pupilkami mediów po tym, jak wytropili grasującego w mieście seryjnego mordercę zwanego Rzeźnikiem. W dodatku dzięki ich sukcesowi Renz gładko się wspiął na kolejny szczebel kariery i został komisarzem policji. Właściwie stał się jednym z najbardziej popularnych komisarzy w historii miasta. A że miastem był Nowy Jork, Renz praktycznie mógł robić, co mu się żywnie podobało. Mógł nawet na jakiś czas ponownie wcielić trójkę detektywów w szeregi nowojorskiej policji, jeśli oczywiście wyrażą taką chęć. Renz wiedział, że Quinn ją wyrazi, a za nim pójdą jego detektywi. Podobnie jak Renzowi Quinnowi trudno było odmówić.

– Do czego nas potrzebujesz?

Renz się uśmiechnął, ale i tak wyglądał jak ogar.

– Mówią o tobie w mieście Pan Seryjny, Quinn.

– Nie wiem, czy podoba mi się sposób, w jaki to ująłeś.

– Wiesz, o co mi chodziło.

– Kiedy ostatnio dla ciebie pracowałem, wskoczyłeś aż na stołek komisarza.

– A ty odzyskałeś dobre imię i zostałeś wielkim bohaterem. Dla każdego coś miłego, Quinn. Ręka rękę, coś za coś. Tak kręci się świat.

– Może twój.

– W nim przecież żyję.

– Czego więcej chcesz, Harley? Fotela burmistrza?

– Kto wie? – Renz wrzucił ramionami.

Chyba mówił poważnie. Quinn nie potrafił go sobie wyobrazić w tej roli, chociaż nie widział go też w roli komisarza, a właśnie naprzeciwko niego siedział. Naprzeciwko komisarza policji.

– Jakie warunki? – zapytał.

– Praca na zlecenie. Nie wpłynie na twoje odszkodowanie, nie pozbawi cię świadczeń emerytalnych.

O świadczenia Quinn się nie martwił. Niedługo po zamknięciu sprawy Nocnego Łowcy miasto przyznało mu spore odszkodowanie za to, że został fałszywie oskarżony o zgwałcenie czternastolatki.

Zgwałcił ją inny policjant, a Quinn to udowodnił. Zszarganej reputacji i tak by nie odzyskał, zgodził się więc na kwotę, która wystarczyła na opłacenie prawników i w miarę wygodne życie niezależnie od emerytury.

– Jeśli chcesz, żebym się tym zajął – powiedział – musisz mnie zainteresować.

– To żaden problem.

Wróciła Thel. Przyniosła kawę i gofra dla Renza, a także syrop klonowy w małej buteleczce. W podobnych podawano alkohol na pokładach samolotów.

– To – powiedziała, stukając w zakrętkę nadłamanym polakierowanym paznokciem – smakuje jak utoczone prosto z drzewa. Pyszności.

– Wierzę pani, najdroższa – odrzekł Renz.

Kiedy się oddaliła, posmarował gofra grubą warstwą masła, po czym wylał nań całą zawartość buteleczki.

– Mamy seryjnego mordercę – zwrócił się do Quinna – ale media jeszcze o tym nie wiedzą. Z wyjątkiem Cindy Sellers, która na razie nic nie publikuje.

– Ile ofiar?

– Dwie kobiety.

– Coś mało na seryjnego.

– Obie zostały zabite w taki sam, charakterystyczny sposób.

– Czyli masz ciała.

To nie było pytanie. Renz podniósł nóż i widelec i zaatakował swoje śniadanie.

– Mam kawałki ciał – odparł. – Nie, nieprecyzyjnie się wyraziłem – poprawił się z ustami pełnymi gofra. – Mamy tylko tułowia. – Przelknął i mlasnął z zachwytem. – Po prostu mniamuśne.

Dziwnie to zabrzmiało w ustach ogara, zwłaszcza takiego, który był komisarzem policji, ale co zrobić.

Thel naciągnęła z dolewką kawy dokładnie w chwili, w której Renz wbił widelec w ostatni kawałek gofra. Pewnie dlatego, że powiedział do niej „najdroższa”. Zaraz potem wróciła za ladę.

– Obie zastrzelono z tej samej broni – podjął temat Renz.

Odsunął pusty talerz. Zanurzył palec w resztkę syropu, oblizął go, popił kawę. Nie spieszył się. Z lubością przeciągał opowieść.

– Pocisk kalibru dwadzieścia dwa z wydrążonym czubkiem, prosto w serce.

– Mała spluwa.

– Wystarczająco duża. Zdaniem medyka sądowego każdy postrzał był śmiertelny, ale ofiary mogły jeszcze chwilę pożyć. Nie wiadomo, czy nie zostały dobite strzałami w głowę. Trudno powiedzieć, skoro nie mamy głów.

– Zawodowiec?

– Nieee. Jaki zawodowiec zawracałby sobie głowę rozczłonkowywaniem ciał?

Quinn pomyślał, że to słuszna uwaga. Zaraz potem się upomniał, że jeszcze nie pora na wyciąganie wniosków.

– Poza tym – mówił Renz – obie ofiary zostały zgwałcone długim ostrym przedmiotem. Raczej nie nożem. Prędzej palikiem.

– Powiedz, że dopiero po śmierci – poprosił Quinn.

– Zdaniem Nifta owszem.

Chodziło o doktora Juliusa Nifta, wykwalifikowanego medyka obdarzonego niestety niewyparzoną gębą.

– Chyba rozczarował go ten przejaw miłosierdzia ze strony mordercy.

– To raczej praktyczne podejście, a nie miłosierdzie – sprostował Quinn. – Łatwiej zabrać się za ofiarę ostrym narzędziem, jeśli najpierw położy się ją kulą.

– No widzisz? Dlatego jesteś właściwym człowiekiem do tej roboty – odparł Renz. – Z miejsca wchodzisz w chore umysły tych pojebów.

– W twój też.

– Myślisz, że robi im to zaostrzonym palikiem czy czymkolwiek innym, bo mu nie staje?

– Ty tak twierdzisz.

Renz zlizął z palca jeszcze trochę syropu i uśmiechnął się do Quinna.

– A co ty twierdzisz?

– Że w to wchodzimy – odparł Quinn. – Zadzwoń do Fedsa i Pearl.

Fedsem był Larry Fedderman, emerytowany detektyw z wydziału zabójstw. Pearl była... Cóż, Pearl była Pearl. A to mogło stanowić problem.

3

Pearl była niska, krągła, dorodna i nawet w szarym mundurze tak wyrazista, że prawie nierealna. Idealna biała cera. Czarne, bardzo czarne oczy i włosy. Białe, bardzo białe i idealnie równe duże zęby. Poza tym emanowała specyficzną energią – odnosiło się wrażenie, że mogłaby przyciągać spinacze, gdyby znalazła się w ich pobliżu.

Obserwowała mężczyznę siedzącego przy stoliku, przy którym wypełniało się blankiety wpłat i wypłat z konta. Coś długo wypisywał wybrany druczek, a przy tym nieustannie rozglądał się po banku.

Bank Sixth National był szacowną instytucją pyszniąca się marmurami, boazerią z orzecha i polerowanym mosiądzem. Za długim rzędem klatek dla kasjerów widać było, niczym przejście do dziewiętnastego wieku, otwarte drzwi do skarbcza. Jeśli w takim banku w ogóle coś się zmieniało, to z powolnością, z jaką w chłodny dzień kapie melasa. Człowiek po prostu wiedział, że jego pieniądze są tu bezpieczne.

Pearl pracowała w Sixth National jako strażnik i lubiła to zajęcie. Robota prawie taka sama jak w policji, tylko spokojniejsza. Mundur dali jej szary, nie niebieski, ale mundur to mundur. Dużo czasu spędzała na nogach, a wymagane umiejętności były w zasadzie takie same. Mogliby tylko lepiej płacić. Ale Pearl w zasadzie nie narzekała. Prawdopodobnie nigdy nie będzie musiała wyjąć broni, którą nosiła w kaburze u pasa. Nawet jeśli pewnego dnia ktoś taki jak ten palant przy stole z orzecha naprawdę będzie oglądał bank pod kątem ewentualnego skoku albo z zamiarem podejścia do kasjera lub kasjerki z kartką informującą, że to napad. Jeżeli coś takiego rzeczywiście kiedyś się zdarzy, Pearl była, psiakrew, gotowa.

Facet, który z takim mozołem pisał – chudy typ w koszulce bez rękawów i z mnóstwem tatuaży, takich niebieskich i wyblakłych, jakie robią w więzieniu – nareszcie wstał od stołu i pomaszerował do jednego z okienek. Podał kasjerce trochę gotówki i kartkę, która wyglądała na blankiet wpłaty. Pearl się rozluźniła i wróciła na swoje miejsce pod ścianą, żeby nie stać klientom na drodze. Miała jednak Pana Wytatuowanego na oku.

Jej telefon komórkowy, przyczepiony do pasa obok dziewięćmilimetrowego pistoletu, zabuczał i zawibrował. Przycisnęła brodę do piersi i spojrzała w dół, unosząc komórkę pod kątem umożliwiającym dostrzeżenie wyświetlacza. Numer Quinna. Odczepiła telefon, otworzyła klapy i powiedziała po prostu:

- Cześć, Quinn.
- Mam dla ciebie propozycję – odezwał się głos w telefonie.
- Już to przerabiałam – odparła Pearl.

Wróciła spojrzeniem do wytatuowanego i kasjerki o imieniu Judy. Judy miała około dwudziestu lat, była puszysta, a na jej ślicznej okrągłej twarzy rzadko malowały się jakieś emocje – chyba że w porze lunchu. Ale teraz krzywo spoglądała na Pana Dziarę. Czyżby się sprzeczała?

– Jaką propozycję? – zapytała Pearl, chcąc przyspieszyć bieg spraw.

– Odwiedził mnie Renz. Wygląda na to, że w mieście działa seryjny morderca. Wieści jeszcze nie dotarły do mediów, ale lada chwila korek wystrzeli z butelki. Cindy Sellers z „City Beat” o wszystkim wie i zaraz coś opublikuje.

Pearl pamiętała Cindy Sellers, twardą małą brunetkę, która zwykle działała szybko i bez ceregieli. Cóż, to samo dałoby się chyba powiedzieć o Pearl.

– Seryjny morderca może zaszkodzić karierze Renza – powiedziała.

– Nie, jeśli Renz będzie odpowiedzialny za jego ujęcie. Albo jeśli przypisze sobie zasługę. W takim wypadku jego kariera może dużo zyskać. Dlatego kazał mi ponownie zmontować ekipę.

– Jest komisarzem policji. Czego chce więcej?

– Na dłuższą metę chyba lepiej, żebyśmy nie wiedzieli. Niezależnie od motywacji znowu wysłał nas na polowanie.

Podczas rozmowy Pearl obserwowała Pana Wytatuowanego i Judy. Naprawdę się sprzeczała. Okrągła twarz Judy pobladła i – co było zupełnie do dziewczyny niepodobne – malowała się na niej złość, którą kasjerka najwyraźniej starała się pohamować. Facet z tatuażami pochylał się ku niej. Głównie to on mówił.

– Pearl?

– Tak, tak – odpowiedziała.

Ruszyła powoli w kierunku Judy i chudzielca z wytatuowanymi ramionami. Mnóstwo tatuaży przemyślnie się zazębiających. Nazywano to rękawami.

– Seryjny morderca... Ciekawe...

– W dodatku stróże prawa mają do dyspozycji tylko tułowia ofiar. Morderca kaleczy kobiety na tle seksualnym. Penetruje je jakimś ostrym przedmiotem, być może palikiem. Nie dzwoniłem jeszcze do Fedsa. Wchodzisz w to?

– Same tułowia, powiadasz?

– Właśnie. Obydwie kobiety zostały zabite strzałem w serce, i to z tej samej broni.

– Cholera – powiedziała Pearl.

Pan Wytatuowany powiedział coś, na co Judy aż się wzdrygnęła, po czym odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył ku drzwiom.

Pearl popatrzyła na Judy. Judy popatrzyła na Pearl, a potem na Pana Wytatuowanego i bezgłośnie powiedziała: „Zatrzymaj go!”.

– Wchodzisz w to, Pearl?

Pearl zrobiła dwa długie kroki, odepchnęła na bok kobietę stojącą w kolejce do okienka i podążyła za wytatuowanym.

– Ej, ty! – powiedziała spokojnie, ale stanowczo, nie chcąc powodować niepotrzebnego zamieszania. – Zatrzymaj się!

– Co jest, Pearl? Co się dzieje?

Wsunęła komórkę do kieszeni szarych spodni od munduru i zaczęła gonić wytatuowanego. Obejrzał się na nią i ruszył biegiem. Pearl wpadła na niego i ściągnęła go na twardą marmurową posadzkę, uderzając się przy tym w łokieć, aż zdrętwiało jej prawe ramię. Na obrzeżach jej pola widzenia niczym roztańczone cienie szybko poruszali się klienci. Rozległ się kobiecy krzyk.

– Oż ty suko! – zawołał wytatuowany, zbierając się z podłogi.

Pearl podcięła mu nogi.

– Oż ty! – zawołał znowu i przetoczył się poza zasięg jej rąk. Nie próbował jednak wstawać.

Pearl poszarpała się z kaburą, ale nie mogła wyjąć pistoletu. Do diabła z tym. Zbliżyła się na czworakach do Pana Dziary, przewróciła go na brzuch i sięgnęła po kajdanki. Nie stawiał oporu.

Po kopniaku w nogi, jaki mu zafundowała, mógł mieć uszkodzony któryś staw kolanowy.

– Panno Kasner! – usłyszała kobiecy głos. – Panno Kasner, proszę nie robić mu krzywdy!

Pearl podniosła wzrok i zobaczyła nad sobą Judy. W holu za dziewczyną klienci zamarli ze strachu. Niektórzy leżeli na podłodze jak Pearl i wytatuowany.

– Prosiłaś, żebym go zatrzymała – powiedziała Pearl. – To chyba znaczy, że chciał obrabować bank?

– Nie. Obrabował mnie, bo nie dał alimentów na dziecko. To

tylko mój były mąż, żaden z niego bandyta.

Rozwścieczona Pearl podniosła się na nogi. Łokieć zapłonął bólem.

- To po cholere kazałaś go zatrzymać?
- Nie wiem. Tak jakoś. – Judy zaczęła płakać.
- Pozwę cię za to, do jasnej cholery! – wydarł się wytatuowany, który tymczasem usiadł i wpatrywał się w Pearl.
- Pozwiesz mnie? Masz szczęście, że ci nie...
- Panno Kasner – kolejny głos. Ten należał do Copperthwaite'a, dyrektora banku. – Jak tylko Judy się uspokoi, zapraszam obie panie do mojego gabinetu.

– Jestem... jestem spokojna – chlipnęła Judy i otarła wierzchem dłoni oczy, które poczerniały od spływającego makijażu. Wyglądała jak rozżalony szop prac. Uklękła i odgarnęła kosmyk włosów z czoła Pana Dziary.

– Jezu Chryste! – rzuciła Pearl.

Otrzeпаła się z kurzu i roztarła bolący łokieć.

– Pearl...?

Jeszcze jeden głos. Stłumiony i znajomy. A tak. Quinn.

Pearl wyłowiła telefon z kieszeni i przyłożyła do ucha.

– Wchodzę w to – powiedziała.

Fedderman zastanawiał się, czy przypadkiem nie przeszedł na emeryturę zbyt wcześnie. Był najmłodszym z czwórki golfistów, mieszkańców osiedla Coral Castle, położonego na spokojnym i malowniczym południowo-zachodnim wybrzeżu Florydy. Było tu jak w raj, pomijając porę huraganów, i Fedderman wiedział, że powinien być szczęśliwy, choć jego żona Blanche odeszła... Ile to już będzie? Jakiś rok temu. A wydawało się, że tak niedawno. Jedyne, co miał w życiu do roboty, to odbieranie emerytury, byczenie się w mieszkaniu albo grę w golfa. Jako emeryt powinien byczyć się z przyjemnością. Powinien też z przyjemnością grać w golfa. I lubić łowienie ryb, choć uczciwie musiał przyznać, że na otwartych wodach zdarzało mu się wyciągać z oceanu stworzenia, których się bał. Nie wspominając o tym, że odkrył u siebie chorobę morską.

– Walnij wreszcie tę piłkę, Larry! – zawołał Chet, jeden z czworga golfistów.

Fedderman obejrzał się i pomachał mu ręką. Poprzednim dalekim uderzeniem posłał piłkę z równego terenu na obszar nieskoszonej trawy, wysokiej i tak ostrej, że próba zerwania kępki gwarantowała ranę dłoni. Cud, że w ogóle tę piłkę znalazł.

Fedderman nigdy nie należał do ludzi, na których cokolwiek dobrze leżało, więc na jego tyczkowatej, choć obdarzonej wydatnym brzuszkiem osobie nawet strój do golfa wyglądał jak pożyczony. Jeden rękaw błękitnego sweterka wydawał się dłuższy, a w szerokich spodniach w stonowaną kratę Fedderman kojarzył się z kimś smagającym porywistym wiatrem, chociaż dzień był bezwietrzny. I gorący. I parny.

Zbliżając się do piłki, Fedderman spróbował plaśnięciem zabić komara, ale chybił. Pozornie niedopasowane części jego ciała przybrały doprawdy ciekawą pozycję, gdy na próbę machnął kijem, podszedł bliżej i wybił piłkę z trawy. Piłka zgrabnym łukiem wlatywała nad zielenią, niosąc ze sobą nadzieje Feddermana, a potem, jakby trafiła na prąd strumieniowy, zboczyła nagle w prawo i wylądowała gdzieś między drzewami.

– Przynajmniej nie trafiłeś w bunkier¹! – krzyknął Chet.

¹ Bunkier – na polu golfowym: przeszkoda w postaci dołu wypełnionego piaskiem.

Fedderman coraz mniej go lubił.

Znow była jego kolej. Trójka partnerów od golfa stała już niedaleko dołka, a on, samotny, znalazł się w miejscu, które wyglądało na zagajnik drzew palmowych, rosnących nad wartkim potokiem. Tu leżała jego piłka. Nawet ładnie wylądowała, na polaci trawy, i to nie za wysokiej, bo słońce nigdy nie przedzierało się przez korony gęsto rosnących palm.

Nad potokiem coś się poruszyło. Fedderman spojrzał w tamtą stronę, ale nic nie wypatrzył w bujnej trawie. Słyszał, że na polach golfowych spotyka się aligatory, lecz osobiście nigdy żadnego nie widział mimo częstych wypraw w te zarośnięte rejony. Był jednak przekonany, że to, co się poruszyło, na pewno nie było człowiekiem. Przeszedł go dreszcz.

Szybkim krokiem zbliżył się do piłki i przyjął pozycję. Będzie musiał posłać ją nisko i trafić między pnie dwóch palm, jeśli chciał choćby zbliżyć się do ledwo widocznej skoszonej części pola.

– Wal! – wrzasnął Chet. – Wal w piłkę, Larry!

Sam się wal, tępy palancie!

Znow poruszenie zarejestrowane kątem oka. Na pewno coś się kryło w tych cholernych cieniach.

Szybko zrobił próbny wymach, po czym bez dalszej zwłoki uderzył piłkę. Tym razem się spisał. Walnął jak się patrzy. Poczul się wspaniale.

Piłka przeleciała ze trzy metry, odbiła się od pnia palmy i wróciła

prostym torem, trafiając Feddermana w czoło. Upuścił kij, złapał się za głowę i wytoczył w palący żar słońca. Buty z kolcami zaplątały mu się w wysoką trawę; omal się nie przewrócił. Chet coś pokrzykiwał, może nawet się śmiał.

Cholerny Chet!

Cholerny golf!

Cholerna Floryda!

Musi się stąd wydostać! Po prostu musi!

Zadzwoiła jego komórka.

Dwa miesiące wcześniej

Shellie Marston przechadzała się po przestronnym, szklano-marmurowym holu biurowca CitiGroup Building, położonego między Trzecią Aleją a Pięćdziesiątą Trzecią Ulicą. Mijając po raz kolejny okno wystawowe, spróbowała bez zwracania na siebie niczyjej uwagi popatrzeć na swoje odbicie. Zobaczyła zbliżającą się do trzydziestki blondynkę o włosach średniej długości, ze zdecydowanie pełną, ale nie za pełną figurą, odzianą w nowy rdzawoczerwony dres firmy Avanti i olśniewająco białe buty do joggingu marki New Balance. Na szyi zawiązała białą apaszkę. Przesada? Nie, skoro nie włożyła żadnej biżuterii, nie licząc małych złotych kolczyków w kształcie kółek, no i miała też na ręce nader praktyczny zegarek na czarnym pasku na rzepy. Shellie czekało niezobowiązujące pierwsze spotkanie z... Davidem Adamsem. Sekundę trwało, zanim przypomniała sobie jego nazwisko. Spotkanie w miejscu publicznym, zorganizowane przez portal E-kstaza.org.

W holu nie było wielu ludzi, ale z powodu echa odbijającego się od twardych powierzchni odnosiło się odwrotne wrażenie. Głosy i szurające podeszwy tworzyły niemilknący szum. Nowojorczycy, tak jak turyści, wędrowali wzdłuż szeregu sklepów, spieszyli ku ruchomym schodom lub nimi zjeżdżali.

Odwróciwszy wzrok od okna, Shellie zauważyła, że zwolnił się jeden z okrągłych stolików ustawionych przed sklepami. Kupiła koktajl mleczno-czekoladowy, żeby zająć czymś ręce. Szła szybko, ale piankowy kubek niosła ostrożnie, by nic nie uронić. Zawłaszczyła stolik i usiadła. Kubek sumiennie postawiła na serwetce, którą dostała z koktajlem.

Najpierw zobaczy ją siedzącą. To dobrze czy źle? Dobrze, jeśli będzie siedziała z gracją. Dopilnowała, żeby jej uda były złączone, lekko wysunęła jeden but przed drugi, a rękę położyła na kolanie. Teraz powinna prezentować się w miarę wdzięcznie.

Uniosła lewą rękę i przelotnie zerknęła na zegarek. David Adams

powinien się pojawić pięć minut temu. Nerwowo napiła się koktajlu. Może w ogóle się nie pokaże? A ona będzie tu siedziała jeszcze... no, ile? Piętnaście minut? Dwaj dziadkowie grający w szachy przy sąsiednim stoliku zerknęli na nią ukradkiem. Wiedzieli, że na kogoś czeka.

Shellie starała się nie dopuścić do siebie zawstydzenia. Nie ma znaczenia, czy zostanie wystawiona do wiatru, nie w Nowym Jorku. To miasto pełne było niewiarygodnych i nieprzewidywalnych osobników. Ale знаła takich najwyższej przelotnie. Mieszkała tu niedługo ponad miesiąc i wciąż utrzymywała się ze spadku, który przywozła ze sobą z Bluebonnet w stanie Nebraska. Czyli ze wszystkiego, co jej matka miała na tym świecie, oraz z kwoty, na jaką była ubezpieczona. Ojciec Shellie zmarł dziesięć lat temu. Daleka ciotka odeszła przed kilkoma miesiącami, a Shellie nie miała rodzeństwa. Była teraz zdana tylko na siebie i między innymi dlatego postanowiła zacząć nowe życie tutaj, w największym i najciekawszym mieście kraju.

Dlaczego nie? Miała odwagę, miała dyplom potwierdzający, że odebrała wyższe wykształcenie. Zawsze była odludkiem, nie nawiązała bliskich przyjaźni w Bluebonnet. Jej życie intymne oczywiście także nie istniało po tym, jak zakończyła romans z Markiem Drucke-rem.

Niezgrabny, wiecznie uśmiechnięty Mark... Wielka gwiazda drużyny futbolowej w liceum, przez krótki czas student, nałogowy telewidz. Chciał od życia tylko seksu i możliwości oglądania filmów i telewizyjnych seriali. Stare odcinki *Diuków Hazzardu*... Mój Boże! Cóż, Shellie miała nadzieję, że do tej pory znalazł sobie kogoś, kto podziela jego zainteresowania zarówno przed telewizorem, jak i na tylnym siedzeniu pieczołowicie odnowionego camaro rocznik 1969 (prawdziwej miłości Marka). Shellie potrzebowała poważniejszych wyzwań, dających perspektywę. Pora sprawdzić, czy da sobie radę w życiu.

Nie miała wątpliwości, że tak. Gdyby tylko nie była taka cholernie samotna. Nowy Jork czasami działał w ten sposób na ludzi. Niby nurzasz się w ludzkim oceanie, ale jeśli nikogo dobrze nie znasz, jesteś równie odseparowana, jak rozbitek na bezludnej wyspie.

Ostatecznie Shellie zdecydowała się na krok, który od dawna rozważała. Ulżenie samotności za pomocą usług serwisu randkowego nie było zapewne najlepszym pomysłem w jej życiu, ale w końcu postanowiła spróbować. Czasami po prostu trzeba podjąć ryzyko. Po tygodniach wizyt na portalu E-kstaza.org wypełniła wreszcie szczegółowy kwestionariusz, dzięki któremu agencja mogła wybrać

najodpowiedniejszego kandydata na jej przyszłego partnera. Potem pozostało tylko czekać.

Nieco ponad tydzień później w jej skrzynce pocztowej pojawił się niecierpliwie wyczekiwany mejl. Załączona charakterystyka nie mówiła wiele o ewentualnej bratniej duszy, Davidzie Adamsie. Nie zawierała nawet jego fotografii. Shellie to nie przeszkadzało, bo pamiętała, z jaką niechęcią wysłała do E-kstazy własne zdjęcie. Jak już fotografia znajdzie się w internecie, nie wiadomo, na jaką stronę trafi. Ktoś mógł nawet obdarzyć jej twarzą ciała innej kobiety, robiącej Bóg wie co. Może jakieś wynaturzone czynności. Shellie słyszała, że takie rzeczy się zdarzają.

Miała prawo wyboru publicznego miejsca, w którym po raz pierwszy się spotkają, i dlatego tu była. O ustalonej godzinie. A teraz, dziesięć minut później, wciąż czekała na rozmowę i być może wspólny koktajl z człowiekiem, z którym umówiła się na swoją pierwszą randkę w Nowym Jorku. (Nie liczyła obleśnego typu, który w zeszłym tygodniu pokazał jej język i próbował ją poderwać pod Starbucksem.)

David Adams obserwował ją z drugiego końca holu, dla zachowania pozorów co chwila spoglądając na wystawę sklepu z torbami podróżnymi. Shellie Marston z Nebraski, ni mniej, ni więcej. Uśmiechnął się. Może zbyt wiele oczekiwał. Nie była idealna, ale ujdzie.

Adams miał na sobie wyprasowane w kant spodnie khaki, wkładaną przez głowę niebieską koszulę z kołnierzykiem i białe sportowe buty. Nawet z tej odległości widział, że Shellie też włożyła białe buty do joggingu. Uśmiechnął się szerzej. Już coś ich łączyło. Może to naprawdę się uda.

Był przystojnym mężczyzną o przeciętnej twarzy, którą trudno było zapamiętać od pierwszego wejrzenia. Dopiero po jakimś czasie dostrzegało się atrakcyjność jego łagodnego, ale męskiego oblicza. Miał ciemnobrązowe falujące włosy, dość długie, by zasłaniały odstające uszy. Mierzył prawie metr osiemdziesiąt i poruszał się ze swobodą sportowca. Ciało miał umięśnione, a talię wąską. Sylwetka, na której każde ubranie wygląda dobrze. *Summa summarum*, nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego, nie było też powodów, dla których miałby się nie podobać. Zachowywał się swobodnie, uśmiech miał miły, był schludny i zadbany. Taki mężczyzna mógł zostać bohaterem romantycznych fantazji większości kobiet. Oczywiście kiedy wreszcie łądowały z nim w łóżku, był już dla nich wcieleniem

ideału z pożądań i marzeń, jakie nosiły w sobie od pierwszego pocałunku.

Obrzucił Shellie Marston kolejnym, dłuższym i śmielszym spojrzeniem, po czym uznał, że warto. Swobodnym krokiem ruszył w jej stronę, nie odrywając od niej wzroku.

Zauważyła go. Te pierwsze minuty były bardzo ważne. Obserwował jej twarz. Spóźnienie było dobrym posunięciem, jak zwykle. Przez ułamek sekundy na jej twarzy malowała się ulga, że w ogóle się pojawił, ale po chwili znów przybrała swoją maskę. Uśmiechnął się do niej, a ona zdołała odpowiedzieć uśmiechem.

Shellie z wysiłkiem uśmiechnęła się do mężczyzny, który – co było już pewne – zbliżał się do jej stolika. David Adams, na pewno. Nie wiedziała, dlaczego trudno jej było zdobyć się na uśmiech. Facet był w porządku, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nie wyglądał na kogoś potrzebującego usług serwisów randkowych. Z drugiej strony Shellie siebie też nie uważała za taką osobę.

Po raz kolejny powtórzyła sobie, że w internetowych randkach nie ma niczego niebezpiecznego ani nagannego. Już nie. Życie toczyło się szybko, a jego sensem była rywalizacja, zwłaszcza tu, w największym i najbardziej zabieganym z miast. Ludziom brakowało czasu na wstępne zabiegi, szukanie pary i budowanie związku, co wciąż było normą w Nebrasce. W szkole średniej poznała nawet dziewczynę, której konkurenci musieli prosić o pozwolenie jej rodziców, zanim zabrali ją na randkę.

Uroczę, pomyślała Shellie. Ale ona miała tylko siebie. I sama podejmowała decyzje.

Im bardziej David Adams się do niej zbliżał, tym większej nabierała pewności, że zarejestrowanie się na portalu E-kstaza.org było właściwym posunięciem.

– Shellie? – zapytał, gdy był już kilka metrów od niej.

Nawet to jedno słowo – jej imię – wypowiedział melodyjnie i z miękką modulacją. Najwyraźniej był człowiekiem delikatnym. Ciut niezdecydowanym i nieśmiałym, jak ona, ale broń Boże nie zniewieściałym.

– Shellie – przytaknęła, po czym uśmiechnęła się i wstała. Poczula, jak jeden but New Balance ześlizguje się po drugim. Niezauważalnie. – David, prawda?

Podali sobie ręce. Też delikatnie.

Ciało zetknęło się z ciałem. Shellie miała nadzieję, że w tym momencie coś zaiskrzy: emocjonalne wyładowanie, obiecujące

zaistnienie w przyszłości czegoś prawdziwie głębokiego. Pociąg fizyczny istotny był tylko na początku.

 Nie rozczarowała się.

Dzisiaj

Cindy Sellers siedziała samotnie przy narożnym stoliku w P.J. Clarke's na skrzyżowaniu Trzeciej Alei i Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Docierały do niej stłumione głosy, okazjonalne pobrzękiwanie sztukców o chińską porcelanę i śmiechy dobiegające z przylegającej sali barowej. W powietrzu wisiały zapachy najróżniejszych przypraw.

W restauracyjnej części szacownego lokalu, wyłożonej boazerią z ciemnego drewna, panował półmrok, a młoda kobieta siedząca w odosobnieniu nad miską gulaszu i guinnessem miała w sobie coś, co odwodziło nicponi i biznesmenów zajmujących pobliskie stoliki bądź stolki barowe od próby zainicjowania podrywu. Była w miarę atrakcyjna, o dużych, świdrujących piwnych oczach, krótkich brązowych włosach i szczupłej sylwetce, ale biła od niej pewność siebie, która czasami odstraszała innych. Cindy była dobra w zaskarbianiu sobie takich ludzi, przewyciężaniu ich oporu i nakłanianiu do mówienia tego, czego za żadne skarby nikomu innemu by nie powiedzieli.

Amatorzy kolacji na mieście jeszcze nie zaczęli się schodzić, więc w lokalu panowała względna cisza, w której można było pomyśleć i dla której Cindy się tu pojawiła. Przed sobą miała notatki dotyczące sprawy, którą postanowiła nazwać „Torsowymi morderstwami”, a obok nich leżał poprawiony brulion jej przyszęłego artykułu. A artykuł był bombowy. Wkrótce miał nadejść moment, kiedy przestanie się czuć zobowiązana do zachowania dyskrecji, którą obiecała Renzowi. Choć w gruncie rzeczy może już nadszedł.

Napiła się guinnessa i uznała, że mieszkańcy miasta mają prawo wiedzieć o kryjącym się pośród nich sadystycznym mordercy, który może uderzyć ponownie. Przecież informowanie ich było jej zawodowym obowiązkiem, dopóki dzięki temu czasopismo się sprzedawało, a jej kariera rozwijała. Tylko że Renz był obecnie komisarzem policji, i to popularnym, a nie zwykłym, choć wysokim stopniem gliną. Nie miał oczywiście pojęcia, że nie był jej jedynym źródłem i że wiedziała o zatrudnieniu emerytowanego kapitana z

wydziału zabójstw Franka Quinna wraz z dwójgiem jego detektywów, czyli tą beczelną suką Pearl i ciamajdowatym, choć doznającym olśnień Feddermanem. Niektórym wysoko postawionym policjantom nie spodoba się perspektywa, że trójka prawie-że-wyrzutków może znów okryć chwałą i siebie, i Renza, dając mu możliwość wspięcia się na jeszcze wyższy stołek. Takie niezadowolone gliny można było wykorzystać, z czego Cindy skrzętnie robiła użytek.

Renz z całą pewnością nie będzie zadowolony, jeśli półoficjalna obecność Quinna i jego ekipy zbyt szybko wyjdzie na jaw. Musieli jednak wiedzieć, że prędzej czy później media zwrócą na nich uwagę, a nawet o to im chodziło. W końcu byli częścią zespołu Renza – pracowali bezpośrednio dla niego, ale także dla miasta. No i Renzem nie wstrząśnie odkrycie, że w nowojorskiej policji więcej niż jedna osoba ma długi język.

Renz jednak był komisarzem. Cindy wiedziała, co to władza, i żywiła do niej szacunek. Więc uszanuje ją na tyle, na ile się da.

Pociągnęła serdeczny łyk guinnessa, po czym wyjęła telefon komórkowy z zawieszonej na oparciu krzesła torebki. Bezpośredni numer do biura Renza miała pod klawiszem skrót. Nikt nie odebrał. Spróbowała na komórkę. Ta najwyraźniej była wyłączona. Wobec tego zadzwoniła do sekretariatu Pałacu Zawilosci, jak nazywała komendę główną policji na Police Plaza 1. Uprzejmie kazano jej zaczekać. Westchnęła i zabębniła palcami o blat. Cierpliwe oczekiwanie na cokolwiek nie leżało w naturze Cindy.

Do diabła z nim, pomyślała i przerwała połączenie. Próbowwała go ostrzec, że napisze o tym, o czym pewnie wiedziały już wszystkie media w mieście, tylko nie miały jak tego potwierdzić. Czas gonił, a ona zrobiła co mogła.

Cindy już to знаła, ten mechanizm nie był jej obcy. Kiedy „City Beat” trafi jutro rano na stoiska i do automatów prasowych, ogary zostaną spuszczone ze smyczy, Renz, tak jak i morderca, będzie zmuszony odgrywać rolę lisa, a Quinnowi i jego detektywom przypadnie miejsce między ogarami a lisami – najbardziej niebezpieczny grunt.

Podkscytowana oczekiwaniem Cindy nie była głodna. Upiła jeszcze jeden porządny łyk guinnessa i odsunęła prawie nietknięty gulasz. Umieściła półramkowe okulary nisko na nosie i rozłożyła na blacie kartki z konspektem artykułu. Sporządziła go własną metodą stenograficzną, którą tylko ona mogła odczytać. Potem przejrzała spis kontaktów w telefonie i wybrała klawisz, do którego przypisany był numer jej redaktora naczelnego.

– Jeśli stoisz, to lepiej usiądź – ostrzegła go, kiedy odebrał.

Nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła, co ma, i zaczęła czytać artykułu na głos, choć nie tak głośno, żeby ktokolwiek w lokalu mógł ją usłyszeć. Tak jak się spodziewała, naczelny był zachwycony. Zanim zamknęła klapkę telefonu, jej apetyt w jakiś magiczny sposób powrócił. Przysunęła do siebie jeszcze ciepły gulasz i zamówiła kolejnego guinnessa.

Przepiłował kij od szczotki na pół. Zaostrzył jeden koniec, a teraz go wygładzał. Lubił ten etap. Będzie używał coraz bardziej drobnoziarnistego papieru ściernego, póki koniec kija nie stanie się idealnie ostry.

Tarł już prawie godzinę, bez specjalnego zaangażowania oglądając telewizję. Puszczali stary spaghetti western z Clintem Eastwoodem. Telewizor był wyciszony, więc oszczędne kwestie dialogowe Eastwooda poznawał tylko dzięki napisom dla niesłyszących, pojawiającym się na dole ekranu. Nie przeszkadzało mu to. Widział ten film już z sześć razy i w zasadzie mógł sam dopowiadać dialogi. Czuł, jak kij w jego rękach staje się coraz ostrzejszy, a rytmiczny dźwięk papieru ściernego trącego o drewno uspokajał. Kiedy z wysiłku wreszcie zaczęły boleć go dłonie i przedramiona, odłożył kij i papier na bok. Przesunął palcem po powierzchni aż po sam czubek. Końcówka była już gładka, potrzebowała najwyżej godziny wygładzania drobnoziarnistym papierem. Potem oczyści ją ściereczką antystatyczną, a jeszcze później naniesie porządny olej i dobrze go wetrze. Ale nie da go za dużo. Zaostrzony kij od szczotki nie mógł być zbyt gładki. Ważne, żeby czuć opór.

Nie robił tego dla podniety, nie o to chodziło. Ale podniecał się. Nie sposób temu zaprzeczyć. Co prowadziło do pytania: czy musiały być martwe?

Miał ściśnięte gardło. Przełknął ślinę. Pomyślał, że to niesamowite, jakich rzeczy człowiek się o sobie dowiaduje. Jego praca otwierała drzwi w duszy. Był tak dobry w tym, co robił, że czasem go to przerażało.

Eastwood zagryzł krótkie cygaro i zmrużonymi oczyma popatrzył na niego z ekranu.

Eastwood, a przynajmniej postacie, które grywał, nie pochwałyby jego działań. Ale w młodości aktor mógł dostawać zupełnie inne role i teraz byłby postrzegany w zupełnie innym świetle. Jego wizerunek, a być może także prawdziwą osobowość ukształtowały scenariusze, które otrzymywał, napisane przez ludzi, których mógł w

ogóle nie znać. W pewnym sensie wszyscy gramy w filmie i nie ma znaczenia, czy o tym wiemy, czy nie.

Uśmiechnął się do Eastwoda, po czym podszedł do zabytkowego sekretarzyka z drewnianą roletą i wyjął z niego szufladę. Włożył rękę w pustą przestrzeń i nacisnął dźwignenkę otwierającą skrytkę z boku mebla. Ze skrytki wyjął skrzynkę z szarego metalu, w której tkwił kluczyk. Przekręcił go, uniosł wieko, zamknął rękę na kratkowanej rękojeści półautomatycznego colta i wyjął broń. Strzelała nabojami kalibru 22 z wydrążonym czubkiem i robiła nie więcej hałasu niż głośny klaps. Nie była to potężna broń, ale pociski z wydrążonym czubkiem wbijały się w ludzkie ciało i rozpadały na fragmenty, rozrywając tkankę i kość i powodując rozległe obrażenia miejscowe. Jeden starannie wymierzony strzał w serce wystarczał, by powalić człowieka. Jeśli nawet rana nie była śmiertelna, trafiony doznawał szoku i zostawał na ziemi. A wtedy, gdy konał oszołomiony i niedowierzający, dwa strzały w głowę wystarczały, żeby mieć całkowitą pewność. Taki właśnie był mały colt – pewny. Miał słabość do tej broni.

Zerknął na milczący telewizor. Eastwood jechał teraz konno i wzbijał kłęby kurzu, galopując na złamanie karku przez okolicę, która wyglądała na Arizonę, ale pewnie znajdowała się gdzieś we Włoszech. *Jakie to uczucie mknąć purpurowiejącą równiną na srokatym koniu? To dopiero musi robić wrażenie na paniach. Przynajmniej na tych z Rzymu i Mediolanu.* Przeczytał gdzieś albo usłyszał, że Eastwood kupował swoje cygara w sklepie w Beverly Hills i na potrzeby filmu przecinał je na pół. Jak wiele w życiu jest grą...

Odwrócił się od telewizora i wyjął ze skrzyneczki zestaw do czyszczenia broni, olej oraz białą bawełnianą ściereczkę. Już miał zająć się czyszczeniem i oliwieniem pistoletu, kiedy leżący na sekretarzyku telefon komórkowy odegrał kilka pierwszych taktów piosenki *Get Me to the Church on Time*. Odebrał, spojrzawszy przedtem na wyświetlacz.

– Miałem nadzieję, że zadzwonisz – powiedział z uśmiechem.

Pauza.

– Tak – odrzekł, przez cały czas się uśmiechając. – Oczywiście. Naturalnie. Tak. Tak. Wiesz, że tak. Tak.

Odłożył broń. W trakcie rozmowy chodził po pokoju, jakby ruch miał dodać wagi jego słowom. Całkowicie skupiał się na osobie, która była po drugiej stronie.

– Dobrze – powiedział. – Tam się zobaczymy. Już nie mogę się doczekać. – Od niechcienia podniósł kij od szczotki i słuchając,

wpatrywał się w zastrzony czubek. – Zobaczmy się tam – powtórzył. – Kocham cię.

6

Znowu połączyła ich śmierć. Spotkali się u Quinna, w mieszkaniu na parterze bloku na Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej Ulicy przy skrzyżowaniu z Columbus, w pokoju, który Quinn przekształcił w domowy gabinet. Gospodarz siedział za ogromnym biurkiem z drzewa wiśniowego. Lampa z abażurem, oświetlająca z boku jego grubo ciosaną twarz, sprawiała, że dwukrotnie złamany nos wydawał się jeszcze bardziej skrzywiony. O szklaną popielniczkę opierało się pod kątem prostym nielegalne kubańskie cygaro. Było niezapalone. Szukanie zwady z Pearl, która i tak już psioczyła, nie miało sensu.

Pearl siedziała ze skrzyżowanymi nogami w fotelu po lewej stronie biurka, twarzą do Quinna. Miała na sobie znoszone džinsy, T-shirt z logo drużyny Metsów i szare skarpetki. Mokusy, które zsunęła z nóg, leżały byle jak przed fotelem. Kruczoczarne włosy zaczesła do tyłu i spięła w kok. Czarne oczy jak zawsze podkreśliła ciemną konturówką, przez co wydawały się jeszcze ciemniejsze. Zdaniem Quinna wyglądała olśniewająco.

Fedderman, który przycupnął na dużo mniej wygodnym, obitym skórą drewnianym fotelu, był taki jak zwykle, czyli sprawiał wrażenie z lekka zdziwionego. Twarz wprawdzie mu zeszczuplała, ale wciąż miał wyczekującą minę winowajcy, jakby popełnił jakieś przestępstwo, a teraz liczył na rozgrzeszenie. Od ich ostatniego spotkania ubyło mu siwiejących włosów i czubek czaszki miał prawie zupełnie łysy. Quinn był pewien, że rozpoznaje jego brązowy workowaty garnitur, w dodatku zauważył, że Feddermanowi rozpiął się prawy mankiet białej koszuli i zwiślał z rękawa marynarki. Gdy Fedderman coś pisał, jego mankiety z niewyjaśnionych przyczyn często spotykał taki los. Quinn niemal się uśmiechnął, widząc, jak postrzępiony mankiet łypie na niego z rękawa. Dawne czasy.

Fedderman popatrzył na Pearl.

- Słyszałem, że miałaś jakieś kłopoty w banku.
- Wal się – zgasiła go i przeniosła wzrok na Quinna. – Lauri już z tobą nie mieszka?

Lauri była córką Quinna, obecnie prawie dwudziestoletnią.

– Mieszka z Robaczkiem w Kalifornii. Starają się rozkręcić jego muzyczną karierę.

Ukochanego Lauri zwano Robaczkiem, ponieważ był wysoki, chorobliwie chudy, a kiedy chodził, jego ciało zdawało się wić. Był solistą założonego przez siebie zespołu The Defendants. W ostatnim liście Lauri napisała, że zespół jest o krok od podpisania kontraktu na płytę. To samo pisała w przedostatnim liście.

– Moim zdaniem chłopak miał talent – powiedział Fedderman.

– A co powiesz o jego muzyce? – zapytała Pearl.

– A co powiecie o morderstwach? – wtrącił Quinn, przypominając im, po co się tu spotkali.

Wyjął cztery zielone skoroszyty, wyszedł zza biurka i wręczył dwa swoim detektywom.

– Renz dostarczył kopie akt sprawy, a ja zrobiłem kopie dla was.

– Swoją już pewnie przejrzałeś – domyślił się Fedderman. – Jakies wnioski?

Quinn wrócił za biurko, odruchowo sięgnął po cygaro, ale zauważył spojrzenie Pearl i szybciotko cofnął rękę.

– Kilka faktów już wam podałem. Dwa tułowia kobiet białej rasy, każdy trafiony kulą w serce, obydwie nie do zidentyfikowania, brak odcisków palców. Kaliber dwadzieścia dwa, kule z wydrążonym czubkiem. Rozpadły się po trafieniu, ale odłamki zostały w ciałach. W laboratorium częściowo zrekonstruowali z nich pociski i mają pewność, że zostały wystrzelone z tej samej broni. Obie ofiary poddano seksualnej penetracji, chyba jakimś zaostrzonym kijem, który pozostawił po sobie tłuste ślady.

– Nawilżacz dopochwowy? – spytała Pearl.

– Środek do pielęgnacji mebli – odparł Quinn.

– Wypolerował je od środka – rzucił Fedderman. Wydawał się zadowolony ze swojego żartu.

– Pomyśl, zanim coś takiego palniesz – powiedziała Pearl.

Fedderman zauważył rozpięty mankiet i zapiął go.

– Gdzie je znaleziono? – Był teraz całkowicie poważny.

– Pierwszą na śmietniku za restauracją na Upper West Side.

Drugą w opuszczonym budynku na Dolnym Manhattanie.

– Opuszczonym dlaczego? – chciała wiedzieć Pearl.

– Remont.

– W toku?

– Aha. Przeróbka na blok z apartamentami własnościowymi. –

Quinn wiedział, do czego Pearl zmierza, i był zadowolony.

– Znalaziono ją w poniedziałek?

– Zgadłaś.

– Więc robotnicy mieli ją znaleźć. A tułów na śmietniku miał zostać znaleziony przy najbliższej wywózce śmieci.

– Której termin wypadał następnego dnia rano po podrzuceniu ciała – uzupełnił Quinn. – Pracownicy restauracji uważają, że spostrzegliby zwłoki, musiały więc trafić na śmietnik w nocy.

Pearl rozprostowała nogi, oparła piętę w skarpetce o podłogę i zaczęła przebierać palcami u stopy.

– Morderca chciał, żeby tułowia znaleziono zaraz po ich podrzuceniu. Domyślcie się powodów?

– Jeszcze nie – odparł Quinn.

– Zakładam, że sprawdzono osoby zaginione – powiedział Fedderman.

– Oczywiście. Ani w Nowym Jorku, ani w okolicach nikt ostatnio nie zgłaszał zaginięcia kobiet podobnej budowy, w takim wieku i takiego pochodzenia etnicznego. Obie były po trzydziestce. – Quinn odchylił się lekko w fotelu i zaczął się kręcić, centymetr w tę, centymetr w tamtą. Niedawno naoliwiony fotel nie wydawał dźwięku. – Jeszcze jedno. Cindy Sellers, dziennikarka z „City Beat”, wie o wszystkim, ale w ramach przysługi dla Renza nic nie drukuje.

– Pamiętam ją – powiedziała Pearl. – Zoła jedna.

– Nie jest gorsza niż inne dziennikarskie hieny. – Quinn pomyślał, że Pearl byłaby niezłym reporterem kryminalnym.

– Pearl ma rację – dorzucił Fedderman. – Cindy Sellers, którą pamiętam, nie wysiedzi długo w milczeniu. Chyba że Renz ma na nią jakiegoś haka.

– Nawet jeśli – powiedział Quinn – to mleko w końcu wykipi. Dlatego Renz nas reaktywował. Chce wyprzedzać media.

– Chce zostać burmistrzem – sprostowała Pearl.

Przenikliwa jak zawsze, pomyślał Quinn.

Pearl nagle zaczęła się zastanawiać, co tu w ogóle robi. Dlaczego dokonała takiego wyboru? Wyglądało na to, że nie da rady wyzwolić się od Quinna i jego wpływu. Kolejna gardłowa sprawa, kolejny psychopata, Renz wezwał Quinna, Quinn zadzwonił do niej i w efekcie znowu tu była. Powtarzalność granicząca z szaleństwem. Jakby biegła na stacjonarnej bieżni, z której nie może zejść, bo jakaś jej część tego nie chce. Czysty masochizm. Ta sprawa... Czują w kościach, że jest w niej coś wyjątkowego. Musiała wziąć w tym udział.

– Przejrzyjcie akta obydwu zabójstw – polecił Quinn. – Jutro znów się tu spotkamy i urządzimy burzę mózgów.

– Zawsze będziemy się tu spotykać? – zapytała Pearl.

Nie była zachwycona tą perspektywą, ponieważ kiedyś mieszkała z Quinnem. Ich dawna wspólna sypialnia znajdowała zaraz po drugiej stronie korytarza.

– Renz jak zwykle obiecał, że zorganizuje nam jakieś biuro. Nie chce lokować nas na komisariacie. Choć będziemy działać jako nowojorska policja, to z większą niezależnością niż etatowi detektywi z wydziału zabójstw. Będziemy odpowiadać tylko przed Renzem.

– Znowu załatwi nam norę, w której roi się od karaluchów – powiedziała Pearl. – Ale wszędzie lepiej niż tutaj. – *Chociaż może nie.* Pamiętała poprzednie biuro, jakie wyszukał im Renz, i przejmujący jazgot wiertła dentystycznego dobiegający z przychodni za ścianą.

Quinn spojrział na zegarek. Dochodziła północ. Lot Feddermana z Florydy opóźnił się, więc i spotkanie zaczęło się późno.

– To co, jutro o dziewiątej rano?

Detektywi zgodzili się i wstali. Quinn także się podniósł, żeby ich odprowadzić.

Gdy mijali sypialnię, Pearl nie mogła się powstrzymać – obrzuciła spojrzeniem łóżko. Było zasłane, ale nie najschludniej. Na stoliku, przy nocnej lampce po stronie, o której wciąż myślała jako o stronie Quinna, leżała książka, ale Pearl nie udało się odcyfrować tytułu. Chyba nic się nie zmieniło, od kiedy dwa lata temu się wyprowadziła.

Quinn przechwycił jej spojrzenie, więc śmiało na niego popatrzyła. Wiedziała, że wciąż ją kochał, co było cholernym utrudnieniem. Próbowali ze sobą mieszkać, ale okazało się to niemożliwe. Pearl nie ciągnęło do powtarzania tego doświadczenia. Źródło problemów było oczywiste. Quinn był opanowany, działał z rozmysłem i miał w sobie tłumioną obsesję, ona zaś była narwana, wojownicza i nieprzewidywalna. Gryźli się. Kolejną różnicą było to, że Pearl wiedziała, kiedy odpuścić sobie ten związek, a Quinn nie. Nigdy nie wiedział, kiedy należy odpuścić.

Przy drzwiach na ulicę Fedderman powiedział:

– Wciąż mam wynajęty samochód. Podrzucę cię, Pearl.

– Okej. Lepsze to niż metro.

– Towarzystwo też lepsze – zauważył Fedderman.

– Jeśli pominąć strój, maniery i inteligencję.

Quinn z przyjemnością słuchał, jak sobie docinają. Tak działali jako zespół – nawzajem kwestionowali swoje zdanie, stymulowali się, odrzucając to, co mało konkretne lub niepasujące, aż wreszcie została sama prawda. Nawet jeśli im się nie podobała.

W porównaniu z większością innych nowojorskich czasopism,

tych dużych i tych małych, „City Beat” rozchodziło się w nader skromnym nakładzie. Ale Wes Nobbler, zastępca naczelnika policji, zawsze starał się o egzemplarz, gdyż wiedział o powiązaniach między komisarzem Renzem a Cindy Sellers. Renz nieraz docierał za pośrednictwem Sellers do bardziej liczących się mediów.

Nobbler, duży, otyły mężczyzna o małych niebieskich oczach i cerze, przez którą stale wyglądał, jakby zbyt wiele czasu spędził na słońcu, właśnie rozmyślał o „City Beat”. W jego sypialni wciąż było ciemno, ale nie mógł spać, a świecące na czerwono cyfry stojącego przy łóżku zegarka informowały, że jest piąta dwie. Za wcześnie, żeby wstać, za późno, żeby warto było zasypiać. W dodatku uciskał go pęcherz, choć jeszcze nie nagłaco. Wstać, zapalić światło, ulżyć sobie w łazience, a potem znowu wracać do łóżka. Tylko po co?

Nie potrafił znaleźć powodu.

Minęło dziesięć minut. Kwestia, czy wstać z łóżka, czy nie, sama się rozwiązała. Musiał się odlać.

„City Beat” wciąż kołatało się gdzieś na obrzeżach jego myśli, kiedy siadł na skrzypiącym łóżku, włączył lampkę i podreptał do łazienki. Równie dobrze mógł zacząć dzień. Włożył wczorajsze pomarszczone spodnie od munduru, choć w szafie wisiał starannie wyprasowany mundur prosto z pralni chemicznej. Przebierze się później, po goleniu i prysznicu. Został w szarym T-shircie, w którym spał. Jeszcze tylko wsunął buty na gołe stopy. Wrócił do łazienki, ochlapał twarz zimną wodą i mokrymi palcami odgarnął w tył rude włosy, na których nie było ani śladu siwizny. Już całkiem rozbudzony, poszedł do kuchni i nastawił ekspres do kawy. Potem wyjrzał przez okno, chcąc się upewnić, że nie pada, i wyszedł z mieszkania. Na końcu ulicy w odpowiednich automatach zaopatrzył się w „Timesa” i „City Beat”. Zanim wrócił, zaczęło się rozjaśniać, a ruch uliczny się nasilił.

Mieszkanie pachniało świeżo zaparzoną kawą. Poczul głód i pożałował, że nie znalazł jakiegoś otwartego sklepu, w którym mógłby kupić pączki, chociaż nie potrzebował dodatkowych kalorii. Nalał sobie kawy, zabielił ją wyjętą z lodówki śmietanką i usiadł przy kuchennym stole. Najpierw otworzył „Timesa”. We Francji trwały rozruchy, Kongres nawoływał do wdrożenia śledztwa w sprawie, której Nobbler w ogóle nie rozumiał, a spomiędzy stron była konsternacja, że Yankees przegrali siódmy mecz z rzędu. Nic nowego, pomyślał Nobbler. Wydawałoby się, że Yankees mieli dość pieniędzy, żeby kupić miotaczy, którzy nie graliby tak, jakby w każdej chwili miały odpaść im ręce. Odłożył „Timesa”, napił się kawy i

zajrzał do „City Beat”.

Rany boskie!

Nobbler zupełnie zapomniał o swoim głodzie, Yankees i kawie.

Wiedział, że znaleziono sam tułów pierwszej ofiary, wiedział też o drugiej martwej kobiecie. Nie wiedział jednak, że podobnie jak za pierwszym razem do kostnicy trafił tylko jej korpus. Nie widział też na razie wyników ekspertyzy balistycznej. Komisarz Renz niewątpliwie rozpostarł zasłonę tajemnicy nad drugą ofiarą, by nie od razu stało się jasne, że mają do czynienia z seryjnym mordercą. I jeszcze kwestia zaostrego kołka czy co to tam było – o tym Nobbler także nie miał pojęcia, wiedział jedynie, że pierwsza ofiara została wykorzystana seksualnie. Musiał przyznać, że Renzowi należał się podziw za umiejętność okrywania takich spraw choćby częściową tajemnicą. Komisarz nie miał oporów, gdy przychodziło do pociągania za dźwignie władzy.

Cóż, Nobbler też ich nie miał. A Renz zrobił coś, co Nobblera naprawdę wkurzyło. Frank Quinn wrócił do akcji – zajął się sprawą torsowych morderstw – a z nim jego detektywi Kasner i Fedderman. Nobbler nie przepadał za tą trójką, w dodatku jego zdaniem nie byli już policjantami. Zwłaszcza Quinn, który powinien dostać zakaz zbliżania się do wydziału. Dali mu kupę kasy, uwolnili go, no to czego, do cholery, jeszcze chciał? Nobbler nie trawił go nie dlatego, że Quinn się sprzedał, ale dlatego, że zrobił to w niewłaściwy sposób. O Kasner i Feddermanie pomyślał tylko przelotnie. Para nieudaczników.

Jakim prawem Renz wyciągnął ich z lamusa, zaangażował jako swoją osobistą ekipę detektywistyczną i przydzielił do sprawy, której rozwiązanie przyniesie mu korzyści polityczne? Nobbler wiedział jakim. Renz miał stanowisko i popularność. Nikt z władz miasta lub kręgów do nich zbliżonych nie chciał wchodzić mu w drogę, poza tym, formalnie rzecz biorąc, policja mogła zatrudniać na zlecenie osoby z zewnątrz, a nawet na jakiś czas przywrócić do służby byłę gliny. Zwłaszcza jeśli miały działać pod egidą samego komisarza. Obecnie akcje Renza zwyżkowały i komisarz bez wątpienia chciał, żeby tak zostało. Ambitny sukinsyn. Nie żeby Nobbler akurat to miał mu za złe.

Zniesmaczony rzucił gazetę na „Timesa”, usiadł wygodniej i napił się kawy, która niemal zupełnie wystygła. O artykule z „City Beat” pewnie już trąbią w radiu i telewizji, podchwycą go też popołudniówki. Nobbler wiedział, co się dzieje, kiedy media dostają mocną kartę. Wiedział też, jak by z nimi pograł, gdyby to on miał coś do

powiedzenia. Ale nie miał.

Nie podobało mu się, że ktoś pcha się z butami na terytorium, które uważał za swoje. Na pewno, cholera, nie puści tego płazem.

Długo siedział, pijąc zimną kawę, i rozmyślał o tym, co powinien, a co może zrobić. Możliwości istniały. Zawsze istniały. I przyszłe okazje do schwytania. Niech się dzieje, co chce, ale on znajdzie sposób, żeby Renz i spółka odczuli, w jakie wleźli bagno.

Nie, nie w bagno. Na ruchome piaski.

– Zdaje się, że gówno wpadło w wentylator – oznajmił Fedderman w domowym gabinecie Quinna, zajmując fotel, na którym siedział zeszłej nocy.

Dziś w pokoju było jaśniej – przez okno wlewał się słoneczny blask, w którym wolniutko wirowały drobinki kurzu. Pearl miała ochotę kichnąć na sam ich widok. Najwyraźniej Quinn nie sprzątał zbyt często.

Pearl też zajęła swój wczorajszy fotel, ale tym razem nie założyła nogi na nogę. Jej praktyczne czarne buty trzymały się podłogi, a ręce swobodnie spoczywały na udach. Miała na sobie ciemne spodnie, białą bluzkę i szary blezer z czarnymi guzikami. Wyglądała na glinę.

Przyniosła ze sobą poranne wydanie „City Beat”, tak jak Fedderman.

– Lada chwila trafi to do dzienników każdej stacji telewizyjnej – powiedziała. – Niektóre gadające głowy czytają coś więcej niż tylko tekst na teleprompterze. – Zrolowała gazetę i dźwżyła ją, jakby zamierzała komuś przyłożyć.

Miała rację. Quinn, zanim wyszedł do Lotus Diner na wczesne śniadanie, włączył kanał informacyjny New York One. W miejscach, w których znaleziono tułowia, byli już sprawozdawcy. Po powrocie ze śniadania sprawdził CNN i Fox News. Sprawa nabrała zasięgu ogólnokrajowego. Nie zdziwiło go, że wieści o morderstwach rozeszły się tak szybko i z takim hukiem. Temat był sensacyjny, jak z policyjnych seriali, z tą różnicą, że prawdziwy. To dlatego Renz, który miał zmysł polityczny i medialny, tak bardzo chciał ich zatrudnić.

– Znaleźliście czas na przejrzenie akt? – zapytał Quinn, sadowiąc się za biurkiem.

Niezapalone kubańskie cygaro wciąż czekało w popielniczce. Ostatnio palił coraz mniej, podobnie jak inni nowojorczy, którym burmistrz wraz ze swoimi poplecznikami kazał kryć się po kątach. Także w sensie psychologicznym. Quinn skarcił się w duchu – przecież burmistrz dbał o jego zdrowie i dobre samopoczucie. Tylko

dlatego nie nabrał jeszcze do faceta awersji.

– Zacząłem w nocy, skończyłem rano – odpowiedział Fedderman.

Pearl po prostu skinęła głową. Quinn pomyślał, że w jasnym świetle poranka, które ujawniłoby skazy na urodzie innych kobiet, wyglądała przepięknie. Zauważyła, w jaki sposób jej się przyglądał, i patrzyła mu w oczy dopóty, dopóki nie odwrócił wzroku.

– Zero olśnienia, dzięki któremu rozwiązalibyśmy sprawę, a ja zostałbym bohaterem – ciągnął Fedderman. – Policyjny specjalista od profili na pewno będzie miał wiele do powiedzenia o rozczłonkowywaniu włók. No i to nadziewanie na pal... Symbolika falliczna. Zawsze ją zauważą.

– Bo pełno jej wokoło – odpowiedziała Pearl. – Może gość jest impotentem.

Fedderman wzruszył ramionami.

– Fakt, że ktoś wsadza laskom coś innego niż swój interes, nie oznacza z automatu, że mu nie staje.

– A skąd ty to wiesz, Feds?

– Jestem detektywem, Pearl.

– Coś cię gryzie? – Quinn przyglądał się Pearl.

– Mała wątpliwość – odparła. – Oba morderstwa z pewnością popełnił ten sam psychol, ale są to tylko dwa morderstwa. Ofiary mogły go czymś wkurzyć – nawet wspólnie, kto wie – więc facet nie ma do innych kobiet, nie ma też obsesji ani przymusu, żeby zabijać dalej. Może do zbrodni doprowadziła wspólna przeszłość ofiar i mordercy. Innymi słowy, dwie ofiary i już seryjny?

– Dobre pytanie – zgodził się Fedderman.

– Zdaniem dziennikarzy dwie wystarczają – powiedział Quinn.

– Ale pytanie nadal jest dobre – odparła Pearl.

Quinn odchylił się w fotelu i splótł palce za głową.

– Doskonale wiecie, kiedy poznamy odpowiedź.

Prawda w jego słowach zadziałała jak kubeł zimnej wody na głowę.

Pearl powęszyła.

– Palileś tu?

– Dobre pytanie – odpowiedział Quinn.

Jill Clark siedziała przed swoim komputerem i patrzyła na wygaszacz ekranu, na którym przesuwały się obrazy wielkich impresjonistów. Dzieło Renoira, subtelne, urzekające barwą i kompozycją, tak obce szarym zmaganiom i brzydocie za oknem.

Malowidło zniknęło za krawędzią ekranu. Jill długo siedziała wpatrzona w monitor, aż wreszcie doszła do wniosku, że pora dokonać jakiegoś bilansu. Obrazy były piękne, ale jej życie z dnia na dzień wydawało się brzydsze, a zmagania trudniejsze. To miasto było okrutne. Okrutne i bezlitosne. Gdyby miasta mogły mieć instynkty, Nowy Jork na pewno kierowałby się morderczym.

Jill miała dwadzieścia dziewięć lat, długie do ramion jasne włosy, które lubiły w uroczy sposób się mierzwić, twarz o regularnych rysach i być może trochę za bardzo wydatny podbródek. Dochodziły do tego pełne usta, wyraziste kości policzkowe i bezdyskusyjnie świetna figura zawdzięczana joggingowi uprawianemu codziennie w najbliższej okolicy lub w parku.

Poniżej niebieskich oczu grzbiet jej nosa znaczyły piegi. Mężczyźni uważali to za atrakcyjne połączenie. Miała dyplom z księgowości i doświadczenie w sprzedaży – najpierw sprzedawała meble biurowe, potem polisy ubezpieczeniowe dla kolekcjonerów antycznych samochodów. Do swoich atutów zaliczała jeszcze śliczny uśmiech.

Ale miała też zobowiązania, przede wszystkim zadłużone karty płatnicze, o których nie myślała, dopóki saldo nie stawało się zawrotnie ujemne. Od czasu do czasu Files and More, agencja pracy tymczasowej, wyszukiwała dla niej dobrze płatne zajęcia na niepełny etat, ale tylko dorywcze. Jill zarabiała wtedy dosyć, żeby jej konta wyszły na plus, ale potem nadchodził kolejny okres bezczynności i zaciągała jeszcze większy debet niż poprzednio. Wydawało się to błędnym kołem, z którego nie sposób się wyrwać.

W zasadzie Jill zaczęła już o sobie myśleć jako o wykwalifikowanym pracowniku tymczasowym. Mogła tak wypełniać rubrykę „zawód” w podaniach o pracę i różnych innych formularzach: pracownik

tymczasowy. Ewentualni pracodawcy przynajmniej nie pomyślą, że dopiero co wyszła z więzienia. Co jakiś czas dzięki dorywczym zleceniom od Files and More można było dostać ofertę stałej pracy – tak jej w firmie powiedzieli – ale Jill szybko się zorientowała, że były to rzadkie przypadki. Nabrała też przekonania, że ona nie będzie jednym z nich.

Nie dość, że praca była czasowa, to jeszcze w każdej firmie pozostali pracownicy traktowali cię jak odmienca. Nie było możliwości, żeby znaleźć się w ich gronie. Mieli świadomość, że pewnego dnia po prostu nie pojawisz się w pracy i tyle cię widzieli. Nie znaczyło to, że czasowy personel traktowano nieuprzejmie – po prostu nie nawiązywano z nim znajomości, przelotnych ani stałych. A coś takiego jak romans w ogóle nie wchodziło w grę. Seks z łajdakami, na których zdarzało jej się trafić i którzy postrzegali ją jako tymczasową na więcej niż jeden sposób, zawsze był możliwy, ale romans, związek z kimś, kogo mogłaby ewentualnie pokochać i na kim się wesprzeć, wydawał się równie daleki, jak najodleglejsza z gwiazd. A był czymś, czego Jill rozpaczliwie pragnęła. Podobnie jak zastrzyku gotówki.

Na monitorze płynnie przesunął się obraz Moneta. Scena w ogrodzie: lilie wodne, przepiękne stonowane kolory, na brzegach żywa, a zarazem przygaszona zieleń jak ze spłowiałego banknotu dolarowego. Obraz, owszem, romantyczny, ale przywiódł jej na myśl pieniądze. Jeśli szybko nie znajdzie stałej pracy, wkrótce wpadnie w poważne problemy finansowe. Nie miała żadnej rodziny, od kiedy rok temu w Missouri umarł jej brat, a w Nowym Jorku mieszkała dopiero cztery miesiące.

Były to chyba najdłuższe cztery miesiące w jej życiu. Nie miała nikogo, kto mógłby pożyczyć jej pieniądze lub choćby pocieszająco ją objąć. Jakże prawdziwe okazały się ostrzeżenia, że życie w Nowym Jorku jest kosztowne. A jeśli było się tu zdany na samego siebie, samotność mogła człowieka zniszczyć.

Jill podjęła niezłomne postanowienie, że nie pozwoli się zniszczyć i nie wróci do Wichity w Kansas. Byłaby to prosta droga do porażki i jeszcze większej samotności.

Kiedyś, gdy Jill pracowała przy metkowaniu i pakowaniu katalogów, kobieta imieniem Billie powiedziała jej, że spróbowała randek internetowych i dobrze na tym wyszła. Pewnie, trafiła na kilku frajerów, ale i na paru prawdziwych mężczyzn. Nic stałego, lecz ci faceci chcieli czegoś więcej niż kilku drinków, wspólnych wybuchów śmiechu, przelotnych wizyt i zdawkowego „to na razie”. Wtedy Jill była niemal przerażona tym pomysłem. Uciekanie się do sieci w

poszukiwaniu partnera wydawało się jej niewłaściwe i było zenujące. Nowoczesne technologie w służbie serca... Czegoś takiego, do diabła, nie potrzebowała. Ale teraz... Cóż, teraz było inaczej. Może dlatego że Jill od miesięcy nie umówiła się na poważną randkę. Poprzedni facet zabrał ją do spelunki w Village i liczył na seks oralny w lokalu pod stolikiem, a wydawał się z początku taki... normalny. Może w tym tkwił problem. Może straciła orientację i to on był normalny, a ona żyła w nierzeczywistym świecie.

Nie, to nie do przyjęcia.

Wyłonił się Manet. Uporządkowana, ale pełna życia scena z rozbawionym towarzystwem i piękną kobietą w sukni z dekoltem oraz dużym medalionem na szyi stojącą za barem, patrzącą przed siebie i obrzucającą melancholijnym spojrzeniem każdego, kto kiedyś zerknie na malowidło. Bar w Folies-Bergère, które w dziewiętnastowiecznym Paryżu było bez wątpienia wyuzdanym miejscem. Teraz wydawało się ugrzecznione. Jego wizerunek przestał budzić lubieżne skojarzenia i stał się sztuką. W dodatku wielką sztuką.

Gdy Jill trochę poszperała, zmieniła zdanie o internetowych randkach. Billie chyba miała rację. Był to nowy świat, w którym wiele się zmieniło. Jill po prostu musiała się przystosować. W tym gorączkowym życiu, w tym szalonym mieście korzystanie z usług serwisów randkowych nie miało w sobie nic niewłaściwego, nie było też czymś szczególnie niezwykłym. Za romans – no, ewentualny romans – trzeba było zapłacić określoną cenę. Wielu ludzi się na to decydowało i kogoś dla siebie znajdowali. Czemu nie miałyby pójść w ich ślady?

Przesunął się Degas – jedna z jego upozowanych eleganckich baletnic, jaśniejąca w światłach rampy, które dawno temu wygasły.

Jill miała debet na kartach kredytowych, ale mogła go jeszcze powiększyć. *Plastik elastik*. Nadzieja umiera ostatnia. Jeden rzut kostką i świat może stać się piękny. Postanowiła zaryzykować.

Przesunął się van Gogh.

Quinn i jego ekipa wymienili pomysły i informacje. Doszli do wniosku, że muszą zacząć od początku, wejść na szlaki, które już wcześniej przetarto. Wróć do miejsc, w których znaleziono tułowia, przesłuchają mieszkańców okolicznych budynków, spróbują znaleźć kogoś, kto słyszał jakiś nietypowy dźwięk lub akurat wyglądał przez okno i dostrzegł coś, co okaże się istotne dla sprawy. Nawet jeśli powtórzą się wcześniejsze zeznania, te same pytania zadane po pewnym czasie mogą pobudzić pamięć.

Już mieli wstać i wyjść z domowego gabinetu Quinna, kiedy

zadzwoił Renz i powiedział, że właśnie skończył nagrywać wywiad, który zaraz pójdzie na lokalnym kanale. Quinn wycelował pilota w mały telewizor stojący na regale z książkami i przebiegł po stacjach. Pearl podniosła się ze swojego fotela, żeby zaciągnąć zasłony i odciąć światło słoneczne. Zrobiła to niemal automatycznie, jakby wciąż tu mieszkała i zaciąganie zasłon było dla niej czynnością codzienną.

Gdy Quinn trafił na właściwy kanał, wywiad trwał już w najlepsze. Michelle DeRavenelle, niewiarygodnie śliczna prezenterka wiadomości, stała obok Renza z mikrofonem w dłoni. Rozmowa odbywała się w słonecznym miejscu przed komendą główną policji. Słaby letni wiaterek zmierzwiał włosy DeRavenelle, co uczyniło ją jeszcze śliczniejszą, natomiast rzadkie loki Renza stanęły dęba i komisarz wyglądał, jakby właśnie wstał po lekturze z łóżka.

– ...same nagie tułowia? – dokończyła pytanie DeRavenelle i podsunęła mikrofon Renzowi, jakby proponowała mu, żeby odgryzł sobie kawałek.

Tuż za Renzem, po jego lewej stronie rosło samotne drzewko w doniczce. Komisarz ustawił się tak, że gałąź zdawała się wyrastać mu prosto z głowy.

– Seryjni mordercy działają pod wpływem przymusu – powiedział. – Nie potrafią inaczej. Zostawianie tułowi ofiar tam, gdzie łatwo je znaleźć, może nam się wydawać dziwaczne – bo jest dziwaczne – ale nie musi takie być dla mordercy.

Zdawało się, że DeRavenelle wpuściła odpowiedź jednym uchem, a wypuściła drugim.

– Panie komisarzu, mam nadzieję, że osobowość mordercy została przeanalizowana przez FBI lub policyjnych specjalistów od profili psychologicznych.

– Oczywiście, że tak.

Quinn się uśmiechnął. Nie pamiętał, żeby w aktach była opinia psychologa. Jakie założenia na temat osobowości mordercy można poczynić na podstawie dwóch nie nadających się do identyfikacji torsów? Na ile prawdopodobne? Takie rzeczy możliwe były tylko w powieściach kryminalnych i serialach telewizyjnych.

– Czy policja ma jakieś wyobrażenie, kim on jest? Jakie szaleństwo go opętało? O ile jest szalony.

– Och, według naszych standardów jest – odrzekł Renz. – Niezależnie od tego, jaką łatkę mu przypiąć. To chyba jedyne, co na wczesnym etapie śledztwa możemy z całą pewnością powiedzieć o tego typu mordercy. Nasza specjalistka od profili zapoznaje się z materiałem dowodowym i przygotowuje hipotetyczną charakter-

stykę podejrzanego, która, jestem przekonany, okaże się bardzo zbliżona do jego prawdziwej osobowości, kiedy już go aresztujemy. Niestety, w chwili obecnej nie bardzo mamy nad czym pracować, więc trochę to potrwa.

– Czy to samo można powiedzieć o kapitanie Franku Quinnie i jego detektywach? Że trochę potrwa, zanim zdobędą informacje pozwalające na ujęcie mordercy? Może się okazać, że nie ma czasu do stracenia.

Renzowi nie drgnęła powieka.

– Trudno przewidzieć, jak potoczy się takie dochodzenie, ale skoro prowadzi je Quinn, aresztowanie z pewnością nastąpi w możliwie najkrótszym czasie. Dlatego współpracuję z nim i jego ekipą, dlatego obarczyłem go zadaniem odszukania mordercy. Są najlepsi, a w sprawie, która dotyczy dosłownie wszystkich obywateli miasta – i obywateli, którzy mają kochanki, żony lub córki – miasto zasługuje na najlepszych.

DeRavenelle przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się. Facet był dobry w te klocki.

– Ale na razie nie ma podejrzanych, panie komisarzu?

– Głównych nie. Z powodu zwyrodniałego seksualnego aspektu tych potwornych zbrodni...

– Ma pan na myśli zaostrzony palik?

– Owszem, zaostrzony palik. – To wymagało powtórzenia.

– Panie komisarzu, do penetracji dochodzi przed śmiercią ofiar czy po niej? – DeRavenelle skrzywiła się, o dziwo, uroczo i popatrzyła na widzów. – Oby po.

– Niestety przed – skłamał Renz.

Quinn zobaczył, jak Pearl i Fedderman wymieniają spojrzenia. Potem popatrzyli na niego, a on skinął głową. Tylko policja i morderca mieli wiedzieć, że Renz powiedział nieprawdę. Morderca może się tak rozżłościć, że popełni błąd. Może nawet skontaktuje się z policją lub mediami, żeby dokonać sprostowania.

– Swój chłop – skomentował Fedderman podstęp Renza.

– Tego bym nie powiedziała – odparła Pearl.

– Czy policja ma jakieś wskazówki co do miejsca, w którym znajduje się reszta tych nieszczęsnych rozczłonkowanych kobiet? – zapytała DeRavenelle. – Chodzi mi o części ich ciał.

– W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że podchodzimy do tej kwestii z ostrożnym optymizmem.

– Chciałby pan coś dodać, panie komisarzu? – DeRavenelle przybrała swój zwykły poważny i zaciekawiony wyraz twarzy.

Potrafiła to robić jak niewielu w branży. Wiedziała, że kończy jej się czas i że to ostatnia szansa na chwytliwy, wpadający w ucho bon mot.

Renz też to wiedział i spróbował spełnić jej oczekiwania:

– Jedynie to, że torsowe morderstwa staną się niedługo częścią przeszłości tego wspaniałego miasta. Jestem tego pewien. Najlepsi ludzie dzień i noc pracują nad układanką. Szukają kawałków i kto jak kto, ale oni na pewno poskładają je w całość.

Quinn się skrzywił.

– To byłby niezły początek – powiedziała Pearl.

DeRavenelle nie zmieniła wyrazu twarzy. Z powagą popatrzyła w kamerę, po czym oddała głos do studia.

Siedzący za biurkiem zastępca naczelnika policji Wes Nobbler obejrzał do końca wywiad z Renzem, po czym wycelował pilota niczym pistolet i wyłączył odbiornik w momencie, w którym na ekranie pojawił się uśmiechnięty prezenter pogody. Nobbler się nie uśmiechał. Jego różowe podbródki rozlały się na ciasno zapiętym kołnierzyku, nadmiernie eksponując wygięte w dół cienkie usta. Jasne poranne światło przeszukiwało jego mięsiste policzki, ale nie znajdowało choćby cienia zarostu.

– Wiele osób nie miało by nic przeciwko temu, żeby dochodzenie Renza skończyło się katastrofą – powiedział.

Sierżant Ed Greeve skinął głową. Wiedział, kiedy powinien milczeć. Należał do mężczyzn średniego wzrostu, którzy dzięki chudej i lekko przygarbionej sylwetce wydają się wyżsi. Efekt ten potęgowały pociągła twarz i opadające kąciki poważnych piwnych oczu. Miał na sobie niczym się niewyróżniający szary garnitur, który zdawał się korespondować z jego usposobieniem. Przezywano go Duchem, ponieważ był znakomity w śledzeniu; potrafił też niezauważenie tkwić na punkcie obserwacyjnym. Greeve szedł przez życie ukryty na widoku i robił na tym karierę. W dodatku Nobbler wykorzystywał go już wcześniej, gdy musiał nagiąć prawo, by służyć sprawiedliwości, a przy tym, naturalnie, swojej karierze. Greeve zaś wykorzystywał swojego szefa Nobblera. Dużo o sobie wiedzieli, co czyniło ich towarzyszami podróży po pełnej niebezpieczeństw drodze wiodącej w górę hierarchii urzędu, jakim była nowojorska policja.

– Musimy obserwować rozwój sytuacji – dodał Nobbler.

Greeve znów tylko skinął głową. Z lewego kącika jego ust sterczała wykałaczka. Kolysała się nieznacznie, kiedy poruszał nią językiem.

– Renz znalazł dla swoich najemnych glin biuro na Zachodniej

Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Dzięki temu łatwiej nam będzie mieć ich na oku.

– Zbieramy więcej ludzi? – zapytał Greeve nad wykałaczką.

– Dopiero później, ale to się załatwi bez problemu. Na razie wystarczy zwykły ogon. Jeśli się rozdzielią, wybierz najbardziej rokującego i idź za nim. Szybko się zorientujesz, czy wiedzą coś, czego my nie wiemy.

– Przed wyjściem w teren prawdopodobnie zamkną biuro.

– Ludzie zakładają zamki – odparł Nobbler. – Przypuszczam, że oni też.

Tylko tyle miał do powiedzenia na ten temat. Wiedział, że zamki rzadko stanowią problem dla Greeve'a, który w swoim czasie był członkiem rozwiązanego już wydziału Safe and Loft, zajmującego się włamaniami. Tak naprawdę Greeve traktował zamki jako coś w rodzaju wyzwania i prawdopodobnie złoży nocną wizytę w biurze na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Późna noc była jego porą, a ciemność – przyjaciółką. W mroku widział jak kot. Był to jeszcze jeden powód, dla którego dostał swój przydomek. W oczach innych policjantów Greeve był postacią cokolwiek upiorną.

– A co ze sprawami, które prowadzę? – zapytał, wyjął wykałaczkę i włożył ją z powrotem, tym razem w prawy kącik ust.

– Przydzieliłem je komu innemu. Będiesz dla mnie pracował, można powiedzieć, w pełnym wymiarze godzin. Chcę codziennych raportów i natychmiastowych powiadomień, jeśli zdarzy się coś ważnego.

– Zrozumiano – odpowiedział Greeve.

– Chyba nie muszę dodawać, że na razie wszystko zostaje między nami.

– Nie musi pan – przytaknął Greeve.

Nobbler poczuł ukłucie niepokoju. Czasami nie miał pewności, czy Greeve traktuje go poważnie, czy w duchu się z niego nabija. Cóż, przyczyną była po prostu osobowość Greeve'a. Albo jej brak. Tak czy inaczej, gliniarz był użyteczny i rzetelny.

Nobbler sięgnął po niebieski długopis kulkowy i zaczął się nim bawić, trzymając przy tym łokcie na blacie. Wpatrywał się w niego, jakby pierwszy raz w życiu widział przyrząd służący do pisania. Często tak robił z przypadkowymi przedmiotami. Sprawiał wtedy wrażenie, że mówi o jednym, a myśli o czymś innym i wypowiada się teoretycznie.

– Bogiem a prawdą – powiedział – nie jestem pewien, czy komisarz policji powinien zawiadywać własnym zespołem detektywów,

których sam sprowadził i uczynił tymczasowymi pracownikami wydziału dochodzeniowego.

– Niektórzy w wydziale są tego samego zdania.

Nobbler trzymał długopis pionowo i wpatrywał się weń, jakby chciał zmierzyć, pod jakim kątem go ustawił.

– Wstyd jak cholera, ale stało się.

– Tak jest. W dodatku roztrąbiły to wszystkie media. Co można powiedzieć? Renz to polityk i pupilek mediów, jest nietykalny.

– Nieważne, co można powiedzieć. Ważne, co można zrobić – oświadczył Nobbler. – Trzeba tylko zdecydować, co, kiedy i jak. Bo „dlaczego” jest w miarę oczywiste.

Pstryknął długopisem i czubek wyskoczył z kliknięciem. „Czary!”, zdawała się mówić mina Nobblera.

– Do roboty, sierzancie. Czarne charaktery nie biorą wolnego.

Zgarnął z rogu biurka jakieś dokumenty do podpisania.

Rozmowa była skończona. Rozmowa, na którą nikt nigdy się nie powoła, ponieważ się nie odbyła. Jakby w lesie przewróciło się drzewo i nikt tego nie usłyszał. Nikt ważny.

Greeve miał już za sobą kilka takich rozmów z Nobblerem. Prawie się uśmiechnął, zmierzając w stronę drzwi, a wykałaczką zatańczyła.

– Nadajemy na tej samej fali.

Co nie znaczyło, że będą płynąć z prądem.

Dwa tygodnie wcześniej

Co, do jasnej...?

Shellie Marston stała przed otwartą szafą i wpatrywała się w jej ubożuchną zawartość. Czarna sukienka w szare grochy wciąż tkwiła w plastikowej torbie, w której dostarczono ją z pralni chemicznej, ale Shellie mogłaby przysiąc, że powiesiła ją wczoraj w drugim końcu szafy. Właściwie pozostałe ubrania także wyglądały na przewieszane. Biała bluzka z koronkowym kołnierzykiem – Shellie na pewno nie wcisnęłaby jej między dwa żakiety do biura, które ostatnio rzadko wkładała. O, w dodatku kłapa jednego z nich się zagięła!

Dziwne jak diabli. Szczerze mówiąc, przyprawiało ją to o gęsią skórkę.

Przypomniała sobie poranek sprzed kilku dni, kiedy to odniosła wrażenie, że jej kosmetyki są poprzesławiane. Nie za bardzo – ot, słoiczek czy buteleczka zamienione miejscami albo nieco przesunięte. Pamiętała, że lakier do włosów w spreju wystarczyłby jeszcze na kilka użyć, mimo że krztusił się i rozpylał nieregularnie, ale okazał się pusty.

Przejrzała się w lustrze toaletki. Co się dzieje? Popadała w paranoję? Nikt nie mógł wejść do jej mieszkania. Klucz miał tylko dozorca, który już przekroczył sześćdziesiątkę. Mimo woli się uśmiechnęła. Trudno było sobie wyobrazić pana Mercuria w jej sukienkach, pachnącego jej kosmetykami. Gdyby spróbował się wcisnąć w tę w grochy, puściłyby wszystkie szwy. Omal nie roześmiała się w głos, wyobrażając sobie dystyngowanego wąsatego i brzuchatego pana Mercuria, próbującego zmieścić się w jej rzeczy. Nie, zdecydowanie nie był podejrzany. Chociaż z ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

Właśnie, pomyślała. Niektórzy widzą rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły. Musiała przyjąć możliwość, że to ona tak rozwiesiła ubrania. To samo dotyczyło kosmetyków. Umysł lubi płatać figle. Pamięć jest trefnisiem.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Nie była to komórka.

Podbiegła do stolika przy sofie, na którym stał aparat stacjonarny.

To David.

Z przyłożoną do ucha słuchawką usiadła na wyłożonym poduszkami rogu sofy.

– Zdarzyło mi się coś niesamowitego – powiedziała. – Otwieram szafę, a tam niektóre rzeczy wiszą inaczej, niż je zostawiłam.

– E tam – usłyszała. – Myślałem o tobie.

– Spodziewam się – odrzekła z uśmiechem.

Nie byli już tylko znajomymi, ale kochankami. Przejście nastąpiło naturalnie, a Shellie nie wyobrażała sobie, co mogłoby uczynić ją szczęśliwszą. Doskonale do siebie pasowali, przez co ich seks był jeszcze bardziej namiętny. Davidowi niczego nie brakowało, pod żadnym względem. Był dzentelmenem i spisywał się dobrze zarówno w łóżku, jak i poza nim. Ale zwłaszcza w łóżku.

– Chciałbym, żebyś się do mnie wprowadziła – oświadczył.

Pochlebził jej, ale też ją zaskoczył. Sprawy toczyły się tak szybko...

– Sama nie wiem...

– Myślałem, że zgodzisz się bez namysłu. – W jego głosie brzmiał zawód.

– Wiesz, to takie nagłe. Przywykłam do mojej codzienności: dom, praca...

– Nie martw się o pracę, kochanie. Będę cię utrzymywał. Nie zubożęję od tego. Mogłbym powiedzieć, że nawet nie zauważę twojej obecności, gdyby nie to, że stale będę cię zauważał. Nawet gdy będę poza domem.

– Nie wiem, Davidzie... – Ale wiedziała. Już podjęła decyzję.

– Dwa mieszkania – powiedział. – Tyle pieniędzy niepotrzebnie wyrzucanych na czynsz...

Roześmiała się. Nie zauważył, że już dała się przekonać?

– Zamiast o miłości rozmawiamy o pieniądzach.

– Chodziło mi o to...

– Żartuję, Davidzie. Oczywiście, że się do ciebie przeprowadzę. To idealne rozwiązanie. Dlaczego mamy spędzać noce raz w jednym miejscu, raz w drugim?

– Dopóki spędzamy je razem, miejsce mnie nie obchodzi. Zastanawiałem się, czy nie wprowadzić się do ciebie. Uwolniłbym cię od opłat za czynsz.

– W porównaniu z twoim moje mieszkanie to komórka na szczotki.

– To samo pomyślałem. Zaslugujesz na więcej, kochanie.

– Mam więcej, Davidzie. Mam ciebie.

- Wiesz, że cię Kocham.
- Wiem. To o wiele ważniejsze niż mój adres zamieszkania.
- To co, jutro?
- Nikt nie przeprowadza się jutro, Davidzie. Muszę się spakować, zdecydować, co z sobą zabrać, pochować rzeczy do pudełek...
- To do dzieła. Przyjadę ci pomóc.
- Skąd ten pośpiech?
- Boję się, że zmienisz zdanie.

Cztery dni później Shellie zakończyła przeprowadzkę do Davida. Zapłacił za jej mieszkanie do końca umowy najmu, czym uszczęśliwił dysponującą budynkiem agencję nieruchomości. Dobytek, który Shellie chciała zatrzymać, przewiozła mała firma przeprowadzkowa. Resztę nabyła i wywiozła firma specjalizująca się w sprzedaży mienia ruchomego. Większość tych rzeczy trafi pewnie na pchli targ, czyli tam, gdzie Shellie je kupiła. Życie naprawdę mogło szybko się zmienić, czasami na lepsze.

Był tylko jeden szkopał. Usłyszała o nim od Davida podczas pierwszego śniadania w ich wspólnym domu. Byli niemal jak małżeństwo omawiające... to, co zdaniem Shellie zwykły między sobą omawiać małżeństwa.

– Podnajmuję ten lokal – oznajmił David, przełknąwszy kęs posmarowanego masłem tosta. Upił łyk kawy, która, jak zapewnił Shellie, była idealna. – Umówiłem się, że nie będę sprowadzał współlokatorów.

Widelec Shellie z nabitym kawałkiem jajka zatrzymał się w pół drogi.

– Sugerujesz, że mam tu mieszkać w tajemnicy?

Roześmiał się.

– Nie dramatyzujmy. Nie musisz się ukrywać ani skradać. W tak wielkich apartamentowcach mało kto zna sąsiadów, a nawet mało kto w ogóle ich zauważa. Zamkniesz za sobą drzwi na korytarz i nikt nie zgadnie, z którego mieszkania wyszłaś. W windzie nikt się nie domyśli, na którym piętrze wsiadłaś. Zresztą nikogo to nie obchodzi. Mamy tu ogromną rotację lokatorów.

– Więc zanim wyjdę na korytarz, mam sprawdzać, czy nikt mnie nie widzi?

– Nie zaszkodzi – uśmiechnął się. – Ale nie o to mi chodziło. Po prostu nie przesadzaj z nawiązywaniem sąsiedzkich znajomości. Nie musisz pędem się chować, kiedy ktoś cię zauważy.

– W twoich ustach brzmi to jak gra.

– Bo to jest gra – odparł. – Bawi się w nią wielu nowojorczyków,

którzy mają umowy najmu lub podnajmu. Jeśli przegramy, zostaniesz wyrzucona. A ja razem z tobą, bo cię nie zostawię. – Wzruszył ramionami. – Eksmisja to nie koniec świata. W tym mieście codziennie kogoś eksmitują.

– Ale nie nas. – Shellie przeżuła i połknęła swoje jajko. – I nie z tego miejsca. Będę uważała, obiecuję.

– Wątpię, żeby ktoś nas zadenuncjował, nawet jeśli odkryje, że tu mieszkasz – odpowiedział. – Ludzie przeważnie pilnują własnego nosa. Może nawet zaakceptują twoją obecność. Bo kto mógłby cię nie zaakceptować?

Gra, pomyślała Shellie i dokończyła śniadanie. Albo raczej film o miłości. *Widmowa lokatorka*. Film, w którym jestem gwiazdą.

David nie mógł wiedzieć, że tak to postrzegają, dlaczego więc nie umieścić się na pierwszym miejscu obsady?

Układało się świetnie. David miał rację – żaden z mieszkańców budynku nie zwracał uwagi na sąsiadów. Jeśli lokatorzy mijali się na korytarzu bądź spotykali w windzie, najwyżej witali się skinieniem głowy lub uśmiechem. Co do windy, to wszyscy przestrzegali przyjętych zasad zachowania: z kamiennymi twarzami wpatrywali się w numery pięter rosnące lub malejące nad rozsuwanymi drzwiami. To samo dotyczyło wchodzenia i wychodzenia z bloku – wymiana spojrzeń była rzadkością. Kilkakrotnie ktoś otworzył ciężkie drzwi i przytrzymał je, żeby Shellie mogła przejść. Rzuciła wtedy zdawkowe podziękowanie i oddalała się szybkim krokiem. Zachowywała się tak jak oni, czyli jak większość mieszkańców Nowego Jorku – starała się wyglądać na zabieganą. Każdy codziennie mijał setki ludzi, ale po kilku dniach pamiętał najwyżej ich garstkę.

Shellie była szczęśliwa. Jak na nowojorskie standardy mieszkanie było przestronne, a z wysokiego piętra roztaczał się ładny widok. Wystrój był tradycyjny: wyblakła jasnobrązowa sofa i pasujący do niej fotel, telewizor za drzwiczkami drewnianej meblościanki, której półki zajmowały bibeloty i szereg książek, dobranych raczej pod kolor niż ze względu na treść. Meble, zasłony i dywan oraz oprawione obrazy na ścianach tworzyły atmosferę spokoju. Shellie się to podobało i po kilku tygodniach zaczęła się czuć tu jak w domu. Jej szczęście byłoby zupełne, gdyby David rzadziej wyjeżdżał. Za to kiedy wracał, starali się jak najbardziej tym nacieszyć.

A „jak najbardziej?” to było naprawdę sporo.

Dzisiaj

Skoro Renz już się wyrwał z tym specjalistą od profili psychologicznych, to uznał, że lepiej będzie mieć jakiś profil. Odwiedził Quinna i jego ekipę w biurze na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, które załatwił na koszt miasta. Znajdowało się na parterze – niżej się nie dało – w budynku, który właśnie przechodził remont. Do biura remont jeszcze nie dotarł, ale było w niezłym stanie – ściany miały kremowy kolor, a w oknach wciąż wisały żaluzje. Po makatach ściennych zostały tylko jaśniejsze prostokąty, a na drewnianej podłodze zarys wyniesionego dywanu. Farba jednak była niezabrudzona. Renz zamówił trzy biurka, cztery fotele, stalową szafkę na akta z czterema szufladami, drukarkę, faks i używany komputer stacjonarny. Wiedział, że i tak wszyscy mają laptopy, może poza Feddermanem. O ekspres do kawy i tym podobne udogodnienia detektywi musieli zadbać sami.

Pearl kupiła zaparzacze firmy Braun i przytaczała z góry stary stolik, który robotnicy zamierzali wyrzucić. Policyjny spec od komputerów zainstalował im szerokopasmowy bezprzewodowy internet i umieścił router obok ekspresu do kawy. Drzwi były zaopatrzone w porządną zamek, robotnicy na górze prawie nie hałasowali, a na jednym z okien zamontowano wiekowy klimatyzator, którego nikt nie miałby ochoty ukraść. Quinn mógł dotrzeć do biura spacerkiem, ale czasami przyjeżdżał swoim starym lincolnem. Do tego Renz przydzielił im nieoznakowanego chevroleta. Mieli własne lokum, mieli transport. Nieźle wyszli na tym układzie.

Quinn i Fedderman siedzieli na bliźniaczych drewnianych fotelach obrotowych za bliźniaczymi szarymi biurkami ze stali, natomiast Pearl przysiadła na blacie swojego biurka. Jej fotel zajął Renz, uprzednio go wysunąwszy. Pozostał więc wolny fotel dla oczekiwanej specjalistki od profili psychologicznych, pod warunkiem że Pearl się o niego nie upomni. Quinn zanotował w pamięci, że mają o jeden fotel za mało. Poprosiłby Pearl, żeby skołowała dodatkowy, ale da mu do

zrozumienia, że swoje już zrobiła, bo załatwiła ekspres do kawy.

Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili się otworzyły i do środka ostrożnie wsunęła głowę specjalistka od profili psychologicznych Helen Iman.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała i z uśmiechem weszła do środka.

Była bardzo wysoką kobietą o kościstej, ale atrakcyjnej twarzy i niedbale ułożonych czerwonych włosach, które wyglądały, jakby ścinała je własnoręcznie tępyimi nożyczkami. Na jej widok Quinn pomyślał, zresztą nie pierwszy raz, że taka wysoka i umięśniona doskonale sprawdziłaby się jako koszykarka lub siatkarka. Ale to nie sport pociągał Helen. Pociągali ją mordercy. Kilka lat temu odeszła z nowojorskiej policji i otworzyła w New Jersey prywatną praktykę jako psycholog korporacyjny, ale niedługo później wróciła. Jej zdaniem umysł pracownika korporacji nie mógł się równać z umysłem mordercy. Odrobinę się jednak różniły, a w dodatku umysł mordercy był o wiele bardziej interesujący.

Pojawiła się w biurze na życzenie Renza, który chciał, żeby Quinn i jego ekipa wysłuchali, co ma do powiedzenia. Pearl zaproponowała jej kawę, ale Helen podziękowała i zajęła niewygodny wolny fotel. Wykonany został z barwionej dębiny, miał proste oparcie, wyglądał solidnie, ale i surowo, jakby do jego powstania przyczyniła się jakaś religijna sekta lubująca się w niewygodach. Helen miała na sobie zielony kostium, białą bluzkę i męski czarno-zielony krawat. Dużą brązową torebkę postawiła na podłodze, opierając ją o nogę fotela.

– Przeczytałaś materiały, które ci przekazałem? – zapytał Renz.

Helen skinęła głową.

– Niewiele się z nich dowiedziałam.

Renz zrobił zawiedzioną minę, a Helen spokojnie przyjrzała się wszystkim po kolei. Jej wzrok na dłuższą chwilę zawisł na Pearl.

– Naprawdę nie mam podstaw, żeby cokolwiek zakładać. Nic nie wiemy o ofiarach.

– Muszę mieć coś dla dziennikarzy, żeby moich ludzi – Renz wskazał głową Quinna, Pearl i Feddermana – nie zapędził w kozi róg jakiś wyszczekany pismak.

Helen skrzyżowała długie nogi. Był to widok co się zowie.

– Rozumiem i mogę dać wam to, co zwykle, choć na pewno większość już wiecie. Nasz morderca ma od dwudziestu do czterdziestu lat, a za sobą okropne dzieciństwo, po którym została mu nienawiść do kobiet. Możliwe, że jest żonaty...

– Żonaty? – przerwał Renz.

– Powiedziała: „możliwe”. I prawdopodobnie dokonywał już czynów sadystycznych.

– Te zastrzone paliki... – wtrącił Quinn.

Helen skinęła głową.

– I ćwiartowanie. Nie robiłby tego jednocześnie bez określonego powodu. – Sięgnęła do dużej torebki, wyjęła z niej ciemnożółty skoroszyt i przez kilka chwil wertowała zawartość. – Penetracja palikiem nastąpiła po śmierci. To ciekawe. Nekrofilia przy użyciu substytutu penisa.

– Taaak? – zapytała Pearl, patrząc na Feddermana.

– Wszystko na to wskazuje – odparła Helen. – Zwłoki poćwiartowano umiejętnie, ale zrobił to ktoś bez wykształcenia medycznego. Mógł ćwiczyć na zwierzętach. Na przykład domowych.

– Jezu! – jęknął Fedderman. Otarł usta rękawem koszuli. – Czy ja kiedyś do tych bydlaków przywyknę?

– Lepiej nie – uśmiechnęła się do niego Helen. Umościła się w twardym fotelu najwygodniej, jak mogła.

– Tylko tyle możesz nam powiedzieć? – zapytał Renz.

– W tej chwili? Obawiam się, że tak. Nie zaszkodziłoby, gdybyśmy mieli kompletne ciała, może też świadka czy dwóch. Aha, jeszcze jedno. Morderca was informuje, że to on stoi za obydwojma zabójstwami. Dlatego użył tej samej broni.

– A palik?

– Nie wiem, co myśleć o paliku. Zwłaszcza wykorzystywanym pośmiertnie. Pewne rzeczy jeszcze nie układają się w całość. Ten morderca ma w sobie coś, od czego przechodzą ciarki.

– Jest porąbany jak wszyscy inni – zdiagnozowała Pearl.

– Dość adekwatne określenie, choć trudno je uznać za termin medyczny – odparła Helen. – Ale ten facet – bo niemal na sto procent wiemy, że morderca jest mężczyzną – zapowiada się wyjątkowo interesująco. Możemy nie zrozumieć jego sposobu myślenia, nawet kiedy go schwytamy i przebadamy. Na przykład: ukrywa tułowia, choć nie tak starannie, żebyśmy ich nie mogli znaleźć.

– Trofea – powiedział Fedderman.

– Nie. Prędej wizytówki. Ale kolekcjonowanie trofeów nie jest rzadkością. Może zachowuje głowy.

Pearl głośno siorbnęła kawy i sparzyła sobie język.

– Jedno jest pewne. – Helen ściślej skrzyżowała nogi. – Ten facet jest wyjątkowym, ale to wyjątkowym przypadkiem.

Był wieczór, a David właśnie wrócił do domu. Weekend spędził w

Londynie, dokąd wyjechał w interesach. Kiedy Shellie pytała go o te interesy, zawsze udzielał tych samych zdawkowych odpowiedzi, ale ona coraz mniej się tym przejmowała. Zdążyła się już przekonać, że David jest dobrym człowiekiem. W cokolwiek się angażował, na pewno były to przedsięwzięcia nieszkodliwe i zgodne z prawem. Po prostu należał do ludzi, którzy oddzielali pracę od życia osobistego, miłość od rzeczywistego parszywego świata bez miłości. Shellie to rozumiała. Miała takie samo podejście.

Od kiedy wprowadziła się do Davida, jej garderoba rozrosła się i zyskała na jakości. Shellie miała na sobie granatową sukienkę, którą lubił, usztywnione czółenka na wysokim obcasie, a na szyi podwójny sznur pereł. Włosy umiejętnie zmierzwiła, tak jak lubił. Rozpięła górny guzik sukienki, tak jak lubił, żeby w rozcięciu migał rowek między piersiami. Później będą się kochać – tak, jak lubił. Cała była taka, jak lubił, i dzięki temu szczęśliwa. David na pewno też był szczęśliwy.

Obojgu zależało na szczęściu drugiego. Shellie trochę zdumiewało, że dojrzała do takich uczuć.

Nic na świecie nie sprawiało jej większej radości niż sprawianie radości Davidowi.

– Na dzisiaj włoskie menu? – zapytał. Shellie najbardziej lubiła włoską kuchnię. – Myślałem o Randisi's.

Randisi's była pięciogwiazdkową restauracją na East Side. Zdaniem niektórych najlepszą włoską restauracją w mieście.

– Brzmi wspaniale.

Uśmiechnął się.

– To dobrze, bo zarezerwowałem stolik.

W restauracji David przedstawił się *maitre'd* jako pan Clyde i powiedział, że rezerwował stolik na dwudziestą. Shellie się uśmiechnęła. David zawsze dokonywał rezerwacji na nazwisko Clyde albo mówił po prostu, że Clyde to imię, kiedy pytano go, kogo wpisać na listę oczekujących. Imię nie było złe, ale nie pasowało do przystojnego, pewnego siebie i eleganckiego Davida. Obrzuciła go wzrokiem. Tak świetnie prezentował się w ciemnoniebieskim garniturze, śnieżnobiałej koszuli i szarym jedwabnym krawacie. Nie wyglądał na jakiegoś tam Clyde'a. Poczuli ukłucie dumy. Jej David...

„Państwo Clyde” niemal natychmiast zostali zaprowadzeni do stolika, atrakcyjnie umiejscowionego przy szerokim oknie z widokiem na East River. Zamówili martini, a potem antipasti i cannelloni. David poprosił też o dobre czerwone wino.

- Będziemy świętować – wyjaśnił.
- Co? – zapytała Shellie.
- Mój powrót do domu.
- Nie było cię tylko przez weekend.
- Powrót do ciebie zawsze jest powodem do świętowania.
- Nie jestem warta szampana?

Uśmiechnął się szeroko.

– Shellie, Shellie... Wiesz, że owinęłaś mnie sobie wokół małego palca. – Z poważną miną pochylił się nad stolikiem. – Masz ochotę na szampana?

Zawstydzona pokręciła głową.

- Nie, kochanie. To był tak mały sprawdzian.
- Zdałem?
- Na szóstkę z plusem – odrze kła.

Pomyślała, że rozmawiają jak postacie ze sztuk teatralnej dla wyrafinowanej publiczności. Rozbawiło ją to, ale jednocześnie poczuła się odrobinę jak głuptas. Na pewno wpłynął na nich przepych otoczenia. Znowu odgrywanie ról. No to co? Jeśli się zastanowić, każdy odgrywa jakąś rolę. Co w tym złego, skoro tyle w tym dobrego?

Posiłek jak zwykle w Randisi's, był przepyszny. Wino też. David miał gust. Gdy wyszli z restauracji, oboje mieli lekko w czubie. Shellie dla większego bezpieczeństwa wspierała się na ramieniu Davida. Miał właśnie zatrzymać taksówkę, kiedy przy krawężniku obok nich zatrzymał się lśniący czarny samochód. Był to chrysler, ogromne auto. Znajdowali się na ulicy jednokierunkowej; drzwi po stronie kierowcy od chodnika dzieliło kilkadziesiąt centymetrów. Okno się opuściło.

Shellie pomyślała, że kierowca pracuje dla Randisi's i będzie ich namawiał, żeby zamiast łąpać taksówkę, pojechali z nim. Dlatego zdziwiła się na widok atrakcyjnej, mniej więcej czterdziestoletniej kobiety o ostrych rysach, bez makijażu i z krótko ściętymi siwymi włosami. Miała na sobie czarną, wkładaną przez głowę koszulę z podniesionym kołnierzykiem. Jej ramiona były szczupłe, ale muskularne. Shellie zauważyła, że opierającą się o kierownicę dłoń okrywa rękawiczka. Założyła, że kobieta nosi rękawiczki samochodowe. Może była zawodową kierowcą, a olbrzymi chrysler to wóz do wynajęcia.

- Podrzucić cię, braciszku? – zapytała kobieta, patrząc na Davida.
- Niech mnie diabli – rzucił David. – Co ty tu robisz, Glorio?
- Wracałam do domu i przypadkiem cię zobaczyłam. Nowy Jork

nie jest znowu taki duży, żeby nie zdarzały się w nim przypadkowe spotkania.

– Jak widać – odparł David.

– W każdym razie to moja dzielnica. A przynajmniej regularnie przez nią przejeżdżam.

Kobieta popatrzyła na Shellie. Miała ciemne oczy, głęboko osadzone i intensywne.

– A ty musisz być Shellie.

David ścisnął ramię Shellie.

– Poznaj moją siostrę Glorię, jedyną osobę w Nowym Jorku, której o nas powiedziałem.

– Zawsze dzielimy się z Davidem tym, co dobre – powiedziała Gloria. W jej ciemnych oczach rozbłysła czerwień restauracyjnego neonu. – Tak było od małego. Dobrze znam mojego brata i od lat nie widziałam, żeby aż tak się zakochał. Naprawdę miło cię poznać.

– Nawzajem – odparła Shellie.

Zeszła jedną nogą z krawężnika i uściśniła wyciągniętą przez okno dłoń w skórzanej rękawiczce. Gloria się uśmiechnęła, nadszpiewanie pięknie, więc Shellie nie mogła nie odpowiedzieć tym samym.

– Słuchajcie – powiedziała Gloria, wodząc spojrzeniem od jednego do drugiego. – Może wpadniecie do mnie na drinka? Odwiozę was potem do domu. Bardzo chciałabym lepiej cię poznać, Shellie. Słyszałam o tobie same dobre rzeczy. Na przykład, że nareszcie jesteś *tą jedyną*.

Shellie poczuła miłe ciepło. Zawsze chciała stać się dla jakiegoś mężczyzny osobą wyjątkową, *tą jedyną*. Niemal słyszała, jak David mówi to siostrze. Ale teraz powiedział:

– Może innym razem.

Shellie ujęła go pod ramię.

– Dlaczego, Davidzie? Mamy czas.

Kręcił głową.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– Wstydzisz się mnie? – zapytała Gloria. Ta myśl zdawała się ją bawić.

– Nie pleć głupot, Glorio.

– Więc nie bądź taki cholernie tajemniczy, Davidzie. Chętnie się przede mną *tą* kobietą, jakbyś chciał, żebyśmy się poznały. – Spojrzenie ciemnych oczu zatrzymało się na Shellie. – Mówię poważnie, Shellie. Mój braciszek oszalał na twoim punkcie. Dla odmiany to on powinien stać się tematem rozmów.

– Ona ma rację, Davidzie.

Zbliżył się i wpatrzył w Shellie. Na twarzy miał napięcie, jakiego do tej pory nie widziała. Może przyczyną było wino. W końcu go sobie nie żalowali.

– Jesteś pewna?

– Przecież to cudowne! Twoja siostra! – *Rodzina*. – Naprawdę powinniśmy się poznać.

Uśmiechnął się po krótkim wahaniu.

– Dobrze. Tylko się przeciwko mnie nie zmawiającie.

Otworzył drzwi wielkiego sedana i przepuścił Shellie. Potem zajęł miejsce obok. Dzieliło ich od siebie prawie pół metra. Wyglądało to tak, jakby David nie chciał usiąść zbyt blisko, żeby nie afiszować się z uczuciami w obecności siostry. Gdy Gloria pchnęła dźwignię automatycznej skrzyni biegów i samochód odbił od krawężnika, Shellie wyczuła ostry, mdlący zapach.

– Palisz? – bez zastanowienia zapytała Glorię. – Oj, nie chciałam być wścibska.

– Tak łatwo się zorientować?

– Niestety. Chyba że niedawno wiozłaś jakiegoś palacza.

Shellie zobaczyła, że zmienia się zarys okrytego cieniem prawego policzka Glorii. Może był to uśmiech.

– Myślałam, że prosisz o papierosa – powiedziała Gloria.

– Nie, nie palę. I to nie moja sprawa, czy ty palisz, czy nie. Nie zamierzałam cię krytykować.

Skupiona na prowadzeniu, zapatrzona przed siebie Gloria wybuchnęła śmiechem. Miała długą szyję i postawę baletnicy, jakby do czubka głowy przymocowano jej niewidzialne sznurki, za które ktoś stale pociągał, by zdławić w zarodku najmniejszą chęć zgarbienia się.

– Nic nie szkodzi. Rozszyfrowałaś mnie. Tytoń to mój jedyny nałóg. Próbowałam rzucić. David mi świadkiem, że od lat co jakiś czas próbuję.

– To draństwo cię zabije, Glorio – powiedział David.

Gloria zakręciła kierownicą i weszła w ostry zakręt w prawo, ale udało jej się przy tym wzruszyć kościstymi ramionami.

– Ba – powiedziała. – Na coś trzeba umrzeć.

Czasami życie bywa piękne aż do bólu. Pod wpływem tej myśli Shellie przytuliła się do Davida, podczas gdy Gloria brawurowo prowadziła wielkiego chryslera Broadwayem na północ. Samochód sunął płynnie i zdawał się szybować nad wybojami, którymi poznacona była ulica. Wieczór robił się chłodny, ale ciepłe wnętrza auta i wypite wcześniej wino sprawiły, że Shellie ogarnęła rozkoszna senność. Otrzeźwił ją ryk klaksonu. Otworzyła oczy i zorientowała się, że trąbiła Gloria. Taksówka, która wyłoniła się obok chryslera, gwałtownie przed nim skręciła.

Zdawało się, że o centymetry minęła przedni zderzak.

– Palant! – rzuciła Gloria cicho, ale z przekonaniem.

– Nowojorscy taksówkarze i tyle – powiedział David leniwie. – Powinnaś już do nich przywyknąć.

– „Przywyknąć” nie znaczy „stracić nadzieję, że wszystkich wybije zaraza”. – Podniosła głos: – Panie, ześlij na nich szarańczę, pożogę i choroby i niech przez całą wieczność nie dostają opłaty za przejazd.

David zachichotał i mocniej przytulił Shellie na miękkiej tapicerce tylnego siedzenia.

– Mówiłem ci już, że siostrzyczka ma tak zwany charakterek?

– Mam nadzieję, że to nie jest rodzinne – odpowiedziała Shellie.

Z ulgą zauważyła, że taksówka oddaliła się na bezpieczną odległość.

– David toczy nieustającą walkę ze swoimi genami – oznajmiła Gloria z przedniego siedzenia. – Nie wspominając o walce z szatanem. Choć może to jedno i to samo.

Taksówka błysnęła światłami stopu i niespodziewanie zwolniła, zmuszając Głorię do wbicia nogi w hamulec. Ogromny chrysler prawie stanął dęba.

– A teraz dupkowi odeszła ochota na szybką jazdę – warknęła Gloria. – Gość jest żywym dowodem na to, że granaty ręczne powinny być legalne.

– Wyluzuj – rzucił David. – Nie przyciągajmy niepotrzebnej

uwagi.

Shellie pomyślała, że to bardzo dziwne słowa, ale było jej zbyt błogo, żeby się nad tym zastanawiała. Uznała, że jej życie spoczywa w rękach Glorii i nie bardzo można coś na to poradzić, więc zamknęła oczy i złożyła głowę na ciepłym ramieniu Davida. Podejście fatalistyczne było czasami najprostszym i najmądrzejszym rozwiązaniem.

Obudziła się, kiedy samochód stanął. Słyszała niski dudniący dźwięk, zbyt głośny, żeby wydawał go silnik. Zdrzemnęła się, ale nie miała pojęcia na jak długo. David obejmował ją ramieniem. Gdy pokrzepiająco ją uściśnił, zorientowała się, że nie spał.

Dotarli do celu. Przez szeroką przednią szybę Shellie zobaczyła podnoszącą się szarą stalową bramę. Za nimi reflektory samochodu oświetliły mroczne pomieszczenie, w którym po jednej stronie stały jakieś beczki i pudła. Piętnaście metrów dalej zobaczyła ceglana ścianę, ewidentnie bardzo starą. Ściana wybrzuszyła się do wewnątrz, a cegły były nierówne i wystawała spomiędzy nich szara, spękana zaprawa murarska, niczym zbyt duża ilość kremu spomiędzy warstw tortu. W cieniu zalegającym przy ścianie stał stary drewniany warsztat, na którym chyba leżały narzędzia.

– Mieszkanie jest na górze – wyjaśniła Gloria i dodała gazu. Wielki chrysler wjechał do środka. – Wygląda lepiej niż garaż.

– O wiele lepiej – dodał David. – I nie śmierdzi w nim benzyną.

Schylił się i pocałował Shellie tuż nad nosem.

Brama opuściła się i zamknęła za nimi z grzechotem. Gloria wyłączyła silnik, a w pomieszczeniu zrobiło się nagle bardzo cicho. Reflektory wciąż świeciły – wyłączały się z opóźnieniem. Poglębiały ciemność otaczającą ich bliźniacze promienie. Gloria obejrzała się przez ramię w półmroku wypełniającym wnętrze samochodu.

– Wsiadaj i poruszaj się ostrożnie. Na podłodze jest płachta foliowa, bo z wozu cieknie olej.

– Zapaliły się wewnętrzne światła chryslera i zanim Shellie albo David zdążyli się poruszyć, Gloria wysiadła i przekreśliła kontakt na ścianie.

Światło padające z dwóch gołych żarówek ani trochę nie uczyniło tego miejsca przytulniejszym. Byle jak ustawione dwustulitrowe beczki były zardzewiałe, a kartonowe pudła oklejone taśmą, nieoznaczone i pokryte kurzem. Opierał się o nie wysoki rulon czegoś nieprzejrystego – być może niewykorzystanej folii. Okien nie było.

David wysiadł z samochodu przed Shellie i jak przystało na dżentelmena, przytrzymał dla niej drzwi. Shellie wciąż była trochę

zaspana, czuła się niepewnie i potrzebowała jego wsparcia.

– Zanim pójdziemy na górę – powiedział – chciałbym dać ci prezent.

– Prezent? – Shellie patrzyła, jak Gloria wyjmuje z cienia za pudełkami parasolkę bez pokrowca i kładzie ją na masce samochodu. Stygnący silnik zaczął cykać.

– Niespodzianka. Zanim siądziemy z drinkami na górze.

Przez jedną szaloną sekundę Shellie myślała, że mówił o parasolce, ale to przecież nie miałoby sensu. Reflektory samochodu zamrugały i zgasły, a w garażu zrobiło się jeszcze bardziej posępnie. Shellie się rozejrzała, ale nie zobaczyła windy. Ani schodów. Pewnie gdzieś były drzwi prowadzące na górę.

– Może najpierw rozgościmy się u ciebie, a potem zrobisz jej niespodziankę – zaproponowała Gloria. Uśmiechała się do Shellie, a spojrzenie jej ciemnych oczu przeszywało. Odbijało się w nich nikłe oświetlenie garażu.

– Nie, lepiej tutaj – odpowiedział David i jeszcze raz pocałował Shellie w czoło. Miał chłodne usta.

– Uparciuch – pokręciła głową Gloria. – Ale pewnie za to go kochasz.

– Między innymi – odparła Shellie.

Naprawdę kochała Davida. Bardziej niż kogokolwiek czy cokolwiek w całym swoim życiu.

David się cofnął, uśmiechnął do niej i włożył rękę do kieszeni marynarki. Shellie zauważyła, że stojąca za nim Gloria sięga po parasolkę, jakby zamierzała ją otworzyć. Nie zrobiła tego. Wyjęła ukryty w parasolce długi, zastrzony drewniany palik

– Zamknij oczy, kochanie – poprosił David.

Ale Shellie tego nie zrobiła. Mimo senności wywołanej winem, mimo miłości i zaufania do Davida, mimo poczucia bezpieczeństwa, jakie zawsze dawała jej jego obecność, rozumiała, że coś jest bardzo, bardzo nie tak. Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł dreszcz strachu. *To głupie. Czego ja się boję? David jest przy mnie.*

Jego ręka wynurzyła się z kieszeni. Nie trzymał w niej biżuterii ani przewiązanego wstążką puzderka, tylko mały pistolet.

– Davidzie?

Strzelił jej w serce.

Usiadła na ziemi z wyprostowanymi nogami, po czym bezwładnie przewróciła się do tyłu. David natychmiast postąpił dwa kroki do przodu, schylił się i dwukrotnie strzelił jej w czoło.

Gloria rzuciła mu palik jak tancerka laskę do partnera, tak że pio-

nowo przeleciał w powietrzu. David, dorównując jej technice scenicznej, zręcznie schwycił kij jedną ręką. Sprawdził ostrość czubka palcem wskazującym. Gloria obeszła samochód i stanęła obok niego nad ciałem Shellie.

– Popatrz na jej twarz – powiedziała. – Jaka zdziwiona! Miała swoją niespodziankę. Nie zawiodłeś jej.

– Nigdy nie sprawiam zawodu damom – odrzekł David.

Pochylił się z zaostrzoną połówką kija od szczotki w ręce, a potem z wolna się wyprostował, już bez niej. Gloria oddychała szybko i wpatrywała się w palik wystający z Shellie na jakieś trzydzieści centymetrów.

– Zastanawiałeś się kiedyś Davidzie, co by było, gdy byś robił im to przed...?

– Złap za drugi koniec płachty i przenieśmy ją. Czeką nas roboty.

– Wszystko na ziemi ma swój cel – powiedziała Gloria, wciąż wpatrzona w sterczący kawałek kija. – Czasem więcej niż jeden.

– Pomijając twój cynizm, nie pora na cytaty z Biblii.

– Pora jest idealna – odparła z szerokim uśmiechem. – A ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Samo ramię, a zobaczcie, jaką uwagę przyciąga – powiedział medyk sądowy Julius Nift. Klęczał obok bladego przedmiotu leżącego na mokrym bruku. – Widowisko jak się patrzy. Ktoś mógłby nam podać pomocną dłoń.

Pearl nie cierpiała Nifta i jego bezdusznego poczucia humoru, ale nic nie powiedziała, ponieważ – pomijając niesmaczne żarty – zgadzała się z nim. Dłoń mogłaby oznaczać odciski palców. Ramię zostało wyłowione z East River i Pearl nie była pewna, do czego może im się przydać.

Nift wrócił do nakłuwania i badania ręki. Był niskim, pękatym mężczyzną, którego rozdymało wysokie mniemanie o sobie, a ubierał się bardziej jak bankier niż lekarz wiele czasu spędzający przy zwłokach. Czarne włosy zaczesywał na czoło z takim skutkiem, że przerzedzona grzywka nadawała mu wygląd Napoleona. Pearl tak właśnie o nim myślała: gruboskórny, cyniczny Napoleon. Bogu dziękować, że mały sukinsyn nie miał pod sobą armii.

Quinn stał kilka metrów dalej, obok Feddermana, i zagryzał wargę, wpatrując się w ramię bez dłoni. Z pewnością długo leżało w wodzie. Rozejrzał się, mrużąc oczy w słońcu wczesnego popołudnia. Znajdowali się w pobliżu Sutton Place, gdzie posiadłości zaliczały się do najdroższych w Nowym Jorku. Wątpliwe, żeby ramię należało do kogoś z tej okolicy. O ramieniu zaginionym w Sutton Place na pewno byłoby głośno.

Zauważyła je pani Grace Oliphant podczas spaceru ze swoim yorkiem, wabiącym się Clipper. Spostrzegła, że coś białego zaczepiło się o kłodę, którą fale zniosły do brzegu, i w pierwszej chwili pomyślała, że jest to duża śnięta ryba. Okrążyła czarne żelazne ogrodzenie i podeszła bliżej. Clipper zaczął szczekać jak szalony, a ona nie była już taka pewna, że widzi śniętą rybę. Zbiałały przedmiot zaginał się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, więc z podszytą lękiem ciekawością przyjrzała mu się uważniej. Wyglądał jakoś tak, że kojarzył jej się... z łokciem.

Pani Oliphant natychmiast się wyprostowała i zaczęła wycofywać,

zdjęta obrzydzeniem. Ciągnęła przy tym smycz, żeby Clipper nie zbliżył się do tego okropieństwa. Ramię. Nie dziwota, że pies tak wściekle ujadł. Musiał wyczuć okropny zapach i wcześniej niż ona zrozumiał, na co patrzyli. Yorki to takie mądre psy.

Stanowczo szarpnęła smycz, na chwilę dławiąc piskliwe szczekanie Clippera, po czym popatrzyła mu w oczy i uspokoiła go, żeby nie przeszkadzał, kiedy przez komórkę będzie wzywała policję. Mundurowi, którzy przybyli pierwsi, natychmiast zorientowali się, że patrzą na odcięte powyżej łokcia ludzkie ramię. Dłoń została odjęta w przegubie. Jeden z funkcjonariuszy znalazł gałąź i z jej pomocą przyciągnął rękę do betonowego muru, przy którym pluskała woda, a potem ostrożnie, centymetr po centymetrze, uniósł ją i ułożył na bruku. Nie miał najmniejszej ochoty jej dotykać, nawet gałęzią, ale wiedział, że musi coś zrobić, zanim ręka się uwolni i odpłynie lub być może utonie.

Ręka była matowobiała, woda niemal zupełnie pozbawiła ją barw. Mundurowi zrozumieli, dlaczego kobieta, która zadzwoniła, z początku pomyślała, że widzi śniętą rybę. Kończynę zauważalnie podskubały żyjące w rzece stworzenia. Z obu końców pod frędzlami skóry połyskiwała biała kość.

Gliniarze słyszeli o torsowych morderstwach i domyślili się, że ramię może być ważne. Policja niemal co tydzień prowadziła jakieś dochodzenie w sprawie dziwnych znalezisk wyławianych z nowojorskich rzek, a i tak nie wszystkie im zgłaszano. Ale ludzkie szczątki odkryte w czasie, kiedy jakiś psychol zabija i ćwiartuje swoje ofiary... to wymagało dokładnego sprawdzenia.

Jeden z mundurowych wysłuchał opowieści Grace Oliphant i zrobił notatki, a drugi zadzwonił do porucznika. Informacja, w sposób ściśle kontrolowany, podażyła urzędowymi kanałami w górę. Piętnaście minut później Renz zadzwonił do Quinna.

- Lewe ramię czy prawe? – zapytał Quinn Nifta.
- A ma to jakieś znaczenie?
- Skoro pytam, to ma – odpowiedział Quinn niskim głosem, na którego dźwięk pod setkami, jeśli nie tysiącami podejrzanych ugięły się nogi.

Pod Niftem nic się nie ugięło. W końcu chroniła go zbroja wybujałego ego. Uznał jednak, że pora przejść do rzeczy. Przyłożył palec wskazujący do policzka, przybierając zamyśloną pozę, i lekko się przesunął, by popatrzeć na oba końce ramienia.

- Na oko lewe, ale nie powiem ci nic konkretnego przed bada-

niem w prosektorium.

- Długo było w wodzie?
- Mogę tylko strzelać, że jakiś miesiąc.

Quinn doszedł do wniosku, że mogło należeć do pierwszej ofiary, jeśli w ogóle było częścią kogoś z tajemniczych korpusów. Pomyślał, że prawie na pewno było. Nawet w Nowym Jorku nie co dzień znajdowano odciętą kończynę.

- Potrafisz ją dopasować do któregoś tułowia?

Nift podniósł na niego wzrok i posłał mu paskudny, pewny siebie uśmiezek.

– Z moimi umiejętnościami na pewno. Tasak czy siekiera pozostawiają na kości charakterystyczne ślady. Cięcia na mięsie też będą porównywalne. Dodatkowe potwierdzenie uzyskamy po sprawdzeniu zgodności wieku. No i rzecz jasna dysponujemy DNA. Sporządzenie pełnego raportu trochę potrwa, ale żeby dać wam „tak” lub „nie”, wystarczy wstępne dopasowanie.

Zawyla syrena, po czym, jodłując, ucichła. Clipper trzymany przez panią Oliphant, stojącą przy kępie ozdobnych drzewek z pomarańczowymi owocami, wypełnił powstałą ciszę przesywającym ujadaniem. Kanciasty pojazd z błyskającym kogutem wyhamował na wzniesieniu za schodami wiodącymi do jednego z miniparków ciągnących się w tym miejscu wzdłuż rzeki. Quinn, zobaczywszy huśtawkę i drabinki do wspinania, ucieszył się, że to nie jakieś dziecko zeszło nad wodę i znalazło ramię.

Sanitariusz w białym kitlu bez wysiłku zbiegł po betonowych stopniach, pokonał niski murek okalający park i skierował się ku zbiorowisku. Był pulchny, ale zwinny i niósł czarną gumowaną teczkę z suwakiem, wyglądającą na taką, w której artysta mógłby nosić zdjęcia swoich prac.

Quinn pomyślał, że faktycznie w tym wypadku obejdzie się bez noszy. Ramię zmieści się w teczce ukośnie, pozostanie nawet trochę wolnego miejsca.

Sanitariusz miał ciemne włosy gładko zaczesane na bok i identyfikator, na którym widniało imię „Jeff”. Rozejrzał się, zauważył czarną skórzaną torbę lekarską i uśmiechnął się wyczekująco do Nifta.

– Można zabierać? – Ruchem głowy wskazał leżące na bruku białe ramię.

- Ja na razie skończyłem – odpowiedział Nift.

Quinn skinął głową, cofnął się wraz z Pearl i Feddermanem, a Jeff zabrał się do roboty.

- Uważaj z tym – ostrzegł go Nift, gdy Jeff wsunął ramię do

teczki i zapiął zamek błyskawiczny. – Jest od kompletu.
Jeff się nie uśmiechnął.

W biurze na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy nikomu nie było do śmiechu. Quinn i Fedderman zajmowali swoje miejsca po przeciwnych stronach pomieszczenia. Pearl przysiadła na blacie swojego biurka z kubkiem w dłoniach i skrzyżowanymi nogami. Pomieszczenie wypełniał aromat kawy, co było krokiem naprzód w porównaniu z dotychczasowym zapachem trocin i gipsowego pyłu. Robotnicy odnawiający górne piętra pilowali i walili młotkami – niszczyli, by później móc tworzyć. Hałas nie był na tyle duży, żeby przeszkadzać, ale prawie nie ustawał.

Quinn właśnie odłożył słuchawkę telefonu. Zanim przemówił, wpatrywał się przez dłuższą chwilę w aparat, jakby chciał lepiej zapamiętać treść rozmowy.

– Lekarz sądowy twierdzi, że ramię należało do trzydziestoparoletniej kobiety mierzącej metr pięćdziesiąt, może metr pięćdziesiąt pięć, przeciętnej budowy. Opuchnięte i zwisające mięso, które widzieliśmy, to efekt działania wody. Żadnych znaków szczególnych ani biżuterii. – Odchylił się na fotelu i skrzyżował ramiona. – Zdaniem Nifta ramię nie pasuje do żadnego tułowia.

– Ma pewność? – zapytał zaskoczony Fedderman.

– Ten kurdupel zawsze ma pewność – odpowiedziała mu Pearl.

Quinn zignorował i ją, i serię gwałtownych uderzeń młotkiem.

– Ślady na kości i ciele nie pasują, Feds. Mamy też wstępne wyniki przyspieszonych badań DNA. Wystarczy tego, by stwierdzić, że ramię nie pasuje do tułowia, które mamy. Nawet grupa krwi się nie zgadza.

– Może i tak uda nam się dowiedzieć, kim była. Znaczy właścicielka ramienia. Co z bazą danych DNA?

– FBI sprawdza to na swoich komputerach, ale moim zdaniem nie powinniśmy robić sobie nadziei.

Quinn wiedział, że baza danych, aczkolwiek już obszerna, wciąż była w powijakach. Odcięte ramię musiałyby należeć do kobiety, która niedawno trafiła do więzienia i której DNA zostało wprowadzone do bazy. Szanse na to były niewielkie.

Trójka detektywów siedziała w milczeniu, wsłuchana w stłumione uderzenia młotka – akompaniament dla przenikliwego zawodzenia piły motorowej.

Wreszcie odezwała się Pearl.

- Mamy trzecią ofiarę.
- Albo innego mordercę, który ćwiartuje zwłoki.

Fedderman zauważył, że ma rozpięty mankiet koszuli. Zapiął go.

– Może ramię zostało odcięte przypadkiem. Na przykład przez śrubę napędową łodzi.

Quinn uśmiechnął się cierpko.

– Patrole rzeczne nie słyszały o takim wypadku, nikt też nie zgłosił zaginięcia ramienia.

– Trzecia ofiara – powtórzyła Pearl.

Nikt się z nią nie spierał.

– Morderca odrąbał jej też dłoń – rzekł Fedderman.

– Na wszelki wypadek, żeby nie dało się zdjąć i porównać odcisków palców – odpowiedziała Pearl. – Nawet jeśli nie mamy ich w bazie danych. Ostrożne podejście, które w tym wypadku się sprawdziło.

Quinn westchnął i wstał.

– Reszta zwłok wciąż może znajdować się w rzece. Mogą w niej być szczątki pozostałych ofiar. Albo w jakimś jeziorze, albo w którymś dopływie rzeki. Zadzwońię do Renza, może uda się zorganizować poszukiwania w akwenach w Nowym Jorku i okolicach.

– Bosaki – powiedziała Pearl. – Tak przeczesują jeziora, bosakami.

Widziała już kilka takich operacji, ale na myśl o tej nie wiedzieć czemu przeszedł ją zimny dreszcz. Twarda stal szukająca w ciemnościach miękkiego ciała...

– Obecnie używa się też podwodnych kamer – powiedział Quinn.

– Nurkowie – dorzucił Fedderman. – Prędzej czy później ktoś będzie musiał zanurkować w mętnych wodach i poszukać obciążonych rąk, nóg i głów. – Skrzywił się i przesunął dłonią po włosach, których niewiele mu zostało. – Dobrze, że jestem za stary na takie rzeczy.

– Co mniejsze jeziora można osuszyć – uświadomiła go Pearl.

Pokręcił głową.

– Fakt, ale weź i osusz rzekę. A w niej znaleźliśmy ramię.

– Dobrze mówi – zwróciła się Pearl do Quinna.

– Globalne ocieplenie – powiedział Fedderman. – Prędzej czy później wysuszy wszystkie rzeki. Wtedy znajdziemy brakujące frag-

menty ciała.

Pearl napiła się kawy.

– Globalne ocieplenie – powtórzył Fedderman. – Najlepszy przyjaciel gliniarza.

– Obcięte ramię? – upewniła się Cindy Sellers. Ze słuchawką przy uchu siedziała za swoim biurkiem w redakcji „City Beat”. Mówiła cicho, żeby siedzący w pobliżu Howie Baker nie mógł jej podsłuchać. – Samo ramię? Skąd możemy wiedzieć, że łączy się ze sprawą torsowych morderstw?

– Wiemy, że się nie łączy – odpowiedział nerwowo Nift. Znajdował się kilka przecznic od prosektorium i dzwonił z komórki. Z telefonami nigdy nic nie wiadomo. W dzisiejszych czasach żaden nie jest bezpieczny. A jeszcze te kamery... Niedługo będą chyba w każdym zakątku Nowego Jorku. Nift chciał jak najszybciej mieć tę rozmowę za sobą. – Mogę cię zapewnić, że ramię nie jest połączone z żadnym znalezionym tułowiem.

– To oczywiste – odparła Cindy.

Przywykła do makabrycznych żartów swojego informatora i założyła, że właśnie jeden z nich usłyszała. Miała Nifta za palanta, ale jego informacje były wiarygodne, a ona była na tyle uprzejma, żeby pominąć jego nazwisko, kiedy ujawniła zaskakującą listę osób wypożyczających filmy porno. Napomknęła mu, że ma zdjęcia niektórych klientów wchodzących i wychodzących z różnych wypożyczalni. Nie wspomniała natomiast, że wprawdzie widziano, jak Nift wypożycza film o pijanych studentach w gospodarstwie konnym, ale na żadnym zdjęciu go nie było. Niech sobie snuje domysły.

– Co jeszcze wiadomo? – zapytała.

Nift opowiedział jej, co dało badanie ramienia.

– Trzecia ofiara – podsumowała Cindy, kiedy skończył. – A morderca zapewne obciąży fragmenty ciała i wrzuca je do wody. Ramię musiało jakoś się uwolnić od obciążenia i wypłynęło na powierzchnię.

– Nie za szybko te wnioski? – spytał Nift.

– Ej, taką mam pracę. – Cindy szczyrzyła zęby w uśmiechu. – Informuj mnie na bieżąco.

– Będę – odpowiedział Nift, zanim przerwał połączenie.

Cindy w to nie wątpiła.

Gloria skręciła z wąskiej drogi drugorzędnej w polną, niemal

zupełnie zarośniętą, i jechała nią, póki nie dotarła do rozchwierutanych drewnianych wrót, na których wisiała krzywo przybita tabliczka z wyblakłym napisem „ZAKAZ WSTĘPU”. David wysiadł z ogromnego chryslera, otworzył wrota i zaczął czekać, aż Gloria przez nie przejedzie. Rozejrzał się w przygasającym świetle, pomyślał, że do zachodu słońca została jakaś godzina, zamknął wrota na zardzewiałą zasuwę, po czym wrócił do samochodu.

Znajdowali się na farmie w New Jersey, godzinę drogi od miasta. Była opuszczona i od kilku lat wisiała w próżni prawa majątkowego. Kiedyś stały tu drewniany dom z osobnym garażem, stodoła i jeszcze jeden budynek gospodarczy przeznaczony na sprzęt i narzędzia. Z domu i garażu pozostały opustoszałe ruiny. Dwie ściany budynku gospodarczego zawałyły się, wydając tym samym stary ciągnik Forda z wyjętym silnikiem na pastwę żywiołów i rdzy, a o nienaruszoną ścianę opierały się łopaty i jakieś inne narzędzia.

Gloria zatrzymała samochód za garażem, otworzyła od wewnątrz klapę bagażnika i siedziała przez kilka minut wpatrzona w wysoką, ocienioną trawę, kołysząc się miarowo na wietrze.

– Pusto tu jak na Księżycu – powiedziała.

– Pora, żeby astronauta zabrali się do pracy – odrzekł siedzący obok niej David, po czym rozpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwiczki. (Będzie myślał o sobie jako o Davidzie, dopóki nie skończą tego, co mieli tu do zrobienia.)

Gloria pomyślała, że zawsze miał dobry nastrój, by nie powiedzieć: radosny. Wieczny optymista, niezależnie od sytuacji. Bez wątpienia między innymi ta cecha tak pociągała kobiety.

Podeszli do bagażnika. Przenieśli we dwojkę trawiaстым zboczem cztery wypchane czarne worki na śmieci i weszli z nimi jakieś sześć metrów w las. Worki zawierały ubranie i szczątki Shellie Marston z wyjątkiem tułowia z kulą w sercu, które porzucili obok kontenera na odpadki budowlane na Upper West Side. Znaleźli odpowiednie miejsce w ciemniejszym lesie i ułożyli worki na ziemi. David wrócił do samochodu po łopaty. Pod jego nieobecność Gloria odgarnęła stopą zeszłoroczne liście. Usatysfakcjonowana, zdrapała z buta błoto i poklepała się po tylnej kieszeni spodni, chcąc się upewnić, że nie wypadła z niej oprawna w skórę kieszonkowa Biblia.

Odwróciła się, usłyszawszy jakiś dźwięk. David oprócz łopat niósł ze sobą znaleziony gdzieś zardzewiały kilof o długim trzonku. Teraz kopanie pójdzie o wiele łatwiej, bo od trzech czy czterech dni nie padało i ziemia była twarda.

Gloria się uśmiechnęła. Pan Bóg ułatwiał im pracę.

Pearl głęboko odetchnęła, nabrała powietrza i powiedziała:

– Rany, to było coś!

Milton Kahn oczywiście właśnie to chciał usłyszeć. Z powrotem się do niej odwrócił na przesiąkniętym potem łóżku i zanurkował głową między jej piersi. Pocałował ją tam, po czym ucałował jeden i drugi sutek. Pearl nie była pewna, czy kocha tego faceta, ale nie było źle mieć go obok.

Można powiedzieć, że Milt był prezentem od matki Pearl i jej przyjaciółki pani Kahn, które mieszkały w domu spokojnej starości Golden Sunset w Teaneck. Pani Kahn była ciotką Milta.

Obie panie postanowiły zaaranżować romans, jeśli nie małżeństwo. Pearl pod przymusem umówiła się z nimi i Miltem na lunch w przygnębiającej sali jadalnej Golden Sunset. Zdziwiło ją, że naprawdę polubiła tego mężczyznę. Był niski tak jak ona, przystojny, ciemny, z wąską napoleońską bródką, która łaskotała tam, gdzie trzeba, i dzięki której wyglądał na magika lub słynnego psychiatrę, a nie na usiłującego związać koniec z końcem dermatologa.

Pearl odkryła, że dobrze się z nim rozmawiało – miał poczucie humoru. Jak na dermatologa dowcipny facet. Po drugiej randce usunął z jej szyi jakieś narośle. Dziwne, ale było to dla niej nader intymne doświadczenie. Zaiskrzyło między nimi ku zachwytowi matki Pearl, a potem pojawił się płomień, jeśli nie rozszalałe morze ognia. Płomień był lepszy niż nic. Świat to zimne miejsce.

Pearl usiadła i obiema rękami wygładziła włosy, bo miała wrażenie, że wygląda jak wariatka. Milt z uśmiechem obserwował jej poruszenia na materacu. Poczula, jak opuszkami palców przesuwają po łuku jej prawego pośladka.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał.

Miał niski głos jak na tak niewysokiego mężczyznę. Gruby. Sam nie był gruby, ale szczupły i umięśniony. Opalony, z mnóstwem ciemnych włosów na piersi. Miał też ich trochę – może nawet zbyt wiele – na plecach.

– Pod prysznic – odpowiedziała Pearl. – Muszę spadać.

– Mieszkasz tu – przypomniał jej Milt.

– Ale tu nie pracuję.

Westchnął.

– Zawsze ta twoja praca.

– Wiele żon gliniarzy w kółko to powtarza.

– Seksistka.

– I mężów – poprawiła się Pearl.

Wstała i podreptała na bosaka w stronę łazienki.

– Wiesz, że jesteś piękna? – niskim głosem odezwał się Milt za jej plecami.

– No jasne.

– A twoja praca by mi nie przeszkadzała, gdyby nie była niebezpieczna.

– Cóż, wiadomo że wolałabym być naczelnikiem policji.

– Co do tej sprawy torsowych morderstw, którą się zajmujesz...

Skąd wiesz, że nie staniesz się jedną z ofiar mordercy?

Zatrzymała się w drzwiach i odwróciła do niego.

– Milt, ten facet chce się trzymać jak najdalej ode mnie.

Wsparł się na łokciach i wyszczerzył zęby, wodząc wzrokiem po jej sylwetce.

– W głowie by mi to nie powstało.

– Co ci powstało, to wciąż stoi – odpowiedziała i leniwym krokiem, zaspokojona seksualnie, podjęła wędrówkę do łazienki.

Gdy już się wykąpała i ubrała, a jej włosy jeszcze lśniły od wilgoci, na stole kuchennym zastała tosta, sok pomarańczowy i kawę. Tost był lekko przypalony, tak jak lubiła, i razem ze świeżo zaparzoną kawą wypełniał kuchnię wspaniałym zapachem. Milt był na bosaka i miał nagi tors, ale włożył spodnie i – naprawdę! – stary fartuszek Pearl, otrzymany od matki. Pearl sądziła, że wyrzuciła go dawno temu, ale oto znalazł się w jej kuchni na mężczyźnie, z którym przed chwilą uprawiała seks. Quinna nigdy nie widziała w fartuszkach i nawet nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Żony glin – powiedziała Pearl – są po prostu święte.

– I mężowie glin – dodał Milt, siadając po drugiej stronie stołu.

Ognisko domowe, pomyślała Pearl. Nie ma nic lepszego. Dopóki nie zmieni się w coś najgorszego.

Znajdowali się w gabinecie Renza na Police Plaza 1. Gabinet nie wyglądał na miejsce pracy policjanta, ponieważ nim nie był. Żadnych szpargałów, korkowej tablicy z grafikami i notatkami, żadnej szafki na akta w widocznym miejscu. Harley Renz wznosił się wysoko

ponad to i jak wielu przed nim traktował stanowisko komisarza przede wszystkim jako funkcję polityczną. Nic dziwnego, skoro objął je bardziej dzięki zabiegom politycznym niż policyjnej robocie.

Dywan w gabinecie miał kolor głębokiej czerwieni, a ściany wyłożone zostały dębową boazerią. Nieodzowne dowody uznania, pochwały i zdjęcia wisiały na ścianie za biurkiem. Samo biurko było ogromną płytą z ciemnego plamistego granitu. Jeśli w gabinecie znajdował się jakiś sprzęt elektroniczny, to został ukryty w wysokiej wielodrzwiowej komodzie z dębiny, która niemal doskonale zlewała się z boazerią. Naprzeciwko biurka stały dwa brązowe fotele. Z boku ustawiono mały stół otoczony czterema fotelami, przeznaczony na szybkie konferencje, a także wyglądający na antyk stoliczek, na którym stał wazon z rżniętego szkła pełen różnobarwnych kwiatów. Quinn się domyślił, że świeże kwiaty przynoszono codziennie. Karierowicz Harley Renz wiodący uprzywilejowane życie, pragnący wspiąć się wyżej. Quinn słyszał, że tę samą cechę mają karaluchy – niepowstrzymanie zmiernają na szczyt budynku. Ciekawe, co robią po dotarciu na dach.

Poza Quinnem i jego ekipą w gabinecie była też Helen od profili psychologicznych. Miała na sobie zielony blezer, szare spodnie i buty na wysokich obcasach, dzięki którym wydawała się wyższa nad swoje metr osiemdziesiąt z okładem. Pearl ubrała się w lekką granatową garsonkę, w której jej karnacja i włosy wydawały się ciemniejsze. Quinn pomyślał, że wygląda dziś na ożywioną i pełną energii, zdrową i promieniującą witalnością. Była po prostu piękna. Zaczynał rozumieć, jak bardzo zdrowie wiąże się z seksapilem.

Przylapała jego spojrzenie, więc odwrócił wzrok. Był pewien, że w tej samej chwili ona też szybko popatrzyła w inną stronę.

Renz wyciągnął gdzieś spod blatu biurka egzemplarz „City Beat” i położył go na granicę.

– Cindy Sellers pyta, dlaczego morderca nie ukrywa całych ciał. Dlaczego zostawia tułowia tam, gdzie na pewno zostaną znalezione.

– My też chcemy to wiedzieć – odpowiedział Quinn.

Renz przeniósł wzrok na Helen, która właśnie stanęła przy oknie. Przyszedł czas na jej wypowiedź. Do Quinna dotarło, że Helen lubiła stawać przy oknach. Może chciała, żeby było ją widać jako kontur.

– Pewnie dlatego tu jestem – zaczęła głosem Lauren Bacall. Nawet trochę przypominała młodą Bacall, była tylko wyższa i bardziej muskularna. – Z postępowania mordercy można wywnioskować, że pozostawianie tułowi to element jego megalomanii i rządzącego nim przymusu. Musi pochwalić się tym, co zrobił. Musi mieć pewność, że

ktos wie o popełnionej zbrodni, która uszła mu na sucho.

– Ten ktoś to policja? – zapytał Fedderman, który zajmował raczej niewygodny fotel przy stoliku z kompozycją kwiatową.

– Bez wątpienia. Ale również społeczeństwo. Tułowia to wystawione na widok publiczny pamiątki, którymi dzieli się z ludźmi.

– Szczodry typ – mruknął Fedderman.

Helen być może się uśmiechnęła, ale trudno było powiedzieć na pewno, skoro była tylko konturem.

– W ten sposób gra też na nosie policji i terroryzuje miasto.

Quinnowi, od dawna zaznajomionemu z grami, jakie prowadzili seryjni mordercy, nie trafiło to do przekonania.

– A może dba o to, żeby szczątki ofiar pozostały anonimowe, bo chce utrudnić dochodzenie?

– Quinn ma rację. To do mnie przemawia – powiedziała Pearl, zanim Helen zdążyła się odezwać. – Granie na nosie też. – Pokręciła głową. – Co do tych pamiątek, nie jestem pewna. Niektórzy seryjni lubią zachowywać pamiątki po ofiarach, na przykład kosmyk włosów czy coś w tym rodzaju, ale rzadko mają ochotę się nimi dzielić. Ukrywają je gdzieś, gdzie od czasu do czasu mogą na nie popatrzeć. Jak wszyscy kolekcjonerzy.

– Słusznie – przytaknęła Helen. – Lubią wspominać swoje zwycięstwa. Daje im to poczucie ważności i władzy.

Quinn poprawił się w miękkim fotelu stojącym najbliżej biurka, które miało rozmiary kabiny załogowej samolotu, i skrzyżował ramiona.

– Wszystko to tylko teorie.

– Zgoda – powiedziała Helen. – Mam mało danych, podobnie jak ty.

– Jedno wiemy na pewno – wtrącił Fedderman. – Mamy do czynienia z kimś zdrowo walniętym.

– Te paliki czy czymkolwiek gwałci ofiary... – dodała Pearl.

– Po śmierci – przypomniał wszystkim Renz. Spojrzał pytająco na Helen. – Dlaczego właściwie po śmierci?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała Helen.

– Nekrofil, któremu nie staje – podsunął Fedderman.

Helen wzruszyła ramionami.

– Strzał dobry jak każdy inny.

Patrzcie państwo, pomyślał Quinn, ucziwa specjalistka od profili psychologicznych.

– Tak naprawdę gość trzyma nas w ciemnościach – powiedział.

– Z czego można wydedukować, że jest bystry – odparła z

sarkazmem Helen.

– Nareszcie robisz jakiś profil – odezwał się Renz.

Zgrabny kontur, czyli Helen, wydawał się nieporuszony równie sarkastyczną ripostą. Quinn postanowił ich powstrzymać, zanim nadmiar sarkazmu doprowadzi do poważnej awantury. Uprzedził go dzwonek telefonu. Nawet nie widział aparatu ukrytego we wnęce pod blatem po drugiej stronie biurka. Dzwonek był tak cichy i stonowany, że trudno było go nazwać dzwonkiem – przypominał raczej powtarzalny, kojący motyw na skrzypce, który zaraz przejdzie w subtelną melodię.

Gdy Renz podnosił czarną plastikową słuchawkę, pasującą kolorem do biurka, wyglądał na zdenerwowanego, że im przeszkodzone, ale niemal natychmiast jego twarz spoważniała.

– Tak. Tak – powiedział. Wyjął z wnęki pod blatem notatnik. – Jezus! – jęknął, wodząc wzrokiem po zebranych.

Możliwe, że informował ich, kto dzwoni, tak poważny i oszłomiony wyraz przybrały jego ogarze rysy. Przełożył słuchawkę do lewej ręki, a prawą zaczął notować. Skrobiąc długopisem, raz za razem powtarzał „tak”. Wreszcie podziękował rozmówcy i odłożył słuchawkę. Siedział przez jakąś minutę, wodząc opuszkami palców po obwisłych policzkach. Naciągał przy tym skórę pod oczami, przez co jeszcze bardziej przypominał czystej krwi psa gończego.

– Mamy kolejny tułów – powiedział. – Przy śmietniku na Upper West Side.

– Może będzie pasował do naszego ramienia – rzekł Fedderman. Renz pokręcił głową.

– Za świeży. Ofiarę zabito w ciągu ostatnich kilku dni.

Pearl, odchyłona w fotelu tak, że tylko jego tylne nogi stykały się z podłożem, zrozumiała wagę słów Renza. Usiadła prosto, a mebel głucho stuknął na puszystym dywanie.

– Ofiara numer cztery – powiedziała.

Renz wbił wzrok w leżący na biurku złożony egzemplarz „City Beat”.

– Chyba powinienem zadzwonić do Cindy Sellers. – Popatrzył na Quinna jakby w poszukiwaniu pomocy. – Baba staje się wielkim wrzodem na dupie.

Quinn wruszył ramionami.

– To ty podpisałeś pakt z diabłem.

– Ciągłe to robię – odparł Renz. – Przeważnie wychodzi na dobre. – Przesunął notatnik, żeby Quinn mógł skopiować zapiski. – Musisz znaleźć tego drania, Quinn.

Quinn uznał, że to nie wymaga odpowiedzi, i dalej pisał w milczeniu.

Opuścili Renza i udali się na West Side tam, gdzie znaleziono zwłoki. Komisarz został sam pośród dowodów uznania, pochwał i łechcących ego oprawionych zdjęć. Jego biuro nagle zrobiło się mniejsze.

W tym momencie nie czuł się tu dobrze.

Jechali we trójkę starym lincolnem Quinna na West Side obejrzeć znaleziony tułów. Quinn siedział za kierownicą, Pearl obok niego, a Fedderman z tyłu. Zmierzali Broadwayem na północ. Ruch był intensywny i wszędzie unosiła się mgielka pachnąca spalinami. Pozłacało ją słońce, zniżające się nad bocznymi uliczkami. Gdy Quinn, żeby nie tracić czasu, wyprzedził turystyczny autobus, w kieszeni Pearl zabuczał i zawibrował telefon komórkowy. Wyjęła go i zobaczyła na wyświetlaczu numer Golden Sunset. Matka. Bo kto inny? Pearl poczuła znajomą obawę i złość.

Quinn obrzucił ją wzrokiem, ciekaw, czy zamierza odebrać. Z poczuciem, że w zasadzie nie ma wyboru, Pearl odebrała.

– Detektyw Kasner – rzuciła. Niech matka wie, że córka jest w pracy. Łypnęła na Quinna, który patrzył na drogę. Czyżby się uśmiechał? Czy ten drań się uśmiechał?

– Tu matka, Pearl – głośno rozbrzmiało w słuchawce.

Pearl nie miała ochoty słuchać tego głosu, ale mocno przycisnęła telefon do ucha, żeby do Quinna i Feddermana dotarło jak najmniej z tej rozmowy.

– Pearl? Czy to ty, złotko?

– Tak. – *Bądź oschła i zwięzła. Niech to trwa jak najkrócej.*

– Dzwoniłam, złotko, do twojego mieszkania, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Co się porobiło z tym światem, że maszyny odbierają za nas rozmowy! Może telefony powinny ze sobą rozmawiać bez naszego udziału? Odsłuchujesz czasem wiadomości?

– Czasem. – *Jak najkrócej.*

– Więc może twoja sekretarka kasuje te ode mnie. Zastanawia mnie, złotko, czy rozstaliście się z Miltonem Kahnem w zgodzie.

Że co?

– To znaczy po ostatniej nocy – dodała matka.

Słucham??? To było nie do przyjęcia.

– Z kim rozmawiałaś? Co masz na myśli? – *Nie do przyjęcia!*

– Złotko, to dwa pytania naraz.

– Więc mi na nie odpowiedz.

– Nie warcz na mnie, Pearl. To bardzo nieładnie. Rozmawiałam z panią Kahn. Bo niby czemu nie? Żadna tajemnica, że jesteście z Miltonem dobraną parą.

Pearl bez problemu się domyśliła, skąd pani Kahn czerpała informacje. Umilkła, zauważając przy okazji, że Quinn obserwuje ją kątem oka.

– O pewnych sprawach się nie mówi – oznajmiła.

– Chyba nie myślisz, złotko, że się z tobą nie zgadzam? Ale to wyjątkowa sytuacja. Pani Kahn powiedziała, że Milton choruje ze zmartwienia o ciebie. O twoje bezpieczeństwo. Doszli do wniosku, to znaczy pani Kahn i jej cudowny bratanek Milton, że powinnam z tobą porozmawiać.

Już ja nauczę cudownego Milтона trzymać gębę na kłódkę.

– Miło, że się o mnie troszczy, ale to naprawdę nie jego sprawa. Ani jego powiernic.

– Moja droga Pearl, niektórzy cię kochają i martwią się o ciebie. Co innego pozostaje nam w świecie, w którym wszystko, włącznie z twoją matką, któregoś dnia obróci się w proch? I to niedługo, z całą szczerością pozwolę sobie dodać, jako że poczucie nieszczęścia, z którym żyję w tym piekielnym przytułku, z dnia na dzień staje się większe.

– Domu opieki. To nie jest przytułek, ale dom z apartamentami, w którym każdy ma telewizor, wygodne łóżko, kuchnię, osobną łazienkę, sofę i tyle posiłków dziennie, ile dusza zapagnie, w tym duszone mięso w potrawce, za którym przepadasz. Przyjeżdżają do was na występy artyści z programu *Lawrence Welk Show*. Macie świetlice, autobusy do Atlantic City. To są apartamenty w domu opieki.

– Poczekalnie dla umierających, złotko.

– Nie sądzę. – Pearl gotowała się ze złości. Jakże wyglądała końca tej rozmowy! – Tylko o tym chciałaś porozmawiać? Jeśli tak, to jestem zajęta.

– Znowu warczysz.

– Z premedytacją.

– Pearl, chcę tylko, żebyś zaczęła myśleć o przyszłości. Milton, dom, daj Boże i dzieci. Miejsce bez morderców, pistoletów, noży i ulicznego slangu. Istnieją inne zawody, Pearl. Milton powiedział pani Kahn, że mogłabyś pracować jako jego recepcjonistka. To bezpieczny zawód. Milton chce cię zabrać z ulic. Wszyscy chcemy. My, którzy cię...

– Dobrze, dobrze. Taką mam pracę.

– Jak mówiłam, Pearl, są jeszcze inne zawody.

Na przykład recepcjonistka u dermatologa.

Quinn nacisnął klakson i sklął poobijaną brudną taksówkę, która zajechała mu drogę.

– Czyżbym usłyszała tego przemilego pana Quinna, Pearl?

– We własnej osobie.

– Cóż za wspaniałe mężczyzna! Obrońca i opiekun. Powinnaś czuć się wyróżniona, Pearl. Możesz wybierać między dwoma dobrymi ludźmi: policjantem, chłopem z kośćcami i pokazną emeryturą, a, wyobraź sobie, lekarzem.

– Między obsesjonatem a łasicą.

– Słucham? – odezwał się Quinn.

– Rozmawiam przez telefon.

– Co mówiłaś, złotko?

– Pora zakończyć tę rozmowę. Naprawdę.

Quinn znów nacisnął klakson, nie odrywając oczu od taksówki, która się przed niego wpakowała. Jej kierowca wyciągnął rękę przez okno i uniośł środkowy palec. Quinn zatrząbił po raz kolejny.

– Jeśli starczy nam czasu, zatrzymam sukinsyna.

– Starczy – zapewnił Fedderman z tylnego siedzenia. – Pani, do której jedziemy, jest martwa.

– No popatrz, jaki dupek, Feds!

– Taksówkarze myślą, że rządzą na drogach jak gliny – powiedział Fedderman.

– Pieprzyć całą tę bandę.

– Pearl? Złotko?

– Muszę kończyć. Przepraszam.

Pearl się rozłączyła wściekła na łasicę Milтона, który paplał o wszystkim swojej ciotce plotkarce. Co się z tym światem porobiło?

– Dzwoniła twoja matka? – zapytał Quinn. Przed nimi zrobiło się pusto, więc dodał gazu.

– Jak na to wpadłeś? – sarknęła Pearl.

– Mogłaś ją ode mnie pozdrowić.

– Mogłam. W końcu uważa cię za Boga.

– Ode mnie też. – Z tylnego siedzenia dobiegł głos Feddermana.

– Ciebie uważa za kutasa – skwitowała Pearl.

Przesmyk, w którym niby czołg bez lufy przycupnął zakurzony zielony kontener na śmieci, z obu stron blokowała żółta taśma poli-cyjna. Na miejscu zdarzenia pilnie uwijali się technicy kryminali-styczni z luminolem, szklami powiększającymi, pęsetami i plastiko-

wymi torebkami na dowody rzeczowe. Co znaleźli, oznaczali i pakowali. Fotograf już skończył i majstrował przy ich sprzęcie. Wszyscy zdawali się omijać wzrokiem jasny, woskowy fragment ciała leżący obok kontenera.

Quinn rozejrzął się, ale nigdzie nie widział Nifta. Może mała napoleońska wesz już sobie pojechała. Wtedy podeszła do nich kobieta ubrana w dżinsy, czarny T-shirt i bezrękawnik tak na oko z setką kieszeni. Była szatynką po czterdziestce o krótkich, praktycznie przyciętych włosach, miała szczupłą figurę i uroczą, poznaczoną zmarszczkami twarz, nieco zaczerwienioną wokół nosa i oczu, jakby cierpiała na trądzik różowaty. Niosła czarną torbę lekarską.

– Detektyw Quinn?

Quinn odpowiedział, że owszem. Uśmiechnęła się. Miała ładne zęby – prawdopodobnie traktowała je wybielaczem.

– Doktor Chavesky z biura lekarza sądowego.

– Spodziewałem się Nifta.

– Musiał wyjechać z miasta w ważnej sprawie. – Kolejny uśmiech. Olśniewający, ale nie sztuczny. – Jest pan rozczarowany?

– Na razie nie. – Quinn wskazał głową tułów. – Skończyła pani z tym?

– Z nią? Aha. Znam całą sprawę. Ze wstępnych oględzin wynika, że zginęła tak jak poprzednie ofiary: strzał w serce, obrażenia waginy, z całą pewnością pośmiertne. Czubek tego, co w nią wepchnięto, rozerwał mniejsze wargi sromowe. Ciało rozczłonkowano prymitywnie, ale z wprawą.

– Wciąż jest w nim kula? – zapytała Pearl. Razem z Feddermanem stała z boku i słuchała.

Doktor Chavesky zwróciła się do nich. Wiedziała, że razem z Quinnem stanowią komplet.

– Tak. Nie ma rany wylotowej. Kula małego kalibru prawdopodobnie przebiła mostek. Dopiero sprawdzimy, jak bardzo się rozpadła i czy da się przeprowadzić badania balistyczne.

– Ofiara umarła od razu? – zapytał Fedderman.

– Raczej nie. Dopiero po kilku minutach. Istnieje oczywiście możliwość, że morderca strzelił do niej kilka razy. Nie dysponujemy całym ciałem, jak widać.

Quinn rzucił okiem na bezgłowy korpus. Szybko odwrócił wzrok.

– Od dawna nie żyje?

– Szacuję, że od dziesięciu do piętnastu godzin. Powiedziałabym, że kiedy zatrzymał się dla niej czas, miała trzydzieści parę lat.

– Jakież inne urazy ciała?

Posłała mu spojrzenie.

– Poza obrażeniami waginy i poćwiartowaniem? Nie. Tylko po-cisk. Wygląda na to, że kiedy ją trafił, była w pozycji stojącej, a mor-derca znajdował się tuż przed nią. – Chavesky spojrzała na zegarek. – Lada chwila przyjedzie karetka i zabierze ciało, chyba że chcecie je tu sobie obejrzyć. Ja muszę lecieć.

– Oględziny nie zajmą nam dużo czasu – powiedział Quinn.

Doktor Chavesky skinęła głową.

– Jak najszybciej wyśle wam wyczerpujący raport z autopsji.

Wymienili się z Quinem wizytówkami. Quinn zauważył przy tym, że jej pełne nazwisko brzmiało Linda Chavesky. Umieścił wizytówkę w kieszeni koszuli, za złożonymi okularami do czytania, i przyglądał się, jak wdzięcznie pochyłona pani doktor przechodzi pod taśmą policyjną, a potem wsiada do szarego służbowego samochodu. Była szczupła, ale siły raczej jej nie brakowało, sądząc po tym, że bez wysiłku niosła czarną torbę lekarską.

Quinn i jego detektywi podeszli do nagiego tułowia. Nift na pewno poczyniłby uwagę na temat piersi ofiary, które, choć nieduże, były ładnie ukształtowane nawet po śmierci. Młoda kobieta, bez dwóch zdań. Tak wiele życia jej skradziono. Quinn szybko obejrzał ślady po uciętych ramionach i odciętej głowie. Potrafił to zrobić bez emocji. Te przyjdą później, po pracy, kiedy zostanie sam. Ofiara miała czarne włosy łonowe i nie trzeba było lekarza, żeby zauważyć obrażenia pochwy.

– Łatwo mógł schować ją za kontenerem – zauważyła Pearl. – A nawet w środku.

Słodko-zgniły odór wydobywający się z kontenera (miała nadzieję, że z niego dochodził) przyprawiał ją o mdłości.

– Nasz ptaszek chciał, żebyśmy szybko ją znaleźli – powiedział Fedderman.

– Pytanie brzmi: dlaczego? – odparła Pearl.

– Będziemy nad tym myśleć – zapewnił Fedderman, dając jej do zrozumienia spojrzeniem, że zapytała o coś oczywistego.

– No tak. Jesteśmy detektywami.

– To zachowujcie się jak detektywi – wtrącił Quinn. Nie chciał, żeby się pożarli, zwłaszcza na oczach techników, którzy udawali, że nie słuchają, ale słuchali.

– Żadna z ofiar nie była wytatuowana – zauważył Fedderman. – Choć może to tylko przypadek.

– Nie miały też kółek na sutkach ani pępku – dodała Pearl.

Quinn popatrzył na nią z czymś w rodzaju aprobaty.

- Ale co to, do cholery, znaczy? – chciał wiedzieć Fedderman.
- Może nic.
- Że nie obracali się w perwersyjnym towarzystwie – powiedział Quinn. – Nie bawiły się w sado-maso i tym podobne.

Fedderman wskazał palcem zbezczeszczonego, pozbawionego życia tułów.

- Twoim zdaniem to nie jest sadyzm?

Quinn odetchnął głęboko.

- Masz rację.
- Warto się nad tym zastanowić – rzekła Pearl.
- Nad tym, czy nie kręcono z nimi sadomasochistycznych filmów ostatniego tchnienia? – spytał Fedderman.
- Nie. Nad tym, czy masz rację.

Pearl powiedziała to w zamyśleniu, tym razem najwyraźniej nie chcąc dopieć Feddermanowi. Nie dopytywali. Nauczyli się nie przeszkadzać, kiedy Pearl błędziła myślami, co często jej się zdarzało. Niech się zastanawia. Dzięki temu przestanie myśleć o telefonie od matki czy co tam ją tak wzburzyło. Przestanie warczeć na ludzi.

Jeszcze tego samego dnia Linda Chavesky zadzwoniła na komórkę Quinna. Powiedziała mu, że serce ofiary zostało trafione odłamkiem pocisku kalibru 22, który wszedł w ciało, otarł się o mostek i rozpadł na trzy części.

– Nie zginęła od tego na miejscu – dodała – ale zakładam, że strzał ją powalił i spowodował szok.

– Innymi słowy, był też drugi strzał – podsumował Quinn. – W część ciała, której nie znaleźliśmy, prawdopodobnie w głowę.

– Najpewniej. Sprawę załatwiłoby też przecięcie nożem dużej tętnicy szyjnej lub udowej. Nie wiemy, czy wykrwawiła się na śmierć, czy krew po prostu wypłynęła z niej podczas ćwiartowania. Mogło tak być, jeśli poćwiartowano ją zaraz po śmierci, zanim krew zdążyła skrzepnąć.

Quinn nie odpowiedział. Sposób oddawania strzałów coraz bardziej przywodził mu na myśl płatnego mordercę. Raz w serce, drugi albo i trzeci w głowę, dla pewności.

– Jeszcze jedno. To, co wbito jej w waginę, a potem jeszcze głębiej, było obłym, drewnianym przedmiotem o zaostrozonym końcu. Idealnie tu pasuje przepiłowany i zastrugany kij od szczotki. Oczywiście do penetracji doszło po śmierci.

– Skąd pani wie, że drewnianym? – zapytał Quinn, przekonany, że znów usłyszy o nawilżającym środku do pielęgnacji mebli.

- Przyłożyłam się do tego. Znalazłam drzazgę.
- Super! Do tej pory zgadywaliśmy, teraz mamy pewność.
- Czy to był komplement?
- A jak.
- Czymkolwiek dokonano penetracji, pozostały nieznaczne ślady, wskazujące, że przedmiot był natłuszczony.

- Środek do pielęgnacji mebli – powiedział Quinn. – Jego ślady wykryto też u pozostałych ofiar. Ale nie mogliśmy na sto procent przyjąć, że przedmiot był drewniany, dopóki nie znalazła pani drzazgi.

Potrafił sobie wyobrazić, jak morderca czule ostrzy i wygładza zabójczy kawałek kija od szczotki, jeśli rzeczywiście właśnie tego używał. Helen Iman zasugerowałyby, że chodzi o symbol falliczny. Może i tak.

- Określiłabym ofiarę jako przeciętnej budowy trzydzistoparolatkę o krągłej sylwetce – powiedziała Linda. – Magnes na mężczyzn.

Trochę tym Quinna zaskoczyła. Lekarze sądowi przeważnie nie byli tak gadatliwi i skłonni do spekulacji, zwłaszcza w rozmowach telefonicznych z nowo poznanymi detektywami.

- Proszę chwilę zaczekać – powiedziała.

Quinn czekał ze słuchawką przyciśniętą do ucha, słuchając niezrozumiałej rozmowy w tle.

Na łączu powrócił głos Lindy:

- Kolega z balistyki właśnie przekazał mi raport. Pocisk wystrzelono z broni, którą zabito poprzednie ofiary. Czyli ma pan jeszcze jeden pewnik. Wskoczmy gdzieś na kawę?

- Proszę?

- Gliniarze nie proszą. Zapraszam cię na randkę. Nie jesteś gliną w pełnym tego słowa znaczeniu, a nawet gdybyś nim był, byłbyś moim przełożonym, nie ma więc w tym wypadku mowy o molestowaniu seksualnym. Wystarczy tak lub nie.

Quinn wyszedł z osłupienia i pomyślał, że co mu szkodzi. Roześmiał się.

- Zatem tak, Lindo. Spotkajmy się gdzieś na drinka.

- Powiedziałam „na kawę”.

Quinn wyczuł, że poruszył czułą strunę.

- Jasne. Na kawę.

- Nie będę owijała w bawełnę, pijałam kiedyś alkohol w celach pozamedycznych.

- Jeśli miałaś problem alkoholowy, to jesteś w niezłym towarzystwie. – Quinn natychmiast pomyślał, że nie powinien tego mówić.

Nie stwierdziła wprost, że miała problem.

– Nikt nie miał „problemu alkoholowego”, kapitanie Quinn. Nie piję już ponad dwa lata i zamierzam tak trzymać.

– Wystarczy Quinn, Lindo. Pasuje ci Lotus Diner na Amsterdam? Wieczorem?

– Pewnie. Wiem, gdzie to jest. Około siódmej?

– Lepiej o szóstej. Napijemy się kawy i pomyślimy o kolacji.

– No to czeka nas randka, Quinn.

Quinn się uśmiechał. Wtedy mu się przypomniało, że prowadzą oficjalną rozmowę.

– Coś jeszcze na temat ofiary, pani doktor?

– Nie utopiła się.

Randka, myślał Quinn, wpatrując się w pusty wyświetlacz telefonu. Był odrobinę wytrącony z równowagi, ale nie dlatego, że Linda Chavesky go uwodziła – po pięćdziesiątce nadal prezentował się co najmniej na tyle dobrze, żeby nie wypaść z gry. Uderzyło go, że podczas rozmowy z Lindą ani razu nie pomyślał o Pearl.

Wiedział, jaki jest zawzięty i uparty, zresztą Pearl nieraz mu to powtarzała, ale nawet najbardziej zdeterminowany człowiek znudzi się w końcu pukaniem do drzwi, których nikt nie otwiera, czekaniem, za którym jest tylko dalsze czekanie.

Być może dał się wreszcie przekonać Pearl, że nigdy nie zwiążą się ponownie, że ta możliwość przepadła na zawsze. I może miała rację, że tak powinno być i że powinni się z tym pogodzić oboje, a nie tylko ona. A może po prostu tracił nadzieję.

I chwycił się innej.

Jill wybrała portal E-kstaza.org.

Sprawdziła kilka serwisów randkowych, ograniczając się do tych zarejestrowanych w Nowym Jorku lub oferujących usługi w tym mieście. Było ich w bród, zwłaszcza jeśli ktoś miał niecodzienne upodobania seksualne. Ale niektóre wydawały się przyzwoite, a nawet cieszyły się poważaniem. Właśnie spośród nich trafiła na E-kstazę. Uważnie wypełniła ankietę online, mającą określić profil jej osobowości. Atrakcyjne zdjęcie, zbliżenie zrobione na weselu, na którym była kilka lat temu, jeszcze w domu, miała na twardym dysku. Dołączyła JPG-a do wypełnionej, zdumiewająco szczegółowej ankiety, zapisała ją w skrzynce w folderze „Robocze” i dała sobie dwa dni do namysłu.

Po dwóch dniach, co do godziny, głęboko zaczerpnęła tchu i kliknęła przycisk „Wyślij”. Niemał natychmiast otrzymała mejla, w którym były gratulacje, że dokonała tak dobrego wyboru, zachwyty nad jej wyglądem i idealnym profilem osobowości oraz zapewnienie, że na pewno wielu mężczyzn będzie się chciało z nią umówić. Mogła teraz ustalić hasło i przeglądać profile ewentualnych partnerów albo, jak czyniła większość klientów, zaczekać, aż eksperci z Ekstazy, mający do dyspozycji obszerną bazę danych i specjalne oprogramowanie, wybiorą dla niej najlepszego kandydata.

Jill bez namysłu przesunęła kursor na przycisk z prośbą o pomoc eksperta. Za to przecież ściągnęli należność z jej karty Visa. Bóg wie, że sama nie najlepiej sobie radziła, jeśli idzie o kuszenie i dobór mężczyzn. Niech eksperci zrobią to za nią. Skoro potrafili zaprojektować jej szafę i album fotograficzny, zaprojektują też jej życie. Kliknęła myszką i poczuła natychmiastową ulgę. Dokonała wyboru, doprowadziła swoje zamierzenie do końca. Pozostało już tylko czekać, a w tym ona była ekspertem.

W Lotus Diner zajęli boks przy oknie, przypadkiem ulubiony boks Quinna, w którym często jadał śniadania i czytywał gazety nad kawą. Światło dnia walczyło z zapadającym zmrokiem, a chodniki wciąż

były zatłoczone. Ciągający jednostajnym strumieniem przechodnie rzadko zauważali Quinna i Lindę Chavesky, choć niektórzy mijali ich zaledwie o centymetry, oddzieleni grubą szybą okienną.

Quinn i Linda z początku byli spięci, ale przy drugiej filiżance kawy jakoś się otworzyli. Quinn polubił Lindę, wyczuwał też, że i ona go polubiła. W spodniach, luźnej żółtej bluzce, z umyślnie zmierzwiionymi włosami i złotym łańcuszkiem na szyi prezentowała się o wiele atrakcyjniej niż na miejscu zbrodni. Padające na nich światło nie traktowało jej łaskawie, ale nie potrzebowała takiej łaski. Po kurzych łapkach, które zaczynały się pokazywać w kącikach jej inteligentnych oczu, Quinn ocenił, że niedawno przekroczyła czterdziestkę. Pomyślał, że ta oczywista inteligencja jest w niej najbardziej uderzająca. I ledwie dostrzegalny smutek, owoc ciężkich doświadczeń. Smutek, który Quinn potrafił rozpoznać, ponieważ często widywał go w lustrze. Nałożyła na ten wieczór jakiś makijaż, który dość skutecznie maskował czerwone przebarwienia na policzkach i nosie.

– Trądzik różowaty – powiedziała z uśmiechem. Zauważyła jego spojrzenie.

– Słucham?

– Dziedziczne schorzenie, powodujące zaczerwienienie skóry twarzy. Przez nie wyglądam trochę jak szop pracz.

– Nie myślałem o szopach praczach – zapewnił ją Quinn i napił się kawy.

– A także jak pijaczka, bo pęknięte naczynia włosowate powodują czasami takie same zaczerwienienia u alkoholików.

– Na pewno nie jesteś pijaczką.

– Jestem, tyle że trzeźwą. I taką zamierzam pozostać.

– Kilka lat temu też nie stroniłem od butelki – wyznał Quinn. – Odeszła ode mnie żona i miałem nieciekawą sytuację w wydziale.

– A kiedy wreszcie sprawy jakoś się ułożyły, miałeś problemy z odstawieniem?

– Nie. Picie samo w sobie nigdy nie stało się dla mnie problemem. Wciąż od czasu do czasu sięgam po drinka.

– Więc różnisz się od przyjaciół Billa, takich jak ja.

Oboje wiedzieli, że „przyjaciele Billa” to eufemistyczne określenie anonimowych alkoholików.

Linda obiema rękami obróciła filiżankę na mokrym spodku i utkwiała w Quinnie spojrzenie niebieskich oczu.

– Masz córkę, prawda? – Ton jej głosu i świdrujący wzrok sprawiły, że poczuł się, jakby w restauracji nie było nikogo poza nimi.

– Mhm. Lauri. Świetny dzieciak. No, już kobieta. Mieszka w Los

Angeles ze swoim ukochanym, który jest liderem jakiegoś zespołu.

– Wysłałam za mąż młodo i rozwiodłam się, a dzieci nie miałam. Teraz już na nie za późno. Alkohol namieszał mi w życiu, kiedy był czas na ciążę. Bogu dziękować, że w nią nie zaszłam. Nałóg nie zostawia miejsca na inne rzeczy, w tym na miłość i seks. Lata spędzone w piekle.

– Ale masz to już za sobą – powiedział Quinn. – Ja też. A co się dzieje z twoim byłym?

– Z tego co słyszałam, sprzedaje ubezpieczenia kredytów hipotecznych w Saint Louis. Nie utrzymujemy kontaktu. Nie miało to większego sensu. – Linda zapatrzyła się w swoją filiżankę, po czym znów podniosła wzrok na Quinna. – W Saint Louis byłam o włos od utraty prawa wykonywania zawodu. Po tym zamknęłam praktykę, przez kilka lat walczyłam z uzależnieniem, aż wreszcie przyjechałam do Nowego Jorku zacząć od nowa. To było pięć lat temu.

– Wtedy zahaczyłaś się w nowojorskiej policji – rzekł Quinn. – Zajmowałaś się odciskami palców. Czyli marnowałaś swoje zdolności i kwalifikacje. Parę lat później zostałam asystentką lekarza sądowego, i to dobrą. Poszperałam na twój temat. – *Najlepiej zacząć od szczerości.*

– Nie dziwię się, jesteś gliną. Ja w pewnym sensie też, i też cię sprawdziłam. Dzięki komputerom to aż nazbyt łatwe. Naprawdę nie musiałam długo kopać w bazie danych, żeby się czegoś o tobie dowiedzieć. Można powiedzieć, że jesteś w wydziale legendą, Quinn, dlatego z początku byłam taka zdenerwowana.

– Nie wyglądałaś na zdenerwowaną.

– Wciąż trochę jestem.

Uśmiechnął się do niej.

– Pójdziemy na kolację – powiedział. Omal nie dodał „i wino”, ale zdążył ugryźć się w język. – Przy dobrym posiłku napięcie opadnie z nas obojga, bo ja też odrobinę się denerwuję. Pamiętam, że widywałem cię na miejscach innych zbrodni. Nie sposób cię nie zauważyć.

Komplement sprawił, że się zarumieniła. Trądzik nabrał wyrazistości, jakby nosiła maskę, po której zostały nieznaczne ślady. Quinn uznał, że to schorzenie jest nawet w jakiś sposób atrakcyjne.

– May, twoja była żona, też mieszka w Kalifornii – powiedziała. – Blisko córki?

– Wystarczająco blisko. Na pewno się widują, ale niezbyt często. May nie lubi Robaczka. Zresztą kto go lubi? – Ukłuło go poczucie winy. – Prawdę mówiąc, ja w miarę go polubiłem.

– A jak jest między tobą a May?

– Dogadujemy się. W Kalifornii wyszła za prawnika. Ma na imię Elliott i jest w porządku. Rozmawiam z nią czasem, ale tylko o Lauri. Nasze małżeństwo się rozleciało, ponieważ May nie mogła wytrzymać w związku z gliną.

– Stara śpiewka.

– Fakt. Nie mam jej tego za złe. Nikomu bym nie miał. Nie musisz przejmować się May.

– To może powinnam przejmować się Pearl?

– To zamknięty rozdział – odparł Quinn. Umówili się wprowadzić tylko na kawę i kolację, ale wiedział już, że dzieje się między nimi znacznie więcej. Oboje o tym wiedzieli.

– Dla Pearl też? – spytała Linda.

– Ona to skończyła, a ja się pogodziłem.

– Brzmi to tak, jakbyś chciał przekonać samego siebie.

– Może trochę – przyznał. – Ale tak czy inaczej, wszystko między nami skończone.

– Jesteś pewien?

– Chyba tak.

Linda westchnęła i odchyliła się na oparcie. Popatrzyła na ludzi idących chodnikiem, niby bliskich, a oddzielonych taflą szkła.

– Na tym świecie jest tak wielu ludzi. A wydaje się, że gliny potrafią związać się na dłużej tylko z glinami albo innymi pracownikami policji.

– Nie wiem, czy się z tym zgadzam – odpowiedział Quinn.

Linda ponownie skierowała na niego smutne, inteligentne spojrzenie.

– Ależ tak. Dlatego tu jesteś. Dlatego ja tu jestem.

– Nie znamy się aż tak dobrze – odparł Quinn – ale już nienawidzę, kiedy masz rację.

Zastępca naczelnika policji Wes Nobbler siedział za biurkiem i cierpliwie czekał na pojawienie się Greeve'a. Wiedział, że Duch nie nalegałby na tak wczesne spotkanie, gdyby nie miał czegoś ważnego do powiedzenia.

Zapukawszy *pro forma* do drzwi, Greeve wszedł do gabinetu. Nobbler odruchowo zabrał z widoku teczkę z aktami, które właśnie skończył czytać, i schował ją do częściowo wysuniętej szuflady biurka.

Greeve wyglądał tego ranka jak zawsze – chudzielec z cieniem żalości na twarzy. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i nienagannie zawiązany czarno-czerwony krawat, bardziej czarny niż

czerwony. Ciemne włosy zaczesał do tyłu, pokazując światu, że się cofają i rzadną. Pociągłą bladą twarz gładko ogolił; nie nosił bokobrodów, mogących zrównoważyć bladłość cery.

– Chodzi o torsowe morderstwa? – Nobbler od razu przeszedł do rzeczy.

Greeve ponuro skinął głową.

– Śledziłem wczoraj Quinna i jego ludzi, odkąd wyszli od Renza – powiedział. Nie usiadł, tylko stał z rękami w kieszeniach i stopami blisko siebie. Jego długie ciało pochylało się lekko, a wąskie ramiona garbiły. Umiał wyglądać złowroźnie. – Wynieśli się stamtąd, jakby się paliło. Nie sposób ustalić, o czym rozmawiali, ale wiem, dlaczego spotkanie zostało przerwane.

– Kolejna ofiara – wyprzedził go Nobbler. Dowiedział się o niej wczoraj po południu, a dziś rano wieść trafiła do wszystkich gazet i dzienników telewizyjnych.

– Właśnie. Pojechali na miejsce zbrodni i moim zdaniem dzisiaj tam wrócą, żeby przepytać mieszkańców najbliższych bloków. Ale tym zajmą się chyba Pearl i Fedderman.

– Więc powinieneś trzymać się Quinna.

– To samo sobie pomyślałem – zgodził się Greeve. – Dotarły do mnie wieści na temat ekspertyzy balistycznej. Podobno wykazała, że z tej samej broni zabito poprzednie ofiary. Pistolecik na karaluchy, kaliber dwadzieścia dwa. Pojedynczy strzał w serce, który chyba nie zabił ofiar na miejscu. Takie same jak poprzednio okaleczenia na tle seksualnym. – Greeve nieznacznie przestąpił z nogi na nogę, po czym znów równo rozłożył ciężar ciała na stopach. Wyglądało to niemal jak krok w tańcu śmierci. – Żadna z tych wiadomości nie jest jeszcze potwierdzona.

Nobbler skinął głową. Nie widział sensu w informowaniu Greeve'a, że o wiele wcześniej od niego poznał wyniki autopsji.

– Poszedłem wczoraj za Quinnem, jak już pożegnał się z Pearl i Feddermanem – kontynuował Greeve. – Spotkał się z lekarką, która dokonywała oględzin zwłok na miejscu zbrodni, doktor Lindą Chavesky.

Nobbler się pochylił. To było ciekawe.

– Chcesz powiedzieć, że spotkali się gdzieś poza miejscem zbrodni?

– Byli na kawie w knajpcie na Amsterdam, potem długo spacerowali i zjedli kolację we włoskiej restauracji na Broadwayu. Zamówili antipasti i rigatoni carbonara. Potem Quinn wsadził ją do taksówki. Bez buzi na dobranoc. – Greeve się uśmiechnął. – Może dlatego że

jedli czosnek.

Nobbler był zafascynowany.

– Twierdzisz, że nie spotkali się wyłącznie w celach zawodowych?

– Na mur-beton. Byli przejęci sobą, inne tematy nie bardzo ich interesowały. Miałem nadzieję, że Quinn ją przeleci. Jestem trochę zawiedziony. Ale on chyba też.

Nobbler zabębnił palcami o blat i na kilka minut pogрузzył się w myślach. Przetrawiał informacje i zastanawiał się, jak może je wykorzystać. Greeve'owi milczenie zdawało się nie przeszkadzać.

– Doktor Chavesky ... – odezwał się wreszcie Nobbler. – Chyba wiem, która to.

– Taka urodziwa – podsunął Greeve.

– Musimy dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Koniecznie. Słyszałem, że co nieco można znaleźć w jej przeszłości. Ponoć ostro popijała, ale nie w Nowym Jorku.

– Przynajmniej o tym nie wiemy.

Greeve się uśmiechnął.

– Na razie.

Nobbler potrząsnął głową, aż zatrzęsły się jego mięsiste policzki.

– Quinn powinien mieć więcej oleju w głowie.

– Prawda? Na razie spróbuję dokładniej zapoznać się z wynikami autopsji. Może postanowili zachować coś ważnego w tajemnicy, skoro tak się do siebie zbliżyli.

– Nie. Pilnuj Quinna.

Greeve skinął głową.

– Pan tu rządzi.

– Sam skombinuję wyniki – powiedział Nobbler. – Mam niejawnie dojście do biura lekarza sądowego. Przez niejakiego Nifta.

Greeve uśmiechnął się żalobnie.

– Niejawnie dojście. Czy to to samo, co kapuś?

– Różnica jest rozmyta – odparł Nobbler.

Greeve skinął głową.

– Jakie to dzisiaj częste.

Siedział na stołku w barze kawowym Has Beans i obserwował przez szklane drzwi, jak się zbliżała. Była na tyle atrakcyjna, że niemal każdy mężczyzna w jakiś sposób zareagował na jej wejście. Pod tym niebieskim dressem kryje się świetna sylwetka, pomyślał. Średniej długości blond włosy przycięte warstwowo tak, że wyglądały na lekko rozczochrane, makijaż, ale nie przesadny... Miała mocno zarysowany podbródek – kiedyś nazwano by go ostrym – ale pełne wargi łagodziły jego surowość, a oczy były lekko skośne i dzięki temu bardziej interesujące. Przypominała nieco tę seksowną gwiazdę filmową, Charlotte Rampling, tyle że była młodsza. W odpowiednim wieku.

Zsunął się ze stołka przy barze, podszedł do niej z uśmiechem i wskazał pusty stolik z tyłu, gdzie było mniej ludzi. Od początku należało zapanować nad sytuacją, byle bez przesady. Życzliwość i pewność siebie. Oczekiwały tego, inaczej w ogóle nie wysłałyby wypełnionej ankiety.

Odpowiedziała uśmiechem, skinęła głową i ich ścieżki zeszyły się przy stoliku. Spozrzegł, że jej nos otaczała mała galaktyka brązowych piegów. Urocze. Zanotował w pamięci, żeby nauczyć się na pamięć ich wzoru.

Jill się spodobało, że postanowił nadawać ton spotkaniu i że zanim sam usiadł, odczekał, aż ona to zrobi. Miał też cudowny uśmiech, który w dużym stopniu rozproszył jej podenerwowanie. Z pewnością był przystojny, a także gustownie ubrany, w beżowe spodnie i brązową sportową marynarkę. Pod marynarką nosił rozpiętą pod szyją kremową koszulę, spod której wychylało się kilka ciemnych włosów. Nie miał ani odrobiny zarostu, nie dążył więc do wyglądu programowo nieogolonego macho. Cesał się z nienagannym przedziałkiem.

Jill uznała, że nie ma się do czego przyczepić. Zaczynało się nieźle.

Usiadł naprzeciwko niej i wyciągnął rękę.

– Tony Lake – przedstawił się.

Ujęła jego dłoń i poczuła uścisk, ale nie za mocny. W sam raz.

- Jill Clark.
- Ogłoszenie nie kłamało. – Uśmiechnął się ponownie.
- Twoje też.

Żadna inna odpowiedź nie przyszła jej do głowy. Uniosła brodę, a na jej twarzy pojawił się błogi wyraz.

– Cudownie tu pachnie – powiedziała. – Uwielbiam aromat świeżo palonej kawy.

– Ja też. Jest w nim nutka cynamonu. Dzięki temu zapach jest jeszcze bardziej kuszący.

– To prawda. – *No, no... Ile już mamy ze sobą wspólnego!*

Ruchem głowy wskazał duży szary kubek, który przyniósł do sto-
lika.

– Zamówiłem honduras – oznajmił. – To karmelowa latte. Nadają tu kawom nazwy krajów Ameryki Środkowej i Południowej.

– Wiem – odparła. – Byłam tu kilka razy. Ale sama – dodała szybkoitko.

– Może z tych krajów sprowadzają ziarna – zastanawiał się.

Jill nigdy na to nie wpadła.

– Tak sądzisz?

– Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia.

Chyba go rozbawiło, że ich rozmowa przybrała taki obrót. Te pogaduszki na pierwszej randce...

– Co zatem sobie życzysz z tego atlasu geograficznego?

– Lubię ich el salvador.

Udał się do lady i po kilku minutach wrócił z dużym kubkiem z kremową pianą na wierzchu.

– Też muszę jej kiedyś spróbować.

Postawił przed nią kawę i usiadł na swoim miejscu. Upił hondurasu, przyglądając się Jill znad krawędzi kubka.

– No to opowiedz mi o sobie, Jill.

– Zakładam, że czytałeś mój profil na portalu.

– Oczywiście. Tak jak ty mój. Ale te profile nie są zbyt odkryw-
cze. Ludzie nie lubią zwierzać się komputerowi. Kontakt przez inter-
net to coś zupełnie innego niż rozmowa twarzą w twarz.

– Masz rację. Powinniśmy się trochę pozawierać.

Spróbowała el salvador, ale kawa okazała się za gorąca. Odstawiła kubek na podstawkę. Obawiała się, że została jej piana pod nosem, więc dotknęła górnej wargi kłykciami, ale nie poczuła wilgoci.

– Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za nudziarę.

– Ależ skąd. Rozwiałaś tę obawę, przychodząc tutaj. Spora część Ameryki Środkowej doszła do stanu wrzenia.

Roześmiała się.

– Cóż, chcesz, to słuchaj. W Nowym Jorku mieszkam od niedawna. Jak wielu innych przyjechałam tutaj, żeby zacząć od nowa. To miasto stwarza większe możliwości.

- Daje więcej okazji.
- Jak na razie nie trafiłam na wiele.
- Może to jedna z nich.

Uśmiechnęła się najładniej, jak umiała.

– Może. Współpracuję z Files and More. To agencja tymczasowego zatrudnienia, dzięki której przez ostatni tydzień znalazłam dorywcze zajęcie w Tucker, Simpson and King, kancelarii prawniczej na East Side, specjalizującej się w przestępstwach drogowych i konfliktach rodzinnych.

- ABS. Awanturna Baba w Samochodzie.

Wybuchnęła śmiechem.

– Raczej uchylanie mandatów drogowych. A jeśli idzie o sprawy rodzinne, z tego co widziałam, na awanturach się nie kończy.

– Tak, pewnie tak. – Wyglądał na szczerze przejętego. – To rzeczywiście problem.

Ponownie spróbowała el salvador. Teraz lepiej.

– Segreguję tam tylko dokumenty, co bardzo szybko się nudzi. I wiesz, jak traktowani są pracownicy tymczasowi, zwłaszcza w takich małych firmach. Wszyscy wiedzą, że odejdziesz pod koniec tygodnia, więc nie zwracają sobie głowy nawiązywaniem znajomości.

– Jill, nie wyobrażam sobie, żeby ktoś nie chciał lepiej cię poznać. Mam na myśli przede wszystkim pleć męską.

– Aha. Chcą mnie poznać w sensie biblijnym i zaliczyć Stary Testament.

Roześmiał się, odrzucając głowę w tył. Podobało jej się jego poczucie humoru. Chyba z wzajemnością. Bała się, że trafi na nudnego sztywniaka. Co można powiedzieć na podstawie zamieszczonego w internecie profilu, skoro mógł być w dziewięćdziesięciu procentach kłamstwem? Rozejrzała się po lokalu, który sama wybrała na spotkanie. Otaczali ich nieznajomi, których obecność miała dodawać jej otuchy i zapewnić coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa.

Czy ja naprawdę to robię? Co w ogóle wiem o tym człowieku?

– A czym ty się zajmujesz? – zapytała.

– Chodzi ci o pracę? Sprzedaję powierzchnię reklamową w międzynarodowych publikacjach. Wiążą się z tym podróże, ale nie przeszkadza mi to. Prawdę mówiąc, nawet je lubię.

– To ciekawe.

– Mniej więcej tak jak Files and More.

– Nie powiedziałabym.

– Jesteś religijna? – zapytał.

A skąd to mu się wzięło? Starannie dobierała słowa:

– Nieszczęśliwie. Ale powinniśmy mieć później wiele czasu na takie rozmowy.

– Więc najpierw wolisz się zabawić.

Ach, do tego zmierzał!

– Niezupełnie to miałam na myśli.

Nie chciała wyrzucić na nim niewłaściwego wrażenia. W tym mieście w każdej chwili mogła sobie znaleźć kogoś do łóżka. Była w końcu kobietą, która doprowadziła Amerykę Środkową do stanu wrzenia. Chciała mu jasno dać do zrozumienia, że interesuje ją coś więcej. Chciała też, żeby i jego interesowało coś więcej niż przygodny seks.

– Mam nadzieję, że nie odebrałaś tego dwuznacznie – powiedział. – Wiesz, o zabawianiu się... – Perspektywa, że mógłby ją urazić, zdawała się wręcz go przerażać.

Uśmiechnęła się i poklepała jego dłoń.

– Nie przejmuj się, Tony. Ani ze mnie puszczałska, ani zakonnica, ani też połączenie jednego i drugiego.

– Miejmy nadzieję, że jedno drugie wyklucza – odpowiedział.

– Miejmy. Nadzieja to dobra rzecz.

Bo miała nadzieję.

Rozmawiali ponad dwie godziny, nie licząc kilku minut, kiedy Tony musiał odejść od stolika, bo zadzwoniła jego komórka. Zdaniem Jill randka w barze kawowym wypadła cudownie. Omal nie pocałował jej w czoło, kiedy rozstawali się przed Has Beans, ale zmienił zdanie mimo jej niewypowiedzianych chęci. Nie chciał za pierwszym razem posuwać się za daleko. Może później.

Wciąż nakręcona kofeiną albo Tonym Lakiem Jill ruszyła do domu. Ciekawe, że zdenerwowanie opuściło ją kilka minut po tym, jak usiedli przy stoliku. No i tak dobrze im się rozmawiało... Zdała sobie sprawę, że mówili głównie o niej. Następnym razem nie wolno jej być takim samolubem. Ale Tony wiedział, jak sprawić, żeby poczuła się ważna i w naturalny sposób stała się tematem rozmowy. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Był nią szczerze zainteresowany. Ba! Zafascynowany.

Tak, słowo „zafascynowany” było tu odpowiednie.

Uśmiechnęła się do swojego szczęścia, które było na wyciągnięcie

ręki, niczym czekająca na podniesienie złota moneta. *Pogódź się z tym, skończona pesymistko. Spotkanie było kolosalnym sukcesem.*

Od czasu do czasu coś się pięknie układało nawet na tym zafajdanim, pełnym trudności świecie.

Po drodze z Has Beans na stację metra Jill ze zdumieniem odkryła, że pogwizduje.

Światło na skrzyżowaniu było czerwone, więc Jill zatrzymała się i czekała w towarzystwie kilku przechodniów. Skoro miała na sobie dres i sportowe buty Nike, zaczęła dla zabicia czasu biec w miejscu, powoli się obracając. Czuła, że jej piersi lekko podskakują, ale nie była zażenowana.

Niech sobie patrzą. Niech się domyślają, jaka jest szczęśliwa. Kierowca przejeżdżającego samochodu zatrąbił i coś zawołał. *Do mnie? O mnie? Na pewno.*

Kiedy obróciła się w kierunku, z którego przyszła, jej dobry nastrój prysł. Zobaczyła bezdomną kobietę w brudnym ubraniu i o rozczochranych przetłuszczonych blond włosach, która przyglądała jej się otwarcie z odległości jakichś piętnastu metrów. Ale Jill zaniepokoiło to, że kobieta wydawała się dziwnie znajoma. I nagle zrozumiała dlaczego. Na pewno widziała ją po drugiej stronie ulicy, kiedy razem z Tonym opuścili Has Beans. Pamiętała, że poczuła współczucie dla tej kobiety, która samotnie i nieruchomo, jakby zabłądziła, stała, ściskając pod prawą pachą zmiętą torbę z brązowego papieru.

Spojrzenie, którym kobieta teraz ją mierzyła, budziło jedynie strach, nie współczucie. Jakby istniał między nimi jakiś związek.

Jill nie życzyła sobie takiego związku. Wystarczy niewielki pech, żeby sama znalazła się na miejscu tej kobiety. W tej chwili mogły różnić się tylko tym, że Jill wciąż miała jakąś – wprawdzie topniejącą – kwotę na rachunku bieżącym. Ludzie czasami stawali się bezdomni. Miasto było okrutne i potrafiło zniszczyć.

Kobieta niepewnie postąpiła w kierunku Jill. Jill uciekła wzrokiem. Nadal biegnąc w miejscu, odwróciła się do bezdomnej plecami. A ta musiała być już blisko. Coraz bliżej.

Jill nie odwróciła się do smutnego widma przerażającej przyszłości; zamiast tego intensywnie wpatrywała się w światła po drugiej stronie przejścia. *Zmieńcie się wreszcie, do jasnej cholery! No już!*

Światła się zmieniły. Jill wydłużyła krok i truchtem przekroczyła przejście dla pieszych. Ominąwszy starszą panią, popychającą wózek

pełen zakupów, rozpędziła się do dziarskiego biegu. Jej ramiona poruszały się rytmicznie, mięśnie nóg były napięte – czuła się wspa- niale. Jak wyzwolona.

Bezdomna nie wyglądała na sprinterkę. Jill i bez odwracania się wiedziała, że zostawiła ją za sobą. Przygnębiająca wizja ewentualnej przyszłości oddalała się w przeszłość.

O dziwo, im szybciej Jill biegła, tym lżej jej się oddychało.

Następnego popołudnia, gdy Jill wracała z pracy, znów zobaczyła tę kobietę. Zatrzymała się akurat, żeby obejrzeć wystawę małego sklepu obuwniczego, a odbicie bezdomnej w oknie wystawowym nałożyło się na czółenka na wysokim obcasie, nad których zakupem Jill się zastanawiała. Kobieta musiała być blisko, najwyżej trzy metry za nią.

W odbiciu bezdomnej było coś tak przerażającego, że Jill zrobiło się niedobrze. *Poznać myśli tej kobiety, jej zamiary...*

Nie chodziło tylko o to, że ta kobieta naprawdę ją prześladowała, że z jakichś przyczyn popadła w obsesję na jej punkcie. Jill bardziej doskwierało budzące dreszcz przeświadczenie, że już ją widziała, i to nie tylko tamtego wieczoru przed Has Beans. *Jak długo za mną chodzi? Od kiedy mnie obserwuje? Czyżby Jill ją znała? Czy kiedyś się spotkały? A może po prostu wymyśliła sobie, że Jill ma miękkie serce, i liczyła na jałmużnę, ale wstydziła się poprosić?* Było to całkiem sensowne wytłumaczenie. Może biedaczka nie miała złych intencji – po prostu kierował nią głód.

Jill musiała poznać prawdę. *Najlepiej stawić czoła swoim lękom.* Podjęła decyzję, że odwróci się i najzwyczajniej w świecie zapyta bezdomną, pozna powód tego absurdu. Popatrzy jej w oczy, wysili się na uśmiech, wysili się, żeby zadać pytanie: „Czy my się znamy?”. Wiedziała z doświadczenia, że strach często znika, jeśli zrobisz to, czego się boisz. A ta kobieta, ta zawzięta bezdomna, ją przerażała.

Za chwilę będzie po wszystkim.

Napięła namiętnie i obróciła się twarzą do tego, co się za nią czało. Kobiety nie było.

Mexico City, dwa miesiące wcześniej

Maria Sanchez leżała obok swojego męża Jorge na okrągłym łóżu w apartamencie dla nowożeńców. Apartament znajdował się na dwunastym piętrze luksusowego hotelu Casa Grande przy ruchliwej Paseo de la Reforma, wysoko ponad ulicznym zgiełkiem i zamętem. Jedynym dźwiękiem rozlegającym się w sypialni był miarowy oddech Jorge, ale Maria wiedziała, że jej mąż nie śpi. Żył w ogromnym napięciu, a w ostatnich tygodniach praktycznie nie sypiał. Polityczne wiatry zmieniły kierunek i nad Jorge Sanchezem, ongiś właściwie nietykającym baronem narkotykowym i królem kokainy, nagle zawisło zagrożenie. Czyjeś inne pieniądze z handlu narkotykami, i to duże pieniądze, trafiły do kieszeni jego przyjaciół w rządzie. Jorge stał się zbędny. W ciągu paru miesięcy jego kanały przerzutowe do Stanów zamknięto lub stały się zbyt niebezpieczne. Zaledwie w zeszłym tygodniu nowiutki jacht płynący z narkotykami na południe Florydy został przechwycony na pełnym morzu, i to dosłownie abordażem, po tym, jak dwóch członków załogi zginęło od strzałów oddanych z innej, szybszej łodzi. Ładunek przeniesiono, a resztę załogi pozostawiono przy życiu. Sukcesor Jorge mógł wykorzystać zarówno ją, jak i jacht.

Zabrzączał budzik przy łóżku. Jorge w jednej chwili usiadł i wyłączył alarm. Był szczupłym, muskularnym mężczyzną o ciemnej cerze i z czarnym, starannie przyciętym zarostem. Srogość skierowanych w dół końcówek wąsów ustępowała pola wilgotnej miękkości piwnych oczu. W ciszy zapadłej po wyłączeniu budzika położył się i przyciągnął do siebie Marię. Oboje byli nadzy i zaspokojeni seksualnie, mimo to Maria przez chwilę miała wrażenie, że Jorge będzie chciał jeszcze raz się kochać.

W przeciwieństwie do męża Maria miała jasną cerę, ale jej długie proste włosy były kasztanowe jak u niego. Twarz miała symetryczną i ładnie rzeźbioną, a ciało pełne i wysportowane. Pochodziła ze Środkowego Zachodu, z konserwatywnej rodziny, a Jorge poznała na

Uniwersytecie Kalifornijskim, gdzie studiowała historię sztuki, a on biznes. Oficjalnie. Tak naprawdę Jorge budował w Stanach sieć dystrybucji narkotyków.

Z pomocą Jorge hiszpański Marii wkrótce wykroczył poza znajomość podstawowych zwrotów, a ich przyjaźń szybko przerodziła się w miłość niepomną żadnych różnic kulturowych. W istocie miłość ta nabrała pędu pociągu towarowego i nie sposób było wyskoczyć z torów bez fatalnej w skutkach katastrofy. Kiedy któryś z jego przyjaciół zdradził jej, że Jorge jest liczącym się handlarzem narkotyków, Maria nie poczuła odrazy, ale ekscytację. Wyznała mu to i ich romans stał się jeszcze bardziej namiętny. Przyjaciel, który powiedział jej prawdę o Jorge, zniknął bez śladu, ale Maria nigdy nie zapytała, dlaczego ani gdzie przepadł. Nie żałowała ani chwili z życia, które doprowadziło ich do apartamentu w Casa Grande, a które jej rodzina uznała za grzeszne, chociaż nie wiedziała o nim nawet połowy. Przy Jorge ograniczenia znikają jedno za drugim i nie miało już znaczenia, czy coś jest akceptowalne przez ogół. Życie należało chwycić na gorąco. Jeśli doświadczanie go w pełni było egoizmem, to trudno. Ludzie mogą sobie ją piętnować. Pieprzyć ich, pomyślała Maria.

Jorge jednak nie chciał kochać się po raz drugi. Odsunął się od niej i ułożył głowę na poduszce. Z cichym szmerem, przypominającym szum płynącej wody, włączyła się klimatyzacja i od wentylatora przy łóżku niczym błogosławieństwo napłynął chłodny powiew. Gdyby okoliczności były inne, raczej nie leżałoby się tu tak przyjemnie.

– Smutny to dzień – odezwał się Jorge. – Od dzisiaj przez jakiś czas nie będziemy się widywać.

Maria przysunęła się i pocałowała go w usta.

– Rozumiem – odpowiedziała.

Wiedział, że tak było i że miał jej wsparcie. Uśmiechnął się.

– Nie ma drugiej takiej jak ty.

– Można to powiedzieć o każdej kobiecie, ale żadna inna nie jest twoja.

Jego uśmiech rozlał się szerzej.

– Bo wtedy obcięłabyś mi jądra.

– Święta racja. W dodatku bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też.

Pocałowali się po raz drugi, a potem Maria odsunęła się i wyszła z łóżka. Nie widziała sensu w przedłużaniu rozstania, które, choć konieczne, będzie równie bolesne dla nich obojga. Uniosła wysoko ręce, rozciągając gładkie ciało.

– Pierwsza biorę prysznic.

- Może do ciebie dołączę. Hotel oszczędzi na wodzie.
- Uśmiechnęła się do niego szeroko.
- No tak, zawsze martwiłeś się, ile hotele płacą za wodę.
- To fascynujący temat, jeśli tylko wiąże się z tobą.

Godzinę później Maria opuściła hotelowy apartament. Wyszła pierwsza. Zjechała windą do holu, minęła recepcję, przeszła pod łukowym sklepieniem do kawiarni i zajęła miejsce przy stoliku. Zamówiła espresso i niespiesznie je sączyła, czekając, aż Jorge się ubierze i pojawi się na dole.

Siedząc nad kawą, zerknęła przez szerokie okno na ulicę i zauważyła dwa identyczne czarne volkswageny jetta zaparkowane w pobliżu wejścia do hotelu. Blokowały miejsce taksówkom i autobusowi wahałłowemu, gdy by taki nadjechał, ale odzwierny w uniformie celowo ich nie zauważał. Nie zareagował też, kiedy szybkim krokiem minęli go trzej mężczyźni w ciemnych garniturach, idący ramię w ramię. Ze swojego miejsca Maria widziała, jak weszli do holu i po posadzce z lastryko zmierzali w kierunku wind. Tyle że teraz było ich czterech. Szli równym krokiem. Jeden nagle się odłączył i ze skrzyżowanymi ramionami oparł o ścianę, schodząc z drogi przemykającym gościom i boyom hotelowym. Maria zobaczyła przez okno trzecią czarną jettę. Od jadących ulicą samochodów odłączył się van i zaparkował naprzeciwko hotelu. Wysiadło z niego kilku mężczyzn i zaczęli przechodzić przez jezdnię.

Maria z łomoczącym sercem wyjęła z torebki komórkę i zadzwoniła na górę.

Zakończywszy krótkie połączenie, utkwiała wzrok w holu. Kilka minut później pojawił się w nim Jorge. Musiał skorzystać z drugiej windy, dzięki czemu minął się z trzema jadącymi na górę mężczyznami. Szybkim krokiem, nieuczestany i w koszuli, której nie zdążył włożyć w spodnie, przemierzał hol. Mijając wejście do kawiarni, nawet nie spojrzął na żonę, tylko przyspieszył kroku, kierując się na ulicę.

Chwilę później zniknął Marii z oczu.

Niemal w tym samym momencie usłyszała strzały i krzyki. Za oknem pojawił się mężczyzna w koszuli, która wystawała mu ze spodni. Biegł chwiejnie, a na jego szerokich plecach, na białym materiale, powiększały się czerwone plamy. Nagle się zatrzymał, uniósł obie ręce i w agonii upadł na chodnik.

Goście hotelu i przechodnie, którzy wcześniej pochowali się gdzie popadnie, teraz się wyłonili i zaczęli gromadzić. Niektórzy biegli, inni spieszyli z przeciwnej strony ulicy, lawirując między stojącymi

samochodami. Wszystkim było pilno na miejsce strzelaniny.

Maria wstała od stolika, udała się do holu i dołączyła do gawiedzi. Trąbiły klaksony, krzyki się na siebie nakładały. Nad miastem uniosło się wycie syren. Jak zjawy zwiastujące śmierć, pomyślała. *Te syreny zawodzą jak duchy śmierci oplakujące Jorge.*

Oczywiście syreny oznaczały tylko zbliżającą się policję, która otoczy rejon, żeby zaprowadzić i utrzymać jaki taki porządek.

Wydostała się na chodnik, przepchnęła przez napływający tłum i umknęła sprzed hotelu.

Nowy Jork, dzisiaj

To był jeden z tych dni.

Quinn siedział za biurkiem odchylony w obrotowym fotelu i przez okno na Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy wpatrywał się w deszcz. Tam, skąd brał się deszcz, musiało być chłodno, ponieważ kiedy ukośnie padające krople stykały się z rozgrzaną ulicą i betonowym chodnikiem, unosiła się para.

Pearl, zamiast oprzeć się o krawędź biurka, dla odmiany usiadła w fotelu. Rozciągnięty na swoim miejscu Fedderman tulił w dłoniach kubek z kawą. Oni też kontemplowali deszcz, słuchając miarowego kapania wody z gzymsu nad oknem i sporadycznego grzechotania obluzowanej szyby okiennej w porywach letniego wiatru. Tempo miasta, nienawykłego do szarych poranków w środku lata, zauważalnie zwolniło. W jakiś sposób powodowało to większą apatię niż ciągle, nieznośny upał. Nastrój świata zewnętrznego przesaczył się do biura.

Fedderman uniósł kubek i uważnie mu się przyjrzał, jakby podejrzywał przeciek.

– Szczególnie dużo tego ranka nie zrobiliśmy – zauważył.

– Ja tak – odparła Pearl.

Quinn przekręcił się lekko w jej stronę. Wydawała się drobna w czarnym winylowym fotelu obrotowym, identycznym jak fotel Quinna. Drobna i niezainteresowana pracą. Mówiła poważnie?

– Myślałam – wyjaśniła.

– Jezu! – jęknął Fedderman. – Miejmy nadzieję, że bezowocnie. Pearl popatrzyła na niego jak na insekta.

– Ależ owocnie – oznajmiła. – Mam prawdziwą przełomową teorię.

– Na miarę teorii względności?

– Posłuchajmy jej, Feds – poprosił Quinn.

Odchylił się jeszcze bardziej, jakby chciał, żeby od Pearl i jej teorii dzieliła go jak największa odległość.

- Polecisz na dupę – ostrzegła go Pearl.
- To twoja teoria?
- Teoria jest o mordercy.
- Tak podejrzewałem – odpowiedział z uśmiechem Quinn.

Przez chwilę słuchali bębnienia deszczu. Potem Pearl się wyprostowała i pochyliła, opierając łokcie na biurku.

– Sądzymy, że morderca podrzuca nam niemożliwe do zidentyfikowania tułowia kobiet dlatego, że są jego wizytówką albo drwiną z władz, albo ponieważ i tak nie da się ich namierzyć. A może chodzi mu o to, żeby policja *zalożyła*, że te kobiety są ofiarami seryjnego mordercy?

Quinn i Fedderman uważnie jej się przyglądali.

– Nie chciałbym wytykać ci oczywiście – rzekł Fedderman – ale ktokolwiek zabił te kobiety, z definicji jest seryjnym mordercą.

– Ale może jego zabójstwa są logicznie umotywowane – odpowiedziała Pearl – a on sam ma konkretny i praktyczny cel.

– Każdy z nich uważa, że ma konkretny i praktyczny cel – zauważył Fedderman. – A potem się okazuje, że to bredzenie wariata.

– Może jednak nie tym razem? Nasz ptaszek może udawać, że jest szalonym mordercą z zaburzeniami seksualnymi, bo chce, żebyśmy kogoś takiego szukali.

– Klasyczne podszywanie się pod seryjnego mordercę – powiedział Fedderman. – My szukamy seryjnego, a tymczasem nasz złoczyńca ma po prostu kupę niezapłaconych mandatów.

Obecnie rzadko słyszy się słowo „złoczyńca”, pomyślał Quinn. Gdzie się podziało?

– Jeśli to ściema – ciągnął Fedderman – to przekonująca jak cholera.

– To dlaczego nasz złoczyńca podrzuca tułowia, a resztę zwłok ukrywa? – zapytał Quinn.

Pomyślał przy tym, że dziwnie mu się wymawiało tego „złoczyńcę”.

– Nie jestem pewna – odrzekła Pearl. – Twierdzą tylko, że to prawdę może być odwrócenie uwagi. Polujemy na wariata, a prawdziwy sprawca nim nie jest.

– Pogoda źle na ciebie wpływa – oznajmił Fedderman.

– Pierdol się razem ze swoją pogodą – warknęła Pearl.

Quinn milczał. Właśnie takie niekonwencjonalne myślenie czyniło z Pearl świetnego detektywa. Wiedział też, że Pearl tak łatwo nie porzuci swojego pomysłu.

– Jesteś pewna, że wiesz, co mówisz? – zapytał.

– A skąd. Mówiłam, że to jedynie teoria.

– Co powiedziałaś? Poroniona teoria? – zainteresował się Fedderman.

Pearl go olała i ostentacyjnie zwróciła się do Quinna.

– Kręcimy się w miejscu. Oto, co robimy: sprawdzamy domy wariatów i szpitalne oddziały psychiatryczne w Nowym Jorku i przyległych stanach. Z żadnego nie uciekł pacjent lubiący kawałkować ludzi lub zwierzęta. Nikogo o takich zapędach nie zwolniono ostatnio z więzienia. W innych miastach nie było podobnych spraw. Kierujemy się profilem, który opracowała Helen, i wiedzie nas to donikąd. Bo jej profil jest błędny. To nie jest wariat w powszechnym tego słowa znaczeniu, a szukanie wariata sprowadza nas na niewłaściwy trop. Taki jest cel tego gry.

– Jego zachowanie jest charakterystyczne dla zaburzonego seksualnie mordercy – stwierdził Quinn. – Każdą ofiarę morduje tak samo, każdą rytualnie kawałkuje, zostawia nam makabryczne wizytówki, za każdym razem używa tej samej broni, do której możemy dopasować kule, kaleczy strefy intymne, dokonując penetracji zaostrzonym kijem od szczotki...

– Ten pieprzony środek do pielęgnacji mebli – wtrącił Fedderman.

– Wszystko to może być elementem jego planu – powiedziała Pearl spokojnie. – Nie widzicie, że tworzy profil dla naszej specjalistki od profili?

– Boże – jęknął Fedderman.

– To może być częścią jakiegoś planu – powiedział Quinn – ale na razie nic tego nie dowodzi. Więc nie możemy się na tym opierać.

– Zauważ, że wszystko jest tu zbyt gładkie – nie ustępowała Pearl. – Już to stanowi dowód.

– Jeśli nawet – rzekł Quinn – to co możemy zrobić?

– Dobre pytanie – odezwał się Fedderman.

Pearl westchnęła. Mieli rację.

– Właśnie – powiedziała. – Co możemy zrobić?

– Mieć to na uwadze – odrzekł jej Quinn. – To taka teoria, którą można tylko mieć na uwadze.

– Jasne – odparła Pearl. – Będę miała.

Quinn w to nie wątpił.

Fedderman wstał i podszedł do ekspresu do kawy. Obejrzał się na Pearl. Widać było, że się dręczy. Może był dla niej za ostry.

– Wszystko przez tę pogodę – burknął. – Napijesz się kawy, Pearl?

– Wsadź sobie w dupę swoją kawę – zaproponowała.

I tak nalał jej kubek, ale zastanowił się, widząc buchającą parę. Wrzątek. W tej chwili lepiej nie dawać jej go do ręki. Zatem z powrotem wlał kawę do dzbanka i siadł za swoim biurkiem.

– Wrócimy tam, gdzie znaleźliśmy ostatni tułów, i ponownie przesłuchamy kogo się da – zadysponował Quinn.

– W taki deszcz? – jęknął Fedderman.

Ale Quinn już wkładał swój lekki płaszcz.

– W taki deszcz.

– I tak wszyscy będą w pracy – nie poddawał się Fedderman.

– Tak jak my – odparł Quinn.

Quinn nie tylko do końca dnia miał na uwadze teorię Pearl, ale po prostu nie mógł przestać o niej myśleć. Czasami przełom w śledztwie mógł nastąpić przy kawie lub kiedy tkwiło się w deszczowy dzień na komisariacie czy w samochodzie wystawionym do obserwacji. Może właśnie to zdarzyło się dziś w biurze.

Późnym popołudniem deszcz ustał, a ze wschodu nadciągnął chłodny wiatr. Miasto wyglądało świeżo i pachniało świeżością, jakby nie miało niechlubnej przeszłości i niepewnego jutra.

Quinn i Linda Chavesky znów spotkali się przy kawie, a potem wybrali się na długi spacer. Szli Broadwayem w kierunku Columbus Circle. Ruch był intensywny, a to głównie za sprawą taksówek zabierających pasażerów chcących zrobić zakupy lub zjeść wczesną kolację przed udaniem się do teatru. Quinn miał Lindę po prawej; odgradzał ją od ulicy. Spacerowali bez pośpiechu, we własnym tempie, delektując się wspólnie spędzonym czasem. Kiedy światła na chwilę wstrzymywały bieg samochodów po ich stronie ulicy, słyszeli odgłos swych kroków na wilgotnym chodniku.

– Chcesz porozmawiać o robocie? – zapytał Quinn.

Linda wzruszyła ramionami, przy okazji ocierając się o niego biodrem. Być może przypadkiem.

– W końcu jesteś gliną, a ja lekarzem sądowym.

Quinn opowiedział jej o teorii Pearl. Linda uważnie go wysłuchała, po czym stwierdziła:

- Mało prawdopodobne.
- Pearl myśli niekonwencjonalnie.
- Coś o tym słyszałam.

Miał nadzieję, że wychwytił w tym nutę zazdrości.

Odruchowo odbili w lewo, żeby przepuścić dwójkę zagadanych małolatów w spodniach nisko zwisających w kroku.

– Nie chciałabym krytykować – powiedziała Linda – ale jak te spodnie w ogóle się na nich trzymają?

– A ja tam wiem... Może dzieciaki lubią żyć w napięciu.

Linda parsknęła śmiechem. Przeszli jeszcze z piętnaście metrów, zanim powiedziała:

- Zapoznasz Renza z teorią Pearl?
- Nie. Moim zdaniem powinniśmy zaczekać, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.
- Może nie być czegoś więcej.

– Może.

Kolejne pięć odmierzonych kroków. Dziesięć. Quinn czuł, że Linda poważnie potraktowała jego opowieść. Bawiła się w myślach koncepcją Pearl niczym kot kłębkami wełny. Linda miała w sobie coś, co Quinna intrygowało, a zarazem było dla niego źródłem niezmierniej przyjemności. I jeszcze jedno: zdał sobie nagle sprawę, że nie krępowano ich wzajemne milczenie.

– Może powinieneś to opowiedzieć psycholożce, Helen Iman – powiedziała Linda.

– Zdaniem Pearl to właśnie Helen dała się nabrać.

– Powinna przynajmniej zdawać sobie sprawę z tej możliwości.

– W dodatku – ciągnął Quinn – zasianie w jej głowie tego pomysłu może mieć złe skutki. Może zwieść ją z tropu.

– Aha.

Przeszli jeszcze kawałek.

– Tu już sam musisz zdecydować.

– Wiem – odparł Quinn. – Ty po prostu badasz szczątki ofiar.

– Już nie – odpowiedziała Linda.

Zatrzymali się. Quinn wbił w nią wzrok.

– Doktor Nift przejął wszystkie obowiązki wiążące się z tymi morderstwami.

– Podał jakiś powód?

– Zachowanie ciągłości, tak powiedział.

– Zachowuje ciągłość w byciu dupkiem – mruknął Quinn.

– To mój szef.

– Dlatego ja mogę o nim mówić takie rzeczy, a ty nie – stwierdził Quinn.

Linda nie zaprzeczyła.

Jill i Tony ponownie spotkali się w Has Beans. Tym razem Tony zaproponował prawdziwe wyjście na miasto, kolację w wytwornej restauracji, może jakieś występy. Kto wie, do czego może dojść później? Jill nie była na to gotowa i dała mu to do zrozumienia, a on taktownie się wycofał. Zajęli więc ten sam stolik co za pierwszym razem. Tony znowu pił honduras, a Jill zaryzykowała i zamówiła nikaragwę.

Spróbowała pianistego kawowego napoju i zdecydowała, że jej smakuje.

– Mniam – mlasnęła. – Ale czy w Nikaragui w ogóle uprawia się kawę?

– Nie wiem – odrzekł Tony. – Na pewno uprawia się rewolucje. –

Napił się i uśmiechnął. – Przez telefon wspomniałaś, że chcesz mi coś powiedzieć. Czy to będzie coś osobistego?

– Coś, przez co jestem trochę roztrzęsiona – odparła. – I trochę wystraszona.

– Z mojego powodu?

Przykryła dłonią jego dłoń.

– Broń Boże. – Nie bardzo wiedziała, jak zacząć, żeby nie wyjść na paranoiczkę. – Wydaje mi się, że pewna kobieta... no cóż, śledzi mnie.

Pochylił się zainteresowany, a ją uradowała jego troska.

– Znasz ją? – zapytał.

– Nie, chyba nie. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Wygląda trochę znajomo, ale niektórzy mają takie twarze. Ona mieszka na ulicy, Tony. Jest bezdomna, ma brudne ciuchy i skołtunionie jasne włosy. Wygląda, jakby przy dała jej się kąpiel i porządny posiłek

– Może zwyczajnie zebrze.

– Nie, nigdy o nic nie poprosiła. Po prostu czasem nagle ją widzę, kiedy się odwracam albo zerkam w bok

– Może to przypadek?

– Dobrze by było. Ale przeważnie się we mnie wpatruje. Raz nawet ruszyła w moją stronę.

– Co to znaczy „ruszyła”? W sposób sugerujący, że chce ci coś zrobić?

– Ja... no... nie jestem pewna.

– Co wtedy zrobiłaś?

– Uciekłam. Jejku, brzmi gorzej, niż było. I tak miałam na sobie dresy i sportowe buty, uprawiałam jogging w miejscu, więc po prostu... oddaliłam się biegiem.

– I dobrze. – Ze martwioną miną ścisnął dolną wargę kciukiem i palcem wskazującym wolnej ręki.

– Co o tym sądzisz, Tony?

– Sam nie wiem. W przyszłości po prostu jej unikaj. Staraj się trzymać jak najdalej. Może być niebezpieczna.

– Jest czy nie, muszę przyznać, że się jej boję.

– Może coś o niej wiesz, ale nie zdajesz sobie z tego sprawy – podsunął Tony. – Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Jill nie rozumiała.

– Jest coś jeszcze. – Zawahała się. – Ale boję się, że weźmiesz mnie za wariatkę.

Tony ścisnął jej dłoń.

– Nie bój się, nie wezmę.

– Czasami mam wrażenie, że pod moją nieobecność ktoś przychodzi do mojego mieszkania. Nie, tak naprawdę to więcej niż wrażenie. Jestem pewna, że niektóre przedmioty zostały przestawione. Nie za bardzo, zmiany są ledwie zauważalne, ale są. Przekrzywiony abażur lampy, poduszka leżąca nie w tym rogu sofy co zwykle albo ubrania w szafie wiszące w innej kolejności. Tego typu rzeczy. – Popatrzyła na niego. Teraz na pewno miał ją za wariatkę. – Jestem pewna, Tony. To nie moja wyobraźnia, to fakty.

– Może nie chodzi o twoją wyobraźnię, ale o pamięć. Jesteś wystraszona i możesz widzieć rzeczy, których nie widziałaś wcześniej.

Wysiliła się na uśmiech.

– Taka odwrotność *déjà vu*?

– Chyba można to tak ująć, jeśli ma się poczucie humoru. Każdemu zdarza się zapamiętać coś inaczej, niż się wydarzyło.

– Może i masz rację.

Ale wątpliwości jej nie opuszczały. Zmiany w mieszkaniu, choć drobne, wydawały się rzeczywiste.

Odchylił się na oparcie, jakby czymś poruszony.

– Jill, chyba nie sądzisz, że te dwie sprawy są powiązane? Znaczy ta bezdomna i wrażenie, że ktoś buszował w twoim mieszkaniu?

Nie opuszczało jej to podejrzenie. Mimo to powiedziała:

– To chyba niemożliwe, ale kto wie?

Tony nagle się ku niej pochylił i znów ścisnął jej rękę.

– Masz numer mojej komórki, Jill. Zrób coś dla mnie. Jeśli jeszcze raz zobaczysz tę kobietę, zadzwoń. Nieważne, gdzie akurat będę, natychmiast się zjawię i z nią porozmawiam.

– Dobrze. Ale mogę też wezwać policję.

– Jeśli wolisz.

Wiedział, że nie wołała. Chciała, żeby na ratunek przybył on, a nie policja. Poza tym co mogła im powiedzieć? „Aresztujcie tę kobietę, bo się na mnie gapi”?

– Problem w tym – ciągnęła Jill – że często wyjeżdżasz z miasta. Ta twoja praca...

– Jeśli będę w mieście, przyjadę w try miga.

Położyła dłoń na ręce okrywającej jej rękę i posłała mu uśmiech nad stolikiem.

– Wiem, że przyjedziesz, Tony. Ale to wszystko jest pewnie jedynym wielkim głupstwem. Może to tylko wyobraźnia. Znaczy kobieta bez wątpienia jest prawdziwa, ale najpewniej po prostu żebrze. I oceniła, że ode mnie coś dostanie.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– To akurat bardzo możliwe.

Pochylili się nad blatem i delikatnie pocałowali.

– I tak zadzwoń – powiedział.

Jill obiecała, że zadzwoni, choć w duchu postanowiła tego nie robić. Z takim i problemami powinna radzić sobie sama. Nie chciała, żeby Tony wziął ją za psychiczną. Bo mogliby już nigdy się nie spotkać.

Nie było go tutaj. A był.

Zastępca naczelnika policji Nobbler podniósł wzrok znad papierów, które właśnie czytał, i zobaczył, że przed jego biurkiem stoi Greeve. Stanęły też włoski na karku Nobblera.

Nobbler zaledwie przed chwilą polecił dzwoniącej z sekretariatu asystentce, żeby wpuściła Greeve'a, a ten jakoś otworzył ciężkie drzwi, wszedł do gabinetu i zamknął je – wszystko to bez najmniejszego dźwięku. Zasługiwał na ksywkę Duch. Nobbler zastanawiał się, czy to bezgłośnie wejście było zaplanowane. Nie wątpił, że Greeve od czasu do czasu igrał z jego zmysłami.

– Doberek – przywitał się Greeve.

Zabrzmiało to jak „piszczele”, ale to pewnie Nobbler odniósł takie wrażenie, bo Greeve jak zwykle miał aparycję i postawę grabarza. *Tobie też piszczele.*

– Myślałem o tym, co dzieje się między Quinnem a doktor Chavesky – powiedział.

– To daje do myślenia.

Greeve metodycznie rozpiął guziki ciemnej marynarki. Tak wyobrażał sobie swobodne zachowanie.

– Chodzą słuchy, że Quinn regularnie ją posuwa – mówił Nobbler.

– Tylko idiota by tego nie robił.

– Kroci się tu najprawdziwszy romans. – Tłuste policzki Nobblera pofałdowały się w uśmiechu. – Nawrócona alkoholiczka i glina na emeryturze. Myślisz, że im wyjdzie?

– Z miłością nigdy nic nie wiadomo – odparł Greeve. – O ile to miłość.

Nobbler wpatrzył się w niego zmrużonymi oczyma.

– A twoim zdaniem może to być coś innego? Ktoś kogoś wykorzystuje?

– To właśnie miłość – powiedział Greeve.

– Może i tak. Jeszcze zazdrość i piekielna furia. Też mogą być składnikami miłości. A nawet mogą podtrzymywać jej żar.

Nobbler nie wykazywał wcześniej zacięcia poetyckiego, więc Greeve dopiero po chwili się zorientował, do czego zastępca naczelnika pije.

– Pearl?

– Mhm. Wprawdzie już nie są parą, ale pracują razem i codziennie się widują. Na pewno nie jest szczęśliwa, że Quinn wskoczył w majtki doktor Chavesky.

– Musi być dobra w łóżku.

– Popadasz w dygresje.

– Pearl wie o Quinnie i Chavesky?

– Jeśli nie, to wkrótce się dowie – odparł Nobbler. – I nie będzie zadowolona.

Na twarzy Greeve'a malowało się powątpiewanie.

– Bo ja wiem... Pearl jest nietypowa. Na ile ogarniam, to ona zerwała z Quinnem. Próbował do niej wrócić, ale nie chciała o tym słyszeć.

– Zmieni zdanie, kiedy się zorientuje, że Quinn stał się dla niej nieosiągalny. Baby... Chcą tego, czego nie mogą mieć, i dlatego, że nie mogą tego mieć.

Przemyślenie tych słów zajęło Greeve'owi kilka sekund.

– Widziałem Pearl Kasner przy pracy. Nie jest jakąś tam babą. Jest nietypowa.

– No. O ile mi wiadomo, ma mentalność bezdomnego kota. Będzie walczyła o każdy kąsek tylko dlatego, że jest jej. Nawet jeśli tym kąskiem jest Quinn. A potem kąsek zostanie wypluty.

Greeve nadal nie był przekonany. Znał Pearl, choć tylko przelotnie. Twardo stąpała po ziemi i była w dziwny sposób bystra. Uznał, że najlepszą taktyką będzie zachowanie milczenia.

– Z Quinnem też mamy problem – powiedział Nobbler.

– To pewne jak cholera.

– Chcę, żebyś od dzisiaj go zostawił i zaczął śledzić Pearl.

– Quinn dowodzi – przypomniał Greeve Nobblerowi. – I właśnie się zgodziliśmy, że mamy z nim problem.

– *On* jest problemem – podkreślił Nobbler – a Pearl jego słabością.

Greeve wysunął dolną wargę i powoli skinął głową. Nobbler czasami bywał bystry, też w jakiś dziwny sposób.

– Zawiedziona kobieta, nie zna piekło straszliwszej furii... Coś w ten deseń?

– Właśnie – rzekł Nobbler.

– Pearl będzie się czuła tak, jak pan mówi. Będzie rozkojarzona i

coś spieprzy. Może posunie się nawet do sabotowania decyzji Quinna.

– Owszem. Jeśli jest kobietą – powiedział Nobbler. – A zdecydowanie nią jest.

Zaczął starannie układać papiery na biurku, dając Greeve'owi do zrozumienia, że audycja dobiegła końca.

– To chyba ma sens – zdecydował Greeve.

– Cieszę się, że tak uważasz.

Nobbler podniósł wzrok, ale Greeve'a już nie było.

Jill Clark przepchnęła się między mężczyzną dźwigającym worek marynarski a kobietą z torebką wielkości domu i dostała się do zatłoczonego wagonu metra. Jazda w ścisaku, czasami wiążąca się z obmacywaniem, a nawet podszczypywaniem, nie była jej ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu i wolałaby nie przechodzić przez tę gehennę. Niestety, jedyną tańszą od metra metodą przemieszczania się po Nowym Jorku były własne nogi, a biura firmy Tucker, Simpson and King, gdzie zastępowała kolejnego wypoczywającego pracownika, były zbyt daleko, żeby dotrzeć do nich piechotą.

Dwa przystanki dalej przesiadła się do pociągu linii północnej, który nie był aż tak zatłoczony. A dokładniej, było w nim mniej więcej dwudziestu pasażerów. Codzienny zestaw: biznesmeni, zagorzali czytelnicy książek i czasopism, drzemiący pracownicy nocnej zmiany w drodze do domu, jacyś bezdomni, kilku naprawdę niebezpiecznych mężczyzn, których strój i zachowanie sugerowały zaburzenia umysłowe objawiające się agresją. Jill wsiadła tylnymi drzwiami. Zaraz po lewej miała dwa znajdujące się naprzeciwko siebie mniejsze siedzenia opatrzone wystrzępionymi naklejkami głoszącymi, że są to miejsca dla niepełnosprawnych. Czyli Jill mogła zająć jedno z nich. Najwyżej wstanie, jeśli do wagonu wsiądzie osoba niepełnosprawna. Wolnych miejsc było zresztą mnóstwo.

Pociąg przyspieszył i pomknął w ciemność z rykiem i wizgiem stali trącej o stal. Jill usiadła wygodnie i patrzyła na swoje odbicie w brudnej szybie, migoczące i odpowiadające jej spojrzeniem. Ktoś usmarował róg okna kleistą substancją, która mogła być czymkolwiek. Przypomniała sobie przeczytane kiedyś opracowanie o zarazkach w wagonach metra – były wszędzie i na wszystkim. Wytarła palce o spodnie.

Ryk pociągu nagle stał się głośniejszy, a kostki Jill owiał chłodny powiew. Rozsuwane drzwi między wagonami zostały otwarte. Ktoś przechodził z wagonu do wagonu. Był to zwyczaj nastolatków, a także zebraków i szukających zaczepki łobuzów. Pewnie po prostu ktoś

kogoś szuka, uspokoiła się Jill i nie oderwała wzroku od podłogi.

Kątem oka zobaczyła poruszenie, a potem drzwi się zamknęły. Zapadła nagle cisza, a powietrze wokół kostek Jill znieruchomiało. Czekala, aż osoba, która weszła do wagonu, ją minie. Prawdopodobnie kierowała się do przeciwnych drzwi. Zamiast tego zobaczyła parę zdartych butów wystających z wymiętych brązowych nogawek, a na wąskie siedzenie obok niej z westchnieniem ktoś opadł.

Poczuła ciepły dotyk czyjegoś uda, spostrzegła brudne ręce i połamane paznokcie i wzdrygnęła się, czując odór zastarzałego potu, a może i uryny.

Popatrzyła w bok i natrafiła na zrozpaczone spojrzenie nabiegłych krwią oczu kobiety, która za nią chodziła. Gardło Jill zacisnęło się ze strachu. Na jej prawym ramieniu z siłą imadła zamknęła się ręka. Uścisk był bolesny.

– Musimy pogadać – powiedziała ochryple kobieta. – Czy tego chcesz, czy nie.

– Nie chcę! – Jill z trudem wydobyła słowa ze ściśniętego gardła. Jednocześnie usiłowała wyszarpnąć ramię, ale nie mogła rozerwać stalowego uścisku. – Nie mamy sobie nic do powiedzenia!

– Ty masz tylko słuchać. Chcę cię ostrzec.

– Ostrzec?

Jill energiczniej spróbowała się uwolnić od palców wbitych w ramię. Chwył kobiety tylko się zacieśnił.

– Może cię spotkać coś złego – powiedziała.

Żołądek Jill zaczął się buntować od jej cuchnącego oddechu.

– Puść mnie, do jasnej cholery!

Jill szarpała ramieniem w tę i w tą. Rozpaczliwie pragnęła się uwolnić.

– Przestań za mną łaźić! Zostaw mnie w spokoju!

– Powinnaś się pilnować.

Tym razem Jill wstała. W próbie wyrwania ramienia wykręciła je tak silnie, że aż zapłonęło bólem. I nagle była wolna.

Zrobiła dwa chwiejne kroki i zderzyła się ze słupkiem służącym za uchwyt dla pasażerów, dla których zabrakło miejsc siedzących. Uderzenie czołem o twardą stal na chwilę ją oszołomiło. Omal nie upadła, ale złapała równowagę i zataczając się, ruszyła na przód wagonu. Gapił się na nią jakiś mężczyzna, lecz szybko odwrócił wzrok.

Gdy chwiejąc się, niezgrabnie szła przez wagon, pasażerowie obrzucali ją najwyżej przelotnymi spojrzeniami, wyrażającymi umiarkowaną, powściąganą ciekawość. Jakby nie zauważyli nic

dziwnego. Ze wzmożonym zainteresowaniem coś czytali lub wpatrywali się w reklamy nad oknami ciągnące się przez całą długość wagonu. Albo w brudną, zaśmieconą podłogę. Nie pozwoliła się wplątać w przemoc i obłęd. W nieprzewidywalne. To, co przewidywalne, czemu stawiali czoła każdego dnia, było wystarczająco trudne.

Jill przytrzymała się kolejnego słupka i obejrzała się za siebie, chcąc sprawdzić, czy kobieta podąża za nią. Drugi koniec wagonu był pusty. Kobieta zniknęła.

Jill opadła na puste siedzenie i objęła się ramionami. Zaczęła się kołysać, przesadnie naśladowując rytm, w jakim chybotał się pociąg. Co za szaleństwo! Może to ona wariowała.

Czyżbym popadła w obłęd? Czy ta kobieta była prawdziwa? Jezu! Drogi Jezu! To miasto... to miasto...

Rozejrzała się, przejęta wstydem i wciąż jeszcze wystraszona. Nadal nikt na nią nie patrzył. Pociąg łomotał w ciemnościach.

Po drodze do pracy się uspokoiła. W Tucker, Simpson and King nie miała komu opowiedzieć o incydencie w metrze. Nikogo na tyle dobrze nie znała. Poza tym mogli ją wziąć za wariatkę. Na pewno wzięliby ją za wariatkę. A całe zdarzenie równie dobrze mogło być wytworem jej wyobraźni. Na powierzchni, w pracy, w normalnym świecie wydawało się tak nierzeczywiste.

Ale oczywiście nie było wytworem jej wyobraźni. *Coś się zdarzyło.*

Była w pracy mniej więcej od pół godziny i segregowała właśnie dokumenty dotyczące odwołania od mandatu drogowego, kiedy usłyszała:

– To do ciebie.

Odwróciła się. Patrzyła na nią recepcjonistka, starsza pani o imieniu Judy.

– Na trzeciej linii.

– Słucham?

– Nazywasz się Jill Clark, zgadza się?

– Zgadza się – odpowiedziała Jill.

– Telefon do ciebie. Na trzeciej linii.

Jill wstała i się rozejrzała. Podeszła do telefonu po drugiej stronie biura, gdzie miała odrobinę prywatności, nacisnęła świecący guzik na aparacie, po czym powiedziała:

– Słucham?

– Jill Clark? – Kobięcy głos. Znajomy.

– Tak. Kto mówi?

– Kobieta z metra.

Serce Jill podskoczyło. To musiało być kłamstwo. Głos w słuchawce był mniej ochryply, modulowany i niemal kulturalny. Nie przypominał głosu kobiety z metra. Ale brzmiała w nim ta sama nuta desperacji.

– Jill, proszę, nie odkładaj słuchawki.

– Dlaczego nie? Wciąż boli mnie ramię!

– Przepraszam. Musisz zrozumieć, w jakim jestem stanie.

Chyba rozumiem. Jesteś psychiczna.

Judy zerknęła na Jill zza swojego biurka i odwróciła wzrok. Jill nie chciała budzić zainteresowania, ściszyła więc głos:

– Zostaw mnie nareszcie, do cholery! Nie chodź za mną więcej! Trzymaj się ode mnie z daleka! Trzymaj się z daleka od mojego mieszkania!

– Nie odkładaj słuchawki – poprosiła jeszcze raz kobieta.

– Przecież nie odłożyłam, prawda?

– Nigdy nie byłam w twoim mieszkaniu – powiedziała kobieta. – Nazywam się Madeline Scott i musimy porozmawiać.

– Nie wyobrażam sobie o czym.

– W tym rzecz, do cholery!

– Wciąż boli mnie ramię – powtórzyła Jill.

Odłożyła słuchawkę, starając się nie trzasnąć nią o aparat.

Samolot linii American Airlines, lot dwieście dwadzieścia dwa z Mexico City przez Atlantę, zjawił się dziesięć minut przed czasem i delikatnie uderzył kołami o nawierzchnię południowego pasa na lotnisku LaGuardia. Kiedy wsteczny ciąg potężnych silników niemal zatrzymał maszynę, podkołowała na odpowiednie stanowisko, gdzie ruchomy rękaw połączył ją z terminalem. Warkot silników ucichł, rozległ się melodyjny dźwięk dzwonka, a po nim wzdłuż kadłuba przetoczył się trzask rozpinanych pasów bezpieczeństwa.

Maria Sanchez wstała ze swojego miejsca w klasie ekonomicznej, które znajdowało się tuż za skrzydłami, zdjęła bagaż podręczny z półki nad fotelem i wraz z innymi pasażerami ustawiła się w kolejce do wyjścia. Wymieniła zdawkowe, ale uprzejme „do widzenia” ze stojącą przy drzwiach stewardesą.

Ongiś długie i ciemne włosy Marii były teraz utlenione i podróżowała pod fałszywym nazwiskiem. Postawiła sobie za cel, żeby nikt ze współpasażerów lub załogi jej nie zapamiętał.

Kiedy po przejściu rękawa znalazła się w terminalu, postawiła na ziemi obie czerwone torby i wysunęła ich teleskopowe rączki. Wmieszana w strumień pasażerów ruszyła w kierunku hali odbioru bagażu. Po chwili przyspieszyła, wydłużając krok i ciągnąc torby za sobą. Przed terminalem ustawiła się w ogonku do taksówek i czekała na swoją kolej. Kierowca wepchnął nieprzeliczone tobołki jakiejś młodej pary do bagażnika, po czym wsiadł do auta i odjechał z ostrym piskiem opon. Czekająca z tyłu taksówka natychmiast zajęła opuszczone miejsce. Kolej na Marię.

Patrzyła, jak taksówkarz chowa do bagażnika jej dwie torby, po

czym wsiadła do samochodu i zaczęła, aż on także wsiądzie. Kiedy już zajął swoje miejsce i nadstawił ucha, podała mu adres na Manhattanie. Wzorem poprzedniczki taksówka zapiszczała i pomknęła przed siebie, pędząc w kierunku wyspy niczym wilk wracający do ostoi.

Jill stała w korytarzu przed drzwiami do swojego mieszkania i za pomocą dwóch kluczy otwierała dwa wpuszczane zamki. Wyczerpał ją dzień w Tucker, Simpson and King spędzony na segregowaniu dokumentów i wykonywaniu poleceń. A jeszcze ta poranna przygoda... Była skonana i roztrzęsiona. Cudownie będzie zrzucić buty, wyjąć z lodówki butelkę wody i wyciągnąć się na sofie. Dosłownie raj.

Zaraz po otwarciu drzwi wyczuła niemiły zapach i uświadomiła sobie, że ktoś stoi tuż za jej plecami i napiera na nią ciałem. Ten ktoś gwałtownie wepchnął ją do mieszkania i wszedł za nią. Drzwi się zamknęły.

Jill zrobiła dwa kroki do przodu i prawie upadła, pośliznąwszy się na drewnianej podłodze, po czym okręciła się na pięcie i ujrzała bezdomną kobietę z metra, tę samą, która zadzwoniła do niej do pracy i przedstawiła się jako Madeline Scott. W Jill wezbrało oburzenie połączone z wściekłością. Nie знаła żadnej Madeline Scott, a tej już szczególnie nie miała ochoty poznawać.

Potem jej wściekłość przerodziła się w strach. Znalazła się sam na sam z kobietą, która mogła być szalona i którą stać było na wszystko. *Szalona Madeline.*

Włosy kobiety były rozczochrane, a w jej oczach lśnił obłęd. Ubranie miała wymięte i postrzępione. Z pewnością żyła na ulicy i mogła być naćpana. Ludzie w takim stanie potrafili wykazać się ogromną siłą. Jill pomyślała, że w razie czego chyba nie da rady jej obezwładnić. W ogóle nie chciała jej dotykać.

Strach musiał odbić się na jej twarzy.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedziała Madeline Scott.

Jill sparaliżowało spojrzenie jej szalonych błękitnych oczu.

– Ale koniecznie musisz mnie wysłuchać.

Jill na sztywnych nogach wycofała się do salonu. Zawstydził ją strach we własnym zdławionym głosie, gdy powiedziała:

– Słucham.

– Tylko tego od ciebie chcę – odrzekła Madeline z uśmiechem.

Madeline Scott nie usiadła, a Jill jej tego nie zaproponowała.

Weszły do salonu i stały twarzą do siebie, zachowując dystans. Przykry zapach roztaczany przez Madeline jakoś się rozszedł, a może Jill po prostu do niego przywykła. Oczy kobiety także nie były już takie dzikie, co trochę uspokoiło Jill – być może Madeline nie zaatakuje jej znieścacka.

– Ja będę mówiła, a ty tylko słuchaj – powiedziała Madeline zdumiewająco spokojnym głosem.

Jill przełknęła ślinę.

– Dobrze. Mów. – *Powiedz, co masz do powiedzenia, a potem zjeżdżaj. Wynieś się.*

– Nie tak dawno temu byłam w tej samej sytuacji co ty – zaczęła Madeline. – Jestem spoza miasta, nie mam bliskiej rodziny, a w Nowym Jorku mieszkam krótko. Kiedy sprowadzałam się tu z Illinois, wierzyłam, że wszystko się ułoży, ale wyszło inaczej.

Jill zaczęła odczuwać coś w rodzaju ulgi. Madeline najwyraźniej to i owo sprawdziła, a już na pewno przemyślała, co powie. To będzie ckliwa opowieść, którą zakończy – Jill nie miała co do tego wątpliwości – prośba o wsparcie. Dobrze, może uda się wykupić z tej matni. Z tego strachu, do którego nie chciała się przed sobą przyznać.

– Podejmowałam się zająć bez perspektyw, w których robiłam tylko za trybik w maszynie – ciągnęła Madeline. – Mało kto zwróciłby uwagę, gdybym się nie pojawiła. Nie miałam przyjaciół. A randki? Owszem, kilka, ale wiesz, jak to jest. Mężczyźni, którym dawałam się poderwać, chcieli wiadomo czego, a potem się zmywali. W tym mieście możesz zawrzeć dowolną znajomość, ale nie przyjaźń i mało kto będzie cię pamiętał następnego dnia. Więc robiłam to, co po kilku nieudanych randkach z kompletnymi zerami robi wielu samotnych mieszkańców Nowego Jorku: zarejestrowałam się w znanym serwisie randkowym.

Jill trudno było się skupić, ponieważ przez cały czas szukała wyjścia z tej chorej sytuacji, sposobu na jak najszybsze jej zakończenie. Ile by ją to kosztowało? Ale nagle zaczęła słuchać uważnie.

– W tym samym, z którego usług ty skorzystałaś – mówiła Madeline. – E-kstaza.org.

Jill znalazła sobie krzesło i usiadła. Madeline podeszła do sofy i przycupnęła na samym jej brzeжку.

– Wszystko, co ci opowiedziałam – kontynuowała – znalazło się w mojej ankiecie osobowej dla E-kstazy. A nawet więcej.

– E-kstaza jest w porządku – wtrąciła Jill i aż się zdziwiła, że broni serwisu randkowego. Ale знаła powód. Rozpaczliwie pragnęła, żeby portal okazał się wiarygodny. Znał zbyt wiele intymnych i podatnych na ciosy stron jej osobowości.

Madeline uśmiechnęła się smutno, jakby odczytała myśli Jill.

– Sądzę, że generalnie jest to legalny serwis randkowy – powiedziała – ale oferują jeszcze dodatkową ukrytą usługę. Dotyczy ona kobiet, które nie mają bliskiej rodziny, są w mieście od niedawna i jeszcze nie zdobyły przyjaciół ani znajomości. Pasują do tego profilu, podobnie jak ty.

Jill odetchnęła głęboko i spróbowała pozbierać myśli.

– Czego dotyczy ta usługa w usłudze?

– Przeszukują profile wszystkich zarejestrowanych, prawdopodobnie za pomocą jakiegoś programu komputerowego, i wybierają najbardziej pasujące. Potem firma wysyła kogoś, kto ma zdobyć twoje zaufanie i jak najwięcej się o tobie dowiedzieć. Wszystkiego. Od numerów ubezpieczenia i konta osobistego po ulubiony rodzaj cukierków. Równocześnie twoje życie poznaje ktoś jeszcze – kobieta, która pod twoją nieobecność przebywa w twoim mieszkaniu, nosi twoje ubrania, a nawet pozwala się zauważyć w okolicy jako ty. Uczysz się, jak być tobą, aż wreszcie... staje się tobą.

Ejże!

– Staje się mną? A cóż to miało znaczyć?

– Dokładnie to, co powiedziałaś.

Madeline wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Dlaczego akurat mną?

Jill osłupiała. I znów się bała, ale teraz trochę inaczej. Było w tym wszystkim coś upiornego, co stopniowo przenikało ją do szpiku kości. Coś, co jej umysł częściowo pojął, ale w całości jeszcze za tym nie nadażał.

– W Nowym Jorku mieszka mnóstwo kobiet pasujących do twojego opisu. W żadnym innym mieście świata człowiek nie jest tak anonimowy.

– Dlaczego tobą? – powtórzyła Madeline w zamyśleniu. Najwyraźniej poważnie potraktowała pytanie. – Nie mam pewności.

Ale śledziłam człowieka, którego znasz jako Tony'ego Lake'a, od biur E-kstazy aż na miejsce waszego spotkania. Tyle że ja znałam go jako Dwayne'a Kinga. Dużo nad tym myślałam. Szczerze mówiąc, od tygodni myślę tylko o tym. Podejrzewam, że jesteś podobna do kogoś, kto bardzo chce zniknąć, kto zapłacił E-kstazie i zajmie twoje miejsce.

– A co z prawdziwą mną? – Jill bała się odpowiedzi, choć jeszcze nie była pewna, czy w to wszystko wierzy.

– Prawdziwa Jill przestanie istnieć. Zastrzelą cię, tak jak o mało nie zastrzelili mnie. Udało mi się wyrwać i uciec. Cały czas do mnie strzelali, ale wskoczyłam do przejeżdżającego samochodu i nakrzyczałam na kierowcę, żeby jak najszybciej nas stamtąd zabrał. Tydzień później przeczytałam w gazecie, że zwłoki tego człowieka, kierowcy, znaleziono w parku Riverside. Umarł z przedawkowania. Moim zdaniem nie było to samobójstwo ani wypadek.

Jill usiłowała dojść do ładu z tym, co słyszy.

– Ale czemu mieliby to robić? Podmieniać ludzi?

– Dla pieniędzy – odpowiedziała Madeline po prostu.

– Oczywiście. Pieniądze. Wszystko się robi dla pieniędzy. Ale czego chcą ich klienci? Jaki jest powód tych podmian?

– Nie wiem – przyznała Madeline. – Wiem natomiast, że to, co robi E-kstaza, na pewno działa. Starannie dobierają kobiety spośród tysięcy internetek poszukujących pary. Muszą one spełniać określone kryteria i z wyglądu przypominać osoby, które mają je podmienić. Jeśli jesteś taką klientką do podmiany i zaprzyjaźnisz się z kimś, komu na tobie zależy i kto zacznie podejrzewać, że coś jest nie tak, wówczas „nowa ty” po prostu przeprowadzi się bez słowa, jak to często bywa na Manhattanie. Najwyżej zostawi wiadomość albo czynsz za ostatni miesiąc, bo ma być jasne, że wyprowadziła się z własnej woli. Widziałam drugą Madeline wychodzącą z mojego mieszkania na Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Nie jest moim sobowtorem, ale czesze się, maluje i ubiera jak ja, mieszka u mnie, że już nie wspomnę o dokumentach, kartach kredytowych i paszporcie, a może nawet o drobnej operacji plastycznej. Stała się mną.

– Boże!

Myśli Jill kłębiły się szaleńczo, po raz kolejny ostrzegając ją, że ta kobieta to wariatka, że to, o czym opowiada, jest niemożliwe. Ale Jill się nie ludziła. To było możliwe. Samotność czyniła to możliwym, a Jill doskonale pamiętała, czym jest samotność.

Madeline odgadła jej myśli i znów obdarzyła ją smutnym uśmiechem.

– Ci, którzy znają nas słabo lub po prostu krótko, nie przyglądają nam się zbyt uważnie, Jill. Nowa Madeline naśladuje do perfekcji nawet moje gesty i sposób mówienia.

– Dlaczego nie spotkałaś się twarzą w twarz z tą drugą tobą? – spytała Jill.

W oczach Madeline mignęło przerażenie. Dla Jill była to wystarczająca odpowiedź.

– Czemu nie poszłaś na policję?

Madeline pokręciła głową.

– Próbowałam. Uznali mnie za kolejną bezdomną z zaburzeniami i spławili. Poza tym nie potrafię udowodnić, że naprawdę jestem sobą. Czasem sama w to wątpię. Ta sprawa ma większy zasięg, niż sobie wyobrażamy. Policja może być w to wplątana.

Ta ewentualność wstrząsnęła Jill. Raz jeszcze pomyślała, że Madeline może być zwykłą paranoiczką, jedną z tych nieszczęsnych, na zawsze straconych osób, kręcących się po Manhattanie, rozmawiających z każdym i z nikim, podejrzewających wszystkich i wszystko. Mimo to...

– Skąd policja może wiedzieć, że w ogóle rozmawialiśmy? – zapytała.

– Och, wiedzą. A przynajmniej nie mamy gwarancji, że jest inaczej. A ciebie nie stać na ryzyko, Jill. Przepraszam, że ci to zrobiłam, ale potrzebuję twojej pomocy. Byłam taka jak ty, żyłam swoim życiem i nagle zostałam wplątana w... sama nie wiem w co. Stawiałabym na przestępczość zorganizowaną. Albo na każdego, kogo stać, żeby zapłacić E-kstazie za ich specjalne usługi. Mogą mieć wtyczki w policji. Dowiedzą się, co się dzieje, i dopilnują, żeby śledztwo zostało umorzone. A mnie zabiją. Ciebie też, skoro z tobą rozmawiałam. Skąd mamy wiedzieć, komu można zaufać? Jeśli zwierzymy się niewłaściwej osobie, skończymy jak pozostałe kobiety. To, co zostanie z naszych okaleczonych ciał, wyląduje w nieoznaczonych grobach albo zostanie skremowane na koszt miasta.

– Co zostanie z naszych ciał? Chcesz powiedzieć, że torsowe morderstwa...

– Ukrywając się, rzadko czytałam gazety i oglądałam wiadomości, ale kiedy usłyszałam o tych zabójstwach, od razu wiedziałam, że pewnie jest jakiś związek. Tyle miało ze mnie zostać, kiedy już przestanę istnieć jako osoba. Taki sam plan ktoś opracował dla ciebie, Jill. Na pewno nigdy nie pobierano od ciebie odcisków palców ani próbki DNA. Jeśli znikniesz, nikt nie będzie za tobą tęsknił. Nikt nawet nie zgłosi twojego zaginięcia.

Jill musiała przyznać, że z odciskami palców i DNA to prawda. I z rodziną, której nie miała. Nikomu nie zależało na niej aż tak, żeby aktywnie próbował dociec prawdy.

– Jesteś w pół drogi ku nicości. – Madeline głęboko nabrała powietrza. – Wierzysz mi choć trochę?

Jill prawie przez minutę wpatrywała się bez słowa w kobietę, która mogła być wariatką. Która bez wątpienia wyglądała na wariatkę. Ale nią nie była, tyle Jill już wiedziała.

– Wierzę ci wystarczająco – odparła, przypominając sobie, jak wypełniała niewiarygodnie szczegółową i osobistą ankietę dla E-kstazy.

Dodajesz śmietankę do kawy?

Jakiej marki kosmetyków używasz?

Masz zwyczaj nosić kapelusz albo czapkę?

Czy napilałabyś się wody z cudzej butelki, nie wycierając przedtem szyjki?

Często przechodzisz przez ulicę w niedozwolonym miejscu?

Używasz elektrycznej szczoteczki do zębów?

Madeline podniosła się z sofy. Wyraz jej twarzy sugerował, że miała najszczerzą ochotę podbiec i uściskać Jill. Nie zrobiła tego.

– Pójdę już – powiedziała. – Wyobrażam sobie, jaki masz mętlik w głowie. Musisz to sobie na spokojnie przemyśleć. Spotkajmy się jutro około południa tuż za wejściem do biblioteki na skrzyżowaniu Piątej i Czterdziestej Drugiej. Z publicznej biblioteki nikogo nie wyrzucają, a ja doprowadzę się do ładu na tyle, żeby nie wzięli mnie za żebraczkę. Musimy pomyśleć, porozmawiać i opracować jakiś plan.

– Plan...?

– Jakiś plan – powtórzyła Madeline. Jej oczy wezbrały łzami i pojawiło się w nich błaganie. – Przyjdziesz, Jill?

Jill nie mogła oderwać wzroku od tych oczu. Już nie wyglądały na szalone. Na zrozpaczone tak, ale nie na szalone.

– Obiecuję, że to przemyślę – odpowiedziała.

Madeline skinęła głową.

– Jak przemyślisz, to przyjdziesz.

Tak oto Quinn znalazł się w płonącym lesie, a obok niego śmigały przerażone zwierzęta, nie zwracając na niego uwagi. Jeleń, niedźwiedzie, zające, lew. *Co dalej? Jednorożec?*

Quinn przysnął w fotelu w swoim domowym gabinecie, kiedy czytał w „Post” artykuł o torsowych morderstwach. Zdumiało go, jak wiele można napisać o sprawie, o której tak mało wiadomo. Kubańskie cygaro tliło się w popielniczce stojącej na dywanie obok fotela. Pearl często ostrzegała go, żeby nie robił takich rzeczy. Mógł zaproszyć ogień, zabić ich oboje, zabić wszystkich w budynku. Ta sama Pearl, która stopiła lokówką zasłonę od prysznicza.

Wyczuł cygarowy dym i prawie się obudził. Ale nie do końca. Sen chciał go jeszcze przez jakiś czas przytrzymać. Zapach dymu stał się bardziej intensywny.

Quinn miał na sobie jedynie foliowy płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, a zbliżająca się ściana ognia budziła w nim nie mniejsze przerażenie niż w uciekających zwierzętach. Nawet bez gorąca płonącego lasu spływały potem pod plastikową policyjną peleryną. Kalifornijski żar był nieubłagany.

Kalifornijski? Gdzie jest Lauri? Czy uciekła przed ogniem? A Robaczek? A Pearl?

Dzwonił telefon. A może była to nagłąca syrena wozu strażackiego? *Muszę zjechać tą cholerną furą na pobocze.*

Zaraz! To nie on prowadził. Był tego pewien, ponieważ nie mógł znaleźć kierownicy.

Zdał sobie sprawę, że zasnął. Wydobył się z fotela i zmęczonym krokiem podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę i omal nie powiedział: „Pearl?”. Ale nie powiedział. Słowo jakoś nie wydobyło się z jego ust.

Dlaczego myślę o Pearl? Martwiłem się o Lauri. A nawet o Robaczka.

Poczuł, że coś się pali, i ogarnęła go groza. Wtedy zauważył dymiące cygaro w popielniczce na podłodze.

– Quinn? – Głos w słuchawce należał do kobiety, ale nie był to

głos Pearl. – Quinn, tu Linda.

Nagle zapragnął ją zobaczyć. Objąć ją i zostać objętym.

– Linda – powiedział, idiotycznie wciąż spowity pajęczyną snu. Upuścił słuchawkę, ale zdążył ją złapać tuż przed tym, zanim uderzyła o biurko. – Zasnąłem w fotelu – wytłumaczył się.

- Za dużo pracujesz.
- A mimo to za mało.

Milczała przez chwilę.

- Muszę się z tobą zobaczyć – powiedział.
- Dlatego dzwonię. Ja muszę zobaczyć się z tobą.

Jezu! pomyślał Quinn. Dokąd to zmierza? Jakby porwał mnie silny prąd i ciągnął w kierunku wzburzonego morza.

– Quinn?

Rekiny. Nie ogień. Woda. Obudź się wreszcie, otepiaty idioto!

- Quinn? – powtórzyła Linda z niepokojem.
- Za pół godziny w Lotus Diner?
- Będę.

Odłożył słuchawkę i przez kilka minut w milczeniu wpatrywał się w telefon. Potem udał się do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Koszulę też. Uznał, że powinien ją zmienić. Zdał sobie sprawę, że w ustach pozostał mu gorzki posmak cygara. Umył zęby. W sypialni włożył czystą koszulę. Wrócił do łazienki, żeby się uczesać. Przed wyjściem podniósł cygaro razem z popielniczką i zaniósł do kuchni. Zalał je wodą, wyrzucił, wytarł do czysta szklaną popielniczkę i odstaWił ją na ociekacz w zlewozmywaku. Znalazł odświeżacz powietrza w sprayu i spryskał mieszkanie, a zwłaszcza gabinet, w którym palił.

Wychodząc, nie myślał o swoich snach, o torsowych morderstwach, o martwych kobietach. Tylko o Lindzie. Żywej.

Na kolacji z Tonym Jill z początku czuła się niezręcznie. Chyba tego nie zauważył. Ale kiedy zasiedli w Scampi, czterogwiazdkowej restauracji przy Szóstej Alei i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, znacznie się rozluźniła. Tony poświęcał jej tyle uwagi, dodawał otuchy, był tak... niegroźny, że rozmowa z Madeline gasła w jej pamięci i wydawała się coraz bardziej nierzeczywista.

Z pewnością była nierzeczywista, ta wypełniona rojeniami perora chorej psychicznie bezdomnej. Teraz Jill siedziała naprzeciwko Tony'ego w miękkim blasku świecy palącej się na środku białego obrusa, przed nimi stały niedojedzone dania, a kelner donosił wino. To było rzeczywiste.

Tony nie mógł, po prostu nie mógł być potworem, jakiego odmalo-

wała Madeline. Jill na pewno by to w nim dostrzegła, gdyby opowieść Madeline była prawdziwa. Oczywiście nie miał rogów ani pałających czerwienią oczu, ale Jill na pewno coś by zauważyła. Po prostu nie można być człowiekiem, jakiego opisała Madeline, a zarazem kimś takim jak Tony.

Poza tym Jill go znała. Zaliczyli już kilka randek i dojrzewali do przespania się ze sobą. Tony nie ukrywał, że tego oczekuje, ale w żaden sposób jej nie ponaglał, więc nadal się nawzajem odkrywali, nabierali pewności, że oboje tego chcą. Że Jill tego chce, bo Tony już chyba wiedział, że jej pragnie, przy czym nie chodziło mu po prostu o seks.

Właśnie to zrodziło się ze spędzonego wspólnie czasu: poczucie intymności, które zostanie scementowane wzajemnym oddaniem, gdy już oboje będą gotowi. Wzajemnym zaufaniem. Dzięki nader osobistym rozmowom wejrzeli sobie nawzajem w dusze.

Tony odczekał, aż kelner doleje im wina.

– Z początku wydawałaś się jakaś podenerwowana – powiedział. Miał piękny chłopięcy uśmiech, biały niczym z reklamy pasty do zębów, ale prawdziwy, tak jak cały Tony. – Ciągłe martwi cię ten intruz w mieszkaniu?

– Już nie. – Jill się uśmiechnęła.

Zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu o Madeline. Szalonej Madeline. *Czy rzeczywiście szalonej?* Lepiej nic nie mówić. Tony, przy stojny i najzupełniej normalny Tony, mógłby pomyśleć, że to ona, Jill, ma nazbyt żywą wyobraźnię, skłonności do paranoi. *Może to ja jestem szalona.*

Ale Madeline nie była wytworem jej wyobraźni. I w głębi duszy wiedziała, że nie wolno jej całkowicie zlekceważyć szalonej opowieści bezdomnej.

W głębi duszy.

Bardzo głęboko.

Wino ją rozluźniło i rozgrzało. Czowała się ciepło i bezpiecznie. Przy Tonym.

W Lotus Diner Frank Quinn i Linda Chavesky rozmawiali nad kawą o wszystkim i o niczym. Wieczór był ciepły, ale w restauracji panowały chłód i niecodzienny spokój.

Quinn szybko poczuł się swobodnie przy Lindzie, a ona przy nim. O dziwo, stojące między nimi filiżanki z kawą pomagały. Nie różniły się zbyt od pewnych naczyń na płyny rodem z piekła, które to piekło oboje odwiedzili, naczyń przypominających im, kim byli kie-

dyś i kim są teraz. Teraźniejszość, w której naczynia na płyn miały uszka, była o wiele lepsza niż przeszłość i wciąż się polepszała.

Quinn od dłuższego czasu nie pił swojej kawy. Bawił się gorącą filiżanką, delektując się zapachem napoju i ciepłem na opuszkach palców.

- Dobrze, że się dziś spotkaliśmy.
- Też tak sędzę – odpowiedziała Linda.

Była w ciemnej bluzce i wyblakłych lewisach, do których miała figurę, ale nie założyła biżuterii, pomijając cztery czy pięć cienkich srebrnych bransoletek, które cichutko dźwięczały za każdym razem, kiedy podnosiła rękę, by napić się kawy.

Poza nimi w restauracji było tylko kilka osób i nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Za pokrytym smugami oknem, przy którym znajdował się ich boks, ruch na Amsterdam wygasł i niewielu było przechodniów – miasto było tak spokojne, że już bardziej nie będzie. Po drugiej stronie ulicy kobieta wymachująca zwiniętą gazetą przywołała taksówkę. Otworzyła tylne drzwi i wsiadła do auta. Gdy odjeżdżało, za jego lustrzanymi oknami widać było biel gazety.

- Mieszkam dwa kroki stąd – powiedział Quinn.

Linda się uśmiechnęła.

– Pomyślałeś o tym na widok tej kobiety zatrzymującej taksówkę?

Quinn spojrzał jej w oczy. Nie uśmiechał się.

- Pomyślałem o tym z twojego powodu.

Linda poczuła mrowienie, którego nie doświadczyła od lat. Oboje wyczuwali, że zbliża się kluczowy moment w ich związku, i Linda zastanawiała się, czy Quinn jest tym równie podenerwowany, jak ona. Bo była podenerwowana, nawet odrobinę się bała. Quinn na pewno aż tak się nie bał. Propozycja padła z jego ust, to on przyspieszył bieg spraw. Serce Lindy nie chciało się uspokoić. Jej uśmiech przygasł. Uniosła rękę i delikatnie przesunęła palcami po twarzy Quinna, jak niewidoma chcąc poznać prawdę o drugim człowieku.

- Zapłacę rachunek – powiedziała.
- Nie pomyślałbym o tym – odparł.
- Nie musiałeś.

Uznała, że od tej pory nie będzie miało większego znaczenia, które z nich płaci.

– Pearl łązi wnerwiona, od kiedy za naszą sprawą dowiedziała się o Lindzie Chavesky – oznajmił Ed Greeve swojemu szefowi.

– I bardzo dobrze – odpowiedział Nobbler zza biurka. Podrapał się po mięsistej szyi. – Wnerwiona nie będzie mogła skupić się na pracy.

Przez okno wpadało rażące światło poranka. W jego ostrym blasku połowa twarzy Nobblera przypominała surowe czerwone mięso, zupełnie tak jakby za mocno się golił i zdrapał skórę.

– Myśli pan, że uda nam się ją przekabacić? – spytał Greeve. – Że powie nam, co zamierza Quinn?

Po kilkusekundowym namyśle Nobbler pokręcił głową.

– Nie ona.

– Zawiedziona kobieta – przypomniał mu Greeve.

Nobbler się uśmiechnął.

– Pamiętaj, że to ona rzuciła Quinna.

– Moim zdaniem chce się od niego uwolnić. Przygruchała sobie kogoś innego. Niejakiego Milтона Kahna, który ostro ją posuwa.

– No, no... – Nobbler zabębnił serdelkowatymi palcami prawej ręki o blat i zapatrzył się w jaskrawe światło. Być może wyobrażał sobie Pearl z Miltonem Kahnem, kimkolwiek ten człowiek był.

– Musi być z niej szatan w łóżku – powiedział Greeve.

– To by pasowało – zgodził się Nobbler. – Farciarz z tego Milтона Kahna.

Odchylił się w fotelu, złożył palce w piramidkę i zaczął lekko postukiwać opuszkami.

– Matka Pearl mieszka w domu spokojnej starości – powiedział Greeve. – Z tego co wiem, do spółki z jeszcze jedną raszplą spiknęła ją z tym Kahnem i zaiskrzyło. Mamusie swatki. To dopiero wrzód na dupie.

– Nie masz żony.

– Na cudzej dupie.

– To się nie liczy.

– Gdzie się liczy, tam się liczy. Ważne, kto liczy.

Nobbler nie miał ochoty wchodzić z Greeve'em w tego typu rozmowy. Facet i tak był zagadką, nawet kiedy nie gadał jak wyznawca zen.

– A ten Kahn to jakiś zawodnik?

Greeve zrozumiał pytanie Nobblera. Czy z Miltonem Kahnem będą problemy?

– Nieee. To dermatolog.

– No proszę. Coraz lepiej – mruknął Nobbler.

– Powiem panu coś jeszcze – ciągnął Greeve. – Może i pieprzą się jak norki, ale mam wrażenie, że się nie kochają.

– Skąd, do cholery, możesz to wiedzieć?

– Po prostu się czuje, że czegoś w tym brak.

Nobbler łypnął na niego sceptycznie.

– Ja cię kręcę! Pisujesz kolumnę z poradami dla zakochanych?

– Znam się na ludziach.

– Posuwa ją – oświadczył Nobbler – i to mi wystarczy. – Coraz szybciej postukiwał opuszkami palców, jakby chciał Greevemu to posuwanie zademonstrować.

Opuszczając biuro, Greeve mógł z dezaprobatą potrząsnąć głową, ale mogła to też być wyobraźnia Nobblera.

Jill nigdy wcześniej nie była w głównej bibliotece miejskiej. Wspiąwszy się kamiennymi schodami do wejścia, znalazła się w rozległym przedsionku. Przywitały ją obficie żyłkowane kremowe marmury i wysokie kolumny. Podłoga też była marmurowa. Na wyższe piętra wiodły szerokie schody, a wysoko w górze znajdował się otoczony balustradą podest. Opierała się o niego mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka i spoglądała w dół. Uśmiechnęła się do Jill, cofnęła i zniknęła z widoku. Wokół kręcili się ludzie, a ich głosy i kroki rozchodziły się echem w bezmiernej przestrzeni.

Jill znalazła sobie miejsce z dala od wszystkich i się rozejrzała. Ani śladu Madeline. Czy też kobiety, która przedstawiła się jako Madeline. Bo na dobrą sprawę osoba ta mogła być kimś innym, niż twierdziła, kimś o tak dużych zaburzeniach psychicznych, że doprowadziły do utworzenia drugiej tożsamości i wymyślenia całej tej dziwacznej historii.

Ale czy naprawdę takiej dziwacznej? W opowieści Madeline pobrzmiwała prawda, przerażająca, ale uparcie wypływająca na powierzchnię. Jill uwierzyła jej na tyle, żeby się przestraszyć i drążyć temat. Dlatego się tu zjawiała.

Tylko gdzie była Madeline?

Madeline się nie pokazała. Jill zaczęła piętnaście minut w bibliotece, potem wyszła na zewnątrz, stanęła w cieniu nieopodal wejścia i odczekała kolejnych dziesięć. Ludzie wchodzili i wychodzili. Madeline między nimi nie było.

Jill wróciła metrem do domu, na pół mając nadzieję, a na pół się obawiając, że otworzą się drzwi na końcu wagonu i w podmuchu powietrza oraz hałasie wparuje przez nie szalona Madeline, aby opaść na siedzenie obok i wypełnić uszy Jill wariactwami. Ale podróż metrem przebiegła bez przygód, nie licząc zdesperowanego mężczyzny, który rozłożył na podłodze z sześć wypchanych zwierzątek i kiedy na niej podskakiwały, próbował je sprzedać po pięć dolarów sztuka.

W ciągu następnych kilku dni Jill odkryła, że wypatruje Madeline przed domem, na chodnikach i w metrze. Co jakiś czas jej serce było żywiej, kiedy widziała kłęb łachmanów okrywający człowieka albo natrafiała na wynędzniałą bezdomną, która tylko z daleka przypominała Madeline. Madeline przepadła. Wydawało się, że zniknęła z życia Jill w sposób równie nagły i tajemniczy, jak się w nim pojawiła.

Jill nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego. Zaczęła nadrabiać zaległości w wiedzy o torsowych morderstwach; dużo czasu spędzała na lekturze porannych gazet, a potem jeszcze więcej w internecie na przeglądaniu archiwów lokalnych czasopism. Ale bez Madeline, która przekonująco połączyła morderstwa z portalem E-kstaza.org, Jill zaczęła powątpiewać, że rzeczywiście jej coś grozi. Madeline najpewniej była jedną z rozchwianych umysłowo, nękanych urojeniami dusz, których tak wiele błąkało się po nowojorskich ulicach. Może Jill powinna zorganizować dla niej jakąś pomoc, jeśli ją w ogóle kiedyś odnajdzie.

Jeśli chciałyby ją odnaleźć.

Czego chciała naprawdę? Wstyd jej było się do tego przyznać, ale najbardziej pragnęła raz na zawsze zapomnieć o tej kobiecie. Myślała o niej co noc przed zaśnięciem i każdego ranka tuż po przebudzeniu. Chcąc nie chcąc, przez cały czas rozpamiętywała jej opowieść. Jeśli to wszystko było prawdą, a Madeline odszukano i zabito, morderca mógł nie zostawić jej tułowia dla policji i laboratoriów. Udało jej się na jakiś czas ukryć, więc może została zaliczona do zupełnie innej kategorii jako ktoś, kogo E-kstaza nie chciała łączyć z pozostałymi morderstwami.

Ale tym, co najbardziej dręczyło Jill, co wyływało zawsze, kiedy wracała myślami do tej dziwnej opowieści, był fakt, że Madeline, od której aż było pragnienie, by się spotkały i opracowały jakiś plan, przepadła jak kamień w wodę. A na pewno zniknęła z powszedniego,

wypełnionego pracą świata Jill.

Tyle że Madeline istniała naprawdę. Jill ciągle sobie to powtarzała. Musiała istnieć.

Pięć dni po terminie spotkania w bibliotece Jill włączyła telewizor nastawiony na kanał informacyjny NY1 i dowiedziała się, że w okrytych cieniami rejonach stacji metra na Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy znaleziono rozkładające się zwłoki kobiety. Nie od razu zauważono ciało, ponieważ znajdowało się na początku ciemnego tunelu, na samym końcu peronu, ukryte w mroku otaczającym szyny. Obok martwej kobiety musiało przejeżdżać mnóstwo pociągów; mijaly ją o włos. Przy zwłokach nie było dokumentów.

Następnego ranka „Post” opublikował szkic policyjnego rysownika, przedstawiający prawdopodobny wygląd kobiety za życia. Jill spostrzegła rysunek w metrze, kiedy siedzący obok niej mężczyzna rozpostarł egzemplarz dziennika. Kołysała się łagodnie w rytm miarowego huśtania wagonu i patrzyła na portret. Oczy na rysunku zdawały się odpowiadać jej spojrzeniem.

Kobieta wyglądała jak Madeline.

Charlotte Lowenstein pocałowała Dixie w usta. Właśnie miały opuścić The Bad Sister i przejść kilka przecznic do mieszkania Charlotte w Village. Była trochę podchmielona i doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale w ogóle się nie przejmowała. Dixie się nią zaopiekuje, zadba, żeby nie potknęła się i nie upadła albo nie weszła prosto pod samochód, choć po prawdzie w tej części Village nie jeździło ich dużo o tej porze nocy.

Dixie pomogła jej wstać od małego stolika. Błat zasłany był pustymi kieliszkami, zmiętymi serwetkami, koktajlowymi mieczykami z plastiku i wygiętymi słomkami. Zatracone w sobie spędziły tu na rozmowie co najmniej dwie godziny. Gdy mijaly kontuar, przy którym siedziało ze dwanaście kobiet, barman z uśmiechem życzył im dobrej nocy. Potem minęły staromodną szafę grającą, taką świecącą, i dotarły do drzwi wyjściowych. Na zewnątrz Charlotte szło się o wiele łatwiej, niż się spodziewała. Wspierała się na ramieniu Dixie, ale nie było to konieczne. Mogła iść sama. Mimo to udawała, że potrzebuje pomocy. Jak cudownie było, kiedy dla odmiany to nią ktoś się zajmował! O ileż to lepsze od samotności i pustki, które rozrastały się i rozrastały, i groziły, że na zawsze pozostawią wyrwę w duszy.

Serwis randkowy sprawdził się za pierwszym razem. A przynajm-

niej był to pierwszy raz dla Charlotte. Na stronie internetowej chęłpił się, że oferuje możliwość poznania się osobom tej samej płci, i okazało się to prawdą. Dixie, wysoka, ciemnowłosa, o wyrazistych rysach i szczupłym, sprężystym ciele, idealnie trafiała w potrzeby Charlotte. Być może przeciwieństwa się przyciągają – do pewnego stopnia. Bo Charlotte, w przeciwieństwie do wymuskaanej i zmysłowej Dixie, była niską blondynką i miała jakieś siedem funtów nadwagi, z czego większość poszła jej w biodra. Miała też uroczą twarzyczkę w kształcie serca, podczas gdy twarz Dixie była rzeźbiona, ostra i lisa. Dixie bezdyskusyjnie była seksowna, ale w sposób sugerujący, że jeszcze kilka lat i jej wygląd będzie prowokował określenie „przystojna”. Cóż, dla Charlotte była przystojna już teraz, już tej nocy.

A noc zapowiadała się coraz lepiej. Od kiedy miesiąc temu pojawiły się na pierwszym umówionym spotkaniu w Starbucksie, każda noc wydawała się Charlotte lepsza od poprzedniej. Ciężko się żyło w nowym mieście, nie będąc jedną z sióstr. Oczywiście o przygodny seks nie było trudno, ale niósł ze sobą ryzyko. Niekiedy nawet poważne. Istnieli ludzie, mężczyźni i kobiety, którzy mogli cię skrzywdzić w najgorszy sposób. Natomiast Dixie okazała się rozkosznie idealna. Po prostu wiedziała, kiedy nie należy posuwać się za daleko.

Obie kobiety podpierały się wzajemnie, choć Charlotte dałaby głowę, że Dixie wychyliła tylko jednego drinka, góra dwa. Ale bardzo mieszało jej się w pamięci. Usłyszała głębokie westchnienie Dixie.

- Piękna noc.
- Przy tobie każda noc jest piękna – odparła Charlotte.

Dixie się uśmiechnęła. Dwóch mężczyzn, być może w związku, obrzuciło je spojrzeniem, przechodząc drugą stroną ulicy. Charlotte zdawała sobie sprawę, że w taki czy inny sposób to Dixie przyciągnęła ich uwagę – Dixie z zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami, w ciemnej skórzanej kurtce i czarnych rajstopach, na wysokich obcasach z czarnej skóry, dzięki którym jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe. I ta luźno przewiązana wokół szyi czerwona apaszka, połysk żywy jak krew. Mężczyzna czy kobieta, kto by się nie zapatrzył? Kto by jej nie zapragnął?

Charlotte położyła rękę na ramieniu Dixie.

- Puścimy sobie dziś płytę?
- Jeśli chcesz – odpowiedziała Dixie z uśmiechem.
- Lubię to robić przy muzyce.
- Bez muzyki też to lubisz – odrzekła Dixie i żartobliwie uszczypnęła Charlotte w szyję.

Odrobinę zabolalo, ale Charlotte nie miała nic przeciwko temu.

Za ich plecami zaświeciły samochodowe reflektory i skąpały ulicę w żółtym świetle, ale kobiety nie zmieniły tempa ani kierunku. Ta okolica była przyjazna późną nocą.

Serce Charlotte jednak przyspieszyło, gdy światła stały się jaśniejsze, a jadący z tyłu samochód najwyraźniej zwolnił. Słyszała stukający silnik, lecz nie spojrzała za siebie. Dixie też nie.

Maska samochodu wyłoniła się obok nich. Było to duże czarne auto, lśniące mnóstwem chromowanego metalu. Charlotte nie mogła się powstrzymać – musiała mu się przyjrzeć. Jej zdaniem był to chrysler. Troszeczkę ich wyprzedził, zjechał do krawężnika i się zatrzymał. Kierowca obniżył przyciemnianą szybę po stronie pasażera i pochylił się nad fotelami, żeby widzieć kobiety.

– Dixie?

Głos był męski.

Dixie zatrzymała się i lekko ścisnęła ramię Charlotte, dając jej do zrozumienia, że nie ma się czego bać.

– Co ty tu robisz? – zapytała Dixie.

W jej głosie brzmiało zdumienie, ale nie strach. Ten pewny ton dodał Charlotte otuchy. Dixie dałaby sobie radę prawie ze wszystkim.

Kierowca się uśmiechał. Całkiem przystojny facet.

– Podrzuciłem kumpla do mieszkania i wracam do domu. Nie spodziewałem się, że spotkam tu kogoś znajomego, a już szczególnie ciebie. – Wciąż uśmiechnięty zerknął na Charlotte, po czym wrócił spojrzeniem do Dixie.

– To Charlotte, moja przyjaciółka – wyjaśniła Dixie. Przez cały czas uspokajająco trzymała rękę na ramieniu Charlotte. Znowu delikatnie je uścisnęła. – Charlotte, poznaj Dona, mojego brata.

– Wybieracie się dokądś? – zapytał Don.

– Właśnie skądś wracamy – odpowiedziała Dixie.

– Długo się nie widzieliśmy.

– Nie da się ukryć – przyznała.

– Mam pomysł – powiedział Don. – Może pojedziemy we trójkę do mnie na drinka? Potem odwiozę was, gdzie zechcecie.

Dixie wyczuła opór Charlotte. Cóż, wiedziała, na co Charlotte ma chęć. Mocno ją obejmując, spojrzała jej w oczy i uśmiechnęła się zachęcająco.

– Co ty na to?

– Nie bardzo, Dixie. Nie dziś. Jestem skonana.

– Na pewno?

– Na sto procent. – Posłała Donowi niepewny uśmiech, prosząc go o pomoc.

Po drugiej stronie ulicy pojawili się dwaj mężczyźni, ci sami co poprzednio, tyle że teraz szli w przeciwną stronę. Don zdawał się namyślać.

– Nie zmuszaj jej – powiedział do Dixie, a Charlotte obdarzył szerokim uśmiechem. – Zawsze możemy spotkać się kiedy indziej.

– Dobrze – ustąpiła Dixie. – Damy ci znać.

Don wciąż patrzył na Charlotte i ciepło się do niej uśmiechał. Mru-gnął okiem.

– No to jesteśmy umówieni.

Wtopił się w ocienione wnętrze samochodu, a okno się zasunęło. Charlotte i Dixie patrzyły, jak ogromny chrysler odbija od krawężnika i na najbliższym skrzyżowaniu znika za zakrętem.

– Twój brat – odezwała się Charlotte, jakby wciąż przetrwiała nową wiedzę o Dixie.

Dixie ujęła ją za ramię i podjęły spacer.

– Mój brat. Rzadko się widzimy, ale nam się układa. Polubisz go.

Charlotte dotrzymywała jej kroku. Znowu się o nią oparła i szły niemal udo w udo.

– Sprawia wrażenie sympatycznego.

– Wszyscy tak twierdzą – odpowiedziała Dixie.

W takich chwilach jak ta Pearl emanowała czymś w rodzaju energii, którą wszyscy wokół wyczuwali. Jak teraz Quinn. Coś się święciło.

Jechali wielkim lincolnem Quinna w ten piękny nowojorski poranek. W ukośnych promieniach słońca wysokie budynki rzucały wyraziste, kładące się pod ostrym kątem cienie, a blask i mrok tańczyły naprzemiennie na lśniąącym metalu szerokiej czarnej maski samochodu. Pearl przyjechała do biura na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy wcześniej rano nieoznakowanym radiowozem, a potem wybrali się po Feddermana, żeby już we trójkę udać się na spotkanie z Renzem w gabinecie na Police Plaza 1. Pearl mówiła, a ręce Quinna coraz mocniej zaciskały się na kierownicy.

– Czyli spotykasz się z tą lekarką sądową, od której jedzie formaliną.

Quinn przyhamował, żeby nie uderzyć w tył brudnego białego dostawczaka, po czym pozwolił lincolnowi podtoczyć się kawałek we wlokącym się sznurze pojazdów.

– Nigdy nie wyczułem formaliny.

Szczęki mu się zacisnęły. Jakim prawem Pearl roztrząsa, z kim się spotykał i sypiał? Pearl i ten dupek Milton Kahn. Pohamował gniew. W końcu nigdy nie spotkał Kahna, znał go tylko ze słyszenia.

– Nie powiedziałam, że ją czuć. Powiedziałam, że nią jedzie. A raczej cuchnie.

Quinn wzruszył ramionami, co Pearl chyba rozjuszyło. Czuł, jak kipiała obok niego ze złości. Jechali dalej. Silnik powarkiwiał i Pearl zdawała się powarkiwać, choć nie wydawała żadnego dźwięku. Quinn wiedział, że szukała zwady. *Zawsze szuka zwady. Urodzona z rzepem w tyłku.*

Wreszcie powiedziała:

– W tym cholernym wozie też jedzie. Jakbyś jarał w nim cygara.

Noż do jasnej cholery! Quinn liczył na spokojny poranek, ale jeśli Pearl szukała kłopotów, to na pewno je znajdzie. Sama się o to prosiła.

– Może to ty jesteś za bardzo podjarana.

- Niby czym?
- Wkurza cię, że spotykam się z Lindą. A nie powinno. To ty na okrągło trułaś, że nasz związek się skończył.
- Jakie trułaś? – zdziwiła się Pearl. – Skończył się i tyle. Nie ma żadnego związku.
- To dlaczego jesteś...
- Kto mówi, że jestem?
- ...taka wkurzona na...
- Quinn, nic, co się wiąże z tobą, nie może mnie zdenerwować. Ani to, z kim się spotykasz, ani z kim pieprzysz.

- Sama zaczęłaś.
- Rozmowę o Lindzie?

– O doktor Chavesky – poprawił ją Quinn, wciąż rozsierdzony.

Pearl trzymała nerwy na wodzy. Znała Quinna, wiedziała, dlaczego tak się zachowywał, wiedziała też, że przeważnie unikał wdawania się w nią w pyskówkę, dopóki porządnie nie załaziła mu za skórę. Musiała trafić w czuły punkt. Z tą *doktor* Chavesky naprawdę coś było na rzeczy, skoro Quinn tak ostro i nieustępliwie wsiadł na Pearl. Co miała zrobić – skulić się ze strachu i wycofać? Czy na to liczył ten przerośnięty irlandzki drab?

- Jedźże, do cholery – powiedziała. – Zostajesz z tyłu.

Quinn podniósł wzrok. Samochody rzeczywiście ruszyły. Brudny tył furgonetki, w którą omal nie wjechał, był już pół przecznicy dalej i nabierał prędkości. Quinn dodał gazu, żeby nadrobić stracony dystans. Ignorował obecność Pearl. Ale ona nie zamierzała odpuścić.

- Więc znalazłeś sobie nową obsesję – powiedziała.
- To ty masz nową obsesję.
- Czyli?

Rznięcie Milтона Kahna.

- Antypatię do doktor Chavesky.

Wybuchnęła śmiechem, w którym nie było cienia wesołości.

- Brzmi to tak, jakbym miała się przejmować, że się bzykacie.
- Brzmi to tak, jakbyś się przejmowała.
- Niby dlaczego miałabym się przejmować?
- No właśnie, nie powinnaś. Już nie mam obsesji na twoim punkcie, którą zawsze mi zarzucałaś, Pearl. To się skończyło. Nie ma co się miotać.
- Czy ja się twoim zdaniem miotam? – Pearl wycelowała palec wskazujący w swoją kamienną twarz. – No?

– Muszę uważać na drogę – odpowiedział Quinn, nie rzuciwszy na Pearl okiem. Boże drogi, zaczynało mu się to podobać. Odrobinę.

Pearl jakby to wyczuła.

– I bardzo dobrze – odparła. – Uważaj na drogę i pielęgnuj obsesję na punkcie swojej kochanej pani doktor. Jak nie będziesz uważał, łatwo wjedziesz komuś w dupę. Jak swojej...

– Pearl!

Oboje zamilkli. Quinn trzymał się furgonetki w poruszającym się zrywami korku na Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Tak minęło jakieś pięć minut. Pomyślał nawet, że Pearl mogła się już wyżyć. Rozparł się w skórzanym fotelu i skupił na prowadzeniu.

– Wiesz, co sobie myślę? – zapytała Pearl.

– Rzadko.

– Myślę, że z taką łatwością wchodzisz w umysły seryjnych morderców, bo wasze obsesje są podobne. Jesteś psychopata. Ty i morderca to dwie strony tej samej monety.

– Najważniejsze, że jestem po drugiej stronie.

Ale Quinn doskonale wiedział, co miała na myśli. Gryzł się tym. Zawsze był uparty, obsesyjnie zaangażowany, miał klapki na oczach... A może był zdecydowany, zdeterminowany, nieustępliwy...? Jaka, do cholery, różnica? Drobną, a Quinn nierzadko pakował się przez nią w kłopoty. Pearl przez swój upór też nieraz znalazła się w opałach, miała więc niezgorszy tupet, żeby mówić do niego w ten sposób i porównywać go do seryjnych morderców.

Kilka razy głęboko odetchnął i przełknął złość. Więc kierowały nim obsesje. I co z tego? Zaprzęgał je do pracy i dzięki temu zrobił coś dobrego na tym świecie. Jeśli dzięki swojemu obsesyjnemu charakterowi zdybał kilku drani, którzy w niewyobrazalny sposób mordowali kobiety, niechże i tak będzie. To oni mieli problem, a Quinn bezlitośnie deptał im po piętach. Każda moneta ma dwie strony.

– Niezależnie od tego, co dzieje się w naszym życiu osobistym – powiedział spokojnie – musimy razem pracować. Udźwigniesz to, moja droga?

– Weź sobie odpuść to sarkastyczne „moja droga”. Na to możesz nabierać naiwnych podejrzanych lub świadków, żeby puścili farbę.

– Udźwigniesz? – powtórzył Quinn.

– Nie wysiadłam z twojego samochodu, prawda?

Rzucił na nią okiem i ze zdziwieniem spostrzegł, że się uśmiechała. Naprawdę się uśmiechała. Pearl kochała walkę, co dla Quinna nie było żadną nowością. Nie odezwał się ani słowem, ale po przejechaniu kilku przecznic przyłapał się na tym, że uśmiecha się tak samo jak ona.

Na Drugiej Alei zatrzymał się na światłach, pierwszy w kolejce, po

czym niespodziewanie przejechał na czerwonym, kiedy akurat nic nie nadjeżdżało z naprzeciwka, i ruszył pod prąd. W połowie przecznicy przy radiowozie stał mundurowy glina. Quinn zwolnił i na użytek gliny przycisnął do przedniej szyby lincolna odznakę. Glina ją rozpoznał, może nawet rozpoznał Quinna, i skinął głową. Kiedy skręcili na następnej przecznicy, żeby znów obrać właściwy kierunek, Pearl się obejrzała i zobaczyła, że kogut na radiowozie miga, a glina stoi obok szarego forda sedana i poucza kierowcę, że Pierwszą Aleją nie należy jeździć pod prąd. Rozpoznała w fordzie samochód prasy, jeden z tych, które tkwiły w pobliżu biura detektywów. Siedzące w nich dziennikarskie hieny miały nadzieję na udane zdjęcie bądź film wideo, a czasami jeździły za detektywami.

Quinn przeciął następną przecznicę i wrócił na właściwą drogę, upewniając się w lusterku wstecznym, że zgubili dziennikarzy.

– Zgrabnieś to sobie wykombinował – pochwaliła Pearl.

Quinn skinął głową i jechał dalej.

Jill wiedziała, że popada w obsesję na punkcie Madeline. Nie było innego wyjaśnienia. W końcu szkic policyjnego rysownika, który opublikowano we wszystkich w gazetach i chyba co piętnaście minut pokazywano w telewizji, nie przypominał Madeline aż tak. Ale Jill przepracowała swój ostatni dzień w Tucker, Simpson and King, gdzie powiedziano jej, że mogą wezwać ją w przyszłym tygodniu, choć niekoniecznie. Wszystko zależało od tego, na kiedy zostanie wyznaczony termin operacji przepukliny pana Tuckera. Pod jego nieobecność wszyscy w biurze będą biegać jak kot z pęcherzem, przyda się więc ktoś, kto potrafi odebrać telefon i zna system, według którego segregowane są dokumenty.

Znam system segregowania dokumentów, ale mnie nikt nie zna. W dodatku Tony wyjechał w interesach i miał wrócić dopiero za cztery dni.

Po raz pierwszy od dawna Jill dysponowała wolnym czasem. Dlatego nie potrafiła przestać myśleć o Madeline Scott. O tym, co spotkało nieszczęsną, szaloną Madeline. O tym, czy w ogóle żyła.

Na kolację Jill dokończyła chińskie danie na wynos, zatem następnego ranka przeszła kilka przecznic do delikatesów, w których kupiła sobie śniadanie – sok pomarańczowy i opiekanego bajgla. I co miała dalej robić? Oglądać *Oprah Winfrey Show*? Kurczę, nawet nie leciał o tej porze.

W mieszkaniu było bardzo, bardzo cicho. Jill trochę pochodziła, a potem włączyła telewizor i zmieniała kanały, dopóki nie zmęczyły jej

gadające głowy, reklamy SUV-ów, kiepskie dramaty i nieśmieszne komedie. Z premedytacją omijała wiadomości. Oglądając je, znów zaczęłyby myśleć o Madeline.

Wyłączyła telewizor pilotem. Rozciągnęła się na wznak na sofie, zasłaniając oczy przedramieniem. Wiedziała, że nie zaśnie. Nie była zmęczona. Nie opędzi się od myśli. Odsłoniła oczy i usiadła, gdy coś jej się przypomniało. Jeszcze raz sięgnęła myślą w przeszłość. Upewniła się.

Przecież mogła coś zrobić w sprawie Madeline, zaspokoić rozbudzoną ciekawość. Była pewna, że dawne mieszkanie Madeline, zgodnie z jej słowami, mieściło się przy Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej. Powinna tam mieszkać nowa Madeline Scott, jeśli w ogóle istniała. Jeśli istniało takie mieszkanie. Jeśli nie był to kolejny poryw szalonej wyobraźni Madeline.

Jill podniosła się z sofy i podeszła do stolika przy drzwiach, na którym stał telefon. Na półeczce między nogami stolika leżał stos książek telefonicznych różnych dzielnic. Schyliła się, wzięła z wierzchu książkę z numerami Manhattanu i wróciła z nią na sofę. Przewertowała spis i dotarła do nazwiska Scott. Scottów było sporo, ale niemal od razu znalazła M. Scott pod adresem na Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

Przez kilka minut siedziała nieruchomo z otwartą książką telefoniczną na kolanach. Widok nazwiska Madeline przejął ją dreszczem, choć przecież właśnie tego szukała. Skoro znajdowało się w książce telefonicznej, opowieść Madeline nabierała większego prawdopodobieństwa.

Otrząsnęła się. „M. Scott” mogło odnosić się do kogoś zupełnie innego, mogła to być Mary, Martha albo Margaret Scott. Albo Martin Scott, albo Matthew. Nie tylko kobiety umieszczały w spisach telefonicznych i na skrzynkach pocztowych wyłącznie inicjał imienia, który miał sugerować, że ich mieszkanie należy do mężczyzny.

Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Jill zebrała całą siłę woli i podeszła z książką do telefonu. Wybrała numer M. Scott. Usłyszała, że połączenie nie może zostać zrealizowane. Numer obecnie był zastrzeżony. Odłożyła słuchawkę i wróciła na sofę. Opadła na nią ciężko, wciąż z książką telefoniczną w rękach. *Świetnie. Co teraz?*

Znała odpowiedź. Działała pod wpływem nudy, zaciekawienia i lęku.

Wydarła z książki kartkę z nazwiskiem M. Scott i schowała ją do tylnej kieszeni dżinsów na wypadek, gdyby zapomniała adresu.

Tego ranka trzy razy obejrzała w telewizji prognozę pogody, wiedziała więc, że będzie padać. Nie szkodzi. Nie weźmie ze sobą parasolki. Czują, że dziś sprzyja jej szczęście.

Adres na Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, przypisany do nazwiska M. Scott, znajdował się niedaleko Columbus Circle. Mieścił się pod nim stary budynek, co najmniej dwudziestokondygnacyjny, ze zdobionymi ścianami z cegły i kamiennym frontem, obecnie ukruszonym i brudnym. Dom przechodził renowację bądź remont. Przytulało się do niego rozstawione wokół wejścia żelazne rusztowanie, na którym w tej chwili nikt nie pracował. Obok trzech płytkich stopni wiodących do wejścia stał czerwony plastikowy pachołek z napisem „OSTROŻNIE”. *A propos*, pomyślała Jill.

W takich domach nie było odźwiernych. Co więcej, jedno skrzydło podwójnych drzwi wejściowych było otwarte i zablokowane zwykłym drewnianym klinem. Jill weszła do środka.

W budynku panował półmrok i było w nim o kilka stopni chłodniej w porównaniu ze skwarem na zewnątrz.

Po lewej miała rząd zmatowiałych mosiężnych skrzynek pocztowych. Nad tą oznaczoną 15C na kartce wsuniętej w wąskie miejsce na nazwisko nieco rozmazany czarnym tuszem napisane było „M. Scott”. Wyglądało na to, że kartka tkwiła tu już od dawna. Jill zerknęła przez osłoniętą szparę w drzwiczkach skrzynki, ale zobaczyła jedynie ciemność. W środku nie było listów albo były niewidoczne.

Jill weszła w głąb przedsionka. Był rozległy i znajdowały się w nim dwa stoliki otoczone wyściełanymi, niedobranymi fotelami. Na jednym stoliku ktoś zostawił rozłożoną gazetę. Na środku drugiego stały plastikowe kwiaty w szklanym wazonie. Po drugiej stronie przedsionka, za rozległą płaszczyzną szaro-białych płytek podłogowych, widać było dwoje drzwi do wind. Płytki szpeciły zastarzałe plamy, jakby ludzie gasili na nich cygara podszwami butów. Drzwi do wind były drewniane, ale zdobiły je mosiężne elementy, równie zmatowiałe, jak skrzynki pocztowe.

Przedsionka z pewnością nie odnawiano od lat, ale i tak nie najgorzej wyglądał. Szerokie drewniane schody na lewo od wind miały gumowe nakładki anty poślizgowe i były widoczne do półpię-

tra.

Jill uznała, że przedsionek był pusty. Chyba że ktoś siedział tyłem do niej w którymś z wyściełanych foteli z wysokimi oparciami. Dobiegające z zewnątrz dźwięki były przytłumione, a ruchliwa ulica wydawała się tak odległa, że równie dobrze mogła znajdować się w innym świecie, choć przecież była tuż za otwartymi drzwiami wejściowymi.

Jill rozejrzała się i zauważyła, że na ścianie naprzeciwko skrzynek zainstalowano domofon. Nie spostrzegła go wcześniej, ponieważ był pokryty tą samą beżową emalią co ściany. Podeszła do urządzenia i wduśliła zakrzepły w farbie guzik oznaczony 15C, który ku jej zdumieniu ustąpił pod naciskiem palca.

Czekała. Żadnego brzęczenia, żadnego głosu, żadnej odpowiedzi.

Ponownie wcisnęła guzik, myśląc przy tym, że domofon po raz ostatni działał zapewne w latach pięćdziesiątych. W końcu się poddała. Przez chwilę przyglądała się windom, a potem ku nim ruszyła. Zjawiała się tu, żeby się czegoś dowiedzieć, a na razie nic nie działała. To było frustrujące.

Przynajmniej nikt nie zamalował guzików przywołujących windę. Nacisnęła ten ze strzałką skierowaną w górę. Nic się nie zaświeciło. Nic się nie zdarzyło. Wreszcie cienka mosiężna strzałka wskazująca położenie dźwigu zadrżała i zaczęła opadać, zaczynając od numeru dziewiątego. Jill cierpliwie czekała. Winda w końcu zazgrzytała, zadudniła i drzwi się rozsunęły. Nikt nie wysiadł.

Kabina, wyłożona ciemną boazerią, na której wyraźnie zaznaczały się słoje, okazała się zdumiewająco mała. Jill zobaczyła, że budynek ma dwadzieścia cztery piętra. Nacisnęła guzik z numerem piętnaście i odczekała chyba całą minutę, zanim drzwi się zamknęły. Kiedy już całkowicie otoczyła ją klaustrofobiczna boazeria, winda szarpnęła i ruszyła do góry.

Ściany korytarza na piętnastym piętrze do połowy wysokości pokrywała taka sama boazeria jak w windzie, a wyżej beżowa farba, jaśniejsza niż w przedsionku i w różowym odcieniu. Jill wyszła z windy, skręciła w prawo i ruszyła słabo oświetlonym korytarzem, na końcu którego było małe brudne okno i znak wskazujący wyjście przeciwpożarowe. Mieszkanie 15C znajdowało się mniej więcej w pół drogi.

Stareńkie sześciopanelowe drzwi odróżniały się od innych tylko numerem lokalu. Tuż pod mosiężnymi cyframi widniał judasz. Jill uniosła drżącą rękę, zwinęła dłoń w pięść i załomotała.

Nie odrywała oczu od judasza. Czekała na jakieś poruszenie lub

mignięcie światła po drugiej stronie. Nic. Żadnego ruchu. Spoza masywnych drzwi nie dobiegł też żaden dźwięk.

Jill przeknęła ślinę i załomotała ponownie, tym razem mocniej. Aż podskoczyła, kiedy otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza. Odwróciła się i zobaczyła, że przygląda jej się niska, mniej więcej czterdziestoletnia Latynoska, okryta podniszczonym białym szlafrokiem przewiązany paskiem. Jej siwiejące włosy były rozczochrane. Jill zauważyła też gołe stopy z niepomalowanymi, domagającymi się przycięcia paznokciami. Kobieta nic nie powiedziała, tylko dociekliwie wpatrywała się w Jill.

– Ja do Madeline – wyjaśniła Jill.

– Myślałam, że do mnie, tak głośno pani pukała – odpowiedziała kobieta. W jej głosie nie było śladu obcego akcentu.

– Przepraszam. Zna pani Madeline?

– Widziałam ją kilka razy, to wszystko. Rzadko bywam w domu, a jak już jestem...

– To co?

– To nic. W tym domu każdy pilnuje własnego nosa. Obudziła mnie pani. Musiałam wstać, sprawdzić, kto puka. Wszystko przez panią. A tu nikt do mnie nie pukał. Wie pani co? To denerwujące. Pracuję po nocach, a w dzień chcę się wyspać.

– Bardzo mi przykro.

– Powinno pani...

– Już dwa razy przeprosiłam.

Kobieta spojrzała na nią ostrzej.

– Przeprosiny przyjęte – oświadczyła nieoczekiwanie, cofnęła się do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

Jill w pierwszej chwili to zezłościło, ale zaraz się uśmiechnęła. Grubiaństwo kobiety przynajmniej rozproszyło podszyty lękiem niepokój, który Jill do tej pory odczuwała. A może to ona była grubiańska? W końcu obudziła tę kobietę.

Pokręciła głową i wróciła do windy. Skromna próba zostania detektywem nie przyniosła rezultatów, ale Jill czuła się lepiej. Przynajmniej coś zrobiła, zamiast siedzieć w mieszkaniu i czekać, aż pytania pożrą ją żywcem od środka.

Zjechała na parter i odczekała, aż stare drzwi rozsuną się w zwykłym tempie. I wzdygnęła się na widok ciemnej sylwetki wchodzącej do przedsionka. *Madeline!* Albo ktoś, kto niezwykle ją przypominał. Wzrost i sylwetka Madeline, jej chód i przekrzywienie głowy.

Jill przyrosła do podłogi w kabinie. Nie mogła się ruszyć.

Kobieta zbliżała się do windy.

Jill gorączkowo myślała, wpatrując się w nadchodzącą. Nie mogła teraz wysiąść. Zostanie w środku, jakby przywołała windę na chwilę przed wejściem tej kobiety, którą dzieliły od niej już tylko trzy metry.

Ledwie obrzuciwszy Jill wzrokiem, kobieta wsiadła do windy i stanęła obok. Nie była Madeline, mimo to nią była. Podobieństwo było tak duże, że z większej odległości albo tylko rzuciwszy okiem, każdy mógł się pomylić. Wystarczyło kilkakrotnie zobaczyć tę kobietę w roli Madeline i wszelkie wahania dotyczące jej tożsamości zniknęły. Uszłaby za oryginał, nawet stojąc obok prawdziwej Madeline.

Kobieta mogła być odrobinę wyższa i oczywiście była zadbana. Blond włosy miała przycięte tak samo jak Madeline, były tylko czyste i uczesane. Oczy, nos, wysunięty podbródek – wszystko jak u Madeline. To, co ją różniło – nachylenie czoła, kształt i pełność górnej wargi, mały dołek w podbródku (a może Madeline też miała taki dołek?) – równoważyło się z podobieństwami, tak że ostatecznie kobieta wyglądała jak Madeline.

Nacisnęła guzik piętnastego piętra. Jill bała się, że w windzie słychać szaleńcze łomotanie jej serca.

Drzwi się zamknęły. Jill dziękowała niebiosom, że przyciski nie są podświetlane. Kobieta nie wiedziała, że Jill żadnego z nich nie wybrała.

Winda się wznosiła, a Jill rozumiała, co musi zrobić. Dotarła aż tutaj i chociaż się bała, nie zamierzała się wycofać. Mimo strachu i świadomości ryzyka postanowiła pójść jeszcze dalej. Aczkolwiek nie dalej niż na piętnaste piętro.

Starając się zachowywać naturalnie, wysiadła z windy pierwsza i tym razem skręciła w lewo. Szła powoli, a gdy była już prawie przy końcu długiego korytarza, stanęła przed jakimiś drzwiami i zaczęła udawać, że szuka kluczy w torebce. Kątem oka widziała, jak sobowtór Madeline idzie w przeciwnym kierunku, zatrzymuje się i wchodzi do mieszkania. Kobieta nie obejrzała się na Jill. Zdawała się w ogóle nią nie interesować.

Jill spiesznie wracała korytarzem. Mijając windy, nacisnęła guzik oznaczony strzałką w dół, na wypadek gdyby musiała ewakuować się w pośpiechu. Musiała sprawdzić. Musiała zdobyć pewność.

Zdobyła ją, zobaczywszy numer na drzwiach, za którymi zniknęła nieznajoma. Kobieta weszła do 15C.

Jill szybko ruszyła z powrotem, żeby zdążyć do windy, która już czekała z otwartymi drzwiami. Wydawało jej się, że poskrzypujący stary dźwig zjeżdża na parter przez całą wieczność. Wreszcie,

ponownie na słońcu i jasnej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, Jill zmusiła się do zwolnienia tempa. Oddalała się od budynku w stronę Columbus Circle. Oddech miała szybki i nierówny; nie potrafiła opanować zadyszki. Jej umysł skłaniał się raz ku jednej możliwości, raz ku innej, ale żadna jej się nie podobała.

Co miała zrobić ze zdobytą wiedzą? Nie zapomniała słów, które usłyszała od Madeline tamtego dnia w swoim mieszkaniu: „Dowiedzą się, co się dzieje, i dopilnują, żeby śledztwo zostało umorzone. A mnie zabijają. Ciebie też, skoro z tobą rozmawiałam. Jesteś w pół drogi ku nicości”.

Telefon na biurku Palmera Stone'a odegrał siedem pierwszych taktów *I've Got You Under My Skin*. Oznaczało to połączenie bezpośrednie. Zatem chodziło o coś ważnego. Ten numer znali tylko wybrani, czyli najbardziej zaufani pracownicy i kilku uprzywilejowanych klientów. Ci ostatni mieli z niego korzystać wyłącznie w sytuacjach ekstremalnych, a w określonym momencie zniszczyć kartkę, na której został zapisany, i zapomnieć o nim.

Stone miał pięćdziesiąt pięć lat, ale był szczupły i wciąż przystojny. Jego szyty na miarę szary garnitur pochodził od Armaniego, krawat od Hermès'a, a buty od Johna Lobba. Bujne ciemne włosy, przystrzyżone u drogiego fryzjera, siwiały na skroniach. Pobrużdżona twarz była bardziej życzliwa niż szlachetna, a uśmiech elektryzujący. Gdyby był aktorem, mógłby zagrać prezydenta Stanów Zjednoczonych. Gdyby się nie ślinił i nie wygadywał głupot, mógłby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Palmer Stone się nie ślinił, a mówił z rozwagą, nie podnosząc głosu. Wyglądał na człowieka z ogładą i dokładnie takim człowiekiem był. Prezydentura po prostu go nie interesowała. Pobory były za niskie.

Podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Palmer Stone.
- Mówi Maria Sanchez, Stone.

Zagniewany kobiecy głos, który Stone słyszał do tej pory tylko kilka razy. Nie spodziewał się, że usłyszy go ponownie. Jak wszyscy jego specjali klienci Maria Sanchez istniała już tylko na papierze i w formie elektronicznych pikseli. Nie zdążył zapytać, dlaczego zadzwoniła i czy stało się coś złego.

– Mówiłeś, zdaje się, że ta jebana Madeline nie żyje – powiedziała.

- Maria! Jak miło cię słyszeć!
- Mówiłeś...
- Ależ nie masz się czym martwić, naprawdę. Pani Scott już nie stanowi problemu. Masz na to moje słowo.
- Dziwne, ale jakoś nie jestem przekonana.

- Istnieje tylko jedna prawdziwa Madeline Scott. To ty.
- Czasami, cholera, wcale się tak nie czuję i cierpię na mnie skóra. Wsiadłam dziś rano do windy w moim bloku, a w niej czeka jakaś cipa. Mam wrażenie, że stała tam długo, a jeszcze miała taką cholernie dziwną minę. Potem wysiadła na moim piętrze, demonstracyjnie pomaszzerowała do innego mieszkania po drugiej stronie korytarza i obserwowała, jak wchodzę do siebie.
- Chcesz powiedzieć, że wyglądała jak Madeline?
- Nie, nie! Słuchaj, co do ciebie mówię, Stone. Ta baba na sto procent mi się przyglądała, jakby miała po temu jakiś ważny powód, a ja na pewno nigdy wcześniej jej nie widziałam.
- Cóż, Mario, jesteś piękną kobietą. Teraz nawet jeszcze piękniejszą.
- Nie patrzyła na mnie w ten sposób, raczej...
- Raczej?
- Bała się mnie. Jestem tego pewna. Wiem, co to strach, i potrafię go wyczuć.
- Dlaczego miałyby się bać akurat ciebie?
- Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód.
- Mogłaś sobie wyobrazić zainteresowanie tej kobiety. Normalna rzecz. Innym klientom też się to zdarzało. Nie stajesz się bardziej podobna do... osoby, którą teraz jesteś. Wątpliwości są czymś zupełnie naturalnym na tym etapie gry. Na początku mieliśmy mały zgrzyt, ale szybko opanowaliśmy sytuację. Uwierz mi, nie masz się czym martwić.
- Może tylko ci się wydaje, że opanowałeś sytuację.
- Posłuchaj, Mario... Madeline. Skoro mówię, że poprzednia Madeline zeszła ze sceny na dobre, to znaczy, że tak jest. Nie mogę podać ci szczegółów, zresztą nie chciałabyś ich znać, ale mogę dać ci solenne słowo honoru.

Odpowiedzią była tylko cisza.

- Czy to pomogło, Madeline? Czy moje słowo ci wystarcza?
- Nie wiem – odpowiedziała i się rozłączyła.

Stone odłożył słuchawkę i zaczął bębnić wymanikiurowanymi palcami o oparcie fotela. Maria okazała się płochliwym stworzeniem, co było niespodzianką. E-kstaza.org otrzymała zapewnienie, że byle co jej nie rusza. Najwyraźniej została przereklamowana. Oczywiście powiedział jej prawdę – zaraz po zmianie tożsamości zdenerwowanie i podejrzliwość były u klientów specjalnych czymś zupełnie normalnym. Ale kiedy już oswoili się ze swoim nowym życiem, ich lęki szybko mijały. Szansa, że kobieta w windzie rzeczywiście coś

podejrzewała, była niewielka. Szansa, że ktoś w sytuacji Marii mógł sądzić inaczej, była duża. Jeśli tylko jego klientka to zrozumie i poczuje się bezpiecznie, nie będzie powodów do zmartwienia. Na razie Palmer Stone musiał przestać o niej myśleć jako o Marii Sanchez. Nawet wymamrotał pod nosem: „Madeline Scott”, starając się wyprzeć Marię z myśli.

Madeline Scott – ta pierwsza i prawdziwa – niemal idealnie opisała w rozmowie z Jill działalność portalu E-kstaza.org. Legalny serwis randkowy był przykrywką dla przedsiębiorstwa oferującego tym, których było na to stać, coś podobnego do programu ochrony świadków. Klientami były najczęściej żony lub kochanki potentatów zorganizowanej przestępczości, których życiu i/lub pokąźnym majątkom zagrażała konkurencja bądź prawo. Od czasu do czasu trafiali się klienci, którzy pragnęli po prostu zniknąć z powodów osobistych. Tych, którzy mieli przejąć cudzą tożsamość, nazywano w E-kstazie klientami specjalnymi w celu odróżnienia od masy zwykłych klientów, którzy często znajdowali dzięki portalowi miłość, trwałą albo nie.

Klient specjalny stwarzał pozory, że uciekł z kraju albo gdzieś się zaszył, a tymczasem zajmował miejsce innego klienta, dobranego przez program komputerowy i starannie zinwigilowanego. W cenę wliczone były nauka i odpowiednie przeszkolenie, umożliwiające klientowi specjalnemu gładkie wejście w cudzą skórę. Stara tożsamość nie przestawała istnieć, a dostarczyciel nowej był zabijany. Klient specjalny, który ze względów bezpieczeństwa zrywał wszelkie nici wiążące go z E-kstazą, cierpliwie czekał w ukryciu, aż będzie mógł przybrać tożsamość klienta-ofiary. Wiadomość o znalezieniu tułowia (niemożliwego do zidentyfikowania) była sygnałem, że podmiata się dokonała i pora wprowadzić się do wolnego mieszkania. Po niedługim czasie właściciele nowej tożsamości zwykli na wszelki wypadek się przeprowadzać, zostawiwszy list i opłacony czynsz. Oficjalnie nie było osób zaginionych.

Palmer Stone długo opracowywał ten model biznesowy, zanim wprowadził go w życie. Okazało się, że model się sprawdza. Dlatego telefon od Marii... od Madeline był szczególnie irytujący.

Błędem był nadmierny pośpiech. Klient specjalny nie powinien przyjmować nowej tożsamości, zanim stała się w pełni dostępna. E-kstaza.org uczyniła wyjątek dla Sanchez, ponieważ była szczególnie ważną, a przy tym wymagającą klientką. No i w grę wchodziły olbrzymie pieniądze. Kto by pomyślał, że przeznaczonej do kasacji klientce uda się uciec? *Cóż, na to już nic się nie poradzi.*

Stone nie zapomniał o nerwowości nowej Madeline. On ją tylko zamknął w osobnej przegródce umysłu. Zawsze uważał kategoryzowanie za główną umiejętność biznesmena. W tej chwili miał na głowie istotniejsze sprawy. Na przykład wydruki profili najnowszych klientów czekające na brzegu biurka.

Bębnienie palców ucichło. Wątpliwe, żeby nowa Madeline jeszcze kiedyś się odezwała. W końcu na tym polegał cały plan.

Uśmiechnął się i zabrał do pracy, postanowiwszy, że nie będzie martwił się czymś, czego nie może zmienić. Uważał to za kolejny cenny walor w palcu swych umiejętności biznesowych.

Victor i Gloria wrócili do mieszkania Victora na Sutton Place o trzeciej nad ranem. Wyglądali na zmęczonych, a ubrania mieli wymięte. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Victor przeszedł przez gustownieumeblowany salon i z antycznego mahoniowego kredensu wyjął butelkę dwudziestoletniej szkockiej. Nalał jej na dwa palce do kryształowych szklanek, niczym nie rozcińczając. Gloria czekała w połowie drogi do kredensu. Podał jej szklankę i oboje unieśli naczynia w krótkim i niemym toaście, po czym się napili.

Gloria ziewnęła. Victor też miał ochotę ziewnąć, ale się powstrzymał.

– Chcesz tu przenocować?

Pokręciła głową.

– Jutro rano mam coś do zrobienia.

Popatrzyła w dół na swoją szarą bluzkę i czarną spódnicę. Potem od stóp do głów zmierzyła Victora spojrzeniem.

– Nie kapnęła na nas ani kropla.

– Bo jesteśmy zawodowcami.

– Jak to dobrze, że Pan Bóg stworzył plastik – powiedziała z uśmiechem.

Tego wieczoru pozbyli się klienta E-kstazy, tym razem mężczyzny. Jednego z tych, którzy poszukiwali partnerów tej samej płci i stanowili pomniejszą, ale rozrastającą się grupę docelową firmy. Ponieważ klient był gejem, ominęli zwyczajową procedurę polegającą na zwabieniu go do samochodu Glorii. Ale i tak to Gloria miała okazję dokonać zabójstwa, i to ona przewiozła zwłoki do garażu na East Side, gdzie wraz z Victorem je poćwiartowali.

Uśmiech Victora zrobił się paskudny i zaciekawiony.

– Zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem w bagażniku kij od szczotki.

Gloria wzruszyła ramionami.

– Musimy być konsekwentni.

– Po prostu nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak to robiłaś – powiedział Victor. – I to mężczyźnie. Poza tym nie poczekałaś na mnie.

– Ponieważ sama zajmowałam się czynnościami wstępnymi, pomyślałam, że i tym zajmę się sama.

Victor czekał na ciąg dalszy, ale nic więcej nie dodała. Zamiast tego odchyliła głowę, dopiła szkocką i bez pośpiechu zaczęła się kręcić po salonie, to przyglądając się meblom, to obrazom wiszącym na ścianach. Victor częściej niż u siebie przebywał w drugim mieszkaniu, które widywali klienci i którego właścicielem była E-kstaza.org. Urządzono je o wiele mniej wystawnie, toteż brat Glorii starał się jak najwięcej czasu spędzać tutaj. Miał tu większość ubrań, a nawet swoją skromną biblioteczkę.

Gloria przystanęła przy półce z książkami. Do gromadzonej przez Victora kolekcji dziewiętnastowiecznych powieści, współczesnych kryminałów i biografii doszły nowe pozycje. Dwie książki w lśniącej twardej oprawie. Wyjęła jedną z nich i zerknęła na okładkę. *Vlad Palownik*? Druga książka zdaje się również opowiadała o osławionym piętnastowiecznym tyranie z Transylwanii, który był pierwowzorem Draculi z powieści i filmów. Wbrew mitom nie istniały dowody wskazujące na to, że rzeczywiście pił krew, a na pewno nie prosto z żył. Miał inną chorobę rozrywkę, a było nią nabijanie wrogów, a czasami też przyjaciół na wysokie pale. Bywało, że ich liczba wynosiła setki i tysiące. Kiedy jeden z jego poddanych poskarżył się na smród, sam został nabity na pał, wyższy niż zwykle, żeby mógł się cieszyć świeżym powietrzem. Vlad miał poczucie humoru.

– Większość twoich biografii opowiada o mężach stanu albo wybitnych wojskowych i pisarzach – zauważyła Gloria.

Victor upił szkockiej. Zawsze pił wolniej niż Gloria.

– Trudno nazwać Vlada moim bohaterem – powiedział – ale był interesującym człowiekiem. Im więcej się o nim dowiaduję, tym większe robi na mnie wrażenie.

– Wierzę ci na słowo. – Gloria odłożyła książkę na półkę.

– Skoro już robimy to, co robimy, warto poznać technikę. Najlepiej wspólnie.

Gloria popatrzyła na niego, po czym podeszła do kredensu i odstawiła szklankę na intarsjowany blat.

– Za nami ciężka noc. Wróć do domu, zmówię pacierze i pójdę spać.

– Dzwonił do mnie Palmer Stone – powiedział Victor. – Rozmawiał z Marią Sanchez.

– Dzwoniła do Palmera? – Gloria wyglądała na zirytowaną. – Po jaką cholere?

Victor streścił jej rozmowę telefoniczną tak, jak przekazał mu ją Stone.

– Nie powinna tego robić – stwierdziła Gloria.

– Na razie nie przejmowałbym się tym za bardzo. To pewnie tylko nerwy. To samo powiedział jej Palmer i według mnie miał rację.

– Ona ma inne zdanie, jak słyszę. Walnięta sucz!

– Uspokoi się. Pewnie nigdy więcej do nas nie zadzwoni. Dostała to, za co zapłaciła, więc nie ma powodów do skarg.

– Madeline Scott na pewno nie sprawi jej więcej problemów.

– Ponieważ to ona jest Madeline Scott – powiedział Victor.

Dopił szkocką, przeszedł przez salon i postawił pustą szklankę na kredensie obok szklanki Glorii.

Uśmiechnął się nerwowo.

– Siostrzyczko, zaangażowaliśmy się w coś naprawdę dużego.

– I wyjątkowo dochodowego. – Gloria ospale zamiotła ręką. – Mieszkasz na Sutton Place! Ta-dam!

– Twoje mieszkanie też jest całkiem, całkiem.

– Więc postarajmy się zachować istniejący stan rzeczy.

– Jeszcze szkockiej?

Gloria ziewnęła.

– Nie, dziękuję. I tak już jestem zmęczona.

Skierowała się do drzwi, tym razem z większym zdecydowaniem.

– Glorio! Kij od szczotki.

Przystanęła z ręką na klamce. Pomyślał, że wygląda to jak poza.

– Co „kij od szczotki”?

– Żył, kiedy mu go wsadzałaś?

– Idź spać, Victorze. Poczytaj na dobranoc.

Wymknęła się na korytarz. Gruba wykładzina wytłumiła jej oddalające się kroki.

Victor nalał sobie kolejną porcję szkockiej, zastanawiając się, czy na pewno zna Glorię tak dobrze, jak sądził. I siebie.

– Mężczyzna – powiedział Quinn, wpatrując się w nagi tułów wciśnięty między plastikowe worki na śmieci i kartonowe pudła z odpadkami.

– Niewątpliwie – zgodziła się Pearl.

Noc była ciepła, a w nieruchomym powietrzu unosił się odrażający fetor rozkładu. Można by założyć, że tak cuchnęły śmieci, gdyby tylko one tu leżały.

Przyglądali się technikom kryminalistycznym, pracującym nad tułowiem w ogrodzonej policyjną taśmą strefie przy pizzerii na Lower West Side. Fragment zwłok odkrył kucharz, kiedy wieczorem wyszedł wyrzucić śmieci. Pobliski neon, reklamujący najlepszą pizzę w Nowym Jorku, rzucał na miejsce zbrodni zielonkawą poświatę. W tym świetle tułów wyglądał bardziej na rekwizyt teatralny niż na szczątki człowieka.

– Naszemu ptaszкови nie robi różnicy, czy dziewczyna, czy chłopaczek. – Ze zbyt obszernego rękawa Feddermana wynurzył się palec wskazujący. – Zauważyliście kij od szczotki?

– Trudno nie zauważyć – odparł Quinn. – Jest na nim mnóstwo krwi. To pierwszy taki przypadek.

Pearl w lot go pojęła.

– Rany boskie! Wsadzili mu go za zycia!

– Na to wygląda.

Fedderman zbliżył się i przyjrzał uważniej.

– Raczej nie ma wątpliwości. W dodatku nie zrobili tego delikatnie. – Wyprostował się i oddalił, wycierając usta rękawem. – Mam cholerną nadzieję, że nie jest to robota naśladowcy.

– Trudno to sobie wyobrazić – powiedziała Pearl.

– Całe to cholerstwo jest niewyobrażalne.

– Cały świat – dodała Pearl.

Quinn się jej przyjrzał. Pearl nie miała w zwyczaju filozofować na miejscu zbrodni. Może to wpływ Milтона Kahna.

– Moja hipoteza staje się coraz bardziej prawdopodobna – powiedziała Pearl. – Ta, że wcale nie szukamy nękanego przymusem,

zboczonego seryjnego mordercy. To wszystko może służyć odwróceniu uwagi.

– Specjalistka od profili psychologicznych się z tobą nie zgadza – zauważył Fedderman.

– Dała się nabrać – odparła Pearl.

– Naśladowca jest bardziej prawdopodobny – rzekł Fedderman.

Quinn rzucił okiem na upiorny zielony tułów. W klatce piersiowej, na której włosy dopiero zaczęły siwieć, widniały dwa równo rozmieszczone otwory po kulach. Ofiara mogła mieć około pięćdziesięciu lat, ale to już będzie musiał potwierdzić lekarz sądowy. Pociski niemal na pewno wciąż były w ciele.

– Teorię o naśladowcy zweryfikujemy, jak tylko dostaniemy wyniki sekcji i ekspertyzę balistyczną.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch. Przed budynkiem gromadziły się samochody. Nie wszystkie należały do policji. Dziennikarze wychwycili zapach świeżej krwi i zjeżdżali na miejsce zbrodni. Quinn wiedział, że niedługo będzie ich jeszcze więcej.

– Hieny – warknęła Pearl.

– Bywają użyteczne – zauważył Quinn.

– Już w to wierzę.

– Wracam do biura – oświadczył Quinn.

Lincoln zaparkował pół przecznicy dalej, więc może dziennikarze nie zwrócą uwagi na jego auto. Wprawdzie czarny lincoln town car był – zaraz po taksówkach – najpopularniejszym samochodem w Nowym Jorku, ale media znały jego numer rejestracyjny, więc Quinn musiał mieć się na baczności.

– Ty i Feds pogadajcie z pracownikami restauracji, przede wszystkim z gościem, który znalazł zwłoki. Potem wracajcie do biura. Ja w tym czasie będę w kontakcie z Renzem, żebyśmy jak najszybciej poznali wyniki z kostnicy i laboratorium.

Gdy Quinn się odwrócił, zobaczył Nifta, który pewnym krokiem zmierzał z naprzeciwka. Miał na sobie dobrze skrojony czarny garnitur i taszczył równie czarną torbę lekarską. Każdy jego krok jak zawsze był dziarskim podskokiem. Uśmiechnął się na widok Quinna.

– Tak szybko nas opuszczasz?

– Wiele mil od snu mnie dzieli ² – powiedział Quinn.

² Cytat z wiersza Roberta Frosta *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór* w przekładzie Stanisława Barańczaka, *Biblioteczka poetów języka angielskiego*, t. 3, Wydawnictwo Arka, s. 121.

– Czysta poezja. A ja cię wziąłem za ofiarę, boś taki zielony i w ogóle.

– Gość czeka na ciebie z tyłu. – Quinn wystawił kciuk w kierunku

tułowia.

Nift w zdumieniu uniósł brwi.

– To facet?

– Zdaję sobie sprawę, jakie to dla ciebie rozczarowanie, ale tym razem ofiarą jest mężczyzna.

– Torsowy morderca wykończył faceta? Co to może znaczyć?

– To, że facet nie żyje – odparł Quinn i sobie poszedł.

Gdy tylko skręcił za róg i skierował się do samochodu, usłyszał tupot butów na betonie i głos:

– Kapitanie Quinn, możemy prosić o oświadczenie?

– Przykro mi – odpowiedział. – Żadnych komentarzy.

– Ale można założyć, że należy się liczyć z kolejnym torsowym morderstwem? – zapytał inny głos, tym razem kobiecy.

– Zakładajcie, co chcecie.

Więcej tupiących butów, mimo że Quinn zaczął iść szybciej. Wyczuwał za sobą sporą liczbę ludzi, ale nie miał ochoty odwracać się, żeby dokładnie ich policzyć. Z tego co słyszał, najchętniej by go otoczyli. Wyobrażał sobie te nagłówki: „OBŁĘŻONY PRZEZ MEDIA”. Do lincolna zostało mu jeszcze trzydzieści metrów.

– Czy to morderstwo czymś się różni od poprzednich? – spytała ta sama kobieta.

Quinn jeszcze bardziej przyspieszył.

– Porozmawiajcie z lekarzem sądowym, doktorem Niftem. Jest z nim tam, z tyłu.

– Z nim? – rozległo się kilka głosów unisono.

W pierwszej chwili Quinn pomyślał, że chodzi im o Nifta. W następnej zrozumiał, że nie. *Szlag!* Natychmiast pożałował swojego potknięcia. Chociaż nie miało większego znaczenia – sami niedługo by się dowiedzieli. Ale i tak był zły, że palnął taką gafę. Informacja, że ofiara była innej płci, należała do tych, które policja powinna trzymać z dala od prasy. Bo śledczy wiedzieliby coś, czego żaden wariat składający fałszywe zeznania nie potrafił sobie wyobrazić. *Teraz już za późno.*

– Czy ofiara jest mężczyzną? – niemal chórem zapytało kilka głosów.

– Kapitanie Quinn? – Głos kobiety. Ostry i natarczywy. – Czy ofiara...?

– Chyba coś takiego powiedział doktor Nift – odparł Quinn, który nareszcie dotarł do samochodu. Nacisnął guzik pilota otwierający drzwi. – Jest najbardziej kompetentną osobą do rozmów o tym przypadku. – Otworzył samochód i udało mu się wcisnąć do wnętrza,

podczas gdy wokół tłoczyli się dziennikarze. – To taki nieduży facecik, który krząta się przy zwłokach i wygląda jak Napoleon przebrany za bankiera.

Quinn odepchnął czyjaś rękę przytrzymującą drzwi i udało mu się je zamknąć. Nacisnął przycisk zamka centralnego, uruchomił silnik i wyniósł się stamtąd. W tylnym lusterku widział, jak co najmniej sześć ciemnych sylwetek zawraca do miejsca, w którym mogły znaleźć widmowy zielony tułów i Nifta ze swoją czarną magiczną torbą.

Quinn podniósł wzrok znad biurka, gdy otworzyły się drzwi i weszli przez nie Pearl i Fedderman. Wyglądali na zmęczonych. I powinni – była już prawie północ. Musiała to być długa noc także dla niektórych pracowników pizzerii.

Pearl opadła na swój fotel. Fedderman powlókł się do mosiężnego wieszaka na ścianie i powiesił na nim wymiętą marynarkę, po czym przetoczył fotel na środek pokoju i osunął się nań ze zmęczeniem.

– Macie coś? – Quinn z góry znał odpowiedź.

– Nic – odpowiedziała Pearl. – Nikt nic nie widział, nie słyszał i nie czuł, poza zapachem pizzy. Chłopak, który znalazł tułów, dzieciak imieniem Enrico, wciąż był roztrzęsiony, ale jego opowieść jest dosyć prosta. Szef kuchni kazał mu dorzucić kolejne śmieci do stosu zamkniętych plastikowych worków, a tam były zwłoki. Dzieciak w pierwszej chwili pomyślał, że są sztuczne, jakiś rekwizyt czy coś. Potem dotarło do niego, co widzi, rozdygotany wrócił do kuchni i poinformował szefa. Ten wyszedł na dwór, sprawdził, a potem zadzwonił na policję.

– Rozmawialiśmy również z mieszkańcami najbliższych domów – dodał Fedderman. – Też kłapa.

– Nasz ptaszek jest, delikatnie mówiąc, ostrożny – mruknął Quinn.

– Pracownicy pizzerii twierdzą – mówiła Pearl – że mniej więcej od jedenastej dzisiejszego ranka nikt nie używał tylnego wyjścia. Tułów mógł tam sobie trochę poleżeć. Był do połowy przysypany śmieciami, więc ten pracownik z jedenastej pewnie go nawet nie zauważył. Biorąc pod uwagę ruch na ulicy, zakładamy, że zwłoki podrzucono zeszłej nocy, kiedy mało kto się tam kręcił. Na tej przecznicy ludzie prowadzą firmy, dobre miejsce na wyrzucenie trupa po zmroku.

– Jak wszystkie inne, w których znajdowaliśmy tułowia – zauważył Quinn.

– Nasz ptaszek – powiedziała Pearl.

Fedderman specjalnie nie zwracał na nią uwagi. Dla Quinna było jasne, że znajdowali się w stanie, w którym zwykle skakali sobie do oczu. Rozumiał to.

– Co dalej, szefie? – zapytał Fedderman. – Kolejna kawa czy łóżko?

– Odprawa, potem łóżko – odparł Quinn. – Zrobili dla nas na wczoraj ekspertyzę balistyczną. Obie kule, ta w sercu i ta obok, są kalibru dwadzieścia dwa. Pochodzą z tej samej broni, z której zastrzelono poprzednie ofiary.

– I tyle, jeśli idzie o hipotezę z naśladowcą – powiedziała Pearl.

Fedderman się nie odciął, ale widać było, że wykonał w tym celu herkulesowy wysiłek.

– Jutro poznamy dokładniejsze wyniki sekcji – kontynuował Quinn – ale mamy coś nietypowego w związku z kijem od szczotki. Poprzednie były z cedru, ten jest topolowy. Ślady ostrzenia są wyraźniejsze. Kij został zastrugany krótszymi i płytszymi pociągnięciami, ostrzejszym narzędziem, a także mniej starannie oszlifowany. No i nie ma śladów środka do czyszczenia mebli.

– Auć! – odezwał się Fedderman.

– Lepiej w to uwierz – rzekł Quinn. – Nift potwierdził, że kij został wsadzony przez odbyt, kiedy ofiara jeszcze żyła.

– Ale chyba po tym, jak dostała kulkę? – zapytał Fedderman.

– Nift nie miał pewności. Strzały nie musiały doprowadzić do natychmiastowego zgonu. Twierdzi, że ofiara mogła żyć jeszcze kilka minut.

– Ciężkich minut – powiedział Fedderman.

– Było tyle krwi – wtrąciła Pearl. – Może zostały jakieś odciski na kiju?

– Skądże – odpowiedział Quinn. – A to, co widziałaś, było nie tylko krwią.

– Pewnie nie. – Pearl przypomniała sobie ohydny smród bijący od tułowia.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Quinn zastanawiał się, o czym myśli pozostała dwójka. On sam nie był pewien, co sądzić o tym odstępstwie od normy, choć mordercą musiał być człowiek, na którego polowali. Niewątpliwie pojawiły się różnice, z których najważniejszą była płeć ofiary, ale wciąż mieli do czynienia z tą samą bronią, tym samym makabrycznym sposobem działania, tym samym mordercą. Na pewno.

Pearl ziewnęła. Nie powiedziała „przepraszam”.

– Łóżko? – spytała.

- Łóżko – przytaknął Quinn.
- Wstał i wyłączył lampkę na biurku.
- Na pewno nic mi się dziś nie przyśni – powiedziała Pearl.
 - A mnie na pewno tak – odparł Fedderman.

Od wizyty w domu Madeline Jill nie mogła spać. Ciągłe odtwarzala w pamięci wydarzenia, starając się przypomnieć sobie każdy szczegół, szukając potwierdzenia, że nowa Madeline nie zwróciła na nią szczególnej uwagi. Ale nadal nie była pewna.

Chodziła po mieszkaniu, krążąc między pokojami niczym zbłąkany duch. Była wykończona, ale nie potrafiła usiąść. W kuchni zatrzymała się przy zlewozmywaku, nalała sobie szklankę wody i wychyliła ją do dna. Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale ze zdenerwowania straciła apetyt.

Możliwe – nie, teraz już prawdopodobne – że opowieść Madeline była prawdziwa. A jeśli nawet nie, to z całą pewnością działo się coś straszego. Co więcej, jeśli Madeline mówiła prawdę, to Tony był...

Jill nie śmiała o tym myśleć. To było niemożliwe.

Przypomniała sobie, jaką nieufnością szalona Madeline darzyła policjantów. Ale nie wszystkich. Szkopuł w tym, że nie wiadomo było, któremu można zaufać. *Paranoja*.

Jill świadomie nie chciała zapuszczać się myślami w te rejony. Zdała sobie sprawę, że nie ma się do kogo zwrócić. Przede wszystkim dlatego w ogóle wpakowała się w to łajno. Miała tylko Tony'ego i w innej sytuacji do niego pierwszego by się zwróciła, ale w świetle opowieści Madeline był ostatnią osobą, do której mogła z tym pójść.

Jill po raz kolejny spróbowała pogodzić się z tą, jak jej się zdało, niepodważalną konkluzją, ale znów nie mogła sobie wyobrazić, żeby Tony chciał jej zrobić jakąkolwiek krzywdę. Niepojęte. Łagodny, kochający Tony...?

Nalała sobie drugą szklankę wody i zaniósła ją do salonu. Czula się maleńka i bezbronna. Osunęła się na brzeg sofy, nieobecnie sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Ustawiony był na lokalny kanał, na którym jakaś gadająca głowa z poważną miną powiedziała, że znaleziono kolejną ofiarę torsowego mordercy.

– Tułów mężczyzny...

Mężczyzny? Jill zrobiła głośniejsze i pochyliła się, opierając łokcie na kolanach.

W wiadomościach puścili nagranie. Wysoki, kościsty mężczyzna w białej koszuli i czerwonym krawacie, o wyrazistej twarzy i fatalnej fryzurze szedł szybko na czele zgrai dziennikarzy, którzy celowali mu w plecy mikrofonami i kamerami telewizyjnymi. Starał się nie zwracać na nich uwagi. Jeszcze bardziej przyspieszył kroku, ode pchnął jednego na bok i otworzył drzwi dużego czarnego samochodu. Był to płynny, ale pełen siły manewr. Ludzie odruchowo schodzili temu człowiekowi z drogi.

– Kapitanie Quinn? – powtarzał ktoś z mediów, jakaś kobieta. – Kapitanie Quinn?

Wsuwający się do samochodu potężny mężczyzna powiedział coś niewyraźnie. Drzwi mógł zamknąć dopiero po odsunięciu czyjejs trzymającej je ręki. Na następnym ujęciu grupka dziennikarzy patrzyła, jak wielkie czarne auto przysiada, ruszając, i szybko się oddala. Potem pojawiło się zbliżenie kobiety, która wcześniej powtarzała nazwisko tego człowieka. Wolną ręką pospiesznie poprawiała włosy zmierzwione przez wiatr, a w drugiej trzymała mikrofon. Za jej plecami pozostali dziennikarze wracali tam, skąd przyniosła ich pogoń za wysokim mężczyzną. Niektórzy biegli.

– Jak państwo widzą – zaczęła kobieta – policja nie udziela jeszcze informacji o nowym wstrząsającym zdarzeniu. – Na jej lewe oko opadł kosmyk jasnych włosów. Odgarnęła go, nie zamykając oczu. – Kapitanowi Frankowi Quinnowi, który jest odpowiedzialny za śledztwo, wymknęło się, że tym razem znaleziono tułów mężczyzny. W obecnej chwili spekuluje się, że morderstwo jest dziełem naśladowcy, co często zdarza się w tego typu sprawach. Mamy tu do czynienia z czymś, co wpływa na całe miasto, ale możecie być pewni, że Team News pozna fakty, gdy tylko będą dostępne, i je wam przekaże. Bill?

Na ekran powrócił Bill, spiker wiadomości.

– Dziękuję, Mary. – Uroczyście popatrzył w kamerę. – Jak państwo widzieli, ekipa Team News jest na miejscu i trzyma rękę na pulsie. Nowe informacje przekazemy państwu z szybkością elektronów. – Pokręcił głową, przerażony spodziewaną potwornością tych informacji. – Miejmy nadzieję, że ten koszmar niedługo się skończy. – Opuścił wzrok na biurko, po czym znów podniósł go do kamery. – Zastanawialiście się kiedyś, co robi wasz pies, kiedy nie ma was w domu?

Jill przestała słuchać. *Quinn. Kapitan Frank Quinn.* Pamiętała nazwisko tego wielkiego mężczyzny z gazet i wcześniejszych wiadomości telewizyjnych. Odpowiedzialny za śledztwo.

Coś w sobie miał, jakąś rzetelność i siłę – wyspa spokoju na ocea-

nie nerwów. Oto policjant, któremu można zaufać. Przynajmniej Jill nie potrafiła wymyślić lepszej możliwości, a z kimś musiała porozmawiać.

Poszła po książkę telefoniczną Manhattanu, ułożyła ją na kolanach i znalazła numer posterunku leżącego najbliżej jej mieszkania. Podniosła słuchawkę. Wystukawszy dwie cyfry, powoli odłożyła ją z powrotem. Uświadomiła sobie, czego będą od niej chcieli, co prawie na pewno będzie musiała zrobić, jeśli skontaktuje się z policją i wszystko opowie. Kaza jej patrzeć na ciało w stanie rozkładu. Zidentyfikować w kostnicy Madeline Scott.

Jill nie była pewna, czy temu poddała. Czyż ludziom nie robiło się wtedy niedobrze? Czyż nie wymiotowali? A czasem tracili przytomność? Na samą myśl Jill poczuła mdłości. Zawsze uważała się za kobietę, która ma wystarczająco silną wolę, żeby zrobić to, co konieczne, kobietę odpowiedzialną i odważną. Teraz naszło ją zwątpienie. Już niczego nie była pewna. Miała wrażenie, że jej świat pogryzł się w szaleństwie, a innego przecież nie miała.

Odniosła książkę telefoniczną i podreptała do sofy. Usiadła i mocno przycisnęła ręce do twarzy. Ta zniekształciła się jak ściśnięta imadłem. Nie chciało jej się płakać – miała ochotę wrzeszczeć. Wrzeszczeć, wrzeszczeć...

Stłumiła krzyk, choć nie przyszło jej to łatwo. Może w końcu zadzwoni do kapitana Franka Quinna, ale jeszcze nie teraz.

Charlotte rozmarzyła się, idąc Christopher Street, i dlatego nie od razu rozpoznała samochód. Po Nowym Jorku krążyło tyle wielkich ciemnych luksusowych aut. Ale osłoniła dłonią oczy przed słońcem i zobaczyła lśniący symbol Chryslera. Zorientowała się, że to samochód brata Dixie. Jakżeż on miał na imię? Ron? Nie, Don.

Samochód zwolnił i zjechał do krawężnika jakieś sześć metrów przed Charlotte. O-o! Mogła z tego wyjść niezręczna sytuacja. Zauważyła, jak Don patrzył na nią tamtej nocy, kiedy chciał zabrać ją i Dixie do siebie na drinka. Podejrzewała, że nie był świadomy orientacji seksualnej Dixie. Mógł uznać, że są zwykłymi przyjaciółkami.

Charlotte udawała, że nie poznaje samochodu, i szła dalej, nie zmieniając tempa. Miała nadzieję, że jednak nie był to Don. Ale kiedy już prawie zrównała się z autem, opuściła się przyciemniana szyba po stronie pasażera, a Charlotte zobaczyła przez tylne okno, że postać za kierownicą wygina się nad sąsiednim fotelem, aby coś powiedzieć.

– Charlotte!

To był głos Dixie, nie Dona. Charlotte z ulgą podeszła do samochodu i się pochyliła. W środku siedziała Dixie. Uśmiechała się, wyciągnięta nad siedzeniem pasażera. Wyglądała fantastycznie ubrana w swoją zwykłą czerń, z czerwoną apaszką i lśniącymi czarnymi włosami upiętymi z tyłu dla podkreślenia wyrazistych kości policzkowych i intensywnych ciemnych oczu. Charlotte na początku najbardziej pociągały właśnie te oczy.

Uśmiechnęła się szeroko, jeszcze bardziej zbliżyła do samochodu i zeszła jedną nogą z krawężnika.

– Dixie! – Pochyliła się, żeby zajrzeć do wnętrza auta. Dixie była sama. – To chyba samochód twojego brata?

– Pożyczyłam go na przejażdżkę do Village.

– Jak to?

– Chciałam zobaczyć ukochaną kobietę.

– To znaczy mnie?

– To znaczy ciebie, kochanie. Wskakuj.

– Po co? Dokąd jedziemy?

– Powiem ci, jak wsiądziesz.

Charlotte nie widziała powodu, dla którego miałyby nie wsiąść. Cofnęła się więc, żeby szerokie drzwi mogły się otworzyć, i wsunęła się do środka.

W aucie było chłodno. Odświeżacz powietrza, przyczepiony za pomocą przysssawki do przedniej szyby, roztaczał słabą woń bzu, pod którą jakby czaił się inny, bardziej rażący zapach. Tapicerkę wykonano z tak miękkiej skóry, że w dotyku wydawała się niemal aksamitna. *Przyjemne*. Gdy tylko Charlotte zamknęła drzwi, w samochodzie zrobiło się cicho. Poczowała się odizolowana, choć było jej wygodnie i przytulnie, gdy siedziała tu z Dixie.

– Czy to ma być jakaś niespodzianka? – zapytała.

– W pewnym sensie. Jedziemy do mojego brata. Do Dona.

– Och... – Charlotte pożałowała, że w jej głosie dało się słyszeć rozczarowanie. Nie chciała zranić niczyich uczuć. – Chciałam powiedzieć: cudownie! Ale skąd ten pomysł?

– Jest dziś w domu. Rozmawiałam z nim przez telefon i powiedział, że bardzo chciałby się z tobą spotkać. Uważa, że robisz wrażenie miłej osoby.

– Dlatego chce się ze mną spotkać? Bo wyglądam na miłą?

Dixie spojrzała na nią z ukosa i gładko odbiła od krawężnika.

– Jest ciekawy. Uważa, że jesteś dla mnie kimś ważnym.

– Bałam się, że jest mną zainteresowany w innym sensie – roześmiała się Charlotte.

– Don? Nieee... Wiemy o sobie wszystko. On rozumie.

Dixie wyhamowała, żeby nie uderzyć w taksówkę wykonującą szeroki zakręt.

– Zapnij pasy, maleńka.

Charlotte wykonała polecenie.

– Jestem? – zapytała.

– Czym?

– Czy jestem dla ciebie kimś ważnym?

Dixie uśmiechnęła się i przesunęła palcami po wewnętrznej stronie uda Charlotte. Charlotte zabrakło tchu, a jej ciało się spięło.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo – odpowiedziała Gloria.

Jill rozważała to godzinami. Wreszcie wróciła do telefonu i zadzwoniła na najbliższy komisariat. Z początku nie rozumieli, o co jej chodzi. Potem usiłowali ją przekonać, że jeśli ma cenne informacje, nie musi od razu rozmawiać z konkretnym policjantem. Powtarzała cierpliwie, że będzie rozmawiać *wyłącznie* z Quinnem. Przyszło jej do głowy, że mogą namierzać rozmowę. Jeśli nawet, to trudno. Nie dbała o to, skoro już podjęła decyzję.

Ktoś w końcu podał jej numer, pod którym mogła zastać Quinna. Detektyw nazwiskiem Fedderman powiedział jej, że chętnie pomoże, bo Quinn akurat jest nieuchwytny. Ponownie uparła się, że ma być Quinn i tylko Quinn. W końcu Fedderman się ugiął – być może usłyszał rozpacz w jej głosie. Kazał jej poczekać i przekierował rozmowę.

Nie było żadnej banalnej muzyki w tle, tylko brzęczenie i seria trzasków, gdy jej rozmowę przekierowywano na jeszcze inny numer.

– Quinn – odezwał się głos.

Połączenie zostało nawiązane.

Charlotte zdziwiła się, kiedy Dixie zwolniła i zatrzymała wielkiego chryslera. Segmentowa brama ze stali unosiła się przed nimi z łomotem i szcękaniem. Spojrzała na Dixie, a ta uśmiechnęła się uspokajająco, po czym, gdy brama podniosła się do końca, wprowadziła długie czarne auto w mrok, który okazał się garażem. Charlotte usłyszała grzechot opadających wrót.

– Garaż Dona – wyjaśniła Dixie.

Charlotte skinęła głową. Nie przyglądała się za bardzo, ale odniosła wrażenie, że garaż był przestronny i stanowił część większego budynku, zapewne mieszkalnego. Oczywiście Don mógł mieszkać w jednym z tych przedwojennych domów z cegły bądź czerwono-brązowego piaskowca, które przerobiono na apartamentowce. Garaż mógł być także wynajęty – na Manhattanie musiało być takich mnóstwo, biorąc pod uwagę niewystarczającą liczbę miejsc parkingowych.

Poczuła się lepiej, kiedy w tylnej ścianie garażu otworzyły się drzwi i przeszedł przez nie Don. Ubrany był w wyblakłe dżinsy i szary

T-shirt, na którym mógł kiedyś widnieć napis „METS”. Niósł ze sobą białe kartonowe pudełko.

Charlotte zaczęła wysiadać. Usłyszała, jak Dixie, która już to zrobiła, wita Dona krótkim „cześć” i dodaje: „Zobacz, co przywiozłam”. Jakby Charlotte była miłą niespodzianką. Ale Don nie wyglądał na zaskoczonego.

Zamknęła drzwi chryslera i wydało jej się, że słyszy elektroniczny szept blokującego się zamka. Garaż pachniał benzyną, olejem i czymś, czego Charlotte nie potrafiła rozpoznać. Żar spod samochodu owiał jej kostki.

Don popatrzył na Charlotte i puścił do niej oczko.

– Cześć, Charlotte.

Położył kartonowe pudełko na podłodze, wytarł ręce o dżinsy i podszedł bliżej. Uśmiechał się. Charlotte spodziewała się, że wyciągnie do niej rękę na powitanie. Zamiast tego mocno uderzył ją w brzuch.

Cios wypchnął jej powietrze z płuc. Charlotte zgięła się wpół, ale nie upadła, ponieważ Dixie, która obeszała samochód, stała za nią i chwyciła ją tuż pod piersiami. Z ustami przy uchu Charlotte zapytała Dona:

– Wszystko przyniosłeś?

– Wszystko, czego chciałaś. To był twój pomysł.

Ciało Charlotte pragnęło zwinąć się w maleńki kłębuszek. Jej stopy odrywały się od podłogi. Ale Dixie była silna i trzymała ją mocno, nie pozwalając jej upaść. Charlotte wisiała w powietrzu z nogami podciągniętymi niemal do pozycji płodowej. Pustka, która się w niej rozrastała, zdawała się wsysać ją całą. Głowa jej opadła. Nie dawała rady jej podnieść, gdy jednocześnie daremnie usiłowała zaczerpnąć powietrza. Widziała, że podłogę garażu coś pokrywa. Płachta foliowa. Zobaczyła też, że Don ma na nogach szerokie zielone ochraniacze, podobne do tych, jakie lekarze noszą w salach operacyjnych i innych pomieszczeniach, w których wymagana jest sterylność. Don sięgnął do pudełka i wyjął zielony fartuch chirurgiczny. W niecałą minutę włożył go na ubranie, włącznie z czepkiem, tak wyćwiczonymi ruchami, jakby robił to już wielokrotnie. Tak samo wprawnie założył lateksowe rękawiczki.

Serce Charlotte prawie pękało. Zwiększyła wysiłki, by wciągnąć do płuc cenny tlen, i tym razem szybko, gwałtownie nabrała tchu. Rzęzący szloch.

– Będzie mogła krzyczeć – powiedziała Dixie.

– Nie pozwolimy na to – odparł Don.

Schylił się, wyjął z pudełka grubą rolkę taśmy klejącej i zbliżył się do Charlotte. Odwinął mniej więcej półmetrowy kawałek i oderwał go od rolki. Dixie zacisnęła chwyt, przesunęła rękę i ujęła podbródek dziewczyny. Uniosła jej głowę, a Don szybko zakleił rozdziawione usta, owijając taśmę wokół głowy i włosów Charlotte. Oderwał więcej taśmy i powtórzył czynność. Zrobił to tak mocno, że Charlotte nie mogła ani oddychać przez usta, ani wydać żadnego dźwięku. Potem się cofnął i ocenił swoje dzieło. Nie patrzył przy tym na Charlotte jak na człowieka. Przestraszyło ją to bardziej niż wszystko inne. *Co ze mną zrobią, skoro nie jestem już człowiekiem?*

– Nie udusi się, prawda? – zapytał Don.

– Oddycha przez nos – odpowiedziała Dixie.

Rzeczywiście tak było, ale Charlotte wkładała w to całą wolę, całą siłę, na jaką było ją stać. Ból brzucha rozprzestrzenił się na całe ciało, ale znów oddychała. Słyszała powietrze wciągane przez nos, syk, który stawał się coraz głośniejszy. To gorączkowe syczenie uświadomiło jej, że wystarczy, jeśli na jakąś minutę ścisną jej nos, i będzie po niej. Tylko tyle stało między nią a nicością. Dopiero teraz naprawdę się przeraziła.

Ukoiliła nieco strach, wmawiając sobie, że jednak pozostała jakaś nadzieja. Don bał się, że z taśmą na ustach mogła się udusić, co znaczy, że nie zamierzali jej zabić. Prawda?

Z całych sił wmawiała sobie, że nie zamierzali. Ale co to w takim razie było? Porwanie? Wątpliwe. Nikt nie dałby za Charlotte złamanego grosza. Poza tym miesiąc temu odcięła się od rodziny, kiedy to po nieuniknionej awanturze wyjechała do Nowego Jorku. Małe miasteczko w Indianie nie tolerowało lesbijek. Rodzice powiedzieli, że nie chcą jej więcej widzieć, że nie jest już ich córką. Charlotte przyjęła ten osąd ze zrozumieniem, a kiedy poznała Dixie, wiedziała już, że będzie mogła z nim żyć.

A teraz to...

Może chodzi o seks? Dixie lubiła perwersje. Może chce Charlotte wystraszyć, zafundować jej totalny masochistyczny odjazd. Ale nigdy wcześniej nie posunęły się tak daleko. Nawet w połowie. Charlotte udało się wykręcić szyję i popatrzeć na Dixie. Dixie się do niej uśmiechnęła. Uśmiech był znajomy, ale tym razem przeraził Charlotte. *Naprawdę ją przeraził.*

Czy rzeczywiście o to chodziło? Modliła się, żeby tak było. Perwersyjne zabawy, to wszystko. Godzina, dwie i się skończy.

Zauważyła, że Don trzyma coś w ręce. Cienki pasek białego plastyku. Zacisk, który zapinało się wokół czegoś wymagającego

usunięcia przez obcięcie. Czasami policja używała ich zamiast kajdank.

Policja. Charlotte ucieszyłaby się, widząc ją tutaj, i to już.

Dixie na chwilę ją puściła, a potem chwyciła nadgarstki Charlotte i wygięła jej ręce do tyłu. Charlotte poczuła, jak plastikowy zacisk boleśnie wrzyna się w jej ciało. Bezgłośnie krzyknęła w taśmę klejącą. Starła się nie przewrócić, a Dixie jej w tym pomogła – ujęła ją pod pachy i podtrzymała. Charlotte musiała się pochylać przez te ręce związane za plecami, ale przynajmniej nie upadła.

Don podszedł do pudełka i wrócił z jakimś przyrządem do cięcia, w którym zamocowane było ostrze żyłkowe. Charlotte rozpaczliwie wierzgnęła, uderzając piętami o podłogę. Pamiętała rozpostartą na niej czystą foliową płachtę, jakich używali malarze, żeby nie nabrudzić. Don zamierzał poderżnąć jej gardło. Jedno błyskawiczne cięcie i wypłynie z niej życie. Tak będzie!

Ale Don wykorzystał ostrze inaczej.

Przeciął szwy jej bluzki. Zerwał ją, jakby wykonywał magiczną sztuczkę, i odrzucił w pobliże pudełka. Potem przeciął ramiączka i zdjął Charlotte stanik. Rzucił go na bluzkę. Charlotte wierzgała, ale daremnie. Z nogi spadł jej sandał i wylądował obok ubrania, jakby specjalnie tam celowała. Don uważnie ją teraz obserwował, ale podczas gdy oczy miał żywe, jego twarz stężała, była niemal jak z drewna. Chwilę potrzymał w dłoni jej nagą pierś, potem rozpiął jej pasek, guzik džinsów i zamek błyskawiczny i pociągnął spodnie w dół. Opuściwszy je odrobinę, uniósł jej stopy, złapał materiał na kostkach i ściągnął dzinsy do końca razem z drugim sandałem. Charlotte wiała się, usiłując go kopnąć. Zrobił unik przed wymachującą stopą i zanim zdążyła się zorientować, ściągnął jej majtki. Znowu podszedł do pudełka i wyjął z niego złożoną czystą płachtę foliową, identyczną jak ta na podłodze, tyle że mniejszą. Rozprostował ją i ułożył na masce samochodu.

Wrócił i stanął przed Charlotte, tuż poza zasięgiem jej nóg. Spojrzał na Dixie.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zapytał.

– Oboje chcemy – dobiegł Charlotte gardłowy głos Dixie. Czują w uchu jej ciepły oddech.

Don jeszcze raz sięgnął do pudełka. Tym razem wyjął z niego kij, który wyglądał jak kij od szczotki, tylko był krótszy i zaostrzony.

Charlotte w pierwszej chwili nie zrozumiała, co to oznacza. A kiedy zrozumiała, przerażenie wdarło się w każdy zakamarek jej umysłu i poczuła ciepły strumyk spływający po nogach. *To nie może*

się dziać. To tylko sen. Boże, proszę! To musi być sen!

Być może Bóg jej wysłuchał, ponieważ nagle poczuła się dziwnie oderwana od tego, co się dzieje. Jakby nie było już przestrzeni ani czasu, tylko strach tak głęboko zagnieżdżony, że zaakceptowanie go byłoby nie do zniesienia.

Ten letarg okazał się łaską, gdy Don chwycił Charlotte, podprowadził niczym zombi do rozłożonej na masce foliowej płachty i pchnął na samochód, jednocześnie trochę ją unosząc, żeby nie dotykała stopami podłogi. Siłą rozsunął jej nogi. Usiłowała je ścisnąć, ale znalazł się między nimi i jeszcze bardziej się rozchyliły. Charlotte dostrzegła Dixie przyglądającą się jej z drugiej strony maski. Obiema rękami opierała się o samochód. Nie miała w nich spiczastego kija od szczotki. Więc miał go Don.

Ma go Don!

Letarg został przerwany. Panika i groza przedostały się przez niewyobrażalny ból. Charlotte zaczęła wrzeszczeć raz za razem, a taśma na ustach sprowadzała każdy krzyk do stłumionego, cichego buczenia, niemalże przypominającego szczęśliwe gaworzenie. Dixie pochyliła się nad rozgrzaną maską i obserwowała wszystko roziskrzonymi oczami, a twarz miała kamienną.

Charlotte kochała Dixie. Naprawdę kochała. A potem był już tylko ból.

Opowiedzenie wszystkiego zajęło Jill prawie pół godziny. Kiedy skończyła, sama nie wiedziała, jak się z tym czuje. Wciąż uważała, że powinna porozmawiać z Quinnem przed następną randką z Tonym, ale teraz znów przypomniała sobie ostrzeżenia Madeline i zastanawiała się, czy naprawdę Quinnowi ufa. Czy ufa komukolwiek.

Quinn jej nie rozczarował. Jego siła i opanowanie dodały jej pewności siebie, ośmieliły ją. Chyba ją rozumiał i wybaczył jej naiwność oraz niemądre postęпки, przez które znalazła się w tym położeniu. Ale może miała tak to odebrać? Może to była sztuczka? Może wszystko było sztuczką?

Gdy opowiedziała swoją historię, poczuła się wyczerpana i rozgzeszona, ale ten stan szybko jej mijał. Otworzyła się na nowe problemy. Nadal wszystkich podejrzewała. *Popadasz w paranoję jak Madeline. Martwa Madeline, która miała rzeczywistych wrogów.*

Ale nie mogła wiedzieć, czy Madeline naprawdę nie żyje. Była przekonana tylko na tyle, żeby przyjść do Quinna i porozmawiać z nim.

Tony. Dlaczego nie porozmawiałam z Tonym? Dlaczego mu nie ufam?

Miała wrażenie, że jej serce zna jakąś tajemnicę, której jeszcze nie pojął umysł. Jej serce nie ufało Tony'emu. Miało rację? Do tej pory się myliło.

Nadal się bała.

Pora na ocenę.

Kiedy przyszła Jill, Quinn przeglądał swoje notatki. Zostawił na nosie okulary do czytania, żeby być mniej onieśmielającym. Byle się nie zacięła, byle mówiła. I opowiedziała mu dużo, a słowa chwilami płynęły z jej ust z taką szybkością, że zdawały się płatać.

Odchylił się w fotelu i popatrzył nad oprawkami okularów na kobietę, która właśnie ze wszystkiego mu się zwierzyła. Mówiła racjonalnie, bez wątpienia, ale było widać, że jest zrozpaczona. Nosila niebieskie spodnie, białą bluzkę z plamą po kawie, minimalny maki-

jaż. Blond włosy uczesała niedbale i z jednej strony były przyklepane, jakby niedawno wstała. Mimo zaczerwienionych oczu trudno było ocenić, czy płakała. Siedziała twarzą do niego, przycupnięta na samym brzeжку fotela dla gości. Po tylu latach detektywistycznej pracy i wysłuchiwania kłamstw Quinn niemal bezbłędnie wyczuwał, kiedy ktoś mówił prawdę. Jill Clark chyba była zbyt wystraszona, żeby kłamać.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć – powiedziała, źle odebrawszy jego milczenie. – Z początku sama nie wierzyłam.

– Zatem uważa pani, że spotkana w windzie na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy kobieta podszyła się pod szaloną Madeline, jak ją pani nazywa. Że wprowadziła się do jej mieszkania.

To były stwierdzenia, nie pytania.

– Tylko że Madeline nie była szalona – odrzekła Jill. – Teraz już to wiem.

Quinn zdjął okulary, złożył je i wsunął do kieszonki koszuli.

– Trudno w to uwierzyć – powtórzyła Jill.

– Trudno uwierzyć, że znajdujemy porzucane po mieście ludzkie tułowia, ale tak jest.

– Czyli wierzy mi pan?!

Na to jeszcze nie był gotów.

– Sądzę, że powinniśmy wybrać się na przejażdżkę – powiedział.

– Do mieszkania Madeline?

Uśmiechnął się.

– Obawiam się, że na to jeszcze trochę za wcześnie.

Wzdrygnęła się, a jej dolna warga zadrzała.

– Wiem, dokąd pojedziemy. Spodziewałam się tego.

– Sporo pani o tym myślała.

– Oczywiście, że tak.

*A po dzisiejszym dniu nadal będziesz o tym myślała.
Prawdopodobnie do końca życia.*

Quinn odsunął się z fotelem, wstał, obszedł biurko i położył rękę na ramieniu Jill Clark. W jej szczupłym ciele wyczuł strach i napięcie, jakby było podłączone do prądu.

– Jesteś bezpieczna, moja droga. Słusznie postąpiłaś, przychodząc tutaj.

Zdziwił się, kiedy przykryła ręką jego dłoń i lekko ją ścisnęła.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek był bezpieczny – powiedziała. – Już nie.

– Względnie bezpieczna – poprawił się Quinn. – Tylko na tyle możemy liczyć na tym spaczonym świecie.

Wysiliła się na uśmiech, ale słabo jej się udał.

– Gotowa na przejażdżkę? – zapytał Quinn.

Skinęła głową i wstała z fotela jak cierpiąca na artretyzm starszuszka. Umysł zmuszał ciało, by udało się tam, dokąd nie chciało pójść. Quinn nie mógł jej winić za tę niechęć.

– Postaramy się, żeby poszło raz-dwa – pocieszył ją. – Zawsze najgorszy jest strach. – *Prawie zawsze.*

Zostawił Pearl i Feddermanowi kartkę z informacją, dokąd się udaje. Potem, delikatnie trzymając Jill Clark za ramię, zaprowadził ją do drzwi. Zobaczył, że nad kołnierzykiem jej bluzki wystaje metka, więc zręcznie wepchnął ją z powrotem. Jill spojrzała na niego i uśmiechnęli się do siebie. Najważniejsze, żeby szła i nie myślała za wiele.

Wybierali się do kostnicy.

Victor spacerował po mieszkaniu z pochyloną głową, przechodził z pokoju do pokoju, zgłębiając nowe doświadczenie, nowego Victora.

Nie tak miało się to potoczyć. Chodziło tylko o interesy. Z początku traktował to wszystko zupełnie bez emocji. Ćwiartowanie zwłok miało cel praktyczny: było publicznym sygnałem dla czekającego klienta, a także utrudniało identyfikację ofiary. Przed wszystkim jednak sprowadzało na manowce policję, która wierzyła w psychopatycznego mordercę, nie podejrzewając istnienia jedyne w swoim rodzaju dochodowego przedsięwzięcia biznesowego. Jeśli ćwiartowanie miałoby okazać się za mało przekonujące, sprawę miał załatwić faliczny kij od szczotki, wbijany siłą między ścianki waginy bądź odbytu.

Na początku zaostrome kije od szczotki nie wywoływały w nim żadnej emocjonalnej reakcji. Ale wkrótce zastrugane domowym sposobem paliki zaczęły budzić fascynację, a on przejawiał coraz większą staranność w ich doborze i coraz większą wagę przykładął do metamorfozy, jaką przechodziły w jego rękach. Ostrzenie, szlifowanie i natłuszczanie nabrało niezwyklej wagi. Stało się aktem wyjątkowo osobistym. Od tej pory używanie kija stało się łatwiejsze. Ułatwiał też wykonywanie zleceń. Tej konkretnej części zlecenia.

Potem, bez jego świadomego udziału, doszło do tego, że nie tylko przygotowania sprawiały mu przyjemność. Polubił używanie palików.

To do niego nie pasowało. W ogóle. Był Victorem biznesmenem, a nie Victorem Palownikiem.

Popatrzył na półki z książkami, na pozycje o Vladzie Palowniku.

Kiedy zobaczył je w dziale biografii księgarni Barnes & Noble, po prostu musiał je kupić. Wtedy po raz pierwszy zaczął podejrzewać, że kryje się w nim demon, choroba, a to niepokojące przeczucie tym bardziej potwierdzało się, im gorliwiej zagłębiał się w lektury poświęcone sadystycznemu despotyzmowi i watażce. Boże drogi! Coś go łączyło z od dawna nieżyjącym Vladem. *Byli bratnimi duszami.*

Victor nie widział w tym powodu do radości. Udał się do kuchni i nalał sobie do szklanki czarnego Johnnie Walkera. Trunek spłynął zarem w dół gardła. Może wyrwie go z depresji, z niezgody na to, co uczynił i kim był.

To Gloria wpadła na pomysł z kijami od szczotki. Może zaraził się od niej. I to ona zasugerowała, żeby penetracja Charlotte była analna, tak jak w wypadku mężczyzny. Victor pamiętał, co od razu sobie pomyślał, usłyszawszy tę propozycję. W taki sposób Vlad nabijał swoje ofiary na pal. Zaakceptował propozycję Glorii bez gadania, jakby było mu wszystko jedno, bo przecież to tylko interesy, ale z uśmiechem w jej bezlitosnych ciemnych oczach wyczytał, że wiedziała o tej jego nowej stronie, czy może starej, istniejącej od zawsze, ale ukrytej nawet przed nim samym. Niewiele potrafili przed sobą zataić.

Victor chodził i chodził. Nie potrafił usiedzieć w miejscu. Wiedział dlaczego, znał prawdziwy powód. O to, co się stało, nie mógł obwiniać ani Vlada Palownika, ani Glorii. Sam podjął decyzję. I podjąłby ją raz jeszcze.

Pociągnął kolejny solidny łyk szkockiej, cementując wyznanie, które nie przyszło mu łatwo, ale dzięki któremu poczuł się odrobinę lepiej.

Tym razem, kiedy jego umysł zaczął odtwarzać wspomnienie Charlotte wijącej się i cicho zawodzącej na masce samochodu, nie odepchnął myśli o niej, wytłumionych błagań o litość i okrutnych obrazów. Zdobył się na odwagę i świadomie powitał je w swoim nowym jestestwie.

Victor Palownik. Kolejny długi łyk szkockiej. Lubię swoją pracę. Bo i czemu nie?

– Dlaczego jedziemy pod prąd ulicą jednokierunkową? – zapytała Jill.

Quinn uśmiechnął się do niej, wymijając autobus zabierający pasażerów z przystanku.

– Upierdliwi dziennikarze, moja droga. Przez cały czas chcą wiedzieć, co się dzieje.

Jill wcisnęła się w fotel, gdy prawy przedni zderzak lincolna prawie otarł się o autobus.

– To chyba ich praca?

– Oczywiście. Ale ja też mam pracę i w ramach jej wykonywania muszę zadbać o to, żeby się o tobie nie dowiedzieli. Bo jeśli oni się dowiedzą, dowie się też morderca. – *Jeżeli już się nie dowiedział.*

Quinn doszedł do wniosku, że jeśli Jill wiernie przedstawiła fakty, to fałszywa Madeline mogła zawiadomić E-kstazę o spotkaniu w windzie, a wtedy Jill byłaby w niebezpieczeństwie. Dużo zależało od tego, czy martwa kobieta znaleziona w tunelu metra okaże się kobietą z jej opowieści.

Oczywiście Jill mogła nie rozpoznać w kobiecie z kostnicy prawdziwej Madeline, ale nie dawało to gwarancji, że prawdziwa Madeline żyje. Stwierdzenie, że gdzieś w Nowym Jorku leżą co najmniej jedne nieodkryte zwłoki, było prawdziwe w dowolnym momencie.

Zatrąbiły klaksony, gdy Quinn skręcił w Drugą Aleję, tym razem we właściwą stronę i z prądem.

– Chyba ich zgubiliśmy – powiedział.

– Przejazdka z panem to prawdziwa przygoda – stwierdziła Jill.

W jej głosie pobrzmiwało intrygujące ożywienie, jakby szybkość i ryzyko przepędziły z jej myśli poważniejsze problemy.

– Życie jest przygodą, moja droga.

– Która może fatalnie się skończyć – ponuro skwitowała Jill.

Znów wpadła w grobowy nastrój.

Maria Sanchez obawiała się, że wariuje. Nie miała problemów

finansowych, ale trzy lata temu popełniła błąd, o którym Jorge nie wiedział. Złamała jego żelazną zasadę: „Jeśli handlujesz narkotykami, nie używaj ich” – i została narkomanką. A teraz próbowała zerwać z nałogiem.

Chociaż sama myślała o tym troszkę inaczej. We własnych oczach była w trakcie rzucania. Zostało jej jeszcze co nieco z zapasów, które miała przy sobie, lądując na LaGuardii. Przemycenie ich nie było trudne; załatwiła z kim trzeba co należało. Nawet gdyby znaleziono przy niej narkotyki, prawdopodobnie wykręciłaby się sianem. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Liczący się ludzie wiedzieli, kim była.

Kimś, kim już nie jest.

Podrapała się po nagich ramionach, wstała z sofy i zaczęła chodzić w kółko po salonie w mieszkaniu, które coraz bardziej kojarzyło jej się z całą więzienną. W ciągu kilku ostatnich miesięcy skróciła swoje codzienne kreski kokainy, brała prawie o połowę mniej niż kiedyś. Nie żeby miała wybór. Maria zawsze była wyjątkiem od reguły. Potrafiła dokonać tego, czego inni się bali lub nie byli w stanie zrobić. Tak samo będzie z jej uzależnieniem. Inni zostawiali nałogowcami do końca życia, ale nie ona.

Zmniejszanie dawek, nierzadko trudne, było trudne i teraz, ale miała silną wolę i potrafiła stawić opór samej sobie. Pewność siebie wysłała z mlekiem matki. Nigdy nie wątpiła, że z czasem całkowicie wyleczy się z nałogu.

Aż do teraz.

Na razie wizy ta w kostnicy nie była taka zła, jak Jill sobie wyobrażała. Powiedziano jej, że nie musi oglądać zwłok. Posadzili ją na czerwonym plastikowym krzeselku w poczekalni, a zbliżenia martwej kobiety mieli jej pokazać na ekranie telewizyjnym. Quinn stał za nią i delikatnie opierał rękę na jej ramieniu.

– Gorsze rzeczy pokazują w kablówce – powiedział – na kanale medycznym.

Jill nie wiedziała, czy istnieje coś takiego jak kanał medyczny, ale słowa Quinna dodały jej odwagi. Mimo to wciągnęła powietrze, gdy na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie.

Quinn nic nie powiedział, tylko niemal nieodczuwalnie zacisnął dłoń na jej ramieniu.

– Madeline – powiedziała po prostu głosem tak cichym, że prawie niesłyszalnym.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

Jill odwróciła głowę od ekranu. Jedno zdjęcie w zupełności jej wystarczyło. Wiedziała, że to była Madeline i że na zawsze ją taką zapamięta.

- Możemy już stąd wyjść?
- Oczywiście.

Quinn zabrał rękę, ale jeszcze poklepał Jill po ramieniu, komunikując, że dobrze się spisała i że wciąż ma opiekuna, że Quinn się o nią troszczy.

- Wszystko w porządku?
- Skinęła głową, podnosząc się.
- Nic mi nie będzie.

Na zewnątrz w gorącym słońcu poczuła lekkie mdłości i przeknęła ślinę. Kilka razy głęboko nabrała powietrza przez usta i zrobiło jej się lepiej.

- Jak żołądek?

Quinn chyba dokładnie wiedział, jak się czuła.

- Już dobrze. Najgorszy jest ten zapach. Nie chce się rozwiać.
- Ja po wizycie w kostnicy zwykle wypalam cygaro – powiedział.
- Proszę się nie krępować.

Wyjął z kieszeni koszuli pękate, prawie czarne cygaro. Jill ze zdziwieniem spostrzegła, że było do połowy wypalone, a końcówka nie została za bardzo uszkodzona przy wygaszaniu. Poczerniały tytoń był starannie wyrównany.

- Jest kubańskie – wyjaśnił Quinn – czyli dosyć drogie. – Znalazł w kieszeni reklamowe zapalki, zapalił jedną i przyłożył do cygara. – Może pani też ma ochotę?

– Nie, dziękuję. Czy prawo przypadkiem nie tępi kubańskich cygar?

- Jak dotąd żadnego za nic nie skazano – odpowiedział Quinn. Zaciągnął się, obrócił dym w ustach i wypuścił. Wyszczrzył zęby do Jill. – Może chociaż maska?

– Nie. Bierne wdychanie dymu mi wystarczy. Skutecznie zabija zapach kostnicy.

Wrócili do lincolna zaparkowanego niezgodnie z przepisami w strefie załadunkowej. Na daszku przeciwsłonecznym widać było znaczek nowojorskiej policji.

- Specjalnie dla pani – odezwał się Quinn – będę palił w samochodzie.

Nie było powodów, żeby w drodze powrotnej z kostnicy uciekać przed dziennikarzami, ale Quinn i tak wołał mieć pewność, że nikt ich

nie śledzi, więc przejechał na czerwonym świetle.

– Nadal jest pani pewna identyfikacji? – zapytał, kiedy utkwili w korku na Pierwszej Alei.

– To, co widziałam... Kobieta, którą widziałam, to Madeline. Ta prawdziwa.

Quinn rozpiął pas bezpieczeństwa, żeby łatwiej było mu sięgnąć do kieszeni po telefon komórkowy. Wybrał numer.

– Czy to też nie jest wbrew prawu? – zdziwiła się Jill. – Rozmawianie przez komórkę podczas jazdy samochodem?

– Nie, jeśli jednocześnie pali się cygaro – odparł Quinn.

Quinn powiedział Feddermanowi, że ma dla niego towarzystwo na lunch, po czym zadzwonił do Renza, żeby umówić się z nim na rozmowę w cztery oczy.

Renz miał już jakieś spotkanie, ale odwołał je, dowiedziawszy się, o czym Quinn chce z nim porozmawiać. Siedzieli teraz w Puccini's, włoskiej restauracji, w której puszczano muzykę operową i która znajdowała się zaledwie kilka przecznic od porządnej, oferującej dania z całego świata restauracji na Amsterdam, pod którą Quinn powierzył Jill pieczy Feddermana. Od tej chwili Jill będzie potrzebowała ochrony. Nie zdawała sobie sprawy, w jakim jest niebezpieczeństwie.

Kiedy Quinn opowiedział Renzowi o wizycie Jill Clark i wyprawie do kostnicy, komisarz siedział przez jakiś czas, milcząco wpatrując się w rigatoni carbonara, ale nie słuchał *Cyganerii*.

– Ta cała Jill jest teraz na lunchu z Feddermanem? – upewnił się, nie podnosząc wzroku znad talerza.

– Niedaleko, na tej ulicy – powiedział Quinn.

– Kobieta, która podszywa się pod Madeline, mogła nabrać podejrzeń. Musimy zorganizować ochronę. Musimy trzymać tę Clark z dala od hien dziennikarskich.

– Uwierzyłeś w jej opowieść?

– Nic innego nie mamy. – Renz wreszcie oderwał wzrok od jedzenia. – Co ci mówi twój nos?

Quinn podszedł do tego pytania poważnie.

– Że opowieść jest raczej prawdziwa.

Sopran wznosił się po stopniach gamy, osiągając niewiarygodnie wysokie tony. Renz przez jakiś czas rozważał wszystko, czego dowiedział się od Quinna, myśląc też o konsekwencjach politycznych. A może przede wszystkim o nich. Quinn mu nie przeszkadzał; sączył heinekena, dopóki nie wydało mu się, że upłynęło co najmniej pięć

minut. Być może Renz zasnął z otwartymi oczami.

– Harley?

– Jezu Chryste!

– Jego w to nie mieszajmy – powiedział Quinn. – Musisz sprawdzić dla mnie wszystkich, którzy mniej więcej w ciągu ostatniego roku zniknęli lub głęboko się zadekowali. Ludzi, którzy mogli być na bakier z prawem. Trzeba to zrobić tak, żeby nikt się nie zainteresował. Nie możemy sobie pozwolić na spłoszenie E-kstazy.

– Poradzę sobie z tym – zapewnił Renz. – E-kstaza... Nienawidzę nowoczesnych technologii, zwłaszcza jeśli idą w parze z seryjnymi morderstwami.

– Clark twierdzi, że firma ma nowojorski adres. Sprawdzimy ją ostrożnie.

– A co z Clark? Nie możemy zostawić jej samej. Jeśli gdzieś przepadnie, a media zwęszą, że o niej wiedzieliśmy, skończę jako krawężnik w rewirze, w którym podczas obchodu pewnikiem mnie zastrzelą. Nie wspominając o losie tej biednej dziewczyny.

– Nie wspominając – przytaknął Quinn. Pociągnął długi łyk piwa. – Harley, moim zdaniem Jill Clark potrzebuje nowej koleżanki mieszkającej w tym samym bloku.

Renz w lot załapał. Uśmiechnął się.

– Przyjaciółki. Bliskiej, takiej, która będzie na nią uważała i od razu się zorientuje, jeśli Clark przybędzie lub ubędzie kilka centymetrów wzrostu albo jej oczy zmienią kolor. Pearl?

Quinn skinął głową.

– Tylko musi się inaczej nazywać. Zdjęcie Pearl nigdy nie trafiło do gazet w związku z tą sprawą, ale jej nazwisko tak. Kilkakrotnie.

– Jak ma się nazywać?

– Bo ja wiem? Lepiej uzgodnić to z Pearl.

– Uzgodnij. Jeśli my coś wybierzemy, na pewno nas obsobaczy.

– Zadanie będzie niebezpieczne – powiedział Quinn.

– Pearl potrafi być wrzodem na dupie – odparł Renz – ale ma jaja.

– Nie o to chodzi – rzekł Quinn. – Pearl będzie czuwać nad Jill Clark. Chcę, żeby ktoś czuwał nad Pearl.

Renz wbił widelec w swoje rigatoni, jakby dopiero przypomniał sobie o jedzeniu i przestraszył się, że wystygnie.

– To sę rozumie szamo pszeż sę – powiedział z pełnymi ustami.

Nie przekonał tym Quinna.

Siedziba E-kstazy była w miarę łatwa do znalezienia, chociaż na stronie internetowej nie podano adresu. Linki prowadziły do kolejnych linków i po pół godzinie spędzonej przed komputerem Pearl poznała lokalizację firmy. Szybko stawała się specem komputerowym w ekipie detektywistycznej.

Nazwa handlowa E-kstaza.org zgodnie z przepisami została zarejestrowana w stanowym wydziale firm. Założycielami firmy byli Palmer F. Stone oraz Victor i Gloria Lampingowie. Poza adresem firmy Stone i Lampingowie zgłosili trzy miejsca zamieszkania w Nowym Jorku. Pearl je sprawdziła i odkryła, że wszyscy wyprowadzili się bez podania nowych adresów. Adres biura E-kstazy na Zachodniej Czterdziestej Czwartej Ulicy pozostał ten sam.

Podczas gdy Pearl zbierała dalsze informacje o E-kstazie, Quinn i Fedderman wybrali się sprawdzić adres, który znalazła. Gorący dzień od jakiegoś czasu szarżał i stawał się coraz bardziej parny. Obecnie mżył kapuśniaczek na tyle drobny, że można było obejść się bez płaszcz przeciwdeszczowego czy parasolki, ale wystarczająco gęsty, żeby co jakiś czas rozlegało się *pach-pach* wycieraczek lincolna, które rozmaływały krople na przedniej szybie. Quinn doszedł do wniosku, że Pearl miała rację: w dusznym, wilgotnym wnętrzu samochodu zbyt mocno czuć było dym cygarowy. Zapach wsiąkał. Może Quinn powinien zdecydować się na zakup odświeżacza powietrza, jednego z tych, które wyglądały jak miniaturowe choinki i które wieszano się na lusterku wstecznym. Umieścił to na liście rzeczy do zrobienia, ale na dalekiej pozycji.

Jak się okazało, siedziba E-kstazy mieściła się w biurowcu niedaleko dzielnicy teatralnej. Litery nad wejściem, wygrawerowane w kamieniu, układały się w nazwę „Western Commerce Building”. Quinn domyślił się, że zainspirowało ją położenie budynku – na West Side. Wysiedli z Feddermanem z auta zaparkowanego przy hydrancie przeciwpożarowym naprzeciwko biurowca i przeszli przez jezdnię. Może z powodu deszczu mniej sprawna noga Quinna, ta, w którą ongiś postrzelono go w czasie napadu, dawała mu się lekko we znaki.

Uważał, żeby się nie pośliznąć na mokrej nawierzchni. Weszli do holu.

Zajeżdżało w nim stęchlizną, marmur był spękany, a płytki podłogowe pożółkły. Ściany niedawno odmalowano na kolor kremowy wpadający w brąz. Filary zwieńczone były bogatą ornamentacją, a jako obramowanie wysokiego sklepienia zastosowano wymyślne listwy wieńczące, odrobinę ciemniejszego koloru niż ściany. Hol nie był przygnębiająco mroczny tylko dzięki światłu wpadającemu przez przejrzyste okno witrażowe. Western Commerce Building wciąż był szacowną budowlą, a istniał na tyle długo, że stawał się pierwszej klasy nieruchomością głównie dzięki modernizacji pobliskiej dzielnicy teatralnej.

Poza Quinnem i Feddermanem w holu nie było nikogo. Podeszli do oszklonego spisu firm i zauważyli, że w budynku rzeczywiście urzędowało dwóch agentów teatralnych, a poza tym mieściły się w nim kancelarie prawnicze, agencja nieruchomości, agencja ubezpieczeniowa, gabinet stomatologiczny i tym podobne, na które łatwo natrafić w podobnych biurach. Było też kilka firm o zagadkowych nazwach, między nimi E-kstaza.org. Mieściła się na piątym piętrze wraz z Cagely Imports i E. Rupert Hall, Investments.

– To co, jedziemy na górę porozmawiać z Palmerem F. Stone'em? – zapytał Fedderman. – O ile ktoś taki w ogóle istnieje. Nazwisko brzmi, jakby wymyślił je jakiś naciągacz.

– Z takim nazwiskiem albo zostaje się politykiem, albo organizuje przekręty – odpowiedział Quinn.

– Jest jakaś różnica?

– Moim zdaniem jeszcze za wcześnie, żeby się pokazywać – stwierdził Quinn. – Wystraszą się i przepadną, zanim się obejrzymy. Zaczekaj tutaj, a ja pojadę na piątę i się rozejrzę. Jak ktoś mnie zauważy, schowam się u E. Ruperta Halla i będę inwestował.

– W towary – podsunął Fedderman. – Na kanale finansowym mówili, że się opłaca.

– Przestanie się opłacać, jeśli ja w nie zainwestuję – odparł Quinn i skierował się ku windom.

Ich drzwi były obramowane wymyślnym gipsowym fryzem, który prawdopodobnie pasował do chaosu u góry filarów, ale Quinn nie miał ochoty podnosić głowy i sprawdzać.

Na piątym piętrze było spokojnie. Quinn wynurzył się z windy prosto do niewielkiej wnęki i przeszedł sześć kroków po cienkiej wykładzinie do miejsca, w którym korytarz rozchodził się w dwóch kierunkach. Na małej tabliczce na ścianie widniała strzałka wskazu-

jąca na lewo, gdzie mieściły się biura E. Rupert Hall i Cagely Imports. Nie było strzałki informującej, co znajduje się na prawo. Quinn postanowił w razie czego udawać, że szuka gabinetu stomatologicznego z czwartego piętra.

Skręcił na prawo i ruszył wąskim, ale dobrze oświetlonym korytarzem. Prawie na końcu znajdowały się pojedyncze drewniane drzwi. Wyglądały na nowe. Napis „E-kstaza.org” wykonano fantazyjną czcionką, a składał się ze złotych liter okolonych różem. Prawdziwy artyzm. Nie było jak sprawdzić, co kryje się wewnątrz. Najwyraźniej biuro serwisu randkowego zostało dogodnie odizolowane od pozostałych dwóch firm na tym piętrze. Quinn się uśmiechnął. Miłość najlepiej kwitła w intymnej atmosferze.

Zatrzymał się półtora metra przed drzwiami i przemknęło mu przez myśl, żeby je otworzyć.

Jeszcze nie teraz, upomniał się. Ale już niedługo.

Zawrócił, minął windy i wszedł do biura E. Rupert Hall. Siwołosą recepcjonistkę, która czytała książkę o sztuce manikiuru, zapytał o gabinet stomatologiczny. Chciał się zabezpieczyć na wypadek, gdyby ktoś z E-kstazy jednak go obserwował. Kobieta skierowała go na czwarte piętro i wróciła do lektury. Quinn jej podziękował, a wychodząc, pomyślał, że książka miała dobre pięćset stron. Wątpił, żeby dało się tyle napisać o pielęgnowaniu paznokci, ale może była bogato ilustrowana.

Zjechał do holu, zgarnął Feddermana, wrócili do samochodu i pojechali w kierunku mieszkania Jill Clark. Pora jej objaśnić, że ma w bloku nową przyjaciółkę.

Kiedy spotkały się po raz pierwszy, Quinn przedstawił Pearl jako Jewel. Chcieli, żeby Jill od początku tak ją w myślach nazywała.

– Będzie mieszkała tuż nad tobą, na siódmym piętrze – oznajmił Quinn.

W bloku były trzy puste lokale, a ten znajdował się najbliżej mieszkania Jill. Quinn wyjaśnił niewykazującemu zainteresowania właścicielowi czynszówki, że policja chce wynająć to mieszkanie na kilka tygodni, aby obserwować kogoś z budynku naprzeciwko. Dali mu pokwitowanie, a on dał im klucze.

Jill skinęła głową. Widać było, że wciąż jeszcze oswaja się z tym konceptem i jest zadowolona, bo ktoś będzie blisko, żeby ją chronić. Nie mogła uwierzyć, że to, co słyszała o Tonym, może okazać się prawdą. Z drugiej strony nie potrafiła całkowicie odrzucić tej możliwości. Bała się nawet teraz po tym, jak znalazła pomoc u Qu-

inna. Strach kojarzył jej się z jakimś złowrogim stworzeniem w brzuchu, gryzącym ją, kiedy tylko ośmieliła się o nim zapomnieć.

To nie mogło się dzieć. Nie jej. Ale stworzenie w brzuchu przypominało, że jednak się dzieje. Właśnie jej. Madeline na pewno kiedyś czuła się tak samo. *To nie może się dzieć. Nie mnie. Nie-aż-tak-szalona Madeline w kostnicy.*

– Czy w najbliższym czasie będziesz miała randkę z Tonym? – zapytał Quinn.

– Na razie nie. Wyjechał z miasta na kilka dni, ma zadzwonić, jak wróci. Pewnie od razu będzie chciał gdzieś mnie zabrać. Przeważnie tak jest. – Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś innego, ale się zająknęła. – Nie mogę uwierzyć... znaczy, że Tony...

– Wiem, wiem – powiedział Quinn. – To dlatego oszustwa bazujące na uczuciach często się udają. Opierają się na niezасłużonym zaufaniu. Ludzie reagują emocjonalnie.

Pearl też tak myślała. Serce jest takim głupcem.

– Zaprosz go, kiedy zadzwoni – ciągnął Quinn. – Jak przyjdzie, Jewel musi być u ciebie. Albo umów się z nim gdzieś na lunch i przyprowadź Jewel, niech się poznają. Chcemy wywołać wrażenie, że bardzo szybko się zbliżyłyście. Bliska przyjaciółka upatrzonej ofiary będzie dla Ekstazy poważnym utrudnieniem.

– Upatrzona ofiara... – szepnęła Jill. – To ja. Właśnie w to tak trudno mi uwierzyć.

– Madeline z początku też nie wierzyła. A ty nie wierzyłaś Madeline.

Jill zagryzła dolną wargę. Wyglądała, jakby miała się rozplakać. Może rozpamiętywała wizy tę w kostnicy.

– Walizkę zaniósłam na górę – powiedziała Pearl, chcąc skierować myśli Jill na inny tor – ale chyba posiedzę z tobą z godzinę. – Uśmiechnęła się. – Jeśli naprawdę uda nam się zaprzyjaźnić, nie będziemy musiały udawać.

– Pamiętaj, wykonuj wszystkie polecenia Jewel – mówił Quinn do Jill. – Jest świetna w tym, co robi, i ma na uwadze tylko twoje dobro. Jest tutaj, żeby zachować cię przy życiu.

– Wiem. Jest tutaj, żeby uratować mnie przed Tonym.

– Przed każdym, moja droga. Jewel nie dyskryminuje.

Pearl zapragnęła, żeby się stąd wyniosł.

– Gdzie Feds? – zapytała. Może to go pospieszy.

– Obserwuje mieszkanie nowej Madeline. Jeszcze nie chcemy się do niej zbliżać. Do nikogo nie chcemy przedwcześnie się zbliżać, bo wiele osób i dowodów może rozproszyć się i zniknąć. – Quinn spoj-

rzał na zegarek i podniósł się z sofy. – *À propos* ludzi, którzy zniknęli. Sprawdzę u Renza, może jakichś znalazł. – Uśmiechnął się. – Że tak powiem.

Przypuszczał, że to oznaczałoby jakiś postęp. Ale poznanie tożsamości ludzi, którzy prawdopodobnie zaszyli się w mysiej dziurze, nie wskaże im, pod kogo obecnie się podszywają ani czy w ogóle to robią. Bywało jednak, że postęp w śledztwie się dokonywał, choć nic na to nie wskazywało. Czasami po prostu sam wchodził w ręce. Jeśli akurat były we właściwym miejscu.

W drodze do drzwi Quinn zapewnił Jill, że wszystko będzie dobrze, a Pearl pouczył:

- Nie wyłączaj komórki, Jewel.
- Ostatnio stale jest włączona – odpowiedziała Pearl.

Quinn i Renz spotkali się na lunchu w Tavern on the Green, gdzie Renz jadał przynajmniej raz w tygodniu, ponieważ uwielbiał serwowany tam crème brûlée. Dostali stolik przy oknie, przez które widzieli Central Park i szpaler ozdobnie przyciętych krzewów. Wysoki krzak, który zdaniem Quinna przyszyżono tak, by przypominał King Konga, kołysał się nad ludźmi pokonującymi wąskie przejście wiodące z wybrukowanej strefy, w której taksówki wysadzały i zabierały pasażerów. Quinn obserwował zbliżającą się do restauracji kobietę w zwiewnej letniej sukience, która trzymała za rękę pana w bardzo podeszłym wieku i brązowym garniturze. Ponieważ byli do siebie podobni, zdecydował, że to ojciec i córka, i zaczął się zastanawiać, co jego córka, Lauri, porabia teraz w Kalifornii.

– Cztery osoby z tego regionu gdzieś się zadekowały, i to z dobrych powodów – powiedział Renz. – Oczywiście takich osób na pewno jest więcej, ale co do tej czwórki nie mamy wątpliwości.

– E-kstazie o to chodzi. Żeby nie było wątpliwości.

Renz wyjął z kieszeni marynarki złożony arkusz papieru, rozprostował go i oparł o szklankę z wodą, żeby móc czytać bez okularów.

– Velma Grocci, żona mafijnego bossa Vina Grocciego. Wyczyściła jego konta bankowe i uciekła od niego. Zostawiła mu kartkę z informacją, że nigdy nie wróci. Co i tak nie ma większego znaczenia. Vinowi grozi kilka wyroków dożywotniego więzienia za zlecenie morderstw, w tym opłacenie zamachu na agenta FBI działającego pod przykrywką. Z małżonkiem za kratkami życie Velmy nie byłoby warte splunięcia.

– To ma sens – powiedział Quinn.

– Iris Klinger, pracownica agencji ubezpieczeniowej podejrzana o zdefraudowanie pół miliona dolarów. Wyszła za kaucją i przepadła bez śladu.

– Z pieniędzmi?

– Na to wygląda. Jest jeszcze Marti Ogden, do niedawna z Upper East Side. Kobieta. Trzydziestoletnia córka Harta Ogdena. Razem z

tatą parali się paserką diamentów. Ktoś próbował tatę wykołować, więc tato go ukatrupił. Odsiaduje w Elmirze dożywocie z opcją wyjścia po dwudziestu pięciu latach. Gość, którego załatwił, ma niebezpiecznych kumpli. Omal nie posadziliśmy Marti za posiadanie kradzionego mienia, czym zapewne uratowalibyśmy jej życie, ale uciekła czarterem do Buenos Aires. Nie wiadomo, dokąd stamtąd wyjechała, o ile w ogóle wyjechała. Wydawało nam się dziwne, że wyczarterowała lot pod prawdziwym nazwiskiem. Niezbyt to mądre.

– Może – mruknął Quinn.

– Numer cztery to Jocko Lucci. Naciągnął kasyna w New Jersey na miliony, a pieniądze wyprał w sieci pizzerii. Też uciekł po wyjściu za kaucją.

– Ktoś taki wyszedł za kaucją?

– Było go stać. Pieniądze wyłożyła żona. Zginęła cztery dni po tym, jak wystawił do wiatru i ją, i poręczyciela kaucji. Jocko zostawił list, w którym napisał, że opuszcza kraj.

– Jak zginęła żona?

– Potracił ją autobus na Pierwszej Alei. Ciekawe, że po znalezieniu listu spokojnie zdążyłaby zadzwonić na policję i powstrzymać męża, ale odczekała cały dzień, a on uciekł.

– Albo stał się kimś innym – zauważył Quinn.

– Czyli kimś, kogo mamy w kostnicy bez głowy, rąk i nóg, ale za to z kijem od szczotki.

Pojawił się kelner z przekrojonymi w ćwiartki kanapkami z sałatką z tuńczyka, ale Quinn wiedział, że jest to nic nieznaczące preludium do crème brûlée. Renz sumiennie odgryzł kęs kanapki.

– Na pewno istnieją dziesiątki, może setki ludzi, którzy zniknęli z własnej woli i których policja nigdy nie szukała – powiedział z ustami pełnymi tuńczyka. – Bo z jakiej racji? To nie przestępstwo. Czasami do poszukiwania takich ludzi wynajmuje się prywatnych detektywów, ale rzadko coś osiągają. Jeśli wiesz, co robisz, albo masz dojścia i cały olbrzymi świat, w którym można się zgubić, przeważnie skutecznie się gubisz.

– Fakt, tylko w tej sprawie znikają ludzie, którzy nie tylko wpadli w kłopoty, ale też są dobrze znani, przynajmniej policji czy komuś, kto chciałby ich znaleźć.

– Nie zarzucimy poszukiwań Marti Ogden, a federalni nie zarzucą poszukiwań pozostałej trójki.

– Szkopuł w tym, że oni wszyscy są teraz kimś innym.

– W tym szkopuł – zgodził się Renz.

Odsunął talerzyk z kanapką. Odgryzł z niej dwa kęsy. Zdrowszą

część posiłku miał już za sobą.

Pora na deser, chociaż Quinn nawet nie spróbował swojej kanapki.

Renz się wyprostował i poszukał wzrokiem kelnera, ale go nie znalazł. Zatem znów przeniósł uwagę na Quinna.

– Zdobyliśmy pewne dane o Victorze Lampingu – powiedział. – Ma trzydzieści sześć lat, urodził się w Baltimore, służył w oddziałach specjalnych w Afganistanie. Cztery lata temu został karnie zwolniony z wojska.

– Z jakiego powodu?

– Pracujemy nad tym, ale taką informację trudno uzyskać. Siły specjalne to nie to samo co inne jednostki wojskowe. Mają swoje zasady i wygląda na to, że nikt nie zamierza ich łamać. Kiedy skontaktowaliśmy się z ewidencją wojskową w Saint Louis, wszyscy nabrali wody w usta. Nie dowiedzieliśmy się nawet, co Lamping porabiał, zanim wstąpił do armii.

– Cóż, wiemy, co porabia teraz.

Słońce nieco się przesunęło. Renz stał się prawie cieniem na tle dużego okna wychodzącego na zielony trawnik i King Konga. Quinn pożałował, że nie wziął ze sobą okularów przeciwsłonecznych.

– Jak zamierzasz rozegrać sprawę z E-kstazą? – spytał Renz. – Zamykamy im interes?

Quinn wiedział, że to tylko takie gadanie. Polityczny zmysł Renza domagał się potwierdzenia, że za podjęciem decyzji będzie stał ktoś jeszcze.

– Według mnie nie powinniśmy – odpowiedział Quinn. – Jeśli mamy ich przyskrzynić, to konkretnie i na długo. A jak dotąd nic z tego, co mamy, nawet nie przypomina dowodu. Zostaną pod obserwacją, a my będziemy gromadzić zarzuty. Najgorsze, co możemy teraz zrobić, to ich wystraszyć. Zwiną interes i szukaj wiatru w polu. Jill Clark zapowiada się na ich następną ofiarę, więc możemy grać na czas.

– Zgoda. Ale do mediów nie może dotrzeć, ile wiemy i kiedy się tego dowiedzieliśmy. Wyobrażają sobie, że powinniśmy wpaść do siedziby E-kstazy niczym Eliot Ness i jego Nietykalni i powystrzelać towarzystwo. Pilnuj się, żeby dziennikarze nic nie zwęszyli. Cindy Sellers trzyma się mnie jak pijawka.

– Zrobię, co się da – odpowiedział Quinn. – Na razie nieźle nam szło.

Renz znowu wyprostował się w fotelu.

– Patrz, jest nasz kelner.

Zaczął unosić rękę, żeby przywołać kelnera, ale przerwał mu

dzwonek komórki. Wyjął ją z kieszeni, otworzył, przyłożył do ucha i się przedstawił. Jego twarz ogara jeszcze bardziej obwisła, kiedy wolną ręką sięgał do drugiej kieszeni i wyjmował z niej czarny, oprawny w skórę notes. Powiedział „mhm”, po czym kilkakrotnie to powtórzył, robiąc jednocześnie zapiski.

Podziękował rozmówcy. Z głośnym trzaskiem zamknął telefon.

– Mamy kolejną ofiarę – oświadczył. – Kobieta. To, co z niej zostało, znaleziono niecałe piętnaście minut temu na Lower East Side.

Wyrwał z notesu kartkę z informacjami i podał ją Quinnowi przez stół. Wsunął notes do kieszeni i rozsiadł się na krześle.

– Zbieraj ekipę i w drogę – powiedział. – Ja czekam na deser.

W biurze firmy E-kstaza.org Palmer Stone patrzył zza biurka na Victora Lampinga. Po raz pierwszy martwił się o swojego partnera w interesach, a zarazem wieloletniego współpracownika. Nie chodziło o to, że Victor coś zrobił. Chodziło o jego postawę. Chwilami wydawał się odległy, nieobecny. To mogło źle wróżyć interesom.

Na stoliku przy oknie grał mały telewizor nastawiony na lokalne wiadomości. Dźwięk został wyciszony, ale u dołu ekranu pojawiały się napisy dla niesłyszących. Mówiono o polityce, sporcie, pyskówce między celebrytami i człowieku, który pobił rekord w jedzeniu hamburgerów.

– Jak to wyjaśnisz? – zapytał Palmer.

Wciąż nie wiedział, czy znaleziono tułów Charlotte Lowenstein. Skąd to opóźnienie? Od wielu godzin czekał, aż powiedzą o tym w wiadomościach.

Victor domyślił się, o co mu chodziło.

– Nie wyjaśnię – odpowiedział. – Zrobiliśmy z Głorią swoje, włącznie z pozostawieniem obiektu w miejscu, w którym na pewno zostanie znaleziony. Ja bym się nie przejmował, prędzej czy później ktoś na nią trafi. Ludzie nie przechodzą obojętnie obok takich rzeczy.

Z miejsca, w którym stał jego fotel, Stone mógł przeglądać się w małym lusterku oprawionym w ramki. Popatrzył na eleganckiego mężczyznę w średnim wieku i odruchowo poprawił jedwabny krawat z importu. Zawsze dobrze się ubierał i nigdy nie zdejmował w biurze marynarki, choć rzadko zaglądał tu jakiś klient czy w ogóle ktokolwiek. Niemal wszystkie operacje biznesowe E-kstazy dokonywane były za pośrednictwem internetu.

Odsunął rękę od wyprostowanego wężła, gdy zobaczył, że oczy Victora nabrały tego coraz częstszego, nieobecnego wyrazu. Takie spojrzenie naprzemiennie pojawiała się i znikalo przez kilka pierwszych dni po kasacji klienta. Gdzież się ten Victor podziewał? Z całą pewnością nie było go w biurze.

Rozmarzenie nie pasowało do Victora, który podobnie jak Stone był oddanym biznesmenem i nie pozwalał, by coś stanęło mu na

przeszkodzie w osiągnięciu zysku. Praca, którą Victor i Gloria wykonywali dla E-kstazy, była po prostu częścią ich obowiązków. Przynajmniej Stone tak sądził. Nie widział się z Głorią od czasu kasacji Charlotte Lowenstein, ale wątpił, żeby jej zachowanie w jakiś sposób się zmieniło. Czego raczej nie można było powiedzieć o Victorze.

Stone się uśmiechnął, co nadało mu wygląd jowialnego tatusia z telewizyjnego sitcomu.

– Coś cię dręczy, Victorze?

Uwaga Victora powróciła, jakby ktoś zapalił lampę. Znowu był tu i teraz.

– Nie. Skąd to pytanie?

Stone wzruszył ramionami.

– Ostatnio sprawiasz takie wrażenie.

Victor, pod pewnymi względami młodsza wersja Stone'a, uśmiechnął się jak posłuszny syn z tego samego sitcomu.

– Wszystko gra, Palmerze.

– U Głorii też?

– Też.

– Brudna robota, którą wykonujecie dla firmy, to po prostu część tego interesu, Victorze. Jak procedura medyczna. Zakończenie życia, sekcja zwłok, odwrócenie uwagi. Chodzi tu tylko i wyłącznie o pieniądze. Chociaż oczywiście rozumiem, że może się wytworzyć coś w rodzaju przywiązania do skasowanego klienta.

– Jeśli o to idzie, to pilnuję się od samego początku – odparł Victor.

– Naturalnie. A Gloria?

– Musiałbyś ją zapytać.

– Myślisz, że mogła bardziej niż zwykle zaangażować się przy ostatniej klientce? Tej Charlotte?

Victor zareagował śmiechem.

– Palmerze, przecież... to Gloria. – Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – A co dręczy cię, Palmerze?

– Praca, którą wykonujesz razem z Głorią, niesie ze sobą dwa niebezpieczeństwa. Po pierwsze, możecie nabrać obrzydzenia do tego obowiązku. Po drugie, może zacząć wam sprawiać zbyt dużą przyjemność.

– Nie ma obawy, nie dojdzie ani do jednego, ani do drugiego – odpowiedział Victor. – Mówię za siebie i za Głorię.

– Doskonale – skwitował Stone i odchylił się w skórzanym dyrektorskim fotelu.

Z pozoru promieniał zadowoleniem, ale jego uwadze nie uszedł błysk w oku Victora. Wiedział, że usłyszał kłamstwo. Pytanie brzmiało: kto ma problem? Gloria czy Victor? I co jest problemem? Obrzydzenie czy przyjemność?

– Ach! – rzucił Stone.

Patrzył na telewizor. Lokalne wiadomości podawały, że torsowy morderca uderzył ponownie. Zaledwie przed kilkoma godzinami na Lower East Side znaleziono tułów kobiety. Palmer wiedział, że policja wkrótce zauważy podobieństwa do innych morderstw, a także dopasuje przynajmniej jedną kulę – bo były dwie, jedna w sercu, druga obok – do broni, z której zabito poprzednie ofiary.

Victor również oglądał wiadomości.

– Poczujesz się lepiej, Palmerze?

– Niewypowiedzianie – odrzekł Stone. – Nic nie wprawia mnie w lepszy nastrój niż świadomość, że interesy toczą się jak zawsze.

Gdyby jeszcze Victor był taki jak zawsze.

Quinn uznał, że seks z Lindą Chavesky za każdym razem był lepszy. Była to kwestia zaufania. Oboje ostrożnie wstępowali do krainy kochanków, wiedząc, że nie będzie odwrotu. Ale uczyli się i przy każdym kolejnym spotkaniu czuli się przy sobie swobodniej.

Oczywiście oboje musieli iść na ustępstwa. Na przykład teraz, leżąc we własnym łóżku u boku Lindy i obserwując przedostające się przez żaluzje gasnące promienie słońca, Quinn z rozkoszą zapaliłby cygaro. Wyobrażał sobie, jak z nim leży, a wsparta na łokciu Linda pali papierosa, zrelaksowana po uprawianiu miłości. Ale wiedział, że to tylko fantazja, która się nie ziści. Cholera, na dobrą sprawę władze Nowego Jorku mogły zdelegalizować palenie cygar w łóżku, tylko mu to umknęło.

Jeszcze nie tak dawno obok niego leżała w błogim rozleniwieniu zaspokojona Pearl, ale wydawało się to wspomnieniem z innego świata. Stronice życia odwracane były nie tyle przez czas, ile przez zdarzenia. Pearl wciąż była dla Quinna czymś więcej niż koleżanką z pracy, z którą kiedyś sypiał. Kiedy dowiedziała się o Lindzie, wyczytał coś w jej oczach. Ktoś ją nagle zastąpił w jego życiu i jakaś jej część zapragnęła go odzyskać. Ale tylko część. Może było tak ze wszystkimi eks-kochankami, nawet jeśli ich związek był burzliwy? Reakcja odruchowa, serce nie potrafi do końca pogodzić się z tym, że coś stało się przeszłością. Kochał Lindę, ale snuł abstrakcyjne rozważania, czy chciałby odzyskać Pearl.

- O czym myślisz? – zapytała Linda.
- Że Yankees powinni wymienić miotacza.
- A ja sądziłam, że o ofierze ostatniego morderstwa.

Umysł Quinna zaatakowały obrazy zdeformowanego ciała, odsłoniętych kości, zaschniętej krwi i fekaliów. Na kilka sekund dopadło go ciche szaleństwo.

- Nauczyłem się odsuwać to od siebie – powiedział.
- I jesteś szczęśliwy?
- Pytasz o Yankees?

Roześmiała się i dźgnęła go w żebra palcem wskazującym. Dosyć

zabolało. Otuliła się kołdrą i położyła na boku, żeby nad wypukłością poduszki widzieć jego oczy.

– Nift zatrzymał dla siebie kilka informacji o ostatniej ofierze – powiedziała. – Najwyraźniej zamierza zwlekać do ostatniej chwili, zanim wyśle Renzowi raport z autopsji.

– Z tego wynika, że pewnie wysłał go komuś innemu.

– Owszem. Wesowi Nobblerowi, zastępcy naczelnika.

Quinn znał Nobblera. Wydawał się ambitny, krążyły też plotki, że brał w łapę. Młodszy oficerowie otaczali go kultem, zresztą jak wielu podobnych mu karierowiczów, i mieli nadzieję, że wypłyną na fali jego sukcesu. Nobbler był człowiekiem, którego należało traktować poważnie.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, ale nie mam dowodów. – Umilkła i słychać było tylko cichy szmer jej oddechu.

Quinn czekał. Wiedział, kiedy lepiej nie naciskać. Kwestia zaufania. Linda i tak nieźle się dla niego narażała. Czy była gotowa narażać się jeszcze bardziej? Poczuł, że znowu zmieniła pozycję, szeleszcząc zmiętą pościelą. Sprężyny jęknęły, a materac się ugiął. Możliwe, że zwalczała w sobie opór przed powiedzeniem czegoś więcej. Ryzykowała dla Quinna karierę.

– Żyła, kiedy wsadzono jej kij od szczotki – powiedziała.

Obrazy powróciły w formie chaotycznych migawek. *Odsuń je od siebie. Przerwij ten pokaz slajdów.*

– I nie był to inny kij niż ostatnio – dodała. – Taki sam jak te wcześniejsze, środek do pielęgnacji mebli itepe.

– Do śmierci doszło na skutek penetracji kijem?

– Nie. Trochę pożyła, mając go w środku.

Jezu!

– Kule pasują?

– Mhm. Nie ma wątpliwości, że z tej samej broni zabito pozostałe ofiary. Kaliber dwadzieścia dwa. Podwójny strzał w serce, ale serce już nie biło.

– Taki sam kij od szczotki i takie same kule – mruknął Quinn. – To raczej wyklucza naśladowcę. Ale skąd odmiana przy przedostatniej ofierze, której wsadzono inny kij?

– Penetracja analna – powiedziała Linda.

– To zrozumiała konieczność – zauważył Quinn. – Ofiarą był mężczyzna.

– Nie, nie. Miałam na myśli to, że ostatnia ofiara, kobieta, została spenetrowana analnie.

To Quinna zaskoczyło. *Kolejne odejście od rutynowego sposobu działania. Ale przy użyciu rutynowego zaostrzonego kija od szczotki. I rutynowej broni. A co z ostatnią ofiarą? Spoczywającym w kostnicy nowym niezidentyfikowanym ochłapem zimnego mięsa? Mięsa, które ongiś było kobietą. Czy jeszcze by żyła, gdyby Quinn i jego ekipa od razu przypuścili szturm na E-kstazę nawet bez dowodów wymaganych do uzyskania wyroku skazującego? Wątpił w to. Albo wmawiał sobie, że wątpi. Jeśli opowieść Jill Clark była prawdziwa od początku do końca, mechanizm mający doprowadzić do śmierci ostatniej ofiary został puszczony w ruch przed wieloma tygodniami, a może i wcześniej.*

Leżał na plecach z palcami splecionymi za głową, wpatrywał się w sufit i usiłował znaleźć jakiś sens w tym, co przyniosły ze sobą ostatnie wydarzenia. Kierowani nieodpartym przymusem psychopatyczni mordercy nie działali według scenariusza, który wyłaniał się z poczynań torsowego mordercy, nie licząc oczywiście rygorystycznej powtarzalności. Ale w tym wypadku pojawiały się odstępstwa od normy. W sumie niewielkie, chociaż znaczące. Tylko jakie było ich znaczenie?

Ostatnią ofiarę niemal na pewno uśmiercił ten sam sprawca, a jeśli stale zwiększająca się liczba dowodów to potwierdzi, za morderstwami stała E-kstaza.org. Teoria Pearl, zgodnie z którą okaleczenia na tle seksualnym nie były niczym więcej niż tylko dywersją, coraz bardziej się potwierdzała. *Pearl i jej wnikliwość.*

Z drugiej strony ostatnie ofiary żyły, gdy penetrował je kij od szczotki. Doświadczyły długiego i potwornego cierpienia. Był to akt rytualnego sadyzmu, doskonale pasujący do psychopaty rządzonego przez nieodpartego przymus i zupełnie niepodobny do sposobu działania pracownika E-kstazy, zimnego jak głaz zabójcy przy pracy, choćby nie wiadomo jak makabrycznej.

Quinn miał pewną koncepcję, co może wynikać z bieżącego rozwoju wydarzeń. Znowu pożałował, że nie może zapalić cygara.

– Dwóch morderców działających w zespole? – spytała Linda.

– Też tak przypuszczam – odpowiedział Quinn.

Właśnie. To tylko przypuszczenie.

– Obiecuję, że niedługo będziemy mieć pewność – dodał.

Linda pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta.

– To ty jesteś detektywem.

Pearl wprowadziła się jako Jewel do pustego mieszkania na siódmym piętrze bloku Jill Clark. Nie zajęło jej to dużo czasu. Zamieszkała w lokalu 7B, który wprawdzie nie znajdował się bezpośrednio nad zajmowanym przez Jill 6C, ale był wystarczająco blisko. W razie potrzeby mogła szybko dotrzeć do schodów przeciwpożarowych i po niecałej minucie walić lub kopać w drzwi do mieszkania Jill. Zanotowała w pamięci, żeby jej o tym powiedzieć. Dziewczyna poczuje się pewniej.

Zabrała ze sobą wszystko, co uznała za potrzebne. Rzeczy spakowała do wysokiej na siedemdziesiąt centymetrów walizki na kółkach. Prawie wszystkie. Nie zmieściło się do niej jedynie składane łóżko polowe, które dostała od Quinna. Było nowiutkie, kupione w dyskoncie i wciąż jeszcze w oryginalnym opakowaniu. W środku powinna być instrukcja.

Rozpakowała walizkę, po czym wyjęła łóżko z pudełka i obejrzała je sobie. Zobaczyła zrolowane zielone płótno i aluminiowe rurki, które pewnie były nogami. Wyjęła jedną i zdziwiła się, że wraz z pierwszą wyszła także druga. Były połączone jakąś metalową płytką ze śrubą albo nitem. Pomajstrowała przy nich trochę i wkrótce odkryła, że obie rurki można rozdzielić tak, żeby ułożyły się w X. Kolejna metalowa rurka była rozsuwana. Może to jedna z tych, które trzeba było zamocować pionowo w każdym rogu polówki. Ale jak, do cholery ciężkiej, naciągnąć na nie płótno? Płótno najbardziej ją interesowało, bo koniec końców to na nim będzie spała. Kombinowała trochę z teleskopową rurką, usiłując odgadnąć, jak miała się do płótna, aż wreszcie boleśnie przycięła sobie palec. Zakląła i rzuciła rurkę na resztę elementów wystających z pudełka.

Jakim cudem te wszystkie części (razem z płótnem!) w ogóle zmieściły się do tego durnego opakowania? Wydawało się to niemożliwe. Było niemożliwe. To taki podstęp, żeby łóżka nie dało się zwrócić.

Jej wzrok przy ciągnęło coś białego. Instrukcja. Rozłożyła ją i zobaczyła, że jest po hiszpańsku, a także po francusku i niemiecku, i

jeszcze w jakimś języku, którego nie rozpoznawała. Ach! Na odwrocie była też wersja angielska. Przestudiowała opis i zgłupiała do reszty. Ten Quinn, pomyślała. Czy chciał doprowadzić ją do obłądu, dając jej coś takiego do spania? Czy to po prostu jego zwykły brak wyczucia? Tak czy inaczej, polówka była jego pomysłem, więc niech sam poskłada to dziadostwo do kupy. A Pearl pójdzie i porozmawia z Jill Clark. Były umówione za – spojrzała na zegarek – dziesięć minut.

Nie zaszczyciwszy rozbebeszonej polówki spojrzeniem, Pearl ruszyła ku drzwiom. Miała do pokonania tylko jedno piętro, więc wybrała schody. Jeśli zdarzy się, że będzie musiała w pośpiechu dotrzeć do mieszkania Jill, też nimi pobiegnie, zatem równie dobrze mogła już teraz poznać drogę.

Klatka schodowa nie była klimatyzowana. Na niższe piętro wiodły dwa ciągi drewnianych stopni z gumowymi nakładkami. Spokojnie można było je pokonać biegiem.

Pearl otworzyła drzwi na korytarz szóstego piętra, czując wyraźne poruszenie nieco chłodniejszego powietrza. W głębi korytarza Jill Clark w dzinsach i żółtym T-shircie właśnie wsiadała do windy.

– Jill!

Ale Jill, nie odwracając się, zniknęła w kabinie. Pearl nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszała. Pobiegła w stronę windy.

– Jill! To ja, Jewel!

Drzwi windy się zasuwały. Zamknęły się prawie do końca, kiedy Pearl zajrzała do kabiny i napotkała spojrzenie Jill.

– Byłyśmy umówione.

Jill, sprawiająca wrażenie zaskoczonej, gmerała przy panelu kontrolnym, chcąc powstrzymać drzwi przed całkowitym zamknięciem. Pearl spróbowała przytrzymać je ręką, ale mechanizm był nie do pokonania. Wyrwała dłoń, zanim gumowa uszczelka zdążyła przyciąć jej palce. Gdy drzwi zamknęły się z westchnieniem, Jill spojrzała na Pearl z bezradnym uśmiechem i wzruszyła ramionami.

– *Zaraz wjadę z powrotem.*

Wskaźnik nad drzwiami pokazywał, że winda się zniża. Pearl została sama na korytarzu. Nie miała jeszcze klucza do mieszkania Jill, postanowiła więc, że poczeka przy drzwiach. Zdażyła zrobić dwa kroki, zanim drzwi drugiej windy otworzyły się z łagodnym stęknieniem. Odwróciła się i zobaczyła wychodzącą z kabiny Jill. Dała krok w jej stronę i nagle zdała sobie sprawę, że to niemożliwe. Jill po prostu nie zdążyłaby zjechać do holu i wrócić drugą windą. Zresztą dlaczego miałyby wracać inną? *I dlaczego jest inaczej ubrana?*

Jej włosy miały taki sam kolor jak u kobiety w drugiej windzie i

były tak samo ułożone. Twarz... Pearl zdała sobie sprawę, że twarz była nieco inna. Pierwsza Jill miała odrobinę szerszą buzię, coś nie pasowało też w linii szyi i zarysie szczęki.

Przywołała w wyobraźni obraz drugiej Jill, nakazując pamięci, by odtworzyła go z najdrobniejszymi szczegółami. Była pewna, że Jill z windy, bezradnie uśmiechnięta i starająca się powstrzymać zasuwa-
jące się drzwi, choć tak naprawdę naciskała zapewne guzik, który je zamykał, miała nos pokryty identycznym wzorem delikatnie zaznaczających się piegów. Żadna skaza, po prostu niewielka cecha wyróżniająca, którą tylko glina jest w stanie dostrzec.

Mój Boże! Nawet piegi!

– Widziałam ją – powiedziała Pearl.

Jill nie zrozumiała.

– Kogo?

– Drugą ciebie. Zjeżdżała windą do holu, podczas gdy ty wjeżdżałaś na górę. Musiałyście się minąć. Na pewno była w twoim mieszkaniu i zauważyła przez okno, że wracasz. Albo ktoś zadzwonił i ją ostrzegł.

Pearl wyjęła komórkę z kieszeni blezera, ale zaraz schowała ją z powrotem. Minęło zbyt wiele czasu. Druga Jill już wyszła z budynku i coraz bardziej się oddalała. Za parę minut będzie kilka przecznic dalej.

Jill pobladła i oparła się ramieniem o ścianę. Pearl ją podtrzymała.

– Już dobrze. Dla mnie to też był wstrząs, a przecież nie jestem tobą.

– Na pewno zbierała o mnie informacje, sprawdzała, co mam w lodówce, w komodach, może nawet przymierzała moje ubrania...

– Może kilka z nich ukradła.

– Sądzę, że to nie pierwszy raz.

Jill odsunęła się od ściany, a Pearl puściła jej ramię.

– W zeszłym tygodniu obwiniłam pracowników pralni chemicznej, że zgubili coś, na co nie mogłam znaleźć kwitu. Zginęło mi jeszcze kilka rzeczy, nawet jakaś biżuteria. – Uśmiechnęła się do Pearl żałośnie. – Choć teraz mi wierzysz.

– Wszyscy ci wierzymy – odpowiedziała Pearl.

Jill rozejrzała się, jakby dopiero do niej dotarło, że stoją na korytarzu.

– Chodźmy stąd, Jewel. Jeszcze ktoś nas podsłucha i pomyśli, że nam odbiło.

W pierwszym momencie Pearl nie zrozumiała, do kogo Jill się zwraca. Omal się nie rozejrzała. Potem przypomniała sobie, że to ona

jest Jewel, i ruszyła śladem Jill do jej mieszkania. Drzwi były niedomknięte.

– Musiała wychodzić w pośpiechu – stwierdziła Jill. – Może faktycznie ktoś ostrzegł ją przez telefon.

Pearl wcisnęła się przed nią.

– Wejść pierwsza.

Jill przez chwilę jakby miała ochotę zaprotestować, ale odsunęła się na bok. Pearl wyjęła z kabury przy pasku dziewięćmilimetrowego glocka, a wolną ręką pchnęła uchylone drzwi. Gestem nakazała Jill zaczekać na korytarzu, po czym weszła do środka.

Znalazła się w skromnie urządzonym salonie, umeblowanym eklektycznie i tanio. Większą część podłogi okrywała podróbka perskiego dywanu, zasadniczo rdzawoczerwona. Żaluzje na jednym z bliźniaczych okien od ulicy były odgięte w dół, jakby ktoś spomiędzy listewek wyglądał na dwór. Na drugim oknie zostały ustawione były ukośnie, żeby między listewkami przedostawało się światło. Pokój skąpany był w rzucanych jak przez szablon cieniach.

W mieszkaniu było cicho. Sprawiało wrażenie pustego. Ale Pearl wiedziała, że mogą to być tylko pozory. Ci, którzy umieli się schować, potrafili stać się równie cisi i nieruchomi jak meble. Z przyciśniętym do uda pistoletem minęła małą kuchnię po prawej i otwarte drzwi do łazienki ze starym, ale czystym białym wyposażeniem i podłogą wyłożoną spękanyymi szarymi kafelkami. Nad wanną z ozdobnymi nóżkami plastikowa zasłonka od prysznica została odsunięta prawie do kurków. Nie było tu miejsca na kryjówkę. Pearl skierowała się do sypialni.

Okazała się zaskakująco duża. Było w niej podwójne łóżko okryte niebiesko-szarą kołdrą, a pod ścianą, nieopodal stóp łóżka, stał duży drewniany kufer, z którego gdzieś obłąziła okleina. Stolik w pobliżu kufra zajmował mały telewizor. Pod drugą ścianą znajdowała się komoda z niepasującym do niej oprawionym lustrem, a pod oknami – ława. Obie żaluzje, podciągnięte do połowy okien, wpuszczały żółte światło słoneczne. W pomieszczeniu było jasno. Pearl zobaczyła, że drzwi szafy są otwarte. Na łóżku leżała starannie rozłożona beżowa sukienka, w której można było wyjść do jakiegoś lepszego lokalu.

Pearl ostrożnie podeszła do szafy, trzymając broń w pogotowiu. Rozsunęła ubrania. Nikt się za nimi nie chował. Zajrzała pod łóżko, jedyne poza szafą miejsce w sypialni, gdzie można było się ukryć, ale znalazła tylko kilka kłębów kurzu. Podłoga była z nagiego drewna, jak tamta w salonie, z tym że tutaj zamiast niby-perskiego dywanu

leżały chodniczki. Chodniczki... Najbardziej niebezpieczna rzecz w domach i mieszkaniach. Najczęściej.

Wróciła do salonu wciąż z pistoletem przy udzie. Jill oczywiście jej nie posłuchała i weszła do mieszkania; stała tuż przy drzwiach.

– Nic nie słyszałam – powiedziała. – Wystraszyłam się, że coś ci się stało.

– I weszłaś, żeby tobie też się stało?

– To było głupie – przyznała Jill. – Przepraszam. – Zwiesiła głowę jak skarczone dziecko.

– Cóż, to jeden z powodów, dla których tu jestem – powiedziała Pearl – nauczyć cię unikania zbędnego ryzyka.

– Nauczę się – zapewniła Jill. – Naprawdę.

– Zostawiłaś na łóżku sukienkę? Beżowa, seksowna, dekol z koronką?

– Nie. Na pewno. Nigdy tego nie robię.

– Ale to twoja sukienka?

– Z opisu wynika, że tak.

Pearl zaprowadziła ją do sypialni. Pokazała jej rozpostartą na łóżku sukienkę i otwartą szafę.

– Jest moja, na pewno. – Jill rozejrzała się zła i wystraszona. – Nie zostawiam tak ubrań – powiedziała. – Była tutaj, dotykała moich rzeczy, nosiła moje ubrania...

– Może zdążyliśmy w samą porę, żeby uratować twoją sukienkę – rzuciła Pearl cierpko.

– Dlaczego miałyby kraść moje rzeczy?

– W twoich ubraniach łatwiej być tobą. A może chce się pokręcić wokół budynku, a nawet po okolicy, pokazać się w nich ludziom. Żeby przywykli do tego, że ona to ty. To dosyć bezpieczne, dopóki nie znajdziecie się w tym samym miejscu o tej samej porze. Ale ci, których chcemy dopaść, na pewno dbają, by do tego nie doszło.

Jill usiadła na brzegu łóżka, o włos mijając rąbek sukienki, i oklapła ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Pearl się to nie podobało, nie chciała tracić czasu na takie rzeczy.

– Już nawet kradną moje ubrania – odezwała się Jill. – Kradną *mnie*. Madeline powiedziała, że jestem w pół drogi ku nicości. Miała rację.

– Nie. Zmienimy to.

Jill podniosła na nią wilgotne oczy.

– Wierzę ci. Nie mam wyjścia. Ci ludzie mogą pójść za mną wszędzie. Jesteście moją jedyną szansą.

– Nie tylko ja, Quinn i Fedderman – przypomniała jej Pearl. – Na każdym kroku będą cię pilnowali tajniacy. Masz po swojej stronie całą armię aniołów stróżów, którzy znają się na swojej robocie. Którzy noszą broń.

Jill znów opuściła wzrok na podłogę.

– Jesteście moją jedyną szansą – powtórzyła cicho, a jej głos brzmiał samotnie.

Pearl pomyślała, że to w zasadzie racja.

Przez następnych kilka godzin Pearl siedziała w mieszkaniu Jill i wydawała jej instrukcje, które miały obowiązywać, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana i nie zrobi się bezpiecznie. Jill miała powiedzieć Tony'emu Lake'owi, że zaprzyjaźniła się z Jewel, która mieszka piętro wyżej. Później, w czasie odwiedzin Tony'ego, Jill przeważnie będzie w towarzystwie Jewel. Kto wie, może Jill nawet zaprosi nową przyjaciółkę na wspólną kolację z Tonym. Najlepszym sposobem na zapewnienie Jill bezpieczeństwa było podsuniecie Tony'emu myśli, że ona i Jewel stały się parą, co zdarza się czasem kobietom będącym najlepszymi przyjaciółkami. Jeśli już ma coś podejrzewać, niech podejrzewa, że zostały kochankami. W ten sposób E-kstazie będzie jeszcze trudniej zamordować Jill i podstawić w jej miejsce kogoś innego. Jewel zauważy, że Jill się zmieniła, więc – poza zabiciem ich obu, co wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem – E-kstazie pozostanie tylko jedno wyjście: odłożyć podmianą na później.

Na to liczyli Quinn i jego ekipa – na zwłokę, która pozwoli zgromadzić materiał dowodowy, zbudować cegiełka po cegiełce ścianę, która na sali sądowej przewróci się i pogrzebie pod sobą Ekstazę.

Pearl nareszcie zostawiła Jill i szła właśnie do mieszkania na górze, kiedy uderzyła ją pewna myśl: *Która spotkana dzisiaj Jill była prawdziwa?*

Komisarz Harley Renz siedział za swoim biurkiem, a wyglądał jak rozszluszczony Budda o twarzy basseta. Jego brzuszysko napierało na guziki białej koszuli. Jeśli dalej będzie tak przybierał na wadze, wkrótce zacznie wyglądać jak Nobbler.

Quinn przedstawił Renzowi ostatnie postępy w sprawie torsowych morderstw i chociaż komisarz był z nich w miarę zadowolony, poważnie wkurzyła go historia z Wesem Nobblerem i przeciekami z biura lekarza sądowego.

Nadmierny upał w gabinecie korespondował z nastrojem Renza. Jasne słoneczne światło wlewało się przez okno, rozgrzewało winylowy fotel, na którym siedział Quinn, prawe ramię i bark detektywa oraz połowę jego twarzy. To samo słońce bezpardonowo traktowało Renza, podkreślając jego plamistą czerwoną cerę. W snopie światła unosiło się mnóstwo kurzu, jakby Renz właśnie skończył trzepać dywan. Quinn musiał płytko oddychać, inaczej zaczęłby kichać.

– Spodziewałem się tego. Że Nobbler będzie chciał wybić się politycznie i wpakuje mi nóż w plecy – warknął Renz. – Dupek z niego. Ale i gracz. Tylko po co ten chujek Nift wpięprza się w sprawy wydziału zabójstw? Jest lekarzem, na miłość boską! Co może na tym zyskać?

– Poza przyjemnością, jaką sprawia mu badanie martwych kobiet? – odpowiedział Quinn. – Chce się wspinać wyżej. Może widzi się na stołku naczelnego lekarza medycyny sądowej miasta Nowy Jork.

– Ta pinda Cindy Sellers też pewnie od niego dostaje informacje. Uczepi się byle gówna, babsztyl jeden.

– Ty też jesteś jej informatorem – przypomniał mu Quinn.

– Na początku tak było, ale potem zwróciła się przeciwko nam.

– Wciąż z nią rozmawiasz.

Renz zbył go machnięciem ręki.

– Ja wykorzystuję ją, ona wykorzystuje mnie, a każde stara się być o krok przed drugim.

Odchylił się na oparcie, kryjąc plamistą twarz przed słońcem, i kilka razy głęboko odetchnął. Quinn wyobraził sobie, że komisarz

zaraz sięgnie po tabletkę. Jeśli nie brał czegoś na ciśnienie krwi, to zapewne powinien. Wyglądał jak kliniczny przypadek nadchodzącego ataku serca.

– Ta sama broń, inny kij od szczotki, penetracja waginalna, penetracja analna... Ktoś tu pierdoli nam w głowach, Quinn.

– Pearl też tak to widzi i według mnie może mieć rację. Istnieje szansa, że mamy dwóch morderców.

Renz zmęczonym gestem potarł nalaną twarz. Pod oczami zostały mu ślady palców.

– Seryjni mordercy rzadko działają w parach.

– Ale czasami tak – odparł Quinn. – Przeważnie jest to związek typu guru i akolita. Razem mogą osiągnąć to, czego żaden nie dokonałby w pojedynkę. Biorąc pod uwagę powiązanie z Ekstazą, zmiana w sposobie działania może być elementem dywersji, mającej na celu przekonanie nas, że szukamy przypadkowego, zaburzonego seksualnie seryjnego mordercy.

– Ktokolwiek morduje, nie rozumiem, jaką różnicę mu robi, czy szukamy jednego, czy dwóch sprawców. Jeśli opowieść Jill Clark jest prawdziwa, morderstwa są częścią biznesplanu.

– Jest prawdziwa – zapewnił Quinn. Opowiedział Renzowi, jak Pearl spotkała się wczoraj twarzą w twarz z drugą Jill Clark.

Renz znów przemył na sucho twarz dłońmi o grubych palcach.

– Czasami wydaje mi się, że wszyscy są podwójni.

Quinn nie zrozumiał. Prawdopodobnie była to kolejna uwaga odnosząca się do dwulicowych szych z policji, kąpiących dołki pod innymi. Renz powinien wiedzieć, że tacy znajdują się w każdym miejscu, w którym można spotkać się z wybujałą ambicją. Czyli w zasadzie wszędzie.

– Na pewno zrobiłeś wszystko, żeby zapewnić bezpieczeństwo prawdziwej Jill Clark? – zapytał Renz.

– Więcej nie zrobimy. Całodobowa ochrona, a piętro wyżej Pearl odgrywająca najlepszą przyjaciółkę. Potrzeba nam więcej informacji. Musimy powiązać Tony'ego Lake'a i E-kstazę z torsowymi morderstwami, nie poświęcając przy tym Jill Clark.

– Wygląda na to, że już są na nią gotowi – powiedział Renz – skoro Pearl wpadła wczoraj na drugą Jill.

Quinn usłyszał serię cichych pstryknięć. To Renz w zamyśleniu wyłamywał sobie palce. Nowy nawyk, który wkrótce może zacząć działać Quinnowi na nerwy. *Ludzie zmieniają nawyki, czasami też sposób działania. Może to podstawił Renz?*

– Co cię tak bawi, do cholery? – zapytał Renz.

Quinn nie zdawał sobie sprawy, że lekko się uśmiecha.

– Nic. Pewnie jakaś nerwowa reakcja.

Pstryk, pstryk, powiedziały Renzowe paluchy.

– Ujawnią się, jeśli podejmą próbę załatwienia Jill – oznajmił Renz. Quinn wiedział, że komisarz w duchu na to liczy. – Oczywiście zakończoną niepowodzeniem. Ale coś musi się wydarzyć, zanim media o wszystkim się dowiedzą. Inaczej całe dochodzenie szlag trafi, a my staniemy się karmą dla hien.

– Może jest sposób, żeby utrzymać hieny na dystans.

Renz znów pochylił się do przodu, wystawiając twarz na gorące słońce. *Pstryk, pstryk*.

– Czyżbym nareszcie miał przyjemność poznać mroczną stronę Quinna?

– Dla niej mnie zatrudniasz.

– To jeden z powodów – przyznał Renz. – Swoją drogą swego.

– I rozpozna go. Dajmy mediom podejrzanego.

Na twarzy Renza odmalowało się rozczarowanie.

– Ech, sądzisz, że o tym nie pomyślałem? Standardowa procedura operacyjna. Sęk w tym, że nie mamy kogo im dać.

– Tym lepiej. W ten sposób nie dojdą do żadnych konkretów. Jeśli będzie to ktoś, kogo nie możemy znaleźć, to oni też go nie znajdą, a co za tym idzie: nie wyeliminują jako podejrzanego. Może przy okazji uspimy w ten sposób czujność mordercy. Pomyśli, że zboczyliśmy z kursu.

Renz przestał wylaamywać palce.

– Widzę, żeś to sobie przemyślał.

– Mhm.

Quinn obserwował minę Renza, działanie precyzyjnego jak szwajcarski zegarek mechanizmu ukrytego za smutnymi oczyma. Renz rozważał, jakie opcje, ryzyko i korzyści mogą wiązać się z propozycją Quinna. Jak mogła wpłynąć na jego karierę, na to niestrudzone pięcie się po chybotałej drabinie. Ogarnął wszystko zaledwie w kilka sekund. Był równie przebiegły, co ambitny. Nie po raz pierwszy Quinna uderzyła myśl, że Renz był wielkim politykiem na małą skalę.

Komisarz się uśmiechnął.

– Kogo typujesz? Nifta?

– Chciałbym – odparł Quinn. – Ale myślałem o Tomie Coulterze.

Coulter był włamywaczem i gwałcicielem, który ponoć zamordował miesiąc temu w New Jersey samotną matkę i dwójkę jej dzieci. Zarznął ich nożem kuchennym, zostawiając odciski palców na

rękojeści i we krwi ofiar. Praktycznie nie było wątpliwości co do jego winy. Kiedy policja go namierzyła i pojawiła się z nakazem aresztowania, zaczął się ostrzeliwać, a potem uciekł skradzionym SUV-em. Ani jego, ani samochodu od tamtej pory nie widziano. Gdy ofiary pochowano, Coulter, który przepadł bez śladu, przestał być atrakcyjnym tematem dla dziennikarzy. Pojawiały się pogłoski, że widziano go to tu, to tam, ale wszystkie tropy prowadziły donikąd.

– Sprzedaj dziennikarzom, że Coulter jest podejrzany o popełnienie torsowych morderstw – powiedział Quinn.

Renz myślał nad tym, zagryzając policzek.

– Myślisz, że to kupią? Że sposób działania jest wystarczająco podobny?

– Okrutne morderstwa w regionie, tylko tego im potrzeba. Są spragnieni mocnego tematu. Zrobią z Coultera wiarygodnego podejrzanego, pogłoska zrodzi pogłoskę, media dostarczą faktów i zadbają o wiarygodność.

– Nikt nie wie lepiej od nas, że już tak bywało – zgodził się Renz.

– Może przy okazji wykurzymy Coultera z kryjówki i go zgarniemy, ale to będzie tylko bonus. Najważniejsze, że gazety i telewizja będą o tym nawijać bez końca. Odwrócimy ich uwagę od rzeczywistego śledztwa.

– Dywersja – powiedział Renz z zadowoleniem. – W najlepszym stylu E-kstazy.

– Coś w ten deseń – przytaknął Quinn.

– Surowe mięcho dla hien dziennikarskich. Niech się nim udławiają, to je spowolni. Niech żerują na sobie nawzajem w krwawej uczcie.

– Już bliżej.

– Podoba mi się to – mlasnął Renz i zamknął oczy. Pod powiekami, niczym w fazie REM, poruszały się jego gałki oczne, jakby rozkoszował się wyobrazeniami. – Powiem więcej: jestem zachwycony.

Bez wątpienia myślał o Cindy Sellers.

Victor chodził tam i z powrotem po Sutton Place. Kciuki zatknął w kieszenie markowych dżinsów, a wyciągniętą na wierzch koszulą targały podmuchy ciągnącego od East River wiatru. Wmawiał sobie, że wybrał się na przyjemny spacer, ale miał świadomość, że to nieprawda. Sadził wielkie kroki, chciał zrzucić z siebie napięcie, które narastało w nim od wielu dni.

Były jednak myśli, których nie potrafił się pozbyć, sny, których nie mógł zapomnieć.

Najczęściej śnił o Charlotte Lowenstein. To, co razem z Głorią zrobili nieszczęsnej kobiecie, było chore i złe, ale przyniosło jakąś ulgę. Na pewien czas.

Mimo to zabójstwo Charlotte dręczyło Victora. Nie mógł zaznać spokoju. Nigdy nie wierzył w bzdury, że zadawanie śmierci w czymś uchybiało temu, kto to robił. Zwłaszcza jeśli za zabijaniem stał solidny handlowy powód. Weźmy na przykład wojny. Ich przyczyną najczęściej był konflikt interesów, a bohaterami zostawali ci, którzy zabijali skutecznie i hurtowo. Prawda była prosta. Żeby jedni mogli prosperować, inni musieli zginąć.

Ta argumentacja sprawdziła się przy wszystkich ofiarach. Z wyjątkiem Charlotte.

Ulgę przyniosła zaspokojenie, ale wkrótce zaczęła wypierać je na nowo budząca się żądza. Wtedy też powróciły sny i mroczny głód. Coraz trudniej i trudniej przychodziło Victorowi traktowanie śmierci Charlotte jako zwykłego etapu biznesplanu. Ale co stało na przeszkodzie, żeby tak ją traktować? Nie była niczym innym. Victor powtarzał to sobie do znudzenia. W taki czy inny sposób przewidziani do kasacji klienci E-kstazy byli przeznaczeni na straty. Zdecydował o tym komputer. Trwała nowa epoka technologiczna i w pewnym sensie uśmierceni klienci byli jednymi z pierwszych ofiar nowego technologicznego społeczeństwa. Należało ich skasować. Jaką praktyczną różnicę robiło to, że odbieranie im życia sprawiało mu przyjemność?

Lew zabijający antylopę czuje tylko głód, ale czyż antylopa nie cierpi i nie zdycha? To, co działo się w umysłach mordercy i

mordowanego, było nieistotne. Tak toczy się świat. Wypełniają go drapieżcy i zwierzyna łowna i nie ma warstwy pośredniej. Jedyne różnica polega na tym, że człowiek może dokonać wyboru. Zdecydować, czy będzie jednym, czy drugim. Victor zdecydował dawno temu. Sumienie nie miało tu nic do rzeczy.

Victor właśnie tak postrzegał sytuację wcześniejszych ofiar, którym niewiele współczuł, a już na pewno nie ogarniało go wtedy sadystyczne uniesienie. On był lwem, a one antylopami. Ziemia w kolejnym obrocie. Lwy nie czują żalu. Lwów nic nie gnębi.

Ale Charlotte gnębiła Victora. Jej agonia i śmierć wpędziły go w udrękę. Była jedyną ofiarą, którą on i Gloria od początku zamierzali się nacieszyć. *I czyśmy się nie nacieszyli? Boże mój! To Gloria ją zwała, ale oboje mieliśmy z tego przyjemność.*

Ze Wschodniej Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy wyjechał szary mercedes sedan i skręcił w Sutton Place. Zatrąbił na Victora, wyrывая go z posępnych samooskarżeń. Victor pomachał kierowcy, przepaszając go za to, że prawie zszedł mu z chodnika pod koła, po czym wznowił swoją nerwową przechadzkę.

To, co zrobiłem Charlotte, te wszystkie myśli... Przecież to w ogóle do mnie niepodobne. Muszę się od tego uwolnić, bo inaczej nade mną zapanuje. Potrafię to zrobić. To nie ja. Nie prawdziwy ja. Nie ja.

Victorowi dodawało otuchy to, że w odróżnieniu od większości ludzi posiadał żelazną samokontrolę. *Gdyby tylko nocą nie nachodziły mnie sny...*

W głębi duszy wiedział, że tylko jedno pozwoli mu przespać całą noc głębokim snem, tylko jedno przepędzi głęboko zakorzenione żądze, szarpiące jego jestestwem, kiedy budził się z przerażających koszmarów na przesiąkniętym potem łóżku. Jedno uwolni go od uporczywych myśli, zawłaszczających dzień i sprawiających, że prawie wchodził pod pędzące samochody. Jedno sprawi, że pewnego dnia popełni w pracy fatalny błąd.

Opierał się jak mógł, ale potrzebował następnej Charlotte.

Tom Coulter leżał na wznak na łóżku w motelu Clover, szesnaście kilometrów na południowy zachód od Hard Oak w Teksasie. Był tyczkowatym mężczyzną z nierówno przyszyżonymi włosami i popsutymi zębami. Nosił sztywne od brudu dżinsy, dziurawe na kolanie, drogie buty, które domagały się pastowania, i rozpiętą koszulę, odsłaniającą rzadkie włosy na piersi i wystające zębra. Obficie się pocił w gorącym pokoju i ciężko dyszał, także od upału, choć w tym wypadku przyczyną był również ostry odór własnego ciała. Był

jednak zbyt zmęczony, żeby rozebrać się i pójść pod prysznic. Musiał odpocząć. Zamknął oczy, nabrał powietrza do płuc i westchnął. Dopóki nie zrobił wydechu, istniała obawa, że jego żebra przebiją bladą skórę.

Na wysypanym żwirem motelowym parkingu stało pokryte pyłem zielone volvo kombi. Tom ukradł je w Charmont w stanie Illinois, a tablice rejestracyjne odkręcił ukradkiem z chevroleta, zaparkowanego w centrum handlowym w Morristown w Tennessee. Samochód stał kilka pokojów dalej. Jeśli zjawi się policja, Tom zyska cenne sekundy na ucieczkę.

Zszargane nerwy nie pozwalały mu zasnąć. Otworzył oczy i zapatrzył się na muchę obłądnie tłukącą się o brudne okno. Głośno brzęczała, szukając drogi ku światłu i wolności. Potrafił się wczuć w jej sytuację. Mucha najpewniej zbyt długo nie pożyje, ale wciąż jeszcze trwała i walczyła z niewidzialną przeszkodą. Taką samą przeszkodą był cholerny pech, który od zawsze prześladował Coultera i nie pozwalał mu niczego osiągnąć. Coulter chętnie pacnąłby muchę i skrócił jej beznadziejne cierpienia, ale było z tym za dużo zachodu.

Na pół świadomie sięgnął po pilota leżącego na stoliku przy łóżku i włączył telewizor, ale po zerknięciu na ekran przyciszył dźwięk i przestał słuchać. Co go obchodziła jakaś reklama środka na artretyzm? Wciąż myślał o powodach, dla których się tu znalazł, jak gdyby ktoś odtwarzał w kółko fragment utworu muzycznego. Słyszał kiedyś w telewizji, że nazywa się to loop.

W zasadzie nie mógł się winić za to, co się wydarzyło. Po prostu zadziałał jego pech, a potem już jedno pociągnęło za sobą drugie.

Kobieta z New Jersey nakryła go w swojej kuchni, ale Coulter, wieczny oportunistą, uznał, że świat podsunął mu atrakcyjną babkę, chcąc spłacić choć część tego, co był mu dłużny. Wobec tego uśmiechnął się i powiedział jej prawdę: że jest zawodowym włamywaczem, a teraz, skoro przeszkodziła mu w pracy, będzie musiała się rozebrać. Wyjaśnił, że to zwykła sprawiedliwość.

Zaczęła rozpinąć bluzkę, rozplakała się i wtedy przyszły te dwa bachory. Cholerne szczeniaki! W ogóle ich nie słyszał, więc musiały wrócić do domu razem z kobietą, tyle że nie weszły przez garaż, lecz frontowymi drzwiami. Wtedy dało o sobie znać jego parszywe szczęście.

Odwrócił się i kazał smarkaczom zmykać do swoich pokoi. A że nie miał pistoletu ani żadnej innej broni, nie posłuchały go. Zamiast tego się rozryczały i czekały, aż matka powie im, co robić. Też wymyśliły. Suka tak się mazała, że nie była w stanie wykrztusić słowa.

Coulter groźnie skoczył ku dzieciakom i wrzasnął, żeby je przegonić, bo ciągle chciał na szybko zabawić się z mamuszką, a potem ruszyć w swoją stronę. Dlaczego stały jak wryte? Nie chciał przecież nikogo skrzywdzić. No, może mamuszkę, ale tylko trochę.

Wtedy dopiero wszystko poszło w pizdu, i to w sposób, którego nie mógł przewidzieć. Po prostu gówniany fart. Psiamać! Przecież to nie była jego wina.

Kiedy ruszył się, żeby popchnąć większego bachora, ten jakoś się odsunął, a Coulter potknął się i upadł na kolana. Jego lewa ręka wylądowała na okruchach ciastka, a może na czymś innym; na pewno na czymś drobnym, co wbiło się w dłoń, aż zaszczypała. Gdyby nie to, może by zauważył, co kombinowała mamuska.

Podnosił się, kiedy zmienionym, stanowczym głosem kazała mu się wynosić – natychmiast i w podskokach. Zobaczył, że wyciągnęła skądś pistolet, ogromny i samopowtarzalny, z oksydowanej stali. Stała się zupełnie inną kobietą. Coulterowi cholernie nie podobało się jej spojrzenie. Wywnioskował z niego, że nie powinien z babą zadzierać, wcale a wcale. Zamierzał wyjść i na tym by się skończyło, ale był zbyt zszokowany, żeby się poruszyć. Stopy miał jak przyklejone do podłogi.

Mamuska zaczęła pociągać za cyngiel, raz po raz. Coulter w pierwszej chwili zamarł ze strachu, a potem się wściekł. Jakim prawem to zrobiła? Nie dała mu czasu na wykonanie polecenia. Zero szansy. Gdyby miał możliwość, migiem by się wyniósł. Był profesjonalnym włamywaczem i nie chciał mieć nic wspólnego z bronią. Ani w ogóle z przemocą. To, co stało się później, było jej winą, nie jego.

Całe szczęście, że broń była stara i się zacinała. Pomyślał sobie, że pewnie niedługo wystrzeli, biorąc pod uwagę, jak mamuska przyciskała spust. Nie ściągała go, jak powinno się to robić, ale właśnie przyciskała z całych sił, aż jej palec wskazujący pobielał na nieruchomym cynglu, który chyba coś blokowało. Może nie odbezpieczyła broni. Może wpadnie na to lada chwila i odstrzeli mu łeb.

Uznał, że ma jeszcze szansę na ucieczkę. Rzucił się biegiem w kierunku drzwi, ale po drodze musiał minąć kobietę. Odepchnął ją na bok, ale ona pewnie wzięła to za atak. Znowu pech, dla niego i dla niej.

Zaczęła tłuc go bronią. Kilka razy dostał mocno w bok głowy, co naprawdę zabolowało. Przypuścił kontratak w sposób, jaki każdy *uczciwy* sędzia i ława przysięgłych nazwaliby samoobroną: zacisnął

ramię na jej szyi i ściągnął mamuszkę na podłogę, jednocześnie próbując odebrać jej pistolet.

I wtedy te cholerne szczeniaki na niego skoczyły. Musiało im się nie spodobać, że zaatakował ich matkę. Nie wiedziały, że to ona zaatakowała jego. Coulter nie mógł ich za to winić.

Większy dzieciak, mniej więcej jedenastoletni chłopiec, znalazł gdzieś puszkę piwa korzennego i zaczął walić nią Coultera w kark. Odwrócił jego uwagę na tyle, że matka się wyrwała i złapała za uchwyt od szuflady, chcąc się podciągnąć do góry.

I wysunęła z kredensu całą szufladę. Noże z brzękiem i klekotem rozsypały się po podłodze. Zanim ktoś zdążył go ubiec, Coulter chwycił jeden z nich i zaczął ciąć i dźgać na oślep, wrzeszcząc przy tym, jakby stracił rozum, co chyba na chwilę się stało. Ale przecież walczył o życie. Nie miał wyboru, poza tym ich było troje, a on jeden. Walka była nie fair.

A potem tylko stał, trzymając w ręce wielki nóż kuchenny o drewnianym trzonku. Miał na sobie krew, cała podłoga była pokryta krwią. Matka i dzieci też. Był to najbardziej nierzeczywisty widok, jaki kiedykolwiek objawił się oczom Coultera.

Wszystko znieruchomiało. Czas niemal przestał płynąć, jak w koszmarnym śnie. Nikt się nie poruszał, nawet Coulter.

Zorientował się, że tylko on nie jest martwy. Dzieciaki były pokryte taką ilością krwi, że Coulter nie umiał stwierdzić, gdzie zadał ciosy. Matka miała głębokie rozcięcie od ucha do ucha.

Wytrzeszczone oczy i szeroko otwarte usta sugerowały, że cios ją zaskoczył. Albo umarła, walcząc o oddech.

Nóż wyśliznął się z ręki Coultera i odbił od podłogi. Czas znów zaczął biec.

Rusz się! Rusz się! Rusz się!

Coulter się wynióśł, zostawiając zakrwawiony nóż.

Coulter wrócił do miasta, dotarł do domu, wziął prysznic, a potem po sobie posprzątał. Wciąż czuł się prawie jak we śnie. Ale wiedział, że nie może tu zostać, że musi być w ruchu, uciec jak najdalej i poukładać sobie wszystko w głowie. Policja się zjawiała, kiedy wyciągał z szafy wielką walizę, żeby w pośpiechu wrzucić do niej jak najwięcej rzeczy.

Wiedział, co robić. Gdziekolwiek mieszkał, miał przygotowaną drogę i opracowany plan ucieczki. Zostawił wszystko, jak leżało, podpalił łóżko i wspiął się po drabince przeciwpożarowej na dach. Stamtąd po grubej desce przedostał się na sąsiedni dach, wszedł

służbowymi drzwiami do budynku i zjechał windą do holu. Wiedział, że w bloku jest boczne wyjście.

Minęło pięć minut, od kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Zmuszał się do wolniejszego kroku, idąc w kierunku SUV-a, którego ukradł z myślą o planowanej podróży.

Musiał oddać glinom sprawiedliwość. Jakoś go dostrzegli, ale w tym momencie zjechały się wozy straży pożarnej i strażacy zaczęli rozkładać sprzęt. Dużo się działo, zrobiło się wielkie zamieszanie. Gdy odpalił SUV-a, ruszył za nim radiowóz i gonił go przez kilka przecznic, ale Coulter ostrzelał policjantów, wiedząc, że nie odpowiedzą ogniem na zatłoczonej ulicy. Może trafił kierowcę, może uszkodził auto, w każdym razie radiowóz zjechał do krawężnika, a Coulter skręcił na rogu, przejechał jeszcze kilka przecznic, po czym porzucił SUV-a i zgubił się w masie ludzkiej przetaczającej się Manhattanem.

Na tym problemy się skończyły. Ukradł inny samochód – kolejnego dużego SUV-a, bo takie najbardziej lubił – i wyjechał z miasta. Wygrał ze swoim pechem.

O Coulterze zrobiło się głośno w gazetach i wiadomościach, i to nie tylko tych lokalnych, nowojorskich. Nawet by mu się to podobało, gdyby mówiono o nim prawdę, ale nieodmiennie wychodził na czarny charakter. Cóż, przynajmniej stał się sławny. I na razie był wolny. Może nawet zachowa tę wolność, jeśli tylko uda mu się przedostać do Meksyku. Była to granica, którą łatwo przekroczyć w obydwie strony, co nie? Rząd nie potrafił powstrzymać napływu Meksykanów do kraju, więc Coulter powinien przedrzeć się w przeciwnym kierunku. A w Meksyku obróci pecha na swoją korzyść.

Minęło trochę czasu. Coulter kupował gazety, oglądał telewizję, ale coraz rzadziej o nim wspomniano. Musiał przyznać, że czuł się dotknięty. W końcu był sławny, prawda? Co za różnica, w jaki sposób został celebrytą? Albo się nim jest, albo nie. A on nim był. Chociaż wolałby nie widzieć w pobliżu paparazzich. Nie chciał zostać martwym celebrytą. Ani odsiadującym dożywocie.

I w ten sposób znalazł się w motelu Clover, gdzie na pół przyglądał się uwięzionej przy oknie musze, a na pół słuchał małego, taniego telewizora stojącego przed łóżkiem.

Meksyk dawał mu największe szanse. Nawet znał trochę...

– ...Tom Coulter, który na przedmieściach New Jersey zamordował matkę z dwójką dzieci. Kolejna wiadomość...

Że co?

Chwycił pilota ze stolika przy łóżku i skakał po kanałach dopóty, dopóki nie znalazł innego programu informacyjnego. *To ja! To moje zdjęcie!*

Było to stare zdjęcie policyjne zrobione z zaskoczenia. Coulter miał na nim tak rozdziawione usta, że aż widać było zepsute zęby. Jego włosy wyglądały na przetłuszczone, w dodatku nad jednym uchem były potwornie rozczochrane. „Jakbyś się czesał trzepaczką do jajek”, mawiała jego matka. Wolałby, żeby wybrali inne zdjęcie.

Głos w telewizorze mówił:

– Nowojorska policja dziś potwierdziła, że poszukiwany za wielokrotne morderstwo Tom Coulter, który zbiegł podczas próby aresztowania, jest podejrzany o popełnienie torsowych morderstw, które wstrząsnęły miastem i przez długie tygodnie wprawiały w konsternację funkcjonariuszy odpowiedzialnych za ochronę porządku publicznego.

Jezusie Świąty! Skąd im to strzeliło do głowy? Czy to jakiś podstęp? Nie, to na pewno nie był podstęp. Znał metody policji i wiedział, że takich nie stosowała. Oczywiście Coulter słyszał o torsowych morderstwach. Mówiono o nich w ogólnokrajowych wiadomościach. A teraz znowu mówią w nich o mnie. To dopiero duża scena. Glinom mogło się coś pokręcić. Żadna niespodzianka. Ale już mnie ścigają za trzy morderstwa, więc co za różnica? Cholera, bardziej już nie mogą mnie szukać.

W wiadomościach zaczęli mówić o czymś innym, a potem pojawiła się reklama jakichś witamin, suplementu diety dla psów i kotów.

Coulter był tu bezpieczny, ale przez ten na nowo zyskany rozgłos nie mógł tak po prostu sobie wyjść. Chociaż zdjęciem specjalnie się nie przejmował, bo był na nim mało do siebie podobny.

Czasami fałszywe zarzuty mogły przynieść korzyści. Niedługo będzie się mówiło, że Coulter jest sławny. Albo osławiony. Wszystko jedno. Wiedział, że tak naprawdę nie ma różnicy. Jego pech mógł być w tym wypadku łutem szczęścia.

Uśmiechnął się, ponownie mocno osadzony w panteonie sław. Był za bardzo podekscytowany, żeby dalej leżeć w łóżku, snuć nieokiełznane myśli i gapić się na tę cholernie nefartowną muchę w oknie. Powinien pomyśleć o czymś innym, dać umysłowi odpocząć, bo wtedy odpocznie również ciało.

Po cholereę psom i kotom suplement diety z witaminami? Dzikie zwierzęta nie jedzą takich świństw, a świetnie sobie radzą.

Musisz uważać na wszystko i wszystkich. Całe cholerne życie to jeden wielki szwindel.

Celebryta wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

Quinn i Fedderman weszli do ceglanego budynku na West Side, w którym mieszkała Madeline. Zrobili to osobno, obawiając się, że może im się przyglądać ktoś inny niż tajniak dobrze ukryty w punkcie obserwacyjnym po drugiej stronie ulicy.

Tajniak zgłosił, że Madeline nie pokazywała się od czterech dni. Przez ten czas w oknach jej mieszkania po zmroku ani razu nie zapaliło się światło. I wciąż nic nie wskazywało na to, że ktoś jeszcze obserwuje budynek, z czego mogło wynikać tylko tyle, że ten ktoś jest bardzo dobry w swojej robocie. Nowa Madeline mogła pojechać do kogoś z wizytą, mogła też się wyprowadzić. Tak czy inaczej, Quinn zdecydował, że pora przyjrzeć się temu z bliska.

Najłatwiej byłoby odwiedzić dozorcę, pokazać mu odznakę i w ten sposób uzyskać dostęp do mieszkania, ale istniała możliwość, że dozorca się wygada. Quinn i Fedderman spotkali się na korytarzu przed drzwiami do mieszkania. Quinn, który pierwszy wszedł do bloku, próbował wcześniej zadzwonić na górę domofonem, ale nikt nie odpowiadał. Mimo to zapukali i odczekali chwilę, zanim weszli do lokalu.

Ponieważ w mieszkaniu nikogo nie było, drzwi na pewno nie zostały zamknięte od wewnątrz, a że niewielu mogło się równać z Feddermanem w sztuce używania wytrychu, nie minęły trzy minuty, jak otworzył zamek i znaleźli się w środku.

Lokal był wprawdzie umeblowany, ale oko gliny natychmiast potrafiło rozpoznać, że nikt w nim nie mieszka. Wszystkie drewniane powierzchnie pokrywała cieniutka warstewka kurzu. Klimatyzator nie działał, więc było gorąco. Jedyne dźwięki dobiegały z zewnątrz, nie pracował nawet agregat lodówki. Również zapach podpowiadał, że mieszkanie jest opustoszałe.

Większość mebli była tania, a te, które wyglądały na droższe, były w taki czy inny sposób uszkodzone. Pod jedną ścianą stał wielki regał z prasowanego drewna, biurko i szafka na telewizor. Wszystkie książki na regale miały twarde oprawy bez obwoluty i wyglądały, jakby nieczytane przechodziły latami z lokatora na lokatora.

Quinn zaczął od salonu, Fedderman od sypialni i powoli zmiierzali ku sobie. Sprawdzali puste szuflady, szafy i szafki, w których były tylko pułapki na karaluchy, zmięte szmaty albo puste pojemniki po środkach czyszczących bądź owadobójczych. Szukali skrytek, które mogły się znajdować pod przełącznikami światła, w spłucze nad kibelkiem, na najwyższych półkach szaf, w obiciach sofy i foteli, za

zasłonami, na tylnych ściankach szuflad garderoby (dla niektórych było to ulubione miejsce do przyklejenia taśmą koperty lub małej paczuski, co nie przeszkadzało szufladzie w zamknięciu się). Nic nie znaleźli.

W lodówce też zostało niewiele: kilka mrożonych obiadów, prawie pusty karton soku pomarańczowego i zeschnięty pomidor. W opróżnionym kuchennym koszu na śmieci znaleźli rachunek z zeszłego tygodnia z pobliskich delikatesów. Przykleił się do dna dzięki jakiejś substancji, która rozlała się dawno temu. Opiewał na dziewięć dolarów i sześćdziesiąt trzy centy, ale artykuły nie zostały wyszczególnione. Do niczego się nie przyda.

Kiedy skończyli w kuchni, ostatnim pomieszczeniu do przeszukania, Fedderman oparł się o zlew, skrzyżował ramiona i na głos wypowiedział to, o czym obaj wiedzieli:

- Podstawiona Madeline się wyprowadziła.
 - I nic po sobie nie zostawiła – dodał Quinn. – Mieszkanie wygląda jak wyczyszczone przez zawodowca.
 - Powinniśmy znaleźć odciski palców.
- Quinn pokręcił głową.
- Nic nam nie dadzą. Gdyby jej odciski były w kartotece, nie zostałaby klientką E-kstazy.
 - Powinniśmy przydzielać jej ogon za każdym razem, kiedy wychodziła – powiedział Fedderman.
- Quinn raz jeszcze pokręcił głową.
- Nie mamy tylu ludzi, Feds.
 - Stara śpiewka. Na jednego nieuczciwego obywatela powinien przypadać jeden policjant.
 - Uczciwy policjant – uzupełnił Quinn.
 - Renz nieźle się wkurzy.
 - Jak ja teraz – odparł Quinn.

Upierdliwość przy chodziła Pearl bez trudu, a teraz była częścią jej pracy.

Tony Lake wstał od narożnego stolika w restauracji Raissen's. Na jego twarzy tylko przez chwilę malowała się konsternacja, kiedy zobaczył, że Jill przyszła z Pearl. Potem przez całą salę posłał obu kobietom swój zwykły promienny uśmiech.

Ubrany w smoking *maître'd* zamienił kilka słów z Jill, po czym niepotrzebnie zamiótł ramieniem, wskazując kobietom drogę przez ekskluzywną, wyjątkową restaurację. Raissen's działała od niedawna. Zajmowała całe najwyższe piętro śródmiejskiego biurowca. Mieściło się w niej kilka oznaczonych kolorami sal. Ta była czerwona i otwierano ją tylko w porze lunchu. Wisiały w niej mieniące się czerwienią kryształowe żyrandole zdobione owalnymi rubinami. Czerwień dywanu była jeszcze głębsza i nawet białe obrusy na stolikach miały czerwone obwódki. Wokół okien z olśniewającym widokiem aż za wyspę Manhattan udrapowane były ciemnoczerwone kotary. W sali tej, podobnie jak w pozostałych, posiłki serwowano na zastawie wykonanej z autentycznego srebra i ciętego kryształu.

Tony, który ponoć dopiero wrócił do miasta, spodziewał się, że Jill przyjdzie sama. Zamierzał ją zabawić, a może nawet zabrać do siebie, podczas gdy jej mieszkanie posłużyłoby w tym czasie innym celom. Pora podmiany klientów zbliżała się szybko i wydawało się, że wszystko idzie dobrze. Aż do tej chwili.

– To Jewel, moja najdroższa przyjaciółka – powiedziała Jill z radosnym uśmiechem. – Kiedy dzwoniłeś, zupełnie zapomniałam, że byliśmy umówione na lunch. Chyba się nie gniewasz, że ją przyprowadziłam?

Najdroższa przyjaciółka. Tony'emu nie spodobały się te słowa.

Patrzył na niską kobietę o wąskiej talii, tuż przed czterdziestką albo tuż po niej, z kruczoczarnymi włosami i ciemnymi oczami. Uśmiechała się do niego, pokazując duże, idealnie równe zęby. Powstrzymywanie się przed spojrzeniem na jej wydatne piersi, których kształt podkreślała obcisła jasnobrązowa bluzeczka, wymagało spo-

rego wysiłku. Bluzka wykonana była z jakiejś dzianiny i chowała się w wytartych, opiętych markowych dżinsach. Oto kobieta, której nic nie brakuje, pomyślał i wyciągnął rękę. Zamknęła ją w lekkim, suchym uścisku, który sugerował niemałą siłę. Uprawia jakiś sport, uznał Tony, albo dużo ćwiczy.

– Nie chciałbym, żeby przeze mnie Jill wystawiła cię do wiatru – powiedział przyjaźnie i gestem zaprosił Jewel, żeby usiadła.

Zajęła miejsce z boku, zostawiając dla Jill krzesło naprzeciwko Tony'ego. Tony zaczekał, póki obie nie usiadły, po czym ponownie usadowił się na krześle i rozłożył na kolanach czerwoną serwetkę. Bezwłocznie pojawił się kelner w smokingu ozdobionym czerwonym pasem; zamówili u niego drinki. Tony pozostał przy szkockiej z wodą, a Jill i Jewel poprosiły o cierpkie jabłkowe martini. Tony o mało się nie skrzywił.

– No to opowiadajcie. Gdzie się poznałyście? – zapytał po odejściu kelnera.

– Uwierzylbyś, że w pralni w moim bloku?

– Uwierzę, skoro tak mówisz.

– W tej pralni człowieka przechodzą ciarki – powiedziała Jewel.

– Jest w głębokiej, ciemnej piwnicy. Dozorca mógłby tam wkręcić mocniejsze żarówki.

– Byłoby bezpieczniej – zgodził się Tony.

Jewel zadygotała, udając przerażenie, a Tony nie wytrzymał. Popatrzył na jej piersi.

– Byłyśmy tam tylko we dwie i miałyśmy od groma prania, więc cieszyliśmy się z towarzystwa. Jill – a może to byłam ja? – nawiązała rozmowę i okazało się, że wiele nas łączy.

– Czyli co? – chciał wiedzieć Tony. – Poza tym, co oczywiste.

– Oczywiste?

– Obie jesteście piękne.

Jill roześmiała się kilka sekund wcześniej niż Jewel. Zdaniem Tony'ego komplement nie sprawił Jewel przyjemności. Przy jej wyglądzie na pewno wielu mężczyzn wielokrotnie wciskało jej kit. Sprawiała wrażenie, że potrafi sobie z tym radzić.

– Pomijając urodę – powiedziała Jewel – obie pochodzimy ze Środkowego Zachodu i od niedawna mieszkamy w Nowym Jorku, więc nie mamy tu wielu znajomych. Jill obiecała, że weźmie mnie pod swoje skrzydła, może nawet załapię się do Files and More, zanim znajdę stałą pracę.

– W Nowym Jorku na początku jest ciężko – rzekł Tony. – Ale z czasem można to miasto polubić.

– Zwłaszcza jeśli pozna się kogoś takiego jak Tony – dodała Jill. Pearl, chcąc nie chcąc, podziwiała ją, szczególnie szczerłość w jej głosie. Miała jednak nadzieję, że Jill nie przesadzi z improwizacją. Ten cały Tony z pewnością nie wyglądał na idiotę.

Wrócił kelner z drinkami na okrągłej srebrnej tacy. Rozmowa ucichła, gdy stawiał je na stoliku, jakby słowa mogły zakłócić jakąś niepewną równowagę i sprawić, że płyn przeleje się nad krawędziami.

Tony zdawał sobie sprawę, że pojawienie się na scenie Jewel poważnie zakłóciło proces podmiiany. Trzeba będzie się z tą niespodzianką w jakiś sposób uporać. Najwyraźniej już zdążyła zostać bliską przyjaciółką i powiernicą Jill, więc z pewnością zorientuje się, że ktoś inny wszedł w jej rolę. Tony miał pewność, że w całym bloku jedynie Jewel łączyło z Jill coś więcej niż przelotny kontakt. Bez Jewel gra będzie trwała. Jewel była przeszkodą.

Oczywiście, coś mogło się jej przydarzyć. Ale czy wtedy policja nie przyjrzy się uważnie mieszkańcom budynku? Tak czy siak, jeśli glinom coś będzie śmierdziało, przesłuchają Jill. A ona może wspomnieć o Tonym. Niezły pasztet, nie ma co.

Tony uniósł szkocką z wodą i zaproponował toast.

– Za nas troje – powiedział.

Stuknęli się szklankami, uśmiechnęli do siebie i wypili. Tony myślał przy tym, że trzeba jakoś wykluczyć Jewel z gry.

Pearl gładko zrosła się z nową tożsamością. Ułatwił jej to fakt, że szczerze polubiła Jill Clark. Tony Lake też na razie nie sprawiał trudności. Oczywiście źle znosił to, że dziewczyny się zaprzyjaźniły, ale nie bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna, którego ukochana znalazła sobie nagle nową najlepszą kumpelę, czyli kogoś, z kim musiał rywalizować o wspólnie spędzany czas i kto stawał na przeszkodzie intymnym spotkaniom z obiektem jego uczuć. Lub jego celem.

Jill, która przeważnie reagowała emocjonalnie, też czasami źle znosiła obecność Pearl. Tony był dobry w tym, co robił, Pearl musiała to przyznać. Jill wiedziała, kim i czym był, ale zdarzało się, że czuła coś innego. Tony z pozoru był rozbrawiający i zabójczo czarujący.

W Pearl narastało przekonanie, że był nie tylko piekielnie inteligentny, ale także pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. Zastanawiała się, czy ze względów strategicznych mógłby za plecami Jill przystawiać się do Jewel. A ponieważ to ona była Jewel, widziała w tym potencjalny problem.

Skoro już spędzała z Jill tyle czasu, skłaniała ją do zwierzeń. Miała

nadzieję, że usłyszy jakąś informację, która pomoże w dochodzeniu. Pod nieobecność Tony'ego Jill przeważnie pędzi czy później schodziła na temat Madeline Scott. Najwyraźniej wciąż prześladowała ją jej śmierć, a może i poczucie winy związane z tym, że na początku jej nie uwierzyła. Gdyby uwierzyła, może potrafiłaby jakoś pomóc i zapobiec śmierci Madeline.

Akurat w to Pearl wątpiła, więc kiedy tylko Jill zaczynała się obwiniać, perswazją wyciągała ją z dołka. Madeline zginęła, ponieważ za dużo wiedziała. Nic nie mogło jej uratować. Ale jeśli działalność E-kstazy zostanie ukrócona, i to w sposób uniemożliwiający firmie odrodzenie się pod inną nazwą w innym miejscu, można będzie jeszcze uratować Jill i wiele innych kobiet.

Może to przez te wszystkie rozmowy Pearl wpadła na pomysł, żeby złożyć wizy tę w mieszkaniu Madeline. Jill ponoć widziała nową Madeline w windzie, ale jej stan psychiczny kazał podchodzić do tego z dystansem. Pearl знаła mechanizmy wyobraźni, które potrafiły sprawić, że człowiek widział to, co chciał zobaczyć. Odwieczny problem z zeznaniami naocznych świadków. Takich jak Jill.

Jill dopiero co została czasowo zatrudniona w przychodni stomatologicznej, gdzie wypełniała ubytek po urlopowanej recepcjonistce, więc co najmniej przez tydzień będzie codziennie wychodziła do pracy pod obstawą złożoną z tajniaków, których Renzowi udało się przydzielić do sprawy. Pearl nie będzie miała wiele do roboty poza kieszonowaniem się w swoim mieszkaniu jako Jewel. Otrzymała polecenie, żeby pod nieobecność lokatorki nie zbliżała się do jej mieszkania.

Quinn chciał, żeby ludzie z E-kstazy mogli bez problemu się tam dostać. Gdyby sobowtór natknął się u Jill na Pearl udającą Jewel i wymyślającą na poczekaniu jakiś mało wiarygodny powód swojej wizyty... Nie, to by nie przeszło

Bezczytność doprowadzała Pearl do szału. Nie lepiej wykorzystać jakoś wolny czas?

W śróde rano wyszła z domu z zamiarem złapania taksówki. Siąpił drobny letni kapuśniaczek. Trudno było nazwać go deszczem, ale wystarczył, żeby taksówki gdzieś się pochowały. Pearl szła przed siebie, choć wolałaby jechać, i wkrótce natknęła się na ulicznego handlarza sprzedającego parasolki po pięć dolarów sztuka. Zapłaciła i po przejściu następnych dwóch przecznic, gdzie wreszcie udało jej się zatrzymać taksówkę, była w miarę sucha. Pomyślała, że sprzyja jej szczęście. W ciągu dziesięciu minut zaliczyła podwójną wygraną – zdobyła to, co w czasie deszczu na Manhattanie najcenniejsze: para-

solkę i taksówkę.

Może szczęście jej nie opuści. Wprawdzie Madeline się wyprowadziła, ale ponowne zbadanie opuszczonego mieszkania i powtórne przesłuchanie sąsiadów może coś dać.

Poleciała taksówkarzowi, żeby zawiózł ją na skrzyżowanie znajdujące się o przecznicy od bloku Madeline.

– Myślisz, że ta Jewel jest gliną? – zapytał Palmer Stone. Spoglądał przez biurowe okno na lekki deszcz.

– Teoretycznie jest to możliwe, ale nie sądzę – odpowiedział Victor. Siedział naprzeciwko biurka rozparty w fotelu, a wyciągnięte przed siebie nogi skrzyżował w kostkach. – Moim zdaniem jest po prostu wścibską cipą, która pojawiła się w nieodpowiedniej chwili. Potrzebowała przyjaciółki, trafiła na Jill Clark i przyssała się do niej jak pijawka.

– Głęboko emocjonalna relacja, jak słyszę. Nic nie wskazuje na to, że mija? Że Jill ma już trochę dosyć tej Jewel?

– Czasami. Zwłaszcza kiedy chcemy się pieprzyć. Jewel ma doskonałe wycucie czasu, jeśli idzie o przeszkadzanie nam, gdy pragniemy być tylko we dwoje.

– Hmm... Może po prostu jest lesbijką?

– To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie – przyznał Victor. Uważał, że zna kobiety, co zresztą napawało go dumą, poza tym sporo rozmyślał o tej sytuacji. – Ale Jill na pewno jej o to nie podejrzewa. Kurde, może nawet Jewel nie zdaje sobie z tego sprawy. Wiesz, o co biega, Palmerze: ukryty pociąg seksualny, do którego żadna nie chce się przyznać. Pewnie nawet nie wylądają razem w łóżku. Uświadomienie sobie, że tego chcą, byłoby niezłym wstrząsem.

– To może powiedz o tym Jill. Zasugeruj, że Jewel ma co do niej dwuznaczne zamiary.

– Kiepski pomysł, Palmerze. A jeśli Jill mi nie uwierzy i obie zwróci się przeciwko mnie?

Stone westchnął, wbił obcas w dywan i odwrócił się z fotelem od szarówki za oknem.

– Cóż, to ty jesteś naszym firmowym ekspertem od takich spraw.

Victor, jak często mu się ostatnio zdarzało, przyłapał się na fantazjowaniu, co zrobiłby z Jewel, gdyby została mu dana tak jak Charlotte. Widział, jak Jewel walczy z taśmą klejącą, która uniemożliwia jej wydanie dźwięku, jak próbuje krzyknąć, jak jej ciemne oczy rozszerzają się na widok kija od szczotki, jak...

– Niewykluczone, że będziemy musieli spisać Jewel na straty – powiedział Stone, jak gdyby czytał w myślach Victora. – Jeśli jest bi, możemy poznać ją z Glorią.

– Tylko nie to – zaprotestował Victor. – Interesy mogłyby na tym ucierpieć. Jeśli coś się stanie Jewel, policja może dotrzeć do Jill, a później nawet do nowej Jill.

Stone ponownie obrócił się ku szarości na zewnątrz. Zwykle bezgłośny mechanizm obrotowy fotela cicho zaskrzypiał; być może zaszkodziła mu wilgoć.

– Rozumiem wagę problemu, ale zostało nam bardzo mało czasu.

– Nie martw się – powiedział Victor. – Wymyślę coś.

Palmer Stone uśmiechnął się do okna, w którym widział rozmyte odbicie swojego współnika.

– Jak zawsze, Victorze. Masz wyobraźnię.

Renz przechadzał się po swoim gabinecie z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami. Quinn nie był przekonany, czy powinno go cieszyć zadowolenie komisarza. Przeważnie zapowiadało kłopoty. Z pewnością to nie monotonna mżawka i ołowiane niebo wprawiły Renza w dobry humor. Rozproszone światło z mokrego okna połączone z bladą poświatą stojącej na biurku lampki nadawało obwisłej twarzy komisarza szary odcień. Długie cienie rzucone przez spływające po szybie krople deszczu sprawiały, że co chwilę wyglądał na zapłakanego, a jego uśmiech zamieniał się w grymas. Quinn, który rozsiadł się swobodnie w jednym ze stojących przed biurkiem tapicerowanych foteli, przyglądał mu się i czekał.

– Media łyknęły kit w całości – mówił Renz. – W każdym dzienniku, w każdej gazecie trafisz na tego gnoja Coultera. Pokazują go w CNN, na Fox News, normalnie wszędzie.

– Pewnie go teraz nosi – powiedział Quinn.

– Zyskaliśmy na czasie, tak jak przewidziałeś. – Renz nagle spoważniał, przestał chodzić w tę i we w tę i zwrócił się twarzą do Quinna. – I musimy ten czas wykorzystać. Jakie mamy opcje?

Więc tego szarego ranka pan komisarz jest w urzędowym nastroju. Quinn wiedział, jak do tego podejść.

– Kilka. Według mnie najlepiej osiągniemy, pozwalając Pearl odgrywać Jewel, nową przyjaciółkę Jill Clark. Może dzięki temu zmusimy E-kstazę do wykonania ruchu.

– Cholernie niebezpieczna gra. Cholernie – zatroskał się Renz.

Quinna zaciekawiło, czy komisarz pamiętał, że osobiście zatwierdził plan gry.

– Cała sprawa jest niebezpieczna.

Renz skrzyżował ramiona na piersi i kiwnął głową, jakby zgadzał się z Quinnem, a potem powiedział:

– Mogą zamordować Pearl albo Jill, a to się na nas zemści.

– Mogą zamordować obie – poprawił go Quinn.

– Jezu! W takim wypadku media obwinia nas o ich śmierć. Zetrą nas z powierzchni ziemi i lepiej, żebyś w to nie wątpił.

Quinn nie wątpił.

– Działa to tak – przypomniał Renzowi – że zabicie obydwu byłoby dla E-kstazy zbyt niebezpieczne. Tak samo zabicie Jill, kiedy kręci się przy niej Pearl, udająca Jewel. Zabicie Jewel pierwszej też będzie bez sensu, ponieważ może ściągnąć podejrzenia po późniejszym zamordowaniu Jill.

– Skomplikowane to trochę – poskarżył się Renz.

Quinn nie mógł zaprzeczyć.

– To tak jak z eskadrą bombowców, która leci w szyku, żeby myśliwce wroga nie mogły zestrzelić nawet jednego bez ściągnięcia na siebie ognia pozostałych.

Renz stał nieruchomo i przemyślał. Quinn wiedział, że komisarz godzinami ogląda na History Channel filmy dokumentalne o drugiej wojnie światowej.

– Brzmi sensownie, kiedy tak to przedstawiasz, ale wciąż mam wrażenie, że powinniśmy wykonać ruch, dopóki możemy kogoś przyskrzynić.

– Ciągłe brakuje nam solidnych dowodów – zwrócił mu uwagę Quinn. – Nie zidentyfikowaliśmy żadnej ofiary, nie mamy jednoznacznych powiązań E-kstazy z zabitymi klientami, to ostatnie przede wszystkim dlatego, że nie znamy skradzionych tożsamości. W archiwum E-kstazy na pewno nie zostało nic, co może połączyć firmę z zabitymi kobietami.

Jedyne nazwisko, jakim dysponujemy, to Madeline Scott, ale ona zniknęła.

– Mówiąc „ona”, masz na myśli nową Madeline?

Quinn skinął głową, marząc, żeby Renz przestał się wczuwać w rolę gliny na wysokim szczeblu.

– Na pewno mają w komputerach dane o wszystkich klientach – powiedział Renz. – Ich działalność opiera się na nowoczesnych technologiach.

– Jeśli jeszcze nie usunęli obciążających informacji, zrobią to, kiedy tylko zwęszą kłopoty. Sam powiedziałeś, że korzystają z nowoczesnych technologii. Potrafią pozbyć się dowodów.

– A jeśli zrobimy błyskawiczny nalot i wszystko skonfiskujemy?

– Po pierwsze, wątpię, żebyśmy uzyskali nakaz. Po drugie, mogli zaprogramować w komputerach automatyczne kasowanie danych. Tego typu zabezpieczenia można wbudować na wiele sposobów: pliki są usuwane po wprowadzeniu błędnego hasła lub jeśli nie powiedzie się weryfikacja odcisku palca albo jeśli zmieni się lokalizacja komputera. Program może też wymagać wprowadzenia co ileś tam

godzin odpowiedniego kodu. Albo Stone może wysłać sygnał w sposób, który nawet nie przyjdzie nam do głowy.

– Gdyby jednak nalot się udał, kto wie, co moglibyśmy znaleźć – rozmarzył się Renz, nieporuszony żadną z możliwych katastrof informatycznych.

– Bardziej mnie martwi, że nic byśmy nie znaleźli. W takim wypadku będą wiedzieć, że ich rozszyfrowaliśmy, a wtedy zniknie każdy potencjalny dowód i każdy, kto ma powiązania z Ekstazą. Zostanie nam nieprawdopodobna opowieść Jill Clark, usłyszana od kobiety, która już nie żyje, niezidentyfikowane tułowia i podejrzani, których ze świecą szukać. Zero razy trzy. – Po chwili Quinn dodał: – Tylko dzięki Jill możemy uzyskać jakieś konkrety. Jeszcze nic nie podejrzewają. Wymyślą jakiś plan, popełnią jakiś błąd. Będziemy mogli to wykorzystać, skoro mamy atuty w osobach Jill i Pearl.

– Zapomniałeś o nowej Madeline. Może być kluczem do sprawy.

– Najpierw trzeba ją znaleźć – zauważył Quinn.

Deszcz już nie padał, gdy Pearl wysiadała z taksówki niecałą przecnicę od opuszczonego mieszkania Madeline Scott. Odprowadziła taksówkę wzrokiem, a ta odjechała kawałek Zachodnią Siedemdziesiątą Drugą Ulicą, zatrzymała się nieopodal najbliższego skrzyżowania i zabrała mężczyznę wymachującego na pół złożonym parasolem niczym chorągiewką sygnałową. Pearl stała jeszcze przez chwilę, zapamiętując swoje położenie w przestrzeni i utrwalając w pamięci plan działania.

Postanowiła, że zgłosi się do dozorczy i poprosi go o wpuszczenie do pustego mieszkania. Obejrzy je, a potem porozmawia z wybranymi sąsiadami. Ponieważ nowa Madeline już tu nie mieszkała, Pearl zamierzała przedstawiać się jako policjantka, co mogło rozwiązać niektóre języki. Quinn i Fedderman już zbadali to miejsce, technicy kryminalistyczni też, ale Pearl wiedziała, że jeszcze jeden rzut okiem nie zaszkodzi. Nawet jeśli osiągnie tylko tyle, że cała ta historia stanie się bardziej rzeczywista. Bo, prawdę mówiąc, czasami, kiedy widziała Jill razem z Tonym, którego oddanie i zauroczenie wydawało się bezgraniczne, trudno jej było uwierzyć w czającą się pod tym wszystkim grozę. *Ale czy nie tak działają oszuści, dla których podstawą jest zdobycie zaufania ofiary? Napatrzyłam się na takie rzeczy. To dzieje się naprawdę, a za wątpliwości Jill Clark może zapłacić życiem. Ja mogę zapłacić życiem.*

Odetchnęła gorącym, wilgotnym powietrzem, które po deszczu pachniało świeżością.

Trzymając w prawej ręce złożoną parasolkę, ruszyła Siedemdziesiątą Drugą w stronę bloku mieszkalnego. Po drodze wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i zadzwoniła do Jill, która była w pracy. Pearl miała ugodzić za Jewel, więc dostała inną komórkę, zarejestrowaną na Jewel Karsdan. Kłamstwo w kłamstwie. Samo życie.

Zobaczywszy na wyświetlaczu numer Pearl, Jill odebrała bezzwłocznie.

- Jewel? Wszystko w porządku?
- To ja chciałam o to zapytać – odpowiedziała Pearl.
- Tak, u mnie wszystko po staremu. Tylko praca jest cholernie nudna.
- Nie jest źle się ponudzić – odparła Pearl.
- Skoro tak twierdzisz.
- Daj znać, jeśli wyjdiesz wcześniej.
- Dobrze, chociaż to mało prawdopodobne.
- Pamiętaj, pilnują cię aniołowie stróże, nawet jeśli ich nie widzisz.
- Jestem za to wdzięczna, naprawdę. – Krótka jak mgnienie oka pauza. – Trudno mi w to wszystko uwierzyć. Czuję się jak postać z jakiegoś kryminału.

– Mnie to mówisz? – powiedziała Pearl i się rozłączyła.

Była już prawie przy budynku, kiedy zobaczyła wychodzącą z niego blondynkę w lekkim białym płaszczu przeciwdeszczowym, która szybkim i wdzięcznym krokiem zeszła płytkim i schodami na chodnik. Przyciskała do boku dużą czarną torebkę ze skóry. Kobieta miała w sobie coś znajomego, choć wrażenie było ulotne.

Skreśliła i ruszyła w kierunku Pearl. Gdy się zbliżyła, Pearl przeszły ciarki. Widziała rysunki i zdjęcia Madeline Scott wykonane w kostnicy. Kiedy dzieliło je od siebie sześć metrów, Pearl nabrała pewności.

To *była* Madeline Scott.

Pearl przybrała pokerową minę i miała tylko nadzieję, że łomoczące serce nie wyrwie jej się z piersi. Wymieniła z kobietą najbardziej przelotne ze spojrzeń, a później nasłuchiwała stukania obcasów nowej Madeline, oddalającego się mokrym chodnikiem. Nie zmieniła tempa. Stukot ucichł.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy... Pearl odwróciła się jakby nigdy nic i ruszyła w ślad za kobietą.

Victor po dżentelmeńsku użyczył jej parasola. Oczywiście sam go niósł. Chronili się pod nim, dopóki padająca od rana chłodna mżawka

nie zmieniła się w delikatną mgiełkę, a wreszcie zupełnie nie ustała.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział, składając parasol i uśmiechając się do kobiety.

Ale nie szli w to samo miejsce.

Wydawało się, że przystanęli w tym samym momencie, w którym przestało padać. Znajdowali się w Village przed restauracją, która miała miejsca dla gości także na zewnątrz, pod płócienną markizą. Metalowe stoliki i krzesła były suche i w większości wolne.

Kobieta, która nazywała się Ruth Malpass i była projektantką kostiumów teatralnych, odgarnęła do tyłu krótkie sprężyste brązowe włosy, obecnie przyklepnięte od deszczu i unoszącej się w powietrzu wilgoci, i uważnie przyjrzała się właścicielowi parasola. Wyglądał na trzydziestkę z okładem, miał przystojną twarz o regularnych rysach i oczy o niemożliwym do określenia kolorze, które zdawały się odbijać barwy otoczenia. Był elegancko ubrany – nosił brązowe spodnie z zaszewkami i beżową, wkładaną przez głowę koszulę z kołnierzykiem. Był szatynem, a średniej długości włosy starannie uczesał. Zauważyła, że jego zegarek to modny i drogi movado, a na nogach miał mokasyny sprawiające wrażenie kosztownych.

„Przede wszystkim patrz na ich zegarki i buty”, powtarzała jej zawsze matka. Uważała to za najlepszy sposób, żeby rozpoznać styl i zamożność mężczyzny.

Ruth wzięła sobie tę radę do serca i nie zawiodła się na niej przez rok, który spędziła w Nowym Jorku. Była niską, szczupłą kobietą o dużych piwnych oczach i długiej szyi; wyglądała jak wysokiej klasy modelka w pomniejszonej skali. Przyciągała uwagę wielu mężczyzn, ale wolała takich, którzy przynajmniej byli w stanie za siebie zapłacić. Jeśli mieli drogie buty i zegarki, można było założyć, że na stan konta też nie narzekali. Wprawdzie Ruth nie leciała wyłącznie na kasę, ale czemu przy takim wyborze konkurentów nie miałyby traktować pieniędzy jako jednego z kryteriów?

– Państwo razem? – zapytał kelner z ręcznikiem na ramieniu, długopisem i bloczkiem do notowania.

– Jak najbardziej – odpowiedział przystojniak. Jego uśmiech naprawdę był czarujący.

– Czemu nie? – zgodziła się Ruth, starając się uśmiechnąć równie atrakcyjnie.

Kelner zaprowadził ich do stolika w pobliżu czarnej żelaznej barieryki ogradzającej restauracyjny ogródek i przyjął zamówienia na drinki. Przystojniak poprosił o jacka danielsa z lodem. Zdaniem Ruth było zbyt wcześnie na alkohol, ale ponownie stwierdziła czemu nie i

zamówiła whiskey sour.

– Nazywam się Vlad Novak – powiedział Victor i wyciągnął rękę.

Ruth zwróciła uwagę na złoty sygnet (obrączki nie było) i wymanikiurowane paznokcie. Uścisnęła wyciągniętą dłoń i się uśmiechnęła.

– Ruth – powiedziała.

– Ma pani też nazwisko?

– To się dopiero zobaczy.

Znów czarujący uśmiech. Musiała przyznać, że na nią działał. Światło padało jakoś tak, że w oczach mężczyzny widziała swoje podwójne odbicie.

– Vlad to niecodzienne imię – zauważyła.

– Zdrobnienie od Vladimir. To stare imię rodowe, mój dziadek przybył tu z Jugosławii.

– Nie ma przypadkiem bejsbolisty o imieniu Vladimir?

– Jest, i to dobry – odparł Vlad. – Vladimir Guerrero.

Pojawił się kelner z ich drinkami i dwoma o wiele za dużymi jadłospisami w czarnej skórzanej oprawie.

– Może zjemy lunch? – zaproponował Vlad. – Pora jest odpowiednia.

– Zobaczymy – powtórzyła Ruth.

Starła się utrafić we właściwy ton i nie wyjść przypadkiem na niedostępną. Nie chciała go odstraszyć. *Sprawdzaj go, sprawdzaj.* Miała szczerzy zamiar zjeść lunch z tym ciachem, które spadło jej z nieba.

Kelner popatrzył na Vlada, a ten powiedział:

– Proszę zostawić jadłospisy.

Ruth zrobiło się odrobinę cieplej na sercu.

– Nie muszą się państwo spieszyć z wyborem – powiedział kelner.

Położył jadłospisy na stoliku i się wycofał. Ruth naszło nieodparte wrażenie, że trzymał kciuki za Vlada.

Vlad uniósł szklankę, a Ruth poszła w jego ślady. Wypili. Uśmiechnęli się do siebie. Ruth czuła, jak narasta w niej pożądanie. Miała tylko nadzieję, że nie daje tego po sobie poznać. Z trudem dobierała słowa.

– Ciekawe, jak pewne rzeczy po prostu się zdarzają. Z uprzejmości zaoferowałeś mi parasol i wylądowaliśmy tutaj.

– „Czasami każdemu w życiu... – zaczął Vlad.

– ...na głowę pada deszcz”³ – dokończyła.

Wład uśmiechnął się jeszcze promienniej.

– A potem – powiedział – wychodzi słońce.

³ Nawiązanie do piosenki *Into Each Life Some Rain Must Fall* zespołu The Ink Spots. Jej tytuł zaczerpnięty został z ostatniej strofy wiersza Henry'ego Longfellowa *Rainy Day*.

Pearl śledziła nową Madeline, podążającą w kierunku Columbus Avenue. Deszczowe chmury się rozeszły i zaświeciło słońce. Dzień nagrzewał się do letniej normy, a Nowy Jork stawał się betonowym piecem.

Trzymając się daleko za kobietą w białym płaszczu przeciwdeszczowym, Pearl wyjęła telefon. Prawie na niego nie spojrziała, wybrała numer Quinna na wycucie. Odebrał po trzecim sygnale.

– Co tam, Pearl?

– Jestem na Zachodniej Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy, śledzę nową Madeline. Idziemy na zachód, w stronę Columbus.

– Powtórz.

– Usłyszałeś za pierwszym razem.

– Jak to możliwe? – spytał Quinn.

– To długa historia. W skrócie: szłam rozejrzeć się po jej mieszkaniu i pogadać z sąsiadami. Zobaczyłam, że wychodzi z budynku, i poszłam za nią.

– Widziała cię?

– Tak, minęłyśmy się na chodniku. Ale nie wie, że zawróciłam i zaczęłam ją śledzić.

– Skoro raz cię widziała, może cię rozpoznać – powiedział Quinn. – Nie możemy sobie na to pozwolić. Poślę Fedsa, żeby cię zmienił.

– Ma na sobie długi biały płaszcz przeciwdeszczowy z jakiegoś lekkiego materiału. Do tego białe sportowe buty, w miarę nowe.

– Zaczekaj chwilę.

Pearl szła dalej. W ręce wciąż trzymała telefon komórkowy i nie odrywała spojrzenia od sylwetki w bieli idącej pół przecznicy przed nią. Nowa Madeline zwolniła do spokojnego spacerku. Pearl, która zwykle chodziła szybko, musiała dostosować się do zmiany tempa. Ale całkowicie skoncentrowana na Madeline i tak potraçała przechodniów idących w przeciwnym kierunku, jeśli w porę nie zeszli jej z drogi. Zderzyła się z kobietą, która rzuciła: „Przepraszam, nie-

zgrabo”, lecz Pearl nie raczyła jej odpowiedzieć. Nie pora na utarczki z cwaniarami.

Biały płaszcz przeciwdeszczowy zwolnił jeszcze bardziej i odłączył się od strumienia pieszych. Nowa Madeline weszła do budynku z zieloną markizą o białym wykończeniu, osłaniającą stragany sprzedające bodajże bukiety ciętych kwiatów. Pearl przekroczyła ulicę, żeby lepiej widzieć, przeszła jeszcze ze trzydzieści metrów i zatrzymała się nieopodal wejścia do sklepu z elektroniką. Zobaczyła, że na roztawionych wzdłuż ulicy straganach oprócz kwiatów leżą także owoce i warzywa. Nowa Madeline weszła do delikatesów. Znajdowały się w budynku przylegającym do skrzyżowania i raczej nie miały tylnego wyjścia, którym można by się niepostrzeżenie wymknąć.

Pearl poczuła, jak bardzo się poci na skutek rosnącej temperatury i napięcia związanego ze śledzeniem Madeline. *To się nazywa robota. Zupełnie coś innego niż ochrona banku, na który po raz ostatni napadnięto wieki temu.* Przyłożyła do ucha telefon komórkowy.

– Weszła do delikatesów za Zachodniej Osiemdziesiątej Trzeciej, przy Columbus – powiedziała.

– Pilnij jej – odezwał się w słuchawce głos Quinna. – Feds już jedzie. Może ją tam przejmie, jeśli zakupy zajmą Madeline trochę czasu.

Pearl cofnęła się kilka metrów i oparła się o okno wystawowe, za którym leżały przecenione odtwarzacze DVD. Lżej jej się oddychało.

– Pearl? – Znowu głos Quinna w telefonie.

– No?

– Nie rozłączaj się.

– Oki.

Kilka minut później kobieta w bieli wyszła ze sklepu. Pogmerała przy trzymanym oburącz przedmiocie, wyrzuciła coś małego do kosza na śmieci, a to, co miała w rękach, podniosła do ust.

Najwyraźniej był to pojemnik z jakimś napojem. Upiła dwa łyki i ruszyła w dalszą drogę.

– Przemieszcza się – powiedziała Pearl. – Wciąż na zachód, w stronę Columbus. Wygląda na to, że kupiła sobie jakiś napój. Pije go po drodze. W ogóle jej się nie spieszy.

Kobieta znowu się napiła, a Pearl uświadomiła sobie, że też jest spragniona.

– Pilnij jej, ale ostrożnie.

– A co ja innego robię? – zdziwiła się Pearl.

– Na pewno była w swoim dawnym mieszkaniu – powiedział Qu-

inn. – Może czegoś zapomniała.

– Nieważne – uznała Pearl. – Miejmy nadzieję, że doprowadzi nas do swojego obecnego mieszkania.

– Prędzej czy później doprowadzi – odrzekł Quinn.

Nowa Madeline znowu zwolniła i zaczęła oglądać wystawy, co chwila popijając z pojemnika.

Pearl przełknęła na sucho i pozwoliła jej się oddalić. Nie chciała się, żeby jej odbicie dało się wypatrzeć w oknie wystawowym.

– O-o! – powiedziała.

– Co jest? – Głos Quinna.

– Weszła do jubilera. Zdaje się, że nie ma tam drugiego wyjścia, ale może powinienam podejść bliżej.

– Jeśli...

– Nie, czekaj. Wyszła i idzie dalej. Chyba zajrzała tam tylko po to, żeby zapytać o cenę czegoś, co wpadło jej w oko.

– Bylebyś ty nie wpadła jej w oko – powiedział Quinn.

Pearl nie oderwała telefonu od ucha, ale przez następnych kilka minut się nie odzywała.

Quinn też nie. Potem Quinn powiedział:

– Feds dzwonił na stacjonarny. Idzie za nią. Spadaj stamtąd i wracaj do roli Jewel.

– Oki.

Pearl się rozłączyła i schowała komórkę do kieszeni. Nigdzie nie widziała Feddermana, ale też nie spodziewała się, że go zobaczy. Odwróciła się i ruszyła w stronę, z której przyszła. Wiedziała, że jeśli nowa Madeline będzie spacerować przez dłuższy czas, miejsce Feddermana zajmie glina w cywilnym ubraniu. Albo będą ją śledzić we dwóch. Nieważne, gdzie i kiedy zakończy się jej spacer. Ktoś będzie ją obserwował.

Pearl postanowiła, że odszuka najbliższą stację metra, wróci do swojego mieszkania w bloku Jill i stanie się Jewel, tak jak polecił jej Quinn.

Z takim skupieniem śledziła nową Madeline, że nie spostrzegła, iż sama jest śledzona.

Ruth Malpass żałowała, że do zamówionych kanapek wypila drugą whiskey sour. Na Vlada alkohol zdawał się nie mieć wpływu, ale Ruth czuła, że lada chwila zacznie bełkotać. Nie wątpiła, że myśli jasno i prowadzi sensowną, choć nieco chaotyczną rozmowę, ale jeśli ma wstać z krzesła i iść, nie zataczając się, potrzeba jej jakichś piętnastu minut i mocnej czarnej kawy.

Na dalsze opady już się dziś nie zanosilo. Słońce rozświetliło ulice, ale Ruth i Vlad siedzieli w cieniu pod zieloną markizą przy jednym z metalowych stolików. Jakies trzy metry od nich przy ceglanej ścianie pobrzękiwały dzwoneczki wietrzne, którymi od czasu do czasu poruszała łagodny letni powiew. Ich dźwięki brzmiały niemal jak leniwe brzdąkanie na harfie.

– Mówiłaś, że kiedy się spotkaliśmy, wracałaś do domu – powiedział Vlad. – Mieszkasz w pobliżu?

– Nie, szłam do metra. Przyjechałam tu, bo chciałam zrobić zakupy u ulicznych handlarzy na Canal Street.

Victor dobrze wiedział, które miejsce miała na myśli: kilka przecznic zastawionych straganami przez Chińczyków sprzedających ubrania, biżuterię i inne artykuły, będące podróbkami znanych marek, wrzący kocioł targowania się, gdzie turyści mogli za dychę nabyć coś z pozoru wartego sto dolarów, a w rzeczywistości pięć.

– Chciałam kupić podróbkę markowej torebki dla kuzynki z Michigan – powiedziała Ruth. – Nie dotarłam na targ, bo zaczęło padać.

– Czy prawo nie zakazuje handlowania czymś takim?

– Chyba tak, teoretycznie. A co, jesteś z policji?

– Nie, ale staram się przestrzegać prawa. – Vlad błysnął szelmowskim uśmiechem. – Choć pewnie nie bardziej niż ty. Nadal chcesz pójść na Canal Street?

Uśmiechnęła się.

– Nie. Straciłam ochotę. – Zmagala się ze spółgłoskami, ale mówiła całkiem wyraźnie.

Trudno było zgadnąć, że prawie się upiła.

– Szkoda przejechać taki kawał na marne.

– Nie taki znowu kawał – odrzekła Ruth. – Poza tym lubię jeździć metrem. I nie powiedziałabym, że na marne, bo nie jesteś marny. Gdybym przypadkiem kupiła parasolkę, zanim się pokazałaś, nigdy byśmy się nie poznali.

– Przeznaczenie w deszczu.

– Brzmi jak tytuł romansu.

– Może słusznie.

Serce Ruth załomotało.

– Napijemy się kawy, skoro połączył nas deszcz? – *Teraz ja mówię jak bohaterka romansu.*

Vlad pokazał zęby w uśmiechu.

– Dziękuję za zaproszenie, Ruth. Nie musimy jechać do ciebie metrem, mam samochód.

Ruth usiłowała zebrać myśli. Trudno było nadążyć za tym facetem.

– Niezupełnie to miałam...

– Ach, odwołujesz zaproszenie? – Uśmiechał się szczerze.

Wyciągnął rękę nad stołem i dotknął jej dłoni.

Pokręciła głową.

– Vlad...

– Żartuję, żartuję. Nie pozwoliłbym sobie na taką bezczelność. Ale kawę możemy wypić, a potem odwiozę cię do domu, żebyś nie musiała jechać metrem.

– Nie widziałam, żebyś miał samochód.

– Stoi przy ulicy, na której się spotkaliśmy. Miałem sprawę do załatwienia, ale to może poczekać. O wiele bardziej wolę cię odwiedzić.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przywołał kelnera i zamówił dwie kawy.

– No to ustalone – powiedział, gdy kelner się oddalił.

Ruth nie oponowała. Toczyła wewnętrzne zmagania, czy powinna zaprosić go do domu, kiedy już tam dojadą. Miała straszny bałagan: brudne naczynia w zlewozmywaku, nieposłane łóżko... Lepiej zaczekać na lepszą okazję, doprowadzić mieszkanie do ładu i wywrzeć dobre wrażenie. Ale podwózka samochodem zamiast katorgi w metrze byłaby naprawdę miła. Nie lubiła metra, skłamała na wszelki wypadek. Zastanawiała się, czy on też w czymś ją okłamał. Uczciwość w związku była dla niej ważna, a tutaj kroił się związek. Przynajmniej miała taką nadzieję.

– Malpass – powiedziała.

– Słucham?

– To moje nazwisko. Ruth Malpass.

Uniósł filiżankę z kawą jak do toastu.

– Niezmiernie mi miło, Ruth Malpass.

Kiedy dopili kawę, Ruth nie miała wątpliwości, że da radę iść prosto. Prawdę mówiąc, w ogóle wyzbyła się wątpliwości. Mimo to musiał wyczuć, że odrobinę się chwiała, bo ujął ją pod ramię, gdy opuszczali restaurację. Nie opierała się. Podczas dziesięciminutowego spaceru do samochodu roześmiała się z czegoś, co powiedział, i uściśnęła jego ramię, dając mu do zrozumienia, że na obecnym etapie ich znajomości dotknięcie jest czymś naturalnym. *Krok po kroku*. Coś w sobie miał. Był doświadczony. Bez wątplenia wiedział, jak przebiega i dokąd prowadzi rytuał.

Nie wspominał, że jego samochód to w miarę nowy model Chryslera z przyciemnianymi szybami. Na nawoskowanym dachu i długiej masce jak najczystsze kryształły lśniły w słońcu paciorki kropel desz-

czu.

- Niezła bryka – powiedziała.
- Firmowa.

Postanowiła, że nie będzie pytać, jaka to firma, jak zarabiał na życie. Prędej czy później i tak się dowie.

Odblokował drzwi pilotem, otworzył te od strony pasażera i przytrzymał je dla Ruth. Gdy już była w środku, zamknął je i spiesźnie obszedł samochód, by usiąść w fotelu kierowcy. Zajął już swoje miejsce i właśnie zapinał pasy, kiedy Ruth usłyszała za sobą cichy dźwięk. Obejrzała się przez ramię i aż stęknęła.

Okna były przyciemniane, a Ruth całą uwagę skupiła się na obchodzącym samochód Vladzie i dlatego nie zauważyła czarnowłosej kobiety, siedzącej na szerokiej tylnej kanapie. Miała prostą fryzurę i przenikliwe ciemne oczy. Uśmiechała się szeroko.

Vlad roześmiał się i poklepał Ruth po kolanie.

– Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem – powiedział. – Powinienem cię uprzedzić. To Ivana, moja siostra. Najpierw podrzucimy ją w jedno miejsce, a potem pojedziemy do ciebie.

Śledzenie jej było łatwizną. Fedderman trzymał się jakiejś pół przecznicy za nową Madeline, a czasami przechodził na drugą stronę ulicy na wypadek, gdyby obejrzała się za siebie. Ale ani razu tego nie zrobiła. Jakby przez myśl jej nie przeszło, że może być obserwowana. Chyba że doskonale odgrywała niewiniątko. Fedderman znał takie przypadki. Ale sądził, że po prostu nic nie podejrzewała.

Minęło dwadzieścia minut, od kiedy Pearl porzuciła śledzenie Madeline po rozmowie z Quinnem. Feddermanowi się zdawało, że nawet Pearl go nie zauważyła. To dobrze. Obawiał się, że na Florydzie wyszedł z wprawy, że już nie potrafi stać się niewidzialnym, ale technik śledzenia się nie zapominało. Były jak jazda na rowerze, a nie jak próba trafienia w piłkę golfową.

Feddermanowi robiło się nieprzyjemnie gorąco w parnym upale, który nastąpił po deszczu. Czuł wilgoć pod pachami, zdjął więc marynarkę i zarzucił ją na ramię. Podążanie za kobietą w białym płaszczu przeciwdeszczowym nie wymagało dużego zachodu. Szła niespiesznie i oglądała wystawy, zdarzało jej się też wejść do jakiegoś sklepu, ale nie spędzała w nim dużo czasu. Grymasimy... pomyślał Fedderman.

Skręciła na rogu Zachodniej Osiemdziesiątej Piątej, szła jeszcze przez jakiś czas, po czym wmaszerowała po betonowych schodach do jednego z trzech stojących obok siebie sześciokondygnacyjnych budynków z brązowoczerwonego piaskowca. Wszystkie popadały w ruinę. Środkowy wyglądał na opuszczony i miał rusztowanie od frontu, ale nie było widać ani jednego robotnika. Nowa Madeline zniknęła za wielkimi zielonymi drzwiami trzeciego budynku. Sposób, w jaki pokonała schody, w zasadzie je przeskakując, powiedział Feddermanowi, że albo była młoda, albo miała znakomitą kondycję.

Odczekał pięć minut, a potem przeszedł na drugą stronę ulicy, ominął gołębie łajno i wszedł do budynku. Znalazł się w małym przedsionku o zielonych wykafelkowanych ścianach pokrytych żółtymi zaciekami i szarej cementowej posadzce. Było tu duszno i unosił się silny zapach wybielacza zmieszany z dławiącym odorem moczu.

Na podłodze leżały strzępy cynfolii.

Wyglądały jak opakowania po czekoladkach Hershey's Kisses. Fedderman rozejrzał się, ale nie wypatrzył windy. W budynku jej nie było. W którymś mieszkaniu głośno grał telewizor nastawiony na program o finansach. Usłyszał głos mężczyzny mówiącego, że byki idą na gody. Pierdu, pierdu, pomyślał.

Podszedł do wiszących rzędem sześciu skrzynek pocztowych pomalowanych na taką samą zieleń co ściany. Na jednej z nich, znajdującej się z brzegu, w miejscu na nazwisko widniała kartka z wykonanym ołówkiem napisem „M. SCOTT, 5A”. Najwyższe piętro. *Szczęście, że nowa Madeline jest w formie.* Fedderman się cieszył, że nie musi wchodzić na górę i sprawdzać, czy rzeczywiście jest tam mieszkanie 5A. Było za gorąco na wspinaczkę po stromych drewnianych schodach. I tak byłby to zły pomysł, bo nowa Madeline mogłaby się zorientować, że ktoś ją śledzi.

Pchnął ciężkie drewniane drzwi i wyszedł z budynku zadowolony, że zostawia za sobą duchotę i odór moczu. Pół przecznicy dalej wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Quinna. Poznali adres nowej Madeline. Postęp.

Pearl zorientowała się, że jest śledzona, dziesięć minut po tym, jak Fedderman ją zmienił. Było to tylko dokuczliwe wrażenie na skraju świadomości, ale doświadczony glina nie mógł go zignorować.

Zaczęła rzucać za siebie ukradkowe spojrzenia i zobaczyła szybko oddalającą się sylwetkę, zaledwie mignięcie na obrzeżu pola widzenia. Przecznicę dalej zamarkowała lekki skręt, przeprosiła mężczyznę z aktówką za to, że się z nim zderzyła, i zobaczyła takie samo nagłe poruszenie. Tym razem ten ktoś wskoczył do apteki Duane Reade. Apteka była duża, a Pearl wiedziała, że jest w niej niższy poziom, więc wejście do środka z zamiarem złapania śledzącego miało się z celem. Wewnątrz mogło być nawet pięćdziesięciu klientów. Po prostu bawiłaby się ze swoim cieniem w kotka i myszkę między piętrami.

Nakazała sobie spokój. Jej ogon mógł być po prostu facetem, który lubił niskie czarnowłose kobiety z dużymi cycami. Można to było zrozumieć. Ale ciekawość jej nie opuszczała.

Tylko w jeden sposób poznam prawdę.

Postanowiła przede wszystkim uspokoić go i rozwiać podejrzenia, że mógł zostać dostrzeżony. Nie sprawdzała już, czy gdzieś za nią był. Skręciła nagle na schody prowadzące na perony metra i zmieszała się z tłumem spieszącym ku bramkom obrotowym. Powietrze było nienaturalnie ciężkie i nieruchome, jakby zanosilo się na podziemną

burzę. Może któregoś dnia zdarzy się taka w Nowym Jorku. Gdy ruchome schody wiozły ją jeszcze głębiej, usłyszała żalobne, rozchodzące się echem dźwięki harmonijki ustnej, z którą ktoś nie najlepiej sobie radził. Nie rozglądając się po peronie, odczekała mniej więcej pięć minut i wsiadła do pociągu. Wynurzyła się na światło dzienne na stacji znajdującej się cztery przecznicie od bloku Jill (i Jewel), po czym ruszyła w jego kierunku. Słońce lśniło na przyciemnianych szybach samochodów, które mijały ją, wlekąc się żółtym tempem w przeciwną stronę, a refleksy świetlne kładły się na ulicy i chodniku. Kiedy z sykiem hamulców pneumatycznych wolno przejechała obok niej ogromna ciężarówka, Pearl lekko ku niej skrzyła, żeby przelotnie złapać panoramiczny widok ulicy z tyłu odbijający się w dużym bocznym oknie pojazdu.

Dostrzegła to, czego się spodziewała. *Wciąż ze mną jesteś.*

Jeśli ktoś szedł za nią tylko dlatego, że mu się podobała, i zbierał się na odwagę, żeby ją zagadnąć, zadawał sobie cholernie dużo trudu. *Cóż, jestem tego warta.*

Poczuła w kieszeni wibrowanie komórki. Znakomicie! Może to Quinn.

Dyskretnie wyjęła buczący aparat i zobaczyła numer Golden Sunset. Nie chciała w takiej chwili rozmawiać z matką. Z powrotem wsunęła telefon do kieszeni, ale nadal wibrował. Przestał na krótko, a potem zaczął znowu. Po ośmiu lub dziesięciu krokach wiedziała już, że telefon doprowadzi ją do szaleństwa. Będzie wibrował z dziewięćdziesiąt razy, zanim matka podda się i rozłączy. Mogła wprawdzie ustawić w nim przekierowanie połączeń na pocztę głosową, ale matka i tak w kółko by dzwoniła, być może naprawdę dziewięćdziesiąt razy. Nie gubiąc tempa, ponownie wyjęła komórkę z kieszeni i otworzyła klapkę.

- Cześć, mamó.
- Pearl?
- A kto? Do mnie dzwonisz.
- Naprawdę? A zdawało mi się, że wybrałam numer mojej przyjaciółki, pani Kahn.

Pearl od razu się domyśliła, że to kłamstwo. Matka parła dalej:

- Gdzieś ty była? Na sedesie? Zresztą nieważne. Ale *à propos* pani Kahn... Jak ci się układa z jej bratankiem Miltonem? Och, powinienam powiedzieć z *doktorem* Miltonem Kahnem. Dziewczynę może spotkać coś gorszego niż małżeństwo z wziętym dermatologiem i tak, wiem, że wkraczam w sprawy osobiste, ale dlaczegoż by nie, skoro rozmawiam z rodzoną córką? Z rozmów, które przeprowadziłam z

panią Kahn, ciotką, wynika, że Miltonowi, bratankowi, wiedzie się nie tylko finansowo, ale też na polu zawodowym. Mówiła, że przez pierwsze lata zdobywał doświadczenie, pracując charytatywnie, co świadczy o dobrym sercu, ale przecież obie wiemy, że je ma, a teraz prowadzi świetnie prosperującą przychodnię i leczy klientów, którzy płacą. Czy w waszych rozmowach choćby mimochodem wspominaliście o małżeństwie? Uważam, że tak dużo czasu upłynęło od waszego pierwszego spotkania, że możecie przynajmniej o tym napomknąć w niezobowiązującej konwersacji.

– Dasz mi coś powiedzieć? – zapytała Pearl.

– Ależ właśnie o to cię proszę, złotko. Powiedz mi, na jakim etapie jest twój związek z *doktorem* Miltonem Kahnem. Ponieważ można stwierdzić, że to ja – oczywiście na spółkę z panią Kahn, ciotką – sprawiłam, żeście się moje wy gruchające gołąbki poznały, przyznaję sobie prawo do zadawania takich pytań. To znaczy o stan waszego związku w odniesieniu do małżeństwa.

– Milt to spoko facet. Taki jest stan naszego związku.

– Ale to już mówiłaś.

– I wciąż jest to prawdą. Mamo, posłuchaj...

– Moje dociekania na temat waszych relacji nie dotyczą tylko płaszczyzny platonicznej. Czy objęły one – postaram się ująć to delikatnie – również płaszczyznę bardziej fizyczną? W udanym związku linia między tymi płaszczyznami jest niejako zatarta, gdyż czas i miłość pracują nad...

– Mamo, ja pracuję.

– O, to, to, moje dziecko! Ale czy to wymaga pracy? Bo chyba odniosłaś się do mojego pytania, na które do tej pory nie otrzymałam odpowiedzi, czyż nie?

– Nie. – Pearl pomyślała, że może zadziała terapia wstrząsowa. – Śledzi mnie uzbrojony mężczyzna.

– Powiedźże, czy istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że żonę *doktora* Milтона Kahna, cenionego dermatologa, śledziłby uzbrojony mężczyzna, nawet na tym zwariowanym świecie?

– Nie – musiała przyznać Pearl. – Ale nie jestem niczyją żoną. Właśnie pracuję i zrozum, proszę, że nie mam czasu na rozmowę.

– Miarą wartości człowieka jest to, ile czasu poświęca na...

Pearl przerwała połączenie i zamknęła telefon. Wciąż nie patrząc za siebie, szybkim krokiem pokonała schody wiodące do domu i przeszła przez frontowe drzwi. W przedsionku było pusto, przez szybę w drzwiach do holu też nie zobaczyła nikogo, kto by zmierzał do wyjścia na ulicę.

Wolno policzyła do pięciu, po czym obróciła się na pięcie, wypadła przez drzwi i po dwóch betonowych stopniach zbiegła na chodnik. Stała twarzą w twarz z Edem Greeve'em.

Nie widziała Greeve'a od przeszło roku, ale rozpoznała go w jednej chwili. Nie zmienił się. Ta sama chuda, zgarbiona sylwetka, taki sam czarny garnitur, ta sama żałobna mina. Urodzony przedsiębiorca pogrzebowy, który jakimś zrzędzeniem losu został gliną. Znała jego ksywkę, Duch, więc poczuła ukłucie dumy, że przyłapała go na gorącym uczynku.

Lekko posapywał, jakby biegł i dopiero przed chwilą wyhamował. Zbliżając się do niego, wychwyciła zapach taniej wody kolońskiej, który skojarzył jej się z formaliną.

– Dlaczego za mną łazisz? – niemal warknęła.

Twarz Greeve'a pozostała nieruchoma; cofnął się tylko o krok.

– Przypadkiem zobaczyłem cię na ulicy kilka przecznic stąd i chciałem się przywitać. Szybko chodisz. Trudno cię dogonić inaczej jak biegiem.

Pearl posłała mu szeroki, paskudny uśmiech, jasno wyrażający, że uważa jego wytłumaczenie za wciskanie ciemnoty. Greeve'a najwyraźniej to nie ruszyło. Nie mogła mieć pewności, że śledził ją z premedytacją, a już na pewno niczego mu nie udowodni.

Nie zamierzał ustępować jej pola, pitbullowi w kieszonkowym wydaniu. Uśmiechnął się i wskazał ręką budynek.

– No, to kto tu mieszka?

– Koleżanka.

– Jill Clark?

Pearl pojęła, co Greeve dawał jej do zrozumienia. Śledził ją nie pierwszy raz, była obserwowana. Chciał wyprowadzić ją z równowagi, bo wtedy to on kontrolowałby przebieg rozmowy. Nie dała się podpuścić.

– Owszem. Jill to moja stara przyjaciółka. Mogę cię z nią poznać, jeśli jest w domu. – Była to sugestia, że skoro go zaprasza, to Jill nie ma w domu.

Obdarzył ją swoim uśmiechem grabarza – *pewnego dnia będziesz należała do mnie* – i wykonał gest, jakby uchylał kapelusza.

– Dziękuję, ale może innym razem.

– Nie chciałabym po raz drugi przyłapać cię za plecami – powiedziała.

– Nie przyłapiesz.

Oddalił się bez pożegnania.

Pearl wróciła do budynku i stała się Jewel. Pojechała windą na siódme piętro, do swojego beznadziejnego mieszkania, w którym ledwie dało się żyć. Przede wszystkim chciała zadzwonić do Quinna, ale ledwie zamknęła za sobą drzwi, telefon w jej kieszeni zaczął buczeć i wibrować. Wyjęła go, otworzyła i zobaczyła numer Golden Sunset. Znowu matka. Nie odebrawszy, cisnęła komórkę na łóżko polowe i podeszła do telefonu stacjonarnego. Podniosła słuchawkę, ale zaraz odłożyła ją na widelki. Jeśli Greeve – a co za tym idzie Wes Nobbler – wiedział, że mieszka tu Jill Clark, mógł też wiedzieć o tym, że Pearl odgrywa rolę Jewel. Telefon mógł być na podsłuchu. Wątpliwe, ale nigdy nie wiadomo.

Wróciła do leżącej na łóżku polowym komórki. Aparat wbił się między koce i już nie wibrował. Porwała go szybko i wybrała numer Quinna. Jeśli matka zadzwoni po raz kolejny, telefon będzie zajęty. Może nawet uwierzy, że Pearl także jest zajęta.

Ruth zupełnie przestała im wierzyć, kiedy wielki chrysler powoli przejeżdżał przez bramę, która wciąż dudniła im nad głowami niczym grzmot zwiastujący burzę. Gdy samochód ostro zahamował, szczupłe, ale umięśnione kobiece ramię otoczyło jej szyję, a Vlad pochylił się i przycisnął ramiona Ruth do jej boków. Za samochodem drzwi już się zamykały ze szczękiem i grzechotem. W miarę jak się opuszczały, przygasało światło dnia. Ramię otaczające szyję Ruth zacisnęło się mocniej, zmieniając próbę wydania krzyku w rżenie nie głośniejsze od krakania wron. Walcząc o oddech, Ruth pomyślała, że słyszy i czuje, jak w jej gardle pękają chrząstki. W jej głowie narastał ucisk, jakby czaszkę wypełniał rozchodzący się gaz, a ciemność miejsca, w którym się znajdowali, zmieniła się w absolutną czerń tak szybko, jakby ktoś szarpnięciem zaciągnął roletę.

Ruth odzyskała przytomność, ale nie otworzyła oczu.

Myśl!

Zorientowała się, że oddycha przez nos. Jej usta były jak obite. Zaczęła badać je czubkiem języka, z wysiłkiem wciskając go między wargi. Były czymś zaklejone, jakimś rodzajem taśmy. Spróbowała poruszyć rękami, ale mogła jedynie wyginać palce. Ramiona miała

wykręcone do tyłu, a przedramiona były ściśle skrępowane i unieruchomione. „Ściśle” wydawało się tu odpowiednim słowem.

Kołała się w niej świadomość, że minął jakiś czas, choć tego nie pamiętała.

Myśl!

Powróciły wspomnienia. Szybko poukładała sobie w głowie wydarzenia, które nastąpiły po tym, jak wsiadła do dużego, ciemnego auta.

Wpadła w panikę, ale prędko się opanowała. Może i została kostiumografem, ale kiedyś była żołnierzem i nauczyła się, jak planować i z powodzeniem wykonywać trudne zadania. Służyła w Armii Stanów Zjednoczonych w Kuwejcie, była sierżantem zaopatrzenia. Nie brała udziału w walce, choć mogła, a teraz przypomniło o sobie jej wyszkolenie. Jakby odmłodziła o pięć lat i myślała takimi samymi kategoriami co wtedy. Była w cholernie ciężkim położeniu, bez dwóch zdań. Ale nie straciła opanowania.

Nie panikuj. Dokonaj oceny sytuacji. Planuj.

Sytuacja przedstawiała się następująco: sierżant zaopatrzenia Ruth Malpass była naga i leżała na brzuchu na jakiejś płaskiej metalowej powierzchni, a jej stopy nie dotykały podłoża. *To na pewno maska samochodu.* Była jeszcze ciepła, gołe ciało na rozgrzanej, cykającej stali. *Nie związali mi nóg. Jeszcze mogę kopać.*

Planuj! A kiedy planujesz, działaj!

Ale gdy próbowała wierzgnąć, zorientowała się, jak szeroko rozłożone są jej nogi. Jej łydki i stopy młóciły szaleńczo, ale tylko w powietrzu. Nie mogła zsunąć ud. Przestała wierzgać i przesunęła nogi nieznacznym ruchem zamykających się czązków. Chciała namacać przeszkodę. Ktoś stał między jej udami, blisko krocza, tak że miała szeroko rozwarłe kolana.

Leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami i nadzieją, że porywacze uznają ruchy nóg za konwulsje związanego i zakneblowanego ciała. Mogli pomyśleć, że ciągle jest nieprzytomna.

– Obudziła się – od razu powiedział męski głos. Vlad.

Ten bydlak Vlad!

Udawanie omdlenia nie miało już sensu, więc Ruth otworzyła oczy.

Znajdowała się w jakiejś piwnicy służącej za garaż. Gdy tylko to spostrzegła, poczuła też dość słaby zapach oleju i benzyny. Mrużyła oczy i bolała ją głowa. Nie widziała źródła światła, ale było rażące i padało z góry; prawdopodobnie dawały je gołe żarówki. Na ścianach kładły się wyraziste cienie.

Nie poddawaj się! Planuj!

Miała wykręconą szyję, a mocno przyciśnięty do samochodu policzek rozplaszczal się na masce. Zobaczyła kobietę, która była przedtem w samochodzie. Ivanę, siostrę Wlada. Obchodziła maskę. Z każdym jej krokiem rozlegał się łagodny dźwięk, który mógł być szelestem plastiku.

Położyli coś na ziemi. Zabezpieczyli podłogę.

Sierżant zaopatrzenia Malpass nie widziała w tej sytuacji niczego, co mogłaby wykorzystać. Ale odgadła, czemu miała służyć foliowa płachta. Porywacze nie chcieli narobić bałaganu, kiedy będą się nią zajmować.

Ivana była naga, miała małe spiczaste piersi i sterczące żebra. Jej czarne włosy wciąż były niedbale zaczesane do tyłu i upięte w ciasny kok, a ciemne oczy wciąż płonęły. Coś trzymała obiema rękami. Mop? Szczotkę? Skojarzyła się Ruth z wiedźmą – wąska, surowa twarz, pałające oczy, miotła. Zła czarownica.

Ivana uniosła kij, a wtedy Ruth zobaczyła na jej dłoniach białe gumowe rękawiczki. Gdy kij znalazł się jeszcze wyżej, Ruth spostrzegła, że był krótszy, niż jej się wydawało. Kiedyś może i był częścią szczotki, ale został odpiłowany i pieczołowicie zaostroszony. Miał najwyżej metr.

– Chciałam ci to pokazać – powiedziała Ivana, uśmiechając się tak samo jak za pierwszym razem w samochodzie.

Ruth poczuła, że masywna postać wsuwa się głębiej między jej uda, poczuła ręce na kolanach, kciuki wbijające się w miękkie, wrażliwe ciało za nimi, uciskające mocno i boleśnie, aż zwiotczały mięśnie. Jednocześnie rozkładała jej nogi. Potem ciężkie ciało przycisnęło jej lewą nogę do samochodu, a silna ręka puściła kolano, bo już nie musiała go trzymać.

Wiedźma obesła auto z drugiej strony i zniknęła za plecami Ruth, która po chwili poczuła na nogach kolejne dłonie, przesuujące się wyżej i wyżej, rozchylające pośladki.

– Jesteś jeszcze z nami, kochana? – zapytała wiedźma zważa siebie Ivaną.

– W życiu nie była bardziej przytomna – odpowiedział spokojnie Wład.

– Będziemy to robić bardzo wolno – oznajmiła wiedźma.

Ruth zdobyła się na ostatnią szaleńczą i daremną próbę odzyskania wolności. Wład wybuchnął śmiechem i mocno przycisnął ją swoim ciężarem. Jęknęła z bólu i przestała się szamotać.

Wiedziała już, że żadne planowanie niczego nie zmieni. Całkowi-

cie się poddała. Chciała teraz jedynie, żeby – *proszę!* – jak najszybciej się to skończyło. Nie będzie więcej planów. Wszystko się kiedyś kończy. Wszystko. A to musi skończyć się szybko. Musi!

Raz po raz bezdźwięcznie wrzeszczała w grubą warstwę taśmy klejącej, modliła się o ucieczkę przed bólem, jakiego do tej pory nawet sobie nie wyobrażała, o nieświadomość i pustkę, które były tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. Wyczuwała je. Bezkresna czerń wolna od bólu i porażającej wiedzy.

- Przyniosłam sole trzeźwiące – dobiegł z daleka głos wiedźmy.
- Myślisz o wszystkim – odpowiedział jej brat.

– Dwa dni temu – odpowiedziała Linda. – To wszystko, co możemy powiedzieć o czasie zgonu.

Byli w łóżku Quinna, nasytzeni dobrym posiłkiem, dobrym winem i dobrym seksem. Quinn leżał na wznak i patrzył na Lindę, która siedziała wsparta o zagłówek wysłany poduszkami. Wiedział, że specjalnie nie powiedziała mu tego od razu. Rozumiał, co nią kierowało, i nawet się cieszył, ponieważ spodziewał się, co usłyszy. Prawdopodobnie będzie wściekły jak cholera.

Linda przed chwilą powiedziała mu o kobiecie, której zwłoki znaleziono na wysypisku odpadów w Newark w New Jersey. Natrafiono na nie w zasadzie szczęśliwym trafem, ponieważ operator spycharki zauważył ludzką nogę wystającą z lemiesza tuż przed tym, zanim zepchnął ładunek w pełne najróżniejszych śmieci zagłębienie, które wkrótce miało zostać wypełnione ziemią.

– Niech zgadnę – powiedział Quinn. – Wes Nobbler dostał cynk od policji z Newark i na razie trzyma wszystko w tajemnicy.

– Zgadłeś. Nift też nie puścił pary z ust. Ale niedługo obaj będą musieli coś powiedzieć, chociaż zajęli stanowisko, że martwa kobieta jest ofiarą najzwyczajszego zabójstwa, niepowiązaną z torsowymi morderstwami.

– Skoro została znaleziona w Newark, to jakim cudem jej ciało trafiło do Nowego Jorku? – zapytał Quinn.

– Dzięki naciskom ze strony Nifta i Nobblera. Powiedzieli tym z Newark, że może istnieć związek z torsowym.

– A ci z Newark nabrali wody w usta.

– Jak dotąd. Nikt nie chce spieprzyć tego śledztwa.

– Przecież Nift i Nobbler właśnie to robią.

– Zgadzam się. Ale to nie wyjdzie na jaw.

Quinn poczuł, jak narasta w nim gniew.

– Chcesz powiedzieć, że takie kurewstwo ujdzie im na sucho?

– Do czasu – odpowiedziała Linda. Chyba dużo nad tym myślała i zdążyła pogodzić się z faktami. – Wygląda na to, że tylko jedno łączy tę kobietę z torsowymi morderstwami. Przyczyną śmierci był rozległy

krwotok wewnętrzny, powstały na skutek obrażeń spowodowanych penetracją dokonaną zaostrzonym kijem od szczotki.

- Jak na mój gust to całkiem niezłe powiązanie.
- I tak, i nie.
- Renz w ogóle o tym słyszał?
- Wie, że znaleziono ofiarę zabójstwa. Nie wie o kiju od szczotki.

Linda sięgnęła po ciepłą puszkę dietetycznej pepsi. Na czasopiśmie, które leżało na stoliku po jej stronie łóżka, pozostało wilgotne kółko. Upiła długi łyk, skrzywiła się i odstawiła puszkę na miejsce.

– Co gorsza, nie zna wieści z wczoraj. Ten sam typ kija od szczotki przewija się w większości torsowych morderstw. Piesek Nift ukrywa to również przed swoją panią z gazety, ale niedługo będzie musiał jej powiedzieć, bo inaczej wyda się, że ją zwodził. A na pewno nie chciałby odczuć na sobie złości Cindy Sellers.

- Cholernie by nie chciał.

Quinn znowu tęsknił za cygarem. Był niby we własnej sypialni, ale palenie nie wchodziło w grę. *Kobiety kontra cygara*.

- Rany postrzałowe?

– Ani jednej – odpowiedziała Linda. – No i została głowa i wszystkie kończyny. Mamy też identyfikację. Ruth Margaret Malpass, zamieszkała na East Side. Szybko wykryto jej zniknięcie. Projektowała kostiumy do niskobudżetowego przedstawienia *Major Mary*, które ma zostać wystawione jesienią. Nie pojawiła się w pracowni, więc dwóch asystentów z pracy poszło do niej do domu. Twierdzili, że to do niej niepodobne. Do poszukiwań włączyli dozorcę i sąsiadów. Kiedy okazało się, że nikt nie wie, gdzie się podziała, zadzwonili na policję. Było za wcześnie, żeby oficjalnie zgłosić zaginięcie, ale opis pasował do kobiety znalezionej na wysypisku. Zaraz potem została zidentyfikowana na podstawie odcisków palców. Były w jej wojskowych aktach.

- Czyli jedyny związek to zaostrzony kij – powiedział Quinn.

– Został wepchnięty przez odbyt, jak w dwóch ostatnich torsowych morderstwach.

- Więc mamy jeszcze jedno podobieństwo – zauważył Quinn.

– I wsadzono go jej, kiedy żyła – dodała Linda. – Morderca trzyma się nowego sposobu działania.

- Boże, zmiłuj się nad nami – mruknął Quinn.

– Nad Ruth Malpass się nie zmiłował – odparła Linda. – Mam nadzieję, że Nobblerowi i Niftowi też nie pomoże.

– Nobbler liczy na to, że z kłopotów wyciągną go niepodobieństwa, ale masz rację, nie może za długo udawać głupiego.

– Ale może się wybronić – powiedziała Linda. – Na kiju nie ma odcisków palców, ciało ofiary jest kompletne, a ją samą bez problemu udało się zidentyfikować. Mało tego, dość długo mieszkała w Nowym Jorku, chodziła nawet do szkoły artystycznej i wygląda na to, że miała kontakty i mnóstwo znajomych. Jeszcze jedno. Sprawdziłam z mojego komputera bazę danych E-kstazy. Ruth Malpass nie była ich klientką.

- Jak dotarłaś do listy ich klientów? – zdziwił się Quinn.
- Z łatwością – odpowiedziała Linda. – Zapisałam się na nią.

Quinn nie czekał do rana. Było piętnaście po jedenastej, Renz mógł jeszcze nie spać. A jeśli spał, Quinn zaraz to naprawi. Nie wstał z łóżka, żeby zadzwonić, wciąż leżał obok Lindy. W duchu gotował się ze złości, więc mógł przynajmniej zadbać o wygodę dla ciała.

Renz odebrał po drugim sygnale jakby zdenerwowany. Quinn zaczęła opowiadać o tym, czego przed chwilą dowiedział się od Lindy, ale Renz mu przerwał:

– Już wszystko wiem – powiedział. – Wiadomość jest sensacją w każdym dzienniku i w całym, kurwa, kraju, tylko nie w moim biurze.

– Pewnie Nobblerowi puściły nerwy i dał ją do mediów.

– Albo Cindy Sellers skądś się dowiedziała. Idę o zakład, że cało miasto jest już zarzucone dodatkiem nadzwyczajnym „City Beat”.

– Mówią w telewizji o kiju od szczotki?

– Na drugim miejscu. Najpierw zobaczyłem starą policyjną fotografię Toma Coultera, a potem spiker pokazał do kamery przepiłowany kij od szczotki i wyjaśnił, co spotkało tę nieszczęsną Malpass. Dziennikarze widzą związek, ponieważ morderstwa Coultera miały miejsce w New Jersey. Sądzą, że wrócił na stare śmiecie.

– Może i wrócił – powiedział Quinn. – Mordercą mógł być naśladowca.

– Tak właśnie przedstawi to Nobbler. Jako robotę naśladowcy.

– Niewykluczone, jeśli weźmiemy pod uwagę, czego morderca nie zrobił ofierze.

– Nawet mi nie mów – warknął Renz. – Nie chcę nawet brać pod uwagę możliwości, że Coulter, myśląc, że i tak pójdzie siedzieć za torsowe morderstwa, dołączył do imprezy.

– Nie sądzę, żeby to był Coulter – zaproponował Quinn. – Jest profesjonalnym włamywaczem. Zabił, bo spanikował.

– Jak człowiek się rozsmakuje...

– Owszem, bywa. Ale i tak nie widzę w tym Coultera. Media się nim zachłystują, bo dostały go od nas. Gdyby nie to, nikt by o nim nie

pisnął.

– Słusznie – odpowiedział Renz po krótkiej chwili milczenia. – Karma dla hien. Pocieszaj mnie jeszcze, Quinn. Na przykład wymyśl, co dalej.

– Najszybciej jak się da zorganizuj konferencję prasową – powiedział Quinn. – Podkreśl różnice między śmiercią Malpass a torsowymi morderstwami. Zasugeruj, że mamy przesłanki wskazujące na to, że Malpass zabił ktoś inny. Że wiemy coś, czego nie wiedzą ani obywatele, ani morderca. Powiedz, że nie ma powodów, by doszukiwać się powiązań.

– Mam grać głupszego niż Nobbler?

– Masz być głupszy i szybszy. Wiem, że potrafisz. Wierzę w ciebie.

– Hmm...

– Trzeba być wilkiem, żeby udawać owcę.

– Mówiłem ci już, że podoba mi się twój styl?

– Dlatego mnie zatrudniłeś.

Kiedy Quinn zatrzasnął klapkę telefonu i odłożył go na nocny stolik, Linda usiadła prosto, podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. Przysłuchiwała się temu, co Quinn mówił do Renza.

– Sądzisz, że tym razem zabójcą może być Coulter? – spytała.

– Nie. Mieć jaja do włamu a mieć jaja do morderstwa to dwie różne rzeczy.

– Cztery – poprawiła.

Quinn uniósł się, pocałował ją w kolano i z powrotem opadł na łóżko.

– Twoim zdaniem E-kstaza maczała palce w zabójstwie Malpass?

– Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że mordercą jest ta sama osoba – odpowiedział.

Zdezorientowana Linda zmarszczyła brwi.

– Skoro Malpass nie była klientką E-kstazy, to dlaczego miałyby zginąć z ręki torsowego mordercy? Nie wiem, co mogliby na tym zyskać. Nie należała do kręgu. Gdzie tu motyw?

– Zastanów się.

Linda zastanawiała się przez jakieś pięć sekund.

– Boże! – jęknęła.

– Zaczęło się jako czysty interes – powiedział Quinn – ale morderca to polubił.

Palmer Stone miał na biurku otwarte poranne wydanie „Posta”. Zaproponował Glorii, żeby je przeczytała, ale odparła, że już to zrobiła. Stone wezwał ją na poranną rozmowę. Samą, bez Victora. Przyszła w białej tunice, czarnych spodniach i butach, z jedwabną czerwona apaszką luźno zawiązaną na szyi. Stone zajmował swój wielki obrotowy fotel za biurkiem. Nie poruszał głową, patrząc na Głorię, ale nieznacznie wiercił się w fotelu to w tę, to w tamtą. Nerwy.

– Skoro już czytałaś – odezwał się swoim zwykłym, modulowanym głosem – to wiesz, że tę kobietę znaną w Newark nabitą na ostry kij od szczotki.

– Nieciekawie. Ale zdarza się – odpowiedziała Gloria.

– Niedobrze, że zdarzyło się na naszym podwórku. To daje do myślenia.

– Gliny powinny szybko zamknąć sprawę. Zdjęcie faceta, którego podejrzewają, masz tutaj, na stronie tytułowej. – Ruchem głowy wskazała leżącą na biurku gazetę. – Nawet znają jego nazwisko. Tom jakiś tam.

– Tom Coulter. Włamywacz. Został nakryty podczas roboty i kogoś zabił.

– W New Jersey. Tam też znaleziono zwłoki tej kobiety.

– Podejrzanie blisko Nowego Jorku.

Gloria przekrzywiła Głowę i wpatrzyła się w Palmera z niedowierzaniem.

– Jezu, Palmerze! Ten trup z New Jersey nie ma nic wspólnego z nami! To nie był sam tułów. I natychmiast ją zidentyfikowali. Prasa się myli, próbując podciągnąć to pod torsowe morderstwa.

– Chciałbym się z tobą zgodzić, ale to nie takie łatwe. – Stone nadął policzki i wypuścił powietrze. – Pracujemy we troje od wielu lat.

– Więc przestańmy krążyć wokół tematu. Nie jestem ślepa, widzę, że coś cię gryzie, Palmerze. Chyba potrafisz zgadnąć co. Wiem, dlaczego mnie wezwałeś.

– Nie musisz zgadywać – odparł Palmer. – Mam pewne podejrzenia, że tę kobietę zabił twój brat.

– Victor? I ty w to wierzysz, Palmerze?
– Nie mówiłem, w co wierzę.
– Ale skłaniasz się ku temu.
– Dlaczego nie? Od jakiegoś czasu dziwnie się zachowuje, a sposób, w jaki zginęła ta kobieta, Ruth czy jak jej tam, od razu przywiódł mi na myśl Victora.

– Czy Ruth była klientką, Palmerze?
– Wiesz, że nie.
– Więc jaki miałby motyw? Victor prędzej wybrałby kogoś z naszej kolekcji.

– Nie umiem na to jednoznacznie odpowiedzieć. Ale skoro mowa o kolekcjach, byłem w mieszkaniu Victora i widziałem, że powiększył swój księgozbiór. O nowiutkie pozycje poświęcone Vladowi Palownikowi. Wiesz, kto to był?

– Oczywiście. Nie jestem nieukiem, Palmerze. Chyba żył w średniowieczu. Zły człowiek. Nabijał ludzi na pale, które potem osadzał w ziemi. Tak budził strach u wrogów. Dziwak. Świr.

– Twój brat bardzo się nim interesuje.
– Victora zawsze ciągnęło do historii i biografii. Co to ma wspólnego z motywem?

– Zastanawiam się – odpowiedział Stone – czy Victor nie polubił tego aspektu swojej pracy tak bardzo, że dorabia sobie na boku. Nie dla pieniędzy, wyłącznie dla przyjemności.

– Sugerujesz, że mój brat jest jakimś walniętym sadystą. – Gloria wbiła w niego onyksowe spojrzenie. Nie potrafił odwrócić wzroku. – Posłuchaj uważnie, Palmerze. Victor nie zabił tej kobiety.

– No to kto?
– Tom Coulter.
– Wątpię.
– Więc może ktoś, kto naczytał się o torsowych morderstwach. Ktoś, kto zawsze miał skłonności sadystyczne, a teraz podchwycił pomysł. Ktoś taki nie miał powodu, żeby obcinać głowę i kończyny. Wisi mu, czy ofiara zostanie zidentyfikowana.

– Nie spodziewał się, że ciało zostanie znalezione – wytknął Stone.

Gloria zachowała nieruchomą twarz. Rzeczywiście, ani ona, ani Victor się tego nie spodziewali. Kilometry kwadratowe śmieci, wszystkie rodzaje odpadków, w których Ruth Malpass została zagrzebana na głębokości półtora metra i czekała na wrzucenie do olbrzymiego, pełnego śmieci dołu. Odkryli ją fuksem.

Coraz bardziej zła skrzyżowała ramiona, rozstawiła nogi i wpa-

trzymała się w Stone'a.

– Jeśli naprawdę podejrzewasz, że śmierć tej kobiety to sprawa Victora, mogę cię uspokoić. Byłam z nim, kiedy zdaniem policji ją zamordowano. Siedzieliśmy w jego mieszkaniu. Raz w tygodniu robimy sobie wykwintny obiad, gotujemy na zmianę. Tym razem była jego kolej. Gdy popełniano morderstwo, delektowaliśmy się lasagne z homarami i dobrym winem.

– Nawet na chwilę nie straciłaś go z oczu?

– Góra na pięć minut, ale raczej nawet nie tyle. I zostałam u niego prawie do północy.

– Dlaczego tak długo?

– Zagadaliśmy się o interesach i czas jakoś zleciał. Wiem, że zbliżała się północ, bo akurat spojrzałam na zegarek i powiedziałam Victorowi, że już tak późno.

Stone westchnął, a Gloria zastanowiła się, czy nie pozorował ulgi. Z Palmerem nigdy nic nie wiadomo. Odkrycie ciała Ruth wszystko skomplikowało.

– Zrób coś dla mnie – poprosił Palmer. – Miej brata na oku, nawet jeśli nie traktujesz moich obaw serio. Tak naprawdę nie znamy ludzi, nawet tych najbliższych.

– Znam Victora – odpowiedziała Gloria. – Jesteśmy tacy sami. Czyli zwłaszcza i przede wszystkim jesteśmy ludźmi interesu. Tak jak ty, Palmerze. Nie jesteśmy sadystami, nie oddajemy czci szatanowi. Wierzymy w zysk i dobrego Pana Boga.

– W tej kolejności?

Błysnęła krzywym uśmiechem.

– Obawiam się, że tak.

– Ludzie się zmieniają, nawet ci najlepsi. Nie chcę, żeby Victor wdał się w coś, co może zaszkodzić jemu albo firmie.

– Na pewno się nie wda.

– Mimo to obserwuj go, dobrze? Ty najszybciej zauważysz zmiany.

Gloria opuściła ręce i przybrała swobodniejszą postawę. Jej nieustępliwość się ulotniła, a mina sugerowała, że Stone może mieć rację, choć to mało prawdopodobne. Musiała mu to jeszcze przyznać:

– Będę go obserwowała, Palmerze. Jeśli zacznie się dziwnie zachowywać, zawiadomię cię.

Stone wstał z uśmiechem, który dobrze znała, zniewalającym, dodającym otuchy, usypiającym czujność.

– Liczę na ciebie, Glorio.

– Zawsze mogłeś na mnie liczyć, Palmerze. Nic się nie zmieniło.

Gdy wychodziła z biura, również się uśmiechała, ale jej uśmiech w niczym nie przypominał uśmiechu Palmera Stone'a.
Myślała o Ruth Malpass.

Tom Coulter poderwał się na łóżku.

Była trzecia nad ranem, ale spał lekko w swoim pokoju w motelu Tumble Onn Inn. Może coś mu się śniło, a może się wybudzał i jego wyobraźnia się rozdokazywała. Tak czy inaczej, był wystraszony. Próbował uspokoić oddech. Ostatnio często mu się zdarzało, że budził się cały spięty i nie mógł złapać tchu. By złagodzić napięcie, spróbował swojej odmiany dyscypliny wewnętrznej. Czyli potraktował się ostro: *Czego się, do jasnej ciasnej, boisz, cipo jedna? Nie dzieje się nic poza tym, że każdy glina w kraju chce cię zabić.*

Nie pomogło. Z szeroko otwartymi oczami opadł na łóżko.

Tumble Onn Inn znajdował się na rubieżach Burback w Luizjanie. Tutaj doprowadziła Coultera ucieczka przed prawem – do walącego się, pokrytego boazerią kompleksu pokoiów, mającego kształt litery U okalającej zarośnięty wodorostami basen. Zewnętrzne ściany, ongiś białe, nabrały koloru matowej szarości, urozmaiconej plamami pleśni. Przeciekające orynnowanie poznały ich powierzchnię rdzawymi zaciekami. Przynajmniej obsługa nie interesowała się tutaj gośćmi. Dziadunio w recepcji nosił okulary bez oprawek sklejone czarną taśmą izolacyjną i wyglądał tak, jakby kierownictwo motelu zatrudniło go tylko po to, żeby dodać temu miejscu lokalnego kolorytu. Nie drgnęła mu brew, gdy Coulter płacił gotówką. Przywykł do gości, do których nie pasowały karty kredytowe. Coulter specjalnie się nim nie przejmował. Z drugiej strony stary piernik prawdopodobnie oglądał telewizję, a zdjęcie i nazwisko Coultera było w każdym cholernym dzienniku. Nadal pokazywali fotografię, której tak nie cierpiał. Tę, na której miał potargane włosy i widać było jego zepsute zęby. Wyglądał na niej, cholera, na debila. Na przestępcę.

Kiedy Coulter pogrążony był w niespokojnym śnie, którego nadejście przyspieszyła tania karbidowa, stary grzechoczący klimatyzator się wyłączył. Albo znowu odcięli prąd. W lizajowatym małym pokoju zrobiło się gorąco i parno. Było też cicho, pomijając bzyczenie owadów dobiegające z ciemności na zewnątrz.

Coulter oddychał już normalnie. Próbował się rozluźnić, chociaż

nadal był pewien, że coś go obudziło. Tłumaczył sobie, że mogło to być cokolwiek, hałasujący kot albo nawet jakieś dzikie zwierzę. Opos. W okolicy było ich pełno. Wydawało się, że martwe oposy leżą tutaj na szosie co jakieś trzy, cztery kilometry.

Miał na sobie tylko bokserki, żeby było mu jak najchłodniej, ale jego ciało i tak pokryło się lepkiem potem. *Za blisko tego cholernego bagna.* Coś miękkiego, zapewne ćma, otarło się o jego czoło. Machnął ręką, żeby ją odpędzić, choć nie oczekiwał, że trafi.

Nie przewidział takiego obrotu sprawy. Fama go przerosła. Nadal podobało mu się, że został prawdziwym celebrytą, ale gdziekolwiek się udał, musiał zakładać, że wszyscy o nim słyszeli z gazet i telewizji i że prawdopodobnie widzieli jego zdjęcie. Nieustannie się stresował. Taka sława była cholernie męcząca, zwłaszcza jeśli policję świerbiło, żeby zacisnąć na czyjejs szyi pętlę zarzutów o morderstwo. Ironia losu, bo przecież nigdy nie chciał nikogo zabić. Nie był tego typu człowiekiem. Wszystko to uczyniono jemu. Cała seria niefartownych przypadków, które wzięły się z winy innych, nie jego. On jedynie starał się nie utonąć w masie gówna, w jaką pakował go pech. Kolejny dowód na to, jak niesprawiedliwie traktowało go życie.

Nic się nie zmieniło od chwili, w której się poderwał i usiadł na zapadającym się łóżku. Żadnego dźwięku. Żadnego poruszenia światła lub cienia. Żadnego ruchu powietrza. Strużki potu spływały po jego nagiej szyi i ramionach. Wysiłkiem woli rozluźnił mięśnie i poddał się zmęczeniu. *Wszystko będzie dobrze, przynajmniej chwilowo. Idź spać...*

Nagle otworzył oczy. Tym razem nie miał wątpliwości. Pośród nocy rozeszło się bardzo słabe, ale wyraźne chrzęszczenie opon tocących się wolno po ubitym żwirze. Ktoś wjechał na parking rozciągający się przed pokojami do wynajęcia.

Coulter zsunął się z łóżka i podszedł do okna. Zgięty wpół rozchylił żaluzje i wyjrzał w niemal absolutną czerną. Jedyne światło dawał rąbek księżycy. Coulter odczekał mniej więcej minutę, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności, po czym zdał sobie sprawę, że to niepotrzebne. Siedział przecież, do cholery, w ciemności jak jakaś hodowlana pieczarka.

Na zewnątrz było tylko sześć samochodów. Widział je wszystkie wieczorem, kiedy przyjechał do motelu. Same starsze modele, w tym zabytkowy oldsmobile z dziewięćdziesiątego ósmego z kapciem w przednim kole. Coulter lubił samochody i znał się na nich. Za młodu ukradł ich całą masę, wiedział więc, że oldsa mógłby opchnąć jakiemuś kolekcjonerowi, gdyby wóz nie był takim rzęchem.

Nie prostując się, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i popatrzył nad parapetem w drugą stronę. W odległości dwóch miejsc parkingowych od jego pokoju stał czarny pikap, ostatni model Forda F-150 ukradziony przez Coultera dwa dni temu. Na zderzaku słabo lśniła poświata księżyca. Samochód wyglądał jak wielka zabawka na o wiele za dużych oponach. Może i tym był.

Kolejny dźwięk!

Mogły go wydać drzwi zamykane jak najciszej. Najpierw zostały dociśnięte, potem zaskoczyła blokada. *Coś się tam wyprawia, to pewne.*

Coulter wycofał się od okna i zatrzymał przy krześle, na którym leżały zmięte lewisy. Szybko w nie wskoczył, po czym naciągnął przez głowę T-shirt. Chciał wyjść na bosaka, ale zmienił zdanie i poświęcił trochę czasu na wciągnięcie butów na gołe stopy. Spływający pot szczypał go w kącikach oczu. Z nocnego stolika zabrał pistolet kalibru 38. Ujął go lewą ręką, podczas gdy prawą wyjmował z kieszeni spodni kluczyki od furgonetki. Samopowtarzalna trzydziestkaósemka wykonana była z oksydowanej stali i miała rękojeść z drewnianą kratkowaną okładziną. Ukradł tę broń w Baton Rouge i ani razu z niej nie strzelał. Nie miał nawet pewności, czy była sprawna.

Odbezpieczył ją kciukiem. Potem podszedł do drzwi. Drżącą ręką przekręcił gałkę i uchylił je na kilka centymetrów.

Do środka napłynęło parne powietrze nocy, niosąc ze sobą odór pobliskiego bagna. Na zewnątrz Coulter widział jedynie pograżony w ciemności parking i cieniste kształty samochodów stojących w wyznaczonych miejscach naprzeciwko identycznych pokoi. Popatrzył na prawo. Ogromny pikap wznoszący się na wielkich kolcowanych oponach kusił bliskością.

Na dworze nic się nie poruszało. Jedyne dźwięki wydawały brzęczące owady. Drogą główną nie przejeżdżał nawet przypadkowy samochód, ale w końcu była trzecia nad ranem, a wielkie ciężarówki nie korzystały z tej wąskiej, krętej drogi, skoro biegnąca niemal równolegle autostrada stanowa znajdowała się jakieś piętnaście kilometrów dalej.

Coulterowi wracała pewność siebie. Może po prostu usłyszał jakiegoś gościa, który wrócił do samochodu, bo zapomniał papierosów. Albo czegoś innego. Coulter stał się taki nerwowy, że mógł robić wielkie halo z niczego.

A może nie robił.

Wszystko jedno, i tak już nie będę spał. Zmywam się stąd.

Wyszedł na zewnątrz, ostrożnie stąpając w kowbojskich butach. Skrzypiące kroki były ledwie słyszalne w zamartłym nocnym powietrzu, gdy zmierzał w stronę pikapa. Mocno ścisnął w palcach kluczyk, gotów włożyć go do stacyjki i przekręcić. Tak mocno, że czuł, jak metal wrzyna się w ciało. W lewej ręce wciąż trzymał broń. *Może powinienem przełożyć ją do prawej. Lewą kiepsko strzelam.*

Już za późno.

Gdy od samochodu dzieliły go trzy metry, odblokował drzwi przyciskiem na breloku. Szoferkę wozu rozjaśniło przyćmione światło. Coulter wyprostował się i przyspieszył. Nie dbał już o hałas.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i usiadł za kółkiem.

Łup!

Oślepiający blask uderzył go w twarz niczym coś materialnego. Coulter szarpnął się do tyłu, ale rękę wyciągał przed siebie. O dziwo, kluczyk zapłonu wsunął się do stacyjki. Coultera otaczały teraz czerwono-niebieskie, migające światła, zaczęły też wyc syreny. Nie zwracając uwagi na hałas i powódź świateł, wrzucił wsteczny bieg i zakręcił kierownicą, jednocześnie naciskając gaz. Terenówka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, spod kół wystrzelił żwir. Zatrzymała się, wciąż rozkołysana. Coulter uderzeniem w dźwignię zmienił bieg i wóz pomknął ile fabryka dała w stronę podjazdu wiodącego na główną drogę.

Wielki silnik furgonetki był na najwyższych obrotach. Coulter odłożył broń na fotel pasażera i zgarbił się nad kierownicą. Zaciskał na niej obie śliskie dłonie. Coś głośno trzasnęło za jego prawym uchem. Pękające szkło. Jakby ktoś rzucił kamieniem. Ale Coulter wiedział, że to nie był kamień.

Jezu, oni do mnie strzelają!

Jeszcze mocniej docisnął pedał gazu. Samochód wyrwał do przodu, a kolcowane opony wyrzuciły w powietrze żwir, piach i duże kamienie. Ma moc, skurkowany, pomyślał Coulter, gdy pęd wduślił go w oparcie. Podskok na jakimś wykrocie podrzucił go w fotelu, a kierownica zaczęła mu się szarpać w rękach. Pikap zjechał na lewo, więc Coulter ostro skrzył w prawo.

Wypadł z motelowego parkingu i nabierał szybkości na twardej nawierzchni. Wciąż słyszał wycie syren, widział łyskanie kolorowych świateł przenikające mrok, ale teraz miał je za sobą. Przed nim była tylko czarna szosa i słabo widoczna kręta żółta linia wiodąca w ciemność, wskazująca drogę ku wolności.

W szoferce zrobiło się jaśniej. Spojrzał w prawe lusterko i prawie oślepiły go reflektory wynurzające się tuż za furgonetką. Lusterko

ekspłodowało, gdy trafiła w nie kula. Z całych sił wbił stopę w pedał gazu i zwiększył dystans między pikapem a reflektorami.

Doszedł do wniosku, że powinien odpowiedzieć ogniem. Był to sobie winien. No i dzięki temu wóz patrolowy policji stanowej czy ktokolwiek, kurwa, w nim był, przestanie tak zasuwać. Lewą ręką mocno trzymał kierownicę, prawą sięgnął po broń.

Tą ręką strzelam. Pilnujcie się!

Nie będzie łatwo. Upewnił się, że auto jedzie prosto, lewą ręką ustabilizował kierownicę, po czym wykręcił się i wystawił prawą dłoń przez okno, celując za siebie.

Pistolet działał jak należy. Coulterowi udało się oddać strzał, ale nie mógł stwierdzić, czy w coś trafił. Gdy miał pociągnąć za spust po raz drugi, wóz podskoczył na wyboju. Coulterem niespodziewanie rzuciło i uderzył ręką o twardą ramę okienną, która wytrąciła mu broń z ręki. Pistolet upadł na asfalt, odbił się kilka razy i przepadł z tyłu.

No to mam przesrane.

Usiadł prosto. Znów patrzył przez przednią szybę i kierował obydwoma rękami. Pościg się zbliżał. Światła w lusterku wstecznym oślepiały, choć było ustawione na tryb nocny. Coulter przekręcił je tak, żeby blask go nie raził. Nie musiał w nie patrzeć. Wiedział, że są tuż za nim.

Po prostu jedź, do cholery! Zapomnij o broni. I tak w nic byś nie trafił. Jedź!

Coulter zobaczył, że droga główna krzyżuje się z powiatową, i w ułamku sekundy podjął decyzję. Gwałtownie skrzył w lewo. Ta trasa była węższa i bardziej wyboista. Wiedział, czego mu trzeba. Polnej drogi, po której przejedzie wielka terenówka z napędem na cztery koła, ale nie radiowóz z niskim zawieszeniem, przeznaczony do pościgów na autostradzie. Tylko tak wydobędzie się z gówna, w które wpakował go pech.

Byle dotrzeć do bagien. Wtedy... coś się wymyśli.

Znów zobaczył za sobą reflektory. Droga zaczęła się wić. Podskoczył, gdy kula wznieciła iskry, odbijając się od i tak już roztrzaskanego bocznego lusterka. Ale nie stracił panowania nad kierownicą. Zachował spokój. Wiele się o sobie dowiadywał i podobąło mu się to. Miał jaja, stać go było na więcej niż włamania do pustych domów. Był, kurwa, jak Jesse James.

Pikap mknął z rykiem, a bagna zdawały się wokół niego zacieśniać. Półtora kilometra dalej Coulter wypatrzył to, czego szukał: toporny drewniany drogowskaz informujący, że zaraz będzie rozgałęzienie dróg. Za szybko jechał, żeby dokładnie go przeczytać,

ale przygotował się, lekko naciskając pedał hamulca.

Miał ją po lewej, przerwę między bagnami. W gruncie rzeczy była to tylko wyjeżdżona trawa, ale dla wielkiej terenówki mogła uchodzić za drogę. Ledwo, ledwo.

Zamieńmy cholernego pecha w fart.

Coulter ostro skręcił kierownicę w lewo, a pikap przechylił się i przez chwilę jechał na dwóch kołach. Potem opadł do zwykłej pozycji, a przy tym idealnie wpasował się w wąską trawiastą drogę. Coulter wyrównał i zaraz wałnął głową o wyściółkę dachu, bo samochód wyskoczył w powietrze. Opadając na fotel, rozpaczliwie wymacał kierownicę i chwycił ją mocno obiema rękami. Zaciśnął zęby i ruszył na bagna za światłem rzucanym przez reflektory.

Dobrze jest. O to mu, kurde, chodziło. Podskoczył na kolejnym, mniejszym wyboju, spod przednich kół uniosły się wachlarze wody, a potem pikap zatrzymał się na amen. Razem z nim zatrzymało się serce Coultera.

Znów jego gówniany fart. Mógł się tego spodziewać. Urodził się po to, żeby życie rzuciło mu kłody pod nogi. Bóg od początku wyznaczył mu taką rolę.

Zredukował bieg, naciskając pedał gazu to silniej, to mocniej. O wewnętrzną stronę błotników łomotały kamienie i błoto, ale pikap ani drgnął. A przecież, skurczybyk, miał napęd na cztery koła!

Tylko mnie teraz nie zawieź! Proszę! Ruszaj! Ruszaj!

Skoro Bóg nie chciał mu pomóc, może zechce pomóc diabeł. Albo wszechpotężny bóg durniów w furgonetkach. Zaryczał potężny silnik. Rozkręciły się za duże opony, wyrzuciły w górę jeszcze więcej błota, złapały przyczepność, wóz szarpnął się do przodu i zaczął nabierać szybkości.

Rozradowany Coulter dodał gazu. Furgonetka zareagowała jak żywa. Jakby kochała wyzwania. Drobne gałęzie chłostały i rysowały stalowe boki pikapa. Cudowny dźwięk. Oznaczał, że bagna witały go z otwartymi ramionami, a za nimi czekała wolność. Prowadził jak szalony. Co jakiś czas rozbryzgiwał ciemną wodę, która chlapała aż na przednią szybę.

Włączył wycieraczki i jechał dalej. Droga zmieniła się w błotnisty tunel między splachciami bagna. Nawet się z tego ucieszył. Im bardziej wyboisty i podmokły teren, tym lepiej. Właśnie w takich miejscach grzęzły samochody o niskim zawieszeniu.

Po chwili Coulter zaryzykował spojrzenie w lusterko wsteczne. Zobaczył migające między drzewami przednie światła samochodów, które zostały daleko w tyle. Kiedy kilka sekund później zerknął

ponownie, widział jedynie ciemność.

Zwolnił nacisk na pedał gazu – odrobinę – i teraz już prowadził ostrożniej. Rwał mu się oddech, a serce łomotało tak, jakby chciało wyskoczyć spomiędzy żeber. Jeszcze nie wyjechał z lasu, ale i tak wyrwał mu się głośny okrzyk radości. Zgubił ich!

Nie złapiecie prawdziwego desperado! Cholera, naprawdę był niezły! Zgubił ich!

Na razie.

Wes Nobbler i Greeve pierwsi dotarli do mieszkania Ruth Malpass i skonfiskowali jej notebooka. Po tym Quinnowi i jego ekipie pozostały ochłapy. Kiedy zażyczyli sobie wydania laptopa, zostali poinformowani, że wprawdzie to Nobbler i Greeve są prawdziwymi policjantami, ale mogą się podzielić. Quinn powiadomił o tym Renza, a Renz natychmiast zadzwonił do Nobblera i urządził mu opierdół, jeden ze swoich lepszych, jasno dając do zrozumienia, kto pracuje nad sprawą torsowych morderstw. Nie Nobbler.

Nobbler niechętnie wydał detektywom Quinna kopię danych z dysku twardego. Przy jej przygotowywaniu obecni byli Pearl i policyjny informatyk; pilnowali, żeby transfer był kompletny.

Na dysku nie było nic o E-kstazie. Dane przeglądała Pearl; znalazła jakieś mejle i adresy do sprawdzenia, ale były mało obiecujące. Historia przeglądanych stron internetowych też niczego nie ujawniła. Ruth czytywała kilka gazet w wydaniu online, regularnie zaglądała na kilka stron poświęconych show-biznesowi i kilka plotkarskich blogów. Pearl zameldowała też, że Ruth często kupowała buty przez internet. Co znaczyło jedynie, że Pearl sama zaczęła się tam zaopatrywać.

Dziś Pearl i Fedderman kontynuowali rozmowy z sąsiadami Ruth, którzy zgodnym chórem twierdzili, że była wspaniałą kobietą. To samo wynikało z oświadczeń dwojga aktorów i producenta *Major Mary*, sztuki, do której Ruth projektowała kostiumy. Quinn wziął od dozorczy klucz i wszedł do mieszkania Ruth. Było w zasadzie takie, jak przewidywał, z wyjątkiem zapachu – czuć było słabą woń cynamonu. Gdzieś musiała być torebka z tą przyprawą lub coś podobnego. Praktycznie umeblowane mieszkanie znajdowało się na poddaszu, od strony południowej. Półki zastawione były albumami malarstwa, ceramiką i rzeźbami. Pod jedną ze ścian stała rama z lśniącego metalu, na której wisiały ubrania. W pierwszej chwili Quinn pomyślał, że to stroje Ruth, które nie zmieściły się do dużej dębowej garderoby, ale zaraz się zorientował, że są to jej projekty. Pod oknem zobaczył drewnianą deskę kreślarską, na której leżał duży szkicownik. Jego pierw-

sza kartka została przełożona nad górną krawędzią pochyłego blatu. W pobliżu nie było krzesła. Najwyraźniej Ruth pracowała na stojąco.

– Halo?

Quinn wzdrynął się na dźwięk głosu. Odwrócił się i zobaczył niską kobietę bez talii i z mnóstwem jasnych kręconych włosów. Ubrana była w luźne dzinsy i białą bluzkę bez rękawów. Jej niewiarygodnie duże niebieskie oczy rzadko mrugały. Wyzierał z nich lęk.

– Nazywam się Hettie Crane, mieszkam na dole – powiedziała. – Jestem sąsiadką i przyjaciółką Ruth. Kiedy usłyszałam, co ją spotkało...

Dalsze słowa zdławiły emocje.

– Rozumiem – powiedział Quinn łagodnie. Przedstawił się i pokazał odznakę.

Hettie obrzuciła ją nieuważnym spojrzeniem, ale ze swojego miejsca i tak nie mogła wiele zobaczyć. Zatrzymała się tuż przy drzwiach i stała tam jak wrośnięta, jakby wejście w głąb mieszkania wiązało się z zakłóceniem prywatności Ruth. Sposób, w jaki zginęła jej przyjaciółka, musiał wyrzucić świat Hettie do góry nogami.

– Wszystko w porządku, moja droga?

Hettie skinęła głową. Uniosła nieco podbródek i spróbowała się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy jej nie posłuchały.

– Zawsze tak ładnie tu pachniało – powiedziała. – Ruth lubiła świece zapachowe. – Jej oczy zwilgotniały. Przelknęła ślinę.

Quinn uśmiechnął się do niej i postanowił, że da jej trochę czasu na oswojenie się z nową rzeczywistością. Wiodła za nim oczyma pełnymi łez, gdy podchodził do deski kreślarskiej. Wierzchnią stronę zapełniały profesjonalne szkice strojów, chyba wojskowych mundurów, męskich i damskich. Quinn opuścił uniesioną kartkę i zobaczył na niej więcej tego samego.

– Mówi to pani coś? – zapytał Hettie, starając się, by jego ton brzmiał zdawkowo.

Zbliżyła się z ociąganiem i stanęła obok niego, skąd widziała szkice Ruth.

– To projekty kostiumów do *Major Mary* – odpowiedziała. – Wiem, bo reżyseruję tę sztukę. Premiera miała się odbyć za parę miesięcy. – Podeszła jeszcze bliżej i przyjrzała się szkicom. – I się odbędzie. Wykorzystamy pomysły Ruth. Te szkice. Prace są na wystarczająco zaawansowanym etapie, poza tym Ruth by tego chciała. – Podniosła wzrok na Quinna. W oczach wciąż miała łzy. – Sztukę wystawimy w teatrze Marlborough w Village. To komedia

muzyczna.

– Życzę powodzenia – powiedział Quinn szczerze. – Dobrze znała pani Ruth?

– Bardzo dobrze. To ona poleciła mnie właścicielowi bloku. Wielu ludzi teatru wynajmuje tu mieszkania.

– Czyli miały panie wspólnych znajomych.

– Dość wielu – przytaknęła Hettie.

– Czy Ruth była w jakimś związku?

– Uczuciowym? Seksualnym?

– Obojętnie – odpowiedział Quinn z uśmiechem.

– Jakies cztery miesiące temu zerwała ze swoim facetem. To aktor, nazywa się Buddy Erb.

– Gdzie go znajduję?

– W Los Angeles. Podkłada głos w tej reklamie, w której zaba rekomenduje towarzystwo ubezpieczeniowe, a potem spada SUV-em z urwiska. Widział pan?

– Pewnie.

– Buddy świetnie robi zabę.

– Ma ten głos – zgodził się Quinn. – Rozstanie było burzliwe?

– Nie, po prostu zmęczyli się sobą. Było już w zasadzie po wszystkim, kiedy Buddy dostał ofertę pracy.

– Tę zabią?

– Tak. W związku z tym musiał się przenieść na Zachodnie Wybrzeże.

– Okropność – powiedział Quinn. – Tam tylko słońce i surfing.

Hettie posłała mu spojrzenie. Rozumiała jego intencje – chciał, żeby się rozluźniła i rozgadała. Może powie coś, co okaże się informacją na wagę złota. Nie miała nic przeciwko temu. Chciała, żeby ten wielki policjant o topornej, ale na swój sposób przystojnej twarzy złapał zwierzę, które zabiło jej przyjaciółkę. Właśnie, ma interesującą twarz, pomyślała Hettie. Grubo ciosaną i zapadającą w pamięć. I budzącą tak wielkie zaufanie. Powinien zostać aktorem i występować w głównych rolach. Szkoda, że był dla niej o wiele za stary...

W pewnym jednak sensie był aktorem.

– Znam Buddy'ego zupełnie dobrze – powiedziała. – Jest aktorem, nie mordercą. Z tego co słyszałam, ma normalne potrzeby seksualne. Jeśli sprawdzicie, na pewno okaże się, że kiedy zabito Ruth, był na drugim końcu kontynentu.

– Sprawdźmy. Wie pani, jak to z nami jest. – Quinn przesunął opuszkami palców po szkicowniku, jakby miał nadzieję dowiedzieć się dzięki temu czegoś o autorce rysunków. – Ruth często chadzała na

randki? – zapytał.

– Trochę. Lubiła mężczyzn, ale przeważnie była zapracowana.

Zwłaszcza ostatnio, przy *Major Mary*.

– Może o kimś wspominała?

– Po Buddym? Nie.

– Czy po Buddym korzystała z serwisów randkowych?

– Wątpię. Ruth była bardzo ładna. Faceci na nią lecieli. Jeśli tylko chciała, zawsze mogła się z kimś umówić.

– Nie chciałbym zabrzmieć jak glina z serialu...

– Byłby pan świetnym serialowym gliną.

– ...ale czy Ruth miała jakichś wrogów?

– Wszyscy ją kochali. – Hettie posłała mu smutny uśmiech. – Kolejny tekst jak z serialu, ale tak było. Była wspaniałą utalentowaną osobą. Nawet wariat, który ją zabił, musiał ją kochać na swój chory sposób.

– Jak to?

– To ją wybrał, nieprawdaz?

Hettie sobie poszła, a Quinn stał na środku mieszkania Ruth Malpass i wolno się rozglądał. Wtedy pojawiła się Pearl.

– Sąsiedzi coś powiedzieli? – zapytał.

– Nic użytecznego. Wszyscy lubili Ruth. Od czasu do czasu widywano ją z jakimś mężczyzną, ale nie miała nikogo na stałe. Nie ostatnio. Była towarzyska, często słyszałam słowo „urocza”, ale raczej zamknięta w sobie. – Rozejrzała się po mieszkaniu. – A co tutaj?

– Nic niezwykłego, nic istotnego. Zupełnie jak w jej notebooku.

– Nobbler pierwszy położył na nim łapy. Myślisz, że poznaliśmy całą zawartość dysku?

– Pilnowałaś transferu plików. Ten informatyk wyglądał na rzetelnego?

– Aha. Wyglądał.

– Więc prawdopodobnie mamy wszystko – podsumował Quinn. – Nobbler wystawiłby się na piekielne ryzyko, gdyby zmanipulował taki dowód. Poza tym tylko prawdziwy ekspert od komputerów może zagwarantować, że skasowane pliki rzeczywiście na dobre zniknęły z dysku. Sama wiesz, jak z tym jest.

– No. Mejlę zostają na zawsze.

Odwrócił się, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Fedderman. Wyglądał na zmęczonego, a jego brązowy garnitur był jeszcze bardziej wymięty niż zwykle. Feds wziął na siebie górne piętra, podczas gdy Pearl działała na dolnych. Nie miał radosnej miny.

– I co? – zapytał Quinn.

Fedderman pokręcił głową.

– I nic, może z wyjątkiem kobiety, która mieszka tuż obok w takim samym mieszkaniu na poddaszu. Nazywa się Emma McKenna. Jest przemiła i taka ładna, że mogłaby być aktorką.

– Prawdopodobnie nią jest – zauważył Quinn. – Co ci powiedziała?

– Była bliską przyjaciółką Ruth. Twierdzi, że się sobą opiekowały. Ponoć Ruth zadzwoniła do niej, jak się zdaje, w dniu swojej

śmierci, i nagrała się na sekretarkę. Powiedziała, że zmieniły jej się plany, poszła do restauracji z jakimś Vladem, i żeby się o nią nie martwić, jeśli wróci później. – Fedderman wzruszył ramionami. – Emma nie zna żadnego Vlada, twierdzi też, że Ruth nigdy wcześniej o nim nie wspominała.

– Niech mnie diabli! – powiedziała Pearl.

Fedderman popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Co proszę?

Quinn i Pearl gapili się na niego.

– No co? – dopytywał Fedderman.

– Nie oglądasz History Channel? – zapytał Quinn.

Wyjaśniwszy Feddermanowi, kim był Vlad Palownik, zaczęli wyszukiwać mężczyzn o imieniu Vlad bądź Vladimir najpierw w książkach telefonicznych, a potem za pomocą komputerów. Okazało się, że w pięciu dzielnicach Nowego Jorku jest zatrzesienie Vladów i Vladimirów. Nazwiska niektórych figurowały w najróżniejszych policyjnych bazach danych, ale akurat ci z takich czy innych przyczyn nie nadawali się na podejrzanych. Jeden, który z początku nieźle rokował, był członkiem rosyjskiej mafii, ale w zeszłym roku został zastrzelony w New Jersey.

Morderca (o ile Vlad był mordercą) niemal na pewno używał fałszywego imienia. Mimo to trop należało sprawdzić. Mniej więcej raz na dziesięć lat takie podejście się opłacało. Orka poszukiwań. Renz przydzielił im młodego glinę nazwiskiem Nevins, świeżo po akademii policyjnej, żeby praca szła sprawniej. Nevins tryskał entuzjazmem. Pearl została z litości, żeby pomóc Nevinsowi, a Quinn i Fedderman wybrali się na oględziny opuszczonego przez nową Madeline mieszkania, na wypadek gdyby nie znalazła tego, po co wróciła.

– Udanych łowów – rzucił Nevins, gdy szli do drzwi.

Pearl przewróciła oczami.

Przed budynkiem, w którym było dawne mieszkanie nowej Madeline, parkował biały van. Na usuwalnej folii magnetycznej widniała nazwa firmy świadczącej usługi malarskie. Folia magnetyczna... Quinn czasami myślał, że wynaleziono ją specjalnie dla wygody przestępców.

Postanowili z Feddermanem, że nie będą zwracać sobie głowy dozorcą. Weszli do budynku, w windzie nacisnęli odpowiedni guzik i nie napotykając żywej duszy, wjechali na piętro Madeline.

Decyzja była słuszna. Jedne drzwi w korytarzu były otwarte, te od mieszkania Madeline. Quinn pierwszy przez nie przeszedł. Większą część podłogi w salonie pokrywała foliowa płachta o rozmiarach dywanu. Na drugim od góry stopniu aluminiowej drabinki stał facet w poplamionym kombinezonie i nakładał pędzlem farbę tam, gdzie ściana stykała się z sufitem.

Pomieszczenie wypełniał przyjemny, ale kręcący w nosie zapach farby malarskiej. Była koloru brzoskwiniowego. Quinn wołał poprzednią biel.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał kobiecy głos.

Z kuchni wyszła młoda kobieta w białym kombinezonie i czapce malarskiej nasadzonej na burzę marchewkowych włosów. Niosła plastikowe wiadro pełne masy szpachlowej i małą kielnię, która wyglądała na często używaną.

Quinn i Fedderman pokazali swoje odznaki. Dwójce malarzy najwyraźniej to wystarczyło. Mężczyzna na drabinie wrócił do pracy. Szefem chyba była kobieta.

– Chcielibyśmy rozejrzeć się po mieszkaniu – oznajmił Quinn.

– W poszukiwaniu śladów? – Marchewkowowłosej wymknął się uśmiech.

– Zanim je zamalujecie – powiedział Fedderman.

Uniosła brwi.

– Popelniono tu przestępstwo?

– Nie wiemy dokładnie, gdzie dokonano morderstwa – odparł Quinn. – Dlatego szukamy śladów.

Nie widział sensu w informowaniu jej, że zbrodnię popełniono gdzie indziej. Niech dziewczyna zrobi wielkie oczy. Nie zrobiła.

– Ktoś mówił o morderstwie? – zapytał malarz na drabince. Najwyraźniej był do tyłu z wiadomościami.

– Jesteśmy z wydziału zabójstw – powiedział Fedderman – więc chodzi o morderstwo.

– No pięknie – rzekł mężczyzna. – Mam nadzieję, że nie zamalowaliśmy odcisków palców.

– Pan się nie martwi – odparł Quinn. – Odciski już zdjęte.

– Przez techników kryminalistycznych?

– Słyszę, że ogląda pan telewizję – powiedział Fedderman.

– *Prawo i porządek* – przyznał malarz.

– To nasz cel – rzekł Quinn.

– No to macie szczęście – odezwała się malarka. – Dopiero co zaczęliśmy, pozostałe pokoje są jeszcze nietknięte. Nie namieszaliśmy za bardzo, prawda? Podobno większość morderstw popełnia się w sypialni albo w kuchni. Nikt nikogo nie zabija w salonie.

– Zależy, co leci w telewizji – powiedział Fedderman.

– Futbol – odrzekła malarka. – Futbol w telewizji wyzwała w mężczyznach agresję.

– Oprah Winfrey czasami też – zauważył Fedderman.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

– Pan chyba żartuje. Wszyscy kochają Oprah. Tak jak Raymonda.

– A pani chyba wdycha za dużo oparów farby – odpowiedział Fedderman.

– Rozejrzymy się zatem – wtrącił Quinn. – Dzięki.

Obawiał się, że Fedderman może na serio rozżościć rudowłosą. Już to widywał, kiedy na tapecie pojawiała się Oprah.

Mieszkanie było małe, więc nie mieli wiele do oglądania, zwłaszcza że byli w nim wcześniej.

Quinn zajął się łazienką, a Fedderman zaczął od sypialni. Apteczka została wysprzątana, podobnie jak wbudowana w ścianę mała szafka służąca do przechowywania ręczników i innych łazienkowych utensyliów. Nawet stara wanna wyglądała na doszorowaną. Z przełączników i gniazdek elektrycznych zdjęto plastikowe obudowy. Malarze już tu byli i wykonali wstępne prace. Przy umywalce leżała czysta, starannie złożona plastikowa zasłona od prysznica. Quinn wykorzystał ją jako podkładkę – ukląkł na niej, wykręcił szyję i obejrzał od spodu porcelanową umywalkę. Nie było tam nic poza rurą odpływową. Rozejrzał się po raz ostatni i dołączył do Feddermana w

sypialni.

Wysprzątano ją tak jak łazienkę. Jeśli Madeline coś tu zostawiła, zostało to sprzedane, skradzione bądź wywiezione. Z łóżka zostały tylko materac i stelaż.

– Feds, sprawdziłeś, czy czegoś nie ma pod łóżkiem?

– Zawsze sprawdzam, czy czegoś nie ma pod łóżkiem – odpowiedział Fedderman. – Nawet w domu.

Fedderman podszedł do szafy i otworzył ją. Była tak samo pusta jak ostatnim razem. Dwa czy trzy szczone wieszaki zdawały się kołysać według tego samego wzorca rytmicznego co poprzednio, niczym druciane ozdoby. Gliny zapamiętywały takie rzeczy. Wzorce.

Fedderman zabrał się do zamykania szafy.

– Zaczekaj! – przeszkodził mu Quinn, zerknąwszy do pustego wnętrza.

Pomalowana dykta na tylnej ścianie szafy, która miała może czterdzieści pięć na czterdzieści pięć centymetrów i umożliwiała dostęp do łazienkowej kanalizacji za wanną, wyglądała jakby inaczej. Coś tu...

– Czy ten panel był taki przekrzywiony? – zapytał Quinn.

Fedderman się przyjrzał. Do połowy jednej krawędzi widać było nawet pas starej farby.

– Nie. Ktoś tu był i trochę krzywo go zamocował. Może z pośpiechu.

– Albo to był partacz, a nie hydraulik – mruknął Quinn.

Ukucnął do wtóru strzelających chrząstek w kolanach. Gołą drewnianą podłogę szafy przy panelu pokrywała cieniutka warstewka białego proszku. Trochę wpadło w szczeliny między deskami. Fedderman się schylił i zajrzał Quinnowi przez ramię.

– Chcesz się założyć, co to jest? – zapytał.

Nałogowi narkomani najczęściej chowali swoje zapasy za panelem umożliwiającym dostęp do rur. Jakby nie wiedzieli, że policjanci z wydziału narkotyków zaglądną tam zaraz po sprawdzeniu spłuczki nad ubikacją.

Quinn przejechał opuszką palca po warstewce pyłu, przyłożył palec do języka, po czym roztarł pył na dziąsłach i za dolnymi zębami.

– Koka – powiedział. – Pierwszej klasy.

Fedderman się wyprostował.

– Czyli nowa Madeline bierze. Musiała zostawić zapasy podczas przeprowadzki, a potem po nie wróciła.

– Może dlatego że ktoś jej pomagał przy przeprowadzce – zasugerował Quinn.

– I wyносиła się stąd w pośpiechu. Kiedy dopadł ją głód, wróciła po towar. Nie uważała i jakoś przebiła torebkę albo rozsypało jej się trochę podczas wciągania.

– Pośpiech i drżączka – powiedział Quinn, malując to sobie w wyobraźni.

– Chyba że kombinujemy w złą stronę – zauważył Fedderman. – Może wróciła, żeby schować coś za panelem.

Quinnowi nie wydało się to prawdopodobne, ale było możliwe. Tych starych paneli zwykle nikt nie ruszał przez lata.

Skoro już klęczał, przyjrzał się panelowi dokładniej. Każdy róg mocowała do szafy duża śruba. W otworach nie było farby, a śruby wyglądały na obluźowane. Kilka płatków farby leżało pod nimi na podłodze. Bez wątplenia przy panelu ktoś niedawno majstrował.

– Feds, spróbuj pożyczycić śrubokręt od malarzy.

– Lecę.

Gdy Fedderman wyszedł z pokoju, Quinn zebrał się w sobie i podniósł się na hałasujących, rozdygotanych kolanach. Noga, w którą zarobił kulkę, nie była ani trochę bardziej chwiejna od drugiej. Czas uleciał... Quinnowi przez chwilę kręciło się w głowie. *Czuję swój wiek. Niedobrze.*

– Zwykły czy krzyżakowy?! – zawołał Fedderman z salonu.

– Przynies oba! – odkrzyknął Quinn.

Nie miał ochoty klękać po raz drugi, żeby przyjrzeć się śrubom.

Nowa Madeline nic nie schowała za szafą. Kiedy Quinn usunął sklejkowy panel, zobaczył tylko orurowanie wanny i jeszcze trochę białego proszku na podłodze. Przestrzenie między deskami podłogi były tu szersze i sporo go w nich zostało. Łatwo było odgadnąć, co się wydarzyło. Z prawej strony pozostawionego przez panel otworu sterczał wygięty gwóźdź. Był ostry i znajdowały się na nim ślady białego proszku. Quinn pokazał gwóźdź Feddermanowi.

– Musiała rozerwać o niego torebkę z koką i trochę się rozsypało.

– Widać miejsca, w których zbierała ją z podłogi i z powrotem wsypywała do torebki. Sporo wylądowało w szczelinach.

– Lepiej w nich niż u niej w nosie – powiedział Quinn. Przyłożył panel do ściany i zaczął przykręcać śruby. Kiedy już się wyprostował i niezgrabnie wycofał z szafy, dodał: – Wiemy, że jest uzależniona. A skoro straciła tu część swoich zapasów, prawdopodobnie niedługo będzie potrzebowała uzupełnienia.

– Mogą ją zwinąć chłopaki z narkotyków.

– Tego byśmy nie chcieli – powiedział Quinn.

– Więc musimy dopilnować, żeby nie poszła siedzieć za dragi. – Fedderman pokręcił głową.

– Też mi zajęcie dla policjanta. Ta nowa Madeline to prawdziwy wrzód na dupie.

– Skoro my tak o niej myślimy – odparł Quinn – to wyobraź sobie, jakim wrzodem na dupie musi być dla E-kstazy. Na pewno nie zorganizowaliby nowej tożsamości komuś uzależnionemu od kokainy.

– Może nie wiedzą o jej uzależnieniu.

– Może nie. Jak dotąd – zgodził się Quinn.

– Ale my wiemy i musimy wymyślić, jak wykorzystać tę wiedzę.

– Albo nie pozwolić, żeby nam zaszkodziła – skwitował Quinn i zamknął szafę.

Oddali malarzom śrubokręty, pokazali im, gdzie zapomnieli pomalować kawałek ściany, i wyszli z mieszkania.

Skóra swędziała ją od wewnątrz. Maria Sanchez – nowa Madeline – nie mogła usiedzieć w miejscu. Jorge czułby obrzydzenie, widząc ją w tym stanie. Gardził ludźmi z branży, którzy uzależnili się od własnego towaru. Ciekawiło ją, co by zrobił, gdyby dowiedział się, że zaczęła brać i stała się kokainistką. Bo zdawała sobie sprawę, że jest kokainistką. Teraz, w tym konkretnym momencie, zdawała sobie z tego sprawę bardziej niż kiedykolwiek.

W mieszkaniu, do którego E-kstaza.org przeniosła ją w pośpiechu z poprzedniego, zajmowanego przez dawną Madeline, czuła się jak w pułapce. Kiedy już postanowili, że powinna się przeprowadzić, pilnowali jej na każdym kroku. Chcieli wyeliminować wszelkie błędy, mieć pewność, że nie pozostanie nic, dzięki czemu można będzie ją namierzyć. Nie zostawili jej samej nawet na tak krótko, żeby mogła wyjąć zapasy ukryte za panelem w sypialnianej szafie, który dawał dostęp do kanalizacji w łazience. Dlatego musiała po nie wrócić.

Wróciła więc, żeby zabrać, co swoje, zanim wprowadzi się ktoś inny. Za długo jednak zwlekała, była roztrzęsiona. Wyjmując w pośpiechu plastikową torebkę zza panelu, zahaczyła nią o gwóźdź i rozerwała. *Szlag!* Z torebki wysypała się co najmniej połowa pierwszorzędnej kokainy. Trochę udało jej się zebrać, ale reszta była stracona. Wpadła w szczeliny między deskami podłogi. *Normalka w moim zasranym życiu. Będą tu mieli od groma naćpanych karaluchów.*

Rozchichotała się na tę myśl. Przestała, gdy włączyła się wyobraźnia. To nie było zabawne. W najmniejszym stopniu.

Z powrotem umocowała panel i szybko się wyniosła. Przekonana, że nikt jej nie widział, wróciła do swojego mieszkania.

Przetrwiała jakiś czas na koce, ale ta szybko się skończyła i rozpoczęło się oczekiwanie. Niejednokrotnie widziała, co dzieje się z innymi kokainistami, i wiedziała, jak to będzie wyglądać.

Zaczęło się szybciej, niż się spodziewała, i szybko się nasilało. Siedziała z podkurczonymi nogami w rogu wytartej sofy. Najpierw się

trzęsła, a teraz zrobiło jej się gorąco. Biły na nią poty. W tej cholernej norze temperatura zawsze była nieodpowiednia, w jedną bądź drugą stronę. Maria nawykła do innych warunków. Palmer Stone obiecał jej kolejną przeprowadzkę do lokalu, w którym z kranów nie płynie brązowa woda. Maria była na to gotowa w każdej chwili.

Wstała i zaczęła kręcić się po mieszkaniu. Musiała się przejść, musiała być w ruchu. Przyszły jej na myśl przeczytane kiedyś słowa: „Wszystkie nieszczęścia świata powodują ludzie, którzy nie potrafią samotnie usiedzieć w pokoju”⁴. Czyż to nie święta prawda? A najgorsze nieszczęścia sprowadzają na własną głowę.

⁴ Przekręcony cytat z *Myśli* Pascala, który w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego brzmi następująco: „(...) całe nieszczęście ludzi pochodzi z jednej rzeczy, to jest że nie umieją pozostać w pokoju, w izbie”.

Proszek, który udało jej się uratować, skończył się błyskawicznie. Maria aż się zdziwiła. I wystraszyła. Nie zdawała sobie sprawy, jak dużo bierze, i to z coraz większą częstotliwością, z coraz większym głodem. Nawet nie podejrzewała, że wpakowała się w taki pasztet.

Stone ostrzegał, że powinna uważać, zwłaszcza przez pierwsze pół roku. *Pół roku!* Nie miał pojęcia, czego żądał. Maria popadała w niewątpliwe totalne szaleństwo. Zaczęła się drapać po ramionach i szyi. Obgryzione paznokcie zostawiały ślady na skórze. Wiedziała, że jeśli szybko nie nawiąże jakichś kontaktów i nie zdobędzie działki, zostanie telepiącą się ruiną człowieka. Widywała już ćpunów zderzających się z rzeczywistością. Jej zdaniem byli żałośni. Słabi, godni pogardy. Nie była pewna, czy teraz, kiedy stała się jednym z nich, zmieniła zdanie. Czuła się słaba i godna pogardy.

Będzie musiała wkrótce zaryzykować, bo inaczej zrobi się za późno. Kiedy zaczną się mdłości – a niedługo się zaczną – stanie się takim wrakiem, że nikt jej nic nie sprzeda. Nie będzie w stanie zdobyć jakiegokolwiek narkotyku, a jeśli nawet uda jej się nawiązać kontakt z dilerem, jej desperacja będzie tak oczywista, że zedrą z niej skórę. Najbardziej żałosne było to, że sama chętnie wszystko odda, żeby tylko dostać najmniejszą dawkę... czegokolwiek, byle pomogło. Nie wolno jej doprowadzić się do stanu, w którym będzie gotowa zrobić wszystko za godzinę zbawienia.

Podjęła mądrą i rozważną decyzję. Musi zadziałać, zanim będzie za późno. Palmer Stone na pewno zrozumie, jeśli mu wszystko wytłumaczy. Byle tylko zechciał jej wysłuchać i przemyśleć sytuację.

Usiadła, znowu wstała i pokręciła się jeszcze trochę. Znalazła się w kuchni, choć nie pamiętała, żeby do niej wchodziła. Otworzyła lodówkę i wyjęła z zamrażalnika butelkę wódki. Została jeszcze połowa. Nie tego potrzebowała, ale alkohol pomoże, nawet jeśli tylko

na chwilę.

Odkręciła butelkę i wlała sobie do gardła lodowatego napoju, który wprawdzie zgęstniał pod wpływem temperatury, ale zachował swoje właściwości. Na jakiś czas złagodzi głód i udrękę. Bo Maria kupowała sobie czas. Tak, właśnie to robiła, kupowała czas, zabijała czas i wariowała.

Lecz kupiony czas tracił na wartości z minuty na minutę.

Podniosła pilota i włączyła telewizor. Leciąły wiadomości. Jakiś wieśniak, zastępca szeryfa czy ktoś taki z jakiejś dziury na południu, udzielał wywiadu źle uczesanej kobiecie w ciasnym sweterku. Nie słyszała rozmowy, bo dźwięk był ustawiony za nisko, ale przesuwa-
jące się u dołu ekranu napisy powiedziały jej, że w Luizjanie widziano i omal nie ujęto Toma Coultera, podejrzanego o dokonanie torsowych morderstw. Maria się roześmiała. Nawet w jej uszach ten śmiech zabrzmiał cokolwiek szaleńczo. Wyłączyła telewizor i rzuciła pilota na sofę. *Szalony świat! Po prostu szalony!*

Chodziła z pokoju do pokoju z butelką w ręce, wciąż wydeptując ten sam szlak rozpaczy na poprzecieranym dywanie i uginających się deskach podłogowych. Stone może nie zrozumieć, może mieć to gdzieś. Lubił dużo gadać, ten Palmer Stone. Pieprzył od rzeczy. Aż za dobrze znała takich jak on. Nie mogła na niego liczyć, ale też nie musiała. Jediną osobą, na którą mogła liczyć w tym oszalałym, niesprawiedliwym świecie, była ona sama. Musiała w jakiś sposób znaleźć kontakt, i to szybko.

Boże, szybko! Jak najszybciej.

Chciała usiąść, ale nie mogła. Coś jej na to nie pozwalało.

„Wszystkie nieszczęścia świata...”

Siedzieli w biurze na Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Klimatyzator okienny hałasował i kaprysił, w dodatku był przekorny. Obecnie w biurze było za ciepło. Pearl wczuła się w rolę gospodyni (co było do niej zupełnie niepodobne) i zaparzyła wszystkim kawę. Rozniosła kubki i postawiła je na okrągłych korkowych podkładkach, które nie wiadomo skąd wytrzasnęła. Podkładki reklamowały jakieś mocne piwo, o którym Quinn nigdy nie słyszał. W cieple, które wytwarzał niesprawny klimatyzator, Quinn i Fedderman nie mieli specjalnej ochoty na kawę, ale od czasu do czasu po nią sięgali, żeby nie denerwować Pearl.

– Nowa Madeline musiała napędzić E-kstazie stracha – powiedział Quinn. – Na początku mieli problem z prawdziwą Madeline Scott, która jakoś uciekła, zamiast dać się zabić. Nowa Madeline

musiała nabrać podejrzeń, kiedy spotkała Jill w windzie, i dlatego zorganizowali jej przeprowadzkę. Dzięki Pearl – zerknął na nią, przycupniętą na brzegu biurka – wiemy, gdzie obecnie mieszka.

– Wiemy też, że potrzebuje koki – uzupełnił Fedderman.

– Będziemy jej pilnować – odparł Quinn. – Wyłączymy z tego Pearl, bo Madeline już ją widziała. W swoim czasie nowa Madeline będzie nieocenionym świadkiem oskarżenia.

– Mamy na nią haka – dorzucił Fedderman. – Poważny zarzut o posiadanie. Pójdzie na ugodę i będzie współpracowała.

– O ile jej nie zabiją – zauważyła Pearl.

Rozumiała, dlaczego nie weźmie udziału w obserwacji. Nie tylko mogła zostać rozpoznana, ale przede wszystkim będzie zajęta odgrywaniem Jewel i czuwaniem nad Jill Clark. I wciąż czuła, że Greeve ją śledzi, choć ani razu go nie wypatrzyła. Nie bez powodu nosił ksywkę Duch. Jeśli nie wiedział o nowej Madeline, nie było sensu go do niej prowadzić.

– Będziemy ją obserwować z dwóch powodów – powiedział Quinn. – Żeby ją chronić i żeby dowiedzieć się, dokąd chadza. Wszystko wskazuje na to, że utrzymuje sporadyczne kontakty z Ekstazą.

– Ma być naszą przynętą? – zapytała Pearl.

Przylapanie Tony'ego Lake'a albo Vlada czy jakiego tam nazwiska akurat używał – a może nawet samego Palmera Stone'a? – na próbie zamordowania nowej Madeline byłoby sukcesem. Bo mogą podjąć taką próbę, jeśli odkryją, że jest narkomanką, słabym punktem. Zagrożeniem.

– Rozegramy to dyskretnie – powiedział Quinn. – Renz przydzieli nam pomoc, tajniaków, którzy nie puszczą pary z ust. A ja ściągnę Nancy Weaver, która zastąpi Pearl. Już raz nam się przydała. Jest dobra i możemy jej ufać, zwłaszcza jeśli zwęszy możliwość awansu. W tym gronie będziemy chodzić za Madeline trop w trop.

– Kiedy zaczynamy? – zapytał Fedderman.

– Renz już umieścił tajniaka przed jej blokiem. Wczorajem ktoś z nas go zluzuje. Ponoć Madeline nie wyściubia nosa z domu, nie podnosi nawet żaluzji.

– Boi się – powiedział Fedderman. – To dobrze.

– Mogą jej się kończyć narkotyki – podsunął Quinn.

– Też dobrze.

– To będzie dla niej koszmar.

– Sama wsiadła na ten wózek – wzruszył ramionami Fedderman.

– Z tego co wiem, nikt jej nie zmuszał.

– Tymczasem przejrzyjmy akta sprawy Ruth Malpass – zadysponował Quinn. – Sami poszukamy czegoś przydatnego, zwłaszcza jakichkolwiek powiązań z E-kstazą.

– Weaver? – dopytała Pearl. – Weaver ma mnie zastąpić?

Pytanie nie wzięło się znikąd i Quinn się go spodziewał.

– Weaver – potwierdził. Starał się przybrać ton, który zniechęci Pearl do dramatyzowania.

Pearl nie była zachwycona włączeniem Nancy Weaver do sprawy. Nie przepadały za sobą, być może dlatego, że podobieństwa rodzą pogardę. I rywalizację. Łączyła je ta sama nieustępliwość w pracy, a także umiejętność doprowadzania bliźnich do szału. W odróżnieniu od Pearl Weaver przynajmniej nie była w gorącej wodzie kąpana. Quinn musiał jej to przyznać.

– Weaver znów pracuje w mundurze – powiedziała Pearl. – Dostała jakiś gówniany przydział w Brooklynie. Przyłapano ją na puszczaniu się z żonatym porucznikiem z obyczajówki.

– Pasuje – skomentował Fedderman. – W końcu od czego jest obyczajówka?

Quinn wolałby, żeby Fedderman sobie odpuścił. Mógł doprowadzić Pearl do wybuchu, a to nie miało sensu.

– To przez nią słowo „policja” ma taką samą końcówkę jak „kopulacja” – dorzuciła Pearl.

– Ale jest dobra w tym, co robi – powiedział Fedderman. – Znaczący w policyjnej robocie. – Spróbował upić łyk nieznośnie gorącej kawy, ale mu się nie udało. – Temperatura wrzenia. Niemalże – dodał, patrząc przy tym nie na kawę, lecz na Pearl.

– Weaver chodzi tylko o awans – nie przestawała Pearl.

– Jeśli ma go dostać za pomoc w rozwiązaniu tej sprawy, to nie mam nic przeciwko temu – powiedział Quinn. – Weaver ma swoje wady, ale jest też bystra i zaradna. Renz na potrzeby śledztwa przywróci ją do pracy w cywilnym ubraniu, a ona będzie harowała do upadłego, żeby w nim zostać.

Pearl pociągnęła nosem.

– Weaver ma problemy z pozostaniem w jakimkolwiek ubraniu.

Fedderman posłał jej zbolące spojrzenie.

– Zjedź z niej wreszcie, Pearl.

– Tylko nie rób jej trudności – rzucił Quinn tonem, jakim zwykł ostrzegać ludzi: niemożliwym do zignorowania. Jakby Pan Bóg przemawiał z wysokości.

– Przecież mnie znasz – odpowiedziała Pearl.

Czasami lepiej nie odbierać dzwoniącego telefonu.

Victor był sam w biurze E-kstazy i dlatego to on porozmawiał z Marią Sanchez.

Wciąż jeszcze był błądy i ewidentnie wściekły, kiedy przyszedł Palmer Stone w garniturze od Armaniego i ze skórzaną aktówką Hansom and Coach. Jego przystojna twarz miała zwykły dobrotliwy wyraz, przywodzący na myśl tatę z sitcomu, który nigdy nie podniósł ręki ani głosu na serialową żonę lub dzieci.

– Czyżby coś się wydarzyło, Victorze? – zapytał z marsem na czole.

Postawił aktówkę przy biurku i usadowił się na swoim skórzanym fotelu obrotowym. Victor równie dobrze mógłby być jego synem w trudnym wieku.

Zgarbiony na sofie Victor przestał zagryzać dolną wargę.

– Przed chwilą dzwoniła tu ta pieprzona Sanchez. Gadała, jakby jej odbiło. Nawet nie używała nazwiska Madeline Scott, mówiła o sobie per Maria. Jakby Maria Sanchez jeszcze istniała.

Zatroskany mars, teraz już szczerzy, pozostał na symetrycznej twarzy Stone'a jak przyklejony.

– Nie sądziłem, że jeszcze się odezwie. Wydawało mi się, że pojęła zasady i konieczność ich przestrzegania.

Gdy już klient przybrał nową tożsamość, nie było żadnego powodu, żeby kiedykolwiek kontaktował się z E-kstazą. Ponieważ przestał istnieć. Stara tożsamość pozostała najwyżej w jakiejś starej gazecie lub niszowej bazie danych. Każdemu specjalnemu klientowi jasno dawano do zrozumienia, że na tym polegał sens całego przedsięwzięcia: na wytyczeniu granicy między starą a nową rzeczywistością. Madeline Scott (Stone już nie pozwalał sobie na nazywanie jej w myślach Marią Sanchez) wydawała się na tyle inteligentna, żeby to zrozumieć, a co za tym idzie, można ją było bezpiecznie włączyć do grona klientów specjalnych. Pozory najwyraźniej myliły. Stone czuł, że narasta w nim niepokój, ale stłumił rozdrażnienie. Na tę emocję nie mógł sobie pozwolić. Pamiętał, że rymowała się z „zagrożenie”.

Nerwy szkodziły interesom na niejeden sposób.

Widział, że Victorowi jeszcze nie przeszła złość po rozmowie telefonicznej. On też mógł stanowić problem. Ciekawe, czy Gloria zajęłaby się Victorem, jeśliby ją o to poprosić?

Później będą się tym przejmował. W tej chwili martwiło go zdenerwowanie Victora.

– Zatem czego chciała nasza kłopotliwa klientka specjalna? – zapytał.

– Mówiła, że chce dostać lepsze mieszkanie, które jej obiecaliśmy. Chce pieniędzy. Chce, żebyśmy ze swej strony dotrzyмали warunków umowy. Chce zmiany. Chce, chce, chce!

Stone się uśmiechnął.

– Sporo chce.

– Nie – odparł Victor. – Moim zdaniem chce tylko jednego.

Działki.

Stone rozważał to przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Niemożliwe, żeby Maria Sanchez była narkomanką. Obracała się wśród towaru, ale nie brała. Ktoś z jej pozycją nie przetrwałby długo, gdyby choć tknął narkotyków.

– Chyba że jej nałóg nie stał się problemem.

– Nałóg zawsze staje się problemem – powiedział Stone. – Czy raczej na tyle często, że nie warto ryzykować. Ludzie, którzy siedzą w tej branży, potrafią rozpoznać uzależnienie.

– Może problem nie zdążył rozwinąć się na tyle, żeby dało się go zauważyć.

Stone nie odpowiedział. To było możliwe. Niepokojąca opcja. Firma mogła odziedziczyć rodzący się problem, który dopiero wyrośnie na potwora.

– Rozpoznałem objawy, Palmerze. Wiem, jak mówią kokainiści, zwłaszcza zdesperowani. Suce odbija.

– Nadal wątpię, żeby problemem były narkotyki – powiedział Stone.

– Jeśli nie jest miotającą się ćpunką, to z pewnością tak brzmiała. Szkoda, że jej nie słyszałeś, Palmerze. Nawijała, jakby miała coś z głową. Zresztą gdyby była normalna, to w ogóle by tu nie dzwoniła.

Stone wspomniał opanowaną kobietę, z którą osobiście przeprowadzał rozmowę kwalifikacyjną. Wspomniał jej kartotekę, sięgającą czasów dzieciństwa. Jako dziewczynka była, można powiedzieć, buntowniczką, ale z tych mądrzejszych. Kiedy w czasie studiów poznała męża, należała do najlepszych na roku. Stone znał nawet jej iloraz inteligencji, który mieścił się w górnych granicach. Pamiętał,

jak zwięźle i prawidłowo odpowiadała na jego pytania, pamiętała spokojną, oceniającą inteligencję w jej chłodnych niebieskich oczach. Potrafił rozpoznać ogładę i klasę, kiedy miał je przed nosem. Maria Sanchez się kwalifikowała.

– Zadzwoń i rzeczowo z nią porozmawiam – powiedział. – Nie martw się, Victorze, uspokoję ją.

Victor pomyślał, że zna pewniejszy sposób na uspokojenie tej wariatki, nowej Madeline Scott. Sposób, który dla niego będzie przyjemny, a dla niej nie. Nic jednak nie powiedział i z wysiłkiem odwrócił myśli od możliwości, które już w nim narastały. Nowy Victor będzie snuł wyobrażenia o nowej Madeline, ale później. Nie podejmie też pod ich wpływem żadnych działań. Nie zbliży się do niej. Gra nie była warta świeczki. Madeline była klientką firmy i nią pozostanie. Wiedział, że ta sytuacja wymaga wciskania kitu, a nikt nie robił tego lepiej niż Palmer Stone. Był w tym mistrzem.

Victor podniósł się z sofy, przeciągnął się i skinął głową.

– Jak sobie życzysz, Palmerze.

Jill widziała, że Tony'ego zaczyna to męczyć. A może nawet trochę dziwić. Odwiedził ją niespodziewanie tego wieczoru, a dwie minuty później do drzwi zapukała Jewel. Uprzykrzona Jewel, bariera na drodze do łóżka. Gadatliwa, a czasami wręcz natrętna Jewel. Nie łapała aluzji i nie dawała się odstraszyć. Tony i Jill byli na nią skazani. Jill za każdym razem to sugerowała. Za jej plecami robiła do Tony'ego miny mówiące: „I co tu z taką zrobić?”.

Kiedy Tony przyszedł, Jill była na bosaka. Gdy tylko pojawiła się Jewel, Jill włożyła buty. Tony chyba uznał to za zły znak.

– Wybierzmy się gdzieś. Wrzucimy coś na ząb – zaproponował, wstając z sofy.

– Znakomity pomysł! – ucieszyła się Jewel.

Tony zerknął na Jill.

– Miałem na myśli...

– ...nas troje – przerwała mu Jill.

Patrzył na nią i już go nawet nie obchodziło, jak Jewel odbierze to spojrzenie. *Dlaczego to powiedziałaś? Do cholery, co się z tobą dzieje?*

Niewątpliwie Jill widziała w Jewel bardziej przyjaciółkę niż natrętą, wobec czego nie chciała zranić jej uczuć. Jeśli Jewel w ogóle miała jakieś uczucia. Tony mógł iść o zakład, że potrafi je w niej obudzić. Od czasu do czasu łapał się na tym, że się jej przygląda i taksuje ją wzrokiem. Niska kobieta o świetnym ciele, gdyby tylko

przestała tak je zakrywać. Szczupła talia, wielkie cycki i tyłek. Zastanawiał się czasami, jak Jewel wygląda nago. Jill przyłapała go raz na takim spojrzeniu i musiał szybko kombinować, żeby wyszło niewinnie. Ale Jill łatwo było zwieść. Zdaniem Tony'ego dotyczyło to większości kobiet. Tylko im się wydawało, że są mądre, dzięki czemu tym prościej było je nabrać.

– Możemy znowu pójść na pizzę – powiedziała Jewel.

Kilkakrotnie jedli we trójkę w pobliskiej pizzerii.

– Świetnie! – Jill spojrzała na Tony'ego.

– Może być. – Tylko na tyle się zdobył.

Skierowali się do drzwi. Jill się ociągała i pozwoliła Jewel wysforować się do przodu. W korytarzu, gdy Jewel była jakieś sześć kroków przed nimi, Jill wyciągnęła szyję i szepnęła Tony'emu do ucha:

– To moja przyjaciółka. Nie chcę być dla niej niemiła.

Wyczuwała napięcie Tony'ego, słyszała je w jego oddechu. Jak długo można ciągnąć tę szaradę, zanim zaczniesz coś podejrzewać? A jeśli zaczniesz, co wtedy zrobi? Zaczęła się obawiać, że może poznać odpowiedź jeszcze tego wieczoru. Ale wtedy jego twarz rozjaśnił piękny uśmiech. Zgodny Tony. Taki, jakiego znała. Gdy zbliżyli się do windy, pochylił się ku niej, nadal uśmiechnięty, i odpowiedział szeptem:

– Hej, rozumiem. Co z taką zrobić? – I pocałował Jill w ucho.

Wbrew sobie poczuła, jak coś w niej topnieje.

To morderca. Ale czasami trudno było o tym pamiętać.

Ucisnął jej rękę, delikatnie i z miłością, dając do zrozumienia, że naprawdę rozumie, jakim strapieniem jest dla niej Jewel.

– Nie martw się, kochanie – powiedział cierpliwie. – Prędzej czy później zostaniemy sami. Tylko we dwoje. Dopilnuję tego.

Po kręgosłupie Jill przemaszerowało coś obdarzonego tysiącem nóg.

Tom Coulter zajął miejsce przy małym drewnianym stoliku w Rodney's Roadhouse. Pił przy nim również zeszłego wieczoru. Powietrze oprócz dymu tytoniowego wypełniał zapach zwiertzałego piwa zmieszany z odorem zastarzałego potu. Nikt w Rodney's nie obawiał się wdychać tej mieszanki.

Lokal był wąski, ale długi. Po prawej stronie od wejścia znajdował się bar. Stoliki były po lewej, a kilka z nich stało w głębi, za ladą, gdzie światło było gorsze. Jego źródłem w tej części lokalu były głównie kasetony z reklamami piwa: myśliwy trzymający butelkę etykietą do przodu i pozujący przy zabitym koźle, dziewczyna w skąpym bikini swobodnie pijąca browarka w trakcie jazdy na nartach wodnych, sławny bejsbolista, już były i niezwiązany kontraktem, trzymający na wpół opróżniony oszroniony kufel i uśmiechający się szeroko z wąsem z piany nad górną wargą. Między tym wszystkim upchano kilka reklam papierosów. Większość z nich zdawała się mieć dobrych dwadzieścia lat, podobnie jak sama knajpa.

Na stoliku Coultera ktoś dawno temu wyrył inicjały, obecnie niemal ledwo już widoczne. Był to stółik najbardziej oddalony od baru; znajdował się blisko krótkiego korytarza wiodącego do tylnego wyjścia z drzwiami z podartą siatką przeciw owadom. Sącząc piwo, Coulter mógł ze swojego miejsca obserwować wszystko, co działo się w Rodney's, i w razie czego szybko wydostać się na zewnątrz. Za tylnym wyjściem było bagno, na którym Coulter już raz się zaszył i mógł zaszyć się ponownie. Choć był mieszczuchem z krwi i kości, bagno stawało się jego niezawodnym przyjacielem, który na wezwanie udzieli mu schronienia.

Rodney, mniej więcej pięćdziesięcioletni facet zbudowany jak worek ziemniaków, z dopełniającą obrazu gruzłowatą twarzą, co jakiś czas osobiście sprawdzał, czy Coulterowi zostało wystarczająco dużo piwa w butelce. W miejscach takich jak to nie podawano szklanek.

Dopiero po drugim podejściu Rodneya Coulter zauważył, że właściciel ma szklane prawe oko, które nie pasowało do lewego. A może było na odwrót?

Był już prawie wieczór i do zajazdu zaczęli schodzić się stali klienci. Przy barze siedziało sześciu typów wyglądających na robotników budowlanych. Na dwóch ostatnich stołkach przy bliższym wyjścia końcu lady przycupnęły dwie nieatrakcyjne kobiety w dżinsach i T-shirtach bez rękawów. Coulter już pierwszej nocy zorientował się, że były to dziwki pracujące w lokalu. Jedna z nich wtedy do niego podeszła. Nazywała się Cathy Lee, była przysadzista i z wyraźną dumą obnosiła się z imponującym dekoltem. Używała stanowczo za dużo różanych perfum, miała szopę jasnych włosów i słodką twarzyczkę dwudziestolatki, z której spoglądały czterdziestoletnie oczy. Kupił jej drinka i wstawił bajer, ale nie aż taki, żeby nie odeszła w poszukiwaniu lepiej rokujących klientów.

Cathy Lee wyczuła jego spojrzenie, obróciła się i z uśmiechem skinęła głową. Ale nie ruszyła się z miejsca. Sądziła, że i tak prędzej czy później wylądują w łóżku. Coulter pomyślał, że w innych okolicznościach miałaby rację. Mógłby zrobić sobie z niej prezent na odchodne, ale to nie był odpowiedni czas. Miał inne plany na wieczór.

Teraz już zajęta była ponad połowa stolików. Oddychało się ciężko. W powietrzu wisiała bagienna wilgoć; było też przesycone niemiłymi zapachami wypierającymi się nawzajem. Rozmowy i śmiechy stawały się coraz głośniejsze, a z zamontowanych wysoko na ścianach głośników płynął lament jakiegoś piosenkarza country, śpiewającego o człowieku, który niechcący zabił żonę, strzelając do jej kochanka. Gość miał takiego samego farta jak ja, pomyślał Coulter.

Sz szczególnie interesowali go dwaj wyglądający na twardzieli mężczyźni siedzący przy jednym ze stolików. Pierwszy mniej więcej wzrostu Coultera, tyle że jeszcze chudszy, z rudą szpeciną na twarzy, chociaż był szatynem. Drugi, niski, ale szeroki w barach, miał ogoloną głowę. Na obu przerośniętych bicepsach wytatuował sobie – kto by pomyślał – sploty drutu kolczastego.

Młotki z bagien, pomyślał Coulter. Co jakiś czas ktoś podchodził do obu mężczyzn, coś sobie przekazywano z rąk do rąk, chyba pieniądze, klepano się po plecach, przybijano piątki, wymieniano uśmiechy. Coulter nadstawił ucha i dosłyszał, że wysoki chudzielec nazywa się Joe Ray. Na krępego wołali Juan, chociaż na oko w jego żyłach nie płynęła ani kropla latynoskiej krwi. Coulter domyślił się, że handlowali narkotykami, najprawdopodobniej metą. Ostatnio nie był na bieżąco z wiadomościami, ale wiedział, że ta część Luizjany była krainą metamfetaminy. Po tym, jak eksplozja zabiła dwóch mężczyzn warzących towar w przyczepie kempingowej niedaleko szosy, szeryf

obiecał, że doprowadzi do zamknięcia laboratoriów. *Szeryf. Dziki Zachód. Nie wiedzą, ciotki, że największy desperado w kraju siedzi między nimi i popija budweisera. Gdyby wiedzieli, że tu jestem i jaki mam plan, posraliby się w nachy.*

Coulter nie tracił czasu w Rodney's, nie obijał się. Obserwował, czekał i kombinował. Wiedział, że niedługo ziemia zacznie mu się palić pod nogami. Nie mógł sobie pozwolić na zbyt długi pobyt w jakimkolwiek miejscu. Wielkiego F-150 ukrył na bagnach i generalnie w nim mieszkał. Nie chciał go za często przestawiać. Dzienniki w całym kraju na pewno podawały wygląd samochodu i numery rejestracyjne.

Joe Ray i Juan, kolesie od mety, mieli furgonetkę. Zdezelowanego pikapa dodge'a, który w krainie bagien nie zwracał niczyjej uwagi. Składał się głównie z wgnieceń i rdzy, ale jeździł na legalnych blachach. A chłopaki na pewno ukrywali u siebie kasę z narkotyków.

Dzisiaj Coulter przyproceedził F-150 na żwirowy parking i zostawił go daleko z tyłu, pod drzewami. Tablice rejestracyjne przemyślnie zasmarował czarnym bagiennym błotem, więc gdyby kogoś naszła ciekawość, nie odczytałyby większości liter i cyfr. Ten model Forda był wyjątkowo popularny i na parkingu stało ich kilka, zatem Coulter zostawił samochód bez większych obaw.

Kiedy kolesie od mety opuszczą tej nocy Rodney's, Coulter pojedzie za nimi tam, gdzie zwykli nocować, przytrzyma ich pod lufą i zamieni się z nimi na furgonetki. Będzie musiał wytłumaczyć tępym osłom, jak stoją sprawy. Nie zgłoszą kradzieży, ponieważ gdyby Coultera złapano, wysypałby ich lewy narkotykowy interes. F-150 będą mogli pomalować, może nawet załatwią sobie dowód zakupu ze złomowiska i będą mogli używać wozu, jak długo zapragną. Tacy jak oni mieli dojścia. Wsioki przepadają za furgonetkami.

Coulter spodziewał się, że kolesie chętnie pójną na wymianę, jak już sobie wszystko przemyślą. Owszem, stracą trochę kasy, ale w zamian za swój złom na kółkach dostaną nowego drogiego pikapa. To się nazywa interes.

Jego plan obejmował jeszcze jedno. Zanim odjedzie ich gruchotem z całą ich kasą, nie omieszka im powiedzieć, że zostali obrobieni przez najbardziej poszukiwanego zbiega Ameryki. Dla takich kmiotków będzie to zapewne największe wydarzenie w życiu. Ale nikomu o tym nie opowiedzą. Nie będą mogli. W ich najlepszym interesie będzie leżało, żeby Coulter nie został złapany. A już na pewno nie w tej kupie rdzy, którą nazywali samochodem. Poza tym w głębi serca będą prawdopodobnie po jego stronie. Społeczne wyrzutki trzymają się

razem, ściśle jak cuchnące błoto z tutejszych bagien.

Dumny z siebie Coulter napił się piwa i spod półprzymkniętych powiek obserwował, jak pieniądze przechodzą z rąk do rąk. Wkrótce znajdą się w jego rękach.

Musiała coś zrobić. Musiała się ruszyć!

Maria Sanchez postanowiła, że rozchodzi część tej energii, która kumulowała się w niej jak w bombie atomowej osiągającej masę krytyczną.

Wyszła ze swojej nory, przed budynkiem głęboko odetchnęła i skręciła w prawo. Wieczne powietrze było chłodniejsze w porównaniu z upałem za dnia, ale niewiele. Nagrzany w słońcu miejski beton wciąż emanował żarem.

Pokonywała chodnik niemal biegiem, ale po kilku przecznicach zorientowała się, jak ciężko dyszy, i zwolniła. Wyszła bez żadnego konkretnego celu, ale skoro już zmierzała w stronę Columbus Circle, to równie dobrze mogła tam dojść. Jeśli świerzbący ją w gardle krzyk przez ten czas zniknie, wróci do mieszkania i spróbuje wytrzymać jeszcze jakiś czas, zanim ponownie wyjdzie, tym razem żeby zaryzykować dokonanie zakupu.

Do Columbus Circle i z powrotem. A później, jeśli powróci głód...

Był to zawsze jakiś plan.

Planuj, bo oszalejesz!

Kiedy już wróci, może nie będzie musiała wychodzić przez całą noc. Napije się alkoholu – choć wolałaby się odurzyć czymś innym – i będzie oglądała jakieś fatalne programy telewizyjne na nędznym odbiorniku stojącym w rogu salonu, dopóki nie poczuje się na tyle zmęczona, żeby zasnąć. Palmer Stone miał rację – najmądrzejszą, jedyną sensowną strategią było uzbroić się w cierpliwość i nie rzucać się w oczy.

Ale to nie w gardle Palmera Stone'a uwiązł krzyk.

Co ona, do cholery, zamierza?

Nancy Weaver, która obserwowała blok z przeciwnej strony ulicy, zobaczyła, że Madeline wychodzi z domu swobodnie ubrana w brązowe spodnie, białe buty do biegania i czerwoną tunikę spiętą w talii grubym brązowym pasem o dużej sprzączce. Zaczęła ją śledzić, trzymając się przeciwnego chodnika.

Już po kilku krokach zrozumiała, że nie będzie to łatwe. Ta cholerna baba prawie biegła! Weaver była niższa, a na nogach nie miała butów do biegania, lecz niezgrabne czarne policyjne buciory. Co jakiś czas robiła kilka długich susów, żeby nadążyć za Madeline. Inaczej musiałyby puścić się biegiem, a jej buty, blezer i spódnica nie były strojem do joggingu. Przyciągałaby uwagę. Może też uwagę Madeline.

Na Broadwayu Madeline nareszcie zwolniła.

Weaver trzymała się daleko z tyłu. Dyszała, sapała i wierzchem dłoni ocierała brwi z potu. Nie chciała spieprzyć tego czasowego przydziału. Poza Quinnem nie wierzył w nią już chyba nikt. Wiedziała, że szepnie za nią słówko, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Był twardym facetem i prawdziwym gliną; dostrzegł w niej żyłkę detektywistyczną. I miał wpływy. W mgnieniu oka mógł z powrotem przenieść ją do roboty w cywilnym ubraniu. Później Weaver sama sobie poradzi. Tak, poprzednio była głupia, narobiła sobie kłopotów i znów musiała włożyć mundur. Ale to się nie powtórzy. Weaver do tego nie dopuści.

Madeline jeszcze bardziej zwolniła, można powiedzieć, że szła spacerkiem. Jakby dotychczas przed czymś uciekała, a teraz znalazła wytchnienie. Wypociła napięcie. Weaver ją rozumiała, bo знаła to z doświadczenia. Wolałaby tylko, żeby Madeline nie miała takich długich nóg. To ona powinna je mieć. Policjantka z takimi nogami mogła liczyć na awans.

Śledzenie Madeline w tak wolnym tempie szło coraz łatwiej. Weaver zgrała się z rytmem jej kroków, prawie jakby była w jej głowie i z góry wiedziała, co Madeline robi i dokąd pójdzie.

Były już niemal na Columbus Circle.

Gloria bez większych kłopotów nadążała za Marią Sanchez alias Madeline Scott, ale i tak się ucieszyła, kiedy pinda nareszcie zwolniła. Zaraz będą na Columbus Circle. To dobrze. Duży ruch. Godziny szczytu. Wszyscy się spieszą. Nikt nie uważa.

Pierwszą Madeline Gloria zepchnęła z peronu metra pod nadjeżdżający z rykiem pociąg. Jeśli nawet ktoś z tłumu na peronie to zauważył, cała akcja wyglądała na przypadkowe potrącenie. Nikt nie mógł się dopatrzeć techniki i siły, która za tym stała. Gloria postanowiła, że tym razem nie będzie metra. Pojazd uliczny. Najlepiej tak-sówka. Ale wystarczy też zwykły samochód lub van. Niezły byłby autobus. Była pewna, że pobyt Marii Sanchez na ziemi dobiega szybkiego końca. Jeśli tym razem okazja się nie nadarzy, Gloria zaczeka

na drugą szansę. Która nadejdzie. Gloria była cierpliwa. Bóg jej pomoże.

Victor zrelacjonował jej swoją rozmowę z Palmerem dotyczącą Marii, a Gloria wtedy zrozumiała, że coś trzeba zrobić i że zrobienie tego spoczywa na jej barkach. Victor i Palmer zgodziliby się, że Marię trzeba skasować, w to nie wątpiła. Ale nie zgodziliby się wystarczająco szybko. Byli mężczyznami, a ta cipa potrafiła owinąć sobie mężczyzn wokół palca. Dla wspólnego bezpieczeństwa, dla dobra firmy Maria musiała zniknąć szybko, zanim narobi szkód, których nie da się naprawić.

Obserwując idącą z przodu kobietę – wyprostowana postawa, długie nogi, smukłe biodra, jędrne, krągłe pośladki – Gloria przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrobić tego wolniejszą metodą. Ale odrzuciła ten pomysł. To były interesy, nie rozrywka, choćby wydawała się nie wiadomo jak przyjemna. Trzeba to zrobić szybko, upozorować wypadek. Żaden problem. Gloria uśmiechnęła się, wspominając nie tylko pierwszą Madeline, której szok zaparł dech w piersiach i nawet nie krzyknęła, kiedy zniknęła pod pędzącym pociągiem, ale i wiele innych zabójstw, dokonanych dawno temu w ramach przekrętu ubezpieczeniowego. Zrobi to, jak należy.

Wyspecjalizowała się w pozorowaniu śmierci w wypadku, a tej umiejętności się nie zapominało.

Weaver zobaczyła, że Madeline zwalnia przed cyrkiem, który jak zwykle rozgrywał się na Columbus Circle. Samochody, ciężarówki i autobusy nadjeżdżały szybko i z najdziwniejszych stron, kierowane sygnalizacją świetlną. Należało tu ostrożnie przechodzić przez ulicę, ale nawet przy zachowaniu ostrożności łatwo było o wypadek.

Madeline przystanąła na krawężniku w grupce około dwunastu pieszych czekających na zmianę świateł. Do grupki dołączyło jeszcze kilku przechodniów, przez co się ścieśniła, a ludzie zbili się razem. Niektórzy wychylali się lekko do przodu, jakby zielone światło miało być sygnałem do rozpoczęcia wyścigu.

Weaver zwolniła. Nie chciała zbyt szybko znaleźć się na skrzyżowaniu. Lepiej trzymać się od Madeline w sensownej odległości.

W prawej łydce czuła mrowiący ból, obolałą miała też lewą stopę w odrobinę za ciasnym bucie – skutki przechadzki w szybkim tempie. Co gorsza, wysiłek najwyraźniej nie zdał się na nic.

Madeline nie była spóźniona na jakieś spotkanie ani nic w tym rodzaju. Weaver poczuła ostry przypływ złości na tę kobietę, która była

od niej wyższa, bardziej atrakcyjna i wkurzająco blond. I jeszcze te jej nogi...

Światła się zmieniły, a oczekujące na równoległej ulicy samochody z rykiem wyrwały do przodu. Szarzy przewodziła lśniąca biała limuzyna. Przechodnie mogli już ruszyć w tym samym kierunku, ale musieli poczekać, aż pozwolą im na to pojazdy skręcające w prawo. Jak to w Nowym Jorku, pojazdy skręcające w prawo nie pozwalały.

Kiedy zmieniły się światła, Gloria stała tuż za Marią Sanchez. Czowała zapach jej szamponu i potu, czowała ciepło bijące od szczupłego ciała.

Nagle wszystkie zapachy zostały stłumione przez spaliny. Autobus. Doskonale!

Gloria zwinęła dłonie w pięści, gotowa przyłożyć je do łopatek Marii i szybko, ale silnie pchnąć. Wtedy jednak z sobie wiadomych powodów popatrzył na nią mężczyzna stojący blisko Marii. Gloria zachowała kamienną twarz, a autobus przetoczył się i oddalił. Mężczyzna znów patrzył przed siebie, skoncentrowany na ulicznym ruchu.

Gloria czekała, odliczała w duchu sekundy świadoma wszystkiego, co działo się wokół niej. Wiedziała, że wybrany moment, ruch i nieuwaga ofiary muszą być idealnie zsynchronizowane, aby wszystko razem sprowadziło nagłą śmierć.

Była w swoim żywiole.

Nadjeżdżała taksówka.

Weaver szybszym krokiem zbliżała się do skrzyżowania, świadoma, że lada chwila w strumieniu skręcających w prawo samochodów zrobi się luka, a niemogący się doczekać przechodnie zejną z krawężnika i odbiją terytorium na pasach.

Usłyszała pisk opon na asfalcie. Na przodzie grupki nastąpiło poruszenie, kiedy ludzie czekający na krawężniku ruszyli przed siebie falą, która coś omijała. Większość się nie zatrzymywała, zerkali tylko za siebie i w dół, jakby upuścili coś na tyle mało cennego, że nie opłacało się po to zawracać. Niektórzy specjalnie odwracali od czegoś wzrok.

O-o!

Weaver widziała żółty dach stojącej taksówki, na którym świecił kogut. Wspięła się na palce i zobaczyła, że Madeline jest daleko przed nią, wmieszana w przekraczający skrzyżowanie tłum. *Cholera!*

Weaver będzie musiała nieźle wyciągać nogi, żeby ją dogonić.

Gdy wchodziła na ulicę z zamiarem omińnięcia taksówki, zobaczyła, na co wszyscy się gapili. Przed samochodem leżała ciemnowłosa kobieta z czerwoną apaszką. Wokół jej głowy rozlała się kałuża krwi. Weaver nie mogła się zatrzymać. Musiała jak najszybciej dogonić Madeline.

Przecisnęła się między znieruchomiałymi samochodami, których kierowcy wyciągali szyje, żeby popatrzeć na leżącą kobietę. Po drodze wygrzebała z kieszeni telefon komórkowy, chciała wezwać pomoc, ale nieopodal zajęczała syrena, a Weaver zobaczyła po drugiej stronie ulicy radiowóz. Przedzierał się na miejsce wypadku. Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni.

Cokolwiek kazało Madeline wybrać się na przechadzkę, musiało już z niej ująć. Weaver zeszła za nią betonowymi schodami na stację metra na Columbus Circle. Duszny, zatłoczony wagon wiózł je przez kilka przecznic w stronę mieszkania Madeline. Wyglądała na przybitą i wycieńczoną. Siedziała między patrzącym spode łba Murzynem z dredami, mimo gorąca ubranym w czarną skórzaną kurtkę, a brodatym panem czytającym brukowiec wydrukowany w języku, którego Weaver nie rozpoznawała. Weaver dla pewności trzymała się stalowego słupka i patrzyła wszędzie, tylko nie na Madeline.

Gdy Madeline cała i zdrowa wróciła do domu, Weaver zajęła swój punkt obserwacyjny w drzwiach zamkniętego zakładu krawieckiego, który znajdował się na ukos po drugiej stronie ulicy. Oparła się o ciężkie szklane drzwi, skrzyżowała ramiona i pozwoliła sobie na chwilę relaksu. Nowa Madeline była w swoim mieszkaniu, zmęczona, więc raczej nieskłonna do kolejnych wędrówek. Weaver uznała, że wszystko jest pod kontrolą. Emocje opadły, przynajmniej na chwilę.

Napis nad jej głową, umieszczony po wewnętrznej stronie drzwi, głosił: „OBRABIAMY NA POCZEKANIU. TO NASZA SPECJALNOŚĆ”.

Tom Coulter ruszył swoim F-150 spod Rodney's Roadhouse i śledził koleśków od mety, Joego Raya i Juana. Cofnęli się kilka mil na bagna, jadąc zrytymi błotnistymi drogami, w niektórych miejscach tak wąskim i, że liście szorowały o szyby. Zdaniem Coultera było tu strasznie i nie potrafił wymyślić powodu, dla którego ktoś mógłby chcieć zamieszkać w tej okolicy. Gorąco i wilgoć przyprawiały o mdłości, a cholerne dziwaczne robale były większe od nowojorskich karaluchów.

Dodge zwolnił i skręcił w prawo, w wąską drogę gruntową, która okazała się podjazdem. Coulter zatrzymał się przed nią i rozejrzał się po okolicy.

Nie zdziwiło go, że Joe Ray i Juan, zwykle młotki z bagien, mieszkają w takim miejscu. Stała tu drewniana chałupa z płaskim dachem, która wyglądała, jakby nigdy jej nie malowano. Po frontowej i bocznej ścianie – przynajmniej po tej części bocznej ściany, którą Coulter widział – pięła się winorośl. Przez cały przód domu biegła zapadająca się rynna, której koniec znikał w drewnianej beczce. Z boku, jakieś trzydzieści metrów dalej, stała szopa, jeszcze bardziej rachityczna niż dom. Coulter domyślił się, że to w niej było laboratorium metamfetaminy.

Odczekał, aż koleśki znikną w środku, wtoczył F-150 na podjazd, zatrzymał się tuż za przerdzewiałym dodge'em, podkręcił obroty silnika i kilkakrotnie nacisnął na klakson. Chciał, żeby wyszli z chałupy i zobaczyli różnicę między furgonetkami. Mieli tu interes na dużą skalę, nie to, co jakieś zdezelowane samochody i kitranie kasy w łóżku pod materacem.

Wyszli bez pośpiechu, Joe Ray pierwszy, a drzwi opatrzone siatką na owady zatrzasnęły się za nimi. Zatrzymali się na ganku, wyraźnie zaskoczeni i czujni. Coultera to rajcowało. U żadnego nie widział broni. Dwóch kmiotków kontra prawdziwy desperado. Okrzepla w nim pewność siebie. Pójdzie jak z płatka.

Wysiadł z furgonetki i podszedł do nich, po czym od niechcienia sięgnął za plecy i wyjął glocka, którego trzymał za paskiem. *Oho-ho!*

Kolesie od mety zrobili się megaczujni. Rzucali spojrzenia na lewo i prawo, co skojarzyło się Coulterowi ze zwierzętami w potrzasku. W którąkolwiek stronę się ruszą, Coulter zdąży położyć ich obu. Inaczej nie wyciągałby glocka. Uśmiechnął się w duchu. Dobra organizacja to klucz do sukcesu.

Potem, widząc, w jak beznadziejnym położeniu się znajdują, obydwaj jakby się uspokoili.

– Czego, kurwa, chcesz? – zapytał Joe, wykazując się jakąś tam brawurą.

– Chce, coby go ubić – odpowiedział mu Juan.

– Ajajaj – powiedział Coulter i przesunął lufę tak, żeby celowała w Juana.

Juan chyba się przestraszył, ale nie zmienił postawy. Na co jeszcze stać tego głupka?

– To nie miłość wprawia świat w ruch – powiedział Coulter – ale biznes. Wszyscy jesteśmy biznesmenami. Chcę ubić z wami interes.

– A w jakim biznesie robisz? – zapytał Joe Ray.

– Jak dla was w samochodowym. – Coulter omal nie zachichotał.

– Chyba można też powiedzieć, że w podróżniczym.

Kolesie od mety milczeli.

– Zamienimy się na furgonetki – powiedział Coulter. – Ta wasza kupa rdzy za mojego prawie nowego forda F-150.

Joe Ray popatrzył w bok i splunął.

– Czemu mi się widzi, że to nie twoja fura?

– Bo nie jest moja, ale to mój problem. Z tym że wy też macie problem.

– Znaczy?

– Mnie. A moim sposobem rozwiążemy oba problemy.

– Cwanyś, pajacu – powiedział Juan.

Coulter wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mam ochotę przestrzelić ci kolano.

Juan zbladł.

– Zara, zara, zluźnijmy – powiedział Joe Ray. Patrzył Coulterowi w oczy, a spojrzenie miał czujne. Może pobłyskiwała w nim też iskra bezsilnego gniewu. – Przestańmy lecieć w chuja. Mów prosto, co masz do powiedzenia.

– Zabieram waszego pikapa, bo ma legalne numery. Wy weźmiecie forda, przemalujecie go, załatwicie numer identyfikacyjny ze złomowiska, legalne papiery i jesteście do przodu. Macie, chłopaki, na tyle oleju w głowie, żeby to ogarnąć?

– Mamy – odpowiedział Joe Ray. – Ale nie wiem, czy nam się to

podoba.

– Psy węszą za tą bryką? – zapytał Juan.

Wodził pożądlivym wzrokiem wzdłuż eleganckiej linii czarnego fordka na wielkich oponach.

Chociaż samochód był pokryty pyłem, wymiana na potężny wóz była oczywistą transakcją stulecia.

Coulter posłał im swój najlepszy uśmiech desperado.

– Powiedzmy, że prawowity właściciel chciałby go odzyskać. Macie moje słowo, że mieszka w innym stanie i nie będzie dla was problemem. A ja potrzebuję środka transportu. Odjadę stąd tym rozpadającym się dodge'em i ze mną też nie będzie problemu.

– Z tego co mówisz, każdy rusza w swoją stronę. Zero problemów.

– Gratuluję. Nareszcie załapałeś.

Juan popatrzył na Joego Raya.

– Brzmi całkiem nieźle.

– Nie daj się robić w ciula – powiedział Joe Ray, patrząc na Coultera.

– No dobra, jest jeszcze jedno – przyznał się Coulter. – Chcę dostać pieniądze za metę, które zgarnęliście u Rodneya.

– A co to, kurwa, jest meta? – zapytał Joe Ray.

– To, czym jedzie z szopy, w której ją warzycie. O, tamtej. – Coulter przestąpił z nogi na nogę. Glock zaczynał mu ciążyć. – I tak będziecie do przodu. Pikap wart jest spokojnie trzydzieści tysięcy dolarów. Macie tyle z mety?

Mężczyźni wymienili przebiegłe spojrzenia.

– Wygląda na to, że tak – uśmiechnął się Coulter.

– Nie podchodzi mi ten interes – powiedział Joe Ray.

– Nie szkodzi. Zabieram wraka i kasę, wam zostaje nowa terenówka. Możecie napuścić na mnie gliny, ale jeśli mnie zwiną, będziecie ugotowani. Działa to też w drugą stronę, więc wszyscy jesteśmy bezpieczni. W tym całe piękno tego układu. Nie mamy wyboru, musimy sobie zaufać.

– Nieźleś se to obmyślił – powiedział Juan.

– Tak się składa, że myślenie to moja specjalność – odparł Coulter. – Dlatego ten interes wypali. A teraz zaprowadzicie mnie, kmioty, tam, gdzie trzymacie kasę.

– No, nie wiem – odezwał się kobiecy głos.

Coulter przeniósł spojrzenie na Cathy Lee z Rodney's Roadhouse, która stała z wysuniętym biodrem na rogu chałupy. Musiała wyjść tylnymi drzwiami. Miała na sobie poplamiony szary szlafrok, a jej

kręcone jasne włosy były z jednej strony oklapnięte, jakby na nich spała. Cycki do połowy wylewały się ze szlafroka, a w rękach trzymała dubeltówkę. Ogólne wrażenie było stresujące.

– Nie oglądacie wiadomości, chłopaki – powiedziała, wskazując ruchem głowy małą antenę satelitarną na rogu krytego papą dachu. – To gość, który zabił tych wszystkich ludzi w Nowym Jorku.

– Zabijał ludzi? – Juan po raz pierwszy popatrzył na Coultera z szacunkiem.

– Torsowy morderca. Jest chyba najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju. – Cathy Lee uśmiechnęła się do Coultera. – Co, jesteście z siebie dumni?

Coulter nie mógł oderwać wzroku od dubeltówki.

– Pewnikiem dają za niego nagrodę – powiedział Juan. – I to dużą.

– Mam gdzieś nagrody – rzucił Joe Ray. – Chcę tylko, żeby trafił do ziemi.

Dubeltówka się zakołysała. Była naprawdę długa. I ciężka, jak dla kobiety. Coulter zastanawiał się, jak silna i szybka może być taka nędzna zaściankowa kurwa? Do tego miała czerwone i opuchnięte oczy. Pewnie uciwała sobie drzemkę i być może jeszcze była zaspana.

Lufy dubeltówki były teraz skierowane w dół, pod kątem czterdziestu pięciu stopni do podłoża. Błąd, który był jedyną szansą Coultera.

Ledwie zaczął podnosić glocka, by wycelować w Cathy Lee, kiedy dubeltówka z niewiarygodną szybkością uniosła się i bluznęła ogniem. Coulter leżał na wznak w błocie. Ból w piersi zaparł mu dech. Jego serce łomotało nieregularnie jak silnik protestujący tuż przed zgaśnięciem z braku benzyny. Świat zaczął wirować, a potem pociemniał.

Podobno u umierającego człowieka najdłużej działa zmysł słuchu. Coulter wyraźnie usłyszał tuż przy głowie dźwięk zasysanego błota, z którego wyrwała się podeszwa, i dobiegający z góry głos Joego Raya:

– Z obu luf. Cathy Lee, normalnieś go zmasakrowała.

– Sorki – brzmiała odpowiedź Cathy Lee.

Joe Ray, Juan i Cathy Lee uradzili, że nie pogrzebią Coultera w pobliżu. Jakkolwiek na to patrzyć, był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Ameryce. Jeśli gliny dojdą, że był w tej okolicy, to w końcu znajdą ciało. Z drugiej strony kolesie od mety i Cathy Lee nie mogli przecież się przyznać, że go zabili, i upomnieć się o nagrodę. Im dalej Joe Ray, Juan i Cathy Lee trzymali się od prawa, tym lepiej.

Zdecydowali, że wywożą Coultera i porzucą zwłoki, pozorując zastrzelenie na poboczu. Może policja pomyśli, że łapał stopa i jakiś wredny drań wypalił do niego dla zabawy. Jeśli ciało w ogóle zostanie znalezione, zanim odciągnie je jakiś aligator.

Z furgonetką sprawa wyglądała inaczej. Nówka sztuka, było to widać mimo pyłu i zaschniętego błota. Mogli ją pomalować na inny kolor, a Joe Ray był w stanie załatwić numer identyfikacyjny podobnego F-150, furgonetki widma ze złomowiska, i nowe papiery. Wóz byłby wtedy prawie legalny, choć nie całkiem.

Z Coulterem nie chcieli mieć nic wspólnego, ale furgonetka była warta ryzyka.

Wczesnym rankiem Victor zostawił chryslera na piętrowym parkingu nieopodal Broadwayu. Stamtąd przeszedł się zatłoczonym, zalanym słońcem chodnikiem do biura E-kstazy.

Co raz ktoś obrzucał go spojrzeniem. Przydałoby mu się golenie. Spał w ubraniu na sofie Glorii i jego spodnie od garnituru, zwykle zaprasowane w ostry kant, były wymięte. Marynarka od kompletu, którą przed snem powiesił na oparciu fotela, wciąż wyglądała nienagannie, przez co spodnie wydawały się jeszcze bardziej workowate. Jeśli dodać do tego czarną szczecinę na twarzy, wyglądał jak bezdomny, który pobił i okradł bogatego bankiera, ale najpierw zmusił go do zdjęcia marynarki. Taki brak dbałości o wygląd był do Victora zupełnie niepodobny.

Kiedy Victor wszedł do biura, niedbale przedtem zapukawszy, Palmer Stone podniósł wzrok znad przeglądanych właśnie zgłoszeń do E-kstazy. Pracował w marynarce, jak to miał w zwyczaju, a jego prezencja była nieskazitelna. Zawsze sprawiał wrażenie magnata w świecie biznesu, któremu przerwano ważne zadanie rozwiązania problemu na skalę międzynarodową. Tego ranka jego wygląd znacznie kontrastował z wyglądem Victora.

Stone odłożył wydruki. Były bogate w informacje o samotnej wdowie w średnim wieku mieszkającej w Queens.

– Victorze! Co ci się stało, na miłość boską?
 – Wczoraj po południu i wieczorem próbowałem skontaktować się z Glorią. – Victor od razu przeszedł do rzeczy. – Bezskutecznie. Spędziłem u niej noc. Nie wróciła do domu.

Stone najpierw się zaniepokoił, a potem zamyślił.

– Już jej się to zdarzało, Victorze.
 – Ale wtedy wiedziałem, gdzie jest. Zawsze jedno z nas wiedziało... wie, gdzie jest drugie. Mamy taki dodatkowy zmysł, jakbyśmy wysyłali i odbierali fale radiowe. Palmerze, ona ich nie wysyła.
 – Chyba trochę przedwcześnie zakładać, że... już jej nie ma.
 – Mam złe przeczucia, Palmerze.

Stone obrócił się z fotelem i odchylił na oparciu. Patrzył w okno,

ale oczywiste było, że nie wygląda na zewnątrz. Victor i Gloria... Pewne aspekty relacji między nimi wciąż go zdumiewały, dawały mu do myślenia, choć dobrze ich znał. Cóż, sam nigdy nie miał siostry.

– Znasz Glorię – powiedział. – Pewnie zrobiła sobie wypad po przygodę.

– Dałaby znać. Dzwoniłem do niej, ale ma wyłączony telefon.

– Może nie chce, żeby jej przeszkadzano.

Victor zaczął spacerować, przy każdym kroku przeczesując palcami włosy.

– Powtarzam, Palmerze, Gloria i ja, można powiedzieć, nadajemy na tych samych falach. Naprawdę mam przeczucie, że coś jej się stało.

– Albo panikujesz.

Stone'owi się to nie podobało – kolejne symptomy wskazujące na rozchwianie emocjonalne Victora. Gloria nie wydawała się przejęta, kiedy rozmawiał z nią o bracie. Chociaż nie wydawała się też zaskoczona. Trudno było zrozumieć powody wzburzenia Victora. Przecież wiedział, że jego siostra jest lesbijką i prowadzi aktywne życie seksualne. Dlaczego więc nie brał pod uwagę możliwości, że chciała pospać do późna w ciepłym łóżku jakiejś kochanki?

Victor zacisnął dłonie w pięści i zaraz je rozluźnił.

– Posłuchaj, Palmerze...

Zadzwoił telefon. Stone uciszył Victora uniesieniem wymanikiowanego palca wskazującego i podniósł słuchawkę. Miał nadzieję, że to Gloria.

Victor spacerował i mu się przyglądał, Palmer słuchał rozmówcy. Jego przystojna twarz stawała się coraz bardziej napięta i blada. Musiało stać się coś bardzo, bardzo złego.

Victor opadł na czarną skórzaną sofę stojącą naprzeciwko biurka. Stone odłożył słuchawkę, odwrócił się do niego z fotelem i popatrzył z ojcowską troską.

– Gloria wpadła wczoraj pod taksówkę przy Columbus Circle – powiedział. – Próbowali kogoś zawiadomić, ale nie mieli jak.

– Gloria nie ma telefonu stacjonarnego – odparł Victor.

Stone poważnie skinął głową.

– Pracownikom szpitala udało się wreszcie dostać do historii połączeń w jej komórce. Ostatnio zatelefonowała na ten numer.

Victor się wyprostował.

– Jakiego szpitala?

– Leży w St. Luke's-Roosevelt, jest w stanie krytycznym. Pęknięta czaszka, złamane biodro i lewa noga.

- Jezu! Ale przynajmniej żyje.
- Wpadła pod taksówkę, schodząc z krawężnika. Tak mówili świadkowie. To był wypadek.
- Co ona, do cholery, robiła...
- Kto to wie, Victorze? Gloria jest panią samej siebie. – *To akurat pewne jak cholera.* Stone znów obrócił się do okna i odchylił na oparcie. – Powinieneś do niej pojechać, Victorze. Sprawdź, czy jest przytomna, czy może mówić. Może być pod wpływem środków uspokajających. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy się obrócił, Victora już nie było.

Stone przewertował „Timesa” i „Posta”. W żadnej z gazet nie napisano o wypadku Glorii. Nie zdziwiło go to, ale przyniosło mu ulgę. Wiadomości to wiadomości. Gloria nie była ani trochę sławna, co oznaczało, że media również jutro nie poświęcą jej uwagi. Czyli jej nazwisko nie pojawi się ani w gazetach, ani w radiu i telewizji. Stone'owi bardzo to odpowiadało. Mniejsze zagrożenie dla interesów.

Niedługo po pierwszej, kiedy przetrząsał zawartość środkowej szuflady w szafce z aktami, zadzwonił telefon. Nie podnosząc się, Stone podjechał na fotelu do biurka i odebrał. To Victor dzwonił ze szpitala.

– Wygląda strasznie, Palmerze – powiedział płaczliwym tonem. – Głowę ma całą w bandażach, a twarz tak opuchniętą, że byś jej nie poznał.

- Jest przytomna? – zapytał Stone. *Na prochach? Mówi?*
- Nie sposób stwierdzić, czy wie, co się wokół niej dzieje.
- Co to znaczy, Victorze?
- Jest w śpiączce. Lekarze mówią, że nie wiadomo, kiedy z niej wyjdzie, o ile... – głos Victora się załamał – ...o ile w ogóle wyjdzie.

Stone się zdziwił, kiedy jego też coś ścisnęło w gardle. Przez wiele lat brali we trójkę udział w wielu przekrętach. Współczuł Victorowi. I Glorii. Coraz częściej emocje dopadały go właśnie w ten sposób – przez zaskoczenie.

- Mogę jakoś pomóc?
- Nie sądzę, Palmerze. Nikt nie może nic zrobić.
- Przykro mi, Victorze. Naprawdę.
- Wiem, Palmerze.

Odłożywszy słuchawkę, Stone usiadł wygodniej i przeanalizował sytuację. Gloria była uziemiona, to oczywiste. Wnosząc ze słów Victora, nie powie nic, co mogłoby przyciągnąć podejrzenia do... sposobu, w jaki zarabiała na życie. A mieszkańcy Nowego Jorku

często wpadali pod samochody i kończyli z poważnymi obrażeniami. Wypadek Glorii nie przyciągnie niechcianego zainteresowania.

Stone westchnął i się uśmiechnął. Firma ledwo, ledwo uniknęła poważnego zagrożenia. Kolejne pytanie brzmiało: jak to, co spotkało Glorię, wpłynie na jej brata? Wątpliwości co do Victora dręczyły Stone'a jeszcze przed wypadkiem. Gloria się napracowała, żeby je rozwiązać, ale nie rozwiązała ich do końca. *A teraz to.* Palmer zastanawiał się, czy Victor będzie w stanie nadal wykonywać swoją pracę.

Jill patrzyła, jak Tony wodzi wzrokiem za Jewel, która lawirowała między czerwonymi obrusami, kierując się do łazienki. Nie tylko on jej się przyglądał. Połowa mężczyzn w restauracji obrzuciła Jewel przynajmniej ukradkowym spojrzeniem. Kiedy nie była ubrana jak glina, robiła się z niej niczego sobie kusicielka. A teraz nie była ubrana jak glina. Miała na sobie obcisłą czarną sukienkę z dekoltem i siedmiocentymetrowe szpilki. Jill wiedziała, że Jewel robi co może, żeby nie wyglądać na glinę.

Dziś odwiedzili Dominick's Italiano, nową wyśmienitą restaurację na West Side. Tony namawiał Jill na wspólny wypad, z entuzjazmem opowiadając o bogatym wyborze win, a Jewel jak zwykle się wprosiła. Jill naturalnie nie zaprotestowała, a kiedy Tony zaczął zgłaszać obiekcje, posłała mu złe spojrzenie.

– Przyszło ci kiedyś do głowy – zapytał Tony, wciąż obserwując Jewel – że ona jest wobec ciebie trochę za bardzo przyjacielska?

Jill patrzyła, jak Jewel skręca w lewo i znika w korytarzu, idąc niezbyt równym krokiem, jakby wypila za dużo wina do obiadu. Z drugiej strony Jewel była bardzo dobrą aktorką.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Jill. – Za bardzo przyjacielska?

Tony krzywo się do niej uśmiechnął. Wtedy pojęła, co miał na myśli.

– Jezu, Tony! Jewel i ja? Czyś ty oszalał?

Uśmieszek z krzywego zrobił się smutny, jakby nagle poddał się grawitacji.

– Nie Jewel i ty. Sama Jewel. Wiesz, czasami tak na ciebie patrzy...

– Przestań, Tony. Jewel nie jest lesbijką.

Wzruszył ramionami. Jill sięgnęła po kawę, ale zmieniła zdanie i napiła się wina z do połowy napełnionego kieliszka.

– Tony, my się nie kochamy.

– Ja cię kocham.

– Wiesz, o co mi chodzi. Jewel i ja w związku seksualnym? To absurd.

- Wcale nie.
- Moim zdaniem tak.
- Takie rzeczy się zdarzają – powiedział.
- Oczywiście, że tak. Wiem, na jakim świecie żyję. Nie jestem też homofobką i nie bawię się tutaj w moralne osądy.

Tony sięgnął nad stołem i uścisnął jej rękę.

- Wiem o tym, kochanie. Na tyle cię znam. Ale proszę, zrób coś dla mnie. Zwracaj baczniejszą uwagę. Jewel przez cały czas się wokół ciebie kręci, a to mi nie wygląda na normalne platoniczne podejście.

Jill poczuła, że rumieni się ze wstydu i złości. Tony posunął się za daleko i chyba o tym wiedział. Gwałtownie odchylił się w fotelu, a ponieważ fotel był na kółkach, odjechał kilkadziesiąt centymetrów od stolika. Spróbował się uśmiechnąć, ale nie całkiem mu to wyszło. Podtoczył się z powrotem. Większość naczyń już uprzątnięto; czekali na deser, jakieś ptysie z czekoladową polewą, nad którymi rozplątywał się z zachwytu dziennikarz kulinarny „Posta”. Jewel wróciła akurat, kiedy je podano. Wyglądała schludniej niż przed wyjściem. Uczesała włosy, a dzięki poprawionemu makijażowi rysy jej twarzy były jeszcze bardziej wyraziste. Usiadła z pewnymi trudnościami, spowodowanymi przez obcisłą sukienkę, i położyła serwetkę na podłokiu.

- Ależ łazienka! – powiedziała. – Czysta i nowoczesna, sami powinniście zobaczyć. Wszystko zautomatyzowane. – Uśmiechnęła się do Jill. – Szkoda, że nie poszłaś ze mną.

Tony i Jill wymienili spojrzenia. Jeśli Jewel to zauważyła, to niczego nie dała po sobie poznać. Uśmiechnęła się do kelnera i poprosiła o dwa miniaturowe ptysie z ustawionej na tacy piramidy. Milczeli, czekając, aż kelner skończy podawać deser, doleje im kawy i odejdzie.

- Nic ci nie jest, Tony? – spytała Jewel. – Wydajesz się jakiś... bo ja wiem... nie w sosie.

Tony zmarszczył brwi.

- Co to znaczy „nie w sosie”?
- Jakbyś zaraz miał zacząć zrzędzić – wtrąciła Jill, łagodząc słowa uśmiechem.

Tony westchnął.

- Chyba faktycznie jestem podenerwowany. Przepraszam. Ktoś z pracy, kogo bardzo lubię, miał poważny wypadek.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Jill, zastanawiając się, dlaczego nie wspomniał o tym wcześniej.

- Jest w szpitalu? – zapytała Jewel.

- Tak. Biedak wpadł pod samochód.
- Cholernie przykra sprawa – przyznała Jewel.
- Ale wydobrzeje? – zapytała Jill.
- Mam nadzieję. To jeden z tych facetów, których wszyscy lubią.
- Takie rzeczy zawsze spotykają niewłaściwych ludzi – skomentowała Jewel.

Tony jakby jej nie usłyszał. Miął czerwoną serwetkę z materiału i wpatrywał się w nią nieruchomo, ale Jewel wiedziała, że dotarły do niego jej słowa.

– Te ptysie są przepyszne – odezwała się Jill. Przełknęła kęs i zlizwała z palców czekoladową polewę.

– Jeszcze jak, kochanie – odrzekł Tony, choć nawet nie spróbował swojego. Na kilka sekund wrócił do rzeczywistości, a wtedy popatrzył na Jewel.

Jill dokończyła drugiego ptysia.

- Mniam! Warte grzechu.
- Niebezpieczne – zgodziła się Jewel, myśląc, że taki stan rzeczy już długo się nie utrzyma.

Nie mogła odmówić Tony'emu bystrości. Zaczynał nabierać podejrzeń i mógł wykonać jakiś ruch. Zanotowała w pamięci, żeby przeszukać internet pod kątem liczby podwójnych morderstw corocznie popełnianych w Nowym Jorku. Obstawiała, że będzie ich dużo.

Żadne z nich nie spało i oboje o tym wiedzieli.

Quinn leżał w swoim łóżku obok Lindy, wsłuchany w bliskość jej oddechu. Odróżniał oddech osoby całkowicie zrelaksowanej od oddechu osoby śpiącej. Był pewien, że Linda też to potrafi.

Patrzył, jak poranne słońce rozjaśnia prostokątne krawędzie zamkniętych żaluzji, a potem wysyła lance światła, które układały się wąskimi równoległobokami na dywanie i pościeli w nogach łóżka. Na zewnątrz, w innym świecie, narastały słabe dźwięki ruchu ulicznego. Gdzieś bardzo, bardzo daleko postukiwały młoty pneumatyczne, miejskie odpowiedniki dzięciołów.

– O czym teraz myślisz? – zapytała Linda, a jej słowa zdawały się z wysiłkiem płynąć przez zamaryły pokój.

– Szczerze?

– Oczywiście. A jak? Nawet jeśli powiesz mi coś tak prozaicznego, że nie chce ci się wstać, żeby ulżyć pęcherzowi.

– Mówisz zupełnie jak lekarz – powiedział Quinn.

– Jestem przekonana, że tak też się zachowuję.

Zmieniła pozycję. Pościel zaszeleściła, a sprężyna w łóżku brzdęknęła.

– Czy to cię zniechęca?

– Nakręca.

– Naprawdę? – W jej głosie brzmiało szczere zdumienie.

– Faceci płacą za seks z kobietami przebranymi za pielęgniarki – powiedział Quinn. – To czemu nie za lekarki?

– Niektórzy z tych facetów pewnie są lekarzami.

– Wiesz, o co mi chodziło. – Chciał delikatnie klepnąć ją w pupę, ale nie znalazł jej tam, gdzie się spodziewał.

– Lekarzami takimi jak Nift – dodała.

– Nift jest żonaty.

Linda cicho prychnęła.

– Jakby to powstrzymywało mężczyzn od płacenia prostytutkom.

Quinn przeniósł na nią spojrzenie.

– Wiesz coś o Nifcie?

- Więcej, niżbym chciała.
- Może to powiedzieć prawie każdy, kto go zna.
- Ktoś, kto ślini się do kobiecych zwłok, nie jest normalny.
- Zgadzam się, że to nietypowe.

Quinn usiadł na łóżku, obrócił się i postawił stopy na podłodze. Nie całkiem trafił podeszwami na dywanik i jego pięty zetknęły się z chłodnym drewnem.

– Myślałem, że robi to tylko na miejscu zbrodni. Tak samo zachowuje się w prosektorium?

– Zawsze gotów jest rzucić jakąś nietaktowną uwagę albo dwie.

– Może po prostu robi to, co my. Stara się pozostać przy zdrowych zmysłach.

– A może po prostu ma spaczoną duszę i to z niego wyłazi.

– A jaki jest podczas autopsji?

– Uczciwie mówiąc, bardzo profesjonalny. Niezależnie od tego, co o nim mówiłam, jest świetnym lekarzem. Ale jeśli trafi nam się atrakcyjna kobieta, Nift nie umie nad sobą zapanować, dopóki nie mamy jej na stole. W pozostałych przypadkach myśli tylko o robocie.

– W pozostałych przypadkach...

– Kiedy akurat na kogoś nie donosi.

– Też robota.

Quinn wstał.

– Gdzie idziesz?

– Myślę teraz o...

– Nieważne – ucięła Linda.

Victor przyglądał się pielęgniarce i lekarzowi, którzy szeptali o czymś przed salą Glorii na oddziale intensywnej terapii, nie chcąc, żeby ich słyszano. Zerknąwszy na niego przez ramię, pielęgniarka szybko oddaliła się korytarzem. Lekarz, wysoki, powłóczęga nogami blondyn w zielonym workowatym kitlu, ruszył w jego kierunku, do umebrowanej niszy służącej za poczekalnię. Należał do tych bardzo wysokich mężczyzn, którzy nieustannie się garbią, jakby przystosowali się do niskich stropów.

W poczekalni znajdowała się sofa, dwa wysokie fotele od kompletu, czarne i zdobione jodełkowym wzorem, oraz zamontowany na ścianie telewizor, w którym leciała powtórka *Milionerów*. W tym odcinku Regis, prowadzący, ubrany był od stóp do głów na niebiesko i stał na niebieskim tle. Milionerzy monochromatyczni, pomyślał Victor.

Założył, że lekarz zamierza go minąć; wyglądała na pogrążonego w

zadumie. Potem, jakby nagle wrócił do rzeczywistości, gwałtownie zatrzymał się koło Victora i wyciągnął rękę. Victor wstał i uściśnął chłodną, suchą dłoń.

– Jest pan bratem pacjentki? – zapytał lekarz z zatroskaną miną. Miał bladą cerę i niebieskie oczy z czerwonymi obwódkami.

Victor odpowiedział, że tak.

– Jestem doktor Polanski. Pielęgniarka mówiła, że chciałby się pan dowiedzieć, jaki jest stan pańskiej siostry.

– Nikt nie chce mi nic powiedzieć – potwierdził Victor.

Doktor Polanski skinął głową, jakby już wiele razy słyszał tę skargę.

– Nadal jest w śpiączce. Obrażenia biodra i nóg są poważne, ale nie zagrażają życiu. Natomiast musimy uważać na ranę głowy.

– Ale wyjdzie z tego?

Doktor Polanski głęboko nabrał powietrza.

– Powinna. Przy tego typu urazie głowy nic nie da się powiedzieć na pewno. Wciąż utrzymuje się duży krwotok, a co za tym idzie, krew dostaje się między czaszkę a oponę twardą. Skutkiem jest wzrost ciśnienia, które musimy zmniejszać. W chwili obecnej nie potrafimy stwierdzić, czy ciśnienie spowodowało urazy mózgu.

– Wygląda spokojnie. Cierpi?

– Nie. Dostaje środki uspokajające i przynajmniej przez kilka dni zamierzamy utrzymywać ją w stanie śpiączki farmakologicznej.

– Farmakologicznej? To znaczy, że specjalnie wprowadziliście ją w śpiączkę?

– To normalne postępowanie w takich przypadkach, panie...

– Lamping. Victor Lamping.

– Czy poza panem siostra ma jakąś rodzinę?

– Obawiam się, że nie.

– Poinstruję pielęgniarki, żeby udzielały panu informacji – powiedział doktor Polanski. – Zawiadomią pana, jak siostra odzyska przytomność i będzie można ją odwiedzić. – Ponownie wyciągnął rękę, a Victor ją uściśnął. – Przy odrobinie szczęścia – oznajmił – pańska siostra wydobrzeje.

Victor spoglądał za lekarzem, który szybko się oddalił i zniknął za szerokim i podwójnymi drzwiami. Rozsunęły się przed nim automatycznie, jakby spieszyły się, wiedząc, że nie zwolni. Gdy powoli się zamknęły, umieszczony na nich napis „WSTĘP WZBRO-
NIONY” znowu stał się widoczny.

Upewniwszy się, że na stanowisku pielęgniarek mają numer jego komórki, Victor wyszedł ze szpitala, złapał taksówkę i kazał się za-

wieźć do biura E-kstazy.

Palmer Stone, który nosił dziś kwieciste szelki na białej koszuli, z należytym przejęciem przyglądał się zza biurka Victorowi i słuchał raportu o stanie Glorii.

– Więc śpiączka jest farmakologiczna – mruknął w zamyśleniu, kiedy Victor skończył.

– Powiedziałem pielęgniarce, że chcę być przy Glorii, kiedy będą ją wybudzać – dodał Victor. Opadł na sofę, a z poduszek uszło powietrze z dźwiękiem przypominającym współczujące westchnienie. – Nigdy nie miałem zaufania do pielęgniarek.

– Ja też nie – powiedział Stone.

Powiew, który wydobył się z poduszek, wzburzył powietrze i do Victora napłynął zapach kosztownej wody kolońskiej Stone'a. Palmer splótł palce na blacie biurka.

– Jak postępuje sprawa Jill Clark?

– Marnie – skrzywił się Victor. – Ta cipa Jewel, jej sąsiadka z góry, a zarazem najlepsza przyjaciółka, komplikuje sytuację. Trzyma się Jill jak body z lycry. Czasami mam wrażenie, że na nią leci, a kiedy indziej, że ma chrapkę na trójkąt.

Stone zmierzył Victora spokojnym spojrzeniem.

– Mało prawdopodobne.

– Tak, chyba masz rację. Po prostu tak się do siebie zbliżyły, że nigdy nie jestem z Jill sam na sam. A jeśli już uda mi się z nią wyjść, nie możemy wpuścić naszej klientki do jej mieszkania, bo może się w nim pojawić Jewel. Sądzę, że Jill dała jej klucze.

– Hmm... Rzeczywiście są blisko. To może być problem.

– Jedno jest pewne – ciągnął Victor. – Jewel nigdy nie nabierze się na nową Jill. Są jak siostry, nie oszukamy jej. A jeśli skasujemy obie, gliny nabiorą podejrzeń.

– Być może nadejdzie czas, że po prostu będziemy musieli pójść na takie ryzyko.

– Bez tego ryzyka – odparł Victor – byłaby to prawdziwa przyjemność.

– Victorze, nie robimy tego dla przyjemności, ale dla dochodów.

– Masz rację, Palmerze. Rozmyślałem na głos. Nie ma w tym przecież nic złego.

– Nie ma – zgodził się Stone. – Mnie też się to zdarza. – Odchylił się, wysunął szufladę i położył na biurku jakieś teczki. – Victorze, z przykrością kończę nasze spotkanie, ale muszę się tym zająć. – Ujął leżącą na biurku długopis. – Informuj mnie o stanie Glorii.

– Oczywiście – odpowiedział Victor i wstał z sofy. Potrząsnął głową. – Nieszczęścia chodzą parami.

– Więc można się z nimi uporać parami – odparł Stone.

– Postaram się mieć to na uwadze.

Stone nie miał pewności, czy to sarkazm. Właśnie to go niepokoiło – pewna zauważalna nieokreśloność, która wsączyła się w osobowość Victora. Stał się przez to nieprzewidywalny.

Odprowadził go wzrokiem do drzwi, które Victor cicho za sobą zamknął. Gołąc się rano, Victor przegapił fragment zarostu, a jego kosztowne półbuty nie lśniły tak jak zwykle. I jak Stone miał się nie przejmować? Może zmiany w Victorze dałoby się przypisać reakcji na stan Glorii. Ale przecież martwił się o niego na długo przed tym, zanim Gloria wpadła pod taksówkę.

Stone odłożył długopis i odchylił się na oparcie. Rozmyślał. Wyglądało na to, że problemy łatwo się nie rozwiążą. Może nadszedł czas, żeby zniknąć. Miał plan awaryjny, o którym nie wiedzieli ani Gloria, ani Victor. W myślach nazywał go po prostu planem B. Gloria i Victor byli zarówno przyjaciółmi, jak i współnikami w firmie, więc wiązała go z nimi jakaś lojalność, ale człowiek przede wszystkim musi myśleć o sobie. Nie czuł się jeszcze gotowy na wcielenie w życie planu B, ale czasami o nim myślał.

Po kilku minutach podszedł do stolika przy sofie i podniósł poranne wydanie „Timesa”. Gazeta wciąż była złożona. Wcześniej Stone tylko rzucił na nią okiem. Kiedy ją otworzył i przeczytał nagłówek na pierwszej stronie, musiał się uśmiechnąć. „TORSOWY MORDERCA ZABITY W LUIZJANIE”. To z pewnością zmniejszy presję. Jakkolwiek miało się do całości, liczyło się na plus dla firmy, a na minus dla policji.

Stone poczuł, jak ogarnia go ulga i mija napięcie w brzuchu, którego nawet nie był świadomy. Plan B na jakiś czas się oddalił.

Wciąż uśmiechnięty wrócił z gazetą do biurka, żeby zapoznać się ze szczegółami. Chciał się upewnić, że nie tkwi w nich diabeł.

– I po zmyłce – powiedział Renz takim tonem, jakby umarł mu bliski krewny.

Rozmawiał z Quinnem w swoim gabinecie. W ostrym świetle poranka komisarz prezentował się okropnie. Pod jego oczami ogara zwisały fałdy skóry jeszcze ciemniejsze niż zwykle. Przed nim na biurku leżał poranny „Times”. Quinn pomyślał, że to wystarczająco tłumaczy wygląd Renza.

– Niezupełnie – odparł. Przeczytał gazetę przy śniadaniu i zdążył przemyśleć historię Coultera. – Dla mediów Coulter nadal pozostaje naszym mordercą.

– Póki nie pojawi się następny tułów. Wtedy gównu znowu trafi w wentylator, a potem w nas.

Quinn wiedział, że Renz mówi „w nas”, a myśli „we mnie”.

– Popatrz na to z jaśniejszej strony, Harley.

– Patrzę. Widzę ogień, w którym zaraz spłoniemy.

– Masz rację, kolejna ofiara dowiedzie, że Coulter nie był jednak naszym ptaszkiem. Ale morderca zapewne myśli tak jak ty. Jest w zasadzie czysty, dopóki nie zabije ponownie, więc istnieje możliwość, że trochę odczeka. A martwy Coulter nie przedstawi już alibi na czas niektórych torsowych morderstw.

To jakby odrobinę Renza pocieszyło. Jego zapuchnięte oczy otworzyły się szerzej, a on sam przybrał zamyślony wygląd.

– Co racja, to racja.

– A co z Nobblerem?

Zrozumienie, o co Quinn pyta, zajęło Renzowi kilka sekund.

– Może i on się uspokoi. Z tego co wiemy, kupił bajeczkę, że Coulter jest naszym głównym podejrzanym. Może weźmie na wstrzymanie.

Quinn nie dyskutował, choć wiedział swoje. Nobbler zauważył, że Renz na żadne wstrzymanie nie wziął, a wtedy zorientuje się, że Coulter był tylko zmyłką. O ile już się nie zorientował. Nobbler był inteligentny i miał swoje źródła w szeregach nowojorskiej policji.

– Śmierć Coultera jest dla nas korzystna z jeszcze jednego waż-

nego powodu – powiedział Quinn. – Uśpi czujność E-kstazy. Uznają, że nic im nie grozi, dopóki wszyscy są przekonani, że wraz ze śmiercią Coultera umarł torsowy morderca.

Renz zagryzł obwisłą dolną wargę i skinął głową.

– Mogą stać się nieostrożni.

– Na konferencji prasowej – ciągnął Quinn – podkreśl, że chociaż Coulter nie żyje, jego sprawa nadal jest w toku. Nie chcemy wyciągać pochopnych wniosków. Musimy mieć absolutną pewność co do jego winy.

– Podoba mi się to – odparł Renz. – Kiedy prawdziwy morderca zostawi nam kolejny makabryczny prezent, będziemy kryci.

– Chodzi o to, żeby go przedtem przygwoździć – zaznaczył Quinn. – Jeśli nam się to uda, sprawa z Coulterem nie będzie miała znaczenia.

– Słusznie – przyznał Renz. – Społeczeństwo chce, żeby chuja powstrzymać. Kto to zrobi, zostanie bohaterem. Albo będzie więcej niż jeden bohater.

Splótł ręce na karku, odchylił się w fotelu, rozciągnął i zapatrzył w sufit, prężąc mięśnie, aż bicepsy falowały pod napiętym materiałem koszuli.

– Jak myślisz, kto nafaszerował Coultera śrutem? Jakoś nikt nie wyszedł na estradę, żeby się pokłonić i w mgnieniu oka zostać celebrytą.

– Niech się o to martwią gliny z Luizjany – odpowiedział Quinn.

– Mamy własne problemy.

Renz się pochylił, podniósł „Timesa” i odrzucił go na brzeg biurka.

– Opowiedz mi coś więcej o tych problemach – zażyczył sobie. – Mało mam jeszcze zmartwień.

Maria Sanchez machinalnie podrapała się po ramionach, zrobiła pięć kroków w jedną stronę, pięć z powrotem. To stawało się nie do zniesienia. Musiała wyjść i zaryzykować kupno koki. Inaczej oszaleje.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Wciąż było rano. Nawet, cholera, nie południe. Miała wrażenie, że z niespokojnego snu, w który wreszcie zapadła przed świtem, obudziła się z dziesięć godzin temu. Nowy Jork za oknem był jasny i gorący. Obce miasto. I złowieszcze. Szukanie dilerów za dnia nie miało sensu. Potrzebowała nocy. Potrzebowała ludzi, którzy wychodzą po zmroku.

Potrzebowała.

Zaczeka do zmierzchu, a potem wykona ruch.

Potrzebowała.

Wieczór przyniósł ze sobą deszcz, błyskawice i grzmoty, które przetaczały się niczym salwy artyleryjskie nad wieżycami z kamienia i szkła ciągnącymi się po obu stronach ulic. Potem od East River nadciągnął wilgotny gorący wiatr, deszcz ustał, błyskawice się oddaliły i jak kurtyna zaciągnięta w pociemniałym teatrze miasta zapadła noc.

Maria Sanchez, nowa Madeline, stała przed pękniętym wysokim lustrem zawieszonym na drzwiach do sypialni i po raz ostatni oceniała swój wygląd. Tapirowane jasne włosy, obcisły czerwony T-shirt bez rękawów uwydatniający piersi, dobrana pod figurę czarna spódniczka opinająca uda i kończąca się tuż nad kolanami, czarne kabaretki i zabójcze czerwone szpilki na dziesięciocentymetrowym obcasie. Makijaż zdecydowanie ostry – za dużo konturówki do oczu, lśniący czerwony błyszczak na ustach i czarne sztuczne rzęsy. Dużo biżuterii ze strasu, która powinna wyglądać i wyglądała na tanią. Maria puściła oczko do swojego odbicia i przesunęła językiem po dolnej wardze. Była usatysfakcjonowana. Wyglądała na dziwkę.

Skoro miała dokonać takiej, a nie innej transakcji, musiała uchodzić za głupią panienkę lekkich obyczajów, która potrzebowała działki i ostatnio wykonała tyle numerków, że było ją na tę działkę stać. Musieli jej uwierzyć ludzie, którzy wierzyli tylko w pieniądze i siłę. Jej strój był tak oczywisty, że mogli ją wziąć za działającą pod przykrywką policjantkę z narkotyków, ale powinna to wyczuć, a wtedy udowodni nieczystość swoich intencji. Zrobi coś, czego gli niara na pewno by nie zrobiła. Jeśli idzie o przetrwanie, nowa Madeline była taka sama jak jej poprzednie wcielenie, czyli miała bardzo mało zahamowań.

W Meksyku i podczas podróży z Jorge do San Francisco przywykła czuć się kimś lepszym od tych, między których zamierzała teraz wejść. Była żoną narkotykowego króla, czyli królową, istotą wyższą, dysponującą pieniędzmi i władzą. Biło to od niej nawet bez Jorge u boku. Budziła postrach i szacunek między uzależnionymi i dilerami z najniższych szczebli hierarchii, a teraz musiała uchodzić za kogoś z

ich grona. *Może jestem jedną z nich!*

Walcząc z napadem paniki, Maria odwróciła się od lustra, podeszła do okna i popatrzyła na latarnie w dole. Ich światło skrzyło się w wilgotnym powietrzu, ale deszcz już nie padał.

Pora wyjść.

Zanim to zrobiła, uzupełniła swój strój czymś jeszcze: małą czarną torebką z cekinami. Miała w niej grzebień, chusteczki higieniczne i kupiony na pchlim targu pojemnik z gazem łzawiącym. Podobno jedno psiknięcie powinno wystarczyć, żeby ewentualny napastnik upadł bezradnie w ataku kaszlu. Nawet nie była pewna, czy gaz działa, ale czuła się lepiej, mając go przy sobie.

W drzwiach zastanowiła się, czy nie wziąć parasolki, po czym omal nie roześmiała się w głos. Kobiety takie jak ta, którą Maria widziała w lustrze, nie nosiły parasola przy pogodzie. Stale narażały się na jakieś ryzyko – zmoknięcie było najmniejszym z nich. Dzisiejszej nocy Maria stała się taką kobietą.

Z początku trudno jej było iść na wysokich szpilkach. Złapała taksówkę na Broadwayu i jechała na południe, dopóki nie znalazła się w dzielnicy spełniającej jej oczekiwania. Taksówkarz, który od razu się przy niej zatrzymał, zdawał się wiedzieć, jaka okolica ją interesuje, jeszcze zanim mu to powiedziała. Na tym świecie wizerunek bywa wszystkim.

Ponownie zdana na własne nogi przeszła kilka przecznic, zanim przestała się chwiać. Prawie na pewno robił jej się pęcherz na dużym palcu lewej nogi, ale do diabła z tym. Pęcherzem zajmie się później.

Po deszczu chodniki znów zaroily się od przechodniów. Wygląd Marii przyciągał spojrzenia i prowokował okazjonalne komentarze, ale ignorowała jedno i drugie. Zaglądała do klubów w Village, jeśli wydawały się dobrym miejscem na zakup narkotyków. Jej strój czynił cuda: mężczyźni składali jej propozycje, zawoalowane i śmiałe, grzeczne i chamskie. Jeden z lokali okazał się barem dla lesbijek, w którym jakaś kobieta – bardziej przypominająca faceta – ubrana w ciuch, który wyglądał na sportową kurtkę, poprosiła ją o taniec przy rytmach rocka z lat sześćdziesiątych. Maria musiała odmawiać dwa razy. Zauważyła, że wszyscy w knajpie ubrani byli w stylu z tych lat, i zdała sobie sprawę, że jej także może to dotyczyć. Kobiety pracujące w tym oczywistym zawodzie pod wieloma względami były od zawsze takie same.

Zawieszony na lustrze za barem napis składał się z liter wyciętych z różowego papieru i ogłaszał, że była to „NOC NOSTALGII”.

„BAWCIE SIĘ DOBRZE!”, zachęcał. Dla Marii nostalgia zawsze była słabością, a nie powodem do zabawy.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie potaćzyć, żeby opadło z niej choć trochę skumulowanego napięcia. Bała się jednak, że na swoich dziesięciocentymetrowych obcasach skręci kostkę. Łysa kobieta w rozciągniętym wielokolorowym T-shircie i z ogromnym kółkiem w uchu uśmiechnęła się szeroko i pomachała ręką pełną banknotów, wabiąc Marię z powrotem. „Nie odchodź”, powiedziała samymi ustami, ale Maria przepchnęła się przez ogonek wchodzących do środka kobiet i otoczyła ją upalna noc.

Czwartym miejscem, do którego weszła, był lokal Billy G's, mieszczący się w popadającym w ruinę ceglanym budynku tuż przy Christopher Street. Zajmował cały parter, rozległą przestrzeń z tak długą ladą, że pracowało za nią czterech barmanów. Porządnych rozmiarów parkiet do tańca, zgrabny prostokąt umiejscowiony równolegle do baru, był zatłoczony. Za nim mieściły się stoliki. Klienci byli obojga płci i chyba każdej orientacji seksualnej. Tancerze podrygiwali spazmatycznie w takt rytmicznego, nieustającego łomotania, które, jak podejrzewała Maria, było wzmocnionym biciem serca.

Zajęła stolik przy ścianie i zamówiła niedrogiego drinka – burbona z wodą i lodem. Kelnerka, wychudzona kobieta z jednym okiem umalowanym tak, że wyglądało na podbite, ledwie zaszczyciła ją spojrzeniem. Miejsce w sam raz dla mnie, pomyślała Maria. Wpatrywała się w tłum, ostentacyjnie demonstrując brak zainteresowania, kiedy ktoś podchodził do jej stolika. Jeśli była prostytutką, to nietypową. Wiedziała, czego szuka. Na razie sączyła drinka i stroniła od towarzystwa.

Na końcu baru, przy drzwiach siedzieli jacyś osobnicy w skórach i czarnych butach. Wyglądali na twardzieli; mogli być motocyklistami albo harowali w dzielnicy finansowej, a wieczorem, po zrzuceniu ubrań od Brooks Brothers, wcielali się w inne role. Bliżej ladę barową oblegali bardziej mieszczący się w normie osobnicy we wszystkich możliwych strojach, od dżinsów po garnitury i krawaty, a pili wszystkie możliwe rodzaje alkoholu, od piwa przez czystą wódkę po drinki Cosmopolitan. Niektórzy wchodzący do Billy G's przystawali przy facetach w skórach, a potem ruszali dalej. Odbywało się to szybko, odbywało się to wprawnie, ale wyćwiczone oko Marii dostrzegło, że z rąk do rąk przechodzą pieniądze i jakieś małe przedmioty.

Młody gniewny w spodniach opadających do połowy pośladków i

z włosami postawionymi na lakier w dwunastocentymetrowe kolce z pewnością nie był w komitywie ze skórzaną bandą, ale on też zatrzymał się przy końcu baru i dokonał niemal niezauważalnej transakcji.

Maria obserwowała i nabierała optymizmu, pomyślała nawet, że może nie będzie musiała kończyć swojego rozwodnionego drinka.

Po jakichś dziesięciu minutach jeden z typów w skórze, kawał chłopa z siwiejącą brodą, zsunął się ze stolka i skrajem parkietu ruszył w stronę łazienki. Miał założoną na gołe ciało czarną kamizelkę, z której zwisały łańcuchy. Jego muskularne ramiona zdobyły tatuaże, a kiedy jeden z tancerzy niechcący go potrącił, brodacze mimochodem, ale brutalnie przyłożył mu łokciem. Uderzony tancerz zgiął się wpół, lecz nadal podrygiwał w rytmie i nie spróbował oddać, choć obrzucił brodacza gniewnym spojrzeniem.

Maria pilnowała, kto wchodzi do łazienki i z niej wychodzi. Liczyła na to, że skórzany brodacze zostanie w łazience sam.

Po to tu przyszedł. Do dzieła!

Wstała od stolika i ruszyła za brodaczem, przeciskając się między tańczącymi. Łazienki znajdowały się na końcu długiego korytarza, a wiodły do nich słabo oświetlone strome betonowe schody. Szpilki okazały się kłopotliwe i tutaj. Maria musiała schodzić ostrożnie. Stopnie były wąskie, a im niżej się po nich zeszło, tym silniejszy stawał się zapach zastalego moczu i sosnowego środka dezynfekującego, wyraźnie oznajmiający, co mieści się na dole. Mocz zdecydowanie wygrywał ze środkiem dezynfekującym.

Ominęła porwaną uniesieniem parę pieszczącą się na schodach. Przyciśnięta do ściany kobieta cicho pojękiwała. Maria usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Ktoś wyszedł z łazienki. Pod górę zaczęła wchodzić szczupła postać. Kiedy się zbliżyła, Maria rozpoznała mężczyznę w powiewającej sportowej kurtce. *Dobrze. O jednego mniej. Tym większe prawdopodobieństwo, że brodacze jest sam.*

Na dole znajdowało się dwoje lichych szarych drzwi z laminowanego drewna, identycznych pod każdym względem. Na każdym umieszczono standardowe międzynarodowe oznaczenia z sylwetkami w spodniach i spódnice, informujące, że toalety są wspólne dla mężczyzn i kobiet. *Urocze.*

Maria głęboko nabrała tchu. Zaraz jednak przypomniała sobie o amoniakowym odorze moczu, więc szybko wypuściła powietrze i otworzyła najbliższe drzwi.

O dziwo, w łazience pachniało lepiej. Może staranniej ją dezynfekowali. Na ścianie po lewej wisiał pisuar. Po prawej znajdo-

wała się kabina. Drzwi do niej były zamknięte, ale Maria zobaczyła filigranowe stopy obute w czółenka na płaskim obcasie i parę zdecydowanie damskich kostek. Wycofała się i przeszła przez drugie drzwi. Tym razem popatrzyła na lewo, gdzie, jeśli łazienki były symetryczne, powinna znajdować się kabina. Była tam – pusta, z otwartymi metalowymi drzwiami.

A po prawej brodac w skórze sikał do pisuaru.

Wykazując się przesadną wręcz uprzejmością, Maria zaczekała, aż skończy i się odwróci. Brodac zapiął rozporek, jednocześnie się odwracając. Zobaczyła w jego oczach zaskoczenie. Sądził, że stoi za nim inny mężczyzna i czeka w kolejce do pisuaru. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnął się, pokazując przegniłe zęby.

– Zamierzasz sikać na stojąco? Chętnie popatrzę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zrewanżowała się uśmiechem.

– A wiesz, że bym nie miała?

Upewnił się, że są sami, strzelając w lewo i prawo spojrzeniem podkrążonych oczu. Widać było, że jest zaintrygowany.

– W co ty się bawisz?

– Dopiero szukam czegoś do zabawy.

– Jak dla mnie to z tobą faceci się bawią, o ile mają kasę.

– Spotkałam paru takich, co mieli. Teraz ja ją mam.

– I chcesz wydać.

– Po to jest.

– Zależy, co chciałabyś kupić.

– Biały proszek, i to nie taki do pielęgnacji niemowlęcych pupek.

Wyszczerył się, po czym głośno i powoli wypuścił powietrze, dając do zrozumienia, że myśli. Nawet z odległości metra czuła jego paskudny oddech.

– Jesteś gliną? – zapytał.

– Jak na glinę mam cholernie obolałe pewne części ciała od zbierania forsy na drągi.

– I jesteś święcie przekonana, że ja nie jestem gliną.

– Ta, na pewno turyści ciągle pytają cię o drogę.

Roześmiał się.

– Żadna z ciebie dziwka. Nosisz ten strój jak jakieś przebranie. Może i jesteś w przebraniu.

– Nie przyszedłam tu na konsultacje z mody. Chcę kupić trochę koki.

– Widzisz, gadają, że dziś w Billy G's ma być nalot.

– A nie gadają tak codziennie?

– Prawie że – przyznał.

– Słuchaj, siedziałam na górze i widziałam, że sprzedajesz wszystkim, od miejscowych obiboków po szczeniaki z przedmieść, które przyjechały do miasta tatusiową bryką. Moje pieniądze są równie dobre. I, prawdę mówiąc, jestem potrzebicka.

– W to wierzę. Nie wiem tylko, czy potrzeba ci koki, czy aresztowań.

– Och, daj spokój.

Uniosła T-shirt, odsłaniając piersi, i ścisnęła je, celując w niego sutkami.

– Jaka policjantka by to zrobiła?

Wpatrywał się w jej piersi, dopóki nie opuściła koszulki. Jego ręka powędrowała do kieszeni skórzanej kamizelki, a gdy się wynurzyła, był w niej mały blaszany pojemnik na miętówki. Maria zastanawiała się, skąd go wziął. Przecież nie kupił i nie zjadł tych miętówek. Centymetr po centymetrze wsuwała dłoń do niezapiętej torebki.

– Mam w tym towar najwyższej jakości – powiedział.

Sięgnęła po puszkę, ale zabrał ją sprzed jej wyciągniętej ręki.

– Nie ufasz mi?

– Nikomu nie ufam.

– Cóż, będziesz musiała zaufać takiemu solidnemu gościowi jak ja. Pozycję przetargową to może mieć Donald Trump, nie ty. Mam tu prawdziwy towar? A może talk? Poznanie odpowiedzi będzie cię kosztowało.

– Kupię, jak spróbuję.

Wzruszył masywnymi ramionami.

– Podobno widziałaś, jak robię interesy. Twoim zdaniem utrzymałbym się w interesie, gdybym kantował?

W przewrotny sposób pytanie było sensowne.

– Dobra. Ile?

– Ile masz. – Wrócił spojrzeniem do jej piersi. – I jeszcze trochę. Możesz mi pokazać, że naprawdę jesteś pracującą dziewczyną, a to ubranko dla lalek, z którego zaraz wyskoczysz, to nie przebranie.

Zwalczyła lęk i odrazę, a gniew dodał jej odwagi.

– Może nie zauważyłeś, że już ci pokazałam. A pracującym dziewczynom się płaci.

– Czasami po prostu się je pieprzy.

Otworzyły się drzwi i zajrzał przez nie mężczyzna w spodniach od garnituru i niebieskim pulowerze. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie i szybko się wycofał. Brodaczy w skórze znowu wzruszył byczymi ramionami.

– Chcę tylko napiwku. – Podniósł małą puszkę. – A przy okazji, to nie jest talk. Talk, jak mówiłaś, nadaje się tylko do niemowlęcych tyłków. Tutaj mam coś dla twojego noska, słodziutka, a dla twojego tyłka mam coś zupełnie innego. – Zauważył jej rękę zanurzoną w torebce i znieruchomiał. Absolutny spokój niebezpiecznego mężczyzny, gotowego do działania. – Naprawdę mam nadzieję, że sięgasz po kasę.

Wyciągnęła kupiony na pchlim targu gaz, zbliżyła go na kilka centymetrów do jego twarzy i z całych sił wdusiła kciukiem plastikowy przycisk.

Zadziałaj! Błagam, zadziałaj!

Nic się nie stało.

O kurwa.

Zaczął krzywić się w uśmiechu, kiedy gaz syknął mu prosto w twarz. Brodacz akurat robił wdech; sapnął i zatoczył się do tyłu, tracąc równowagę na gładkich kafelkach. Upadł ciężko i uderzył głową o porcelanowy pisuar. Blaszana puszką wypadła mu z ręki i potoczyła się za drzwi kabiny. Maria spróbowała złapać ją w locie, ale jej się nie udało, więc też opadła na podłogę i wczołgała się do kabiny.

Jest! Za muszlką klozetową! Tam!

Zacisnęła rękę na puszcze. W tym samym momencie ręka faceta w skórze zacisnęła się na jej prawej kostce. Miał chwyt kogoś, kto spędził setki godzin na ściskaniu kierownicy motocykla.

Maria jedną ręką chwyciła pojemnik, a drugą złapała się drzwi od kabiny. Podciągnęła się jakoś do pozycji stojącej, ale brodacz wciąż trzymał jej kostkę.

Leżał na wznak, a podrażnione gazem oczy miał zamknięte. Po jego nalanej twarzy spływały łzy. Nie zamierzał pozwolić Marii odejść. Cieszyła się, że jej nie widzi. Dzięki temu miała szansę w walce.

Aby zachować równowagę, przytrzymała się stalowych drzwi, uniosła wysoko nogę i wbiła brodaczowi w rękę dziesięciocentymetrowy obcas. Żadnej reakcji.

Jeszcze raz! Mocniej!

Zaskamlał i puścił jej kostkę. Ostry czubek obcasa tak mocno wbił się w ciało między kciukiem a palcem wskazującym, że kiedy brodacz wrywał rękę, prawie ściągnął jej but.

Przycisnął zranioną dłoń do ciała, jakby starał się zatamować krwawienie. Wciąż leżąc na wznak, zaczął wierzgnać na oślep z nadzieją, że trafi ją którymś z ciężkich buciorów.

Maria stała w kabinie poza jego zasięgiem. Wybrała idealny mo-

ment, żeby nad nim przeskoczyć. Młócaca noga chybiła ją o włos. Zaczął krzyczeć, ale na górze raczej nikt go nie słyszał poprzez wrzawę głosów i głuchy łomot podkręconego bicia serca.

Brodacz kręcił się teraz po podłodze, jakby w amoku tańczył bre-akdance. Marnował czas – wierzgał w stronę przeciwległej ściany. Maria wiedziała, że jej się udało. Zanim wyszła z łazienki, pochyliła się nad nim i w przerwie między jego krzykami wyszeptła: „Dupek” na tyle głośno, żeby ją usłyszał. Natychmiast namierzył kierunek, z którego dobiegł jej głos, i przekreślił masywne ciało na kafelkach.

Tyle gracji w takim dużym mężczyźnie.

Po jej wyjściu kopał w drzwi, które za sobą zamknęła.

Za długo była na dole. To niedobrze.

Przy barze w Billy G's Nancy Weaver popatrzyła na zegarek. Nowa Madeline spędziła w łazience prawie piętnaście minut. W takim miejscu nikt nie zostawał ani o sekundę dłużej, niż musiał.

Weaver sprawdziła wcześniej toalety i wiedziała, że nie da się inaczej wyjść z budynku, jak wracając na górę. Ale nikt nie wracał, pomijając mężczyznę, który zszedł po stopniach i zaraz pojawił się z powrotem, cokolwiek spłoszony. Weaver wiedziała, że w takich lokalach wiele rzeczy może odstraszyć człowieka od skorzystania z łazienki. Mimo to zapamiętała wyraz twarzy tamtego mężczyzny. Prawdopodobnie nie miało to nic wspólnego z nową Madeline. Prawdopodobnie.

Weaver bardziej martwiła się tym, że Madeline tyle czasu spędza na dole. Była...

Jej uwagę zwróciło zamieszanie na drugim końcu baru. Usłyszała kilkakrotnie wykrzyczane słowo „policja”. Wyteżając wzrok, popatrzyła sponad drinka w lustro za ladą.

Świetnie. Tylko tego mi brakowało.

Wyglądało na to, że tajniacy z narkotyków robią nalot. Rewidowali facetów w czarnych skórach, którym wcześniej kazali oprzeć się rzędem o bar. Chudy tajniak z włosami ufryzowanymi w dziko sterujące kolce – Weaver widziała, że wcześniej kupował narkotyki – wbijał dziewięciomilimetrowy pistolet w ucho jednego ze skórzanych zakapiorów. Kątem oka wyłapała jakiś ruch po lewej. Nowa Madeline właśnie wróciła na górę. Zobaczyła, co dzieje się przy barze, i z przerażoną miną zamarła u szczytu schodów.

Nie bez powodu. Jej mina już zaczęła przyciągać uwagę, którą podtrzymywał jej strój. Weaver musiała podjąć decyzję, która mogła uratować lub pogrzebać jej karierę. W ciągu kilku sekund postanowiła, że lepiej zdemaskować się przed Madeline, niż dopuścić do zgarnięcia jej w policyjnym nalocie. Musiała działać szybko i sprawnie. Któryś glina już szedł wyłączyć muzykę. Wszyscy w lokalu zostaną co najmniej pobieżnie przesłuchani lub przeszukani.

Zsuwając się ze stołka, zauważyła, że oczy Madeline już badają, już szukają drogi ucieczki. Ale nie uda jej się wydostać. W najlepszym razie zostanie oskarżona o prostytutkę i trafi na dołek. Weaver też ubrała się dość seksownie, korzystając z tego, że pracowała po cywilnemu, więc mogą chcieć ją wylegitymować i będzie musiała pokazać odznakę.

Podeszła do Madeline i ujęła ją pod ramię.

– Jestem po twojej stronie. Chodź ze mną.

Madeline patrzyła na nią zdumiewająco spokojnym, badawczym wzrokiem.

– Jakbym miała wybór – powiedziała.

Weaver poprowadziła ją na ukos przez parkiet w kierunku głównego wejścia, przy którym stało teraz dwóch mundurowych. Lewą ręką trzymała ją pod ramię, w prawej chowała odznakę. Przy odrobinię szczęścia uda jej się wydostać z Billy G's, nie zdradzając przed Madeline, że jest policjantką.

Minęły skórzanych zakapiorów zakuwanych w kajdanki. Obaj postawni mundurowi przy drzwiach śledzili je wzrokiem. Bo i dlaczego nie? Dwie wyzywająco ubrane kobiety wychodzą sobie ze środka narkotykowego nalotu. Fajnie byłoby takie przeszukać, nawet jeśli nic z tego nie wyniknie. Weaver odniosła wrażenie, że zna jednego z mundurowych, choć słabo. Byle tylko od razu jej nie rozpoznał.

Mundurowy uśmiechnął się, ale nie do niej.

– Dwie pracujące dziewczyny próbują się wymknąć – powiedział.

Drugi glina, który przez młodzieńczy tłuszczyk i niemrawo ronsnący wąsik wciąż wyglądał jak dzieciak, dał krok w ich stronę. Weaver ustawiła się bokiem i, trzymając rękę przy biodrze, obróciła dłoń, żeby mundurowy zobaczył odznakę. Zatrzymał się, uważnie popatrzył na blachę, a potem na Weaver. Odpowiedziała równie intensywnym spojrzeniem i puściła do niego oko. Młodzik nie był głupi. Zerknął na partnera i podszedł do niego. Szeptał mu coś na ucho, gdy Weaver wyprowadzała Madeline za drzwi. Drugi glina, ten znajomy, przyglądał się Weaver. Widziała, że teraz ją rozpoznał, ale nic nie dał po sobie poznać.

Znalazły się na zewnątrz, pośród parnej nocy, która w porównaniu z nabitym ludźmi lokalem wydawała się chłodna. Szły szybko. Weaver prowadziła, trzymając Madeline pod rękę. Wyczuwała, że wyższa od niej kobieta jest słabsza i w gorszej formie. Choć różnicę mógł powodować niepewny chód na wysokich obcasach. Madeline

zaczęła posapywać. Przecznicę dalej niespodziewanie wyrwała ramię i się zatrzymała.

– Niewiele brakowało – zagaiła Weaver.

Miała nadzieję, że Madeline weźmie ją za prostytutkę, która z kolei wzięła Madeline za koleżankę po fachu, polującą na klientów w Billy G's.

– Niewiele – przytaknęła Madeline. – Dzięki za pomoc. Wyszliśmy pod samym nosem tych durnych gliniarzy przy drzwiach.

– Wzięliśmy ich przez zaskoczenie. – Weaver udała chichot. – Skamienieli, porażeni naszą urodą.

Pomyślała, że może się razem pośmieją, zadzierzgną więź – dwie kobiety o zmarnowanym życiu, które przynajmniej raz są górą. Teraz, kiedy Madeline już ją zobaczyła i później rozpozna, dobrze by było zdobyć jej zaufanie. Quinn zrozumie, dlaczego Weaver musiała zadziałać szybko i wyprowadzić Madeline z klubu. Może będzie chciał jakoś obrócić to zdarzenie na swoją korzyść, chociaż w tym momencie Weaver nie miała pojęcia jak. Chciała po prostu przekuć pecha w coś pozytywnego.

Na Madeline to nie zadziało. Bez uśmiechu, wciąż ciężko dysząc, rozsunęła małą czarną torebkę, którą kurczowo ścisnęła, i włożyła rękę do środka.

– Chcę ci coś dać.

Weaver pomyślała, że Madeline chce się zrewanżować za pomoc w Billy G's i sięga po pieniądze.

– Kochana, to niepotrzebne. Naprawdę.

– Nalegam. Uratowałaś mi tyłek.

– My, siostry, musimy się trzymać razem.

Madeline wyjęła mały cylinder i uniosła go na wysokość twarzy Weaver. Kciuk opadł na przycisk.

W chwili, w której Weaver rozpoznała pojemnik z gazem, cienka chmura spreju trafiła ją w oczy i oślepiła. *Jezu!* Rozpaczliwie machnęła ręką, żeby odtrącić pojemnik, ale było już za późno. Opuszki jej palców ledwie musnęły wyciągnięte ramię Madeline, które w ogóle nie drgnęło. Weaver próbowała zaczerpnąć tchu, ale nie mogła. Zaczęła się dławić i unosić ręce do oczu, a wtedy Madeline pchnęła ją na chodnik.

Au! Weaver ciężko rąbnęła tyłem głowy o beton. Za jej oczami zapłonął ból i usłyszała dźwięk wciąganego powietrza. Mimowolny wdech przynajmniej oczyścił przewody nosowe, ale tylko na chwilę. Oczy Weaver stały w ogniu.

Zabiję ją! Zabiję tę parszywą kurwę!

Nie była jednak w stanie nikogo zabić. Poeksperymentowała i odkryła, że może zrobić wydech, nie krztusząc się. Wdychanie powietrza było trudniejsze.

Zaczęła wstawać, ale upadła. W prawym kolanie odezwał się pulsujący ból. Pewnie uderzyła nim o chodnik, zanim przewróciła się na plecy.

Zabiję ją...

Ślepa i obolała, kaszląc i charcząc na wilgotnym chodniku, wyraźnie usłyszała twarde *stuk, stuk, stuk* oddalających się groteskowo wysokich obcasów Madeline.

Gaz. Też mi, kurwa, wdzięczność!

Wciąż łapała oddech i próbowała kłykciami usunąć z palących oczu środek chemiczny, kiedy bardziej wyczuła, niż usłyszała, że ktoś nad nią przestępuje i spiesznie idzie dalej.

Tej nocy będzie inaczej.

Greeve szedł szybko, myśląc przy tym, jak bardzo opłacało się śledzenie Weaver. Dwa dni temu doprowadziła go do miejsca zamieszkania kobiety, która nazywała się Madeline Scott. Na początku nie znał jej nazwiska, ale łatwo było się zorientować, że to z jej powodu Weaver obserwowała budynek. Minęła godzina, Scott wyszła z domu, a Weaver się do niej przykleiła. Pozostało mu tylko do nich dołączyć.

Zabawnie było robić za wagon na doczepkę. Scott, Weaver, Greeve. Uznał, że Weaver jest bardzo dobra w swojej robocie.

Scott wróciła z gazetą i jakimiś ilustrowanymi czasopismami. Greeve nie widział Weaver, ale na pewno gdzieś tam była. To samo wydarzyło się następnego wieczoru: Scott wyszła z domu, a Weaver wynurzyła się z jakiegoś wejścia po drugiej stronie ulicy i zaczęła ją śledzić. Tym razem Greeve za nimi nie poszedł. Zaczekał, aż wróciły, co nastąpiło jakieś pół godziny później. Wyglądało na to, że Scott była tylko w delikatesach na rogu, gdzie kupiła jakieś jedzenie na wynos. Gdy weszła do budynku, Weaver wróciła na swój posterunek.

Greeve wypatrywał, w którym oknie zapali się światło. Trzecie piętro, wschodnia strona. Później, kiedy Weaver nie było w pobliżu, sprawdził skrzynki pocztowe w sieni i upewnił się, że to mieszkanie rzeczywiście zajmuje M. Scott. Przez otwór z przodu wsunął do skrzynki długopis z klipsem, zręcznie zahaczył nim o cienki list, po czym nawinął list na długopis. Wydostał korespondencję, nie uszkadzając jej. Pismo zachęcało Madeline Scott do otwarcia darmowego rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowego w pobliskim banku. Greeve wiedział już, gdzie mieszka M. Scott, i poznał jej imię. Wrzucił nienaruszone pismo do skrzynki i się uśmiechnął. Robota detektywistyczna. Greeve był w niej tak dobry, że czasami sam się sobie dziwił.

Rzeczywiście tej nocy było inaczej. Madeline zwykle ubierała się skromnie, a tym razem wyszła z domu odstawiona jak prostytutka.

Może była prostytutką? Greeve nie wiedział o niej nic poza tym, że interesowała Quinna i jego ekipę. Niesamowicie się chwiała na tych wysokich obcasach. Z wprawą zaczął śledzić Weaver, która szła za Madeline. Greeve uwielbiał takie akcje.

Po krótkiej przejażdżce taksówką Madeline zaczęła chodzić od speluny do speluny, ale w żadnym lokalu nie spędziła dużo czasu. Zachowywała się, jakby kogoś szukała. Albo czegoś. Greeve wszedł za obiema kobietami do jednego z klubów, lokalu sado-maso podzielonego na kabiny. Spędziły w środku jakieś dziesięć minut, po czym poszukiwania rozpoczęły się na nowo.

Do Billy G's nie wszedł. Bywał tu już wcześniej, znał rozkład klubu i obawiał się, że jeśli wejdzie do środka, Weaver go zauważy. Obserwował z przeciwnej strony ulicy nalot glin z wydziału narkotykowego i zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. Czy miało to coś wspólnego z Madeline lub Weaver? Nie wiedział i nie miał jak się dowiedzieć. W miejscu takim jak Billy G's często mogły się zdarzać naloty. Uśmiechnął się, ciekaw, czy Madeline zostanie wzięta za prostytutkę. Nie powinna się zdziwić, skoro tak się ubrała. Wyobrażał sobie, jak zabierają ją do stojącego niedaleko policyjnego vana i jak wspina się do niego w tej krótkiej spódniczce. Ale to on się zdziwił, kiedy Weaver wyszła z klubu, prowadząc Madeline pod rękę.

Co się tu dzieje, do diabła?

W pierwszej chwili pomyślał, że Weaver aresztowała Madeline. Ale nie, bo ruszyły w złą stronę – oddalały się od vana. Patrzył, jak idą ku następnej przecznicy, po czym swobodnym krokiem przekroczył ulicę i podążył za nimi. A warto było za nimi iść. Przyglądanie się Madeline idącej na wysokich obcasach to już było coś, a Weaver... Od niej też trudno było oderwać wzrok.

Zatrzymały się, a Madeline wyrwała łokieć z uścisku Weaver. Rozmawiały, stojąc naprzeciwko siebie, tylko z pozoru przyjaźnie, bo przeczyła temu mowa ciała. Greeve patrzył na dwie osoby, które sobie nie ufają. Potem Madeline sięgnęła do torebki i coś z niej wyjęła.

W pierwszej chwili Greeve pomyślał, że to pistolet, ale zacisnięta dłoń Madeline była pusta albo było w niej coś bardzo małego. Przysunęła pięść przed zdumioną twarz Weaver, a w świetle stojącej nieopodal ulicznej latarni nagle pojawiło się coś w rodzaju rozrzedzonej mgiełki.

Gaz. Łzawiący albo paraliżujący.

Madeline obiema rękami pchnęła Weaver na chodnik. Potem szybko się oddaliła, postukując wysokimi obcasami. Po przejściu jakichś trzech metrów potknęła się i omal nie upadła. Schyliła się

płynnie i zdjęła ostre jak szpilety szpilki. Pospieszenie obejrzała się na Weaver, po czym zaczęła biec. Buty trzymała w ręce, a jej stopy w nylonowych pończochach plaskały na chodniku. Wszystko trwało mniej więcej dziesięć sekund.

Psiakrew!

Greeve wybitnie nie przepadał za otwartymi pościgami, ale nie mógł zgubić Madeline. Puścił się za nią biegiem, nie odrywając wzroku od białych nóg, które migły w zalegających na chodniku cieniach. Bez szpilek biegła naprawdę szybko, ale sądził, że za nią nadąży, gdyż obcisła spódniczka krępowała jej ruchy.

Leżąca na chodniku Weaver wciąż dławiła się i kasłała. Jej niewidzące oczy były opuchnięte. Nie zdążyła ich zamknąć ani odwrócić głowy. Trzymała się za brzuch i próbowała złapać oddech. Musiała wciągnąć do płuc sporo gazu, czy był łzawiący, czy paralizujący. Greeve przeskoczył nad nią i pobiegł dalej.

Kilka przecznic dalej Madeline zwolniła, zatrzymała się i włożyła buty. Schyliła się tak samo płynnie, tym razem sięgając okrytych pończochami palców u stóp. Że też ten nylon to wytrzymał, pomyślał Greeve. Ruszyła w dalszą drogę już normalnym tempem. Greeve się ucieszył. Zaczynało brakować mu tchu i się przegrzał. Rozpiął antracytową marynarkę. Jej poły łopotały w rytm kroków. Miał też ciemną koszulę i krawat, więc Madeline nie powinna go zauważyć, nawet jeśli się obejrzy.

Pogoń znowu zmieniła się w rutynowe śledzenie. Dwukrotnie głęboko odetchnął i uznał, że nie jest źle. W końcu zajmował się tym, co lubi. Przyjemnie było zgrać się z tempem Madeline. Szedł, trzymając się budynków po swojej lewej stronie, żeby w razie czego zniknąć z widoku, gdyby Madeline obejrzała się akurat wtedy, kiedy Greeve znajdzie się w blasku latarni lub włączonego neonu. Przecznicza była ciemna, pełna już zamkniętych sklepów, więc raczej nie będzie musiał szukać osłony.

Zaskoczyła go. Jej białe nogi nagle zmieniły tempo i kierunek, a chwilę później zniknęła. Skręciła w jakieś drzwi bądź przesmyk między budynkami.

Co, do cholery?

Nieważne. Poradzi sobie z tym.

Raczej go nie zauważyła, ale nie mógł mieć całkowitej pewności. Wrócił do poprzedniego tempa, a potem zaczął biec. Spodziewał się, że ona też biegła, znowu z butami w ręce. W pobliżu plamy cienia, w której zniknęła Madeline, zwolnił i zaczął iść ostrożniej. Wszystko wskazywało na to, że weszła do ciemnego przesmyku.

Dziwne. Samotna kobieta... No nic, trzeba pójść za nią.

Ruszył przed siebie. Opuszki jego palców ocierały się o chropowate cegły i zaprawę murarską, gdy zanurzał się w mrok między blokami.

Wstrząśnięty, zobaczył ją stojącą naprzeciwko.

Za chwilę osłupienia zapłacił życiem. Poczul ostrze noża wbijające się w lewy bok i sunące w górę ku sercu. Usłyszał, naprawdę usłyszał,

jak nóż otarł się o żebro. Mimo bólu, który wstrząsnął jego ciałem jak porażenie prądem, czuł, że ktoś wyszarpuje mu portfel z kieszeni i rozpina sprzączkę u paska. Noc stała się jeszcze ciemniejsza.

Ból popchnął go do przodu, więc Greeve zaczął iść bez jakiegokolwiek poczucia kierunku. Zobaczył słaby połysk odległego światła i zatoczył się ku niemu. Światło oznaczało życie.

Ale przygasało i im bardziej ku niemu brnął, tym bardziej się oddalało.

Bardziej i bardziej...

Spodnie zsuwały się coraz niżej, aż wreszcie owinęły się wokół kostek. Wtedy upadł.

Funkcjonariusz Murray ze znużoną determinacją obchodził swój rewir. Kręcił gałkami u drzwi i zastanawiał się, czy doczeka końca zmiany. Pieszce patrole w tej części Village były doprawdy nudną robotą. Dlatego też były niebezpieczne: nuda rodziła nieostrożność, a ta mogła kosztować zdrowie lub życie. Jego żona Milly martwiła się ostatnio, że mógłby zostać ranny. Może nie aż zrzędziła, ale dawała mu do zrozumienia, że się przejmuje. Zaczynało go to denerwować, a przez to za dużo myślał. Nie tylko o niebezpieczeństwie, ale i o tym, co człowiek oglądał w tej robocie i czego nie zapominał. Ukrywał przed Mil fakt, że myślał o zmianie pracy na taką, która nie będzie wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem, zbyt dużą ilością cynizmu i niemożliwych do wymazania wspomnień.

Sprawdził gałkę w drzwiach zamkniętej księgarni z literaturą erotyczną. Nie ustąpiła. Przyjrzał się przez okno półkom z książkami w broszurowych oprawach i czasopismami, ale nie zauważył nic podejrzanego, więc skierował się do następnych drzwi. W ciągu ostatniego miesiąca do księgarni włamano się dwukrotnie. Może powinien porozmawiać z właścicielem i wydębić od niego klucz. Mógłby wtedy w wybrane noce posiedzieć trochę w środku, popilnować, może przejrzeć jakieś pisemka... Kilku sprzedawców w jego rewirze by się ucieszyło...

Co jest?

Na chodniku zataczał się facet z opuszczonymi spodniami. Zaplątał się w nie i zwał jak kłoda. Nie próbował osłonić głowy ani twarzy, z czego Murray wywnioskował, że był martwy lub nieprzytomny. Murray rozpiął kaburę, w której nosił dziewięciomilimetrowy pistolet, i rzucił się biegiem w stronę mężczyzny. Natychmiast się zorientował, że z boku ma zionący czernią przesmyk, ale na razie go zignorował, przejęty stanem leżącego.

Facetowi zawinęła się marynarka i Murray zobaczył charakterystyczny brązowy pasek podtrzymujący kaburę na broń. Z kieszeni koszuli mężczyzny wyjął dwoma palcami skórzane etui, w którym była błękitno-złota odznaka detektywa policji miasta Nowy Jork. *Chryste! Glina!*

Koszulę faceta, chodnik i rękę Murraya pokrywała krew. Dopiero wtedy Murray poczuł ulotny słodkawy zapach, napływający z ciemnego zaułka. Szarpnął głową. W przesmyku nikogo nie było. Ale niedawno ktoś tam stał, ktoś, kto przesadził z perfumami.

Coś pociągnęło go za koszulę. Ten facet, detektyw, jeszcze żył i jedną ręką chwycił za materiał, żeby Murray się pochylił. Jego usta się poruszały, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie dawał rady. *Ostatnie słowa umierającego. Jezu!* Murray przyłożył ucho do ust mężczyzny. Cicho, ale wyraźnie, facet powiedział: „Chore...”.

I to wszystko.

Murray poszukał pulsu, lecz miał obok siebie już tylko zastygłe ciało.

Quinn wszedł do gabinetu Renza i na chwilę zatrzymał się w progu. Na jego twarzy nie odmalowały się żadne emocje. Nie spodziewał się Nobblera, choć przed drzwiami słyszał głośną rozmowę. Ciekawe, dlaczego Renz zaprosił jednocześnie ich obu. Może na wszelki wypadek chciał mieć świadka. Albo rozjemcę.

Zastępca naczelnika policji Wes Nobbler przemierzał nagrzaną gabinet Renza. Twarz miał czerwoną. Renz najwyraźniej starał się okazywać mu jakieś współczucie – w końcu Ed Greeve, którego zeszłej nocy zasztyletowano, był najlepszym przyjacielem i współpiskowcem Nobblera. Quinn zastanawiał się, na ile szczerze jest to współczucie. Renz był naprawdę zły, kiedy opowiadał Quinnowi przez telefon, jak Greeve dał się zabić. Zły na Nobblera.

Nobbler zatrzymał się i okrzyknął w stronę Renza, który siedział za biurkiem z miną wprawdzie spokojną, ale był to spokój zwiastujący burzę.

– To się, kurwa, nazywa tupet – powiedział Nobbler. – Działasz w tajemnicy i zlecasz cholerniej tajniaczce śledzenie Madeline Scott.

Renz się nawet nie poruszył. Może myślał, że na siedząco łatwiej mu będzie zachować spokój. Głos jednak miał napięty.

– Greeve nawet by nie wiedział o istnieniu Madeline Scott, gdyby nie śledził Weaver.

– Co z tego? Greeve jest... był gliną. Gliny śledzą.

– Ale nie są od śledzenia innych glin.

– Zabili go, kiedy śledził tę pieprzoną Scott. Wiem, bo sam mi to powiedział. Zadzwonił do mnie z komórki spod Billy G's, zanim podjął trop.

– Chcesz powiedzieć, że poszedł tropem ich obydwu.

– To akurat nieważne.

– *Nieważne?* – Renz oparł dłonie na blacie, jakby obawiał się, że w przeciwnym wypadku biurko zacznie dryfować na morzu niedorzeczności Nobblera. – Właśnie że cholernie ważne! Wpieprzasz mi się w sprawę. Skoro twój glina śledził moją glinę śledzącego podejrzaną, powinieneś o tym przynajmniej wiedzieć, do cholery! W

ogóle to po kiego Greeve łąził za Weaver?

– Sądził, że dzięki temu śledztwo posunie się do przodu.

– *Moje* śledztwo. A Weaver zgubiła Scott wtedy, kiedy Greeve zginął. Skoro on śledził Weaver, to pewnie zgubili ją jednocześnie. Nie mamy powodów, żeby podejrzewać Scott o morderstwo.

– A kogo mamy podejrzewać? – zapytał Nobbler. – Znałeś Greeve'a. Weź mi powiedz uczciwie: naprawdę myślisz, że zabiła go jakaś inna, *prawdziwa* prostytutka, którą chciał przelecieć?

– Miał spodnie na kostkach – wytknął Renz. – A funkcjonariusz Murray twierdzi, że ostatnie słowo Greeve'a brzmiało „chore”. Może chciał powiedzieć coś o perwersji.

– I tylko to obchodzi jebane media w tym mieście. Już smarują w gazetach i telewizji, jak to policjant zginął z ręki prostytutki. Wiesz, jak brzmiał jeden nagłówek? „Glina przyłapany z opuszczonymi spodniami”.

– O, są dokładni jak rzadko.

Twarz Nobblera przybrała jeszcze głębszy odcień czerwieni.

– Co ty mi tu pierdolisz? Dobrze wiesz, że Greeve'a nie zabiła jakaś zwykła dziwka, która przyłapała go...

– ...z opuszczonymi spodniami. Za co winisz media? Piszą o tym, na co wskazują fakty.

– Wierzysz, że tak było? – zapytał Nobbler, który dosłownie się trząsł, usiłując nad sobą zapanować.

– Szczerze mówiąc, nie.

– Nie uwierzylibyśmy, nawet gdy by rzeczywiście tak było – wtrącił Quinn.

Zagapili się na niego, jakby dopiero zauważyli jego obecność.

– Prawda jest taka – dodał Quinn – że mogło tak być. Tego nie wiemy.

Nobbler popatrzył na Quinna z taką wściekłością, jakby chciał rzucić mu się do gardła.

– On ma rację, Wes – powiedział Renz. Nadął obwisłe policzki i powoli wypuścił powietrze. – Ma rację, nawet jeśli nikomu się to nie podoba.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi – przypomniał Quinn. – Greeve miał słabe punkty jak każdy z nas. A nuż zadał się z prostytutką, a potem sprawy wymknęły się spod kontroli. Mogło to spotkać nawet kogoś takiego jak Greeve, wystarczyła odpowiednia kobieta, nieważne, czy była świętą, czy dziwką.

– Właśnie – powiedział Renz. – Pamiętasz Berniego...

– Tak, tak! – Nobbler wbił pięści głęboko do kieszeni, zrobił

kilka kroków i wyrztał przez okno. Wyglądało na to, że gniew częściowo z niego uszedł.

– Dlaczego tak was interesuje Madeline Scott? – zapytał, nie odwracając się.

– Nazywa się tak samo jak bezdomna, która wpadła pod pociąg metra – odpowiedział Quinn.

Jeśli Nobbler już o tym wiedział, nie dał tego po sobie poznać.

– Co z tego?

– Przypadek? – zapytał Quinn.

– Czemu nie? Przypadki się zdarzają, inaczej nie byłoby tego wyrazu w słowniku.

– W moim słowniku go nie ma.

– Sądzisz, że zakłucie śledzącego Weaver Greeve'a ma coś wspólnego z torsowymi morderstwami? – zapytał Nobbler.

– Nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy Greeve wciąż śledził Weaver, kiedy dostał nożem.

– Coulter zginął w Luizjanie – przypomniał Nobbler. – Sprawa powinna zostać zamknięta. Nikt z nas jej nie rozwiązał – dodał niemal nieobecnie.

– Myślałem, że tylko jeden z nas próbował – powiedział Renz.

Wciąż wpatrzony w letni blask za oknem Nobbler go zignorował.

– Torsowy morderca ukrywał się poza stanem, co w zasadzie wyłączyło nas z gry. Może nikt z policji nie powinien przypisywać sobie zasługi za jego śmierć. Szlag, Coultera mógł zastrzelić pospolity rabuś. Albo był to wypadek na polowaniu.

– To prawdopodobne – odparł Quinn.

Nobbler się odwrócił.

– Czyli w taki przypadek jesteście w stanie uwierzyć?

Quinn odpowiedział uśmiechem.

– Nasza praca to wyjaśnianie zbrodni – powiedział Nobbler. – Nie powinniśmy dzielić się na osobne oddziały, które nie wymieniają między sobą informacji.

– Takich jak raporty z autopsji? – zapytał Quinn.

Duża żyła na czole Nobblera zaczęła pulsować niczym wąż strażacki gotów pęknąć i zacząć sikać wodą gdzie popadnie. Nobbler otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamiast tego mocno zagryzł dolną wargę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Dobrze to przyjął – odezwał się Renz.

– Nie ma prawa na nas wjeżdzać – powiedział Quinn.

– Jak sądzisz, Greeve'a zadźgała nowa Madeline?

– Nie wiem. Coś mi tu zgrzyta.

– Da się to powiedzieć o wielu aspektach tej sprawy – zauważył Renz. – Niedługo rzucą się na nas hieny medialne. Trudno mi w to uwierzyć. Wystawiliśmy ściganego mordercę, żeby odwrócić ich uwagę, po prostu wytypowaliśmy gościa w ciemno, a on, cholera, dał się zabić w Luizjanie.

– Jego zdjęcie obiegło cały kraj.

– Mimo to...

– To naprawdę mógł być przypadek.

– Jezu, Quinn...

– Może to przetestujemy? Wystawmy innego poszukiwanego mordercę, którego nosi po kraju. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Renz na chwilę zasłonił twarz dłońmi, po czym zabrał je i popatrzył na Quinna.

– Myślę o Edzie Greevie – powiedział z powagą.

– Był w porządku – odparł Quinn. – I świetny był z niego glina. Nie zasługiwał na coś takiego. Kiedy pogrzeb?

– Nie o to mi chodzi. Ciekaw jestem, za co ktoś miałby go dziabnąć.

– Biorąc rzecz na logikę, oszukał dziwkę, a ona wzięła to sobie do serca.

– Jebać logikę. Za dużo mi namieszała w życiu.

– Mnie też – odrzekł Quinn ze szczerym smutkiem. – Żyjemy nią, kochamy ją i boimy się, dokąd nas doprowadzi.

– Jak prawdziwa miłość – powiedział Renz.

– Rozmawiałem z jej sąsiadem z bloku – mówił Victor. – Powiedział, że zaraz po zmierzchu Madeline wyszła. Była sama i ubrała się jak ulicznica.

Siedzieli w siedzibie E-kstazy, w chłodnym, uporządkowanym gabinecie Palmera Stone'a. Victor miał wymiętą koszulę i potrzebował golenia. Chyba że zapuszczał brodę. Stone był zdania, że broda nie przystoi ludziom interesu.

– O której wróciła? – zapytał zza biurka.

– Nie wróciła. Przez całą noc. O szóstej rano dałem sobie spokój z obserwacją.

– Niedobrze – zafrasował się Stone. – Mogła uciec.

– Ale dlaczego?

– Zeszłej nocy w Village ktoś zabił nożem glinę.

– Nie widzę związku – powiedział Victor. – Podejrzewam, że naprawdę się prostytutuowała i spędziła noc z klientem.

– Nie potrzebuje pieniędzy – zauważył Stone.

– Ale może potrzebować seksu – odparł Victor. – Niektórzy aż za bardzo go lubią.

Stone wstał z fotela i przeczesał dłońmi pieczołowicie ułożone siwe włosy. Zastanawiał się, czy Maria Sanchez/Madeline Scott mogła być nimfomanką. Jego włosy w cudowny sposób ułożyły się tak jak wcześniej.

– Owszem, to możliwe – przyznał.

– Narkotyki i seks. Może coś więcej.

– Nawet nie chcę myśleć co – powiedział Stone.

– Skoro gliny uważają, że torsowe morderstwa się skończyły, to może powinniśmy pożegnać się z Marią Sanchez.

Stone wiedział, że Victorowi nie chodziło o pomachanie ręką na do widzenia.

– Czyli skasować ją?

– Skoro wolisz takie sformułowanie.

Stone wołał. Nie lubił odstępstw od ustalonego nazewnictwa biznesowego.

- Zastanowię się.
- Jest chodzącą beczką prochu, Palmerze.
- Nie chcę podejmować zbędnego ryzyka.
- Madeline Scott będzie miała śmiertelny wypadek. Kto, do diabła, w ogóle to zauważy? Kto w Nowym Jorku w ogóle ją zna? Dobrze wiesz, że jest niebezpieczna. Za dużo gada, bo coraz bardziej siada jej psychika. W jej wypadku transformacja nigdy się nie dopełniła. Jest inna niż pozostali klienci specjalni. Nie stała się Madeline Scott.

Stone musiał przyznać, że argumenty Victora przeciwko Marii Sanchez/Madeline Scott były trudne do obalenia. W dodatku skoro policja obarczyła świętej pamięci pechowego Toma Coultera odpowiedzialnością za torsowe morderstwa, nie będzie miała powodu łączyć z nimi śmierci Madeline. Dopóki śmierć Sanchez/Scott będzie traktowana jako wypadek.

Stone bardzo by chciał, żeby Gloria wydobrzała i wyszła ze szpitala. Była ekspertem od nagłych wypadków. A Victor... cóż, należało wziąć pod uwagę zmiany, jakie ostatnio w nim zaszły. Jego coraz bardziej niechlujny wygląd, zauważalną skłonność do sadyzmu... Nie wolno mieszać emocji z biznesem. Do tego dochodził oczywiście stres związany ze stanem Glorii – kolejna dawka emocji. Czy Stone naśle na chodzącą beczkę prochu drugą beczkę prochu?

- Zastanowię się – powtórzył.

Victor wzruszył ramionami.

- Ty tu rządzisz.

Ostatnimi czasy Stone miał co do tego wątpliwości.

Dwa dni później Victor znów pojawił się w gabinecie Palmera Stone'a. Tym razem ubrał się przyzwoiciej, w niebieski garnitur z jakiegoś lekkiego, elegancko układającego się materiału. I był ogolony. Załączki brody przeszły do historii. Taki Victor podobał się Stone'owi o wiele bardziej.

- Pamiętasz naszą rozmowę o Marii Sanchez? – zapytał Victor.

- Nazywajmy ją Madeline Scott – poprosił Stone.

- Dobrze. Jak zwał, tak zwał. Obserwowałam ją.

Stone'a specjalnie to nie zdziwiło.

- Dlaczego?

- Powiedziałeś, że zastanawiasz się, czy jej nie skasować. Uznałem, że warto opracować jakiś wstępny plan.

- A teraz chcesz poznać moją decyzję.

- Nie. Moim zdaniem nie powinniśmy się do niej zbliżać.

– Naprawdę? – A Stone już skłaniał się ku wręcz przeciwnemu rozwiązaniu. Victor go przekonał. Nie wiadomo było tylko, czy Victor jest odpowiednim człowiekiem do tej roboty.

– Policja ją obserwuje. Dwadzieścia cztery na dobę.

– Pytanie brzmi – powiedział Stone – czy obserwowali ciebie, gdy ty obserwowałeś Madeline?

– Nie ma takiej możliwości. Zaufaj mi, Palmerze, jestem profesjonalistą.

– Policjanci też. Zwłaszcza Quinn.

– Nie ma strachu – uspokoił go Victor. – Może powinniśmy skasować Madeline dopiero wtedy, kiedy przestaną się nią interesować.

– Może – zgodził się Stone.

– Wiem – uśmiechnął się Victor. – Zastanowisz się.

Ale Palmer Stone myślał w tym momencie o policyjnej obserwacji Madeline Scott. Od jak dawna trwała? Dlaczego była prowadzona? I co się za tym kryło?

– Chtośś jezie – powiedziała zaspana Cathy Lee.

W Luizjanie wstał gorący wilgotny poranek, a brzęczenie owadów na bagnach niemal zagłuszało warkot samochodu toczącego się błotnistymi koleinami w kierunku walącej się chałupy. Cathy Lee zerknęła na Joego Raya, który cicho pochrapywał, leżąc na brzuchu z połową twarzy zagrzebaną w poduszce. Juan spał w drugiej sypialni i dla odmiany był cicho. Zwykle chrapał tak głośno, aż szeleściły liście na drzewach. Dlatego Cathy Lee zamykała się z Joem Rayem w sypialni.

Cathy Lee zwlokła się z łóżka, podeszła po gołych deskach do okna i wyjrzała przed dom. Serce jej podskoczyło.

W cieniu wielkiej wierzyb stał samochód szeryfa. Cathy Lee wiedziała, że dowodów z laboratorium mety wystarczy, by cała trójka poszła siedzieć na długie lata. Może powinna wyjść tylnymi drzwiami, zostawić Joego Raya i Juana. Oni na pewno zostawiliby ją bez wahania. Furgonetka stała na tyłach domu, wystarczy do niej wsiąść i odjechać. Ale uruchamiając wielki silnik, narobiłaby dużo hałasu. Ktoś na pewno by ją usłyszał, a wtedy samochód szeryfa ruszy za nią w pościg.

Otworzyły się drzwi samochodu, wysiadł z niego wysoki zastępca szeryfa o szerokich barach i rozejrzał się wokół. Ze względu na upał zostawił w wozie swój służbowy kapelusz. Był młodym chłopakiem o krótko ściętych włosach, naprawdę przystojnym. Cathy uznała, że może go jakoś urobi. Wyjdzie do niego, zapyta, czego chciał (jakby nie wiedziała), i spróbuje go zagadać, żeby nie zajrzał do przybudówki.

Starając się nie obudzić Joego Raya, włożyła biały szlafrok frotté i upewniła się, że widać jej rowek między piersiami. Doprowadziła włosy do jakiegoś takiego ładu i wymknęła się na ganek, cicho zamykając za sobą drzwi. Zastępca zauważył ją i się uśmiechnął. Odmłodziło go to o dziesięć lat. Może pójdzie z nim łatwo.

– Dzień dobry szanownej pani – powiedział. – Nazywam się O.E. Simmons i jestem zastępcą szeryfa.

– Dzień dobry, zastępczo szeryfa O.E. Simmonsie. Cathy Lee Aiken, do usług. – Omal nie zasalutowała z uśmiechem, ale to już byłaby przesada.

Nie zareagował tak, jak oczekiwała. Jego wciąż przyklejony uśmiech odrobinę przygasł, a Cathy zdała sobie sprawę, że po prostu miał taką twarz. Był jednym z tych, którzy uśmiechają się non stop. Taki układ mięśni. A gdy uważniej mu się przyjrzała, stwierdziła, że wcale nie był taki młody. Nie, jeśli zwróciło się uwagę na jego oczy.

– Ktoś jeszcze jest w domu? – zapytał.

Patrzyła na wielki dziewięćmilimetrowy pistolet wiszący na jego biodrze. Broń i te oczy. Lepiej mu nie kłamać.

– Dwóch facetów, Joe Ray i Juan.

– Wychodzi trzech.

– Nie, panie władzo. Joe Ray to jeden gość.

– Aha.

Zbliżył się do niej. W kącikach oczu miał kurze łapki, jakby za często mrużył oczy na słońcu. Nie zareagował, kiedy zeszła mu na spotkanie po trzech rozpadających się schodkach, pokazując spory kawałek nogi spod poły szlafroka. Wyczytała w jego oczach, że nie był nią zainteresowany w sposób, o jaki jej chodziło. Bez osłony cienia rzucanego przez dach ganku to ona mrużyła oczy w słońcu, gdy na niego patrzyła. *Jest pan pedziem, zastępczo O.E. Simmonsie?*

– Chce pan porozmawiać z którymś z nich? – zapytała.

– Jeśli któryś jest właścicielem furgonetki, którą znaleźliśmy na bagnach.

Cathy Lee odetchnęła. Po załatwieniu numeru identyfikacyjnego i przemalowaniu F-150 na ciemnoniebiesko (jej ulubiony kolor) Joe Ray i Juan porzucili przerdzewiałego starego dodge'a na bagnach, jakieś półtora kilometra od domu. To miało załatwić sprawę. Jeśli oddawało się coś bagnu, można się było pożegnać z tym na zawsze. Odgadła, że zmiażdżone kołami zielsko nie zdążyło odrosnąć, ktoś zauważył stary wrak i zawiadomił policję stanową.

– Jakiś problem? – zapytał głośno.

Joe Ray się obudził i z zaspianym spojrzeniem wytoczył na ganek. Był bez koszuli i na bosaka, ale naciągnął na siebie stare dzinsy. Przez dziurę w nogawce widać było brudne kolano.

– Chodzi o tego starego dodge'a, którego zostawiliśmy na bagnach – odpowiedziała Cathy Lee. Popatrzyła na zastępcę. – Złamaliśmy jakieś przepisy?

Simmons jakby się pogubił, ale wciąż miał na twarzy uśmiech, który nie był uśmiechem.

– To nie był dodge, tylko prawie zupełnie nowy ford.

Joe Ray, który zaczął schodzić po stopniach, omal z nich nie zleciał. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że wpadł w panikę. Cathy Lee zdała sobie sprawę, że ma szeroko otwarte usta.

– Coś nie tak? – spytał zastępca.

– Wóz jest legalny – zbyt defensywnie powiedział Joe Ray.

Simmons zmrużył oczy. Zachowywali się, jakby zakłócił spotkanie mafijne.

– To pan go zostawił w błocie?

– Nic o tym nie wiem. Wczoraj jeździł nim mój kumpel, Juan.

– Gdzie teraz jest?

– W domu, śpi jak zabity. Musiał późno wrócić.

Zastępca oparł prawą dłoń na czarnej kaburze ze skóry i popatrzył w bok.

– Co jest w tej przybudówce?

– Sprzęt ogrodniczy i takie tam – odpowiedział Joe Ray.

– Nie widziałem po drodze żadnych upraw.

– Ktoś mówił o jakiejś furgonetce? – zapytał Juan.

On też wyszedł na ganek. Był na bosaka jak Joe Ray, ale do dzinsów włożył biały T-shirt.

– Chodzi o forda – wyjaśnił mu Joe Ray. – No wiesz.

– Wracałem po nocy z Rodney's Roadhouse – powiedział Juan – i ugrzązłem w błocie. Myślałby kto, że to niemożliwe w takiej wielkiej bryce z napędem na cztery koła i w ogóle, ale przegapiłem zakręt i konkretnie zjechałem z drogi. A że nie udało mi się wyciągnąć wozu, wróciłem na piechotę. Furgonetka ciągle powinna tam być.

– Jest, widziałem ją – potwierdził funkcjonariusz. – Nie da się jej wydostać bez traktora albo wyciągarki.

– Co racja, to racja.

– Podchmielił pan sobie w Rodney's?

– Osuszyłem dwa browarki. Rodney panu powie.

– Zawsze wierzyłem Rodneyowi. Za kółkiem nie piliśmy, prawda?

Juan uśmiechał się z zakłopotaniem. Nie odurzył się wczoraj alkoholem, ale czymś innym.

– Mogę uczciwie odpowiedzieć, że nie, panie władzo.

– Ja tam o tej furgonetce nic nie wiem – powiedziała Cathy Lee.

W oczach Joego Raya błysnął gniew.

– Najeździłaś się nią. Nawet żeś się...

– Lepiej daj temu spokój, Joe Ray – przerwała mu Cathy.

– Możemy panu pokazać, gdzie zostawiliśmy starego dodge'a –

wtrącił Juan, widząc, że sprawy idą w niebezpiecznym kierunku. Odrobina współpracy i zmiana tematu. Może powinni zaprosić glinę do środka, gdzie albo Juan, albo Joe Ray będzie miał blisko do broni. Nie mieli najmniejszej ochoty strzelać do zastępcy szeryfa, ale jak przyjdzie co do czego...

– Aha. – Simmons powiódł po nich wzrokiem. – Zostawmy tego dodge'a. Powiem wam, że ciekawi mnie ford. Wielki F-150.

– Nie jest kradziony – powiedział Joe Ray. – Może pan sprawdzić.

– Sprawdziłem. Ale zastanawiam się, czy jak zajrzemy do szoferki, będą w niej puszki po piwie albo butelki po czymś mocniejszym. Może nawet jakieś nielegalne substancje.

– W życiu! – Juan zrobił palcem wskazującym znak krzyża na sercu.

– Sprawdźmy – powiedział zastępca. – Furgonetka jest niedaleko.

Juan wzruszył ramionami. Joe Ray zrobił strapioną minę.

– Jak w nocy stamtąd posuwałem, wydawało się daleko – próbował jeszcze Juan.

– Szanowna pani może tu zostać – powiedział zastępca do Cathy Lee. – Wrócimy za piętnaście, dwadzieścia minut. – Popatrzył na Juana i Joego Raya. – Ponieważ nie macie samochodu, ja poprowadzę. Przykro mi, ale musicie usiąść z tyłu na miejscach dla zatrzymanych. – Nie odrywając od nich wzroku, podszedł do radiowozu i otworzył tylne drzwi.

Joe Ray i Juan popatrzyli na Cathy Lee i powoli podeszli, żeby zająć wskazane miejsca. Obaj mieli kciuki zatknięte za przednie kieszenie džinsów. Wsiadający jako pierwszy Joe Ray pochylił się i obrzucił wzrokiem stalowe kraty oddzielające przednie siedzenia od tylnych. Zauważył też, że od wewnątrz nie ma klamek. Był wprawdzie regulator opuszczający i podnoszący szybę, ale Joe Ray był pewien, że nie działa. Gdy był już połową ciała w samochodzie, zaważał się, odwrócił i popatrzył na zastępcę szeryfa.

– To nie jest jakaś sztuczka?

– Ja o takiej nie słyszałem – odpowiedział Simmons. – Po prostu przepisy. Przewożeni pasażerowie muszą tam siedzieć.

Joe Ray skinął głową i zniknął we wnętrzu wozu. Juan podążył za nim. Obchodząc samochód, zastępca popatrzył jeszcze raz na Cathy Lee. Jego uśmiech znów wydawał się prawdziwy. I z tej odległości Simmons znowu wyglądał młodo.

– To zwykła formalność. Szybko się uwiniemy, szanowna pani.

– Zaparzę kawę – odpowiedziała Cathy Lee.

Samochód zastępcy szeryfa dotarł do miejsca, gdzie nieopodal drogi utkwiał F-150. Simmons zjechał na to, co uchodziło tutaj za pobocze, i zatrzymał wóz. Poprzez bujną roślinność widać było tył skrzyni ładunkowej niebieskiego forda. Szlak wielkiej furgonetki znaczyła zgnieciona trawa i powyrywane młode drzewka. Droga tu skręcała, ale ford pojechał prosto i o włos minął całkiem rozłożyste pnie cyprysów, po jednym z każdej strony. Nie ominął jednak ich niższych gałęzi.

– Zdaje się, żeś pan nałamał trochę drewna – rzucił Simmons przez ramię.

– Prawdę mówiąc, mogło mi się zasnąć za kółkiem – odpowiedział Juan. – Mam sen bezdechowaty... bezdusz... no, zaburzenia snu, więc przeważnie jestem zmęczony i przysypiam niespodziewanie w najgłupszych momentach.

– Bezdech senny – poprawił zastępcę. – To się leczy.

– Nie chcę na noc zakładać tego ustrojstwa do oddychania – odparł Juan. – Widzi mi się, że może człowieka udusić.

– No właśnie, wyleczy z bezdechu – wtrącił Joe Ray.

– Zaraz wrócę.

Zastępcę wysiadł i zamknął za sobą drzwi, zanim zdążyli odpowiedzieć.

Nie oglądał się na nich, podchodząc do furgonetki. W promieniach porannego słońca, kładących się ukośnie między drzewami, pękaty tył forda lśnił jak pisanka niestaramie ukryta pośród zieleni.

Simmons zbliżył się do pojazdu na taką samą odległość jak poprzednio, po czym podwinął nogawki i zaczął brodzić w mętnej wodzie. Zastanawiał się, czy nie zdjąć butów, ale ryzyko, że na coś nadepnie, było zbyt duże. Albo że coś go ukąsi. Poza tym biuro szeryfa zwróci mu za parę regulaminowych butów zniszczonych w trakcie pełnienia obowiązków służbowych. Chyba. Do tej cholernej furgonetki nie dało się dotrzeć suchą nogą.

Poczuł, jak chłodna woda wlewa się do skórzanych butów. Skarpetki przemokły mu w sekundę. *Ryzyko zawodowe.*

Dobrnął do zanurzonego w błocie pojazdu i spróbował otworzyć drzwi po stronie kierowcy. Były zamknięte. Zajrzał do środka i zobaczył, że drugie też są zamknięte.

Wyglupilem się.

Nie chciał wyjść na idiotę przed dwoma mężczyznami zamkniętymi z tyłu radiowozu i poniekąd dlatego zaczął powoli okrążać furgo-

netkę, rozchlapując wodę i demonstracyjnie badając karoserię. Gałęzie porządnie ją porysowały, kiedy ten gość, Juan, wpakował się w bagno. Głębokie wyżłobienie na prawym przednim błotniku odślониło czarną barwę pod niebieskim lakierem. *Czarną*. Simmons był przekonany, że furgonetka fabrycznie nie miała czarnego podkładu. Ktoś ten pojazd przemalował, a wóz był na to zbyt nowy. No, chyba że brał udział w wypadku.

Wpatrując się w inne, mniejsze rysy, spod których też prześwitywał czarny lakier, zastępca nagle sobie przypomniał, że niedawno policja całego kraju poszukiwała czarnego forda F-150. Ukradł go ten cały Coulter, którego nafaszerowanego śrutem trupa znaleziono na szosie jakieś piętnaście kilometrów stąd. Ten pikap miał inne numery rejestracyjne, ale akurat to było zrozumiałe.

Zastępca szeryfa O.E. Simmons postanowił, że dwaj mężczyźni jeszcze trochę posiedzą zamknięci z tyłu jego samochodu. Brnąc do radiowozu, ze zdziwieniem odkrył, jaki jest podekscytowany. Wiadomo, że Coultera – torsowego mordercę – ktoś zastrzelił, a zwłoki porzucił na poboczu. Może to te dwa dupki, których miał z tyłu. Dwóch morderców. To dopiero aresztowanie! Może dzięki temu pewnego dnia wybiorą go na szeryfa.

Spokojnie, spokojnie... Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Nie rozpędzaj się, bo dokumentnie wszystko spieprzysz.

Zachowując się jakby nigdy nic, Simmons odwiózł obydwu mężczyzn do ich rudery. Zaparkował tam, gdzie poprzednio, w cieniu wysokiej wierzby. Cathy Lee Aiken nie było w zasięgu wzroku.

– Trzymacie w domu jakąś broń? – zapytał Simmons siedzących za nim mężczyzn.

Zabrzmiało to jak zwykle rutynowe pytanie.

– O niczym takim nie wiem – odpowiedział Juan.

– Ani jednej sztuki – dodał Joe Ray. – Mam starą dubeltówkę, ale została w furgonetce. Kompletnie się zepsuła i nie wyciągam jej z za siedzenia.

Simmons zostawił mężczyzn w środku, zamknął samochód i się oddalił. Z dobytą bronią wszedł na drewniany ganek. Zapukał. Żadnej reakcji. Zapukał jeszcze raz. To samo. Czuł na karku żar słońca.

– Szanowna pani?

Cisza.

Przekręcił gałkę. Drzwi były niezamknięte. Obejrzał się na radiowóz. Obaj mężczyźni z napięciem wpatrywali się w niego przez boczne okno. Ten chudy, Joe Ray, dosłownie przycisnął nos do szyby.

Zastępca szeryfa gwałtownie otworzył drzwi i szybko wszedł do

środku. Broń trzymał oburącz i celował przed siebie. Z wyprostowanymi ramionami zamiótł lufą z boku na bok. W salonie było pusto. Z sercem podchodzącym do gardła sprawdził obie sypialnie. Też były puste. W tej wyposażonej w podwójne łóżko powoli obracał się wiatrak sufitowy. Na podłodze leżała zużyta prezerwatywa, a w kącie opierała się o ścianę dwulufowa strzelba. *Jasne. „Ani jednej sztuki”.*

Gdy wszedł do ciasnej kuchni, w której też nikogo nie było, poczuł zapach. Uspokoił się i schował broń.

Cathy Lee zniknęła, ale kawa była zaparzona.

Miłość potrafi być cudowna.

Linda przysłała do Quinna z chińszczyzną na wynos i zasiedli do lunchu przy małym kuchennym stole. W mieszkaniu panował przyjemny chłód, choć na dworze było prawie trzydzieści stopni. Quinn jadł kurczaka w sosie pomarańczowym, a Linda moo goo gai pan. Dzielili się sajgonkami i białym ryżem z dużego piankowego pojemnika. Quinn wyjął z lodówki butelkowaną wodę i napełnił nią szklanki. Był w nich lód, żeby nie zrobiła się za ciepła.

Jedzenie i sojowe przyprawy wypełniły kuchnię miłym aromatem. Quinn pomyślał, że to niesamowite: siedzi we własnej kuchni, je przy własnym stole z kobietą, która nie jest ani jego żoną May, ani jego córką Lauri, i nie czuje się nieswojo. Ileż to lat przeżył z nimi w tym mieszkaniu... Potem był rozwód i Lauri na krótko wróciła do Quinna, podczas gdy May z nowym mężem przebywała w Kalifornii.

Teraz obie mieszkały w Kalifornii, a u Quinna była kobieta o imieniu Linda. Obca im, a czasami nawet Quinnowi.

Czuł się tak, jakby mieszkanie i to, co w nim było, zmieniło się – w jakiś dziwny, niemożliwy do nazwania sposób. Quinnowi przypominał się komik, który twierdził, że wszystko mu wyniesiono z domu i zastąpiono identycznymi kopiami. Tak właśnie czuł się Quinn, jakby grał samego siebie we śnie o swoim życiu. A w tym kontekście wszystko wydawało się normalne. *Możesz podać ryż, kimkolwiek jesteś?* Ciekawe, czy Linda kiedykolwiek doświadczyła tego dziwnego oderwania, czy czuła się kiedyś tak samo wyobcowana. Czy to kiedyś minie?

Jedli przez jakiś czas, nie spiesząc się i milcząc, podczas gdy świat poza kuchnią kręcił się w swoim zwykłym tempie.

– Nift ma jakiś problem – oznajmiła Linda, maczając sajgonkę w sosie słodko-kwaśnym.

– Może przeze mnie – odpowiedział Quinn. Napił się wody. – Mogłem mu uświadomić, że Renz wie o kimś, kto w dziale medycyny sądowej przetrzymuje wyniki autopsji.

– Ktoś ma się temu przyjrzeć? Będzie oficjalne śledztwo?

- Mało prawdopodobne, ale akurat o tym Nift nie wie.
- Nic dziwnego, że ostatnio jest taki podenerwowany.

Linda przeżuła i połknęła kęs sajgonki. Quinn z przyjemnością obserwował ruchy jej grdyki.

- Gnojek zasługuje na wszystko, co mu zrobią.
- Nie jest jedynym informatorem w dziale medycyny sądowej.

We wzroku Lindy pojawiła się czujność, ale zaraz zastąpił ją uśmiech.

- Cóż, jestem też ja. Ale to coś zupełnie innego.
- Bo trzymasz stronę tych dobrych?
- Żebyś wiedział.

Quinn uśmiechnął się do niej szeroko.

- Tak bardzo różnisz się od Nifta!
- Jezu, mam nadzieję.

Upił wody ze szklanki wilgotnej od kondensacji i otaksował Lindę spojrzeniem.

- Jak już skończymy lunch...
- ...wrócę do pracy – przerwała mu. – Ty chyba też powinieneś polować na bandziorów?
- Nie słyszałaś? Torsowy morderca został podziurawiony w innym stanie.

- Więc w takim stanie nie będzie mordował.

Czyżby mi uwierzyła?

- Wyczuwam sceptycyzm – powiedział.
- Raczej zdrowy rozsądek. Jak długo twoim zdaniem utrzyma się ta naciągana historyjka o Tomie Coulterze?

– Coulter naprawdę mógł być naszym mordercą. Czasami trafia nam się łut szczęścia.

– Tamtejsze gliny prześledzą jego aktywność z kilku ostatnich tygodni i sprawdzą, czy mógł dokonać morderstw i rozczłonkować zwłoki w Nowym Jorku. Wtedy sprawa się rypnie.

– Nie będzie im się z tym spieszyło, skoro Coulter nie żyje – odparł Quinn. Wyciągnął rękę nad stołem i dotknął wierzchu jej dłoni. – Wszystko się ułoży.

– No pewnie. Wystarczy, że nabierzesz media. Tylko że hien medialnych nie sposób z siebie strząsnąć, Quinn, a ludzie z E-kstazy wydali mi się bystrzy, więc na pewno przez cały czas wiedzieli, że Coulter nie jest tym, kogo szukamy. Zakładając, że kombinujemy we właściwym kierunku.

- We właściwym.
- Uważasz, że bajeczka się utrzyma?

- Tego nie powiedziałem.
- Uwielbiam pewnych siebie mężczyzn.

Linda dopiła wodę z lodem, podniosła torebkę z podłogi i wstała. Miała na sobie brązowy damski garnitur i białą koszulę, brązowe buty na płaskim obcasie, a do tego żadnej biżuterii poza srebrną bransoletką. Skromny i profesjonalny strój, mimo to cholernie seksowny w sposób, którego Quinn do końca nie rozumiał. Jak to możliwe, skoro Linda w gruncie rzeczy nie była w jego typie? Jeszcze miesiąc temu przez myśl by mu nie przeszło, że mógłby ponownie się zakochać. A skoro już do tego doszło, jakie inne niespodzianki gotowało mu życie?

- Wychodzisz?

– Wracam do prosektorium – odpowiedziała. – Jestem potrzebna Niftowi.

- Mnie też.

Okrążyła stół i położyła rękę na ramieniu Quinna.

– Mam nadzieję, że zawsze tak będzie. Miewałam straszego pecha do mężczyzn.

- Twój pech się skończył.

- To nie zależy od nas.

Linda coś sobie uświadomiła. Quinn i Renz zorientowali się, że Nift ukrywa informacje bądź przekazuje je z opóźnieniem. Nobbler o tym wie. Zatem wie również, że ktoś Nifta zakapował. Co oznacza, że Renz musiał mieć własnego informatora w dziale medycyny sądowej. Nobbler i jego poplecznicy szybko się domyślą, że mogła nim być kochanka Quinna. Linda знаła działanie systemu. Nobbler będzie chciał ją mieć po swojej stronie i bardzo mocno przycisnąć. Zostanie zmuszona do dokonania wyboru między karierą a Quinnem.

- Usiłujesz mi coś powiedzieć – domyślił się Quinn.

Pochyliła się, pocałowała go w czoło. Jej usta były chłodne i suche.

– Żebyś był ostrożny – odpowiedziała i skierowała się do wyjścia.

- Dlatego że mnie kochasz?

- Dlatego że cię kocham – potwierdziła i wyszła z mieszkania.

Quinn dokończył kurczaka w sosie pomarańczowym i zabrał się do białego ryżu, którego nie dojadła Linda. Przydałoby się go doprawić, ale nie chciało mu się fatygować.

Wiedział, że Linda miała rację: historia Coultera wkrótce wypływnie. I tylko na tyle poznał jej myśli. Była tajemnicą. Może właśnie dlatego należał teraz do niej.

Biuurko Palmera Stone'a było puste i miało wypolerowany blat.

Sprzątaczką dawno tu nie zaglądała. To za sprawą Stone'a gabinet wypełniał silny cytrynowy zapach spreju do mebli. W gruncie rzeczy wszystko lśniło czystością, było poukładane i znajdowało się na właściwym miejscu. Stone często mawiał, że pozory mają niebagatelny wpływ na dochody w biznesie. To, co zauważalne, często uznawano za rzeczywistość. Czasami kryła się w tym okazja. Jak teraz.

– Skoro zdaniem policji torsowy morderca nie żyje – powiedział – może pora znów zająć się interesami.

Na twarzy Victora odmalowało się zaskoczenie.

– Ale Gloria...

– Właśnie, co z nią? – zapytał Stone.

– Bez zmian. Od czasu do czasu jej gałki oczne poruszają się pod zamkniętymi powiekami, ale to wszystko. – Twarz mu się napięła, a oczy zwilgotniały. – Mówię ci, Palmerze, serce się kraje.

– Współczuję – powiedział Stone. – Przykro mi, że nie mogę nic zrobić.

– Wiem... Cholera, to takie trudne!

– Trudne – przyznał Stone. – Ale tak czy inaczej, musimy dbać o firmę. Jestem pewien, że Gloria właśnie tego by chciała.

Victor obrzucił go spojrzeniem.

– Mówimy o skasowaniu Marii Sanchez?

– Nie. Ustaliliśmy, że skasowanie jej wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem. Ale nie dotyczy to skasowania Jill Clark mimo prawie nieustannej obecności jej przyjaciółki. Jeśli Jill zniknie, zostawiając list z informacją, że opuściła Nowy Jork, kto się do tego przyczepi?

– Jewel.

– Jewel najpierw zapyta Tony'ego Lake'a. A Tony Lake będzie załamany, niezdolny zrozumieć, dlaczego Jill go zostawiła.

– Potrafię to zagrać – powiedział Victor. – Już to robiłem. Ale Jewel nie jest pierwszą lepszą głupią siksą.

– Oczywiście, Victorze. Ale z pewnością to kupi. Zauważ, że nie będzie miała wyboru.

– A co z naszą klientką specjalną? – zapytał Victor. – Tą, która czeka, żeby stać się Jill Clark?

– Tym razem nie wolno nam podrzucić tułowia na znak, że może przejąć tożsamość Jill, bo policja zorientuje się, że to nie Coulter był torsowym mordercą. Po prostu nagniemy reguły i porozmawiamy z nią, ale jasno damy do zrozumienia, że drugi raz do podobnego kontaktu nigdy, ale to nigdy nie dojdzie. Przez jakiś czas będzie mogła żyć jako Jill gdzie indziej, a potem niech wraca do Nowego Jorku, jeśli rzeczywiście chce tu mieszkać.

Victor delikatnie przesunął palcami po policzku, który, jak Stone z przyjemnością zauważył, był dziś gładko ogolony.

– Nie wiem, Palmerze. Ta Jewel to prawdziwy wrzód na dupie. A co, jeśli mi nie uwierzy i pójdzie na policję?

Stone zbywająco machnął wypielęgowaną prawą ręką.

– Jeśli nawet, to co? Jill postanowiła wyjechać z Nowego Jorku jak setki innych młodych kobiet, które miały dość walki o byt. Na dowód pozostanie list. – Stone wyprostował się w fotelu. – Potrafisz namówić Jill do napisania pożegnalnego listu, prawda?

– Oczywiście, to żaden problem. Potrafię ją namówić do wszystkiego. – Victor mocniej tarł policzek, jakby chciał go wypolerować. – Kiedy już ją...

– Darujmy sobie szczegóły.

– Słaby żołądek?

– Mój żołądek nie ma tu nic do rzeczy – odpowiedział Stone. – Masz coś do zrobienia, więc zajmij się tym, a ja wrócę do swoich obowiązków. Od początku ustaliliśmy, że nasz model biznesowy będzie się opierał na podziale zadań. Leży to w najlepszym interesie nas wszystkich.

– Faktycznie, ustaliliśmy. – Victor pomyślał, że w niedalekiej przyszłości będzie musiał o tym Palmerowi przypomnieć.

– Posłuchaj mnie, Victorze. Wiem, że Jewel stoi na drodze, ale musimy skasować Jill ze względu na jej powiązanie z dawną Madeline Scott. Nie zapominaj, że Jill widziała nową Madeline co najmniej przelotnie.

Victor dał sobie spokój z pocieraniem twarzy, ale na policzku został mu czerwony ślad.

– W porządku, Palmerze. To ma sens. Jak zwykle masz rację.

Stone właśnie to chciał usłyszeć.

– To tylko biznes, Victorze, zwykły i prosty. Najkorzystniejsza decyzja i dla klienta specjalnego, i dla firmy. Popatrz na to od tej strony, a przekonasz się, że nie ma lepszej opcji. Ważne jest oczywiście, żeby nigdy nie znaleziono ciała Jill Clark.

– Znam pewne miejsce w New Jersey.

– Nie chcę o tym słyszeć. To twój dział i jestem pewny, że uporasz się z tym tak samo efektywnie jak zawsze.

Stone z premedytacją nie wspomniał o Glorii. Victor będzie musiał działać samodzielnie.

– Na kiedy mam to zrobić? – zapytał Victor.

– Jak najszybciej – odpowiedział Stone.

– W jaki sposób?

– To już zależy tylko od ciebie.
Victor się uśmiechnął.

Staruszek w recepcji Tumble On Inn patrzył na samochód luizjańskiej policji stanowej, który z wyłączonymi światłami zajeżdżał na parking. To był już czwarty radiowóz.

– Na co czekacie? – zapytał.

W motelowej recepcji było dwóch funkcjonariuszy, przez co wydawała się dwa razy mniejsza. Jedyne za biurkiem zostało tyle miejsca, żeby się odrobinę poruszyć. Tam właśnie staruszek o imieniu Ike siedział na wysokim stołku o niskim wygiętym oparciu i od czasu do czasu podciągał kościste ciało, żeby ulżyć kręgosłupowi, który nieustannie mu dokuczał. Lepsze to, niż stać i silić się na uprzejmość wobec gości. Albo glin. Ongiś dały Ike'owi popalić, więc traktował policję z rezerwą.

Policjanci nie raczyli odpowiedzieć. Ale kiedy już coś mówili, byli dosyć uprzejmi. Chyba po prostu nie uważali go za kogoś, komu warto odpowiadać.

Ike zapodział gdzieś okulary, a bez nich mundurowi wydawali mu się identyczni. Byli zwaliści, mieli po metr osiemdziesiąt, włosy obcięte na wojskowego języka i agresywne podbródki. Jeden z nich pokropił się jakąś wodą kolońską albo płynem po goleniu o zapachu, od którego Ike'a wierciło w nosie.

Ike nie ustępował.

– To tylko jedna kobita. Jest sama i tak wogle to pewnie nie jej szukacie.

– To ty nas wezwałeś, dziadku – przypomniał Ike'owi policjant.

– No bo jak się rozzłościła, kiedy jej odmówiłem, tkło mnie, że coś jest z nią nie w porządku.

Drugi policjant się uśmiechnął.

– Przedstawcie se – mówił Ike – że taka kobita proponuje numer takiemu piernikowi jak ja. Kurna, testostego to już dla mnie wspomnienie. Tera jedyne, co mi nie sżywnieje, to właśnie...

– Nie chcemy wiedzieć – przerwał mu policjant, który się uśmiechał.

– Pewnie trudno w to uwierzyć, jak się na mnie patrzy, ale mam

osiemdziesiąt sześć wiosen. A ona przychodzi i prosto z mostu wali, proszę ja was, że nie ma pieniędzy na opłacenie pokoju za ostatnie dwa dni i czybym jej nie chciał...

– To nas nie interesuje – powiedział ten sam policjant. – Chcemy tylko sprawdzić, czy jest kobietą, której szukamy. Na to wychodzi z opisu, który podałeś przez telefon.

– A za co wy jej szukacie? – zapytał Ike. Uniósł gęste siwe brwi, co sprawiło, że jego wymizerowana twarz wydała się jeszcze chudsza. – Czyżbyście mieli ochotę...

– Ej! – Drugi glina ostrzegawczo uniósł palec wskazujący.

– Nic a nic was nie rozumiem – powiedział Ike. – Kurna, myślałem, że zajedzie radiowóz i zgarniecie ją za włączegostwo albo za handlowanie zadkiem. Kto ona jest? Bonnie Parker? – Wpatrzył się w nich kaprawymi oczami. – Wiecie wogle, kto to była Bonnie Parker?

– Miała knajpę pod Slidell, jeśli mnie pamięć nie myli – odpowiedział policjant po prawej. – Kawał jazgotliwej rudej cholery.

– To nie ta Bonnie Parker. – Ike zmierzył gliniarza pogardliwym spojrzeniem. – Miarkuję, żeście nigdy nie słyszeli o Bonnie i Clyde?

– Znamy wielu Clyde'ów – powiedział drugi policjant.

– A John Dillinger?

– Hmm... Miał coś wspólnego ze skandalem Enron, tak?

– Ja nie mogę! I wy się uważacie za policjantów?

Obaj gliniarze szczyrzyli zęby w uśmiechu. Ike, zrozumiawszy, że go wkręcili, spiorunował ich wzrokiem i przekręcił się na stołku.

– Prawdziwi Bonnie i Clyde raz się tu zatrzymali. W pokoju numer osiemnaście.

Policjanci patrzyli na niego bez wyrazu. Nie kupili tego. Jeden z nich się odwrócił, słysząc cichy chrzęst żwiru na podjeździe. Nadjeżdżał kolejny samochód. Ten też miał wyłączone światła, ale Ike spostrzegł przez okno, że nie był to wóz patrolowy policji stanowej. Należał do biura szeryfa z pobliskiego hrabstwa Pool.

– To on – powiedział policjant.

– Kto? – zainteresował się Ike.

Nie spodziewał się, że mu odpowiedzą, ale glina stojący bliżej to zrobił:

– Jedyńy z tu obecnych, który na własne oczy widział Mary Smith. Poza tobą oczywiście.

– I zaproponowała mi...

– Prosimy bez szczegółów – przerwał policjant stojący dalej.

Drugi mrugnął okiem.

– Daruj mojemu partnerowi. Jest dość świętoszkowaty. Poza tym

nie wierzymy, że ta kobieta naprawdę nazywa się Mary Smith.

– Mnie tam zarówno – odpowiedział Ike. – Pod takim nazwiskiem się zameldowała. Powiedziała, że pod koniec tygodnia zjawi się jej mąż z forszą i przed wyjazdem ureguluje w gotówce.

– Powiedziała to przed propozycją seksualną czy po?

– Po. Rozbeczała się, jak jej odmówiłem. Potem opowiedziała to o mężu.

– Uwierzyłeś kobiecie, która zameldowała się jako Mary Smith?

– Udawałem, że wierzę. Jest miła. Widziało mi się, że ma nerwy w strzępach, to i pożałowałem biduli. Pomyślałem, że może ma jakiś problem z głową albo z narkotykami i powinna znaleźć się w rękach władz. A Smithów meldowało mi się tutaj więcej, niż możecie se wyobrazić.

– Potrafię sobie wyobrazić wielu Smithów – powiedział ten stojący dalej od biurka.

– Chodźmy – rzucił jego partner, a do Ike'a powiedział: – Posiedź sobie tutaj, dziadku, my załatwimy, co mamy do załatwienia, a wtedy będziesz mógł wrócić do tego pisma z gołymi panienkami, co je czytałeś.

Ike drgnął. Wydawało mu się, że starannie przykrył „Wyuzdane Żądze” egzemplarzem „People”. Teraz zobaczył, że „People” leży obok. Musiał otrzeć się o biurko i potrącić czasopisma.

– Kurka wodna, pojęcia nie mam, skąd się to wzięło. Czytałem „Playboya”, ale dawno temu.

Gliniarzy jednak już nie było. Jak na tak dużych facetów niesamowicie szybko i cicho się poruszali. Nie trzasnęli za sobą opatrzonymi moskitierą drzwiami. Ike nie słyszał nawet pisku naciąganej sprężyny, który zawsze towarzyszył otwieraniu i zamykaniu drzwi. W jednej chwili byli, w następnej już nie.

Wrócił do swojego pisma, ale nie był w stanie czytać ani nawet skupić się na zdjęciach. Zbyt wiele działało się na zewnątrz.

Na zewnątrz dwaj policjanci zbliżyli się do szpaleru drzew porastających skraj parkingu.

Naprzeciwko był pokój Mary Smith. Lokatorka prawdopodobnie spała. W każdym razie światła w pokoju były wygaszone.

Czekała już tam na nich grupka kolegów z policji stanowej, a wśród nich porucznik Floyd Balamore z lokalnej komendy głównej. Obok porucznika stał młodzik w jasnobrązowym mundurze, który na pewno był Simmonsem, zastępcą szeryfa hrabstwa Pool.

Simmons przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Jego twarz oświetliła poświata księżycy i już nie wydawał się taki młody.

– Zabezpieczyliśmy tyły na wypadek, gdyby było jakieś inne wyjście – poinformował go porucznik Balamore.

Był Afroamerykaninem, ogromnym, inteligentnym i bardzo ambitnym. Miał skrzące się ciemne oczy i nieduży, ale bujny wąsik, zawsze starannie przystrzyżony, który nadawał mu wygląd kogoś, kto właśnie ugryzł cytrynę i usiłował wszystkim wmówić, że jest słodka.

– Podejrzemy półokręgiem, z wyciągniętą bronią – zadysponował. – Dwóch ludzi zapuka do drzwi i powie, że to policja. Jeden z nich będzie się na was, Simmons, oglądał. Jeśli pozytywnie zidentyfikujecie tę Aiken, skiniecie głową.

Simmons, który widział Cathy Lee w chacie na bagnach, rozmawiał z nią i był na dziewięćdziesiąt procent pewien, że to ona jest Mary Smith, skinął głową.

– Właśnie tak – powiedział porucznik Balamore – ale jeszcze nie teraz.

Uśmiechnął się blado pod ruchliwym wąsikiem. Jego podwładni nie łapali żartów, które zwykle rzucał beznamiętnym tonem, czuł się więc niedoceniany. Doszedł do wniosku, że Simmons był tak samo pozbawiony poczucia humoru jak oni.

– Do roboty – zwrócił się do swoich posępnych policjantów. – I pamiętajcie: podejrzana może być uzbrojona i niebezpieczna.

Rozproszyli się zgodnie z instrukcją i powoli szli przez ciemny parking w stronę skrajnego pokoju, gdzie prawdopodobnie spała

kobieta zameldowana pod nazwiskiem Mary Smith, której opis pasował do poszukiwanej Cathy Lee Aiken. Mieli prawo się spodziewać, że była uzbrojona i niebezpieczna. Dwaj policjanci stanęli po obu stronach drzwi, obawiając się, że w każdej chwili może je przeszyć grad kul. Głina po lewej wychylił się, zapukał trzy razy i głośno oznajmił, że jest z policji. Ten po prawej oburącz trzymał broń. Miał obróconą głowę i patrzył na Simmonsa, który stał z boku jakieś sześć metrów dalej.

Simmons znał Cathy Lee, nie uważał więc tych wszystkich środków ostrożności za konieczne, ale i tak wyjął broń, żeby nie być jedynym niegotowym do akcji. Dysponowali siłą ognia wystarczającą do pokonania zbrojnego batalionu, a nikt nawet nie wiedział, czy Cathy Lee – jeśli w pokoju rzeczywiście mieszkała Cathy Lee – w ogóle jest uzbrojona.

Drzwi z wolna się otworzyły i pojawiła się w nich kobieca postać w białym szlafroku. Przez chwilę stała nieruchomo. Potem ruszyła przed siebie, wstąpiła w blask księżycy i Simmons zobaczył zarówno jej twarz, jak i rowek między piersiami. To na pewno była Cathy Lee. Przesadnie skinął głową, żeby nie było wątpliwości.

Ledwie to zrobił, Cathy Lee niespodziewanie pomknęła do przodu i minęła dwóch stojących najbliżej niej policjantów. Zatrzymała się trzy metry za nimi i wyciągnęła spod szlafrocka ogromny rewolwer. Poły szlafrocka się rozsunęły, odsłaniając nagie ciało. Zaczęła obracać się w miejscu, patrząc wokół szeroko otwartymi oczami, i każdy mógł dokładnie obejrzeć, co kryło się pod szlafrokiem.

Nie mieli planu na taki obrót spraw. Zaskoczeni policjanci przy drzwiach zamarli. Ci ustawieni szeregiem na parkingu nie mogli strzelać z obawy, że trafią kolegów stojących za Cathy Lee. Ci za Cathy Lee nie strzelali, bo mogli trafić kolegę z szeregu. W dodatku dobitnie wszystkim zademonstrowała, że jest kobietą, co też hamowało uzbrojonych mężczyzn.

Cathy Lee uniosła rewolwer oburącz i zaczęła ściągać spust. Wielka broń grzmiała raz za razem. Pierwsza kula trafiła w samochód zaparkowany piętnaście metrów na lewo. Trzy poszły sześć metrów w górę i utkwily w gałęziach drzewa. Jeszcze jedna poleciała w noc i przepadła gdzieś nad polem fasoli. Ostatnia trafiła w bok naczepy toczącego się autostradą stanową ciągnika siodłowego, który wiozł opony na północ, do Atlanty. Kierowca nawet tego nie spostrzegł i kula prawdopodobnie obijała się teraz w jakiejś oponie.

Cathy Lee jeszcze kilkakrotnie nacisnęła cyngiel pustego rewolweru, po czym usiadła na ziemi i zaczęła płakać.

Palmer Stone był już po prysznicu i golił się przed wyjściem do pracy, kiedy zauważył, że na małym telewizorze w łazience leżą wiadomości. Piękna i przejęta blond spikerka mówiła o aresztowanej w Luizjanie kobiecie, którą uważano za współniczkę dwóch mężczyzn oskarżonych o zamordowanie Toma Coultera oraz o posiadanie i dystrybucję metamfetaminy.

Z punktu widzenia Stone'a śmierć Coultera, domniemanego torsowego mordercy, była korzystna, więc z jakimś zainteresowaniem śledził wiadomości na jego temat. Czytał o kobiecie, która była towarzyszką dwóch mężczyzn oskarżonych o zabicie Coultera, i wyciągnął wnioski. Takie kobiety potrafiły się o siebie zatroszczyć. Stone sądził, że uciekła i wykręciła się sianem. No, może wykręcić się nie wykręciła, ale na pewno uciekła. Jak widać, stało się inaczej.

Na małym płaskim telewizorze pokazywano policyjne zdjęcie rozczochranej szatynki, która wyglądała na szaloną. Miała ładną buzię, ciemne, wypełnione rozpaczą oczy i patrzyła w obiekty w z rozchyłonymi ustami, jakby zamierzała przemówić. Stone pomyślał, że ma w sobie coś przywodzącego na myśl mieszkanie w przyczepie turystycznej na kempingu, tanie salony piękności i tatuaże w miejscach, o których nie mówi się w towarzystwie.

– Dwudziestoletnia Cathy Lee Aiken opierała się aresztowaniu – mówiła spikerka. – Po zacieklej wymianie ognia z policją, w której na szczęście nikt nie został zabity ani ranny, krzycząca i stawiająca opór kobieta została aresztowana. Zdaniem policji będzie ona cennym źródłem informacji o ostatnim miejscu pobytu poszukiwanego Toma Coultera, rzekomego torsowego mordercy, i o wydarzeniach, które doprowadziły do jego śmierci, przypuszczalnie z rąk podejrzanych Joego Raya Jeffersa i Juana Adamsona. Wiadomo już, że Aiken żyła z domniemanymi mordercami w związku, który można by określić erotycznym trójkątem. – Opuściła wzrok i odwróciła kartkę, która była niewidoczna, dopóki nie znalazła się na wysokości kamery, po czym ponownie popatrzyła w obiekty w i się uśmiechnęła. – Podobno psy nie potrafią mówić, ale w Spangler w stanie Idaho...

Stone wyłączył telewizor. Przez jakiś czas stał z pilotem w ręce wycelowanym w ekran jak pistolet.

Ta Aiken mogła wiedzieć o Coulterze coś, co wykluczy go jako torsowego mordercę. Może była jego kochanką i w czasie gdy niektórzy klienci E-kstazy ginęli i dosłownie rodzili się na nowo, spędzała z nim czas w jakimś obskurnym motelu czy gdzie tam takie mieszkają. I nie da się powiązać z nim tułowi, które napsuły policji tyle krwi.

Stone odłożył pilota, na którym została odrobina kremu do golenia, i wrócił do wyrównywania baczków. Niepokoiło go aresztowanie tej kobiety z Luizjany. Zagrożenie było jeszcze nieokreślone, ale istniało. Bez dwóch zdań. Kobieta ze zdjęcia policyjnego wyglądała na przerażoną. Na kogoś, komu ze strachu nie będą się zamykały usta. Z drugiej strony wiarygodność Cathy Lee Aiken pozostawiała wiele do życzenia. prostytutka – a przynajmniej kobieta lekkiego prowadzenia – i współniczka morderstwa. Nie wspominając o tym, że prawdopodobnie uczestniczyła w nielegalnym handlu metamfetaminą. Dlaczego ktoś miałby wierzyć w każde jej słowo? Prawo domagało się faktów, a nie szaleńczego bełkotu aresztowanej kobiety oskarżonej o popełnienie poważnych przestępstw.

Ale wizerunek Cathy Lee Aiken nie chciał go opuścić. *Ty tania dziwko! Nikt ci nie uwierzy. Zagrzebiesz prawdę pod kłamstwami i wkrótce nikt nie będzie chciał cię słuchać.* Jeśli jednak będzie mówiła, policja zdwoi starania, żeby rozwiązać sprawę torsowego mordercy, a śledztwo może doprowadzić do firmy – jego firmy – którą stworzył od podstaw i uczynił machiną do robienia pieniędzy. A jeszcze nawet nie działała pełną parą. Dodatkowa presja ciążyła Stone'owi jak ołowiany klin w brzuchu.

Zaciął się i skrzywił do lusterka. Golił się byle jak. Jak ostatnio Victor. Stres tak działał na ludzi.

Quinn siedział u Renza na Police Plaza 1. W gabinecie było za gorąco, co pomału stawało się normą. Quinn zaczął podejrzewać, że Rencowi po prostu to odpowiada. Może miało to coś wspólnego z faktem, że brał lekarstwa na ciśnienie krwi. Czuć też było silniejszy niż zwykle zapach dymu cygarowego. Skrywany nałóg Renza. Ich wspólna słabość.

– Ta baba, którą aresztowały gliny z Luizjany – powiedział Renc. – Twierdzą, że gada jak nakręcona. Udupia kmiotów, którzy załatwili Coultera.

– Brała w tym udział?

– Na to wygląda. Dlatego gęba jej się nie zamyka. Kilka godzin temu rozmawiałem przez telefon z porucznikiem policji stanowej. Mówił, że nie mogą jej uciszyć.

– Czasem tak bywa, kiedy ktoś jest jednocześnie przerażony i winny – zauważył Quinn.

– Cała ona. W dodatku ostrzelała z rewolweru oddział policji stanowej. Wystarczy, żeby posłać ją do instytucji, w której nie pieką ciasteczek. Niech gada, powiadam. Uwielbiam gadatliwych podejrzanych.

– Coulter zginął za tę skradzioną furgonetkę?

– Nie – odpowiedział Renz. – Wręcz przeciwnie, chciał zamienić nowy wóz na ich kupę rdzy, bo nie rzucaliby się w niej w oczy i byłaby trudniejsza do namierzenia. I oczywiście kmioty nie zgłosiłyby kradzieży. Mogłoby się udać, gdyby nie zażądał pieniędzy. Kmioty handlowały metą, a Coulter chciał ich obrobić. Baba mówiła, że zgrywał się na jakiegoś Jessego Jamesa, co się kmiotom nie spodobało. Opowiadała, że jeden z nich go zastrzelił, a potem wywieźli ciało i wyrzucili je przy autostradzie. Ale furgonetkę sobie zostawili, przemalowali ją i załatwili numery rejestracyjne ze złomowiska.

– Można odtworzyć trasę furgonetki do miejsca, w którym Coulter ją ukradł – powiedział Quinn. – Ludzie będą pamiętać i ją, i Coultera. Albo będzie im się wydawało, że pamiętają, niezależnie od tego, czy coś widzieli, czy nie. Coulter będzie miał alibi co najmniej na jedno torsowe morderstwo. Prawdopodobnie na więcej.

– Ta Aiken już zeznała, że przesiadywał w jakimś zajeździe w Luizjanie. Był tam w czasie ostatnich morderstw. – Renz ucisnął skronie palcami wskazującymi, jakby okrutnie rozboleła go głowa. – Kutasom z mediów nie spodoba się, że wpuściliśmy ich w maliny.

– Nieźle się w tych malinach bawili – zauważył Quinn.

– W dodatku presja z powrotem przenosi się na E-kstazę – dodał Renz. – Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Quinn wiedział, że Renz ma słuszość. Kiedy już wyjdzie na jaw, że Coulter nie mógł być torsowym mordercą, E-kstaza nie będzie miała nic do stracenia i może wznowić działalność. W firmie wpadną też na to, że śledztwo znów ruszy pełną parą. Zanotował w pamięci, żeby zadzwonić do Pearl, niech w miarę możliwości nie oddala się od Jill nawet na krok.

Zamrugało światelko w telefonie. Renz podniósł słuchawkę. Ktoś dzwonił na jego bezpośredni numer. Komisarz obrócił się tak, żeby siedzieć plecami do Quinna. Quinn i tak go słyszał, co zresztą nie miało większego znaczenia, bo mówił przede wszystkim dzwoniący.

Renz skończył, z powrotem obrócił się do Quinna, odłożył słuchawkę i powiedział:

– To był mój nowy kumpel, porucznik Balamore z Luizjany. Powiedział, że cała trójka zaczęła śpiewać i oskarżają się nawzajem o każde popełnione przestępstwo. Kopalnia informacji. Co z nimi, są tacy głupi, że gadają bez adwokata?

– Nie wiem. Balamore ci nie powiedział?

– Powiedział, że są. Zsumowane IQ tej trójki wypadłoby poniżej średniej. Ale w naszych czasach, kiedy telewizja na okrągło puszcza powtórki *Prawa i sprawiedliwości*, jak można nie zażądać obecności adwokata?

Quinn tylko pokręcił głową.

– Prawo i sprawiedliwość – zadumał się Renz. – Jakby jedno z drugim szło w parze.

Ale Quinn czuł, że kosmiczny mechanizm poruszył się w jądrze wydarzeń. Instykt starego gliny reagował na zaburzenie równowagi, na ruch, nieświadomy jeszcze, co to może znaczyć, dokąd dotrą, pchani rozpędem.

To wrażenie zwiastowało najczęściej, że kostki domina zaczynają się przewracać.

Stone siedział do późna w swoim gabinecie, chociaż nie miał żadnej pracy do wykonania. Podejrzał, że dobiera się do niego stres. A może tylko tutaj, w miejscu, w którym prowadził interesy, czuł się naprawdę jak w domu? Coraz częściej traktował biuro jak schronienie przed zagrożeniem nadciągającym ze strony Quinna i jego detektywów. Nigdy nie poznał Quinna osobiście, ale znał innych Quinnow, ludzi, którzy po prostu nie rezygnują, którzy w innej epoce polowaliby na najbardziej niebezpieczną zwierzynę. Którzy byli myśliwymi tej epoki i w istocie polowali na najbardziej niebezpieczną zwierzynę. Ale Palmer Stone nie uważał się za niebezpiecznego. Nie był drapieżnikiem. Czuł się raczej jak zwierzyna zapędzona w kozi róg.

Quinn nawet przez sekundę nie wierzył, że Coulter jest torsowym mordercą.

Stone siedział za biurkiem i gładził opuszkami palców misterne mahoniowe wykończenie. Drewno, jego ciepło i trwałość dodawały mu otuchy. Tutaj, za tym biurkiem, wierzył kiedyś, że rozwiąże każdy problem, pokona każdą przeszkodę. Teraz było inaczej. Zmienił to Quinn.

Włączył pilotem telewizor zamontowany na przeciwległej ścianie. Był nastawiony na kanał finansowy. Stone znalazł wiadomości.

Zobaczył znajome policyjne zdjęcie Cathy Lee Aiken. Potem obraz się podzielił i pojawiła się nienagannie uczesana blond spikerka, od której Stone po raz pierwszy usłyszał o ujęciu współniczki zabójców Coultera. Kontrastowała z rozczochaną, szalonoooką Cathy Lee.

– Władze poinformowały, że Cathy Lee zeznaje – obwieściła spikerka, gdy Stone zwiększył głośność. – I to bez ustanku. Podobno jej dwaj domniemani współnicy zbrodni także poszli na współpracę z policją. Coraz więcej wątpliwości narasta wokół teorii, że to zmarły Tom Coulter popełnił torsowe morderstwa. – Kamera zrobiła zbliżenie na doskonałą białą twarz, nagle zbulwersowaną. – Z czego jednoznacznie wynika...

Stone nacisnął czerwony przycisk na pilocie i patrzył, jak piękna spikerka, zwiastun złych wieści, zapada się w nicość, a wraz z nią jej głos. W tym momencie nicość wydawała się o wiele bardziej kusząca od istnienia. Palmer Stone znów został sam w biurze. Sam na sam z myślami, które mu się nie podobały.

Policja i Quinn ze swoimi sługusami nieustannie zaciskali pętlę. Stone codziennie przeczesywał gabinet pod kątem podsłuchu, a i tak nie miał pewności, że mu go nie założono.

Obecnie technologia szybko zastępowała technologię, jak bestia pożerająca samą siebie.

Technologia, odkrycia, dzięki którym mogła zaistnieć E-kstaza.org, obróciły się przeciwko Stone'owi.

Victor wykonywał misję skasowania Jill Clark. Ale Stone wbrew swoim zapewnieniom wiedział, że Jewel, natarczywa przyjaciółka Jill, może okazać się problemem. Maria Sanchez, nowa Madeline Scott, była jak granat ręczny z wyciągniętą zawleczką. Czy i ją należałoby skasować? Stanowiła wyjątkowy przypadek, śmiertelne zagrożenie. Ale E-kstaza.org nigdy, przenigdy nie skasowała klienta specjalnego. Dla Stone'a byłoby to pogwałceniem etyki biznesu.

No i Victor. Kolejne zmartwienie. Victor, który zdawał się pogrążyć w jakiejś degeneracji, w sadyzmie. Jego kolekcja książek o Vladzie Palowniku, jego nerwowość, przez cały czas pulsująca tuż pod powierzchnią... Jakież to było zatrwające. A Gloria już nie mogła go kontrolować. Na dobrą sprawę mogła już nigdy nie wyjść ze śpiączki. A jeśli odzyska świadomość, czy odzyska też pełnię władz umysłowych? Czy będzie wiedziała, czego nie mówić w razie przesłuchania przez władze?

Firma, jego wychuchana firma, rozpadała się tak jak ludzie, którzy tchnęli w nią duszę. Wszystko porosło taką beznadzieją, tak bardzo wymknęło się spod kontroli... Stone czuł się jak osaczona zwierzyna

łowna, potulnie czekająca, aż zamkną się szczęki drapieżnika.

Ukrył twarz w dłoniach, a jego palce z wolna wygięły się w szpony i pozostawiły czerwone wyźłobienia na czole i wokół oczu. Zaczął szlochać. Gdy po jakimś czasie skończył i znów był spokojny, jego twarz nic nie wyrażała. Najwyraźniej podjął jakąś decyzję.

Otworzył dolną szufladę biurka i zanurzył w niej rękę.

Podczas kolacji, którą jedli w wietnamskiej restauracji nieopodal mieszkania Lindy, w kieszeni Quinna zaczęła wibrować komórka. Linda, która właśnie zamierzała napić się herbaty, przerwała w pół ruchu i patrzyła, jak Quinn wyjmuje telefon, otwiera klapkę i przykłada go do ucha. Ledwie rzucił okiem na wyświetlacz.

– Wal – powiedział, a potem już tylko słuchał.

Siedzieli blisko wejścia do kuchni, gdzie ciepłe powietrze było gęste od ostrego zapachu przypraw. Nie musieli się przejmować szumem rozmów wokół – specjalnie poprosili o odosobniony stół, gdyż Quinn spodziewał się telefonu. Jakieś pół minuty później powiedział:

– Upewnij się, że właśnie tam idzie, a potem czekaj przed domem Jill. Koniecznie daj mi znać, jeśli coś jeszcze wyskoczy.

Rozłączywszy się, Quinn od razu wystukał palcem wskazującym inny numer. Popatrzył wymownie na Lindę. Skinęła głową, rozumiejąc, że uprzejmie ją przeprosza za zakłócony wieczór. Słowa były zbędne. *Znamy się coraz lepiej.*

– Dzwoniła Pearl? – zapytała, kiedy Quinn czekał na połączenie.

– Weaver – odpowiedział.

– Do kogo teraz dzwonisz?

– Do Feddermana.

Fedderman najwyraźniej odebrał. Linda zauważyła, że Quinn przestał się nią interesować, jeszcze zanim się odezwał.

– Feds, dzwoniła Weaver. Na moje polecenie obserwowała siedzibę E-kstazy. Powiedziała, że szła stamtąd za Victorem Lampingiem do jego mieszkania. Jakieś pół godziny temu Victor wyszedł na zakupy. Kupił szczotkę.

Wpatrzona w Quinna Linda zamarła. Quinn napotkał jej spojrzenie i szybko odwrócił wzrok.

– Zgadza się – powiedział. – Potem wrócił do domu. Niedługo później wyjechał samochodem. Weaver sądzi, że udał się do mieszkania Jill Clark. Aha. Jestem po drugiej stronie dzielnicy. Do-bra. Zobaczymy się na miejscu.

Quinn zatrzasnęła telefon, wsunął go do kieszeni i błagalnie popatrzył na Lindę. Pomyślała, że wygląda jak chłopiec, który woli iść się pobawić, niż dokończyć obiad. W chowanym go.

W podchody. *Czy do tego się to wszystko sprowadza, do zabawy dla dorosłych? Do gry, poważnej, grożącej utratą życia, ale mimo wszystko gry? Oczywiście, że to gra. I ktoś musi w nią grać. Jeśli przy okazji nią żyje, tym lepiej dla nas wszystkich.*

Quinn nią żył. Był myśliwym, drapieżcą. Jeśli wcześniej miała co do tego wątpliwości, straciła je po spojrzeniu w jego rozpalone zielone oczy. Teraz już nie był to błagalny wzrok niecierpliwego dziecka. To były oczy tygrysa. Zawsze śmieszyło ją to wyrażenie, ale teraz je rozumiała i prawie zrobiło jej się szkoda Victora Lampinga. Wtedy przypomniła sobie słowa Quinna: „Kupił szczotkę”. Nieważne, co powie. Quinn i tak zostawi ją dla swojej gry.

– Dokończę kolację – powiedziała. – Zadzwoń do mnie, jak będziesz mógł.

– Lindo...

– Idź, idź – pogoniła go. – To twoja praca. – *Twoje życie.*

Wstał, pochylił się nad stołem, pocałował ją w policzek. Położył obok jej talerza kilka banknotów i spiesznie skierował się ku drzwiom. Samochód zostawił w garażu, a do restauracji przyszedł z jej mieszkania. Odprowadziła go wzrokiem do przeszklonego wyjścia. Patrzyła, jak zatrzymywał taksówkę. Patrzyła, jak odjeżdżał. *Patrznie przez szkło. Definicja małżeństwa z gliną.*

Napiła się wreszcie herbaty.

Quinn spędził w taksówce dziesięć minut, zanim znów zawibrował jego telefon. Odebrał i usłyszał głos Weaver:

– Quinn, cholera jasna, zgubiłam go!

Quinn się zdziwił. Weaver nie zdarzało się gubić śledzonych.

– Jak i gdzie?

– W masakrycznym korku przy Times Square. Jedzie tym wielkim czarnym chryslerem sedanem. Przejeżdżaliśmy przez dzielnicę teatralną w porze, o której zaczynają się spektakle. Wszędzie, cholera, było pełno dużych czarnych samochodów. Przed chwilą zorientowałam się, że mi się popieprzyły i śledzę nie ten, co trzeba.

– Jesteś pewna?

– O, tak. Samochód, który śledziłam, zjechał na parking z obsługą pod jakąś restauracją. Wysiadły z niego dwie kobiety i dziadek, chyba stuletni. Weszli do środka.

– Gdzie teraz jesteś?

– Na Broadwayu, daleko na północ. Kawał drogi od mieszkania Jill Clark. O ile Victor Lamping w ogóle do niej jedzie.
– Jedzie do niej. Jest w drodze. Czuję to.
– Ja też – uczciwie przyznała Weaver. – I ma ze sobą ten cholerny kij od szczotki.
– I pistolet kalibru dwadzieścia dwa.
– Co z Pearl? Pilnuje Jill?
– Jest na miejscu.
– Victor też już powinien być – powiedziała Weaver smutnym, pełnym frustracji tonem.

Będzie się za to karała miesiącami. A jeśli sytuacja rozwinie się tak, jak mogła się rozwinąć, być może do końca życia.

Taksówka najpierw zwolniła, a potem zatrzymała się w korku. Rozryczały się klaksony. Ich zróżnicowane nagłące tony odbijały się dysonansowym echem od ścian budynków. Wszyscy w mieście marzeń i klęsk byli sfrustrowani. Quinn przechylił się i wyrzał przez okno na drogowskaz przy skrzyżowaniu. Zostało mu jeszcze do przejechania kilka przecznic.

– Nie zdążę na czas.
– A Fedderman?
– Był w domu, jak do niego dzwoniłem. Też nie zdąży.
– Zadzwoń do Pearl – powiedziała Weaver. – Albo wezwij radiowóz do mieszkania Jill.

Ale Quinn już się rozłączył i rozmowa była skończona.

Sznur samochodów ruszył i taksówka wyrwała przed siebie, nabierając szybkości. Zwolniła, zatrzymała się, popełzła do przodu. Quinn wpatrywał się w telefon. Jeśli wezwie radiowóz, dźwięk syren lub widok policyjnych mundurów może spłoszyć Victora. Jeśli zamiast do policyjnego dyspozytora zadzwoni do Pearl, Victor wpadnie w pułapkę. Czyż nie po to była im potrzebna Jill? Na przynętę? Ostatecznie istniała też nikła szansa, że Quinn dotrze do mieszkania Jill w samą porę, aby aresztować Victora, zanim ten zdąży użyć swojej ulubionej broni. Jeśli Victor będzie miał przy sobie kij od szczotki oraz pistolet, z którego posłał kule w serca ofiar torsowego mordercy, to z takim i dowodami w zasadzie będzie można uznać go za skazanego.

Nikła szansa, ale zawsze szansa.

Quinn pochylił się i zastukał w pleksiglasową przegrodę dzielącą go od kierowcy. Gdy taksówkarz się obejrzał, pokazał mu odznakę.

– Szybciej! – zażądał na tyle głośno, żeby usłyszano go po drugiej stronie pleksiglasu. – Jeśli trzeba, jedź jednym kołem po chod-

niku, ale dowieź mnie na miejsce.

Kierowca wykonał polecenie Quinna co do joty. Opony lewych kół taksówki podskoczyły na krawężniku i wjechały na chodnik. Quinnem rzuciło na siedzeniu. W ten sposób minęli sześć unieruchomionych samochodów, ale na skrzyżowaniu zatrzymał ich zator. Kierowca spojrzął za siebie i wymownie wzruszył ramionami. Quinn uniósł telefon do światła latarni i wystukał numer komórki Pearl.

Fedderman sądził, że zdąży do mieszkania Jill Clark na czas. Jechał nieoznakowanym radiowozem i włączył migające światła ukryte za kratownicą wlotu powietrza. W Nowym Jorku kierowcy rzadko ustępowali z drogi samochodom z kogutem, jak nakazywały przepisy, być może dlatego, że nie mieli gdzie zjechać. Ale kiedy Fedderman częstował ich krótkim, ogłuszającym jękiem syreny, jakoś znajdowali sposób, żeby go przepuścić. Szło mu nieźle.

W pobliżu Piątej Alei van, któremu Fedderman siedział na ogonie, nieoczekiwanie mignął światłami stopu. Oba pojazdy nabierały szybkości i robiły około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Fedderman wbił stopę w pedał gazu i gwałtownie zakręcił kierownicą, ale prawym przednim zderzakiem zaczepił o vana. Kierownica zaczęła żyć własnym życiem i obróciła się Feddermanowi w rękach.

Odzyskał panowanie nad autem i udało mu się nie potrącić pana z pieskiem. Ale manewr rozproszył jego uwagę, a wtedy prawa przednia opona zahaczyła o występ krawężnika. Przed radiowóz wytoczył się kołpak i poturlał się po jezdni pełnym gracji, skrzącym się łukiem, wywołując piski opon i trąbienie klaksonów. Potem ścianki obu prawych opon rozdarły się o kant krawężnika.

– Szlag! – zdążył powiedzieć Fedderman, zanim wyrznął głową o boczne okno, gdy samochód podskoczył na odpływie kanału burzowego.

Wóz zatelepał się i szarpnął, po czym stanął pod znakiem zakaz parkowania stąd do skrzyżowania. Fedderman siedział przez chwilę w oszołomieniu. Kiedy doszedł do siebie, zobaczył przejęte i zaciękawe twarze, gapiące się na niego przez okna pojazdu. Z tyłu biegli ku niemu kolejni przechodnie. Fedderman pomyślał, że powinien zadzwonić do Quinna, porzucić radiowóz i złapać taksówkę.

Skończyły się godziny pracy. Biurowiec w centrum, w którym E-kstaza.org miała swoją siedzibę, prawie zupełnie opustoszał. W

oknach wychodzących na ulicę było ciemno. Tylko w jednym przez zaciągnięte zasłony przebijało nikiłe światło.

Wewnątrz budynku było cicho. Spokojnie. Nocna zmiana pracowników firmy sprzątającej nie pojawi się wcześniej niż za kilka godzin. Korytarzami nie niósł się żaden dźwięk. Były puste, a ich wypastowane podłogi lśniły słabo jak doskonale nieruchome wody.

Nikt nie słyszał ostrego pojedynczego wystrzału. Równie dobrze ten dźwięk mogła wydać przewracająca się kostka domina.

Victor znalazł sposób, jak wykonać instrukcje Palmera Stone'a i upozorować śmierć Jill Clark w wypadku. Gloria, ekspert w tych sprawach, byłaby z niego dumna.

Zaparkował Chryslera przecznicę za blokiem Jill i wrócił piechotą. Miał na sobie spodnie khaki, niebieską koszulkę polo i znoszone sportowe buty. Włożył też czapkę z logo Metsów, ale nie pod kątem, jak zrobiłby jakiś małolat, ale prosto, jak ktoś, kto nie chce zostać rozpoznany na nagraniu z kamery przemysłowej. Ludzie, których mijał na chodniku, nie zwracali na niego uwagi. Gdyby później musieli wybrać go na okazaniu, mieliby problem. Nie chciał, żeby zapamiętał go dziś ktokolwiek z wyjątkiem Jill Clark. A ona zapamięta go do końca życia.

W prawej ręce niósł granatową torbę z logo Nike. Pan przeciętniak, który prawdopodobnie wraca do domu z siłowni. W torbie znajdowały się dwie rolki taśmy izolacyjnej, sekator, nić dentystyczna i paczka jednostronnych zyletek. Torba nie była zasunięta do końca, gdyż na podobieństwo rączki rakiety tenisowej wystawał z niej tępy koniec kija od szczotki. Drugi koniec, ukryty w torbie, był zaostroszony i oszlifowany. Ale nie był za ostry. Victor nauczył się, że nie warto od razu wywoływać obfitego krwawienia wewnętrznego, bo męczarnie ofiary będą za krótkie.

Szedł i się uśmiechał. Jill nie umrze od razu, wybierze raczej współpracę. Wszyscy rozpaczliwie chwyтали się tych ostatnich cennych chwil życia, czegokolwiek, byleby nie była to nicość.

Nic nie trwa wiecznie. Najpóźniej po dziesięciu minutach Jill napisze pożegnalny list, a potem zacznie się zabawa na całego. Musiał skupić się na fatalnym stanie Glorii, żeby nie dostać erekcji, która mogła przyciągnąć niechcianą uwagę. Kiedy już skończy z Jill, obleje ją rozpuszczalnikiem do czyszczenia chemicznego. Trzymała taki pod zlewem. Potem odkręci wszystkie palniki w jej kuchence gazowej i zgasi automatycznie zapalający się płomyk. Przed wyjściem najpierw podpali Jill, a potem kotary. Kilka minut po tym, jak opuści budynek, powinno palić się równomiernie i mocno. Gaz będzie się ulatniał,

dopóki również się nie zapali. Zanim przyjedzie straż pożarna, mieszkanie stanie się morzem ognia.

Kij od szczotki Victor zabierze ze sobą. Nigdy nie wiadomo, co może nie spalić się do końca, a kij będzie w takim miejscu, w którym w ogóle mógłby nie zająć się ogniem.

Gdy wchodził do bloku Jill, miał nabrzmiały członek. Choć nie była to pełna erekcja. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

Glorio...!

Komórka w torebce Pearl odegrała pierwsze cztery takty motywu przewodniego z serialu *Oblawa*. Pearl je usłyszała, choć dźwięk był ściszony. Wyjęła telefon i zobaczyła, że dzwoni Quinn.

– Pearl, wszystko u ciebie w porządku? – zapytał.

– Ot, kolejna noc w rajku – odpowiedziała. – Jestem w sypialni Jill i staram się nie być natrętem.

– A Jill? – W głosie Quinna pojawiła się nieoczekiwana obawa.

– Siedzi w salonie i ogląda telewizję. Powtórkę jakiegoś sitcomu o neurotycznych nieudacznikach mieszkających w Nowym Jorku.

– Tobie się nie podoba?

– Widziałam ten odcinek cztery razy. Wystarczy.

– Jedzie do was Victor Lamping – oznajmił Quinn.

– Pewnie jako Tony Lake. Nic nowego. Będzie zachwycony na mój widok

– Widziano go dziś, jak kupował szczotkę z drewnianym trzonkiem – powiedział Quinn.

– Och... Kto go pilnuje?

– Niby Weaver, ale go zgubiła. Pearl, posłuchaj. Feds i ja możemy nie zdążyć z pomocą.

– Weaver go zgubiła?

– Tylko bez złośliwości, Pearl.

– Może po raz kolejny będzie próbował zaciągnąć Jill do łóżka. Biedakowi pewnie jaja posiniały od ciągłych niepowodzeń.

– Szczotka, Pearl. Dziś nie będzie Tony'ego Lake'a.

– Mógł ją kupić, bo chciał pozamiatać.

– Pearl...

– Poradzę sobie, Quinn. Przecież wiesz. – *Nie to, co ta niedojda Weaver.*

– Mogę wezwać radiowozy, będą tam w ciągu kilku minut.

– Włożyliśmy tyle pracy, żeby zwabić Victora w pułapkę, a teraz mają go spłoszyć?

Nie zdziwiła go jej reakcja.

- Istnieje taka możliwość.
- Wysokie prawdopodobieństwo. Nawet jeśli przyjadą z wyłączony mi kogutami i bez syren.

Pearl nieświadomie pogładziła kaburę przy pasie, w której tkwił dziewięćmilimetrowy glock

- Opanuję sytuację i będę czekała na ciebie i Fedsa.
- Ryzykujesz, Pearl. Za bardzo nadstawiasz karku.
- Tak jak ty, Quinn. Inaczej nie powstrzymamy tych drani.
- Nie chciałybym...
- Wyluzuj. Jill Clark nie spadnie włos z głowy.
- Myślałem o tobie, Pearl.

Ale każesz mi w pojedynkę stawić czoła jednemu z najbardziej przerażających morderców, jakich nosiła ziemia.

– Nie martw się o mnie, Quinn. Swoje zrobię. Jak już musisz się o kogoś martwić, to może o twoją przyjaciółkę Lindę?

– Pearl, do jasnej cholery...!

Przerwała połączenie. *Dlaczego to powiedziałam? Co mnie podkusiło?*

Zza drzwi dzielących ją od salonu dobiegło brzęczenie domofonu. Usłyszała, jak Jill odbiera i zaprasza kogoś na górę.

Jill podeszła do lustra przy drzwiach, upewniła się, że bluzkę ma dokładnie wsuniętą w dzinsy, po czym zmierzwiła włosy. Niełatwo jej było robić się na bóstwo dla Tony'ego Lake'a, kiedy już wiedziała, do czego był zdolny, co mógłby jej uczynić. Co uczynił tym wszystkim kobietom. Ale mimo wszystko potrafił czasami być taki czarujący...

Usłyszała kroki na korytarzu. Mocno zacisnęła usta i potarła wargę o wargę, żeby błyszczak był równomiernie rozłożony, a potem odwróciła się od lustra.

Dwukrotne pukanie do drzwi, stanowcze i głośne. Zebrała się w sobie, podeszła i otworzyła je.

Na twarzy miała szeroki uśmiech.

– Tony!

Quinn wychodził z siebie na tylnym siedzeniu taksówki. Do mieszkania Jill zostały mu jeszcze trzy przecznice, ale na następnej jakiś wysoki van miał kłopoty. Błyskające żółte światła mogły świadczyć o tym, że pomoc drogowa usiłowała go odholować. O cokolwiek chodziło, samochody przemieszczały się nieregularnymi zrywami po trzy, cztery metry, a potem znów zapalały się światła

stopu i taksówka nieruchomiała. Zwężone oczy kierowcy napotkały wzrok Quinna w przekrzywionym lusterku wstecznym. Taksówkarz obrócił się na siedzeniu i samymi ustami powiedział, że bardzo przeprasza, ale po prostu nie da się jechać szybciej. Quinn poruszył się nerwowo i skinął głową. Nie winił taksówkarza i nie sądził, żeby sytuacja na ulicy szybko się zmieniła.

Wyjął portfel, odliczył odpowiednią sumę, dodał hojny napiwek, zastukał kłykiem w przezroczystą przegrodę i położył plik banknotów na przesuwnej metalowej tacy. Wsiadł z taksówki i ruszył chodnikiem w kierunku mieszkania Jill. Jeśli dokuczała mu noga, w którą kilka miesięcy temu został postrzelony, to tego nie odczuwał. Oparł się pokusie rzucenia się biegiem, wiedząc, że tylko się zmęczy i w rezultacie będzie wolniejszy.

Po drodze, roztrącając na boki ludzi, których wrogie spojrzenia i docinki ignorował, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Pearl. Co, do cholery, działo się w mieszkaniu Jill?

Pearl skierowała się ku drzwiom sypialni. Usłyszała, że pozostawiona w torebce na łóżku komórka cicho odgrywa motyw z *Oblawy*, ale nie zawróciła. Telefonu nie było słyhać w salonie.

Uchyliła drzwi. Na przestrzał widziała małą sień i drzwi na korytarz. Faktycznie, Tony. Jill stała twarzą do niego z uniesioną głową, jakby liczyła na pocałunek. Grała swoją rolę.

Tony cmoknął ją w policzek, jednocześnie wyciągając zza pleców mały samopowtarzalny pistolet. Na lufę nakręcony był matowoszary tłumik, długi na jakieś piętnaście centymetrów.

Tony zaczął niezgrabnie wyginać łokieć, żeby wycelować w Jill. *Zrani ją strzałem w bok, a potem...*

Pearl nie zwlekała. W sekundę dobyteła glocka i oddała strzał, wiedząc, że nie trafi Tony'ego, ale też z pewnością nie zrani Jill. Tony'emu nic się nie stanie, ale powinna go zaskoczyć i na kilka sekund odwrócić jego uwagę.

Zareagował błyskawicznie. Odepchnął Jill i uniósł broń w stronę, z której dobiegł odgłos strzału. Od razu zobaczył idącą ku niemu Pearl.

Był teraz odsłonięty. Mierząc do niego, dostrzegła słaby rozbłysk u wylotu lufy i usłyszała plunięcie wytłumionej broni. Tony chybił. Pearl odpowiedziała ogniem i też chybiła. Wiedziała, że używał dwudziestkidwójki. Strzały z jego ulubionej broni, nawet wyciszonej, wciąż brzmiały jak oddane z małokalibrowego pistoletu. Pomyślała, że trzeba będzie kilku trafić, żeby ją powstrzymać, podczas gdy ona mogła położyć Tony'ego jednym strzałem ze swojego potężnego dziewięćmilimetrowego glocka.

Pod warunkiem że będzie celny.

Posuwała się korytarzem, a glock grzmiał i podskakiwał w jej ręce. Tony się nie cofał.

Szóstka za odwagę! Zdychaj, skurwysynu! W każdej chwili spodziewała się użądlenia kuli.

Jeden ze strzałów oddanych na oślep przez Tony'ego zrykoszutował od zawieszonej w korytarzu grafiki w ramach akurat, kiedy Pearl przechodziła obok. Wiszący niecałe trzydzieści centymetrów od jej

twarzą obrazek zahuszał się i upadł na podłogę, a szkło rozprysło się na drobne fragmenty. Pearl poczuła, że prawa strona twarzy piecze ją żywym ogniem. Straciła nagle wzrok w prawym oku. Zorientowała się, że było zamknięte, spróbowała je otworzyć, ale uniemożliwił jej to ból.

A niech to...!

Tylko się rozjuszyła. Nie czas ani pora na strach. Wycelowała niepewnie, patrząc zażawionym lewym okiem, i po raz kolejny ściągnęła spust. Wiedziała, że jeśli trafi, to najwyżej w ścianę.

Zamazana sylwetka szarpnęła się w bok, odwróciła i zniknęła za drzwiami na korytarz. Pearl wtoczyła się do salonu i zdała sobie sprawę, że wcale nie idzie ku drzwiom. Tak kręciło jej się w głowie, że straciła orientację. Lewym okiem namierzyła skuloną postać wciśniętą w kąt. Jill.

Ruszyła w jej stronę, ale zniecka ogarnęły ją mdłości. Spojrzała na swoje prawe ramię i zobaczyła na nim rozchłapaną krew.

Coś jeszcze było z nią nie tak. Ogarnął ją taki ból, że nie mogła oddychać. *Wpadam w szok? Nie, do cholery!* Cofnęła się o dwa kroki i osunęła się na sofę.

Skulonej postaci już nie było w kącie, ale Pearl po chwili ją wypatrzyła. Jill czołgała się ku niej przez salon.

– Jewel?

Głos brzmiał, jakby dochodził z sąsiedniego pokoju. Tyle że wcale tak nie było. Jill, już wyprostowana, stała zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów od Pearl.

– Jewel? Jewel? Boże! Nic ci nie jest?

– Komórka – wymamrotała Pearl. – Przynies moją komórkę. Jest w sypialni, w mojej torebce.

– Jewel?

– Komórka, do cholery!

Quinn przebiegł na czerwonym świetle między pędzącymi i trąbiącymi samochodami. Nie zwolnił, gdy dotarł do przeciwnego chodnika. Był już na przecznicy, przy której mieszkała Jill, niedaleko jej bloku. Biegł ile sił w nogach, a serce waliło mu szybko i mocno i zadawało ból.

Może zdąży. Może dotrze na czas.

Wystraszył go trąbiący tuż obok klakson. Sześć metrów przed nim do krawężnika przybiła taksówka. Rozległ się głos:

– Quinn! Quinn!

Wyhamował i zobaczył, że to Fedderman krzyczał przez opusz-

czone boczne okno.

– Quinn!

Tylne drzwi taryfy otworzyły się tak szeroko, że omal nie wyleciały z zawiasów. Fedderman wychylił się i pomachał.

– Wsiadaj, Quinn! Wsiadaj!

Samochodem będzie szybciej niż na piechotę, jeśli ulica znowu się nie zakorkuje.

Quinn pomknął ku taksówce. Zbiegając z krawężnika, potknął się i omal nie przewrócił. Miał wrażenie, że skrzył nogę w kostce, ale nie tak mocno, żeby go to spowolniło. *Robię się na to za stary ... Nie, jeszcze nie!*

Victor już wszystko rozumiał. Jewel była gliną. Czekali na niego u Jill. I jeszcze suka go postrzeliła!

Wiedział, że rana nie była poważna. Kula rozorała mu bok szyi, szczęśliwie omijając tętnicę, ale krew i tak lała się za kołnierzyk. Czuł ciepłą wilgoć na plecach.

Nie miał pewności, czy trafił Jewel. Strzelał nabojami małego kalibru, i to z odległości. Prawie na pewno go gończyła.

Nie miał czasu czekać na windę. Rzucił się schodami w dół, a równowagę utrzymywał tylko dzięki temu, że łapał się poręczy i odpychał od ścian na półpiętrach. Miał wrażenie, że słyszy z góry kroki Jewel, więc zmusił się do jeszcze szybszego biegu. W każdej chwili mogła się zbliżyć na tyle, żeby nic nie przesłaniało jej celu. I prawdopodobnie wezwwała posiłki. Musiał uciec z budynku, wydostać się na ulicę, zanim zaroi się tu od policji.

Już przebiegał przez hol. Omal się nie pośliznął i nie przewrócił na śliskich płytkach. Wciąż miał w ręce pistolet z tłumikiem. Zastanowił się, czy się nie odwrócić i nie posłać w stronę schodów ostrzegawczego strzału, który przynajmniej spowolniłby Jewel, jeśli go gończyła. *Nie mam czasu nawet na to.*

Dopadł ciężkich drzwi wiodących na ulicę i ciężko rąbnął w nie ramieniem. Obróciło nim, gdy wypadał na zewnątrz.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Fedderman wciskał kierowcy zwitek banknotów, podczas gdy Quinn, siedzący z tyłu po prawej stronie, otworzył drzwi i zaczął wysiadać.

– ...to, cholera, jest? – usłyszał głos Feddermana.

Quinn, zgięty, z jedną nogą w taksówce, a drugą na chodniku, podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę wypadającego z bloku Jill. Musiał

solidnie walnąć od wewnątrz w drzwi, ponieważ obracał się, wybiegając. Quinn zobaczył coś w jego prawej ręce. Natychmiast to rozpoznał.

– To Victor! – krzyknął Fedderman.

Quinn bardzo spokojnie, ale głośno zawołał:

– Uwaga, broń!

Chwytał kolbę swojego wysłużonego colta positive special i jednym gładkim ruchem wydobyl rewolwer z kabury pod pachą. W oknie taksówki za jego plecami pojawiła się pajęczyna pęknięć. Trafiła w nie kula. Victor stał twarzą do Quinna na szeroko rozsuniętych nogach. Starannie celował trzymaną w obu rękach bronią. Quinn nie zauważył, żeby hałasowała, a teraz spostrzegł pękaty tłumik na lufie.

Nawet nie zdążyć się schować!

Opadł na kolana, żeby trudniej było go trafić, i strzelił do Victora. Gdzieś blisko szczeknął kolejny wystrzał. Quinn się obejrzał i poprzez wnętrze taksówki zobaczył pomięty krawat i wydatny brzuszek Feddermana, rozplaszczony od zewnątrz na przeciwległej szybie. Feds strzelał nad dachem auta.

Rozległ się kolejny strzał. Kula świsnęła tuż nad głową Quinna.

Wychodząca.

Victor najwyraźniej postanowił się ostrzeliwać. Nawet nie spróbował ucieczki. Pocisk z wizgiem zrykoszetował na masce taryfy. Taksówkarz miał dosyć. Quinn usłyszał silnik wchodzący na obroty i bardziej wyczuł, niż zobaczył, że samochód szybko odbija od krawężnika.

Odsłonięty Fedderman przesunął się i stał teraz bezpośrednio za Quinnem. Obaj raz za razem strzelali do Victora. Quinnowi od hałasu dzwoniło w uszach, czuł zapach kordytu i widział, jak mosiężne łuski z dziewięciomilimetrowego pistoletu Feddermana odbijają się od chodnika niczym upuszczone monety.

Victor osunął się na ziemię, jak gdyby się roztopiał. Leżał nieruchomo, przyciskając ciałem wygiętą nogę.

Quinn i Fedderman się rozdzielili i z przeciwnych stron podeszli do nieruchomego ciała. Fedderman, którego biały mankiet łopotał nad ręką trzymającą broń, zbliżył się pierwszy i kopnięciem odrzucił wytłumioną dwudziestkędaleko od martwej dłoni Victora.

Przykucnął i w poszukiwaniu pulsu delikatnie dotknął szyi leżącego. Podniósł wzrok na Quinna.

– Po nim.

– Chodźmy na górę – zarządził ciężko dyszący Quinn. – Sprawdzimy, co u Pearl.

Quinn i Fedderman zobaczyli, że drzwi do mieszkania Jill są otwarte na oścież. Nie sposób było zgadnąć, co dzieje się w środku i ile jest tam osób. Victor prawdopodobnie przyjechał sam, ale nie mogli być tego pewni.

Weszli ostrożnie z dobytą bronią. Jill siedziała na podłodze obok sofy. Twarz miała bez wyrazu, ewidentnie była w szoku. Pearl bezwładnie spoczywała na sofie. Miała zamknięte prawe oko i pokrytą krwią prawą połowę twarzy. Niewielkie plamy krwi były też na jej prawym ramieniu.

Patrzyła na Quinna zmrużonym lewym okiem.

– Więcej krwi niż szkody – powiedziała. – Kula trafiła w obrazek na ścianie. Rozpirzyła go w drobny mak. Mam szkło w oku.

Nie wydawała się ani wściekła, ani szczególnie cierpiąca. Raczej poirytowana. Quinn pomyślał, że na pewno była w szoku, tak jak Jill. Chciał powiedzieć Feddermanowi, że trzeba wezwać karetkę dla obu kobiet, ale kiedy się odwrócił, Feds już zdążył odejść na bok z kómką przy uchu.

– Nie trzeba żadnej karetki – powiedziała Pearl. – Któryś z was może zawieźć mnie do szpitala. Albo podjadę taksówką.

– Jak skończysz rozmawiać, zadzwoń do Renza – polecił Quinn Feddermanowi. – Niech wie, co się wydarzyło.

Potem usiadł obok Pearl i mocno ją przytulił.

Zaraz po zakończeniu rozmowy z Feddermanem Renz zadzwonił do Cindy Sellers. Pierwsza usłyszy i opublikuje wieści, nawet jeśli trafią do dzienników telewizyjnych przed ukazaniem się następnego wydania „City Beat”. Branżą Cindy Sellers były media drukowane, więc powinna pogodzić się z tym, że telewizja i internet bywają szybsze. Ale będzie miała przewagę nad wszystkimi dużymi nowojorskim i gazetami. Umowa to umowa. Poza tym Renz wolał mieć w Sellers sprzymierzeńca, a nie wroga.

Zadawała krótkie i konkretne pytania. Renz odpowiadał tak samo. Oboje znali zasady. Renzowi nawet się ta rozmowa podobała. Byli

bezwzględny, doświadczony graczami, których przypadek i okazja umieściły w tej samej drużynie. Po zakończeniu rozmowy Renz podszedł do drzwi gabinetu i zamknął je na zamek. Uśmiechał się. Quinn znowu dał radę. Torsowy morderca, ten prawdziwy, leżał trupem na chodniku, a kariera Renza miała się świetnie. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Wrócił za biurko uczcić to cygarem.

Pearl wykonała zadanie. Jill Clark przeżyła wstrząs, ale poza tym nic jej się nie stało. Sanitariusze próbowali załadować Pearl na nosze na kółkach i zawieźć do ambulansu. Nie chciała o tym słyszeć. Odlamek szkła nie wbił jej się w *samo* oko, zażądała więc, żeby zeszyli jej ranę na miejscu. Sanitariusze odpowiedzieli, że tutaj to oni mają tylko szwy zewnętrzne, więc mogą najwyżej czasowo ściągnąć brzegi rany i zatamować krwawienie. Pearl odpowiedziała, że to wystarczy. Twarda Pearl. Myślała, że zostanie przy sprawie, że pojedzie z Quinem i Feddermanem.

– Mowy nie ma – oznajmił Quinn, kiedy zorientował się, że zamierzała kontynuować polowanie. – I tak dużo zrobiłaś, Pearl. Skoro nie chcesz jechać do szpitala, zostań tutaj i odpocznij. Albo idź na górę, do siebie. Do Jewel.

– Mieszkanie Jewel to nora w sam raz dla szczurów – oświadczyła Pearl.

– Pewien gryzoń powinien się cieszyć, że przeżył.

– Nazywasz mnie szczurem, Quinn?

– Zostań, Pearl! – rzucił Quinn, jakby dyscyplinował psa i miał już dosyć jego niesforności. Cóż, lepszy pies niż gryzoń.

Pearl nie była zadowolona, ale wiedziała, kiedy należy ustąpić. *Uparty drań!* Opadła na sofę i zjechała tak nisko, że siedziała na kręgosłupie. Jak rozwyrzony dzieciak, któremu niesprawiedliwie czegoś zabroniono. Na Quinnie nie zrobiło to wrażenia. Odwrócił się do Feddermana.

– Sprawdźmy, czy Palmer Stone pracuje dziś do późna – zarządził i nie oglądając się na Pearl, ruszył do drzwi.

Fedderman wsunął pełny magazynek do swojego dziewięciomilimetrowego pistoletu, popatrzył na Pearl, wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział:

– Twardzielka.

Pospiesznie podążył za Quinem.

Nadąsana Pearl została.

Quinn i Fedderman zarekwirowali jeden z nieoznakowanych radiowozów, które przyjechały na miejsce zdarzenia. Quinn prowadził szybko, ale bez brawury. Patrząc prosto przed siebie, myślał o Pearl, o tym, co spotkało Victora Lampinga, i co on, Quinn, ma ochotę zrobić Palmerowi Stone'owi.

Zaparkował na drugiego przed biurowcem i opuścił daszek przeciwsłoneczny, żeby widać było emblemat nowojorskiej policji. W windzie wznoszącej się na piętro, na którym mieściła się siedziba E-kstazy, nie było nikogo poza Quinnem i Feddermanem.

Quinn wiedział, że do tej pory Renz pewnie zdążył dać cynk Cindy Sellers. Wszystkie sekrety ujawnione. O śmierci Victora mogło już być głośno w radiu i telewizji.

Weszli do pomieszczeń biurowych. Quinn dał znak Feddermanowi i wyjęli broń. Trzymali ją przy udach.

W niewielkiej poczekalni nikogo nie było. Miała w sobie specyficzną zastołość, atmosferę opuszczenia. Po latach pracy gliny wyczuwały opustoszałe pomieszczenia. Po latach pracy gliny wiedziały, że nie wolno do końca ufać takiemu wrażeniu.

Unieśli gotową do strzału broń. Quinn wysunął się do przodu i wpadli do gabinetu Stone'a.

W biurze E-kstazy ktoś był – w pewnym sensie. Palmer Stone siedział za biurkiem, stosownie ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i jedwabny czerwony krawat. Jego ramiona i głowa spoczywały na biurku, jakby uciął sobie drzemkę. W skroni miał idealnie okrągłą dziurę z ciemną obwódką. Pistolet trzymał w prawej ręce. Kula nie wyszła z czaszki, więc kałuża krwi na blacie była niewielka. Przy lewej ręce Stone'a leżał starannie złożony list samobójcy. Wszystko wokół było schludne i uporządkowane, biorąc pod uwagę okoliczności. Gdy by Palmer Stone żył, znalazłoby to w jego oczach uznanie.

List został napisany na komputerze i wydrukowany. Stało w nim po prostu: „Wiem, kiedy kończą się godziny pracy”. Podpisany był niebieskim atramentem, niewątpliwie piórem Montblanc, które ze zdjętą skuwką leżało na biurku.

Quinn odłożył list na miejsce. Zadzwoił z komórki do Renza i powiedział mu, co zaszło. W oczekiwaniu na armię techników kryminalistycznych oraz lekarza sądowego i pogotowie Quinn i Fedderman włożyli lateksowe rękawiczki i zabrali się do pobieżnego przeglądu akt Palmera Stone'a i zawartości szuflad jego biurka. Jak można się było spodziewać, nie znaleźli niczego obciążającego. Jedynie korespondencję handlową i podpisane listy od dostawców i zadowolonych klientów. Może później uda się odkryć coś więcej w

komputerach.

Fedderman, który akurat był przy oknie, popatrzył w dół, na ulicę. Odwrócił się do Quinna.

– Nadjechała kawaleria.

Quinn głęboko nabrał powietrza, odetchnął, rozejrzał się po oszczędnie urządzonej schludnym gabinecie, a potem popatrzył na nieruchome ciało za biurkiem.

– Mogą sobie to wszystko wziąć – powiedział i ruszył ku drzwiom.

Ale przystanął. Z jakiegoś powodu nie chciał wychodzić. Jeszcze nie. Zbliżył się do biurka i popatrzył na zszokowaną twarz Palmera Stone'a.

– Widzieliśmy kiedykolwiek Stone'a na własne oczy? – zapytał.

Fedderman pokręcił głową.

– Tylko fotkę w internecie. Szczątki na tym fotelu są do niej bardzo podobne.

Quinn nadal wpatrywał się w martwego mężczyznę. Pewności nie miał, ale musiał wziąć pod uwagę każdą możliwość.

– Nie uderzyło cię coś w dokumentach, które przeglądaliśmy? – zapytał Feddermana.

– Nie to, na co liczyłem.

– Podpisy na nich różnią się od podpisu na liście.

Fedderman myślał o tym przez chwilę.

– A Stone rozkręcił interes polegający na dostarczaniu sobowtórów klientom nowych tożsamości. – Otarł usta przegubem i zrobił powątpiewającą minę. – Ale jeśli trup za biurkiem to nie on, a list jest fałszywką, dlaczego Stone sam go nie podpisał?

– Może zakładał, że zdejmemy z pióra i kartki odciski palców. Chciał, żeby były to tylko odciski trupa. Mógł przystawić facetowi pistolet do głowy i zmusić go do złożenia podpisu. Założę się, że broń została wytarta i będą na niej tylko odciski zabitego. Założę się, że całe biuro zostało wytarte. A odciski Stone'a są czyste. Nigdy nie został aresztowany, nigdy nie był w wojsku. Nie ma ich w żadnych aktach.

Fedderman pochylił się i uważnie przyjrzał twarzy nieboszczyka.

– Wygląda zupełnie jak Stone.

– A co, jeśli nim nie jest? – spytał Quinn.

Znał odpowiedź. Jeśli Stone żył, choć oficjalnie był martwy, co mógł stracić na zamordowaniu kobiety, która zniszczyła jego firmę i sprowadziła na niego upadek? Albo dwóch kobiet? Jill Clark, która i tak ledwie uszła z życiem, i Pearl?

Spróbował przez komórkę skontaktować się z Pearl, której wciąż opatrywano rany. Udało jej się wymusić na drugim sanitariuszu, tym, który miał się zajmować Jill, żeby założył normalne szwy zamiast zewnętrznych. Poirytowany ratownik odebrał telefon. Quinn przedstawił mu sytuację. Podsluchująca Pearl powiedziała sanitariuszowi, żeby przekazał Quinnowi, że Weaver siedzi z Jill, a Jill jest nietknięta i nie chce pomocy lekarskiej.

– Kazała przekazać...

– Tak, tak – przerwał Quinn. – Po prostu o nią zadbajcie. Upewnijcie się, że nic jej nie będzie.

– To nasza praca – odpowiedział zręczliwy sanitariusz.

– I niech się stamtąd wynosi. Z budynku.

– Jeśli o nią idzie, to powiedziec, owszem, mogę, ale ona może nie posłuchać.

– Wiem – mruknął Quinn. – Jestem ekspertem w tym temacie.

Rozłączył się, po czym natychmiast zadzwonił do Renza i opisał mu sytuację w biurze Ekstazy. Renz nie odpowiadał prawie przez minutę, myśląc o wszelkich implikacjach związanych z ewentualnym wyjściem na durnia, jeśli Quinn się mylił i Stone był Stone'em. Zresztą konsekwencje będą poważniejsze niż zwykle wyjście na durnia. Mógł wpaść w niejedną głęboką studnię. A nawet do jaskiń pełnych tygrysów. Ale w Renzu wciąż jeszcze więcej było z gliny niż z biurokraty czy polityka.

– Możliwe – skwitował. – Mało prawdopodobne, ale możliwe. – Przerwał. – Tę hipotezę sprawdzasz na własną odpowiedzialność. Inaczej się nie da, Quinn. – *Cóż, niezupełnie więcej z gliny niż z biurokraty czy polityka.*

Teorię dwóch Palmerów Stone'ów ukuł Quinn, była to jego rozgrywka, jego ryzyko. Jeśli przypadkiem okaże się, że ma rację, Renz zbierze laury. Jeśli Quinn się myli, Renzowi to nie zaszkodzi. Wygrywał na obu frontach.

– Jedziemy do mieszkania Jill – powiedział Quinn.

– Zadzwonię do Weaver i każę jej zabrać Jill w bezpieczne miejsce – oznajmił Renz. *Żadnego w tym politycznego ryzyka. Same plusy.*

Kiedy Quinn wpychał komórkę do kieszeni, Fedderman zapytał:

– U Pearl okej?

– Jak na Pearl – odparł Quinn. – Jak na razie.

Zjechali na parter. Quinn udzielił tam wskazówek technikom kryminalistycznym, którzy właśnie weszli do holu. Chwilę później lawirował nieoznakowanym radiowozem między samochodami,

wracając tą samą drogą, którą przyjechali. Nie dbał o wyboje, ryki klaksonów, gniewne okrzyki, przepisy i sygnalizację świetlną. Pruł w kierunku domu Jill Clark.

– Myślisz, że tam pojechał? – zapytał Fedderman.

Quinn koncentrował się na torowaniu sobie drogi między samochodami.

– Myślę, że to możliwe. To mi wystarczy.

– Wciąż powinno tam być od groma policji. Może jeszcze nawet nie wynieśli ciała Victora.

– Ale wszyscy będą na ulicy – zwrócił mu uwagę Quinn. – A im większe zamieszanie na zewnątrz, tym lepiej dla Stone'a. Łatwiej będzie mu wejść bez zwracania na siebie uwagi i zająć się Jill i Pearl.

– To niegłupi facet – zauważył Fedderman. – Mógł przewidzieć, że go rozszyfrujemy, i uwzględnić to w swoich planach.

Quinn się uśmiechnął. Fedderman już widział u niego taki uśmiech – nie zachęcał do odpowiedzenia tym samym.

– Mamy własne plany – powiedział Quinn.

Stone tu był.

Quinn i Fedderman wiedzieli o tym chwilę po wejściu do budynku. Zobaczyli tylko jego łydkę w kosztownych spodniach od garnituru i wypolerowany but z dziurkowanym noskiem. Ledwie im mignęła, ponieważ Stone właśnie skręcał za róg i wchodził na schody.

Obaj bez słowa rzucili się w cichy pościg. Nie chcieli, żeby Stone wiedział o ich obecności. W idealnym układzie uda im się podejść go niepostrzeżenie od tyłu, obezwładnić i wziąć żywcem. Chcieli mieć go w sądzie jako oskarżonego i świadka.

Na ostatniej kondygnacji schodów, która dzieliła go od mieszkania Jill, Stone przygotował się do złożenia wizyty: wyjął z kieszeni marynarki mały pistolet z perłową rękojeścią. Wtedy schody cicho zaskrzypiały pod stopą Quinna. Zaskoczony Stone się odwrócił. Wyglądało to, jakby trup z biura powstał z martwych, a oni go wystraszyli.

Quinn nie zwlekał. Nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Miał dystans do pokonania. Zaatakował.

Z płuc Stone'a uszło powietrze, gdy opuszczone ramię Quinna trafiło go w środek klatki piersiowej. Jednocześnie Quinn lewą ręką złapał prawą rękę Stone'a, przemocą unosząc mały pistolet lufą do sufitu. Gdy osuwali się na ziemię, Quinn mocniej zacisnął mocarną lewą rękę.

Ciało i naczynia krwionośne zderzyły się z kością prawego nadgarstka Stone'a. Pistolet wypadł jak upuszczona przez dziecko zabawka i zaklekotał na stopniach. Stone nie był człowiekiem skłonny do bitki.

Pozbawiony tchu, usiadł na schodach i zgiął się, podtrzymując bolący nadgarstek. Z kącika ust zwisała mu nitka śliny. Otarł ją, starając się uspokoić oddech, po czym uśmiechnął się smutno i potrząsnął głową. Fedderman odczytał mu prawa, a potem pochylił się tak nisko, że oczy miał kilka centymetrów od twarzy Stone'a. Uważnie mu się przyglądał.

– Ten trup za twoim biurkiem...

- To nie ja – dokończył za niego Stone. – Co widać.
- Twój sobowtór – powiedział Quinn. – Który wierzył, że cię zastąpi i dostanie za to niezłe pieniądze. A tymczasem przydał się do upozorowania samobójstwa.
- Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia – odpowiedział Stone. – Pozwolę sobie dodać, że za pańską przyczyną.
- To ty zastrześliłeś tego biednego drania. – To nie było pytanie. Quinn po prostu prowadził rozmowę. Chciał, żeby Stone przyznał się własnymi słowami. Zatem przeciągał ciszę. Czekał, czekał...
- Zabiłem go – odpowiedział Stone. – Nie mam nic przeciwko wykonywaniu mokrej roboty, kiedy to konieczne. – Wysilił się na wzruszenie ramionami. – Biznes to biznes.

Quinn z ulgą wypuścił powietrze. Było po wszystkim. Wymienili z Feddermanem spojrzenia. Quinn odniósł wrażenie, że Feddermanowi zbiera się na uśmiech. Stone żył i przyznał się do morderstwa, co w połączeniu z zeznaniami Jill złoży się na solidną sprawę przeciwko E-kstazie. A nowa Madeline Scott, kiedy już ją znajdą, nie będzie miała innego wyjścia, jak zdradzić swoją prawdziwą tożsamość i zeznawać z powołania oskarżyciela.

– Raczej już nic więcej nie powiem, dopóki nie zjawi się mój adwokat – odezwał się Stone.

Quinnowi wydało się to dziwne, bo przecież Stone przed chwilą się przyznał i potwierdził, że mają właściwego człowieka. Bardzo dziwne.

Przykuł zdrowy nadgarstek Stone'a do poręczy.

Pearl niechętnie posłuchała rady Quinna i wróciła do mieszkania Jewel. Nie była pewna, gdzie podziewa się Jill. Weaver mogła zabrać ją w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Spróbowała doprowadzić się do porządku. Uczesła się, omijając wzrokiem szeroki na pięć centymetrów bandaż na policzku pod prawym okiem, po czym zdecydowała, że zejdzie i sprawdzi, co u Jill. Upewni się, że nie ma jej w mieszkaniu.

Gdy się odwracała, odbicie światła w lustrze poraziło jej prawe oko niczym włócznia. Włożyła czarną opaskę, którą dostała od sanitariusza, i uważnie oceniła swój wygląd. Uznała, że wygląda jak piratka po starciu z Royal Navy. Omal nie wyrwało jej się ciche *jo ho ho*. Po chwili uznała, że nic w tym zabawnego i odwróciła się od żalosnej twarzy w lustrze.

Zeszła na dół i zapukała do mieszkania Jill.

W judaszu zamigotało światło. Za drzwiami stała Jill. Albo ktoś

inny. Najpewniej Jill, zbyt wstrząśnięta, żeby od razu otworzyć drzwi na czyjekolwiek pukanie. Po tym, co ją spotkało, być może przez wiele miesięcy nikomu nie zaufa.

– To ja, Jewel! – zawołała Pearl.

Falszywe imię stało się ich tajnym hasłem.

Światło w judaszu się nie poruszało.

Mężczyzna spoglądający przez judasza zmierzył wzrokiem kobietę przed drzwiami. Była niska i nie wyglądała groźnie, w dodatku miała chyba jakiś wypadek. Nosiła przepaskę na oku i miała na twarzy gruby biały opatrunek.

Może po prostu sobie pójdzie, jeśli ją przeczeka. Zdążył już przeszukać mieszkanie, zajrzał w każdą możliwą kryjówkę i wiedział, że Jill Clark nie ma w domu. Musiano przenieść ją gdzie indziej, dla ochrony. Ta kobieta – Jewel, jak sama się przedstawiła – z pewnością знаła Jill. Może wie, dokąd ją przeniesiono. Wyglądało na to, że przyszła sama.

Postanowił, że zmusi ją do gadania, a potem zabije. Jeśli uda mu się jakoś dostać do Jill, wciąż jeszcze wszystko może pójść zgodnie z planem.

Gliny wyniosły się dosyć niedawno. Paru może się jeszcze gdzieś tu kręcić. Będzie musiał działać szybko i bez hałasu.

Schował broń do kabury i dobył noża.

Drzwi niespodziewanie się otworzyły. Ciemnowłosa mężczyzna o dzikich piwnych oczach boleśnie szarpnął Pearl za ramię i wciągnął ją do mieszkania. Nie zdążyła nawet pomyśleć, a co dopiero stawić jakikolwiek opór.

Nie znam go. W co się, do cholery, wpakowałam? Kto to, kurwa, jest? Co teraz?

Pokazywał jej ostrze, powoli nim obracając. Chciał zrobić na niej wrażenie.

Uśmiechnął się paskudnie, unosząc długi nóż. Był przekonany, że strach zmieni tę kobietę w stworzonko, z którym łatwo będzie sobie poradzić. Zawsze go bawiło, że kobiety w ten sposób reagują na widok noża gotowego wejść w ich ciało. Może był to naturalny lęk przed penetracją. Coś o seksualnym podłożu. Tak czy inaczej, stawały się bezwolne i bezbronne.

Pearl kopnęła go w kolano. Mężczyzna ryknął z bólu i ciął na odlew. Pearl weszła w łuk tego wymachu i uderzyła napastnika w brzuch. Stęknął i odepchnął ją; omal nie straciła równowagi. Kiedy na nią ruszył, uskokzyła przed atakiem, o włos unikając połyskującego ostrza. Przerażała ją myśl, że napastnik może zaatakować z drugiej strony, z tej, której nie widziała. *Cholerna przepaska!* Ale bała się ją zerwać, bała się nagłego blasku i bólu, który mógł się okazać gorszy niż bycie jednooką.

Przypomniała sobie tandetny szklany wazon stojący na stoliku przy sofie. Wykręciła głowę, żeby zobaczyć go lewym okiem. Wyrzyła sobie w myślach jego obraz. Kiedy mężczyzna ponownie rzucił się na nią z nożem, zrobiła unik i odskoczyła w lewo, w stronę stolika. Okręcił się i natarł na nią, tym razem wyprowadzając cięcie od dołu. Ciosów skierowanych w górę trudniej będzie uniknąć, trudniej będzie zobaczyć, jak zbliżają się poniżej poziomu oczu.

Pearl na oślep sięgnęła po wazon, wykonany z prasowanego szkła prezent od kwaciarni, w którym mieściła się jedna róża. Namacała go i poczuła, że wazon wyslizguje się jej z palców. Opuściła rękę i zła-pała go, gdy się przewracał. Chwyciła mocno i wyrznęła nim w twarz

mężczyzny. Wazon się nie roztrzaskał. Zamachnęła się ponownie i poczuła, że naczynie mocno zderza się z głową napastnika.

Od impetu uderzenia rozluźnił się jej uchwyt. Wazon odbił się od podłogi i przepadł poza zasięgiem wzroku Pearl.

Straciła swoją broń, ale zyskała dzięki niej cenne sekundy. Potrafiła zrobić z nich dobry użytek. Rzuciła się ku drzwiom.

Jej dłoń zacisnęła się na gałce. Drzwi się otwierały, ale Pearl wiedziała, że nie starczy jej czasu. Była uwięziona w koszmarze, jednym z tych, które rozgrywają się w zwolnionym tempie.

Zdała sobie nagle sprawę, że nóż wystaje z framugi tuż obok jej twarzy. Wbił się w laminowane drewno. Mężczyzna rozpaczliwie nim rzucił, chcąc trafić ją w bieg. *Przynajmniej teraz jest nieuzbrojony.*

Za jej plecami zagrzmiał wystrzał. *O kurwa! Ma też pistole t! Nie zrezygnuje!*

Pearl też nie rezygnowała. Otworzyła już drzwi i była prawie na korytarzu. Jeśli skręci za ścianę i zejdzie mu z widoku, może zdąży dobiec do schodów. Do diabła z windą. Nie ma na nią czasu.

Pod podeszwą lewego buta poczuła znajomą twardą gładkość płytek na korytarzu. *Uda mi się!*

Rozpędzona ciężarówka uderzyła ją w plecy. Wiedziała, że została postrzelona. Zatoczyła się przed siebie, a potem jak gdyby uderzyła o niewidzialną ścianę i odbiła się od niej. Straciła równowagę, jakby przechyliła się podłoga.

Czuła, że idzie do tyłu, że cofa się, cofa na odrętwiałych nogach prosto do mieszkania. Tam, dokąd wcale nie chciała iść.

Drugi pocisk uderzył ją mocniej niż pierwszy. Rzucił nią na drzwi, a te się zatrzasnęły i uwięziły ją w środku razem z napastnikiem. Wszystko wokół zaczęło wirować, aż zakręciło jej się w głowie.

Podniosła wzrok na drzwi. Widziane jednym okiem były kwadratowe i oddalały się coraz bardziej i bardziej. *Malają. Dziwne... Unoszę się w powietrzu?* Zdała sobie sprawę, że leży na podłodze z górną częścią ciała na miękkim dywanie, a pod gołymi piętami ma solidną podłogę z twardego drewna. Czyżby od impetu wystrzałów spadły jej buty? Widywała już takie rzeczy.

Znów odszukała wzrokiem drzwi. Były otwarte na oścież. Rozlegał się jakiś hałas, huczące odgłosy, ale ledwie je słyszała, jakby dochodziły z bardzo, bardzo daleka.

Strzały?

W drzwiach stał Quinn, przykucnął w pozycji strzeleckiej, wypełnił sobą całą framugę i grzał z tego swojego wiekowego rewolweru.

Quinn.

Dziwne, jaki spokój nagle poczuła.

Quinn. Z taką poważną miną. Poważny człowiek ten Quinn. Taki prosty, a taki złożony. Dobry człowiek. Trudno takich znaleźć, trudno takich stracić. Będzie za nim tęskniła i to...

Pomyślała, że mogłaby się do niego uśmiechnąć.

– Pearl, jesteś ze mną?

Głos Quinna. Pearl czuła w ustach ohydny posmak, a jej wargi sklejała zaschnięta wydzielina. *Bleee!*

– Pearl?

Nie chciało jej się otwierać oczu, ale zrobiła to.

Quinn stał nad nią z poważną miną. I nagle wszystko do niej wróciło: mężczyzna w mieszkaniu Jill, walka, strzały. *Jezu, on mnie postrzelił!*

– Tylko się nie ruszaj, Pearl.

Poczuła, jak rozklejają jej się usta.

– Co szę stało?

– Zostałaś ranna i spędziłaś pięć godzin na stole operacyjnym. Przez jakiś czas byłaś nieprzytomna, ale już wróciłaś.

Dotarły do niej zmieszane zapachy: sosnowy środek dezynfekujący, mięta, świeża pościel. Wędrowała spojrzeniem. Było to bolesne i mogła patrzeć tylko jednym okiem. Nie dalej niż kilka metrów od niej wszystko się lekko rozmazywało – za tacą, na której stały zielona plastikowa szklanka, dzbanek i pudełko chusteczek higienicznych. Była w szpitalnym łóżku.

– Nieprzytomna? Przez jakiś czas?

– Przez trzy dni – powiedział Quinn.

Trzy dni! Poważny stan. Może nawet krytyczny.

– Można to uznać za śpiączkę?

– Pewnie – potwierdził Quinn.

– Przeżyję?

– Tak, jeśli od tej pory we wszystkim będziesz mnie słuchała.

– Quinn...

– Przepraszam. Wyjdiesz z tego, Pearl. Jesteś w szpitalu Roosevelta. Oberwałaś dwa razy. Jedna kula złamała obojczyk. Druga weszła w plecy przy łopatce, zmieniła tor i zatrzymała się w pobliżu wątroby. Obie zostały usunięte. Będziesz zdrowa jak rydz.

– Czyli naprawdę przeżyję?

– Tak. – Uśmiech przemknął przez jego twarz i zniknął jak duch.

– Ale czeka cię długa fizjoterapia.

Pearl spróbowała się poruszyć, lecz była za słaba.

– Nie bolą mnie plecy ani nic. Wszystko jest odrętwiałe.

– To leki. Później będzie bolało, Pearl.

– Stary dobry Quinn, zawsze wali prosto z mostu.

– Niewielu to robi na tym porąbanym świecie.

– Jakbym nie wiedziała. Kiedy stąd wychodzę?

– Za dwa, trzy dni. Jeszcze raz cię zbadają.

– Jak Jill?

– Świetnie.

– Co się, do cholery, stało?

– Na schodach w bloku Jill dopadliśmy z Fedsem Palmera Stone'a. Przyznał się, że zaaranżował samobójstwo i zabił swojego sobowtóra, który myślał, że zostanie Stone'em po zniknięciu prawdziwego Stone'a. Chcieliśmy wyciągnąć z niego coś jeszcze, ale zaparł się i zażądał adwokata.

– Zażądał adwokata po przyznaniu się do morderstwa?

– Właśnie. Mnie i Fedsa też to zdziwiło. Pomyśleliśmy, że coś jest na rzeczy, być może chciał nas opóźnić. Przychodził nam do głowy tylko jeden powód, dla którego Stone próbował jak najdłużej przetrzymać nas na schodach.

– Nie chciał, żebyście weszli do mieszkania Jill. Mielicie pomysłu, że już nic jej nie grozi.

– Tak jest. Wiedział, co ma się wydarzyć, bo wiedział, kto tam czeka. Tymczasem do Jill wybrałaś się ty, ale zamiast niej zastałaś Jorge Sancheza.

Przez kilka sekund Pearl z niczym tego nazwiska nie kojarzyła. Może winne były prochy. W końcu do niej dotarło.

– Ten osławiony baron narkotykowy? Przecież zginął w Mexico City.

– Prawdziwy nie zginął. Mężczyzna, którego zastrzeliła meksykańska policja, był jednym z kilku dublerów Sancheza. Został podpuszczony, żeby wyjść z hotelu, w którym zatrzymał się Sanchez z żoną. Policjanci wzięli go za oryginał i zastrzelili. Nawet Maria, żona Sancheza, była przekonana, że Jorge nie żyje. Musiała doznać szoku, kiedy w ciemnym zaułku wynurzył się z cienia i zabił Greeve'a.

– Dla Greeve'a też musiało to być szokiem – zauważyła Pearl. – Nie zabiła go żadna prostytutka, tylko oni tak to upozorowali. Przed śmiercią próbował wymówić imię Jorge.

– Właśnie. Jorge też leży w szpitalu, zaczął gadać. Ale on z tego nie wyjdzie. Również zamierzał przejąć tożsamość klienta E-kstazy, a

potem dołączyć do żony w Nowym Jorku. Mieli spotkać się ponownie jako dwoje zupełnie innych ludzi, wyjechać gdzieś daleko i trzymać się z dala od handlu narkotykami. Mogłoby się im udać, gdyby Jorge zabił Jill. Tylko ona mogła przysiąc, że widziała obydwie Madeline i tylko ona mogła powiązać je z E-kstazą. Była ogniwiem, które musiał usunąć. Ale jego plany nie wypaliły, tak samo jak plany Palmera Stone'a.

– Więc nową Madeline była Maria Sanchez.

Quinn skinął głową.

– A Tony Lake?

– Victor Lamping?

– Aha.

Quinn zdziwił się, że zapomniała. Wszystko jej o nim opowiedział, gdy tulił ją w ramionach i czekał w salonie Jill na pogotowie.

– Zmarł przed przyjazdem karetki.

Pearl z powrotem ułożyła głowę na poduszce i przemyślała to. Przystojny, uśmiechnięty, kłamliwy Tony Lake. Wszystko w nim było kłamstwem.

– To dobrze – powiedziała.

Quinn milczał.

– E-kstaza – mruknęła Pearl. – Co za koszmar.

– Gorszy, niż myślisz – powiedział Quinn. – Stone zakapował siostrę Victora, Glorię Lamping. Oboje prześcigają się w zeznaniach, licząc na układ, na który nie mają szans. Stąd znam większość z tych informacji. Gloria wciąż dochodzi do siebie po potrąceniu przez taksówkę. Wiedziała o morderstwach. Stone twierdzi, że niektóre z nich popełniła.

– Kobieta, która robi coś takiego drugiej kobiecie... – Pearl udało się delikatnie pokręcić złożoną na poduszce głową. – Koszmar – powtórzyła.

– Który już się skończył – powiedział Quinn. – Już się obudziłaś, Pearl.

Dotknął jej ręki delikatnie jak nigdy wcześniej.

Quinn został z Pearl prawie do północy. Potem wrócił do domu i znalazł list od Lindy. Napisała, że po gruntownych przemyśleniach doszła do wniosku, że nie nadaje się na żonę gliniarza. Zamierzała też zrezygnować z pracy dla miasta. Jej zdaniem nie było innego wyjścia, skoro została zdemaskowana jako informator, który obrał stronę w wewnętrznych przepychankach nowojorskiej policji. Po tym już nikt jej nie zaufa. Nie zasługiwała też na zaufanie Quinna. Pod słowem

„żegnaj” widniało jej imię.

Quinn najpierw miał ochotę się rozpłakać, a potem połamać meble, ale nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Zastanowił się, czy nie zadzwonić do Lindy. Tego też ostatecznie nie zrobił. Podjęła decyzję, a on nie był w stanie spierać się z fatalistyczną logiką jej listu, nawet gdy by odebrała telefon.

Prawdę mówiąc, był smutny, ale nie zaskoczony. Wiedział, gdzie najprawdopodobniej teraz była – w jakimś miejscu, w którym można się napić. Zależało mu na niej, ale pojmował, że próby pomocy są z góry skazane na niepowodzenie. Niektórych nie można było ocalić. Innych nie można było ocalić przed samym sobą. A właśnie oni cię nawiedzali, ponieważ zawsze można było bardziej się starać mimo świadomości, że to nic nie da. Ponieważ w taki czy inny sposób, na wylocie, czynili innych współsprawcami swojej zagłady. Nawet tych, których kochali. Może ich przede wszystkim.

Starannie złożył list, jakby zamierzał go zachować. Potem zmienił zdanie, zmiął go w kulkę i wyrzucił do kosza na śmieci.

Miesiąc później w ogródku restauracji na West Side Quinn bez pośpiechu sączył zbyt drogą latte, która zresztą okazała się wyśmienita. Przy stoliku naprzeciwko siedziała starsza pani. Na lewym policzku, tam, gdzie podrapał ją kot, miała trzy idealnie równoległe cienkie zadrapania. O ile podrapał ją kot. O ile w ogóle miała kota. Quinna nigdy nie nudziło obserwowanie nowojorczyków i próbowanie odczytania ich historii.

Zmieniły się światła. Znajdującą się zaledwie trzy metry dalej ulicą ruszyły samochody; zwiększył się hałas, a w powietrzu nisko zawisła mgielka spalin. Przechodnie spieszenie szli chodnikiem, potrącając się niekiedy i przepychając w wąskiej przestrzeni między ogrodzeniem restauracji a krawężnikiem. Quinn się uśmiechnął. Spośród przechodniów prędzej czy później wyłoni się Pearl. Za pięć minut byli tu umówieni na lunch.

Pearl dobrze sobie radziła po wyjściu ze szpitala. W zeszłym tygodniu wróciła nawet do pracy w banku. Nadal pociągała Quinna i zawracała mu w głowie. Wiedział, że zawsze tak będzie.

Spojrzał na leżącego na stoliku „Timesa”. Wyczytał w nim z satysfakcją, że według ostatnich sondaży Harley Renz stał się najpopularniejszym komisarzem policji w historii miasta. Krążyły nawet plotki, że proponowano mu stanowisko burmistrza, ale większość z nich zapewne rozpuszczał sam Renz. Quinn uznał, że komisarz wyszedł na sprawie torsowych morderstw lepiej niż ktokolwiek inny. Fedderman też wyszedł na niej nieźle. Wrócił na Florydę i trwał na swojej niespokojnej emeryturze, czekając na kolejny telefon od Quinna. Raz na jakiś czas przysyłał Quinnowi cytrusa.

Palmer Stone i Gloria Lamping skorzystali z pomocy adwokatów, ale tak naprawdę nie mieli żadnych szans. Oboje dostali się między kły systemu, a system nimi potrząśnie i przeżuje ich na papkę, z której nic nie zostanie.

Dwa tygodnie temu w Tijuanie, w motelowej łazience, znaleziono zwłoki Marii Sanchez. Miała odcięty język i usta wypchane kokainą.

Skończyły się torsowe morderstwa. Jill Clark odzyskała swoje ży-

cie.

Quinn zauważył w nadciągającym strumieniu przechodniów podskakującą ciemnowłosą głowę i wstał, żeby było go widać. Uśmiechnął się radośnie. To była Pearl.